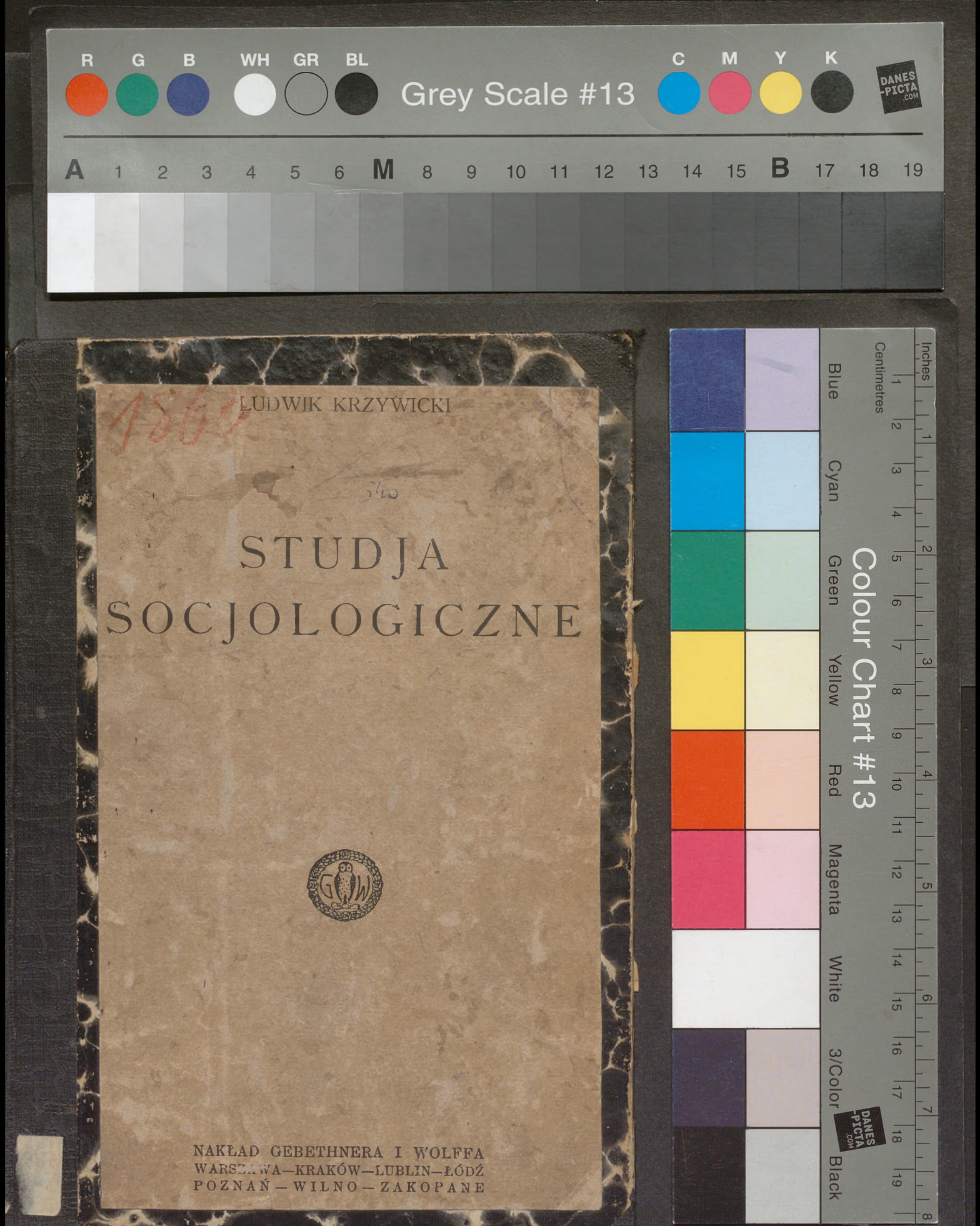

LUDWIK KRZYWICKI
STUDJA
SOCJOLOGICZNE
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

1860

LUDWIK KRZYWICKI

540

STUDJA SOCJOLOGICZNE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

30

29 JAN 1925

Iwona Ordzianka

8370

STUDJA SOCJOLOGICZNE

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

LUDWIK KRZYWICKI

Iwona Ordzianka

STUDJA SOCJOLOGICZNE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Pokt. Wychow.

301

26356/2

BIBLIOTEKA
Wydział Szkoły Oficerskiej [illegible] Tychów.
L. inw. 6446.

Składy główne:

„The Polish Book Imp. Co., Inc.“ — New York
„Księgarnia Polska na Śląsku“ Sp. Akc. — Katowice

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

PRZEDMOWA.

W roku bieżącym upływa czterdzieści lat niesłychanie płodnej, niezwykle rozległej, niepospolicie głębokiej pracy naukowej Ludwika Krzywickiego. Socjolog, ekonomista, statystyk, antropolog, etnolog, historyk kultury, a wszędzie pionier, twórca nowych dróg, siewca nowych idej. Syntetyk urodzony a zarazem badacz problematów specjalnych. Rozległa, o dalekich perspektywach synteza, oparta na drobiazgowem, pracowitem badaniu szczegółów. W czasach, kiedy naukę uprawiano u nas „dla pokrzepienia serc", Ludwik Krzywicki był uczonym miary największej, miał odwagę być uczonym. W bogatej działalności naukowej i pedagogicznej tworzył, zapładniał, oświecał i nauczał.

Wiele prac Jubilata, ogłoszonych w czasopismach, a nawet w wydaniu książkowem jest w handlu księgarskim wyczerpane, nieznane szerszemu ogółowi czytającemu, a przecież prace te, jako wynik przenikliwej, głębokiej myśli, wytrwałej pracy badawczej są wiecznie młode, wiecznie świeże. W celu uczczenia czterdziestolecia pracy Ludwika Krzywickiego z inicjatywy Towarzystwa Ekonomistów i Statystyków polskich zawiązał się komitet w składzie przedstawicieli Senatu Uniwersytetu i Politechniki warszawskiej, Wyższej Szkoły Handlowej, Wolnej Wszechnicy, Uniwersytetu Lubelskiego, Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie, Kasy im. Mianowskiego, Warsz. Towarzystwa Naukowego, Warsz. Instytutu Filozoficznego, Tow. Naukowego we Lwowie, Tow. Ekonomicznego w Krakowie i Lwowie, Tow. Prawniczego i Eko-

nomicznego w Poznaniu, Głównego Urzędu Statystycznego, Instytutu Gospodarstwa Społecznego oraz Towarzystwa Ekonomistów i Statystyków polskich. Komitet jubileuszowy przedewszystkiem postanowił wydać te zapomniane lub mniej dziś znane prace Jubilata.

„Studja socjologiczne“ tworzą pierwszą serję tych pism, które Komitet jubileuszowy w porozumieniu z firmą wydawniczą „Gebethner i Wolff“ zamierza ogłosić drukiem.

Studja dobrano w ten sposób, ażeby tworzyły zwartą, a powiązaną całość, w której każda praca jest jakgdyby dalszym ciągiem poprzedniej i wstępem do następnej. Przy każdej pracy postawiono datę jej pierwszego ukazania się. Pomimo łączności, jaka istnieje pomiędzy ogłoszonemi przyczynkami, były one drukowane niekiedy w znacznych od siebie odstępach czasu. Z tego powodu powtarzały się w nich nieraz te same wywody i fakty. Należało usunąć te powtórzenia, a niekiedy z niektórych prac wybrać tylko oddzielne części, najbardziej odpowiadające zamierzonemu powiązaniu w całość. Np. w cyklu „Idea a życie“ przyczynek „Parę słów wstępnych“ zaczerpnięto z artykułu „Idea a życie“, drukowanego w dodatku do „Przeglądu Tygodniowego“ 1888 roku drugi zaś jest pierwotnym, nieskróconym rękopisem pracy „Idea a życie“, ogłoszonej w książce jubileuszowej ku uczczeniu Aleksandra Świętochowskiego, a będącej rozwinięciem dalszych części poprzedniego artykułu.

Dokonano tego w porozumieniu z autorem, który sam poczynił w wydawnictwie obecnem niezbędne dopełnienia i poprawki. Niektóre z prac drukowane są według zachowanych rękopisów, pokreślonych i poskracanych później przez cenzurę rosyjską i znanych w tej skażonej postaci.

Studja Socjologiczne tworzą ważny wkład do nauki i to nietylko nauki polskiej. Ogłaszane w jednym z języków Zachodu niewątpliwie rozgłosiłyby imię ich autora w całym świecie naukowym, jako jednego z najbardziej samodzielnych i wszechstronnych badaczy. Ale nawet i w swej szacie polskiej znane były wielu badaczom Zachodu, którzy je cytowali i komentowali. Pisze o nich i podkreśla wielką oryginalność poglądów Friedrich S. Krauss w swych przeglądach etnograficznych.

Tłumaczą studja Krzywickiego Rosjanie, Bułgarzy —

niektóre po razy kilka. Studjum „Idea a życie“ przełożone było na język rosyjski i drukowane w czasopiśmie „Naczało“, artykuły: „Rodowód idej“ i „Przeżytki“ drukowane były jako oddzielne książeczki, wreszcie w drugiem wydaniu połączono je w jedną całość, która później tłumaczoną była na język bułgarski. Na rosyjski również tłumaczone były szkice z cyklu: „Z psychologji życia zbiorowego“ i „Typy zawodowe“.

Podkreślić należałoby znaczenie i oryginalność prac poniżej drukowanych.

Cykl — „Idea a życie“ daje w samodzielnem i nawskroś oryginalnem ujęciu teorję rozwoju społecznego — stanowi on jedno z najgłębszych ujęć materjalizmu dziejowego.

Szkice „Z psychologji życia zbiorowego“ są jakby próbą przeciwstawienia się socjologji psychologicznej — przeciwstawienie ich ogólnikom i frazesom analizy przedmiotowej. Była to bodaj pierwsza tego rodzaju próba w nauce.

Wreszcie koronę badań Jubilata tworzą „Typy zawodowe“, w których autor przedstawia w jaki sposób życie społeczne w swoich różnorodnych czynnościach i odmianach korzysta z istniejących ludzkich instynktów, usposobień i pociągów. Rzecz ta zgoła oryginalna, która wyprzedziła, jeżeli idzie o założenia teoretyczne, próby Münsterberga nad psychotechniką. Wobec tego, że autor zamierza w niedalekiej przyszłości wydać całą książkę, poświęconą temu zagadnieniu, w Studjach Socjologicznych wydrukowano tylko parę artykułów, aby nadać zbiorowi charakter zwartej całości.

Połączenie trzech powyższych seryj studjów tworzy całokształt poglądów Jubilata na naturę formowania się i funkcjonowania układów społecznych. Gromadząc rozproszone prace w jedną całość — nietylko ocalamy je przed zapomnieniem, ale dajemy również jednolity gmach poglądów socjologicznych ich autora.

Spełniamy więc obowiązek nietylko względem Jubilata, ale i wobec czytającego ogółu.

Żeby jednocześnie uwypuklić bogatą działalność pisarską Ludwika Krzywickiego dajemy wreszcie bibljografję jego pism, obrazującą dobrze zasłużoną, czterdziestoletnią, płodną działalność tego niezwykłego w Polsce mocarza pracy.

ISTOTA ZDARZENIA SPOŁECZNEGO.

(1897) [1]).

Podczas pierwszej cholery w Paryżu wierzono powszechnie, że są nicponie, którzy zatruwają wodę w studniach publicznych. Tem tłumaczono rozmiary niebywałe epidemji. Podbechtane temi pogłoskami pospólstwo gromadzi się dnia jednego dokoła osoby, którą złapano niby na gorącym uczynku rzucania trucizny do wody. Namiętności rozpętały się w całej swej mocy, a przybrały takie napięcie, że śmierć doraźna zagrażała pojmanemu. Ofiara podejrzliwości nieuzasadnionej, szukała ocalenia w ucieczce: dobiega do kruchty kościoła pobliskiego i tam stawia czoło napastnikom, którzy zadają mu ciosy tem, co mają pod ręką. Gromada oprawców przedstawia jakby jedną istotę, rozpryśniętą na setne głowy, a każdy uczestnik roznamiętniony myślą o odwecie nad nikczemnikiem, który zadawał ludziom cholerę, gotów jest zbroczyć ręce swoje krwią ściganej ofiary. Zdawało się, że godziny nieszczęsnego były policzone: omdlał już pod ciosami. W takiej chwili stanowczej zjawił się kapłan miejscowy. Umiał przemówić do tłumu i dokazał tego, że ci, którzy, zaślepieni zemstą, byli mordowali, jęli się cucenia ofiary swojej i z oznakami najwyższego zadowolenia przyjęli wiadomość o tem, iż omdlały odzyskał przytomność.

Gromada, występująca w tem zdarzeniu, jest ciągłą co do osób, które w niej uczestniczą, ale nie stanów swoich.

---

[1]) Przyczynek, niepuszczony przez cenzurę. Był później, mocno skrócony, drukowany jako wstęp do artykułu: „Człowiek a społeczeństwo", Bibljoteka Warszawska, 1897.

Albowiem uczucia, ożywiające uczestników, zmieniają się w miarę przebiegu. Dwa zwłaszcza ogniwa wyróżniają się z pośród innych i przeciwstawiają się sobie: tłum-zwierzę, kiedy każdy pała nienawiścią i pragnie skąpać ręce swoje we krwi rzekomego truciciela, oraz tłum-altruista, wykazujący współczucie względem skrzywdzonego i spieszący mu z pomocą. Pomiędzy jednym stanem a drugim ciągną się ogniwa pośrednie, gdy krwiożerczość z zemstą ustępują, zjawia się współczucie. Rzekłbyś: instrument, który, pod dotknięciem czyjejś ręki, wydaje tony coraz inne. Ów ktoś sprawił, że wśród tłumu zaczynają przeważać odmienne od poprzedniego uczucia, że, zamiast zgrozą przejmującej namiętności, odzywają się tam głosy łagodniejsze, słabo i nielicznie, potem obficiej i mocniej, aż w końcu duch zgoła inny nastaje. Ale w obu przypadkach krańcowych istnieje tak samo gromada ujednostajniona, w której każdy odtwarza stany każdego innego: te same uczucia miotają uczestnikami i pchają każdego do jednakiego czynu, może nawet przebiegi fizjologiczne mają to samo piętno. To ujednostajnienie poczęło się tam przed studnią i zrodziło się z wzajemnego na się oddziaływania osób, uczestniczących w zbiegowisku. Jeszcze wcześniej, zanim ludzie zaczęli się gromadzić dokoła truciciela, mieliśmy rzeszę pospolitych przechodniów, niczem nawzajem nie związanych, spieszących każdy za swojemi sprawami, nieznanych sobie prawdopodobnie, a każdy z nich był ożywiony innemi myślami, zaprzątnięty innemi emocjami, niż te, jakie ujawni w gromadzie. Okrzyk zgromadził ich dokoła studni, podnieta pokrewna ujednostajniła i zespoliła w tem samem jestestwie zbiorowem.

W opisanem zdarzeniu możemy poddać rozbiorowi różne jego strony.

Po pierwsze, moglibyśmy badać sprawę powstawania nastroju pomiędzy gromadą obcych sobie nawzajem przechodniów, którzy pod działaniem ciekawości stłoczyli się dokoła studni, oraz zamiany jednego nastroju zbiorowego, krwiożerczego, na inny, współczuciem zabarwiony.

To znowu inna okoliczność przykuć może do siebie uwagę naszą, a mianowicie dzięki jakim przymiotom swego ducha ów kapłan zdołał wpłynąć na rozbestwioną gromadę i powstrzymać ją od mordu, oraz kto z pośród uczestników

uległ pierwszy temu głosowi, odwołującemu się do miłosierdzia, kto zaś okazał się najoporniejszym. Zdarzenie bowiem niekoniecznie musiało się skończyć czynem litości i współczucia, ale mogło doprowadzić do przerażającej swojem okrucieństwem brutalności, gdyby zamiast osób działających znalazły się inne.

O tem świadczy chociażby tragedja krakowska, uwieńczona zabójstwem Andrzeja Tęczyńskiego. Nad tą tragedją szczegółowiej tutaj się zatrzymamy, bo pozwoli nam uwydatnić niektóre strony wydarzenia społecznego, które nie zarysowały się były w powyższym przykładzie, zaczerpniętym z bruku paryskiego.

Andrzej Tęczyński posprzeczał się z płatnerzem o cenę, jaką miał zapłacić za oczyszczenie czy sporządzenie zbroi. Rzemieślnik stawił się twardo, co do żywego poruszyło dumnego magnata i ten z przyjaciółmi wymierzył sobie doraźną sprawiedliwość, spotkawszy rzemieślnika na ulicy. Ale gwałtowny możnowładca nie obliczył się z nastrojami panującemi wśród mieszczaństwa krakowskiego. Albowiem zaledwie wieść się rozniosła po mieście o zajściu, a już rzemieślnicy porzucili robotę i uzbrojeni ruszyli pod ratusz. Tęczyński lekceważył do tego stopnia to poruszenie, iż z przyjaciółmi przechadzał się wśród tłumu. Ale podniecenie wzrasta, dzwon na wieży Marjackiej uderzał na trwogę, zwołując nowe wciąż gromady zbrojnego ludu. Możnowładca zrozumiał wtedy, iż rzecz przybiera obrót zbyt poważny. Schronił się do klasztoru Franciszkanów, ale lud niebawem otoczył świątynię, wywalił drzwi i wtargnął do wnętrza. Nie widząc przed sobą możliwości ucieczki, Tęczyński oddał się na łaskę i niełaskę tłumu: ciskano nań srogie wejrzenia i może sprawa cała skończyłaby się na tem, gdyby nie to, że mnich uchylił drzwi od zakrystji. Tęczyński skorzystał z tego i rzucił się do zakrystji pod opiekę księdza. Ten czyn roztrzygnął o losach jego. Już podczas skoku ktoś uderzył go w głowę tak szpetnie, że złupił mu cały wierzch z włosami, w zakrystji zaś posypały się ciosy, które powaliły pana na Tęczynku, czaszka pękła i mózg z niej wypłynął, ciało zaś zbite, poszarpane, pokłóte, z obdartą brodą i skórą na głowie, powleczono kanałem ulicznym na ratusz. Zaledwie w dniu trzecim rodzina zdołała otrzymać zwłoki.

W zdarzeniu paryskiem pobudka namiętności jest jasna i zrozumiała. Natomiast w Krakowie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, podniecenie wydaje się swojemi następstwami dziwnie nieustosunkowane w porównaniu z przyczyną — pobiciem rzemieślnika przez możnowładcę. Ale to nieustosunkowanie znika przy głębszem wejrzeniu. Taki wybuch namiętności mógł nastąpić jedynie na podłożu przez wiele lat doznawanej krzywdy i lekceważenia, tłumionej niechęci i antagonizmów. Ofiarą stał się jeden z panów, ale tylko dlatego, że mieszczaństwo widziało w nim wcielenie całej warstwy. Bądź co bądź dopuszczono się zbrodni, ale rzecz jasna, że przy innym splocie drobnych okoliczności, przy innym temperamencie i zachowaniu się uczestników dałoby się jej uniknąć. Mniejsza zresztą o inne możliwości; najważniejsza, że mord popełniony na Tęczyńskim, jest wyrazem głębszych antagonizmów—to wyjście odmienne tworzy różnicę zasadniczą pomiędzy krwawem zdarzeniem krakowskiem, a tak łagodnie zakończoną tragedją paryską.

I tutaj, w poruszeniu krakowskiem, tak samo jak w paryskiem, da się wyodrębnić kilka zagadnień odmiennych.

Jedno: możemy badać sprawę powstawania nastroju jednolitego, który w ostatecznym wyniku wyda z siebie gromadę morderców roznamiętnionych.

Drugie: możemy zastanawiać się nad kwestją, w jaki sposób przymioty uczestników doprowadziły właśnie do takiego krwawego rozwiązania, oraz jaką rolę odgrywały w tym wypadku osoby poszczególne.

Powyższe dwie strony wysunęły się przed nami już w poprzednim przykładzie. Ale w zdarzeniu u Franciszkanów uwydatnia się jeszcze trzecia, a mianowicie wpływ warunków społecznych, które przez gromadzenie drobnych uraz i ciągłe jątrzenie mieszczaństwa ze strony możnowładców przygotowały grunt pod wybuch takiej nienawiści i namiętności.

Ta okoliczność ostatnio wymieniona odsłania przed nami nową sferę czynników, o których jednak wydarzenie krakowskie daje niejasne pojęcie, albowiem te czynniki nie zarysowały się tam z dostateczną wyrazistością. Wybuch mieszczaństwa krakowskiego był raczej odruchem emocjonalnym. Nie przyświecała mu idea jasno sformułowana, — idea któ-

by streszczała w sobie aspiracje polityczne ludu miejskiego, w ciągu lat wielu jednoczyła go w zwartej a celowo działającej gromadzie i skłoniła go do systematycznej działalności w celu ukrócenia praw możnowładczych.

Dlatego zatrzymamy się jeszcze nad jednem wydarzeniem, ale wydarzeniem, które jest opromienione taką ideą, t. j. jasnem sformułowaniem pragnień, jasnem wypowiedzeniem zmian, których należałoby dokonać w ustroju istniejącym.

Bierzemy dzień 12 lipca 1789 r. w Paryżu.

Jest to chwila, w której ważą się losy Zgromadzenia Narodowego. Dwór w Wersalu ściąga wojska, ażeby rozegnać to ciało nieposłuszne, albo przenieść je zdala od wpływów Paryża na prowincję. Paryż cały jest poruszony. Wszyscy rozumieją, że trzeba odważyć się na krok stanowczy. Ogród Palais Royal zwłaszcza jest widownią ożywionej wymiany zdań. Dnia 12 lipca zabiera tam głos Kamil Desmoulins, jędrna mowa jego elektryzuje tłumy, które podniecone wylewają się po jego przemówieniu na ulice Paryża z okrzykiem: Aux armes! Miasto się zbroi, a w dwa dni później Bastylja będzie zburzona.

Tak wygląda zasadniczy wątek zdarzeń.

Ale w nim tkwią nitki róznobarwne.

Oto Desmoulins głos zabiera, ażeby mową swoją zespolić serca i pchnąć ludzi do czynu jednolitego, tych ludzi, którzy rozstrzeleni na gromadki, po całym ogrodzie rozprawiali, ale nie mieli jasnego planu działań.

Pierwsze słowa mowy jego przykuwają uwagę powszechną: gromadki skupiają się, oczy wszystkich zwracają się ku mówcy. Jego entuzjazm, giesty niecą namiętność w sercach słuchaczy, a to podniecenie im udzielone odbija się od tłumu spotęgowane i powrotną falą uderza w Desmoulinsa, zapala go jeszcze bardziej i w takiem wzmożeniu płynie znów ku słuchaczom. Takie same prądy — wymiany emocji — rodzą się pomiędzy zgromadzonymi. Zaczyna się oddziaływanie wzajemne, które ujednostajnia duchy, pomiędzy niemi stwarza nastrój powszechny, jednolity w coraz większem napięciu, aż wkońcu gromada, jak mąż jeden, rzuci się do wyjścia wśród okrzyków do zbrojenia się.

Ale w gromadzie pomimo pozornej jednolitości istnieją

różnice uwydatniające się bądź w samym rozwoju nastroju, bądź występujące w działalności, która wywiązała się w następstwie podniecenia. Jedni odrazu uchwycili cel, dokąd zmierza mówca, inni zrozumieli go po dłuższym czasie. Gdybyśmy jednych i drugich poddali doświadczeniom w pracowni psychologicznej, to okazałoby się prawdopodobnie, iż pierwsi odznaczają się szybką reakcją na podnietę, drudzy zaś o wiele powolniejszą. To znowu ujrzelibyśmy, jak na czele wylewającej się z ogrodu gromady stanęły pewne osoby, i jak w ciągu dni następnych spełniają to samo zadanie, a więc podniecają innych, krzewią entuzjazm, ale podczas szturmu Bastylji znikają, nie dlatego ażeby im zabrakło odwagi, lecz ponieważ tam trzeba trzeźwego sądu i innych uzdolnień, których nie mają. Byli doboszami, ale nie szeregowcami! Odkrylibyśmy napewno jeszcze inne różnice pomiędzy uczestnikami. A po nad niemi wszystkiemi góruje postać Desmoulinsa — on jeden z pośród kilku tysięcy znalazł właściwe rozwiązanie. Zgóry można wnioskować, iż wielu przymiotami wyróżniać się będzie od innych: odwagą, entuzjazmem, zmysłem praktycznym.

Ale w zdarzeniu tylko co odtworzonem mamy do czynienia nie tylko z tą sprawą, w jaki sposób mówca wygrywa na tak złożonym instrumencie, jakim jest wielotysięczna gromada głów ludzkich, dla czego Desmoulins, nie zaś kto inny jest tym wirtuozem, który wydobędzie z niego tony pożądane, czemu tak odmiennego zabarwienia oddźwięki wydostają się z pojedyńczych ogniw tego ciała zbiorowego, wreszcie jak te tak różne typy zleją się w chór jeden, różnobarwny, ale harmonijny. Nasuwa się jeszcze inne zagadnienie, nie nastręczające się przy rozbiorze bezładnego zbiegowiska na ulicach Paryża, ani nie występujące w odruchu mieszczaństwa krakowskiego. Jest to idea, ku której obronie Desmoulins zachęca uczestników, idea, która niebawem doczeka się swego sformułowania w Deklaracji praw człowieka.

Skąd się wzięła w życiu dziejowem Francji i czemu ma moc taką, iż zdolna jest zagrzewać do czynu serca ludzkie? Wszakże przed laty kilkuset wcześniej, a nawet bodaj w początkach w. XVIII w Paryżu nie poruszyłaby umysłów, innemi słowy byłaby niezrozumiałą dla tłumów. A więc nastręcza się kwestja: czemu hasła równości wobec prawa,

wolności osobistej i inne ukazały się dopiero ku schyłkowi w. XVIII i posiadły naówczas wpływy takie, iż przekształciły ustrój społeczny Francji? Innemi słowy, winniśmy wyjaśnić sprawę rodowodów tej idei. A zagadnienie to wprowadza nas do jądra istoty rozwoju społecznego. Każda instytucja społeczna, w jakiejkolwiek postaci istniejąca, jest niczem innem, tylko ideą, która ze słowa stała się ciałem, z hasła zamieniła się w trwałe urządzenie. Formy własności i rządu, treść kodeksów cywilnych, stosunki małżeńskie i rodzinne, pojęcie o godności i honorze osobistym, zasady moralne, zanim obowiązywać zaczęły, musiały terminować czas jakiś jako idea, wywalczająca sobie dopiero prawo obywatelstwa. Zagadnienie o rodowodach idei jest jednocześnie sprawą o początku instytucyj społecznych.

Słowem, rozbiór zdarzeń, któremi się zaprzątaliśmy, uwydatnił przed nami trzy odmienne strony życia społecznego.

Przedewszystkiem mamy tam kategorję zasadniczą: i d e ę, która wytyka sobie cele natury społecznej. Nie wszystkie wypadki w życiu społeczeństwa odbywają się pod jej przewodnictwem, t. j. z zamiarem dopięcia wyraźnie sformułowanego celu: zmiany istniejących urządzeń lub ich utrzymania. Zbiegowisku np., które utworzyło się dokoła rzekomego truciciela w Paryżu, nie przyświecała taka myśl społeczna. Jest także nieobecna w odruchu krakowskim, acz istnieją tam warunki, które powołują do życia takie ideje. Tymczasem ruch społeczny, który winien zaważyć na szali dziejów, nie zdoła obejść się bez takiego wyraźnie sformułowanego hasła. Nastręcza się w tym razie mnóstwo pytań: dlaczego w określonem miejscu i czasie ideje kierownicze mają treść ściśle wytkniętą, nie zaś jakąś inną, czemu określonej treści ideje zjawiają się na podłożu już istniejących określonego rodzaju urządzeń, t. j. innych idei już urzeczywistnionych, w końcu czemu ideje (lub instytucje, co na jedno wychodzi) ukazują się po sobie w określonem następstwie. Rozważając te zagadnienia, tem samem poszukujemy sprężyny zasadniczej która pchała ewolucję społeczną po drodze przekształceń, Kwestje te tworzą przedmiot s o c j o l o g j i.

Każda idea, zarówno ta, która dąży do zmian w społeczeństwie, jako też inna, nie zakładająca sobie celów reformy,

jak chociażby moda nowego fasonu kapeluszy, zanim zwycięży lub zginie, ściera się z innemi, walczy o panowanie nad umysłami i zamienia ludzi w szeregowców wielkiego zastępu bojowego, którzyby dla jej urzeczywistnienia ponieśli ofiary. Niekiedy działa na gromadę, zgromadzoną w tem samem miejscu, to znowu na osoby, rozproszone współcześnie w przestrzeni lub w różnym czasie—za pomocą słowa żywego, pamfletu lub dzieła filozoficznego, tworów rzeźby lub pędzla. Mechanizm rozpowszechniania się idei, acz w zasadniczych rysach zawsze jednaki, może przybierać różny wyraz w poszczególnych wypadkach konkretnych. Studja, mające do czynienia z tym mechanizmem szerzenia się w społeczeństwie idei, uczucia lub prostej emocji, należą do działu psychologji życia gromadnego.

W końcu, w zjawisku społecznem mamy jeszcze jedną stronę. Ta sama idea dosięga Gawła i Pawła, a chociaż obaj znajdują się w tem samem położeniu, przecież odmiennie odpowiadają na tę samą podnietę. Pobudka wzrusza ludzi nie jednakowo, podobnież jak to samo ziarno, rzucone do gleby odmiennej, wydaje nie jednakiej wartości plony. Pytanie: czemu osoby, przebywające w tych samych warunkach, reagują w sposób odmienny na podniety, stanowi zakres antropologji społecznej (że użyjemy tego niezbyt szczęśliwego wyrażenia).

Z tego cośmy powiedzieli dotychczas wychodzi, że idea jest zasadniczym czynnikiem rozwoju społecznego, bo psychologja objawów zbiorowych zaprząta się jedynie techniką jej rozpowszechniania, bo antropologja zajmuje się naturą narzędzi postępu lub uwstecznienia, t. j. osób, będących rzecznikami idei i uczestnikami czynu. Wrażenie to jest zupełnie słuszne, — w tem znaczeniu, że z pośród rozpatrzonych powyżej czynników jedynie idea jest żywiołem, zapładniającym dzieje. Dopóki będziemy rozpatrywali strony psychologiczną i antropologiczną zjawiska społecznego, możemy przyjąć to założenie za nić przewodnią. Dopiero poddając rozbiorowi rodowód samej idei, ujrzymy, iż istnieje sprężyna rozwojowa jeszcze bardziej zasadnicza, i że idea w ewolucji społecznej jest objawem wtórnym, t. j. pochodnym.

IDEA A ŻYCIE.

I.

PARĘ SŁÓW WSTĘPNYCH.

(1888).

Tomasz Münzer — to jedna z najtragiczniejszych postaci z okresu reformacji.

Utopista, marzący o Królestwie tysiąclecia, obdarzony wrzącą wymową i niepospolitemi zdolnościami, wystąpił, jako szermierz ludu, przeciwko filisterstwu społecznemu Lutra, czerpiąc z pisma świętego ideały braterstwa i równości, wśród których nie byłoby miejsca dla kontrastu pomiędzy próżnującym bogaczem a zgłodniałym pracownikiem. Lecz gdy splot wypadków postawił go na czele opozycji miejskiej, zamiast wcielania w życie swego ideału, przeprowadza reformy przeciwko partykularyzmowi, co gnieździł się był w Niemczech ówczesnych i w każdym grodzie utrzymywał odmienne monety, wagi i miary; walczył więc jedynie o zniesienie pęt, tamujących rozwój handlu, a lubo zawsze stał na gruncie krańcowych na swe czasy żądań, jednak wszystkie jego reformy zmierzały nie w kierunku równości ewangielicznej i unicestwienia przepaści społecznych, ale miały na widoku interesy zamożnego mieszczaństwa.

Cóż to oznacza?

Czyżby Münzer zaprzedał się? zapomniał o tem, co niegdyś głosił?

Nie! Śmiercią stwierdził hart swych przekonań, atoli wyniesiony biegiem okoliczności na praktyczne przodownictwo, dla niedojrzałości interesów społecznych, które mogłyby zrozumieć hasła jego i przejąć się niemi, z niedostatku warunków, umożebniających mu wcielenie jego ideałów, a przytem nie chcąc pozostać obojętnym widzem, czynił nie to, co winien był swojej idei, lecz co nakazywały tendencje społeczne, dojrzałe do zapanowania w społeczeństwie. Rozwój historyczny nie wytworzył był jeszcze warstwy, któraby pojęła krytyczną myśl Münzerowską i dzięki swej przewadze liczebnej zdołała ją ucieleśnić. Nasz marzyciel, łaknąc ruchu żywego, musiał stanąć na gruncie rozwiniętych już a dojrzałych do zabrania głosu warstw kupiecko-majstrowskich.

Taka tragikomedja powtarza się w dziejach bez przerwy. Wciąż oglądamy rozdźwięk pomiędzy teorją a praktyką, ideą a czynami.

„Patrzcie“, wołają na to ciżby, złorzeczące każdemu śmiałkowi, który odważy się zamącić im słodkie chwile wczasów, „patrzcie, wszak mówiliśmy, że jego projekty są bańkami mydlanemi, pełnemi złudnych a świecących barw, lecz krótkiego istnienia. Sam się przekonał, bo mając możność, czyni co innego niż obiecywał“.

Już nie szyderstwem, ale nienawiścią wita się innych, którzy, nie mogąc nagiąć swej natury do postępowania niezgodnego z wyrytemi w umyśle ideami, z braku elastyczności rozbili głowę o mur stosunków społecznych, zbyt jeszcze krzepkich na ich czasy. Ich zguba przejmuje uciechą śmiertelników, gardłujących za uwiecznieniem tego, co widzą przed sobą. „Jedynie stargacie siły w pogoni za mrzonkami; dlatego przestańcie trwać w tem opacznem rozumieniu, iż potraficie urządzić należycie sprawy społeczne. Uczynicie daleko lepiej, jeśli, nie wtrącając się w grę naturalną sił społecznych, pozostawicie wszystko wolnemu i nieskrępowanemu biegowi“. W przyrodzie społecznej wynaleźli nawet siły, które uleczą wszelkie niedomagania, byleby człowiek, owa istota, nad którą rozwój społeczny dokonywa swych eksperymentów, wyczekiwał bezczynnie, pogrążony w sferze spraw i interesów wyłącznie indywidualnych. Bo w innym wypadku, skoro cokolwiek wychyli się poza nią i poruszy chociażby palcem w dziedzinie sprawy publicznej, nadwyręży działanie

owych potęg dobroczynnych i przyprawi społeczność o niepotrzebne zamieszanie. „Wszystko zmierza ku lepszemu w tym najlepszym z najlepszych światów!“

Dla ludzi tego pokroju wszelka teraźniejszość jest pełną doskonałości, wszelkie szemranie — ciężkiem przestępstwem, chylenie karku i oportunizm—najwyższą zaletą i świadectwem dojrzałości umysłowej. Nikt chyba nie uchwycił tego typu lepiej nad Woltera. Czy przypominacie sobie wiekopomnego mistrza Panglosa, tego optymistę od stóp do głowy? Musiał zmykać z zamku swego chlebodawcy przed najazdem Bulgarów, syfilis wyżarł mu nos, inkwizycja wychłostała go co się zowie; wiosłował przykuty do galer otomańskich i przeszedł przez piekło doświadczeń, prób i cierpień. I cóż? Oto filozofuje, że wszysiko to było, co być mogło najlepszego, gdyż w następstwie tych przejść wywiązał się dzień dzisiejszy, w którym może spożywać poziomki i kopać grządki w ogrodzie, — i z oburzeniem spogląda na wszelkie niezadowolenie. Jednak zachodzi niejaka różnica pomiędzy mistrzem Panglosem a tegoczesnymi filozofami optymistami. On opiewał chłosty, które był odczuł na własnym karku, ci zaś swemi wywodami chcieliby utrzymać plagi, pod któremi jęczy 80% ludzkości, albowiem wychwalanie teraźniejszości i wykazywanie bezsilności ludzkiej sprowadza się do żądania, ażeby wszystko pozostało w obecnym stanie, w którym panowie filozofowie są zwolnieni od mozołów i spożywają kęski co najwybrańsze.

Wobec usypiających i zniedołężniających teorji, a niekiedy kuglarstw panów optymistów dnia dzisiejszego, raczących spoglądać z olimpijskim spokojem na wszystko, co wybiega poza sprawy indywidualno-prywatne; wobec prowadzących ku bezużytecznym miotaniom się nawoływań tych znowu, którzy w społeczeństwie widzą lepkie ciasto i mniemają, że nad niem można uskuteczniać z powodzeniem wszelkie doświadczenia, byleby umiejętnie zabrać się do rzeczy, nie potrzebujemy przekonywać, że jedynem prawidłowem rozwiązaniem kwestji jest wyrobienie sobie rzetelnego sądu o naturze społeczności. Czem jest społeczeństwo? czy harmonijnie a ewolucyjnie rozwijającym się organizmem, w którym każda część składowa splata się zgodnie z wszelką inną, czy też zbiorowiskiem antagonizmów, które dopełniają rozwoju wśród

bezustannego starcia, w drodze kataklizmów? a jeśli to drugie przypuszczenie jest trafne, na czem zasadzają się te zapasy, czy na walce żywiołów rasowych lub na jakiejś innej? Następnie, pod wpływem jakich to czynników wywiązuje się postęp społeczny? i czemu ustaje? Czyż społeczeństwo istotnie przedstawia jedynie prostą tożsamość z osobnikiem biologicznym, zatem posiada dziecięce i młodzieńcze lata, i wiek zmężniały, aż w końcu ze starości chyli się do upadku i znika zupełnie z areny dziejowej? W końcu nasuwa się jeszcze jedno zagadnienie, które można nazwać alfą i omegą praktyki społecznej, mianowicie: azali człowiek jest w mocy naginania rozwoju społecznego do swojej woli i skoro może nań wpływać, tedy w jakim zakresie?

Z tego, cośmy rzekli, czytelnik pojmie, że zgoła nie jesteśmy zwolennikami panów filozofów, doradzających wobec spraw publicznych bezczynne siedzenie, z założonemi rękami. Teraźniejszość nas nie tylko nie zadawala, lecz przejmuje jak największą odrazą. Zarysy przyszłości, która nie będzie znała tegoczesnej pogoni za wyzyskiem, ani współubiegania wzajemnego o palmę pierwszeństwa na widowni najbrudniejszych chuci samolubstwa, która unicestwi wydziedziczenie tłumów od postępów cywilizacji i zniesie naiwne płody umysłowej działalności pierwotnego człowieka, która wyrwie ludzkość cywilizowaną z pod panowania nad nią jej własnych wytworów materjalnych, zarysy tej przyszłości występują przed nami w jasnej barwie, jako konieczne następstwo dążności, zradzanych i potęgowanych przez dzisiejszą fazę ewolucji społecznej. Wprawdzie zdrowy chłopski rozum, będący zresztą obecnie przedewszystkiem rozumem mieszczańskim, sądzi, że ludzkość dobiegła kresu rozwoju w dzisiejszej więzi społecznej. Ale ów zdrowy rozsądek, tak stary, jak głupota ludzka, nigdy nie zdołał pojąć tego, co wymyka się poza ramy dotychczasowe. Swego czasu nie mógł zrozumieć, jako ziemia jest okrągła. Lange, autor „Filozofji materjalistycznej“ [1]), skreślił dosadnie wartość filisterstwa społecznego w porównaniu z marzycielstwem przyszłości. „O jednem należałoby zawsze pamiętać, iż z pośród takich urojeń najidjotyczniejsze jest uwiecznianie stosunków tegoczesnych. Mrzonka filistra,

[1]) Mill's Ansichten, 8.

który o stałości ustroju porządku obecnego wnioskuje z prawidłowości, z jaką codziennie wśród potraw obiadowych znajduje zupę, jest płodem biernej bezmyślności, wówczas gdy rojenia Platonów, Morusów i t. d. są wywołane przez myśl, nieustającą w ludzkości i, chociaż nie dosięgają całkowitego urzeczywistnienia, nie zostają przecież bez wpływu na przebieg historji". Ubóstwianie rzeczywistości, której zresztą się nie pojmuje, jest dla tłuszczy jedynie bezwładną tamą przeciw napływowi idej, targających słodki spokój senny i psujących apetyt. Atoli, ceniąc te usiłowania, uświadamiamy sobie z drugiej strony całą oporność rzeczy społecznej na wpływy jednostek i zależność powodzenia od dojrzałości warunków materjalnych. Będzie nam szło więc o wykazaniej, chociażby ogólnikowe, w jakich granicach osobistość pojedyńcza może wpływać skutecznie na ewolucję społeczną.

II.

RODOWÓD IDEI SPOŁECZNYCH [1]).

(Rozwój społeczny Europy Zachodniej).

(1899).

Strumyk, który podczas ulewy powstał na drożynie wiejskiej, żłobi łożysko swoje każdorazowo w kierunku największego spadku, według tych samych zasad, jakie rządziły tworzeniem się koryta olbrzymiej Amazonki.

Drobne zmiany, które z dnia na dzień nastają w organiźmie zwierząt domowych i uprawianych roślin, dostarczają nam klucza do zrozumienia zasad, które w ciągu wieków działając, przywodziły przerództwu gatunków.

Innemi słowy, przyroda, nawet w podrzędnym swoim przebiegu, posługuje się temi samemi środkami i ujawnia te same sprężyny sprawcze, które działają podczas kształtowania się wielkich wątków rozwoju. A sfera zjawisk społecznych bynajmniej nie uchyla się od tej zasady. Rozbiór dziejów Łodzi, od czasów gdy była drobną mieściną, aż do chwili kiedy dzięki swemu wzrostowi stargała tradycje admi-

[1]) Rzecz drukowana w książce zbiorowej dla uczczenia 25-letniej działalności Aleksandra Świętochowskiego „Prawda", Lwów—Petersburg 1899, str. 258—278.

nistracyjne i stała się stolicą województwa, na plan dalszy spychając Piotrków i Kalisz, odsłania przed nami wszystkie te czynniki i wszystkie przeciwstawności, które odnajdujemy, badając wielkie sprawy rozwoju dziejowego. Cała rzecz, iż czynniki te i przeciwstawności w stosunku do Łodzi nie zarysowują się z taką wyrazistością, jak w wielkich wątkach rozwoju społecznego. Dlatego, chcąc poddać rozbiorowi tę stronę życia dziejowego, zatrzymamy się nad rozleglejszej natury zdarzeniem — nad reformą prawa wyborczego angielskiego w r. 1832, która uchyliła przywileje wyborcze „zgniłych mieścin".

* * *

Wielkie ogniska handlu i przemysłu angielskiego w początkach wieku XIX, więc taki Liverpool, Manchester, Birmingham, były o parę wieków wcześniej osiedlami nie mającemi większego znaczenia, a nawet niektóre z nich niemal nie istniały, np. Liverpool w r. 1750 liczył zaledwie 19 mieszkańców. Rozrost tych dawnych nicości społecznych odbywał się wśród pobudek i celów natury prywatnej: ktoś zakładał był tam swój warsztat, ktoś inny imał się handlu, otwierał kantor, budował dom. Miasto, nadzieją łatwiejszych zarobków, ściągało coraz nowych mieszkańców i zwolna powiększało swoje rozmiary. A każde powiększenie ludności przyspieszało wzrost dalszej pomyślności przemysłowej i handlowej. Na przestrzeni Anglji wyrastały nowe ogniska życia, coraz bardziej rzutkie, coraz ruchliwsze. Natomiast dawne grody, ongi wpływowe i zamożne, podupadały. A podupadały skutkiem działania pobudek tej samej natury, tj. żywiołowego parcia interesów prywatnych: ludność, pozbawiona zarobków, wynosiła się do miejscowości, które urastały w działalność przemysłową, w liczbę obrotów handlowych. Zachodziły zwolna zmiany na przestrzeni całego kraju — w rozmieszczeniu gościńców, ludności i osiedli, wytwórczości i handlu, zamożności i przedsiębiorczości, słowem potęg wytwórczych: środek ciężkości gospodarczej narodu sadowił się gdzieindziej, poza miejscami, w których tkwił dotychczas. A cały ów rozwój odbywał się żywiołowo — w tem znaczeniu iż uczestnicy jego nie zastanawiali się nad skutkami działalności swojej ogólno-społecznemi, które wystąpią na jaw, i skoro te

drobne zmiany, zachodzące w napięciu i rozmieszczeniu potęg wytwórczych, pod względem ilościowym dosięgną poważniejszych rozmiarów. Krzątaniu się temu, które wyludniało jedne okolice kraju, przekształcało zaś inne w ogniska przemysłu i uposażało je w ludne miasta, nie przyświecały żadne cele społeczne. Może stosowniej należałoby powiedzieć: żadne objawy świadomości, skierowanej do celów społecznych. Pogoń za zarobkiem, tj. świadomość skierowana do celów interesu osobistego, prywatnego, była jedyną sprężyną działalności ludzkiej.

A jednak zmiany te i wogóle drobne przesunięcia w zakresie ludności, ognisk pracy, handlu, podążające żywiołowo, z biegiem czasu nadały Anglji zgoła inne oblicze.

W wieku XVI, a nawet w wieku XVII kraj był na całej swej przestrzeni zaludniony dość jednostajnie. Istniały miasta, lecz z wyjątkiem Londynu nie wyróżniały się ogromem swoim. Tymczasem wiek XVIII zaczyna stwarzać w kraju okręgi wiejskie i okręgi przemysłowe i daje początek wielkim miastom, wiek zaś XIX zarysował w całej pełni tę przeciwstawność pomiędzy poszczególnemi dzielnicami ziemi angielskiej. Na tym szczeblu i jako wynik tego zróżnicowania ukazują się w Anglji rozdźwięki dotychczas nieznane. Zmiany, które zaszły w sferze życia rzeczowej, materjalnej, rodzą z siebie wśród ludności nowe potrzeby i nowe aspiracje społeczno-polityczne. Między innemi wypływa hasło reformy wyborczej. Manchester i inne wielkie miasta albo nie mają dostępu do parlamentu, albo mają bardzo ograniczony, nie odpowiadający ich zaludnieniu i zamożności.

Rzecz to naturalna!

Obowiązująca w początkach w. XIX ustawa wyborcza powstała za czasów zgoła innego rozmieszczenia sił wytwórczych. A tymczasem od r. 1677 nie reformowano zasad reprezentacji miejskiej, ani też nie tknięto podstaw przedstawicielstwa, przysługującego hrabstwom. Konstytucja ta była ongi bardzo stosowna i odpowiadała staroczesnemu ukształtowaniu sił wytwórczych. A przynajmniej nie było tam silnego rozdźwięku pomiędzy rozmieszczeniem ludności i zamożności z jednej strony, a potrzebami politycznemi obywateli z drugiej. Ale życie, w pewnym okresie wypowiedziawszy w tej konstytucji wyborczej swoje potrzeby, potoczyło się

dalej w łożysku rozwoju, aż z biegiem czasu pomiędzy jego wymaganiami a literą prawa wyborczego powstała rażąca dysharmonja. Gdy więc niektóre nowoczesne ogniska przemysłu i handlu nie mają niekiedy ani jednego przedstawiciela w parlamencie, natomiast kilkudziesięciu zaściankom przysługuje to prawo: Winchelsea liczy (w r. 1784) tylko trzech wyborców; Old Sarum, mające zaledwie 5 chat, wysyła aż dwóch posłów. Było nawet miasteczko zatopione przez morze i pomimo to posiadające przedstawiciela w izbie gmin: właściciel przyległego brzegu w łódce odbywał komedję głosowania! Większość takich rotten boroughs należała do arystokracji rodowej, która faktycznie mianowała posłów i przeinaczała izbę gmin w komitet, dbający przedewszystkiem o interesy landlordów.

Skutkiem tego, siły wytwórcze, ześrodkowane w wielkich miastach, były w znacznej mierze odsunięte od zabierania głosu w parlamencie. To narażało na szwank dobrobyt materjalny nowych ognisk życia: na kapitalistów spadał nadmierny ciężar podatków, z powodu ceł na zboże musieli płacić robotnikom względnie wysokie zarobki i nie otrzymywali ze strony państwa takiego poparcia, jakiego doznaliby, gdyby obrońcy ich interesów zasiadali liczniej w izbie gmin. Pomiędzy istniejącą ustawą wyborczą a potrzebami i interesami przedstawicieli nowych sił wyborczych rozpoczyna się zatarg, który w miarę rozwoju nowych potęg materjalnych, a więc wielkich miast, jako ognisk przemysłu, staje się coraz ostrzejszym. W końcu dochodzi do jawnej walki. Hasła, z któremi wystąpią miasta, są z góry narzucone im przez naturę pierwiastków rzeczowych. Koła przemysłowe Manchesteru i Birminghamu będą domagały się przystosowania ustawy wyborczej do wymagań „życia", t. j. zażądają zniesienia przywilejów zgniłych mieścin i nadania prawa wyborczego ogniskom handlu i przemysłu. Na tem podłożu ukazuje się idea reformy wyborczej: jest ona sformułowaniem potrzeb ludności wielkich miast, hasłem, w którem streszczono wymagania polityczne przedstawicieli nowych sił wytwórczych.

Rozwój, póki ograniczał się tylko do sfer stosunków wytwórczych, odbywał się bez współudziału świadomości skierowanej na cele społeczne. Jedyną sprężyną była po-

budka czysto prywatna, a więc świadomość, zwrócona na sprawy prywatne, osobiste. Ci wszyscy, którzy swoją działalnością sprowadzali w społeczeństwie zmiany w rozmieszczeniu potęg produkcyjnych, ani przeczuwali, że z czasem, w następstwie ich zabiegów, ukażą się takie stosunki, które wydadzą na świat ideę reformy politycznej. Zmiany te odbywały się żywiołowo, człowiek w nich uczestniczył, nie stawiając celów społecznych, tylko prywatne. Zmiany ilościowe jednak, wzrósłszy w liczbie swojej i przekształciwszy naturę potęg wytwórczych, dały początek zmianom jakościowym, tak, iż zjawiły się nowe aspiracje prawno-polityczne. Zamiast okresu działalności społecznej żywiołowej nastaje okres działalności świadomej. Idea reformy wyborczej, sformułowana raz jeden, staje się najpotężniejszą dźwignią w walce przeciw istniejącej ustawie. Rozpowszechnia świadomość jeszcze nieuświadomionych, acz już życiem drgających interesów materjalnych. Jest hasłem, organizującem armję społeczną—„partję", która wystąpi przeciw konstytucji dotychczasowej. Wszczyna się agitacja, w której chodzi o rozpowszechnienie nowego hasła i o powiązanie jego rzeczników w solidarnie działającą gromadę. Idea użytkuje z samolubstwa klasowego i z popędów moralnych, odwołuje się do poczucia „sprawiedliwości" i do „logiki", oddziaływa na stronę emocjonalną obywateli.

Słowem, rozpatrzony przebieg społeczny możemy streścić jak następuje:

1. W łonie społeczeństwa, pod opieką istniejącego otoczenia, rozwijały się w sposób żywiołowy nowe stosunki materjalne. Sprawa obywa się bez wytkniętych z góry celów społecznych. Jest to okres pracy organicznej, przygotowawczej, zwolna gromadzącej w społeczeństwie różniczki nowego ukształtowania sił wytwórczych.

2. Na pewnym szczeblu rozwoju, gdy nagromadzone różniczki zcałkują się w nowe podłoże stosunków rzeczowych, powołane do życia nowe interesy prywatne napotykają, w pogoni za dobrobytem, przeszkody w istniejącej ustawie prawno-politycznej. Powstaje antagonizm nieświadomy pomiędzy przedstawicielami nowych sił wytwórczych a warstwami, których interesom służy owa ustawa prawno-polityczna — antagonizm instynktów i uczuć, aż wreszcie idea

formułująca aspiracje nowych sił wytwórczych, wieńczy swojem ukazaniem się to dzieło djalektyki społecznej. Idea ta ukazuje się w rozwoju społecznym jako zjawisko wtórne, pochodne, tj. na podkładzie już istniejących stosunków rzeczowych. W tem znaczeniu rozwój życia codziennego jest pierwiastkiem przewrotowym, idea zaś tylko sformułowaniem dążeń tego podłoża zasadniczego.

Nie idea to stwarza tendencje i prądy społeczne, lecz zjawia się jako wygłoszenie już istniejących potrzeb i tylko organizuje i skupia odpowiednie żywioły ludzkie.

3. Z ukazaniem się idei, rozwój żywiołowy przechodzi w walkę świadomą. Przedstawiciele interesów powołanych do życia przez nowe siły wytwórcze w społeczeństwie dochodzą do poznania warunków społecznych swojego dobrobytu. Idea staje się w tym okresie czynnikiem doniosłości pierwszorzędnej: nieświadome bełkotanie — że tak rzekniemy — instynktów i zawiści, interesów i potrzeb przechodzi w fazę mowy członkowanej.

Z temi uogólnieniami przejdziemy do rozbioru niektórych stron rozwoju dziejowego Europy średniowiecznej i nowożytnej.

* * *

Wzrost miast jest punktem wyjścia dla całego rozwoju dziejowego doby obecnej.

Swojem pojawieniem się w wieku VIII i następnych miasta zwiastują nowy okres w ustroju sił wytwórczych, prowadzą bowiem do oddzielenia rzemiosła od roli, do specjalizacji i, co zatem idzie, do doskonalenia techniki przetwórczej i do zwiększenia wydajności pracy. Ewolucja odbywa się zwolna, ale w sposób ciągły. „Jak przyroda, tak samo historja nie robi skoków, chyba, że jej bieg dozna przeszkód, — powiada Maurer we wstępie do Historji ustawy grodzkiej. W naturze wszystko rozwija się samorzutnie z zalążka. Miasta powstawały tak samo, tj. samoistnie a żywiołowo, z pewnego zarodka".

Zarodkiem tym była ustawa gminna.

Organizacja gminy, przynajmniej w Niemczech, polegała częściowo na zasadach, jakiemi jeszcze dzisiaj rządzi się pospólność wioskowa wielkoruska. Grunty były wprawdzie

podzielone pomiędzy włościan, ale gospodarz nie miał prawa bezwzględnego rozporządzania uprawianym kawałkiem ziemi. Nie mógł odprzedać zagonu bez przyzwolenia sąsiadów, ani uprawiać dowolnie swojej ziemi, gmina bowiem użytkowała z ogółu łanów po żniwach jako wygonów dla bydła i wymagała, ażeby wszyscy zasiewali to samo zboże na tem samem polu i sprzątali je jednocześnie. (W wielu gminach istniał nawet perjodyczny podział przestrzeni ornej). Łąki i paśniki znajdowały się w pospólnem użytkowaniu. Nawet w okresie późniejszym, gdy gospodarstwo wymienne spotężniało, członkom gminy nie wolno było wywozić na zewnątrz, bez zezwolenia innych uczątników, drzew i węgli, siana i słomy, ryb i raków. Przedmioty wyrobione w obrębie gminy, np. olej i pługi, garnki lub powrozy, wytwórca uprzednio wystawiał na sprzedaż na rynku wioskowym, i dopiero, gdy nie zjawiał się nabywca miejscowy, mógł wywieźć je poza granice gminy. Lecz każdy uczątnik gminy nawet wtedy mógł dogonić kupca i o ile ten pozostawał jeszcze w obrębie posiadłości gminnej, zwrócić kwotę zapłaconą. Taka ustawa wioskowa pociągała konieczność istnienia organizacji zarządzającej: ogół uczątników na ogólnem zgromadzeniu ustalał sposoby użytkowania z podzielonej i pospólnej przestrzeni, wyznaczał liczbę sztuk bydła, którą każdy z gospodarzy wysyłał na paśniki, określał terminy orki, siejby i żniw, umawiał się z najemnikami wioskowymi (gajowymi, pasterzami itd.).

Z takiego właśnie zalążka tworzą się miasta.

Stare pogańskie grody i gródki, rządzące się zasadami gminnemi, stawały się siedzibą dworów biskupich lub fundacji klasztornych i zamieniały się zwolna w miasta; z obozów i folwarków książąt powstawały osiedla tego samego charakteru; wzrastały w zamożności sioła przy zbiegu dróg naturalnych. Rozwój owych osiedli odbywa się na podłożu ustawy gminnej. W spadku po niej pozostał „mir", tj. zgromadzenie obywateli-rolników, naradzające się nad użytkowaniem z gruntów i spełniające obowiązki władzy policyjno-administracyjnej i sądowej. W miarę wzrostu osiedla czynności organów publicznych stają się coraz liczniejszemi i różnorodniejszemi. Ale te obowiązki zarządu ciążą z konieczności na organizacji, którą tworzące się miasto otrzymało w puściźnie po dawnej

wiosce — właśnie na owym „mirze". Nawet nie mogło być inaczej. Przecież obywatelem był człek siedzący na ziemi dziadów — „dziedzic", przybysz zaś był człowiekiem obcym, tj. nienależącym do korporacji wioskowej, do której wchodziło się przez ojców i dziadów!

Taki przybysz, osiadając na obczyźnie, potrzebował opiekuna i zostawał klijentem rolnika, na którego gruntach był ulokował się. Jest to okres, kiedy grunty nie są jeszcze towarem, tj. przedmiotem sprzedaży i kupna, przychodnie są ubodzy i nieliczni, ustawa zaś miejska nieprzygotowana na pomieszczenie nieobywateli. Dopiero później, gdy żywioł napływowy wzrośnie w liczbę, zależność osobista od patrona przejdzie w nieosobistą — od miasta. Ale jeszcze i wtedy nie przypuszczają „cudzoziemców" do obywatelstwa. Nastąpi to dopiero naówczas, kiedy przybysze posiądą zamożność wraz z poczuciem interesu stanowego, tj. z luźnej, podrzędnej grupy w mieście staną się przedstawicielami panujących tam sił wytwórczych, jakiemi będzie przedewszystkiem rzemiosło. Z napływem tych pierwiastków obcych, obok gminy pierwotnej, rolnej, z biegiem czasu przekształcającej się w organizację zarządu municypalnego, tworzą się nowe więzie, w początku mające charakter wyłącznie prywatny: cechy i gildje.

Na tym szczeblu rozwoju ujawnia się antagonizm pomiędzy rodami dawnych rolników, dzisiaj zaś patrycjatem, który piastuje władzę w mieście na mocy swego pochodzenia, a plebejuszami, tj. rzemieślnikami, którzy wyszli z pośród żywiołu napływowego.

Przywileje polityczne rodów starodawnych były w mieście zjawiskiem normalnem, dopóty, póki źródłem utrzymania mieszkańców była uprawa gruntów i rolnicy przeważali liczebnie. Ale gdy cechy stały się ogniskiem zamożności, stosunki przybierają inny charakter. Co uchodziło ongi za rzecz naturalną, teraz w oczach rzemieślnika zaczyna zakrawać na krzywdę. Patrycjat, pochodzący od dawnych rolników, był swobodny od ciężarów miejskich, pomiatał gminem, marnotrawił fundusze miasta, frymarczył wymiarem sprawiedliwości. „Niema końca podatkom, narzekają cechy; niewiadomo gdzie podziewa się złoto i inne mienie, bo długi nietylko nie zmniejszają się, lecz owszem jeszcze rosną!"

Antagonizm potężnieje. Głucha nienawiść zaczyna fermentować śród plebejuszów, a z biegiem czasu sarkanie przechodzi w sformułowane aspiracje polityczne: równych praw w mieście. W epoce wojen krzyżowych walki pomiędzy patrycjatem a plebejuszami są w miastach nad Renem zjawiskiem codziennem: ród któryś swoją butą obraził „hołotę", sądy wydały wyrok niesłuszny, a już cechy ciągną przeciw ratuszowi. Rzemieślnik, którego przodek był zadowolony, iż udzielono mu schronienia jako łazędze, domaga się teraz coraz natarczywiej nadania ustawie municypalnej charakteru demokratycznego. Historja rzeczypospolitych włoskich, municypalności niemieckich lub flandryjskich, polega właśnie na takim antagonizmie pomiędzy plebejatem a patrycjatem [1]). Wszędzie w tych miastach działają te same siły dziejowe, ale wynik bywa odmienny, stosownie do stosunku liczebnego walczących nawzajem interesów, dojrzałości uczestników walki, wreszcie otoczenia historycznego, wśród którego odbywały się zapasy: rody staromieszczańskie wyniosły się z niektórych miast zupełnie, albo rozpłynęły się w gminie cechowym, w innych patrycjat zatrzymał władzę, dopuszczając plebejuszów, zorganizowanych w cechy, tylko do udziału w radzie miejskiej, lub w końcu powstaje reprezentacja podwójna, rada wyższa składa się z przedstawicieli rodów, niższa — z cechów. Zdarza się, iż gdzieindziej rody tworzą cech własny, Richerzech, Hausgenossenschaft, równoprawny z innemi cechami: miasto otrzymuje organizację cechową, każdy zawód ma określone prawa w zarządzie miejskim, własne urzędy sądowe i nawet wojskowe.

Rozwój rzemiosł i handlu oddziałał nietylko na to, kto ma wodzić rej w zarządzie i wogóle w grodzie, ale także na całą atmosferę społeczną, unoszącą się nad miastem. Nasze obecne instytucje i poglądy prawne, nawet niektóre zasady moralne i upodobania artystyczne zrodziły się w powstających miastach, pod wpływem rozwoju nowych sił wytwór-

[1]) Pokrewne warunki stworzyły takie same zawikłania w Starożytności. Atoli podkład w Grecji i Rzymie był inny — plebejusze byli nie przedstawicielami nowych sił wytwórczych, lecz współzawodnikami patrycjuszów, przez zdobycie praw politycznych usiłującymi zabrać część łupu, pobieranego przez optymatów z pracy niewolników.

czych. „Winniśmy patrzeć na miasta, jako na zwiastunów dzisiejszego porządku rzeczy!" (Maurer).

Ustawa gminna nie sprzyjała swobodnej grze potęg wytwórczych, które z biegiem czasu powstają wśród murów miasta. A zatem wzrostowi handlu i przemysłu towarzyszy przewrót w całej prawnej organizacji dawnej marki: ze stowarzyszenia germańskiego, opartego na zasadzie urodzenia, przekształca się w wolną korporację — ktoś staje się jej członkiem nie przez posiadanie kawałka gruntu na jej terytorjum, ale w następstwie zapisania swojej osoby w urzędzie municypalnym.

I o wolności handlu nie było ongi mowy. Gminy (pospólności) rolne ani zamek dostojników feodalnych nie znały jej, tak samo jak nie tolerowały wolności osobistej. Każdy musiał być czyimś lennikiem, jeśli nie chciał mieć wszystkich przeciw sobie.

Targi, powstające w grodach, są retortą, w której tworzą się stosunki, oparte na pojęciu o swobodzie czynów — sprzedawca, względnie nabywca muszą mieć zupełną niezależność ruchów, o ile rzecz dotyczy towaru. Ze wzrostem miasta coraz szersze koła, porwane przez wir miejski wymiany i zarobków, potrzebują takiej swobody ruchów, nawet gdy chodzi o inne sfery życia. Zjawia się coraz obficiej majątek, będący osobistym czyimś dorobkiem; ci zaś, którzy swoją zabiegliwością doszli do grosza, rozporządzają dowolnie takiem mieniem, — nie tak jak w gminie, w której dziedziczeniem ziemi, jedynego bogactwa, rządziła zasada gminna, później zaś zwyczaj. Testament, powstawszy wśród kupiectwa, za przyzwoleniem pana staje się udziałem rzemieślnika, później zaś wszystkich obywateli grodu.

Kupcy, jako ludzie wolni, podlegali od początku sądom publicznym, cesarskim. Z biegiem czasu z konieczności rozszerzono ów przywilej na całe miasto podczas targów i jarmarków, aż w końcu te sądy stały się instytucją trwałą, powszechną. Gród składa się pierwotnie z przedstawicieli wielu grup, z których każda posiadała odmienną jurysdykcję: wolni członkowie gminy byli pod prawem krajowem, rzemieślnicy pod dworskiem, lennicy pod dworskiem i służbowem, wszyscy zaś pod marchialnem. Sąd cesarski, stworzony na użytek kupców podczas targów, ruguje powoli

współzawodniczące z nim instytucje sądowe i staje się punktem wyjścia dla dalszych zmian, które powstają w miarę potrzeby. Zniesienie władzy pańskiej, oraz konieczność utrzymania porządku w mieście dostarczają pobudki do wydawania przepisów karnych i prowadzą do udoskonalenia dochodzenia; dawne sądy boże wychodzą ze zwyczaju i ukazuje się instytucja, będąca zarodkiem sądownictwa dzisiejszego.

Swoboda, panująca na rynku, nie mogła rozwijać się, spętana zwyczajami marki i poddaństwa, spólności rodowej i ograniczeń działalności osobistej. Wraz z rozrostem wymiany i rozpowszechnianiem się „prawa kupieckiego" nastaje więc uruchomienie gruntów, tembardziej zaś towarów; ukazuje się wolność osobista, odmienna od arystokratycznej, stanowiącej zasadniczy rys gminnowładztwa rodowego, dziewczęta są dopuszczone do udziału w spadkach, zamiast dawnej odrębności zjawia się wspólność majątkowa małżonków. Nowa ta atmosfera pojęć i zwyczajów tworzyła się zwolna. Miasta działały po omacku. Na podstawie wskazówek empirji codziennej formułowały swoje potrzeby i otrzymywały sankcję na nowe prawa, uzyskując na to nadania książąt. Dokumenta takie już w wiekach XII i XIII służą za podstawę życia grodzkiego. Przywileje dotyczą wolności sprzedaży i kupna, prawa robienia testamentów lub zawierania związków małżeńskich. Rozwój stwarza nieustające zatargi pomiędzy dawnym zwyczajem a „duchem czasu" — powstaje nieokrzesana naprzód, później coraz subtelniejsza kazuistyka co do różnicy pomiędzy mieniem ruchomem a nieruchomem, zapracowanem a odziedziczonem, lub co do zwyczaju wyznaczania opiekunów, przypuszczenia kobiet do spadku. Doskonali się prawo osobiste i nowe rodzinne, rzeczowe i spadkowe. Odkrycie pomników prawa rzymskiego (w Niemczech w wiekach XV i XVI) znakomicie ułatwia zapanowanie nowego porządku rzeczy. Tem to tłómaczy się ówczesne takie szybkie rozpowszechnienie puścizny prawnej po starożytnym Rzymie — w sposób jędrny Rzym był sformułował to, ku czemu parło życie średniowieczne w miastach przez pasmo odruchowych, sporadycznych doświadczeń. Prawo to swoją powagą mądrości wiekowej przyczyniło się do rychlejszego usunięcia przeszkód, które w nieobecności takiej powagi dawny zwyczaj uporczywiej stawiałby rozwijającemu się nowemu ustrojowi rzeczy.

W gwarze miejskim rodzą się i nowe poglądy etyczne. Rozwój handlu stwarza zasady moralne, których dawny barbarzyniec nie znał: solidarność gminna potępiała nawet umiarkowaną „lichwę" (pożyczkę na procent), kościół zaś ją wprost wyklinał. Pod działaniem nowych stosunków lichwa staje się instytucją powszechną, „moralną". Natomiast rozbój, owo źródło dochodów i honorów podczas barbarzyństwa, zostaje po raz pierwszy w dziejach napiętnowany jak na to zasługuje. Żywioły miejskie przeciwstawiają mu dorobek, zdobyty własną pracą i oszczędnością. Wraz z tem liczykrupstwo i inne przywary uchodzić zaczynają w grodach za zalety. Kampanja w obronie utylitaryzmu indywidualnego, samopomocy, oszczędności, którą prowadzą apostołowie mieszczaństwa dzisiejszego, wzięła swój początek wśród stosunków i widnokręgów, zrodzonych w grodzie średniowiecznym.

Nawet upodobania, rozrywki i zapatrywania estetyczne nie wyłamują się z pod tej zależności od stosunków rzeczowych. Wstręt względem rozrywek fizycznych, względem zabawy konnej i orężnej, kult kunsztu książkowego są dziełem miasta. Że epoka Odrodzenia przypadła na czasy największego rozkwitu rzeczypospolitych włoskich, jest to rzeczą nie przypadku, ale konieczności dziejowej.

W analizie swojej przedstawiliśmy, jak rozwój miast, to jest określonego a nowego ugrupowania sił wytwórczych w społeczeństwie, oddziaływał na różne sfery prawa, etyki i estetyki i jak na podłożu stosunków rzeczowych powstawały nowe antagonizmy społeczne i nowe aspiracje polityczne. Moglibyśmy zrobić ten rozbiór jeszcze dokładniejszym, ale szczegóły te nie dodałyby nowych rysów do powyższego obrazu. Natomiast uzupełnimy te wywody innemi: wykazaniem skutków, jakie miasta swoim wzrostem sprawiły w całym ustroju feodalnym.

* * *

Rozpatrując miasto, nie uwzględnialiśmy jego stosunku do reszty kraju. Zajmowały nas jedynie przebiegi, odbywające się wewnątrz murów grodzkich, antagonizmy tam powstające i idee, które się były zrodziły w atmosferze życia miejskiego.

Ale miasta były tylko oczkami w sieci powstającego organizmu wymiennego, który rozpościerał się zwolna nad całym krajem.

Po upadku monarchji rzymskiej pustka zaległa nawet w dzielnicach, które dosięgły były wyższej kultury. Był to okres rozstrzelenia ludzi i okres autonomji lokalnej, niepokojów i zatargów pomiędzy poszczególnemi dzielnicami, samowolnego wymiaru zemsty, względnie sprawiedliwości. Rzadkie zaludnienie ówczesne, rozproszone oazami wśród nieprzerwanego pasma kniej, rządziło się zasadami gospodarstwa naturalnego. Jedynie na zamkach książąt i wyższych dostojników państwowych można było znaleźć nieliczne produkty, pochodzące z daleka.

Właśnie w takich warunkach ukazują się pierwsze oczka przyszłego ustroju wymiennego.

W początkach, póki takie ogniska dopiero powstawały, póki szlaki, nie zaś gościńce prowadziły do nich, oraz nie istniały jeszcze jarmarki, na które zdaleka ściągaliby kupcy, dopóty nieobecność sprężystej władzy państwowej, utrzymującej porządek i bezpieczeństwo w obrębie całego kraju, były względnie obojętne dla łyków miejskich. Z biegiem czasu sytuacja ulega zmianie, i nieobecność władzy centralnej w kraju powściągać zaczyna siły wytwórcze, związane z wymianą produktów i wzrostem rzemiosła. Drogi są niepewne! Nietylko bandy opryszków, ale nawet i książęta trudnią się rozbojem— bezkarnie, bo niema instancji, powściągającej samowolę, która nawet nie uchodzi za samowolę, tylko za przywilej stanu rycerskiego. Zamieszki i wojny bez przerwy wstrząsają krajem, włóczą się oddziały, które podczas wojny służą jako zaciężni, z nastaniem zaś pokoju łupią zarówno swego jako też wroga.

Prędzej lub później miasta musiały zetrzeć się z panami feodalnemi, broniącemi takiego stanu rzeczy.

Zapasy wzajemne toczą się początkowo rozstrzelone i niezwarte. Zresztą nie mogło być inaczej przy ówczesnem rozproszeniu sił wytwórczych, które ześrodkowały się w miastach nawzajem niezależnych i niepowiązanych; każde z pośród miast własnym zachodem odpierało ujemne skutki feodalizmu lub zawierało z sąsiadami sojusz zaczepno-odporny, ażeby wspólnym wysiłkiem zapewnić bezpieczeństwo handlo-

wi. Następuje to już w okresie późniejszym, gdy grody stały się tak zamożnemi i ludnemi, że miewały własną załogę zbrojną. W epoce wcześniejszej szukają opieki z zewnątrz. Monarchowie nadają miastom „przywileje pokoju“, polegające na tem, iż kupcy, udający się na jarmark, są pod szczególną ochroną powagi monarszej i ci, co gwałcą tę wolę monarchy, będą mieli rozprawę z obrażonym jej przedstawicielem. Już Karol W. daje kupcom strasburskim, krom wolności celnej wzdłuż i wszerz monarchji i prawa trzymania orszaku zbrojnego, taki Marktfrieden. Zwyczaj ten krzewi się coraz bardziej. Biskupi i panowie udzielni nadają „pokój“ pierwiastkowo tylko pojedyńczym kupcom i ich potomkom, później przywilej ów przeszedł na warstwę całą kupców, jeszcze później na wszystkich mieszkańców miasta. Ale to zapewnienie ma niewielką doniosłość tam, gdzie władza królewska nie rozporządza na poparcie swojej woli dobitniejszemi argumentami. Są okresy, w których skuteczniej działa opieka kościoła: miasto kupuje „pokój św. Piotra“ — quietam pacem: synody biorą pod swoją protekcję określone dni w roku, i kto wtedy skrzywdzi kupca, ulega ekskomunice. Niektórzy książęta trzymają drużyny, za opłatą towarzyszące karawanom kupieckim. Jest to nawet źródło znacznych dochodów dla wielu panów.

Takie urządzenia, powstające w miarę wzrostu grodów, swoim charakterem świadczą, że spokój publiczny i bezpieczeństwo w obrębie całego kraju są warunkami nieodzownemi dla istnienia miast, jak znowu ciągłe zamieszki i niepokoje są treścią aspiracyj panów feodalnych.

Pod osłoną przywilejów „pokoju“ grody dochodzą do zamożności i siły. Z biegiem czasu zjawiają się w nich zaciężnicy, niektóre miasta wojują nawet z mniejszymi pankami i dotkliwie udowodniają im, iż pocisk z procy i strzała z łuku mogą być tak samo groźne, jak miecz i kolczuga.

Poskromienie panów feodalnych i ujęcie ich w karby przez władzę monarszą, rozpędzenie zbrojnych orszaków rezydujących na zamkach prywatnych, zagarnięcie przez państwo obowiązków policji i wymiaru sprawiedliwości: takiemi są dążenia, do których sformułowania dochodzi mieszczaństwo średniowieczne pod żywiołowem parciem rozwoju. I grody nie tylko wygłaszają takie ideje, lecz nadto stwarzają pier-

wiastki, potrzebne do wcielenia w życie tych aspiracyj i oddają je na usługi tej potędze społecznej, która mając takie same zamiary, rozporządza na korzyść swoją kazuistyką prawa feodalnego, t. j. działa na podstawie jego zasad. Jest to władza monarsza. Ze stanowiska teorji feodalnej przedstawiciel władzy monarszej uchodzi za źródło władzy panów i książąt. Ale prawo to, wypływające z ustroju monarchji Karola W., było długo martwym tytułem. Powaga panujących podupadła skutkiem rozstrzelonego stanu sił wytwórczych i zaczyna się wzmagać dopiero w miarę tego, jak rozwój handlu wiąże nawzajem coraz dalsze okolice. Miasta są przodującym posterunkiem wzrostu władzy centralnej — jako ogniska sił wytwórczych, pociągających za sobą zwartość wysiłków na przestrzeni całego kraju, jako źródło środków materjalnych, potrzebnych do ukrócenia samowoli feodalnej. Pospołu z monarchami spiskują przeciw baronom, dostarczają prawników, którzy swoją kazuistyką usuwają przeszkody tkwiące w zwyczaju ówczesnym, dostarczają królowi pieniędzy, stwarzają nową organizację wojskową — piechotę, przyczem odkrycie prochu podkopuje ostatecznie znaczenie rycerstwa jako potęgi zbrojnej.

Centralizacja nowoczesna i dzisiejsze czynności państwa to tylko ostatnie ogniwo pasma rozwojowego, które poczęło się w wiekach VIII — XII wyodrębnieniem rzemiosła od rolnictwa, ześrodkowaniem rzemiosła w miastach i zadzierzgnięciem wymiany pomiędzy ogniskami takiej produkcji przetwórczej.

* * *

Prawidłowa a ożywiona wymiana pomiędzy miastami wymaga dla swego istnienia dróg komunikacyjnych, bezpieczeństwa publicznego (t. j. zaprowadzenia sądów państwowych i administracji państwowej), poskromienia panków. Sieć taka wymienna z biegiem czasu z nikłej pajęczyny, jaką była początkowo, stała się więzią, co podziałem pracy skuła w jedną całość kraj cały. A kiedy dosięgnęła takiego poziomu, rozsadzać zaczęła ustrój, który stworzyła była w okresie swoim poprzednim, a więc ów ancien régime z jego ustawą cechową, monopolami handlowemi i państwem absolutnem.

To co we Francji w w. XV było urządzeniem natury postępowej, w w. XVIII odgrywa rolę pęt dalszego rozwoju.

Nie będziemy poddawali rozbiorowi tych przebiegów w całej rozciągłości.

Zatrzymamy się tylko nad jednym ustępem — wiekiem XVIII we Francji.

Wszędzie, w miastach i na roli, powstają tam, pod wpływem nowego ukształtowania stosunków wytwórczych, nowe hasła, będące w rozdźwięku z ustawą prawno-polityczną „starego porządku rzeczy", natomiast w zgodzie z nowemi potrzebami życia.

Są to hasła wolności osobistej i równości wobec prawa-wolnej konkurencji, jednej niepodzielnej Francji, wszechwładztwa ludu.

Zaczynamy od hasła wolnej konkurencji.

Zasady ustroju cechów były bardzo proste. Hierarchja, w rzemiośle istniejąca, wynikała z samej natury procederu: ażeby posiąść kunszt, trzeba było wyćwiczyć rękę i poznać tajemnice zawodu. Uczeń, odbywszy terminowanie, stawał się czeladnikiem, ten zaś, otrzymawszy godność majstra, wchodził do cechu i zakładał własny warsztat. Cech był początkowo więzią pomocy wzajemnej i organizacją walki klasowej przeciw patrycjatowi miejskiemu; z czasem zaś, gdy dawne zadania ustały, zamienił się w urządzenie regulujące stosunki rynkowe i zabezpieczające członków (majstrów) przeciw nadmiernemu współzawodnictwu wzajemnemu. Rynek średniowieczny nie wychylał się poza mury miejskie, niski poziom dróg komunikacyjnych ochraniał go od dowozu towarów z zewnątrz. Cechy swoją siecią objęły troskliwie takie niewielkie a odosobnione ognisko wymiany i spełniały tam to samo zadanie, o jakiem marzą w zakresie stosunków narodowych i nawet międzynarodowych trusty dzisiejsze. Chodziło o to, ażeby każdemu z majstrów wydzielić na rynku możliwie jednakie szanse sprzedaży towaru: niewolno więc było majstrowi trzymać więcej nad określoną liczbę uczniów i czeladników, wytwarzać inne przedmioty niż dozwolone, sprzedawać towar poniżej taksy, odciągać odbiorców od sąsiada. Korporacja cechowa, osiągnąwszy w rozwoju dziejowym taki ustrój dogodny dla interesu uczestników, trzyma się jego uporczywie, niepomna, że życie w żywiołowym rozwoju swoim stworzyło rynek narodowy. Przeciwnie, zakrzepła w swojej zaśniedziałości technicznej i wyłączności

cechowej: w miarę wzrostu ludności i natłoku kandydatów, godność majstra przekształca się w synekurę i nawet w urząd dziedziczny. Z demokratycznej promocji ucznia na czeladnika, czeladnika na majstra w miarę nabywania wprawy zawodowej, hierarchja szczebli cechowych zmienia się w urządzenie, powściągające takie posuwanie się pracowników i dążące za wszelką cenę do ograniczenia liczby samodzielnych warsztatów [1]). Zwłaszcza zaś cechy grzeszą zupełną nieudolnością rozszerzenia podstaw produkcji. Dopóki rynek odbiorczy ograniczał się do paru lub kilkunastu tysięcy mieszczan, warsztat z konieczności musiał posiadać nieznaczne rozmiary. Z nastaniem wymiany pomiędzy miastami, zjawia się możliwość połączenia większej liczby wytwórców w tym samym warsztacie. Ustawa cechowa, bardzo skrupulatnie oddzielająca nawzajem fachy (tak, iż powóz np. zanim go wykończono, odbywał wędrówkę od cechu do cechu), ograniczająca liczbę czeladników w pojedyńczym zakładzie, oraz ilość, wykonanego produktu, sprawiła, że nowe siły wytwórcze, odpowiadające wymaganiom rozszerzonego rynku, a więc powołujące do istnienia liczniejszy zespół pracowników w tym samym warsztacie i wprowadzające pomiędzy nimi podział pracy, rozwinęły się w takiej Anglji nawet nie w miastach, tylko w ustroniach wiejskich, i że nie rzemieślnik, lecz kupiec był szermierzem i sprawcą postępu wytwórczego. Cechy z organizacji postępowej, jaką były w epoce wieków XII — XVI, są w wieku XVIII przeszkodą na drodze dalszego postępu i stały się tylko źródłem wyzysku z jednej strony siły roboczej uczniów i czeladników, z drugiej zaś spożywców. Ustawa bowiem cechowa przeszkadza wzrostowi podziału pracy w zakładzie, oraz, jak każdy monopol, nakłada ceny wygórowane, jakkolwiek istnieje już w kraju możliwość cen innych — niższych, typom ruchliwym, ale biednym zagradza drogę do dobrobytu i samodzielności. Im zaś rozleglejsze wymiana stwarza rynki i tem samem umożliwia wyższe wzory produkcji, tem cechy stają się instytucją coraz

[1]) Nawet majster, przybywający z innego miasta, tracił prawo posiadania własnego warsztatu. Zwyczaj ten, naturalne następstwo dawnego bojowego charakteru cechów i odosobnienia wzajemnego miast, z instytucji normalnej, tj. nikomu ongi niezawadzającej, stał się ww. XVIII wielkiem nadużyciem.

bardziej przestarzałą, szukającą ocalenia w skrupulatniejszem przestrzeganiu prawa wyłącznej produkcji, w troskliwszem ograniczaniu liczby czeladników i majstrów. Rzecznicy nowych sił wytwórczych żądają wolności procederu, tj. zniesienia ograniczeń cechowych. Z tem samem hasłem występują czeladnicy, którym przepisy cechowe zamknęły dostęp do stanowiska majstra i założenia własnego warsztatu, i przybysze majstrowie. Spożywcy, zachęceni możliwością otrzymywania tańszych produktów, w imię własnego interesu domagają się urzeczywistnienia zasad wolnej konkurencji. Na widowni dziejowej rozbrzmiewa więc nowe hasło: Laissez faire, laissez passer. Nawet filister najpospolitszy uważa dzisiaj za swój obowiązek dowieść swojego krytycyzmu naigrywaniem się z tej potężnej zasady, która zjawiła się w historji jako wyraz ukazania się nowych sił wytwórczych, zbyt potężnych, ażeby zdołały rozwijać się w pętach cechów, i była zwiastunką wyzwolenia człowieka z pod ciasnych, ograniczonych warunków bytu materjalnego i tak samo niedalekich widnokręgów umysłowych właściwych drobnym rzplitom miejskim. Ale w w. XVIII była to zasada potężna, której przypadło w udziale przekształcić doszczętnie warunki bytu społecznego.

Jednocześnie ukazuje się inne hasło, wolności osobistej i równości wszystkich wobec prawa.

Wzrost bezpieczeństwa publicznego i gęstości zaludnienia, zastąpienie gospodarstwa naturalnego pieniężnem i t. d. doprowadziły do ukazania się niezadowolenia i w zakresie stosunków wiejskich. Jak powstała zależność poddańcza, nad tem się nie będziemy zastanawiali, poprzestaniemy tylko na wzmiance, że niekiedy była to puścizna po przekształconem w kolonat niewolnictwie, jeszcze częściej był to stosunek zawarty ongi w drodze dobrowolnej umowy lub narzucony wolnym kmieciom przez rozwój urządzeń feodalnych. Bądź co bądź jednak, w wczesnem Średniowieczu poddaństwo było instytucją racjonalną, tj. uchodziło zarówno wśród panów jak i włościan za rzecz moralną, prawowitą i konieczną, nawet pożyteczną. (Za Karolingów np. wolni kmiecie masowo oddają się pod opiekę Kościoła i dostojników państwowych, co zapewnia im bezpieczeństwo podczas niepokojów, oswobodza od powinności wojskowej i daje wiele innych dogo-

dności). Włościanin ówczesny uważał stosunek poddańczy za wymianę wzajemną usług pomiędzy sobą a panem: pan bronił jego mienia od sąsiednich panów, opryszków i zwierząt drapieżnych, wogóle spełniał obowiązki rządu miejscowego, kmieć zaś wzamian za to dawał mu czynsze i naturalja, odrabiał pańszczyznę. Każda z licznych powinności poddańczych posiadała niegdyś jasne i przejrzyste znaczenie i była właściwie wyrazem stosunku rzeczowego, który był powstał na podłożu ówczesnych potrzeb, zwyczajów i poglądów — za dobrą mniej więcej wolą obu stron. Osepy, straże, przewody przedstawiały się umysłowi ówczesnemu jako kategorje żywe, racjonalne, i trzeba było dopiero nieuctwa obrońców synekury szlacheckiej i fałszerstw obozu liberalnego, ażeby zaczęto wyprowadzać prawa feodalne jedynie z gwałtów i bezprawia. Nie brakło, naturalnie, nadużyć, bo prawo pięści jest wielką zasadą w ustroju feodalnym. Lecz nie godzi się zapominać o tem, że w wiekach IX i X, właśnie wtedy, gdy tworzyły się podwaliny późniejszego poddaństwa, rycerz nie odróżniał się zbytnio od kmiecia nawet uzbrojeniem i na nadużycia jednej strony druga zdołałaby zawsze odpowiedzieć czemś realnem. Zależność powstała tylko dlatego, że przyszli poddani, o ile nie byli niewolnikami lub nie pochodzili z pośród ludów podbitych, a zatem o ile nie stali poza obrębem ustawy rodowo-plemiennej, zawierali stosunek poddańczy dobrowolnie i imię własnej korzyści. Ongi, za Tacyta, gdy jeszcze pędzono nie zbyt osiadły tryb życia, plemię rozpadało się na wojaków, którzy szli na wyprawę wojenną, wówczas, gdy pozostający pracowali na siebie i na nich. Następnego roku tamci zostawali przy pługu, oracze zaś imali się miecza. Za czasów feodalizmu ów podział zajęć opiera się na innej zasadzie: pan trzyma rękę na mieczu, ażeby włościanin mógł w spokoju i bezpieczeństwie uprawiać grunta, kmiecie zaś swojem zachowaniem uświęcą tę właśnie zasadę, jako rzecz moralną i racjonalną, tj. w gruncie rzeczy pożyteczną. Poddaństwo wyrasta z umowy zobopólnej na podłożu zasady nulle terre sans seigneur — pod wpływem żywiołowo rodzących się i rozwijających potrzeb życia. Wszelka zaś umowa ustna, wszelki luźny i czasowy stosunek, w szrankach gospodarstwa naturalnego, przybiera, bo przybrać musi, charakter prawa rzeczowego. I gdy w okresie późniejszym rycerstwo krzyw-

dzi poddanych, ci zaś odpowiadają na to rokoszami, nawet i wtedy w umyśle uciemiężonych niekiedy napróżno poszukiwalibyśmy idei o możliwości zupełnego stargania więzów poddaństwa. Była tam tylko chęć nadania im „sprawiedliwszego" ukształtowania. Dopiero gdy bezpieczeństwo publiczne powstało pod osłoną wzrastającej władzy państwowej, gdy jako niepotrzebne rozpędzono drużyny zamkowe, spełniające ongi, pomimo wszystko, obowiązki stróżów mienia i życia ludności wieśniaczej, gdy wymiar sprawiedliwości przeszedł w ręce państwa, dopiero wówczas nastają czasy, odzierające powagę pana nawet z pozorów racjonalności. W tym okresie przywileje pańskie stają się dla włościanina czemś niezrozumiałem. Może uchodzą jeszcze za nietykalne, dzięki powadze religji i zwyczaju, ale bynajmniej nie za pożyteczne. (Pan np. zajmował się ongi tępieniem szkodników: wilków, lisów i t. d. ku pożytkowi rolnika. Lecz gdy zwierzyny zabrakło, zaczął ją ochraniać i zachowywać na czas obław, chociażby niszczyła zasiewy kmiecia). Prawo pańskie z pożytecznego niegdyś dla włościan, djalektyką rozwoju społecznego, wyrasta na rzecz szkodliwą, opłacaną sowicie przez ludność włościańską robociznami, czynszami i daninami i wywołującą systematyczne narzekania i sarkania wśród włościan, którzy nadaremnie w otoczeniu swojem poszukują jakiegokolwiek pożytku z istnienia tak drogiej ornamentacji, jaką jest pan. To, co było ongi moralne, staje się krzyczącem bezprawiem, bo z pożytecznej instytucji zamieniło się w źródło tylko wyzysku—nic więcej i zagradza drogę wzrostowi dobrobytu uciemiężonych. Wzrost produkcji rolnej na sprzedaż i wogóle gospodarstwa pieniężnego jedynie pogarsza te stosunki, bo wzmaga łapczywość pana na krwawicę poddańczą. „Krzywdy" codzienne — bierzemy ów wyraz w cudzysłowie, ażeby zaakcentować historyczny charakter tej kategorji społecznej, — budzą głuche rozdrażnienie. Nienawiść, niejasna z początku, zaczyna podkopywać szacunek tradycyjny względem pana, aż w końcu staje się tonem zasadniczym w duszy poddanego. Dochodzi do wybuchów rozpaczy, bezmyślnych, jak ów instynkt tajony, dzikich, jak ponurą była nędza i ciemnota. Aż „myśl krytyczna" rozjaśnia te mroki i ujmuje bezwiedne a żywiołowe parcie ludu w hasło członkowane, poczucie krzywdy w jasną ideę — w o l n o ś c i

osobistej, własności wytworów swojej pracy, zniesienia przywilejów pańskich.

W końcu tworzy się nowoczesne poczucie solidarności narodowej.

Rozwój bowiem wymiany, w miarę tego, jak ta coraz silniej wiąże różne dzielnice kraju, niesie zagładę zarówno dawnej autonomji miast, jako też i niezależności prowincji. Za gospodarstwa naturalnego, gdy każda wioska, i tembardziej każda okolica, pokrywały potrzeby swoje własnemi produktami, panowała na niewielkiej względnie przestrzeni wielka rozmaitość zwyczajów, o której pod r. 1631 dają pojęcie Volumina legum, uskarżające się na obfitość miar: „Iż wielka warjacja w korcach miast i miasteczek ziemi Łomżyńskiej, przeto postanawiamy, aby korzec sprawiedliwie wymierzony z korcem miasta główniejszego dla sprawiedliwego odmierzania był przed Ratuszem wystawiony bez wszelakiej płacy". Każda prowincja a nawet miasto rządzi się odmiennem prawem, ma inne wagi i miary, zaprowadza własne myta i cła. Póki wir wymiany jest słaby, były to rzeczy obojętne nawet dla tych, którzy znajdowali się w obrębie jego działania, tembardziej zaś dla pozostałej ludności kraju, żyjącej według zasad gospodarstwa naturalnego. Ale ta puścizna zaczyna krępować rozwój handlu, gdy ten spotężniał. Ilość towaru wzrosła, dobrobyt coraz szerszych warstw narodu zaczął zależeć od łatwości transportów i wogóle obrotów, a tymczasem niejednostajność zwyczajów i urządzeń pętała wolną grę wyrachowań osobistych. Poszkodowane interesy wyłaniają aspirację odpowiednią — ujednostajnienia kraju. Idea ta, jako samorzutne a masowe parcie społeczne, zjawia się wśród warstw, których dobrobyt najczęściej doznawał uszczerbku skutkiem rozczłonkowania kraju — wśród kupców, przemysłowców, oraz przedstawicieli profesyj wyzwolonych. Są to odłamy ludności stykające się z różnemi dzielnicami przyszłego narodu, wolne dzięki temu od rysów prowincjonalnych i uczuciowo najbardziej wyrobione dla zrozumienia, przyjęcia i ugruntowania idei jednej niepodzielnej narodowości, w której obrębie prawa i urządzenia, wagi i monety winny być jednako ukształtowane.

W różnych więc zakresach życia społecznego, pod wpływem zmian, które w ukształtowaniu stosunków materjalnych

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wyszów.

były zaszły w sposób żywiołowy, jedynie w następstwie inicjatywy prywatnej, powstały we Francji w w. XVIII zgoła nowe potrzeby. Zaciasno im w ówczesnej ustawie prawnopolitycznej. Zaciasno w tem znaczeniu, że istniejące urządzenia, a więc cechy i monopole, juryzdykcja patrymonjalno pańszczyźniana i samodzielność prowincji, samowola centralizacji państwowej i przywileje arystokracji rodowej, powstrzymują dobrobyt i znaczenie kół, które życie wysunęło naprzód jako przedstawicieli nowej formacji sił wytwórczych. Są one głosicielami nowych aspiracyj. Owe instytucje, przeciw którym toczy się walka, ukazały się niegdyś jako sformułowanie materjalnych potrzeb i widnokręgów tych pokoleń, które je powołały do życia i bezpośrednio lub pośrednio wspierały ich urzeczywistnienie. Ale ku schyłkowi wieku XVIII są tylko zawadą na drodze dalszego postępu.

Walka dwóch światów — jednego owianego atmosferą nowych wzorów i nowych idej, i drugiego, w imię swoich interesów zapatrzonego w stary porządek rzeczy, jest koniecznością dziejową. I walka ta będzie stawała się coraz namiętniejszą w miarę tego, im podłoże materjalne, z którego wyrosły nowe ideje, będzie coraz bardziej potężniało.

I znów jest to koniecznością dziejową, iż podłoże to potężnieje.

Tam bowiem, w głębi życia narodowego, istnieje czynnik przewrotowy, pchający wymianę na coraz szersze tory, choć sam jest jej dziełem. Jest to podział pracy wewnątrz warsztatu: złożona robota rzemieślnika rozpadła się na pasmo prostych czynności, powierzonych każda innemu pracownikowi, skutkiem czego wydajność pracy ludzkiej jest większa, towar tańszy, że już nie mówimy o możliwości zastąpienia z czasem takiego ujednostajnionego wysiłku mięśni maszyną. Warunki dziejowe wyznaczają tym nowym metodom produkcji nawet właściwe miejsca lokacji — poza obrębem miast historycznych, spętanych przez ustawę cechową (w ten sposób dawne grody w Anglji zeszły na zgniłe mieściny, nowe ogniska zaś wyrosły w ustroniach). I inni ludzie, wolni od rutyny rzemieślniczej, poprowadzili to dzieło — dlaczego inni, nad tem nie będziemy się zastanawiali. Wytwór wydostawszy się z rękodzielni, dzięki rzutkości swoich panów, dociera w najdalsze zakątki kraju, taniością swoją zwycięża

przedmioty produkcji cechowej, przyspiesza tętno wymiany. Rękodzielnia, oraz zrodzona z niej fabryka jest sprężyną nieustającego przewrotu, który z czasem ma połączyć dalekie lądy sieciami drutów telegraficznych, udoskonalić środki przewozowe, stworzyć wzory olbrzymiej centralizacji przemysłowej na podstawie narodowej i nawet międzynarodowej, ujarzmić przyrodę, nauce oddać ster rządów nad umysłami.

Nowe metody produkcji (i wymiany) powołały do życia warstwę społeczną, odmienną od dotychczas istniejących żywiołów miejskich — burżuazję nowoczesną. Należał do niej przemysłowiec, narzekający na reglamentację cechową, kupiec, który rozwoził po kraju towar rękodzielniczy, rentjer, żyjący z procentów i pragnący taniego zaspokojenia swoich potrzeb, przedstawiciel wolnych zawodów, związany z nimi pochodzeniem i żywo odczuwający swoje upośledzone stanowisko. Warstwa ta zogniskowała w swojem ręku bogactwa materjalne i wiedzę. Parta poczuciem własnej siły i godności, podniecana interesem codziennym, wrażliwa umysłowo na wszystkie bóle otoczenia swego, na wszystkie zagadnienia życia, wysnuwa nowe aspiracje dziejowe: wolności osobistej, równości wszystkich wobec prawa kontroli, „ludu“ nad rządem, jednej niepodzielnej Francji. A te hasła i ideje staną się kiedyś zasadami Deklaracji praw człowieka, t. j. nie człowieka oderwanego, ale należącego do określonej epoki i przebywającego w określonem otoczeniu. W jej dążeniach streszczają się aspiracje wszelkich kół narodu, prócz szlachty i cechów. Idea, powstawszy w taki materjalny sposób i będąca słowem, które dobrano stosowne do potrzeb życia, krzewi się po kraju, nieci świadomość wśród przedstawicieli upośledzonych interesów i organizuje potężną armję dziejową — stanu trzeciego. Antagonizmy, istniejące w łonie jej zastępów, milczą w obliczu wspólnego wroga i wystąpią kiedyś dopiero po zwycięstwie. Włościaństwo, zaspokojone w swoich aspiracjach, usunie się pierwsze od czynnego uczestnictwa w dramacie historycznym, który zrodził się z konieczności nadania ustawie prawno-politycznej charakteru zgodnego z wymaganiami nowych sił wytwórczych. Poczem rozpocznie się akt drugi — walki sankiulotyzmu miejskiego z burżuazją, walki obfitującej w szczerość uczuć, potęgę temperamentów, oryginalność charakterów. Atoli poza właściwościami du-

chowemi ukrywają się tam interesy klasowe, które użytkują z namiętności i zawiści indywidualnych, jako narzędzi walki społecznej.

* * *

W naszym rozbiorze wyszliśmy z ukształtowania stosunków społecznych, które pozostawiła po sobie rodowość barbarzyńska, zwycięska zaborczyni terytorjów Rzymu. (Tutaj nawiasowo warto dodać, iż przyjęcie chrześcijaństwa przez barbarzyńców stworzyło atmosferę międzynarodową, której skutków nie godzi się zapoznawać i której znaczenie uwydatniło się zwłaszcza wtedy, gdy wymiana z miejscowej stała się rozleglejszą).

Gospodarstwo naturalne i jak najdalej posunięte rozstrzelenie — oto rysy zasadnicze ustroju, który panuje w Europie zachodniej w w. VIII — X.

Wśród takiego otoczenia, zjawiają się miasta, jako ogniska nowych sił wytwórczych — rzemiosł i handlu. Zamki książąt, dwory biskupów i klasztory są opoką, dokoła której osadza się ów nowotwór, w miarę swego wzrostu stwarzający atmosferę nowych potrzeb, idej i pożądań, uprzedzeń i zapatrywań, później zaś urządzeń. Miasta z biegiem czasu stają się supłami sieci wymiennej, pokrywającej kraj cały, przyczem naprzód tworzą się ogniska, potem zaś ukazują się nici, wiążące je nawzajem. Nastaje nowe rozmieszczenie sił wytwórczych (w tej liczbie ludności i bogactw). W następstwie zmian w otoczeniu materjalnem, ukazują się nowe instytucje, życie wyłania nowe antagonizmy, które zwolna doznają rozwiązania na drodze przystosowywania ustawy prawno-politycznej do potrzeb, powołanych do bytu przez nowe warunki rzeczowe. W wyniku ostatecznym powstaje państwo, oparte na reglamentacji rzemiosła, przywilejach szlachty i pańszczyźnie, oraz rządzące się zasadą Ludwika XIV: l'état c'est moi. (Przynajmniej tak było we Francji. Gdzieindziej siły dziejowe poszły inną drogą, choć pierwiastki były te same, tylko w innem sprzężeniu ilościowem). W łonie tego państwa rozszerzająca się wciąż wymiana przyczynia się do wyklucia nowych metod produkcji (rękodzielnie i fabryki); doskonaląc zaś zarówno technikę handlu, jak i środki przewozowe, zbliża nawzajem wytwory dalekich okolic. Dołączają

swój wpływ jeszcze inne czynniki: wzrost ludności i bezpieczeństwa publicznego. I znowu powstają na widowni dziejowej nowe antagonizmy: pod działaniem całokształtu tych nowych stosunków zwolna rodzi się zatarg pomiędzy potrzebami ówczesnemi życia a ustawą prawno-polityczną, kończący się upadkiem „dawnego porządku rzeczy".

Ukazuje się tegoczesny ustrój — mieszczański.

I w jego łonie odbywa się dalszy rozwój potęg wytwórczych — za ogólnym a żywiołowym, t. j. nieświadomym współudziałem wszystkich członków społeczeństwa. I ten, co pragnie nastania nowych stosunków, i ich zawzięty przeciwnik, działają solidarnie na rzecz postępowego rozkwitu sił produkcyjnych. L. Gumplowicz usiłuje gdzieś wykazać, że robotnik gnębi towarzyszy, kupując tani towar i, co za tem idzie, zmuszając pryncypałów do płacenia nizkich zarobków. Właśnie owa, tak po jezuicku przez Gumplowicza wyzyskana pogoń za tanim (co nie znaczy jeszcze: lichym) towarem sprawia, że metody produkcji, występujące w technice nietylko wytwarzania, ale i w rozmieszczeniu przedsiębiorstw na przestrzeni kraju, jedne znikają, te mianowicie, które przy tej samej jakości towaru ponoszą większe koszta, inne zaś postępowe, tańsze, zwyciężają. Nabywając przedmioty powszedniego użytku, nie przypuszczamy, że z dnia na dzień i może nawet z godziny na godzinę przyczyniamy się do centralizacji przemysłu i do ruiny rzemiosła, do organizowania brygad fabrycznych, w dalszym zaś ciągu do wzrostu żywiołów miejskich, do żywego obrotu soków społecznych i t. d., słowem do powstania podłoża materjalnego dla idej społecznych i aspiracyj, których niejeden z pośród nas jest stanowczym przeciwnikiem. Czyny codzienne, żywiołowe, niewybiegające treścią poza interes wyłącznie osobisty, podważają naszą własną robotę świadomą, tj. świadomą pod względem społecznym. Właśnie w takiem zachowaniu się naszem tkwi pierwiastek konieczności, z jaką na widowni dziejowej zjawiają się nowe ideje.

Wszystkie zmiany, nastające w toku dziejów Europy zachodniej w dziedzinie stosunków materjalnych, układają się w pasmo postępowe. Wszędzie tam, w przejściu od pracy przetwórczej rolnika-barbarzyńcy do wyodrębnionego rzemiosła, od rynku miejscowego do wymiany wzajemnej wytwo-

rów pomiędzy dalszemi okolicami, od pracy poddańczej na roli do wolnej, od trybu rzemieślniczego produkcji do podziału pracy zewnątrz warsztatu, od niego zaś do maszyny, mamy przed sobą, w kolejnem powiązaniu, ogniwa wytwórczości coraz doskonalsze, wysnuwające się rodowodowo pod wpływem żywiołowego parcia świadomości skierowanej wyłącznie na cele prywatne. To doskonalenie polega na tem, iż ten sam wysiłek wynagradza pracę większą ilością produktów, lub tą samą, ale wyższej jakości.

Postęp ów odbywał się samorzutnie a żywiołowo, i nawet nie mógł odbywać się inaczej. Siły przyrody, oraz bogactwa, pozostawione przez ubiegłe pokolenia, znajdują się w ręku niezależnych nawzajem osób jako własność prywatna i mogą być wprawione w ruch wytwórczy tylko dzięki inicjatywie prywatnej. Doskonalenie metod produkcji i wogóle zmiany w ukształtowaniu stosunków rzeczowych ukazują się jako wynik usiłowań i zabiegów poszczególnych osób, które usiłują wyzyskać na rzecz własną wszelkie korzyści swojej inicjatywy. Wewnątrz społeczeństwa tworzy się zwolna nowe jądro stosunków materjalnych, wraz z niem zaś nowe potrzeby i aspiracje, ideje i poglądy. Rozwój ów przypomina poniekąd ewolucję kolejną motyla — nie wszystkie komórki gąsienicy przechodzą w odpowiednie części poczwarki: tam, w organizmie początkowym, jakiś ośrodek wyrasta na twór nowy, reszta zaś komórek ginie. Rozbicie narodu na gospodarstwa indywidualne daje początek podobnego rodzaju przebiegom — przynajmniej w Europie w okresie wieków VIII—XVIII. (Zmiany postępowe w ukształtowaniu sił wytwórczych dla dalszych swoich ogniw obierają nieustannie nowy punkt wyjścia: nie rzemieślnik np. był inicjatorem rękodzielnictwa i nie miasto cechowe jego ojczyzną).

Powtarza się to stale w ciągu wieków.

Nowe potęgi wytwórcze powstają zawsze tylko w pewnych punktach terytorjum społecznego, ogarniają tylko określoną grupę osób i przekształcają warunki materjalne jej bytu, wydzielają ją z pośród reszty narodu, narzucają jej nowe potrzeby, później zaś nowe ideje, w końcu przeciwstawiają ją istniejącej ustawie prawno-politycznej, która krępuje jej rozwój. Nowa warstwa zwycięża, jeśli jej podłoże rzeczowe dosięgnie mocy należytej, i wciela w życie swoje ideje w roz-

ciągłości bezwzględnej lub osłabionej kompromisami, odpowiednio do podścieliska historycznego, na którem rzecz się odbywa. Ewolucja dziejowa idzie po przez antagonizmy, które po krótszym lub dłuższym okresie organicznego wykluwania występują na jaw jako świadome dążenia społeczne. Spoczywa tam, w głębi życia społecznego, zawsze możliwość kataklizmów dziejowych, acz możliwość ta nie jest jeszcze koniecznością. Pod działaniem zabiegliwości prywatnej, w codziennym splocie interesów i potrzeb osobistych, w drodze rozwoju organicznego, na widnokręgu dziejowym ukazuje się nowe zawikłanie. Życie w zmiennym potoku przynosi jakby wciąż nowe zadania społeczne, oraz—co jest wypowiedzeniem tego samego faktu innemi słowy — organizuje siły społeczne do podjęcia tych zadań i wyłania środki do ich rozwiązania. Ale nie trzeba posądzać dziejów o fatalizm, innemi słowy o to, że rozwiązanie nastąpić może bez udziału człowieka, który tylko z założonemi rękoma będzie przypatrywał się wypadkom. Istota ludzka bowiem, stworzywszy zadanie w sposób żywiołowy, może je rozwiązywać tylko w drodze działalności świadomej. Może się zdarzyć, że mimo istnienia warunków nie będzie umiała sformułować go należycie, lub skutkiem braku dzielności organizacyjnej i polotu krytycznego nie będzie miała sił do urzeczywistnienia swoich aspiracyj.

Jeszcze jedno.

Nowe ideje zjawiają się w społeczeństwie jako owoc zmienności warunków materjalnych bytu, w powyższym zaś przebiegu zaczerpniętym z dziejów Europy zachodniej — postępowego rozwoju sił wytwórczych. Są na widowni dziejowej zjawiskiem wtórnem, t. j. pochodnem: stosunki rzeczowe„ rozwijające się bez udziału świadomości, skierowanej do celów społecznych, wprzódy muszą ustalić się, zanim ukaże się ich sformułowanie w nowej idei społecznej. „Materja" panuje nad „myślą", jest czynnikiem przewrotowym, ściślej: dającym hasło przewrotom. Naturalnie, zaznaczając taką wtórność idei, bynajmniej nie chcemy wykierować jej na czynnik dziejowy bez wpływów. Jedynie analizujemy jej rodowody. Owszem, rola jej w życiu społecznem jest olbrzymia: owładnąwszy umysły, stwarza ona armję, która wcieli nowe ideały w życie. Nasze pojmowanie powiada tylko, że idea nie rodzi się jak Minerwa z głowy Jowisza bez zapłodnienia ze strony życia, że nie

jest tworem, pozbawionym mięsa historycznego, ani sprężyną, która każdego bez wyboru może zrobić swoim szermierzem i wyznawcą. Twierdzi ono, że ukazanie się jakiegoś hasła po raz pierwszy w dziejach jest zależne od miejsca i czasu, że skład armji walczącej w imię jego urzeczywistnienia nie jest dowolny, ale powstał z osób, które w swojem otoczeniu codziennem znalazły pobudkę do zrozumienia idei, w interesie zaś własnym—podnietę do działania; przyznając sformułowanemu słowu wielką doniosłość, zaprzeczamy tylko, ażeby stało ponad warunkami historycznemi i ażeby „bohater", „mąż wielki", „umysł krytyczny" zdołali nadać stosunkom społecznym dowolną formę. Istnieją inicjatorzy i mistrzowie, wodzowie i kierownicy, obecność ich przyspiesza lub opóźnia rozwiązanie wysnutego przez życie zadania, ale nie stwarza go.

* * *

Wywody nasze dotyczą tylko Europy zachodniej w ciągu wieków VIII—XVIII—nic nadto. Wprawdzie podczas rozbioru dziejów ustawy miejskiej, potrąciliśmy pewne strony historji πολεων starożytnych. Nie wynika stąd jednak, ażeby do epoki ówczesnej dały się zastosować w całej swej rozciągłości otrzymane przez nas uogólnienia. Siły społeczne, działające w Starożytności, tak samo jak w Polsce [1]), kształtowały się inaczej, jedynie żywiołowość rozwoju pozostaje zawsze ta sama, bo wypływa z istnienia własności prywatnej.

Rzym np. rozwija się w otoczeniu społeczeństw plemiennych, nie połączonych wspólnością kultu, lecz opartych każda, na czci przodków, od których rody plemienne wyprowadzają swój początek—okoliczność, która utrudnia zbliżenie wzajemne. Wzrasta w potęgę drogą zaborów, które naprzód doprowadzają do ruiny kmieci-obywateli rzymskich, później zaś plemion ościennych. Powstają plebejusze, gromadzący się w mieście. Rozpoczynają się zapasy klasowe, w których plebejuszom chodzi o uzyskanie praw politycznych i o powrót do warsztatu pracy, do ziemi. Lecz wśród nieustającego szczęku oręża nie ma miejsca na drobną osadę rolną! Patrycjusze zaokrąglają majątki swoje, zwłaszcza odkiedy zaczęli upra-

1) Por. szkic L. Krzywickiego: Rzut oka na historję Polski, Prawda 1900, №№ 21—24.

wiać je przy pomocy niewolników, i okrywają niesławą zarobek, pochodzący z wysiłku własnych mięśni. Z biegiem czasu plebejusze przestają więc marzyć o pracy na własnym zagonie i na uzyskane prawa polityczne patrzą jak na źródło zarobku, gdyż sprzedają je podczas wyborów patrycjuszom, pobierając w ten sposób pośredni część dochodów z pracy niewolnika. Demoralizacja polityczna wzrasta. Wojny dają do ręki niektórym rodom patrycjuszowskim olbrzymie bogactwa. Jednocześnie wzrasta potęga zbrojna, coraz mniej związana z Rzymem wspólnością krwi, bo składająca się z ludzi różnego pochodzenia. Nastaje okres prób narzucenia przez magnatów jednowładztwa indywidualnego, prób które kończą się utrwaleniem cesarstwa, zanikiem patrycjatu rodowego, zepchnięcem plebejuszów do poziomu zwykłej hołoty, zwiększanej dzięki napływowi przybyszów ze wszystkich stron świata. Dalszy rozwój doprowadza do tego, że krajem rządzą pretorjanie, i że cesarz jest tylko wykonawcą ich rozkazów. Jest to epoka rozkładu. Ludy germańskie najazdem swoim przyspieszają to konanie. Włochy, wyjałowione pod względem żyzności gleby za sprawą niewolnictwa, przechodzą od latifundjów do kolonatu, t. j. rozpadają się na gospodarstwa włościańskie, dla których gościńce, wodociągi i inne dzieła wyższej kultury są zbyteczne.

Ogniwa tego rozwoju wysnuwają się z siebie nawzajem w drodze djalektyki rozwojowej. Po przez drobne zmiany nastają wciąż nowe ustroje stosunków rzeczowych, a każdy ustrój wyłania nowe poglądy i uczucia i z takiego rozczynu wysnuwa nowe urządzenia. Produkcja rolna, oparta na bezpośredniej pracy obywateli-kmieci, przejście ziemi w ręce patrycjuszów i obrócenie kmieci w walczących o równouprawnienie plebejuszów, latifundja niewolnicze i demoralizacja plebejatu, żyjącego ze sprzedaży praw politycznych, rywalizacja możnowładców, wzrost potęgi wojska i ogłoszenie cesarstwa, wyjałowienie ziemi i zastąpienie latifundjów kolonatem: oto kolejne ogniwa rozwoju Rzymu. W Europie zachodniej wymiana była punktem wyjścia dla pasma rozwojowego, tam zaś wojna. Czy zaś zmiany owe w Rzymie szły w kierunku zwiększonej wydajności, obawiam się twierdzić, prócz jednego ogniwa — przejścia latifundjów w kolonat.

* * *

Chodziło nam tylko o rodowód idei społecznej, przytem takiej, która nie przebrzmiała bez śladu, ale wyryła zawartość swoją na przebiegu dziejów. Istnieją bowiem ideje, które zjawiają się, jako płód wyobraźni rozgorączkowanej lub pół-wieszczego przeczucia dopiero kiełkujących antagonizmów i są z góry skazane na bezpłodność historyczną. Ich ukazywanie bynajmniej nie jest rzeczą dowolności i przypadku, ale szczegółowszy rozbiór ich początków na razie nie przedstawia dla nas interesu. Natomiast w naszej analizie pragnęliśmy zbadać rozwój tylko tych idej, które są sprężyną dziejów i pojawiwszy się raz jeden, nie zostają zagłuszone ani niewysłuchane, lecz stają się hasłami, w imię których toczy się walka dziejowa. Co więcej, w powyższem przedstawieniu zajmowaliśmy się tylko temi, które zwyciężyły, t. j. wcieliły się w realne instytucje i urządzenia.

W zastosowaniu do takich idej, t. j. idej w całem znaczeniu historycznych, nasze pojmowanie powiada:

1. Pod wpływem inicjatywy prywatnej zwolna drogą gromadzenia różniczek w ustroju życia codziennego powstają w społeczeństwie nowe stosunki materjalne, nowe „siły wytwórcze“. Rozwój ich, ze stanowiska świadomości społecznej, odbywa się mechanicznie i żywiołowo, t. j. nie przyświecają mu cele społeczne, a tylko osobiste. Chodzi tam jedynie o zaspokojenie najpospolitszego interesu indywidualnego, i nikt nie zadaje sobie pytania: jakie skutki dla życia społecznego wydadzą z biegiem czasu takie wysiłki.

2. Nowe stosunki rzeczowe, rozwijając się „ewolucyjnie“, „organicznie“ poprzez szereg nieznacznych zmian ilościowych, potężnieją coraz bardziej i stwarzają z czasem nowe potrzeby wśród grup znajdujących się w obrębie ich działania; przyczem wyłaniające się potrzeby są bodźcem przykładającym się do dalszego postępu tworzącego się jądra materjalnego. Można to wyrazić inaczej, mianowicie, że dobrobyt powstającej warstwy wiąże się jaknajsilniej z rozrostem odpowiedniego podłoża rzeczowego.

3. Na pewnym szczeblu rozwoju dochodzi do antagonizmu pomiędzy potrzebami, które w powyższy sposób powstały, a istniejącym ustrojem

prawno politycznym. Budzą się wśród zainteresowanych uczucia zawiści względem „uprzywilejowanych“, potężnieją namiętności wraz z niejasnemi aspiracjami, dochodzi nawet do żywiołowych wybuchów. Wreszcie nowe potrzeby doznają ostatecznego a świadomego sformułowania— w nowej idei, która krzewiąc się, jedynie organizuje armję społeczną z pośród przygotowanych w powolnym rozwoju pierwiastków ludzkich. Idea zjawia się więc w rozwoju społecznym jako zjawisko pochodne, jest dziełem faktów i ich odzwierciedleniem w mózgu ludzkim. Antagonizm występuje w tym okresie w całej swej rozciągłości, rozwój z ewolucyjnego i organicznego przybiera zgoła inny charakter, a w tem przeciwstawieniu się różnych interesów tkwi zawsze możliwość kataklizmów i przewrotów

4. Wyłoniona idea jest w gruncie rzeczy sformułowaniem zadania, które życie powoli stworzyło w sposób żywiołowy, i wskazuje, na jakiej drodze zainteresowani będą szukali rozwiązania, t. j. jakie urządzenia prawno-polityczne odpowiedzą ich aspiracjom. Rozwój zaś nietylko stwarza samo zadanie, ale zarazem przygotowywa i nagromadza środki jego rozwiązania. Są to warstwy, powstające zwolna z wzrostem odpowiedniego podłoża materjalnego, ich bowiem dalszy dobrobyt wiąże się ściśle z zapewnieniem tej osnowie rzeczowej wymaganej swobody ruchów, którą krępuje istniejąca konstytucja społeczna. Tworzą one materjał na armję społeczną, która winna urzeczywistniać nowe hasła. Idea, rozpowszechniając się, niejasnym dążeniom nadaje charakter świadomy, rozstrzelone siły wiąże w całość, wskazuje im przyczyny i cele. W tym okresie djalektyki społecznej świadomość staje się czynnikiem doniosłości pierwszorzędnej. Dla akcji świadomej otwiera się bardzo szerokie pole, przyczem rozwiązanie zależy w całej pełni nietylko od entuzjazmu tłumów, ale i od inicjatywy społecznej pojedyńczych osób, ich talentu i dzielności.

5. Umysł ludzki prócz idej, formułujących zadania społeczne, co w rozwoju żywiołowym dojrzały do urzeczywistnienia, wyłania najrozmaitsze kombinacje pomysłów, dotyzących więzi społecznej. O ile nie posiadają one szerokiego

oparcia w materjalnych warunkach bytu, albo przeczą wszelkim dążeniom rozwojowym, są może ciekawym wytworem psychologji indywidualnej, ale ze stanowiska dziejowego są utopjami. Wprawdzie i utopje czerpią pobudkę swoją z istniejących pierwiastków życia, ale zależność ta jest dość luźną, dowolność znaczną i zrozumienie przez nie dążności społecznych w większości wypadków zazwyczaj słabe. Są to wióry idejowe, że tak rzekniemy, przebiegu dziejowego—nic nadto.

III.

WĘDRÓWKA IDEI.

(1897).

Badaliśmy pochodzenie idej w związku z warunkami otoczenia, wśród którego ukazywały się po raz pierwszy. Staraliśmy się wykazać, że w dynamice rozwoju społecznego idea jest zjawiskiem wtórnem, pochodnem, tj. występuje jako słowne sformułowanie potrzeb, które zwolna powstały w łonie społeczeństwa w sposób żywiołowy pod działaniem świadomości, zwróconej w kierunku interesów wyłącznie osobistych i pozbawionej dlatego wszelkiej myśli o tem, jakie stosunki ukażą się z biegiem czasu w społeczeństwie skutkiem nagromadzenia nieznacznych zmian w dziedzinie warunków rzeczowych bytu społecznego. Przedstawiliśmy, jak pod wpływem pobudek natury prywatnej siły wytwórcze ulegają zwolna przekształceniu, jak zmiany ilościowe, tam zachodzące, zwolna stwarzają nowy zrąb stosunków rzeczowych i jak w dalszym ciągu na tem podłożu rodzą się nowe potrzeby i dążenia. Zwolna a żywiołowo powstaje w życiu społecznem nowe zadanie, gromadzące jednocześnie środki swego rozstrzygnięcia. Idea jest właśnie sformułowaniem takiego zadania i zarazem wskazaniem dróg jego rozwiązania.

Sprowadziliśmy więc ideę z wyżyn mglistej frazeologji socjologicznej na grunt faktów, bo uznaliśmy ją za wypowiedzenie w mowie członkowanej wymagań rzeczywistości codziennej. Ponieważ zastanawialiśmy się tylko nad jej rodowodami, przeto w analizie nie wychylaliśmy się poza otoczenie, którego idea była płodem, i na uboczu pozostawiliśmy

wszelkie dochodzenia nad tem, w jaki sposób oddziaływa, skoro przedostanie się do innych krajów, w których stosunki rzeczowe nie odznaczają się jeszcze odpowiednim stopniem dojrzałości, ani też nie są dostatecznie wyraźne, ażeby można się było tam spodziewać samoistnego zjawienia się takich aspiracyj. Gdzie idea zrodziła się i istnieje nie jako fantazja pojedyńczego zwichrzonego umysłu, ale jako hasło dziejowe warstw całych, tam zadanie, zwolna wytworzone przez życie, jest już o tyle posunięte, że może wyłonić myśl o najwłaściwszym sposobie swego rozwiązania. Natomiast w innym kraju zaledwie może powstają dopiero pierwiastki tego zrębu stosunków rzeczowych, który gdzieindziej wyłonił już nową ideę, jako sformułowanie świadome swoich potrzeb. Idea jednak przedostaje się i do tego kraju, opóźniającego się w swoim rozwoju i zaczyna oddziaływać na umysły. Przynosi z sobą cudze doświadczenie dziejowe i naturalnie nie może nie wywrzeć wpływów, zwłaszcza jeśli doczekała się gdzieś całkowitego lub częściowego urzeczywistnienia i dowiodła dobitnie praktyczności swojej lub jeśli przenika do kraju, w którym pokrewne pierwiastki rzeczowe doszły niejakiego napięcia i tylko zbywa tam na świadomem ich wypowiedzeniu.

Z dziejów Europy średniowiecznej można przytoczyć przykład olbrzymiego wpływu, jaki wywarła idea, zrodzona w innej epoce. Jest to okres odnalezienia pomników prawa cywilnego rzymskiego i rozpowszechnienia zawartych w nich pojęć. Zatrzymywaliśmy się już nad rozwojem miast i wpływem prawa rzymskiego na tę sprawę, poprzestaniemy więc na powtórzeniu zasadniczych punktów, tam wskazanych.

Wiemy, iż w grodach średniowiecznych zwolna, w ciągu wieków, powstaje pod wpływem rozwoju handlu atmosfera nowych pojęć i poglądów prawnych. Z dnia na dzień, pod działaniem nowych stosunków rzeczowych, przekonywano się tam o nieodpowiedniości pomiędzy dawnym zwyczajem a powstającemi nowemi potrzebami i szukano wyjścia z tych pęt przeszłości. Miasta formułowały ukazujące się potrzeby prawne i usiłowały otrzymać dla nowych zwyczajów sankcję władzy najwyższej, tj. starały się u panów feodalnych o potwierdzenie nowych modeł postępowania. Już w w. XII i XIII nadania książęce zaczynają otaczać opieką swoją zja-

wiające się zarodki nowego prawa. Przywileje dotyczą najrozmaitszych stron życia: udzielają mieszczanom nieograniczonej wolności kupna i sprzedaży, tj. prawa użycia i nadużycia własności, przyznają im wolność rozporządzania przed śmiercią majątkiem i robienia testamentów. Naturalnie, często dochodzi do zatargów pomiędzy tradycją a wymaganiami nowych sił wytwórczych. Powstaje z początku nieokrzesana i niezręczna, później zaś coraz subtelniejsza kazuistyka o różnicy pomiędzy mieniem ruchomem a nieruchomem, zapracowanem a odziedziczonem, lub co do zwyczajów wyznaczania opiekunów, przypuszczania kobiet do spadku. Doskonali się zwolna prawo osobowe i nowe rodzinne, rzeczowe i spadkowe. Miasta torują drogę nowym potrzebom i w dalszym ciągu nowym pojęciom i normom prawnym, oraz poszukują najwłaściwszego dla nich sformułowania. Poród nowych instytucyj odbywa się ociężale. Uczucia moralne, wyhodowane w otoczeniu zwyczaju germańskiego, buntują się przeciw ulegalizowaniu lichwy, ograniczeniu praw rodu lub sąsiedztwa, rozkiełznaniu pobudek interesu osobistego. Odkrycie pomników prawa rzymskiego (które rozpowszechnia się w Niemczech w w. XV i XVI) znakomicie ułatwia nastanie nowych porządków. Wytwór gospodarstwa wymiennego, prawo to w sposób jasny, zwięzły a jędrny wypowiedziało i opracowało właśnie te normy, ku którym parło życie grodów średniowiecznych żywiołowo po przez pasmo doświadczeń odruchowych, rozstrzelonych. Co trzeba byłoby formułować krok za krokiem, poprawiać i przeinaczać, tam wszystko to było już wyłożone i usystematyzowane. Miasta dostały w upominku kodeks jako rzecz gotową, co odrazu uwolniło pokolenia ówczesne od wyszukiwania rozwiązań dla kolejno powstających zadań drogą poszczególnych i niezależnych wysiłków i od uzyskiwania potrzebnej sankcji dla każdego takiego rozwiązania. Rozwój przepisów prawnych ma teraz przed sobą wytkniętą drogę. Kodeks ów, posiadający po swojej stronie zmurszałą powagę wieków i urok wielkości Rzymu, przyczynia się do rychlejszego oczyszczenia widowni historycznej od przeszkód, bo tradycji germańskiej przeciwstawia inną, jeszcze starożytniejszą. Rozpowszechnia się więc popierany przez warstwy miejskie i sięga nietylko tam, gdzie dojrzałe już stosunki parły do wyłonienia norm podobnych,

ale nawet wywiera wpływ na dalsze dziedziny życia. Narzekania zachowawców niemieckich, że prawo rzymskie zgniotło powszechnie zwyczaj germański, nie są pozbawione słuszności. Doświadczenie ubiegłych wieków, sformułowane i zakrzepłe w kodeksie, służy za potężną dźwignię dziejową i niszcząc normy tradycyjne, odrazu toruje drogę dla rozwoju nowożytnych instytucyj prawnych. Usuwa zaś nietylko przeszkody współczesne, ale i przyszłe, innemi słowy, przyspiesza nastanie nowych stosunków rzeczowych i nowych potrzeb. Bez pomników prawa rzymskiego rozwój Europy może opóźniłby się o parę stuleci, opóźniwszy się zaś, może potoczyłby się nieco inaczej.

Kodeks cywilny rzymski był urzeczywistnieniem idej, które w swoim czasie zjawiły się jako sformułowanie żywiołowo dojrzewających wymagań życia codziennego. Lecz przeniesione w czasy średniowieczne, a więc oderwane od gruntu, z którego wyrosły, ideje te w rozwoju dziejowym występują w innym charakterze. W miejscu swoich narodzin poczęły się były z faktów, i tylko z faktów, tj. były jedynie odbiciem potrzeb życia, wypowiedzeniem jego dążeń, rozwiązaniem zadań, które żywiołowo ukazały się. Były naówczas w dynamice rozwoju zjawiskiem wtórnem. Ale po wiekowem milczeniu odgrzebane, występują jako czynnik samodzielny, pierwotny, który swojem ukazaniem wyprzedza fakty życia, przynajmniej niektóre, i przyśpiesza ich nastanie.

Tak samo działa wszelka inna idea.

Naturalnie nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby stwarzała coś z niczego, ale tylko, że przyczynia się do pośpieszniejszego uświadomienia tego, co jest jeszcze nieuświadomione, choć już istnieją podatne po temu pierwiastki, że nierozwiniętym i niezorganizowanym pierwiastkom społecznym wskazuje drogę postępowania, że wreszcie w ten lub inny sposób przeinacza bieg dziejów, który bez jej wdania się może przybrałby nieco inny kierunek. Taka wędrowna idea, np. uwłaszczenia, emancypacji kobiet, ustawodawstwa fabrycznego, co przybyła z krajów bardziej posuniętych, może silnie zaważyć na losach społeczeństwa, które nawiedziła. Jako czynnik zgoła samodzielny, wyprzedzający dojrzałość społeczną, wżera się tam w poczet działających sprężyn.

Idea przedostaje się do jakiegoś kraju nieraz wtedy, gdy wymagane przez nią w strukturze społecznej pierwiastki są w nim jeszcze bardzo mało rozwinięte. Powołuje tam wówczas ruchy, ciekawe pod wielu względami. Prądy gdzieindziej będące wytworem faktów, tj. potrzeb szeroko odczuwanych, pociągają w takim kraju przedewszystkiem ku sobie głodomorów nerwowych, którzy chciwie połykają „nowinki", nadchodzące zdaleka, i połknąwszy je pośpiesznie, tak samo szybko rozstają się nieraz z niemi. Nie konieczność społeczna działa, nie zadanie jakieś domaga się rozwiązania, ale tylko potrzeba umysłowa — spożywania czegoś denerwującego. Ruch, który gdzieś jest prądem społecznym, tj. zrodził się z faktów życia, z tętnienia potrzeb powszechnych, z aspiracyj warstw całych, zamienia się tam w objaw natury wyłącznie antropologicznej, a w związku z tem ulega wykoszlawieniu i nieraz zwyrodnieniu. Przynajmniej istnieją tam w nadmiarze temperamenty, nadające mu osobliwe piętno. Zresztą nie chcę tego twierdzić o wszystkich. Wśród tłumu głodomorów nerwowych istnieje zawsze jądro stałe a zdrowe — ideologów. Są to umysły wrażliwe, które zapoznawszy się z nowem hasłem, pozostają mu wierne, wówczas gdy inni, po nasyceniu łaknienia nerwowego, odpadają. Gromada ta ideologów tworzy poniekąd sztab generalny przyszłej armji społecznej, która powoli się tworzy pod jej wpływem w miarę dojrzewania stosunków rzeczowych lub uświadamiania już istniejących. Tam, w kraju, w którym idea zrodziła się po raz pierwszy, taki sztab powstaje zwolna z pośród warstwy, która w idei znalazła była sformułowanie swoich aspiracyj, przyczem wciąż jest świadom swego pochodzenia, odczuwa związek swoich dążeń z potrzebami życia rzeczywistego i wie o co walczy i z jakich powodów. Tymczasem ideolodzy w kraju mało rozwiniętym, którzy przejęli się tą ideą, czerpią moc swoją nie w poczuciu krzywd przez siebie doznanych, ale w instynktach swoich społecznych. Skłonni są ideę, która zapłodniła ich umysł, uważać za produkt, bujający po świecie samowolnie, i patrzą z góry na czerstwe fakty życia, które w własnem ich otoczeniu niekiedy nielitościwie obdzierają ich z różnych złudzeń. Własne doświadczenie przenoszą na cała więź społeczną: jak sami stali się rzecznikami nowego prądu na przekór interesom własnej warstwy, tak samo ich zdaniem

zrobić mogą i powinni inni. Idea traci dla nich charakter klasowy, przestaje być sformułowaniem namacalnych czyichś interesów i potrzeb, a obdarta z mięsa historycznego, zamienia się w twór bezcielesny, w dzieło myśli krytycznej, w wypowiedzenie zasad bezwzględnej po wiekuistość prawdy. Ideolog taki, pozbawiony gruntu pod nogami, od faktów lubi apelować do sprawiedliwości i etyki, od życia do ideałów, od rzeczywistości do utopji, od przedmiotowego badania do probierzy subjektywnych („subjektywna metoda" w publicystyce rosyjskiej!) Trwa to dopóty, póki życie nie wykluje właściwych tej idei pierwiastków rzeczowych, które zamiast snucia poetyckich rojeń i wywodów metafizycznych dadzą ideologom robotę realną, pożyteczną.

* * *

Ideje rozpowszechniają się z niejednakową łatwością podczas następujących po sobie okresów rozwoju dziejowego.

Czasy średniowieczne były okresem samodzielności miejscowej i rozstrzelenia sił ludzkich. Powstające w różnych punktach miasta dopiero w epoce późniejszej powiążą się nawzajem drogami komunikacyjnemi i wymianą produktów. Początkowo zaś każde z nich nietylko zaspokaja potrzeby swoje produktami własnej okolicy, lecz i w życiu publicznem tworzy zamkniętą całość z ograniczonemi, samoistnemi widnokręgami, z zadaniami wyłącznie miejscowemi. Rozwój miast odbywa się jednak w niejakiej równoległości wzajemnej i wyłania wszędzie te same zagadnienia: przybysze w stosunku do prastarych obywateli-rolników są coraz liczniejsi i zamożniejsi, w ich ręku spoczywa proceder rzemieślniczy i gromadzi się mienie ruchome, lecz zarząd miastem należy do starych rodów, które dowolnie rozporządzają się rzeczą pospólną. Wszczyna się antagonizm, stanowiący treść dziejów grodów średniowiecznych—plebejatu, organizującego się w cechy, przeciw przywilejom patrycjuszów. W każdem mieście, które wzrasta w rozmiary i dobrobyt, z rozwojem handlu ukazują się te same zagadnienia: trzeba stworzyć normy prawne, odpowiedniejsze do wymagań życia opartego na wymianie, niż starodawny zwyczaj germański. Wszędzie mieszczanie rozwiązują wyłaniające się zadania w podobny sposób i wszędzie ścierające się nawzajem interesy użyt-

kują jednakowo z istniejących urządzeń, jako narzędzi walki. Ale skutkiem rozstrzelenia ludności i odosobnienia każdego takiego ośrodka nowych potrzeb i interesów, zapasy interesów i ewolucja stosunków toczą się w każdym grodzie w niezależności wzajemnej. Okoliczność, że może gdzieś w pobliżu rozwiązano już jedno z nastręczających się zadań i zdobyto cenne doświadczenie, nie wywiera wpływu na przebieg wypadków w innem mieście. Rozwikłanie powstających zagadnień odbywa się w wielu punktach samodzielnie. Uczestnicy zdarzeń dziejowych działają, zbyt często nieświadomi doświadczenia, które gdzieindziej już nagromadzono.

Bynajmniej nie chcemy twierdzić, ażeby każde miasto żyło tylko własnym rozumem. Nawet w w. XIII i XIV, mimo autonomji gospodarczej ówczesnych ośrodków przemysłu rzemieślniczego, idea, ukazująca się w któremkolwiek z pośród nich, oddziaływa na bliższych sąsiadów. Plebejusze któregoś grodu, wypróbowawszy doniosłość organizacji bojowej: cechów i wyłoniwszy hasła równouprawnienia wszystkich mieszkańców miasta, tem samem wskazują towarzyszom z innych ognisk produkcji przetwórczej najwłaściwsza drogę postępowania, oraz najstosowniejsze narzędzia walki klasowej. Burgi, które powstały później lub urastają wolniej na grody, otrzymują już gotowy schemat dążeń, pożądań, środków i haseł. Ideje te, w wędrówce swojej dostawszy się do miasta, w którem odpowiednie podłoże rzeczowe utworzyło się już było pod działaniem żywiołowego parcia inicjatywy prywatnej, lecz nie uświadomiło jeszcze własnego istnienia i nie sformułowało zadania, oczekującego na rozwiązanie, niecą tam poczucie interesu i przyśpieszają wyklucie się nowych urządzeń. Tak samo cudze doświadczenie, doszedłszy patrycjuszów, uczy ich zapobiegać ocknięciu się świadomości wśród rzemieślników. Do samodzielnego ogniska życia dociera empirja skądinąd nadchodząca, wypowiedziana w idei; dotarłszy zaś, występuje tam w charakterze samoistnej siły dziejowej, wpływającej na wypadki. Przedstawiciele walczących interesów, bez własnych wysiłków, stają się zbrojniejsi — wynikami cudzego doświadczenia. Tylko, że takie oddziaływanie bardziej posuniętych ognisk życia miejskiego na mniej rozwinięte było podczas Wieków Średnich słabe i rzadkie skutkiem ciasnych i zamkniętych widnokręgów życia, a także

braku dróg i wogóle powiązania wzajemnego. Idea wydostawała się bądź co bądź poza mury grodu rodzinnego, ale wpływy jej nie mogły być rozległe i doniosłe, póki zamiast pierwotnego odosobnienia pomiędzy miastami nie okrzepła wymiana produktów materjalnych. W harmonji z taką zaściankowością życia i zakres działalności dziejowej, przynależny osobie pojedyńczej, był ograniczony. Ktoś w któremś mieście wygłaszał ideę i poświęcał życie na zapewnienie zwycięstwa swoim przekonaniom. Chociażby był wyjątkowo uposażony w zdolności umysłowe lub odznaczał się hartem ducha niepospolitym, sprężystością charakteru i umiejętnością zespalania serc i wysiłków ludzkich, żywot jego upływał w nieznacznych utarczkach w kole paru tysięcy osób. Imię jego poza murami grodu pozostawało zwykle nieznane i pamięć o nim gasła rychło nawet w zakątku rodzimym — wypalał się jako świeca w ukryciu, mimo siły swego światła nie rozpraszając mroków na dalszej przestrzeni.

Zarówno zakres skuteczności czyjegoś poświęcenia, jak i wpływ, jaki wywierały twory jego mózgu, pracującego nad sformułowaniem zadań życia i dróg ich rozwiązania, w końcu rozległość korzystania z cudzego doświadczenia, wszystko to tak samo było ciasne i stłoczone, jak domy burgów, piętrzące się w górę, lecz szerokie zaledwie na jedno lub dwa okna, zamknięte i okratowane. Odosobnieniu wzajemnemu i gospodarczej samodzielności grodów odpowiadało takie samo rozstrzelenie wysiłków ludzkich i niezależność zadań, podejmowanych tu i owdzie, w ogniskach życia miejskiego, choć te zadania wszędzie były jednakowej natury.

To oddziaływanie jednego ogniska dziejów, postępowszego, na inne, opóźniające się w rozwoju, rośnie w miarę spotężnienia stosunków wymiennych. Pomiędzy miastami, niegdyś samodzielnemi pod względem gospodarczym i — co za tem idzie — dziejowym, tworzy się coraz zawilsza i gęstsza sieć dróg komunikacyjnych, obrót towarów zatacza coraz liczniejsze i szersze kręgi, wymiana idej staje się coraz bardziej napiętą. Nie będziemy śledzili krok za krokiem tego postępu. Zatrzymamy się tylko nad ostatniem w czasie jego ogniwem — stosunkami, właściwemi społeczeństwom dzisiejszym.

Państwo nowoczesne jest z pozoru całością samodzielną

i zamkniętą pod względem politycznym, naród zaś pod względem zadań kulturalnych. Ale ani jedno, ani drugi nie mają autonomji gospodarczej. Tę zburzyła wzajemna zależność ludów, uwydatniająca się w międzynarodowym podziale pracy. Każdy z nas jest połączony niewidzialnemi, lecz mocnemi więzami z odległemi krajami i niesie odpowiedzialność za czyny, których nie popełniał, i tem samem pokutuje nie za swoje winy. Gdzieś, na drugiej półkuli, ulepszono technikę zamrażania mięsa i nabiału, transporty tych produktów z Ameryki i Australji napływają do Anglji i wywołują zniżkę cen na rynkach europejskich, przyprawiając rolników naszej części świata o ruinę. Fabryki tkanin bawełnianych w którymś kraju wytworzyły za wiele towaru, kanały zbytu zostały zapchane, zastój ogarnia warsztaty i tysiące robotników, pracujących w zakładach łódzkich, znalazły się na bruku, pozbawione zarobku i środków do życia. I w którąkolwiek dziedzinę życia wzrok swój zapuścimy, odszukamy wszędzie taką zależność. Podział pracy rozgałęzia się i wiąże nawzajem dalekie okolice globu ziemskiego, z nim zaś rozszerza się napięcie oddziaływania wzajemnego. Każdy kraj utraca swoją samodzielność dawną. Anglja np. jest śród ludów jak gdyby miastem, pobierającem skądinąd płody surowe i wiktuały i wysyłającem wzamian fabrykaty. Przerwanie na kilka tygodni komunikacji z innemi częściami globu wywołałoby tam klęskę powszechną, taką samą, jaka nastałaby w mieście oblężonem, niezaopatrzonem należycie w środki spożywcze. I nasz naród, chociaż skutkiem nizkiego poziomu niezależniejszy, przecież nie tworzy organizmu samodzielnego gospodarczego. Starczy uprzytomnić sobie te następstwa, jakie sprawiłoby zupełne odosobnienie jego od reszty świata: nietylko musielibyśmy się wyrzec wielu produktów spożycia codziennego i użytkowania z wynalazków technicznych, nietylko na razie zostalibyśmy narażeni na głęboki przełom w handlu i przemyśle, ale także bylibyśmy zubożeni pod względem umysłowym, bo zamknięto by nam dostęp do skarbca wiedzy, nagromadzonej tam na obczyźnie. Koleje żelazne, organizacja poczt i telegrafów, tranzakcje terminowe, kompensaty wekslowe, to tylko zewnętrzne oznaki tej wzrastającej z dniem każdym zależności. Po nad życiem kulturalnem ludów, po nad aspiracjami politycznemi państw

roztacza swoje wpływy więź ekonomiczna i jednoczy je w organizm wyższego rzędu — wymiany międzynarodowej i międzynarodowego podziału pracy. Oddzielne kraje przekształcają się w prowincje tego szerszego stosunku społecznego,—bądźmy szczerzy i rzeknijmy: społeczeństwa międzynarodowego. Społeczeństwo to zaś potężnieje. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty tylko wyjątkowo można było w dziale politycznym gazet spotkać wzmianki o Afryce lub Japonji. Kraje egzotyczne zajmują tam teraz stałą rubrykę. Za parę dziesiątków lat jeszcze, gdy koleje przerzną Afrykę i Azję, gdy wzrosną w liczbie swojej sieci telegrafów podmorskich i linje parostatkowe, cały glob ziemski będzie przedstawiał jakgdyby jeden organizm wymienny.

Na podłożu tej rozwijającej się zależności obrót przybiera rozmiary coraz rozleglejsze. Nietylko martwy produkt ręki naszej wędruje z miejsca na miejsce, lecz całe rzesze ludzkie opuszczają siedziby ojców i szukają szczęścia gdzieindziej. Wędrówka ludów pozostała na zawsze na stronicach historji naszej cywilizacji. Ale co do rozmiarów swoich przybiera charakter coraz skromniejszy, zestawiona z nowoczesnym potokiem, kiedy kilkaset tysięcy osób corocznie porzuca starą Europę, ażeby szukać szczęścia za morzami. Emigracja zaś zamorska jest tylko najbardziej napiętym objawem masowego przenoszenia się ludzi z miejsca na miejsce. Tak samo rozpowszechniają się ideje. Nowe hasło, wypowiedziane w któremś miejscu, w krótkim czasie przedostaje się do najodleglejszych zakątków organizmu wymiennego. Dość będzie rozpatrzeć dzieje krzewienia się teorji Henryka George'a. Prosty zecer, odznaczający się oryginalnością umysłu i polotem wyobraźni, lecz zupełnie nieświadom dróg, po których kroczył był przed nim rozwój wiedzy ekonomicznej, wskrzesił teorję dawnych fizjokratów o wartościotwórczej potędze ziemi, opierając się na doświadczeniu dopiero kiełkującej cywilizacji w Kalifornji, tylko, że nadał swoim wnioskom charakter radykalny, odpowiadający interesom warstw pracujących. Doktryna jego w ciągu paru lat rozpowszechniła się wszędzie i wywołała w wielu krajach prąd dość rozległy w kierunku unarodowienia ziemi. Na razie nie chodzi nam bynajmniej o wartość tej teorji, jeno o mechanizm oddziaływania. Właśnie, dzięki powyżej zaznaczo-

nemu powiązaniu ludów, idea, wygłoszona w jednej dzielnicy obszaru wymiennego — tam, gdzie stosunki są odpowiedniejsze, niebawem rozszerza się na inne prowincje tego organizmu wymiennego i staje się tam czynnikiem dalszego rozwoju. Rozległość wpływów pojedyńczej osoby wzrasta: George w mieście średniowiecznem oddziałałby tylko na parę tysięcy współobywateli grodu rodzimego. Tymczasem dzisiaj wywarł wpływ na wszystkie kraje cywilizowane. Genjusz ginął ongi spętany rozstrzeleniem sił społecznych, obecnie człowiek miernych nawet zdolności zdoła wywrzeć wpływ o tyle większy, o ile obrót soków wymiennych jest rozleglejszy, niż niegdyś. Zwłaszcza kraj zacofany systematycznie zalewają idee zagraniczne, tj. zalewa go cudze doświadczenie. Pod tym wpływem rozwój jego podążać musi inaczej, niż gdyby był pozostawiony własnym siłom i własnej pobudce.

Wędrówka idej zaś jest tembardziej napięta, skutki jej donioślejsze, ile że jednocześnie, na całym obszarze międzynarodowym, stosunki społeczne kształtują się coraz wyraźniej według tej samej zasady.

* * *

Dają się słyszeć głosy, że życie społeczne chwili obecnej wyróżnia się niezmierną złożonością.

Przecież tyle powstało odmiennych zajęć, nauka nagromadziła takie mnóstwo wiadomości, psychika ludzka wykwita tylu i tak wysubtelnionemi i różnorodnemi uczuciami, walka o kawałek chleba jest tak ciężka i trzeba wykazać w niej tyle energji i zabiegliwości! A im cywilizacja będzie posuwała się dalej, tem warunki bytu będą coraz trudniejsze: tylko silny pływak zdoła utrzymać się na wzburzonych falach życia i igrać z bałwanami, które każdej chwili mogą pochłonąć słabszego...

Fakty te są niewątpliwą prawdą, prócz proroctwa na temat przyszłości, która napewno wypłata niejednego figla wieszczom, budującym jej kształty z powierzchownego rozbioru teraźniejszości. Żaden z dotychczasowych okresów dziejowych nie wymagał od człowieka takich wysiłków i nie trzy-

mał w takiem napięciu wszystkich jego uzdolnień. Gospodarstwo naturalne wyróżniało się jednostajnemi a nielicznemi potrzebami i, co zatem idzie, było ubogie w rozmaitość uczuć, w objawy ducha wogóle. Drobny sposób produkcji, właściwy ówczesnej epoce stosunków gospodarskich, podciągał wszystkie charaktery pod ten sam strychulec i wyklinał żądze, instykty i pociągi, które sprzeciwiały się należytemu spełnianiu obowiązków. Noweliści niejednokrotnie odtwarzali smutną historję natur artystycznych, które ujrzały były świat pod strzechą wieśniaczą — marzycielskie, rwące się od pasania gęsi w czarodziejski świat dźwięków i kształtów, niosły krzyż istotny przez wszystkie dni swego żywota. Tymczasem rozgałęziony podział pracy wraz z innemi stosunkami życia dzisiejszego stworzył zapotrzebowanie obfite na zdolności i talenty, które ongi były skazane na milczenie i jałowe szamotanie z braku zastosowania. Objawy ducha ludzkiego stały się bardziej złożonemi nietylko dlatego, że nasze jestestwo duchowe uległo zmianom, ale poprostu ponieważ zarodki, drzemiące w głębiach jaźni naszej, podczas okresów drobnej produkcji ginęły bezowocnie, tak samo, jak zamiera wątły kwiat wśród zielska. Podłoże rzeczowe rozrosło się dzisiaj w życiu społecznem tak wszechstronnie i rozlegle, stało się tak skomplikowanem i różnorodnem, że i okazy rodu ludzkiego, rozmieszczone na jego posterunkach, nabierają pozornej złożoności, jak papier woskowy, pod który podłożono rysunek. Nie dość tego! Rozwój potęg wytwórcych, którym za ciasno jest w powijakach zarządu indywidualnego, stwarza, jako instytucję stałą, nadprodukcję towarów i umiejętności, rodzi konkurencję i wyuzdaną walkę o byt i stanowisko, przynagla wszystkie zdolności do gorączkowej i rozstrajającej działalności, nienormalnym podziałem obowiązków i praw i niezdrowem ukształtowaniem sposobów życia i pracy wykoszlawia naszą jaźń uczuciową. Pod wpływem współzawodnictwa wzajemnego powstaje bardzo zawiły ustrój warunków bytu: potęgi materjalno-społeczne, stworzone ręką ludzką, wyrastają na „żelazne prawa“ przyrody, niosące zagładę dobrobytowi ludzkiemu i zawsze kryjące w łonie swojem możliwość klęsk. Wszystko to odźwierciedla się w duszy ludzkiej złożonością objawów ducha, niekiedy rzeczywistą częściej może tylko pozorną.

Na przekór tej różnobarwności i złożoności, struktura społeczeństwa jest dzisiaj prostsza, aniżeli kiedykolwiek w ciągu wieków ubiegłych. Pogląd ten wygląda poniekąd na paradoks, ale bynajmniej paradoksem nie jest. Budowa życia teraźniejszego, rzekliśmy, jest prostsza. To znaczy: stosunki społeczne odznaczają się niezmiernem ujednostajnieniem na przestrzeni olbrzymich terytorjów, wzrastającem coraz bardziej, i jednocześnie w swoim składzie zawierają mniejszą liczbę odmiennych pierwiastków.

Te właściwości społeczeństwa współczesnego występują na jaw już przy powierzchownym rozbiorze.

Starczy porównać stosunki, właściwe ubiegłemu stuleciu, z temi, jakie istnieją w naszem otoczeniu, ażeby zrozumieć rozmiary tego ujednostajnienia. Zamiast pstrokatej galerji ubiorów, zamiast odmiennych zwyczajów, nawet dań obiadowych, krzewi się coraz większa jednolitość, powiedzielibyśmy nawet: szablon. Z okien wagonu, wiozącego nas przez błonia okolic, które mają jeszcze dość wyodrębnioną fizjognomję, możemy przyglądać się przewybornie temu wylewowi jednostajności kosmopolitycznej i równoległemu zanikowi odrębności starodawnej. W oddaleniu na widnokręgu spostrzegamy chaty włościańskie budowy starodawnej, rodzimej, tu i owdzie oko dojrzy kogoś w kostjumie miejscowym, na upartego ucho może podchwyciłoby nutę swojskiej melodji ludowej. Natomiast na stacji i w jej pobliżu rozsiadła się architektura, powtarzająca się stale z jednego końca obszaru międzynarodowego do drugiego, kapelusze i krój sukni jest ten sam, katarynka wygrywa tę samą arję z którejś operetki. Ujednostajnienie to bierze początek swój w ogniskach miejskich życia: wielkie miasta są ośrodkiem nowego okresu — ujednostajnionych stosunków i ujednostajnionego trybu życia, koleje — arterjami, po których nowa kultura, miejska, rozchodzi się wzdłuż i wszerz dawnych organizmów kulturalno-narodowych.

Zanik dawnej rozmaitości jest tylko objawem zewnętrznym, świadczącym, iż w głębi życia społecznego zachodzą doniosłe zmiany. Z pośród wolnej konkurencji wyrosły olbrzymie siły wytwórcze, oparte na centralizacji. Ześrodkowanie pod temi samemi rozkazami narzędzi pracy i zrzeszenie wysiłków ludzkich w życiu wytwórczem stało się dźwignią

postępu, którego skutków niepodobna obliczyć na razie. Centralizacja zaś przemysłowa, rozpowszechniając się, upraszcza stosunki społeczne w każdym innym zakresie życia.

Podróżny, który udawał się był ongi z Warszawy do Paryża w epoce gościńców i furmanek, tracił dużo czasu na podróż i musiał ponieść mnóstwo przykrości i mozołów. Puszczając się po kilku latach w taką samą podróż, odnosił niewiele korzyści z dawnego doświadczenia. Dzisiaj kolej przewozi go w dwie doby i bez kłopotów. Centralizacja transportu, ujednostajniła podróż i my czujemy się w wagonie, jak na własnych śmieciach.

Albo przyjrzyjmy się produkcji mięsa za Atlantykiem. W Chicago, Omaha i innych miastach powstały olbrzymie rzeźnie, bijące rocznie po kilka miljonów sztuk bydła. Z dnia na dzień, ze stepów, odległych o tysiące kilometrów, przebywają setki wagonów, wiozących żywe okazy, i tak samo codziennie inne pociągi rozwożą stamtąd mięso wzdłuż wszystkich kolei i składają je w śpichlerzach na stacjach, skąd mięso jest wysyłane do jatek. Proceder jest prowadzony w tak wielkich rozmiarach, odróżnia się taką prostotą, ładem i ujednostajnieniem, działa z taką prawidłowością, że Stany Zjednoczone z mniejszą trudnością zdołałyby unarodowić zawód rzeźnicki, niż Warszawa — zmunicypalizować.

Olbrzymie przedsiębiorstwa krzewią się coraz bardziej w dziedzinie wytwarzania i spożycia. Ujednostajnienie jest ich dziełem. To ujednostajnienie niekiedy dochodzi do ordynarnego, koszarowego szablonu, choć winniśmy zaznaczyć, że nie tyle jest to wina koncentracji wysiłków, ile niskiego poziomu dobrobytu. Samo zaś ześrodkowanie działalności gospodarczej wysuwa naprzód nie jednostki, lecz masy, czyli, że zapożyczymy terminu z teorji prawdopodobieństwa, wielkie cyfry. Właśnie ta okoliczność sprowadza tam stałość, kędy niegdyś samowolnie rządziły kaprys i przypadek. Biorąc osobę bliżej nam nieznaną, w żaden sposób nie zdołamy z góry przewidzieć jej czynów: czy skończy śmiercią naturalną lub samobójstwem. Jednostka to dowolność, nie poddająca się obliczeniom. Rzecz przybiera fizjognomię zgoła odmienną, odkąd dokonywamy obrachunku na podstawie wielkich cyfr. Statystyka wykazała, że liczebność postępków, na

pierwszy rzut oka tak dowolnych, jak ilość źle zaadresowanych listów lub popełnionych samobójstw, trzyma się w społeczeństwie określonych granic, poza jakie nie wychyla się, ciążąc do stałego poziomu. Na razie może nie zdołalibyśmy przytoczyć znamienniejszego dowodu, że życiu gromadnemu przywodzą pewne prawa i zasady, nad tę stateczność liczb statystycznych.

Centralizacja stwarza wszędzie tłumy i wysuwa je zamiast dowolnego działania jednostek. Dawniej każdy rzemieślnik i włościanin żyli w niezależności wzajemnej, oddzielne zaś miasta i wioski tworzyły każde ognisko samodzielnej kultury. Takie rozstrzelenie stwarzało, w sferze sił społecznych, zamęt i otwierało szerokie pole kaprysowi i samowoli, wyłamującym się z pod wszelkiej zasady i przewidywania. Potęgi społeczne, posiadając niezmierną mnogość punktów swego stosowania, krzyżowały się nawzajem i znosiły. Każdy z członków narodu był jako polip, który siedział na miejscu i po za miedzę wioski lub mury burgu nie wykraczał swoim wzrokiem. Działał, ale jego wysiłki łączyły się w solidarną wypadkową tylko z wysiłkami niewielkiego grona osób. Epoka obecna zburzyła taką samodzielność, wynikającą z ówczesnego rozstrzelenia sił wytwórczych. Zamiast tysięcy rzemieślników, znajdujących się każdy w odmiennych warunkach, stworzyła fabryki, które poddała wpływom ze strony tego samego rynku wszechświatowego i które w dalszym ciągu wiąże w trusty narodowe i nawet międzynarodowe — na jednym biegunie. Na drugim powołuje do bytu olbrzymie zastępy fabryczne najemników. Życie społeczne każdego narodu, w miarę wzmagania się centralizacji w przemyśle, zostało niezmiernie uproszczone, bo coraz bardziej zamiast mnóstwa niezależnych grup przedstawia dwie wielkie armie. Zamiast zadań rozstrzelonych nawkroś miejscowych, rozwiązywanych za pomocą środków także miejscowych, powstają zagadnienia ogólniejsze, obejmujące cały obszar międzynarodowy stosunków wymiennych, choć w każdym kraju ukształtowane odmiennie w szczegółach drugorzędnych.

Ujednostajnienie to i zrzeszenie, te same wszędzie pierwiastki rzeczowe i, co zatem idzie, te same zagadnienia, te same potęgi walczące i te same narzędzia dziejowe, wreszcie

wielkie tłumy i wielkie cyfry, oto obraz chwili tegoczesnej na przestrzeni całej cywilizacji. Tendencje rzeczowe, dzięki ujednostajnieniu, występują wyraźnie, działalność osób poszczególnych wiąże się w wspólną wypadkową. I wraz z tem człowiek uświadomił sobie, że społeczeństwem rządzą prawa, którym musi ulegać. Za panowania zamętu wysiłków indywidualnych zdawało się, że wola wolna człowieka jest jedyną siłą, kształtującą stosunki. Ale wśród krzyżowania wielu wól indywidualnych, wysiłki czyjejś działalności malały i niekiedy nie wydawały żadnego skutku. Dopiero wielkie cyfry ujawniły nam tę prawdę, że z czynów żywiołowych tworzą się stałe i wyraźne dążności. Poznawszy zaś je, doszliśmy do możliwości świadomego oddziaływania na rozwój społeczny. Przeciw piorunowi znachor dziki ma mnóstwo środków: modły, posty, amulety! Gdyby mu powiedziano, że to zjawisko przyrody odbywa się według praw niezmiennych, uważałby takie pojmowanie za ograniczenie i może za negację działalności ludzkiej, za obniżenie wpływów indywidualności myślącej. Nauka, zbadawszy elektryczność, znalazła, że działając na podstawie praw jej właściwych, można piorun nagiąć do woli ludzkiej i zrobić go nieszkodliwym. To samo można rzec o społeczeństwie. Poznanie praw rozwoju i zrozumienie konieczności dzisiejszych, ogranicza tylko pozornie skuteczność zabiegów indywidualnych, bo w gruncie rzeczy wyzwala jednostkę ludzką od poruszeń niepotrzebnych i bezowocnych. Nie niszczy skuteczności jej zabiegów, nie zwalnia ją od pracy społecznej, ale wskazuje, kiedy i jakie działalność jej wyda owoce lub spełznie na niczem. Ograniczając możliwości dziejowe pewnym zakresem i wytykając czynom ludzkim tylko pewne tory, pojmowanie, że rozwojem rządzą prawa, niweczy tylko niepłodne marzycielstwo w sferze społecznej. Poetische soziale Schwärmerei traci grunt pod sobą! Zamiast paradoksów i metafizyki wymaga się trywialnego może, lecz za to o wiele pożyteczniejszego obrachunku z faktami, wśród którego niema miejsca na dolce far niente, upozorowane fatalistycznym poglądem na rozwój, ani na mrzonki i sielanki dostosowane do własnych upodobań.

IV.

PRZESZŁOŚĆ A TERAŹNIEJSZOŚĆ.

(*Przeżytki.*)

Idea, naturalnie idea treści społecznej, jest sformułowaniem zadania, które pod wpływem działalności skierowanej na cele osobiste, prywatne, żywiołowo i samorzutnie powstało w łonie życia społecznego i domaga się swego rozwiązania.

Atoli życie, które nagromadziło pierwiastki dla jej powstania, które wydało ją i w końcu zrealizowało, biegnie wciąż dalej, a więc stwarza nowe stosunki i nowe potrzeby, nowe aspiracje i ideje, nowe zwyczaje i urządzenia.

Dla tworów epoki uprzedniej nastaje okres upadku i rozprzężenia.

Rozkład ów, zanim dobiegnie swego kresu, wymaga niekiedy dłuższego przeciągu czasu, w przebiegu zaś swoim przedstawia rysy mocno znamienne. Pomimo iż nastały w życiu nowe widnokręgi i oddawna zapanowały zgoła inne stosunki, przecież z dawnego zwyczaju lub urządzenia nie wszystko ulega rozprzężeniu i zanikowi. To i owo, niekiedy rzecz ważniejsza, częściej szczegół bardzo podrzędny, pozostaje i opiera się wytrwale potężnemu niszczycielowi, jakim jest czas. Gdybyśmy, wraz z heglistami, przyjęli, iż wszystko, co w pewnym okresie dziejów istnieje, było w chwili swego powstawania racjonalne, t. j. mogło dowieść, z punktu utylitarnego, pożyteczności swojej, wtedy moglibyśmy rzec, że po każdej takiej racjonalności dziejowej oddziedziczamy coś w spadku, coś takiego, co, znalazłszy się w innem otoczeniu, niczem nie może wykazać w sobie pierwiastku rozumnego.

Przytoczone poniżej zdarzenie dostarczy nam przewybornego przykładu tego działania i jednocześnie wyjaśni, co mieliśmy na myśli, mówiąc, że rzecz racjonalna w swoim rodowodzie, przekształca się w dalszym rozwoju w absurd dziejowy.

Było to na dworze petersburskim. Mikołaj I podczas jednej z przechadzek swoich spotkał szyldwacha stojącego gdzieś na zupełnem pustkowiu i zdziwiony bezcelowością posterunku, zapytał o powody. Nikt na razie nie umiał mu udzielić odpowiedzi: okazało się, iż od lat wielu stawiano posterunki według dawnego rozkładu i na pustkowie wysyłano żołnierza, ponieważ taki zwyczaj istniał oddawna. Rozpoczęły

się poszukiwania, kto i kiedy, oraz z jakich przyczyn nakazał czaty w tem ustroniu. Dopiero papiery archiwalne wyświetliły sprawę. Okazało się, że ongi, przed laty kilkudziesięciu, za czasów Katarzyny II, posadzono na tem miejscu różę i dla zapobieżenia, żeby ręka nieostrożna nie zniszczyła rośliny, postawiono straże. Krzew usechł, miejsce opustoszało, ale szyldwach wciąż sterczał, jako zabytek po przeszłości.

Szyldwach ów, pilnujący pustego placu, na którym ongi był klomb z różami, jest klasycznym przykładem z zakresu przeżytków,—survivalów, jak E. B. Tylor ochrzcił taką kategorję objawów rozwoju społecznego. Instytucje, zwyczaje lub wierzenia powstają jako fakt zgoła racjonalny i logiczny, w tem znaczeniu, iż ludzie jasno zdają sobie sprawę, po co te urządzenia istnieją i w jakim stosunku są do potrzeb rzeczywistych. Ale życie, które wyłoniło ów zwyczaj lub urządzenie, z biegiem czasu ulega przekształceniu: podłoże racjonalne znika, jak owa róża z podwórza zamkowego, i pozostaje po niem przeżytek, może jeszcze mający sankcję zwyczajową, prawną, estetyczną swego bytu, ale nie wytrzymujący dotknięcia logiki. Takie pozostałości i przeżytki nagromadzają się w społeczności z pokolenia w pokolenie. Każda faza rozwoju społecznego pozostawia po sobie puściznę, która plącze się i zlewa z puścizną okresów wcześniejszych. Z połączenia tych pierwiastków, z których jedne wzięły początek w odleglejszej, inne w bliższej przeszłości, i wogóle przeżytków historycznych z nieodpowiedającemi już potrzebom rozpatrywanej doby dziejowej, acz istniejącemi jeszcze w całej rozciągłości, instytucjami, tworzy się wpływowa kategorja czynników rozwoju dziejowego, kategorja, którą ochrzcimy mianem podłoża historycznego. Do niej wchodzą najodmienniejsze składniki: urządzenia polityczne i prawne, poglądy etyczne i estetyczne, wierzenia i systemy filozoficzne, zwyczaje życia codziennego, nawet usposobienie nasze i temperament.

* * *

Dla folklorystów przeżytki stały się niewyczerpaną skarbnicą materjału, pozwalającego odtworzyć zwyczaje i pojęcia wieków ubiegłych, po których nie pozostało niekiedy żadnych innych dokumentów.

Wiadomo, jaką olbrzymią doniosłość mają dla biologa organa szczątkowe, t. j. właściwości organizmu zwierzęcego, które kiedyś powstały jako narządy użyteczne, chociaż w chwili obecnej nie przynoszą najmniejszej korzyści rozpatrywanemu gatunkowi, niekiedy zaś pociągają następstwa szkodliwe (ślepa kiszka np.). Tak samo przeżytki w zakresie zwyczajów są jakby rozsianem po całym narodzie archiwum pamiątek, nadpsutych prawie i wykoszlawionych, ale z których, przy umiejętnem zestawieniu porównawczem, dałoby się odbudować niejedną stronę, zdawałoby się, zupełnie bezpowrotnie ubiegłej przeszłości.

Przyjrzyjmy się paru przykładom.

Powszechnie są znane „mentowania". Gromadka malców recytuje zwrotkę, złożoną pozornie z wyrazów bez treści: ele, fele, fele, fele! fele, fele, fele, fele! fele, fele, fe! Na kogo wypadnie ostatni dźwięk zwrotki, ten winien wyjść z koła, być zającem i t. d., stosownie do tego, w jaką grę bawią się malcy.

Powyższa strofka jest niczem innem, tylko powtórzeniem jedenaście razy wyrazu e l f, oznaczającego liczbę jedenaście w języku niemieckim, wyrazu, który uległ wykoszlawieniu z powodu nieznajomości niemczyzny, przybierając brzmienie, odpowiedniejsze dla naszych organów wymawiania.

Pochodzenie przytoczonego wzorku jest jasne i niewątpliwe.

Istnieją jednak mentowania, nie tak przejrzyste co do rodowodów swoich i pierwotnego znaczenia wyrazów: składają się z wyrazów zrozumiałych, ale poprzeplatanych przez jakieś z pozoru dziwolągi językowe.

Jedna z takich rot, należąca do liczby powszechnie znanych, brzmi (podkreślamy wyrazy niezrozumiałe):

E n t l i c z k i, p ę t l i c z k i,
Czerwone stoliczki,
Na kogo wypadnie,
Na tego brzdęk!

albo inna:

e n e n e n t a n o s (albo e n t a p e n t a n o s)
w i w i gęba nos i t d.

Nastręcza się pytanie, jakim sposobem dziatwa doszła do tych „entliczków“, „entów“, „pętliczków“, i skąd je wzięła. Ktoś może dziwi się, iż takie „brednie“ mogą być przedmiotem poszukiwań, i gotów odpowiedzieć, że dla rozszalałej wyobraźni niema i być nie może kwestji o rodowodzie jej tworów. Ale sąd taki byłby bardzo powierzchowny. Ciągłe powtarzanie się we wzorach mentowania niektórych źródłosłowów, np. en, enta, entliczki, penta, pętliczki, nasuwa wniosek, iż nie są płodem prostej dowolności, lecz że wyszły z głębszego źródła. Istotnie, zestawiając te dźwięki, tak niezrozumiałe, otrzymalibyśmy w ostatecznym rezultacie pasmo warjacji dla jakiejś osnowy, która, powtarzając się w odmiennych, ale z jednego pnia wytworzonych formach, sprawia wrażenie, że nie jest tylko przypadkowo użytym wyrazem, wymaganym przez miarę wiersza i rym, ani też bezmyślnem powiązaniem głosek, lecz że do roty dostała się z powodów ongi racjonalnych, i że uległa przekształceniu dopiero z biegiem czasu, a więc utraciła pierwotny swój charakter pierwiastku zrozumiałego.

Przypuszczenie nasze nabierze tem większego prawdobieństwa, skoro swojskie zwrotki porównamy z wzorami zagranicznemi. Jedno z mentowań angielskich brzmi np.:

Entaing, pitta ping poo knows thy say,

i t. d.

Pierwsze wyrazy brzmieniem swojem przypominają zupełnie polskie entliczki i pętliczki. Sibree, w stosunku do przytoczonej zwrotki angielskiej, dowiódł, że są to zepsute nazwy liczb, wzięte z języka walijskiego. Ktoś, idąc za jego powagą, robi jeszcze dalszy wniosek[1]), a mianowicie, że zarówno entaing walijskie, jak ienta it.d nasze są wykoszlawionemi i zepsutemi wyrazami, używanemi przez przodków praaryjskich dla oznaczenia kolejno idących cyfr, tak samo jak nasi malcy przerobili niemieckie elf elf na ele-fele. Tam, w odległości od nas paru tysiącoleci, istniał także zwyczaj mentowania, t. j. liczenia, dokonywanego według pewnego wzoru, a właściwie zwyczaj rzucania w ten sposób losów.

[1]) „Wisła“ II, 191—3.

W ciągu wieków nazwy liczb pozostawały jako szkielet, tymczasem inne wyrazy zmieniały się, aż w końcu liczby stały się niezrozumiałemi pod względem swego znaczenia, i lud zaczął odpowiednie wyrazy rymować i urabiać, np. z pierwiastku p e n t (nasze pięć) zrobił „pętliczki". (Tłómaczenie to wprawdzie nie ma na swoje poparcie należycie usystematyzowanego zasobu faktów, ale, bądź co bądź, jest bardzo prawdopodobne). W każdym razie dziwolągi językowe, takie jak: e n t l i c z k i e n t a, były-by szczątkiem, który pozostał po odległej epoce przeżytkiem, jak wszelkie przeżytki, zmienionym i bezmyślnym z pozoru, ale świadczącym, iż praaryjczycy znali mentowanie. Podane wyjaśnienie może na poparcie swoje przytoczyć liczne pokrewnej natury fakty, a mianowicie obfite przeżytki w mowie naszej — różnego rodzaju zwroty, niezrozumiałe wyrazy lub wyrazy, które zupełnie zmieniły treść swoją.

O Kirgizach czytamy: „Głęboki szacunek dla przeszłości jest znamienną i charakterystyczną cechą ludów koczowniczych Azji środkowej. Starsi wśród plemienia przechowują starannie tradycje, bądź to pod postacią wspomnień o przodkach i legend rodowodowych, lub ballad, przekazywanych przez usta bardów. Niektóre zwroty, obecnie przestarzałe, świadczą o ich starożytności" [1]). I w naszym rodzimym języku mamy moc zwrotów, któremi posługujemy się, chociaż zupełnie zapomnieliśmy o ich znaczeniu pierwotnem. Mówimy więc „przyszedł do siebie", jakkolwiek ani przez myśl nie przejdzie nam, że jest to mowa o sobowtórze, który, zdaniem naszego dalekiego przodka, podczas omdlenia opuszczał ciało nasze i sprawiał bezwładność; wyrażamy się: „przeczytać książkę od deski do deski" — pozostałość po okresie, w którym książki pergaminowe oprawiano w deski; powiadamy: „wierny do grobowej deski" — zwrót, odsłaniający przed nami zwyczaje pogrzebowe naszych przodków; wołamy: „na miłe bogi"!, choć rozstaliśmy się z wiarą w wielu bogów.

Zwroty tej mowy dają nam klucz do zwyczajów praojców i ich wierzeń. Zbadane należycie mogły-by wydać ciekawe rezultaty, np. nasz „nóż", porównany z n a g a s litewskim (co oznacza „kamień"), odsłonił-by nam ową epokę przed-

[1]) Michell cytowany u H. S p e n c e r a „Descriptive sociology", tom III, str. 42, rubryka trzecia.

historyczną, gdy nasi dalecy przodkowie posługiwali się, zamiast narzędzia z metalu, kamieniem, i nazwę jego przenieśli z biegiem czasu na nóż obecny, spełniający te same czynności. Wyraz „kalkulacja“ wykazałby, że Rzymianie dokonywali pierwotnie rachunków odkładając na bok kamyki. Darmstetter poddał takiej analizie nazwy dostojników dworskich: wykazał, iż słownik dostojeństw, badany ze względu na pierwotne znaczenie wyrazów, zdołałby nam, w braku innych materjałów, posłużyć za przyczynek do odcyfrowania dziejów dworu księcia feodalnego.

Rozglądając się w życiu codziennem, w jego zwyczajach i uprzedzeniach, na każdym kroku odnajdujemy taką przeszłość, zamarłą, szczątkową, która jednak znalazła schronienie w przeżytku. Jedne z tych pozostałości są absurdem niewytłómaczonym, trzymającym się przecież, inne znalazły sankcję w pojęciach nowoczesnych o pięknie, t. j. otrzymały racjonalne, choć zgoła nowe tłómaczenie. Nawet najbardziej wolnomyślne odłamy inteligencji nie są wolne od hołdowania duchowi przeżytków, o ludzie niema nawet co mówić: każda ważniejsza chwila jego życia wykazałaby jakiś rys dalekiej przeszłości.

A więc, w niektórych okolicach, umierającego starca, gdy konanie przeciąga się zbyt długo, wynoszą z łóżka na słomę lub piasek, w przeświadczeniu, że śmierć naówczas nastąpi rychlej. Praktyka cofa nas wstecz aż do czasów, gdy wyrzucano z domu starców umierających i oddawano ich na pastwę losu, — obyczaj jeszcze dzisiaj spotykany u niektórych barbarzyńców w całej pełni okrucieństwa swego.

Dziecinie pętamy nóżki i rączęta, chociaż matka, tak postępująca, nie zdoła poprzeć swego czynu przekonywającemi i rozumnemi argumentami. Zapytana, po co odbiera niepotrzebnie niemowlęciu swobodę ruchów, odpowie, że inaczej być nie może, w ostateczności powoła się może na postępowanie swoich rodziców, ale bądź co bądź nie uzasadni w sposób rozumny tego niewątpliwie niedorzecznego krępowania kończyn dziecka. Odpowiedź znajdziemy dopiero wtedy, gdy zwrócimy się do wzorów okresu dzikiego: kobieta, zmuszona tułać się dzień cały i nieposiadająca stałego miejsca pobytu, nosi dzieciaka na plecach; ażeby zaś maleństwo nie miotało się zbyt silnie i ruchami swemi nie utrudniało jej ruchów, obezwładnia jego rączki i nogi, umieszczając niemowlę

w worku. Dawne czasy minęły, ale zwyczaj przetrwał w ciągu wieków i stał się jednem z zasadniczych przykazań pedagogiki rutynicznej, które obowiązują w imię tradycji i ciążą nad pokoleniami, przychodzącemi na świat w zgoła innych warunkach bytu.

Nawet każdy szczegół kroju ubrania naszego ukształtowaniem i formą świadczy o swojem pochodzeniu.

„Rozpatrując dokładnie myśli, technikę i zwyczaje narodu, badacz znajdzie wszędzie pozostałości dawniejszego stanu rzeczy, z którego powstał nowy. Weźmy przykład pospolity: jeżeli zapytamy, czemu jest noszone tak dziwnie skrajane odzienie, jak frak (angielski), wyjaśnić to można tylko w ten sposób. Obcinanie pół od stanu miało dawniej słuszny powód zapobiegania, ażeby one nie przeszkadzały podczas konnej jazdy, a znowu para bezużytecznych guzików na stanie jest również zabytkiem z czasów, kiedy rzeczywiście służyły dla przypięcia pół z tyłu. Ciekawy krój kołnierza zachował wycięcie, obecnie niepotrzebne, a robione dlatego, ażeby można go było podnosić lub opuszczać. Wyłogi strojne przedstawiają dawną podszewkę zwyczajną, a niby mankiety, dziś oznaczone szwem około ręki, są pozostałością mankietów rzeczywistych, kiedy noszono rękawy wywinięte wylotami. Tym sposobem widzimy, że obecny frak paradny winien swoje właściwości pochodzeniu od staroświeckiego kroju odzienia praktycznego, w którem człowiek jeździł konno i pracował“ [1]).

Przykłady z dostateczną siłą wykazują, iż całe wieki nie zdołały rozproszyć zwyczajów prastarej epoki, które dochowały się w naszem życiu, trzymają się uparcie naszych postępków, zwrotów mowy i uprzedzeń, słowem żyją zniekształtowane, chociaż podłoże, z którego były powstały, już rozłożyło się i zaniknęło. Szczątki te trwają, przeniesione do obcego duchem otoczenia, niekiedy rozwijają się nawet. Gdy rozum, jako rozum, przestał otaczać zwyczaj powagą pożyteczności lub racjonalności, naówczas estetyka, przesąd, uczucie biorą go pod opiekę swoją i nadają mu moc nową. Starczy przytoczyć tutaj ów guzik w tyle surduta, bez którego ubiór

[1]) E. B. Tylor: Antropologja, przekład A. Bąkowskiej, str. 14.

nasz wydałby się nam niekompletnym i pozbawionym symetrji i piękna.

Dotychczas zwróciliśmy uwagę tylko na to, jak dalece w życiu codziennem hołdujemy wzorom, które pozostały po dalekich praojcach, oraz jak zwyczaje zrozumiałe i pożyteczne przekształciły się w toku dziejów w swego rodzaju absurd. Warto jednak zatrzymać się jeszcze nad czemś innem, mianowicie nad wzajemnym stosunkiem owej skarbnicy tradycyj i przeżytków do nowych dróg życia gromadnego.

W tej sferze spostrzeżemy jedno zjawisko charakteru ogólniejszego, które rzuca światło dość ciekawe na prawa rozwoju społecznego. Okazuje się, iż forma odznacza się zawsze większą zachowawczością niż treść: opiera się stateczniej i trwalej nastającym zmianom i krępuje względnie powściąga postęp kształtów, na jakie pozwala nowo użyty materjał budowlany. Teza nasza ujawnia moc swoją w rozwoju wierzeń i przesądów, techniki (narzędzi) i instytucyj społecznych, źródłosłowów i treści im nadanej. Dzieje kultury ludzkiej tworzą nieprzebraną skarbnicę faktów, z której możemy obficie czerpać materjał dla udowodnienia swego twierdzenia.

Zaczniemy od techniki, jako sfery najprostszej.

Ale przedtem jednak słów parę o psychologji wynalazków i wynalazców.

Wynalazek polega na odkryciu wzajemnego związku pomiędzy przebiegami odbywającemi się w przyrodzie, oraz na świadomem użyciu dostrzeżonej zależności do celów praktycznych. Pracownie takie, jak Edisona, są niczem innem, jeno zorganizowanem zadawaniem przyrodzie zapytań systematycznych i skrupulatnem notowaniem udzielanych przez nią odpowiedzi. Takie postępowanie zrewolucjonizowało umysłowość ludzką, zniszczyło wpływy tradycji, przezwyciężyło bezwładność uczuciową i, jako konieczne następstwo, pociągnęło za sobą w technice doskonalszą współrzędność pomiędzy formą a materjałem. Natomiast w pierwotnym okresie dziejów forma stale opóźniała się w swoim rozwoju. Człowiek nie stawiał wtedy przyrodzie wyraźnych pytań, podyktowanych mu przez potrzebę, ani nie śledził jej przebiegów w sposób zorganizowany i systematyczny, lecz jedynie korzystał z tych wskazówek, jakie mu podsunęła przypadkowo. Prawdopodobnie każdy słyszał o tem, jak Fenicjanie mieli

odkryć szkło: wylądowawszy na wybrzeżu piaszczystem, rozłożyli tam ogień na płytach saletry i otrzymali niespodziewanie dla siebie przezroczyste ciało. Może to jedna z anegdot dziejowych, ale anegdota, która przewybornie odtwarza psychikę odkryć podczas okresów wcześniejszych i poniekąd nawet w dobie obecnej. Każdy z pierwotnych wynalazków przychodził, że użyjemy takiego zwrotu, sam do człowieka. J. Lippert usiłuje odtworzyć początki umiejętności korzystania z ognia. O celowem poszukiwaniu jej przez praczłowieka nie mogło być nawet mowy, bo żeby czegoś szukać, trzeba było znać to coś. Należy przypuścić, iż nasz przodek zapoznał się z przymiotami ognia przypadkowo, dzięki sprzyjającemu zbiegowi okoliczności, mianowicie jego przyrodzonemu istnieniu na globie ziemskim. Badacz niemiecki mniema, iż uczucie przyjemne, jakiego doznawała istota ludzka podczas leżenia na świeżem spalenisku leśnem od pioruna, lub rozgrzebywania ręką ciepłych pokładów lawy, zachęciło ją do szukania miejsc, dostarczających tej przyjemności. Przodek nasz wprzódy doświadczyłby dodatnich skutków ognia, zanim począłby go używać. Poznawszy przymioty ognia praczłowiek jął poszukiwać ich źródła; może dostrzegł, że gałązka zapalona grzeje. Wykradał pożarowi leśnemu zarzewie i trzymał je w uwięzi u siebie przez ciągłe podsycanie. Umiejętność sztucznego dobywania ognia nastała jeszcze później. Zresztą, w jakikolwiek sposób odbywał się ów postęp, człowiek zawsze był tylko odbiorcą wskazówek przyrody mniej lub więcej wrażliwym—nic nadto. Korzystał z tego, co mu przyroda była odsłoniła.

A teraz pytanie zasadnicze: jaka strona w postępie techniki opóźnia się, jaka zaś przoduje. Na to odpowiedzieliśmy już poniekąd i wiemy, że forma zjawia się tam jako kategorja późniejsza, tymczasem materjał jest pierwiastkiem, od którego poczyna się przewrót. Każda gałąź techniki zdoła nam dostarczyć w tym względzie nieprzebranego mnóstwa faktów.

Garncarstwo rozwinęło się z koszykarstwa. „Wynalazek ten — pisze E. B. Tylor [1]) — nie był dziełem wielkiego natężenia pomysłowości. Są fakty naprowadzające na domysł, ze nawet naczynia gliniane nie powstały odrazu. Istnieją opisy plemion dzikich, oblepiających gliną naczynia drewniane, ażeby

[1]) Antropologja, str. 258.

wytrzymywały ogień; są inne postępowsze, oblepiające gliną tykwy lub wnętrze koszów, po których spaleniu pozostają wazony gliniane z odciskami plecionki, stanowiącemi wzory ozdobne". Koszyk, rzucony w rozmiękłą glinę na powierzchni ziemi, otrzymawszy w ten sposób warstwę takiej osłony, przestawał przepuszczać wodę, t. j. zwiększał użyteczność swoją. Spostrzeżenie dodatnich właściwości takiego przypadkowego pokrycia koszyka gliną doprowadziło z biegiem czasu do stałego naśladowania przykładu podsuniętego przez przyrodę. Następne ogniwo w rozwoju garncarstwa polegało na tak samo przypadkowem odkryciu przymiotów wypalonej gliny. Na razie jest rzeczą dość podrzędną, jak odbywał się ów postęp techniki garncarskiej. Chodzi nam bowiem o zaznaczenie innego faktu, a mianowicie, iż takie pochodzenie pozostawia przez długie okresy czasu ślady swoje na kształtach naczynia i jeszcze dłużej na jego ornamentyce. Linje wężykowate, które oglądamy na naczyniach ludu naszego, są przeżytkami tych czasów, gdy koszyk służył jeszcze za szkieiet dla pokrywy glinianej i nadawał jej ornamentykę falującą. Od tego okresu przedzielają nas wieki i może tysiącolecia, ale ornamentyka, pochodząca z oddziaływania podłoża koszykowego, przetrwała.

Archeologja, badając technikę ludów przedhistorycznych Europy, zaznaczyła niejednokrotnie fakt bardzo znamienny. Siekierki krzemienne i inne narzędzia epoki kamiennej posiadały kształty, zależne od natury materjału, z którego je robiono. Z odkryciem sztuki metalurgicznej, zamiast kamienia zaczęto używać metali: miedzi, bronzu i żelaza. Ale dawne kształty na razie pozostają, wprawdzie ulepszone, lżejsze i subtelniejsze, przecież nie o tyle odmienne, ażeby nie można było odrazu poznać, że siekierka kamienna służyła jako wzór, według którego wyrabiano żelazną. Kopjowano dawne formy, chociaż były niestosowne: albowiem zużywały więcej materjału, niż trzeba było, nadto zmniejszały sprawność narzędzia[1]).

Dzieje budownictwa wykazałyby to samo. Styl architektoniczny poczynał się jako naturalne następstwo użytego

[1]) U E. B. Tylora w Antropologji, 176—178, są rysunki, pokazujące owo przejście od kształtów, właściwych narzędziu krzemiennemu, do kształtów, najodpowiedniejszych dla metalu.

materjału. Wzory, raz jeden zastosowane, pozostawały, chociaż użyty materjał ulegał zmianie. „Istnieją liczne dowody, pisze Tylor[1]), że architektura kamienna powstała z wcześniejszej, drewnianej. Przypatrując się grobowcom licyjskim w przedsionku British Museum, spostrzegamy, że, chociaż wyrobione z kamienia ciosowego, kształty ich są naśladowaniem belek i wiązań drewnianych, że tedy murarz samemi wzorami wykazuje, iż zajął miejsce wcześniejszego odeń cieśli. Ślady form drewnianych występują nawet w pierwotnych dziełach kamiennych Egiptu. W Indjach istnieją budowle kamienne, których kolumny i nadsłupia są niemniej widocznie przekopjowane ze słupów drewnianych i leżących na nich belek poziomych, Jest to prawdopodobnem, że gdy człowiek po raz pierwszy przystąpił do wzniesienia kolumn kamiennych i oparcia na nich brył kamienia, myśl tę mogły mu nasunąć słupy drewniane i belki, które były w użyciu“. I nawet dzisiaj w Stanach Zjednoczonych, w kraju, który stworzył nowy styl w budownictwie — dwudziestopiętrowych klatek z żelaza, oblepionych terrakotą i głazami, nawet tam, pomimo ducha nowatorskiego, którym przesiąknięte są drapacze nieba, wzory ubiegłych wieków najniepotrzebniej czepiają się dzieła epoki nowoczesnej i spełniają przy niem rolę narządów szczątkowych, dających świadectwo o zwyczajach praojców. Np. w „Gmachu masońskim“ w Chicago windy zamiast schodów łączą pomiędzy sobą piętra. Działa ich szesnaście. Spędziłem pół godziny, odpoczywając na jednem z górnych pięter, setki osób spuściły się na dół i wzniosły windą do góry, ani jedna zaś nie skorzystała ze schodów. Istnieją jednak, szerokie i wygodne — schody od parady, jak nasze guziki w tyle surduta. Architekt, który powziął myśl wybudowania olbrzyma, nie odważył się rozstać z tradycją formy! Zbadanie historji stylów w budownictwie, przedewszystkiem zaś opóźnianie ich rozwoju w stosunku do użytego materjału, byłoby bardzo ciekawym przyczynkiem do analizy postępu technicznego, przyczynkiem zresztą nie jedynym i nie wyłącznym, bo i inne pola techniki przedstawiają ten sam widok.

* * *

[1]) Tamże 220—I.

Zatrzymaliśmy się nad dziejami techniki, jako względnie prostej i niezłożonej sfery rozwoju kultury ludzkiej. Tam dostrzegliśmy znamienne zjawisko, dotyczące wzajemnego zachowania się różnych stron narzędzia w dynamice jego rozwoju — zjawisko, polegające na tem, iż materjał wyprzedza formę i boryka się z nią, nim ją w końcu dostosuje do swoich właściwości.

Zjawisko to powtarza się i w innych dziedzinach ewolucji społecznej, naturalnie przybierając charakter, odpowiadający każdorazowo badanej sferze stosunków. W zakresie instytucyj politycznych, zadania, jakie ma na celu jakaś instytucja, ulegają pierwsze zmianie, za niemi dopiero podąża organizacja samego urządzenia; w rozwoju języka treść zmienia się, choć posługuje się wciąż dawnemi wyrazami, zamiast stworzenia właściwszych symbolów słownych.

Poprzestaniemy w tym razie na jednym przykładzie, mianowicie przypomnimy metodę, którą posługując się, Morgan doszedł do odkrycia kolejnego następstwa po sobie form pożycia małżeńskiego. Przeżytek był tam nicią, która, umiejętnie rozwikłana, doprowadziła do odkrycia zwyczajów dalekiej przeszłości.

Przebywając wśród Seneków, Morgan spostrzegł, że właściwy temu ludowi ustrój nazw pokrewieństwa jest w rażącej sprzeczności z istniejącemi tam stosunkami rodzinnemi. Panowała w plemieniu rodzina parzysta, t. j. taka, w której względem ojcowstwa nie było i być nawet nie mogło żadnej wątpliwości: kto był tam ojcem, kto zaś synem, kto bratem a kto siostrą, rzecz to była jasna i niewątpliwa. Jednak używano nazw pokrewieństwa w sposób, niezgodny z taką określonością stosunków. Plemieniec nie tylko własne dzieci nazywał swymi synami i córkami, ale także dzieci brata, które, odwzajemniając się, wołały na niego: ojcze. Dzieci jego sióstr mianowały go wujem, on zaś je siostrzeńcami. Dzieci braci są dla siebie nawzajem braćmi i siostrami, lecz dzieci brata i siostry—kuzynami itd. Nomenklatury te były u Seneków nie tylko prostemi konwencjonalnemi nazwami, ale wyrazem rzeczywiście istniejących zapatrywań na powinowactwo i służyły za podstawę wykończonego ustroju pokrewieństwa, posiadającego bardzo bogate słownictwo. Morgan znalazł, że taki sam rozdźwięk pomiędzy kształtami rodziny a ustrojem nazw

pokrewieństwa istnieje u wszystkich niemal plemion Ameryki północnej, u wielu ludów Indji Przedgangesowych i t. d. Nastręczało się pytanie, gdzie spoczywa źródło takiej nieodpowiedności. Badacz amerykański niebawem odkrył powody tej niezgodności, mianowicie znalazł, że ustrój pokrewieństwa, właściwy czerwonoskórym, jest przeżytkiem po wcześniejszej formie rodziny, która już zaniknęła, choć wyłonione przez nią nazwy pokrewieństwa przeżyły ją. Okazało się, iż jeszcze w pierwszej połowie obecnego stulecia na wyspach Sandwich istniała rodzina, dostarczająca takich samych wujów i ciotek, ojców i matek, braci i sióstr, synowców i synowic, synów i córek, jakich wymaga ustrój nazw pokrewieństwa wśród czerwonoskórców. Związek małżeński był tam na tych wyspach związkiem, złożonym z wielu osób: grupa braci, rodzonych i pobocznych, uchodziła za zbiorowych małżonków tak samo zbudowanej grupy kobiet — nawzajem sióstr. Rzecz jednak ciekawa: ustrój pokrewieństwa, używany na archipelagu Sandwich, nie zgadzał się znowu z istniejącą tam formą pożycia małżeńskiego, lecz swojem ukształtowaniem nasuwał myśl o okresie jeszcze pierwotniejszym. Wszystkie dzieci rodzeństwa, t. j. rodzonych braci i sióstr, uważały siebie nawzajem za braci i siostry i uchodziły nietylko za dzieci ojca swego i jego braci, lub matki i jej sióstr, ale nadto bez żadnej różnicy za wspólne dzieci rodzeństwa obojga rodziców. Jeżeli przeto ustrój pokrewieństwa amerykański zniewala nas do wniosku, że ongi istniała tam forma rodziny, która zaniknęła na lądzie Ameryki. ale przetrwała na archipelagu Sandwich, to nomenklatury hawajskie są świadectwem o istnieniu jeszcze pierwotniejszej postaci związków małżeńskich,—kazirodczych, o której wprawdzie nie możemy powiedzieć, ażeby obowiązywała dzisiaj gdziekolwiek, ale która mimo to istnieć musiała, bo w przeciwnym razie nie powstałby taki ustrój nazw.

„Rodzina, tak streszcza Morgan swoje wywody, jest czemś z natury rzeczy zmiennem, nie zatrzymuje się nigdy na jakiejś formie, ale przechodzi od niższej do wyższej, w miarę tego, jak samo społeczeństwo rozwija się. Systemy pokrewieństwa zaś odznaczają się charakterem biernym. Dopiero po upływie długich okresów ujawnia się w nich postęp, dokonany już przez rodzinę. Tylko wtedy ulegają zmianie radykalnej, skoro sama rodzina przekształciła się ra-

dykalnie". Engels w swoich komentarzach do Morgana dodaje od siebie: tak samo zachowują się w rozwoju społecznym ustroje polityczne, prawne, religijne i filozoficzne. Tak samo zachowują się także ustroje polityczne, prawne i filozoficzne! To znaczy, wszystkie są w rozwoju więzi społecznej zjawiskiem wtórnem, pochodnem, zjawiającem się dopiero wtedy, gdy dojrzeją w życiu codziennem społeczeństwa odpowiednie pierwiastki rzeczowe — jako sformułowanych nowych potrzeb i widnokręgów. Pierwiastki rzeczowe, wyłoniwszy takie rusztowanie urządzeń politycznych i stworzywszy nad sobą odźwierciedlenie swoje prawne i filozoficzne, nie pozostają na miejscu, ale dążą dalej w nieustającym toku zmienności ku nowym kształtom, ustroje zaś polityczne i filozoficzne przez nie stworzone trwają pomimo tego czas dłuższy, niekiedy nawet bardzo długo i swoją nieodpowiedniością powściągają dalszą ewolucję społeczną. Istnieją wciąż, choć się przeżyły!

* * *

Poddając rozbiorowi psychologję przeżytków, zakończyliśmy swoje wywody przykładem, zaczerpniętym z dziejów rodziny. Widzieliśmy, że nomenklatury pokrewieństwa tworzą kategorję bardziej zachowawczą, która, w porównaniu z więzią stosunków małżeńskich, opóźnia się w swoim rozwoju.

Przytoczyliśmy także czyjeś zdanie, że tak samo zachowują się systemy polityczne, prawne i filozoficzne: systemy te powstają jako odbicie i uzupełnienie warunków bytu rzeczowo-materjalnego, jako sformułowanie widnokręgów, podsuniętych przez te warunki. Atoli gdy życie w biegu swoim posunęło się dalej, to ta nadbudowa prawno-polityczna z właściwą sobie ideologją pozostają czas dłuższy i są jak gdyby pętami, przeszkadzającemi rozwijać się narodowi i wciskającemi społeczność w łoże stosunków dotychczasowych.

Z konieczności nastać muszą antagonizmy—pomiędzy wymaganiami i potrzebami, podsuwanemi przez istniejący, względnie powstający ustrój warunków bytu gromadnego, a formami i prawami więzi społecznej, które ukazawszy się w epoce poprzedniej krępują obecnie dalszy bieg życia. Zatarg taki daje się spostrzegać i w innych sferach dorobku społecznego, np. w zakresie rodziny, gdzie ujawnia się w przeciwstawności

pomiędzy istotnem pokrewieństwem, jakie wypływa z istniejącej więzi pożycia małżeńskiego, a używanemi nazwami pokrewieństwa. Ale rozdźwięk tego rodzaju w drugorzędnych zakresach życia społecznego, takich, jak nomenklatury pokrewieństwa, bywa usuwany bez walki i nawet bez udziału świadomości — przeżytek ściera się z dnia na dzień w potoku życia, jak kamyk na dnie ruczaju górskiego. Inaczej dzieje się, gdy chodzi o zasadnicze strony więzi społecznej. Rozterka pomiędzy nowemi potrzebami, które zjawiły się w społeczeństwie, a urządzeniami politycznemi, brzmieniem kodeksów i t. d., uwypukla się coraz silniej, aż w końcu przekształca się w rozbrzmiewający namiętnościami antagonizm interesów: jednym warstwom interes nakazuje stać na straży przeżytku społecznego, innym żądać przystosowania ustrojów prawnopolitycznych do nowych potrzeb, które ukazały się na widowni dziejowej.

Liberalizm, podjąwszy walkę przeciw ustrojowi feodalnemu, wprowadził do nauk społecznych i politycznych zgoła błędne tłomaczenie przebiegów historycznych. Z właściwym sobie brakiem poczucia pierwiastku historycznego, ogłosił instytucje i urządzenia, które stawały na drodze rozwojowi warstwy mieszczańskiej, za dzieło przypadku. Nie chcemy bynajmniej powiedzieć, ażeby kierunek ów używał takiego zwrotu. Podsuwając mu to wyrażenie, rzecznikom liberalizmu narzucamy poniekąd poglądy, jakich nie wypowiadali z taką wyrazistością, Ale, bądź co bądź, nie zbyt odbiegamy od rzeczywistego ducha doktryn liberalnych, gdy każemy im uważać ustrój feodalny za twór przypadku i sztuki; tak samo religja nie była płodem konieczności dziejowej, lecz dziełem szarlatanów; instytucje w rodzaju cechów z ich reglamentacją produkcji, lub spichlerze municypalne, zjawiły się na widowni dziejowej nie jako urządzenia normalne, t. j. będące w harmonji z ówczesnemi potrzebami ludzkiemi i we właściwej epoce czyniące zadość doniosłym zadaniom życia gromadnego, lecz były wytworem nieuctwa i ciemnoty. Gwałt i wciskanie życia w „sztuczne i nienormalne“ urządzenia, ciemnota i oszustwo w publicystyce obozu liberalnego wciąż występują jako czynniki, które rozstrzygały o początku i nawet o istnieniu niesympatycznych, t. j. szkodliwych dla mieszczaństwa, instytucyj i stosunków. Biedne społeczeństwo było

tam kopciuszkiem milczącym, ogłupianym i bezradnym, któremu szalbierze, opryszkowie i wyzyskiwacze narzucali swoją wolę, krzywdzili je i uciskali. Dopiero społeczność, oparta na wolnej konkurencji i swobodzie indywidualnej, wprowadziła do życia ludzkiego zasady naturalne i umożliwiła „zdrowy", „normalny", „sprawiedliwy" rozwój...

Hegel wypowiedział pogląd, który w swoim czasie napsuł dużo krwi przedstawicielom takiej tandety teoretycznej. Usiłował wykazać, że wszystko, co istnieje, jest racjonalne. To znaczy: ludzie żyjący w pewnem otoczeniu społecznem uznają je za moralne i sprawiedliwe, oraz za pożyteczne. Instytucja upada dopiero wtedy, gdy przestała należycie zaspakajać potrzeby społeczne. Nadchodzi chwila zjawienia się urządzeń, bardziej odpowiadających wymaganiom „ducha czasu". Nie zgadzamy się z Heglem, o ile chodzi o czynniki rozwoju społecznego, tj. o to, pod działaniem jakich pobudek ukazują się w życiu gromadnem nowe instytucje, stare zaś upadają. Rodowód „ducha czasu" pojmujemy zgoła inaczej, nie jako kolejne wcielanie się w kształty realne idei, rozwijającej sama z siebie w djalektycznym procesie nowe prawdy i dochodzącej do coraz dalszych postulatów, ale jako odbicie w mózgu ludzkim potrzeb, stworzonych przez żywiołową ewolucję stosunków rzeczowych. Ale, pomimo tej różnicy, wraz z nim stanowczo powątpiewamy o tem, czy wogóle istnieją i mogą istnieć w rozwoju dziejowym urządzenia, któreby w okresie swego powstawania przeniewierzyły się wygłoszonej przez Hegla zasadzie racjonalności. Życie, w swojem żywiołowem parciu naprzód, nieustannie gromadzi w społeczeństwie pierwiastki nowych stosunków rzeczowych, tj. rozwija nowe siły wytwórcze; z pojawieniem się zaś takiego odmiennego podłoża warunków materjalnych, wśród członków społeczeństwa powstają nowe potrzeby, które prędzej lub później otrzymają ostateczne sformułowanie w nowych aspiracjach i nowych ideach; w końcu, gdy są dostatecznie silne (tj. ogarnęły dostatecznie liczną warstwę w narodzie), urzeczywistniają się w realnej instytucji. Zanim jednak nastanie chwila zamiany słowa w czyn, wcielenia idei w urządzenie, pomiędzy nowemi wymaganiami dziejowemi a instytucjami, które, niegdyś racjonalne i pożyteczne, obecnie przestały odpowiadać „duchowi czasu", zawiązuje się walka. Przeszłość, wcielona w urządze-

niach, zakrzepła w przeżytkach, działa jako hamulec, nałożony na dalszy rozwój narodu. Czasy ubiegłe i teraźniejszość przeciwstawiają się sobie nawzajem, jako dwie odmienne kategorje dziejowe, każda przyodziana innym charakterem.

Przebieg tego antagonizmu, powtarzającego się systematycznie w dziejach więzi społecznej, odznacza się znamiennemi rysami. Dla uwydatnienia jego psychologji, zatrzymamy się szczegółowiej nad jednem z przejść historycznych doby ostatniej, nad ustawą wyborczą angielską z początków w. XIX.

Ustawa ta, zreformowana w r. 1832, była puścizną ubiegłych wieków. Zarówno zasady jej, jak i drugorzędne szczegóły wytwarzały się zwolna i gromadziły jako sformułowanie ówczesnych potrzeb życia. Prawa wyborcze dostały się tym grupom ludności, które wtedy, podczas kształtowania się owej konstytucji, wodziły rej w społeczeństwie. Może w pewnych szczegółach współrzędność ta nie była zupełna, ale, bądź co bądź, takie odchylenia zdarzały się wyjątkowo i w niczem nie przeczyły ogólnej zasadzie harmonji pomiędzy rzeczywistemi potrzebami a ustawą wyborczą. Atoli ustawa wyborcza, skodyfikowana ostatecznie w XVII w. i nie ulegająca odtąd uzupełnieniom i zmianom, tem samem zatrzymała się w swoim rozwoju, który zasadzał się na jej ciągłem przystosowaniu do potrzeb życia. Tymczasem, pod działaniem inicjatywy prywatnej i celów tak samo prywatnych, na przestrzeni całego kraju nastał przewrót radykalny w ukształtowaniu stosunków rzeczowo-materjalnych: dawne ogniska produkcji podupadły, powstały w kraju nowe ośrodki bogactwa, ludność została inaczej rozmieszczona, punkt ciężkości gospodarczej przeszedł z rolnictwa do przemysłu przetwórczego. Konstytucja wyborcza, której nie reformowano blizko od dwóch wieków, nie zaspakajała potrzeb nowego porządku rzeczy, zrodzonego pod wpływem tylko co wyłuszczonego rozwoju potęg wytwórczych. Wielkie miasta przemysłowe, pozbawione mandatów do sejmu, protestują przeciw przywilejom politycznym, które są w posiadaniu „zgniłych mieścin". To, co było ongi w wieku XVI racjonalne i zgodne z aspiracjami i potrzebami grup, przodujących społeczeństwu, stało się w wieku XIX tamą dalszego rozwoju i tylko obezwładniało postęp potęg wytwórczych narodu. Prawo wyborcze, przysługujące hrabstwom i tak zwanym rotten boroughs,

wyrodziło się w synekurę społeczną, tj. w urządzenie nie tylko nie sprzyjające rozwojowym dążnościom Anglji nowoczesnej, ale oparte na jawnym i niezamaskowanym wyzysku jednych odłamów społeczeństwa przez inne. Daje korzyści jedynie nielicznej garstce właścicieli takich osad, którzy sprzedają głos swój wyborczy tym warstwom, co nie mają własnych przedstawicieli w parlamencie. To prowadzi do powstania spekulacji systematycznej prawami wyborczemi i do korrupcji politycznej. Pojedyńczy mandat oddawano za 4 — 5 tysięcy funtów szterlingów. Davenant pisze, że „nieznane osoby wałęsają się po Anglji i za znaczne sumy usiłują zyskać mandat. Mówią, iż istnieją specjalni maklerzy próbujący grać na giełdzie prawem wyborczem" (czasy Wilhelma III). Niektórzy magnaci mieli po parę mieścin, ks. Norfolk zaś aż jedenaście, nababi lokowali kapitały swoje w ten sposób, iż nabywali mieściny i osady, uposażone przywilejem mandatu sejmowego. Zamieniwszy w ten sposób izbę gmin w urządzenie broniące przedewszystkiem jej interesów, arystokracja rodowa umiała wyzyskać położenie swoje w najrozmaitszy sposób, a więc rozporządzała miejscami i urzędami, wydawała bardzo surowe prawa myśliwskie, wprowadziła taryfy celne na zboże. Wyzysk społeczeństwa przez uprzywilejowanych wyborców przybrał charakter ostry i, co gorsza, nieuzasadniony, bo w Anglji istniały inne warstwy, zamożne i ruchliwe, lecz odsunięte od głosowania. Naturalnie, parte poczuciem swego interesu, zabiorą głos przeciw ustawie, która przeżyła się i zamieniła z punktu potrzeb ogółu w absurd dziejowy. Ale pamiętajmy, iż prawo wyborcze stało się synekurą dopiero w toku rozwoju dziejowego, i że był czas, gdy ta zwyrodniała ustawa była nawskroś normalna i pożyteczna.

Jak zwykle bywa w rozwoju dziejowym, obie strony walczące, obrońcy synekury i przedstawiciele nowych potęg wytwórczych, odwołują się do argumentów natury subjektywnej. Rzecznicy nowych aspiracyj, żądający przystosowania ustawy prawno-politycznej do nowych stosunków rzeczowo-materjalnych, tj. nadania prawa wyborczego wielkim miastom, szukają oparcia w „myśli krytycznej" i odwołują się do argumentów natury etycznej i logicznej. Czy „racjonalnem" jest to, iż taki zapadły kąt, jak Old Sarum ze swemi paru cha-

tami, ma aż dwóch przedstawicieli w izbie gmin, Liverpool zaś, owo olbrzymie ognisko handlu, liczące przeszło sto tysięcy mieszkańców i obroty miljonowe, nie rozporządza w parlamencie ani jednym mandatem? Czy taki podział praw społecznych jest „sprawiedliwy" i czy znajduje się w jakiejkolwiek harmonji z ciężarami, które spoczywają na przedstawicielach zgniłych mieścin z jednej, nowych potęg wytwórczych zaś z drugiej strony? Prawo naturalne filozofów francuskich przeszłego wieku, cała teorja umowy społecznej Jana Jakóba Rousseau, owo bóstwo nowe, zwane Rozumem, któremu hebertyści stawiali ołtarze, wszystko to są kategorje, czerpiące moc swoją właśnie z podobnego postawienia kwestji. Przybrano argumenta w szatę zasad prawa przyrodzonego i ogłoszono aspiracje ówczesne za prawdy bezwzględne, za prawo natury. Zaledwie jedno stulecie przedziela nas od tego masowego głoszenia bezwzględnych ideałów społecznych. Jednak było dość i tego niedługiego okresu, ażebyśmy poznali, że człowiek, który je sformułował, był człowiekiem jednej tylko epoki historycznej, że absoluty społeczne były jedynie odbiciem względności historycznej w umyśle ludzkim, skłonnym do uważania dążeń swoich za bezwzględne. Wszystkie podówczas tak głośne wymagania „natury", etyki nowe zgodne z „rozumem", hasła równości i wolności obywatelskiej, były tylko sformułowaniem nowych potrzeb, które zwolna dojrzały były w społeczeństwie. Nowe fakty, gdy już zapanowały były w życiu, dopiero wtedy zażądały kazuistyki prawno-etycznej. Filozofowie wieku przeszłego mniemali, że wysnuli nowe ideały społeczne i nowe sprawiedliwości z głowy swojej, drogą rozważań „logicznych". Naturalnie, „rozum" działał, ale tylko jako instancja, formułująca potrzeby warstwy, która zaczęła przodować narodowi! Idea zjawiła się jako streszczenie aspiracji codziennych i przybrała dążności swoje w szatę praw naturalnych, sprawiedliwości bezwzględnej. Charakter taki krytyki społecznej był w doskonałej harmonji ze stosunkami, jakie nastały w społeczeństwie: odwołanie się do logiki i etyki świadczy, iż nowe potęgi wytwórcze i stworzone przez nie potrzeby tak wzmogły się w społeczeństwie, iż urządzenia, które nie czynią zadość nowym aspiracjom, utraciły piętno racjonalności i przynoszą korzyść tylko nielicznej garstce rodaków.

Zupełnie inaczej zachowują się warstwy, zainteresowane w utrzymaniu synekury społecznej, np. właściciele zgniłych mieścin i osoby posiadające tam przywilej głosowania. Nie mogą, na poparcie i obronę praw swoich, odwoływać się do „rozumu" i polegać na myśli krytycznej, bo te instancje w żaden sposób nie dostarczą argumentów dla podtrzymania jawnego absurdu. Tak samo „etyka" odmawia im swojej pomocy, bo istniejący podział praw i obowiązków społecznych, potrzeb i możności ich zaspakajania, nie odpowiada poczuciu sprawiedliwości i słuszności, które ujawnia się nawet wśród wrażliwszych członków warstwy uprzywilejowanej. Obrońcy przeżytku społecznego mają na swoje zawołanie jedynie prawo historyczne, das erworbene Recht, za punkt zaś subjektywny oparcia — uczucie. „Tak żyli ojcowie nasi i dziadowie, rzekną. Mądrość ich, ćwiczona w ciągu wieków, wzmocniona doświadczeniem, jest więcej warta, niż głosy nowatorów, niegodne narodu". Argument taki powtarza się systematycznie, ilekroć chodzi o obronę uządzeń, które utraciły uzasadnienie bytu swego w pożyteczności, jaką dawniej były posiadały, — jest to punkt wyjścia i ukryte założenie dla całych kierunków w nauce politycznej. Lord Eldon, broniąc przywileju zgniłych mieścin, nazwał prawo wyborcze „wzorem mądrości ludzkiej", przyczem oświadczył, że „reforma wyborcza jest zamachem na prawo własności, wszyscy bowiem autorzy i prawnicy, taki Holt i Hale, dowiedli, iż nomination boroughs są nie tylko przedmiotem prawa, ale i własności". Własność zaś to tylko inne wyrażenie dla prawa historycznego, nabytego.

„Sprawiedliwość" zostaje przeciwstawiona poszanowaniu dla przodków, „myśl krytyczna" występuje przeciw tradycji, prawo natury wchodzi w zatarg z prawem historycznem, „logika" krytykuje pożyteczność przeżytku. Antagonizm dziejowy posługuje się środkami, niekiedy zupełnie zaciemniającemi istotną treść zatargu — walki sprzecznych interesów. Wyjaśnienia sprężyn dziejów więc nie trzeba szukać w tem, co działacze mówią, ale w tem, w interesie jakich warstw leżą żądania, które występują w ich mowie. „Przy rozważaniu przełomów, trzeba mieć zawsze na uwadze różnicę, jaka istnieje pomiędzy przewrotem w ekonomicznych warunkach produkcji, materjalnym i łatwym do stwierdzenia, a formami

prawnemi, politycznemi, religijnemi, artystycznemi i filozoficznemi, słowem ideologicznemi, za których pomocą ludzie uświadamiają sobie ów zatarg i za które walczą. O człowieku nie można sądzić z tego, co sam myśli o sobie. Tak samo nie godzi się wydawać wyroku o epoce przełomowej na podstawie jej własnej o sobie świadomości. Świadomość tę raczej trzeba wyprowadzić ze sprzeczności w sferze materjalnych warunków bytu, z istniejącego zatargu pomiędzy potęgami produkcyjnemi a stosunkami prawnemi, w jakich się produkcja odbywa".

* * *

Przeszłość pozostawia po sobie nie tylko puściznę przeżytków i nie tylko krępuje dalszy postęp wytworzonemi podczas swego trwania systemami politycznemi, prawnemi lub filozoficznemi. Wpływy jej na przebieg wypadków dziejowych są daleko rozleglejsze, i ta kategorja czynników, której nadaliśmy miano podłoża historycznego, posiada charakter bardziej urozmaicony i złożony, aniżeli to wynika z naszych wywodów dotychczasowych. Bo i nasza własna natura, to, co nazywamy temperamentem u poszczególnej osoby, duszą zaś rasową, gdy rozpatrujemy całą grupę plemienną, nie jest w ciągu dziejów czemś niezmiennem, lecz także ulega oddziaływaniu ze strony warunków zewnętrznych, przekształca się i dopasowywa. Na czem polega mechanizm powstawania harmonji pomiędzy otoczeniem społecznem a jaźnią duchową członków narodu, oraz o ile taka współrzędność bywa głęboka, nie będziemy się nad tem zastanawiali. Poprzestaniemy jedynie na uwadze, iż poddając rozbiorowi sprawę przystosowywania się natury ludzkiej do wymagań podłoża materjalnego, odnajdziemy w niej te same rysy znamienne, jak dla innych stron życia społecznego: zwyczajów, systemów filozoficznych, urządzeń politycznych. Rozwijające się żywiołowo stosunki rzeczowe, dla spełnienia nowych obowiązków, wymagają istnienia w narodzie określonych temperamentów i odsuwają na bok inne, dotychczas rej wodzące.

Może się zdarzyć, iż w narodzie nie będzie dostatecznej liczby osób, mogących podołać nowym potrzebom społecznym. Rozwój naówczas będzie musiał z konieczności zwolnić swojego biegu, a nowe zadania, które dojrzały były wśród

więzi społecznej, nie będą mogły być urzeczywistnione w rozciągłości należytej. Podłoże historyczne, tj. puścizna po ubiegłych okresach dziejowych, ujawni w tym razie wpływy swoje, powstrzymując tempo postępu z powodu nieobecności dostatecznej liczby narzędzi-ludzi.

W rozwoju naszego społeczeństwa z czasów ostatnich mamy wymowny przykład skutków takiego ubóstwa odpowiednich natur, wymaganych przez nowy ustrój stosunków.

Obywatel ziemski w okresie przed uwłaszczeniem wyróżniał się fizjognomją duchową, która była wytworem epoki gospodarstwa naturalnego, t. j. tej epoki, kiedy plony, zamiast sprzedawać na rynku, gromadzono w spichlerzach i spiżarniach na spożycie bezpośrednie. Ktoby w owych czasach hołdował zasadom oszczędności, tak gorliwie zalecanym przez teoretyków „pracy organicznej", ten marnotrawiłby dary przyrody w sposób najniedorzeczniejszy, bo oddawałby je na pożarcie „robactwu". Istniało tam tylko jedno wyjście z położenia, stwarzającego nadmiar produktów w domostwie ziemianina:

...brama na oścież otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i innych w gościnę zaprasza...

W wieku XIX zamiast naturalnego, rozpościerać się zaczęło w kraju naszym gospodarstwo pieniężne, które zapanowało ostatecznie po uwłaszczeniu. Cnoty pradziadów stały się wadami — z punktu ekonomji. Ci, którzy temperamentem swoim nie mogli przystosować się do wymagań nowego ustroju, staczają się w ruinę: „wysadzeni z siodła", „morituri", powoli ginęli w nizinach społecznych, lub wydawali z siebie typ „pańskich dziadów" i t. d. Natomiast typy, odznaczające się powściągliwością, rachunkowością, nawet sknerstwem, t. j. cnotami obecnego kodeksu ekonomicznego, wysuwają się naprzód, jako „mądrzy", „dobrzy" gospodarze. Bankructwo części naszego obywatelstwa w latach 1865—1875 to zamiana jednej rasy duchowej przez drugą, odpowiedniejszą do wymagań „ducha czasu". Typ dawny okazał się niezdolnym do wdrożenia rolnictwa w nowe tory, „postępowe".

Całe wychowanie polega na urabianiu naszej jaźni w duchu wymagań życia społecznego. Wogóle, jako członkowie społeczeństwa, dalecy jesteśmy od tak zwanej naturalności. Nad naszą działalnością rozpostarły władzę najrozmaitsze

powściągi, jako to: zasady moralne, upodobania artystyczne, uczucia wstrętu, wstydliwości i t. d. Jedne z pośród nich wpojono w nas dopiero w ciągu naszego życia indywidualnego: dni życia naszego od chwili, w której zaczęliśmy rozglądać się po otaczającym nas świecie, tworzą jedno nieprzerwane pasmo tresury, co winna urobić nas i przekształcić według wymagań więzi społecznej. Inne powściągi, oddziaływując na naturę ludzką w ciągu wieków i nawet tysięcoleci, stały się nieodłączną cząstką naszego organizmu duchowego. „Co za olbrzymia ilość pracy spoczywa w nas! Każda komórka mówi nam o tysięcoletnim rozwoju“ (Benedikt[1]).

Zatrzymamy się nad rodowodem uczucia wstydliwości, które taką olbrzymią rolę odgrywa w naszem życiu społecznem. Na razie nie obchodzi nas to, o ile to uczucie jest wrodzone, o ile zaś nabywamy je dopiero w ciągu życia pod wpływem wychowania. Pragnęlibyśmy jedynie poznać, dlaczego zyskało treść taką, nie zaś inną.

Nadaremnie poszukiwalibyśmy poczucia wstydliwości przed pojawieniem się odzieży, lub dokładniej: ozdób. Człowiek pierwotny tylko wtedy odczuwa zakłopotanie z powodu swej nagości, gdy wypadnie zjawić się mu na widok publiczny bez ozdób, używanych przez jego plemię. Nie potrzebujemy zresztą przytaczać na to dowodów od dalekich szczepów. Dość będzie przypomnieć tutaj to uczucie niezręczności, jakie ogarnia wśród nas pewne osoby, gdy znajdą się w „towarzystwie“ bez rękawiczek. Pod wpływem takiej samej pobudki kobiety fellaskie w Egipcie i Arabki nie wstydzą się pokazywać nago na ulicy, natomiast nigdy nie odważą się wyjść bez zakrycia twarzy. U ludów pierwotnych uczucie wstydu jest bardziej rozwinięte (tj. rozciągnięte na większą przestrzeń ciała) wśród mężczyzn, aniżeli u kobiet, dla tej prostej przyczyny, iż na niższych szczeblach kultury płeć brzydka dba troskliwiej o swoją powierzchowność niż piękna. Dziki dzisiejszy maluje ciało, obwiesza je muszlami, piórami itd. Dla podtrzymania tych upiększeń przeciąga dokoła bioder, czoła itd. pasy. Sznur, idący dokoła bioder, z biegiem czasu przekształcił się w tunikę, fartuch i inne części odzieży. Zwyczaj

[1]) Benedikt: „Zur Psychophysik der Moral und des Rechtes“, str. 34.

otaczał sankcją swoją taki ubiór, piętnowano w plemieniu każdego, kto ukazywał się publicznie nieosłoniony należycie. Jak Arabka nie wyjdzie na miasto z niezakrytą twarzą, my zaś do salonu bez krawata, tak samo opinja publiczna zawsze potępiała nieposiadanie ozdoby lub ubioru, uświęconego przez zwyczaj. Człowiek nie dla tego zaczął używać odzieży, ażeby wstydził się nagości swojej, lecz powziął wstydliwość, ponieważ weszła w obyczaj osłona tej lub innej części ciała.

Rodowód uczucia wstydliwości pozwala nam zrozumieć mechanizm powstawania wielu właściwości duchowych. Każda grupa etniczna, przebywająca w dostatecznie odmiennych warunkach bytu, pod wpływem takich czynników posiadła osobliwą fizjognomję duchową — „duszę rasową", jak brzmi termin. Zresztą w jakikolwiek sposób ochrzcimy tę kategorję faktów, nie ulega wątpliwości, że taka dusza rasowa istnieje i w dziejach występuje jako czynnik doniosły. Jednak co do rodowodu swego jest objawem pochodnym, odbiciem w plastycznej naturze ludzkiej wpływów otoczenia dziejowego. A kiedy ewolucja materjalnych warunków bytu społecznego ujawnia stałą dążność ku dalszemu rozwojowi, natomiast „dusza rasowa" opóźnia się w swoim rozwoju, zwolna przystosowując się do przekształconych stosunków społecznych.

* * *

Otacza nas zewsząd przeszłość!

Nasze zwyczaje i uprzedzenia, zasady i wierzenia, uczucia i temperament, w dalszym ciągu instytucje polityczne i prawne, poglądy moralne i estetyczne, w końcu nasze systemy filozoficzne, wszystko to w rozwoju dziejowym tworzy jedną zwartą kategorję — p o d ł o ż a h i s t o r y c z n e g o.

Podłoże owo powstawało w ciągu wieków: jak w archiwum, każda epoka pozostawiała tam coś w spadku. Nawet czasy bardzo odległe istnieją wciąż jeszcze jako przeżytki, w sferze zwyczajów naszych i przesądów. Dzień wczorajszy występuje w całej rozciągłości, pęta nasze ruchy, powstrzymuje nasze dążenia, podyktowane przez dzisiejszy układ stosunków społecznych. Żyjemy otoczeni wiekami ubiegłemi i skrępowani. W naszem własnem jestestwie, w naszej jaźni wewnętrznej plączą się nici, zadzierzgnięte tam w duszy nie-

znanych praojców. Gdybyśmy zechcieli zanalizować głębiej czyny swoje codzienne i pociągi, gdybyśmy poddali rozbiorowi uprzedzenia, myśli i uczucia, lub rozejrzeli się we własnem otoczeniu i zapytali o początek zwyczajów i norm postępowania, to zrozumielibyśmy, jak dalece rządzimy się nie własnym rozumem, lecz rozumem przodków. Cokolwiek twierdzonoby o naszej niezależności, jesteśmy niewolnikami dziadów i pradziadów. Ci spoczęli oddawna w grobie, czas przetrawił i rozwiał ich szczątki, lecz dzieło ich żyje jeszcze: jako powijaki krępuje ręce i nogi nasze w niemowlęctwie, obezwładnia mózg ciężarem wiedzy niepotrzebnej, jak nauka łaciny i greki, każe, jako owemu szyldwachowi na pustym placu, stać na jakimś zbytecznem posterunku. Więź zwyczajów i poglądów, stosunków i urządzeń, nawyknień i pociągów, ogarnia nas i trzyma w posłuszeństwie. „Ludzie każdej epoki, pisze Le Bon [1]), są spętani siecią tradycji, wierzeń i zwyczajów, z pod której jarzma nie mogą się wydobyć, a która wszystkich ich robi nawzajem podobnymi. Istnieje jedna tylko tyranja rzeczywista, ta, co nieświadomie ciąży na naszym duchu, ponieważ niepodobna jej zwalczyć. Tyberjusz, Dżyngishan, Napoleon, byli niewątpliwie strasznymi tyranami, ale z głębi grobu Mojżesz, Budda, Mahomet, Luter wywierają na duszę despotyzm odmienny, bardziej uciskający i przemożniejszy. Jedynymi rzeczywistymi tyranami, jakich znała ludzkość, były cienie zmarłych i iluzje, które sama stworzyła". Prawdę tę wypowiedziano oddawna, stała się nawet jednym z owych ogólników, które przestaliśmy darzyć uwagą, tak często bowiem bywa powtarzana. Myśl powyżej przytoczoną moglibyśmy wyrazić wielu innemi sposobami. Wraz z Piotrem Leroux mielibyśmy prawo rzec: „jesteśmy nie tylko synami i potomkami tych, którzy niegdyś żyli, ale w gruncie rzeczy pokoleniami wygasłemi". Sięgając początków ustroju społecznego, moglibyśmy z H. Spencerem dodać: „zanim rozwinie się jakiekolwiek urządzenie, mogące wywrzeć powagę na naród, istnieje przecież inna powaga, pochodząca po części z opinji publicznej żyjących i jeszcze bardziej z opinji publicznej zmarłych!".

[1]) „La Psychologie des foules", str. 132—3.

My, dzieci XIX wieku, poniekąd wyzwoliliśmy się z pod jarzma pokoleń zmarłych, lub dokładniej: utraciliśmy poczucie wpływu, wywieranego przez daleką przeszłość. Stulecie nasze jest widownią nieustającego przewrotu i wyróżnia się silną niestatecznością warunków bytu. Wynalazki tak prędko nastają po sobie, stosunki zmieniają się tak szybko, nawet teorje naukowe i hypotezy idą w zapomnienie w tak krótkich odstępach czasu! Pradziadowie nasi podróżowali wozami i potrzebowali całych tygodni, gdzie, dzięki kolejom, dosyć dni paru. Gorączka taka życia nie pozwala ześrodkować się uwadze naszej na czemkolwiek, ani uczuciu przywiązać się silniej. Żyjemy poniekąd na pokomornem i przestaliśmy obdarzać głębszem przywiązaniem mury, które jutro opuścimy. Jesteśmy porwani odmętem nieustającego przewrotu technicznego: sposoby zaspakajania potrzeb ulegają tak gwałtownie przekształceniu, że odwykliśmy od stateczności bytu i pewności jutra.

Wszystkie te okoliczności wnoszą istotną rewolucję w świat naszych uczuć. Niszczą tę nić, co ojców naszych wiązała z dziadami. W domostwie, w którem ta sama rodzina przebywała w ciągu wieków, każdy szczegół wkrzeszał w wyobraźni potomków pamięć przodków: lipa owa na podwórzu, którą zasadzono, gdy ktoś przyszedł na świat, i fotelów w jadalni, w którym siadał syn po ojcu, i obrazy święte, pod któremi zbiorowo odmawiano pacierze. Dzisiaj, kiedy żyjąc w wielkich miastach, z roku na rok zmieniamy lokal, to i przeszłość ulatnia się i pierzcha, trzecie pokolenie potomków nie zawsze może wskazać, gdzie spoczywają kości dziadów. Przodkowie istnieją w naszem jestestwie, kierują naszem zachowaniem, panują nieraz nad naszym umysłem i podsuwają mu swoje sympatje, niechęci i uprzedzenia, ale powaga świadoma tradycji osłabła i my przestaliśmy spoglądać na nią jako na instancję najwyższą. „Myśl krytyczna“ przywodzi naszym postępkom w tem znaczeniu, iż zrobiliśmy ją probierzem wartości czynów swoich i poglądów, zwyczajów i urządzeń. Że za jej pośrednictwem przemawiają tylko potrzeby i widnokręgi, podsunięte przez dobę dzisiejszą, że „duch czasu“ jest tylko odbiciem w naturze ludzkiej całokształtu stosunków materjalnych i przystosowaniem do nich naszej jaźni, okoliczność ta w niczem nie zmienia położenia. Pokolenie nasze

straciło poczucie łączności z przodkami i wyzwoliło się z pod wpływów tradycji — pozornie.

Ale gdybyśmy opuścili gwar wielkomiejski, gdzie w zmiennym kalejdoskopie przesuwają się ludzie i stosunki, i udali się do rolników-barbarzyńców, do których winniśmy zaliczyć także włościanina swojskiego, to znaleźlibyśmy zgoła odmienną fizjognomję duchową. Zwyczaj ojców panuje tam nad umysłami, teraźniejszość jest mu posłuszna. Człowiek zaś jest w całej pełni un homme coutumier — człowiekiem, którym zwyczaj rządzi. L. Malinowski w opisie swoim Górno-Ślązaków dał parę ciekawych wzorków takiego przywiązania do tradycji:

„Górno-Ślązacy, pisze on [1]), starannie golą brodę i wąsy, które poczytują za wymysł czysto niemiecki. Nosić wąsy uważają tu po prostu za rzecz nieprzyzwoitą, niegodną prawego Ślązaka. „Wuns nosić to je gańba", powiadają. Byłoby to znieważeniem rodzinnych zwyczajów i wyraźnem odstępstwem. „Niechby się który odważył zapuścić wąsy, — mówił mi jeden siodłak z okolic Opola, — toby mu przy każdej przynależytości dziesięć razy na dzień wypominano: pilnuj no lepiej swoich wąsów, a do cudzych spraw nosa nie wtykaj". To też ulegając temu zwyczajowi, młody landwerzysta, powracając do domu, przybywa do rodzinnej wioski już ogolony, przywdziewa jaktę i kamizelę, zapomina wkrótce dawnej buty i fantazji, i znowu staje się cichym, dobrodusznym i pracowitym rolnikiem, jak przedtem".

„Dym z ogniska, — pisze ten sam autor w innem miejscu, — na którem płonie ogień, rozchodzi się po całej izbie. Górale są do tego przyzwyczajeni; co do mnie jednak, musiałem ciągle zostawać w postawie siedzącej, gdyż stojąc nie mogłem oddychać. Kiedym robił uwagę, że chaty takie są niezdrowe, starzec jeden zapewniał przeciwnie, że dym jest bardzo zdrowy, a zwłaszcza na oczy, że dymek całą chorobę z oczu wyciągnie. Na drugiej stronie znajduje się świetlica, izba pobielana z piecem, z którego dym wychodzi pod dach przez rurę. Tu jednak góral przebywa niechętnie, chociaż tu są lepsze sprzęty i niema dymu. Widać, że to już

[1]) „Zarysy życia ludowego na Śląsku". („Ateneum", 1877, t. I, str. 373 — 374.)

nabytek nowych czasów, że to ustępstwo cywilizacji, wciskającej się powoli aż w te górskie zakątki“ [1]).

„Na Wiśle — przytaczamy jeszcze jeden ustęp z tej samej pracy — widziałem szpetny zwyczaj. Gospodyni (gaździna) wniosła cebrzyk z pożywieniem do izby, zawołała świń i w izbie jeść im dała. Zdziwiło mnie to mocno, gdyż górale wogóle są nader ochędożni. Kiedy zrobiłem gaździnie uwagę, że przecież przynajmniej w lecie świnie mogłyby karmić się na dworze, odpowiedziała mi, że to jest „stary zwyk“, że świnie dobrze się chowają, kiedy im się jeść daje w izbie“ [2]).

A zatem ulepszenia techniczne w strukturze chaty i zachowanie ochędóstwa w domostwie napotykają przeszkodę w tradycji! „To jest stary zwyk“, jest to argument, przeciw któremu nie podołają żadne dowody, oparte na logice. „Myśl krytyczna“ nadaremnie będzie usiłowała zrobić wyłom w tem poszanowaniu dla przeszłości. Ta cześć dla zwyczaju przodków, za czasów gospodarstwa naturalnego, była nieprzepartą tamą dla rozwoju nowych potęg wytwórczych. Naturalnie, te potęgi znajdowały zawsze jakąś szparę, przez którą się przeciskały, acz z trudnością. Przyjmowano z niechęcią najdonioślejsze wynalazki techniczne, każda nowa próba ujarzmienia kaprysów przyrody walczyła z uprzedzeniem. Tacyt opowiada, że senat rzymski, uchwaliwszy odprowadzenie dopływów Tybru, wywołał niezadowolenie ludności, jako że decyzja ta jest wbrew przyrodzie i zwyczajom przodków. Moglibyśmy przytoczyć niezliczone mnóstwo podobnych wydarzeń aż do XIX wieku, w którym towarzystwo ogrodnicze londyńskie protestowało przeciw sztucznemu zapładnianiu roślin, jako rzeczy świętokradzkiej, włościanie żmudzcy wychodzili z cepami i widłami przeciw pociągom i dawali na mszę, by odwrócić takie nieszczęście, rząd zaś rosyjski przy pomocy wojska musiał wprowadzać kartofle. Lombroso, z właściwą temu badaczowi lekkomyślnością, wystąpił z hypotezą, że zdrowym naturom właściwy jest wstręt do wszystkiego nowego, — neofobia. Usiłował przedstawić ten popęd jako objaw powszechny natury kosmicznej. Fizyka przyjmuje, że każde ciało, znajdujące się w spoczynku, nie może wyjść z tego stanu bez udziału

[1]) ib., t. II, str. 108.
[2]) ib., t. II, str. 115.

czynników zewnętrznych, oraz, że wyprowadzone ze stanu spokoju, będzie poruszało się bez końca, póki nowa przyczyna zewnętrzna nie wstrzyma jego ruchu. Zasada ta bezwładności, wśród rodu ludzkiego, ma właśnie ujawniać się w neofobji. Antropolog włoski popełnił błąd, przypisując, bez zastrzeżeń, wszystkim epokom rozwoju dziejowego właściwości rolnictwa barbarzyńskiego. Natomiast dla tego okresu wywody jego zachowują całą moc swoją, chociaż źródło bezwładności ówczesnej tkwi nie w człowieku, ale w stateczności, niezmienności i rutynie materjalnych warunków bytu.

Podłoże historyczne w swojem oddziaływaniu na rozwój dziejowy posiada więc fizjognomię bardzo niejednostajną. W jednych epokach czynniki, tkwiące w zwyczajach, urządzeniach, wierzeniach, wywierają wpływ przemożny. Niekiedy dochodzi do tego, iż świat żywy znajduje się jak gdyby w pańszczyźnie u przeszłości, a mianowicie w organizacjach państwowych wcześniejszych, opartych na trybie gospodarstwa naturalnego, jak to widzimy w starożytnym Egipcie i poniekąd w Chinach. Industrjalizm nowoczesny stargał te wpływy tradycji i punkt ciężkości przeniósł do wymagań rozwojowych chwili obecnej. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby podłoże historyczne zniknęło. Istnieje i rozporządza na swoje rozkazy całym aparatem uczuć naszych! Braknie jednak dawnego szacunku dla przeszłości. Tradycja przestała być instancją, do której odwołujemy się jako do najgłówniejszego argumentu. Nowe potrzeby, powstające w społeczeństwie, i wogóle postęp nowoczesnych potęg wytwórczych, spotykają zawady w urządzeniach politycznych i stosunkach prawnych, w organizacji sił społecznych, ale nad temi instytucjami nie unosi się aureola świętości, jaka jest właściwa każdorazowemu porządkowi rzeczy w epocę barbarzyństwa.

* * *

Podłoże historyczne tworzy bardzo ważną kategorję czynników dziejowych: b i e r n ą. Pod wpływem świadomości, skierowanej tylko na zaspokojenie potrzeb codziennych i codziennych interesów, rozwijają się w społeczeństwie nowe potęgi wytwórcze i stawiają któryś odłam narodu, lub cały naród w nowem otoczeniu, podsuwają im nowe aspiracje i w końcu

dają początek nowym urządzeniom społecznym. Ustrój życia codziennego, a zwłaszcza sfera produkcji, samorzutnie przekształcają się i są w tym procesie stawania się wiecznym rewolucjonistą. Odgrywają rolę czynnika zasadniczego. Idea zjawia się na widowni dziejowej, jako odźwierciedlenie rezultatów tego rozwoju w zakresie warunków bytu materjalnego, jako sformułowanie nowych potrzeb, stworzonych przez postęp sił wytwórczych. Jest czynnikiem pochodnym, wtórnym. Ale zarówno ów samorzutnie przekształcający się ustrój życia, jak i wyłonione przezeń ideje, niosą ze sobą zasadę przewrotu, tj. w rozwoju dziejowym zachowują się jako potęgi czynne.

Zgoła odmienną jest rola podłoża historycznego, t. j. owego całokształtu systemów politycznych i prawnych, zasad moralnych i estetycznych, wierzeń i poglądów, przesądów i uprzedzeń, temperamentów i uczuć, wśród których kiełkują nowe siły wytwórcze. Jest jak ubranko, zrobione dla malca paroletniego. W miarę tego, jak dziecko mężnieje, szata staje się coraz ciaśniejszą i niewygodną, aż w końcu musi zostać porzuconą. Ale nie tak to łatwo rozstać się z podłożem historycznem: wrosło nawet w nerwy nasze i tkanki, trzyma się naszej istoty tysiącem niewidzialnych nici, nawet gdy życie pcha nas po drodze, wrogiej tradycjom dawnego porządku rzeczy. Każda taka nitka jest hamulcem, powściągającym rozwój, tem bardziej zaś urządzenia, które mogą w braku argumentów rozporządzać siłą. Czynniki, tkwiące w podłożu dziejowem, są natury biernej: nie stwarzają nowych prądów, lecz powstającym obcinają skrzydła i krępują ich polot. Jeżeli chcemy poznać, dlaczego ideje społeczne zjawiają się na widowni historycznej w określonem następstwie, oraz pragniemy zbadać, skąd wzięły treść swoją, musimy uprzednio zrozumieć rozwój potęg wytwórczych, ideje bowiem są tylko sformułowaniem zadań, które powstały żywiołowo w następstwie zmian, co zaszły w materjalnych warunkach bytu gromadnego. Kierunek, w jakim przekształca się więź społeczna, t. j. jej organizacja, jej prawa i zasady, zależy od przekształceń w tej dziedzinie rzeczowej. Natomiast skoro badamy wyniki, do jakich doszło ostatecznie życie społeczne w swym rozwoju, t. j. te konkretne urządzenia, w których urzeczywistniła się idea, winniśmy nadto uwzględnić jeszcze działanie podłoża historycznego. Sposoby rozwiązania zadania dziejowego są

w zależności nie tylko od potrzeb, wyłonionych przez teraźniejszość, ale także i od zorganizowanej więzi, jaka pozostała po przeszłości. Te same potęgi wytwórcze w każdym kraju mogą i muszą wydać rezultaty odmienne: ustrój mieszczański posiada inny charakter w Anglji, inny w Ameryce lub Francji, bo podłoże, na którem odbywało się wyzwolenie tak zwanej burżuazji, było każdorazowo inne.

Wszelka reforma i wogóle wszelki postęp muszą rozpocząć od walki przeciw owej przeszłości. Zapasy te przybierają postać walki idej nawzajem wrogich — tradycji i myśli krytycznej, prawa nabytego a przyrodzonego, etyki opartej na powadze, a moralności niezależnej. Ale w głębi poza tą szatą ideologiczną ukrywają się pobudki realniejsze — interesy warstw walczących. Tradycja jest puklerzem warstw, w których interesie spoczywa utrzymanie istniejącego porządku rzeczy; myśl krytyczna staje się przyłbicą tych, których dobrobyt jest zależny od dalszego rozwoju sił wytwórczych, pętanych przez istniejącą ustawę społeczną. Chodzi tam o rzeczy bardzo namacalne! Warstwa, łaknąca zmian w otoczeniu społecznem, rozpoczyna od wyzwolenia umysłów swoich od „tradycji“, od podważenia powagi moralnej ustroju, przeciw któremu walczy. Krytyka ideologiczna jest pierwszą fazą przełomu, dojrzewającego w społeczeństwie. Na oczyszczonym gruncie poczyna się akt drugi — organizacji armji dziejowej, która, wolna od pęt ideowych starego porządku rzeczy, przekształci urządzenia społeczne stosownie do potrzeb nowych sił wytwórczych, które dojrzały były do zapanowania w społeczeństwie.

Z PSYCHOLOGJI ŻYCIA ZBIOROWEGO.

I.

IDEA A CZŁOWIEK.

(1896)

Na pierwszy rzut oka rozwój dziejowy jest sprawą ścierania się nieustającego odmiennych poglądów.

Nowa idea powstaje w czyimś umyśle; wypowiedziana, oddziaływa na otoczenie, ogarnia coraz rozleglejsze koła, wreszcie pozyskawszy poparcie tłumów, doprowadza do reform.

Po niej zjawia się na widowni dziejowej inna, wstępuje w zapasy z poprzedniczką, ginie w nich lub wychodzi zwycięzka.

Ideje, następujące po sobie, splatają się na krośnie dziejowem w olbrzymie pasmo i są jako osad, w którym zawarły treść swoją doświadczenia kolejne. Filozofja usiłowała odnaleźć prawa, któreby przywodziły takiemu wysnuwaniu wątku historycznego. Comte widział w rozwoju dotychczasowym postęp nieustanny: ideje, posiadające pierwiastkowo postać teologiczną, przybierały, z biegiem czasu, tłómaczenie metafizyczne, w epoce zaś nowoczesnej — pozytywne, przyczem różne zakresy życia ulegają temu przekształceniu niejednocześnie. Hegliści czystej wody przedstawiali dzieje jako zwarty szereg faz, wyłaniających się jedna z drugiej, następna z poprzedniej, w sposób dialektyczny: pewna „idea“ występuje w życiu gromadnem jako teza, umysł ludzki przechodził od

tego zasadniczego założenia do innego, które przeczyło dawnemu, do tak zwanej antytezy, w końcu nastawał okres syntezy, polegającej, jak rzeklibyśmy, na pogodzenie obu, tezy i antytezy, gdyby takie określenie nie było nieścisłe, a nawet trywialne.

W takiem pojmowaniu rozwój idei uchodził za zasadniczy pierwiastek dziejów.

Przez długie czasy historjozofja poprzestawała tylko na ujmowaniu ogniw tego pasma ideowego w zależności wzajemnej i nie zastanawiała się nad jego rodowodami. Dopiero dialektyzm materjalistyczny postawił kwestję głębiej i rozwiązał ją wyczerpująco. Dał mu początek Feuerbach, wykazując, że nie „idea“ stwarza „człowieka“, lecz człowiek — ideę; ugruntowało go zaś lewe, krańcowe skrzydło heglistów, udowodniwszy, że starcie poglądów jest tylko ideologiczną „łuną“, oświetlającą antagonizmy, istniejące w materjalnych warunkach życia gromadnego, i że praw, według których rozwój wysnuwa kanwę idej, nie można zrozumieć bez rozbioru tego zasadniczego podkładu, a więc jego kształtów, rozdźwięków, dążności.

Na razie nie chodzi nam o rozbiór podłoża dziejowego, na którem dojrzewa pasmo idej. Poprzestaniemy na wrażeniu powierzchownem, mianowicie, iż rozwój dziejowy jest historją myśli ludzkiej, wcielającej się w nowe urządzenia i instytucje społeczne. Natomiast zastanowimy się nad innem zagadnieniem: jak działa idea na pojedyńczą osobę, tj. do jakiego stopnia może przekształcić jej popędy, oślepić ją lub pochłonąć, oraz, czy to pochłonięcie jest jednakie w różnych epokach historycznych; w końcu, jakim jest mechanizm krzewienia się idei ze strony formalnej. Stawiając tak kwestję, odrywamy ją zupełnie od gruntu rzeczywistości dziejowej, bo będziemy mieli do czynienia z ideą, pozbawioną „mięsa“, z kategorją abstrakcyjną, którą badamy nie ze względu na jej treść i rodowody, lecz na sposób oddziaływania i rozpowszechniania się. I człowiek, o jakim mówić będziemy, jest tylko prostym okazem fizjologicznym, żyjącym w gromadzie—„zwierzęciem politycznem“, jak powiedziałby Arystoteles: weźmiemy pod uwagę jedynie jego zdolność do ukochania czegoś i poświęcenia swoich interesów, mniejsza jaką treść posiada owo „coś“, dodatnią lub ujemną, rozsądną lub niedo-

rzeczną. Zagadnienie, ze społecznego, staje się psychologicznem, dokładniej: należącem do zakresu psychologji życia zbiorowego.

* * *

Mrówka, zatrwożona zbliżającem się niebezpieczeństwem, trąca różkami towarzyszkę, którą spotkała, obie zawiadamiają w ten sam sposób każdą inną mrówkę z którą się zetkną, każda zaś idzie w ich ślady i uderzeniami różków krzewi dalej emocję w mrowisku. Po paru minutach mrowisko roi się od tych stworzonek, biegających na wszystkie strony, podnieconych, odważnych.

Mamy przed sobą w postaci najprostszej czynność krzewienia się nastroju pomiędzy gromadą. Mechanizm tego krzewienia się, przynajmniej w przykładzie przytoczonym, jest bardzo przejrzysty: dotknięcie różków wywołuje gniew, animusz zaś wzrasta z każdą nową podnietą, w ten sposób udzieloną.

W społeczeństwie ludzkiem sprawa na pozór jest bardziej złożona: emocja wykwita w ideę, idea zaś działa od człowieka do człowieka nie tylko w zetknięciu bezpośredniem, ale wiąże w jeden zastęp osoby, przedzielone znacznemi odstępami czasu lub wielkiemi przestrzeniami. Ale, bądź co bądź, jest to różnica raczej pozorna, niż rzeczywista, natury formalnej. Albowiem, gdybyśmy otrzymali dogodny punkt dla obserwacji zewnętrznej, w wyniku ostatecznym otrzymalibyśmy obraz pokrewny.

Socjolog francuski, Tarde, podjął próbę usystematyzowania praw, które rządzą rozpowszechnianiem się idej w gromadzie społecznej.

We wszechświecie Tarde spostrzega tylko trzy działy zasadniczo odmiennych powtórzeń.

W zakresie zjawisk fizycznych martwa bryła, np. atom lub ciało niebieskie, jest jednostką występującą jako podłoże powtórzeń, powtórzenie samo zaś polega na ruchu rytmicznym.

Objawy, właściwe królestwu organicznemu, polegają na reprodukcji gatunku, t. j. na nieustannem odradzaniu się tych samych kształtów.

Źródłem faktów społecznych jest naśladownictwo w jak najszerszem znaczeniu: uległość dla tradycji, poddawanie się wpływom wychowawców, moda, przejmowanie się ruchami filozoficznemi, wszystko są to różne postacie powtarzania czynu niegdyś dokonanego. Powtarzanie to, będące przedmiotem wiedzy społecznej, przedstawia, w ostatecznem uproszczeniu, zastosowanie zasad, które fizyka odkryła dla rozchodzenia się ruchów rytmicznych, biologia zaś dla reprodukcji gatunku.

Parę przykładów uprzytomni nam myśl socjologa francuskiego.

Każda fala powtórzeń, raz jeden powstawszy, rozszerza się do nieskończoności, jeśli nie napotka przeszkód: kamień, rzucony do wody, wywołuje dokoła kręgi, roztaczające się coraz dalej; para małżonków odradza się w coraz liczniejszych potomkach i po upływie dostatecznie długiego czasu zaludniłaby cały glob ziemski; podróż Kolumba do Ameryki naśladuje dzisiaj paręset tysięcy osób rocznie. Każdy czyn ludzki, dodatni lub ujemny, wykazuje dążność do powtarzania się coraz częściej: zbrodnia raz jeden dokonana, zmierza do tego, aby stać się powszechną, wyjątkowa cnota zaś, aby być dobytkiem wszystkich obywateli.

Każde naśladownictwo ulega spaczeniu, przechodząc z jednego otoczenia społecznego w inne, odmienne. Promień światła, przenikając do nowego środowiska, załamuje się w punkcie wejścia. Tak samo „czyn społeczny“, pozostając w gruncie rzeczy tym samym, zmienia się jednak, po przejściu ze wsi do miasta, od osób wykształconych do prostaków.

W tem samem społeczeństwie istnieją równocześnie liczne ideje. Ktoś może być pod działaniem wpływów, pochodzących z ognisk odmiennych. Powstaje zjawisko interferencji społecznej. Jak dwie fale świetlne, spotykając się w jednym punkcie, mogą wydać światło wzmocnione lub zaćmić je stosownie do wzajemnego kierunku, jak dwa gatunki zwierzęce w walce o byt wytępiają się nawzajem lub ochraniają, tak samo dwa wrażenia lub pożądania, przy swojem spotkaniu się w czyimś mózgu, wzmacniają lub osłabiają działalność społeczną tej osoby. Są to „pojedynki“ i „sojusze ideowe“.

Tarde nie poprzestaje na takiem przetłomaczeniu stosun-

ków społecznych, na język przebiegów badanych przez fizykę, ale nadto usiłuje do powtórzeń, właściwych życiu gromadnemu, wprowadzić pierwiastek organizacyjny. Rozwój społeczny idzie od prostego nagromadzenia faktów, doświadczeń i urządzeń do zwartego powiązania poglądów i zwyczajów, od „słownika“ do „gramatyki“. W jednej z późniejszych swoich prac socjolog francuski stara się dać wzory dla przebiegów naśladowniczych, wypowiedziane w terminach jeszcze właściwszych naturze ludzkiej. „Społeczeństwo, w całokształcie swoim rozpatrywane, jest lub staje się wielkim mózgiem zbiorowym, pojedyńcze, indywidualne mózgi są tylko jego komórkami!“ Działalność społeczna wszelkiego rodzaju jest sui generis sylogizmem. Rozkazy i nauki, prawa i dogmaty, przyzwyczajenia i przepisy wiedzy, jakie oglądamy dokoła siebie w społeczeństwie, to założenia; każdy z członków gromady społecznej formułuje przesłankę pod wpływem warunków życia codziennego, gdy trzeba zastosować istniejący dogmat lub prawo; w końcu wnioskiem jest to, na co zdecydował się ów obywatel. W każdej spójni społecznej istnieje pewna liczba przykazań związanych nawzajem mniej lub więcej zwarcie i zależnie, która streszcza dorobek historyczny narodu, jego wiedzę i doświadczenie, jego ducha. Każdy wniosek w sylogizmie społecznym, to nowe powtórzenie czynu, „odkrycia“, który tkwi w założeniu.

Zatrzymaliśmy się nad najbardziej wyczerpującą próbą, usiłującą ująć mechanizm krzewienia się idej w społeczeństwie — ze strony formalnej. Podstawą jego jest naśladownictwo, posługujące się sylogizmem; czyny pierwotne, będące punktem wyjścia dla powtórzeń, wiążą się w zwarty ustrój założeń, w „gramatykę społeczną“. Idea występuje tutaj w zupełnem oderwaniu nietylko od warunków bytu gromadnego, lecz nawet od natury duchowej obywateli. Niewątpliwie, oświetlenie rzeczy, jakie dał Tarde, jest słuszne. Może należałoby zrobić parę zastrzeżeń małej doniosłości. Ale jednocześnie, winniśmy dodać, że jest bardzo jałowe. Tego rodzaju dociekania, póki są trzymane w należytych granicach, pozostają na swojem miejscu, choć nigdy nie przysparzają zbyt wielkiego pożytku, ale zanadto rozszerzone, sprowadzają wiedzę społeczną na manowce i wskrzeszają jedynie dawną scholastykę, pochłaniają dużo wysiłku umysłowego i dowcipu,

ale nie posuwają nauki. Tak jest właśnie u Tarde'a, który gotów w przytoczonych prawach naśladownictwa widzieć jedyną zawartość nauki socjologicznej. Wprawdzie w jego teorji, po za nawiasem powtórzeń, w punkcie wyjścia każdej fali naśladowczej, istnieje jeszcze „odkrycie", t. j. pierwsze wypowiedzenie nowej myśli lub pierwsze dokonanie nowego czynu. Badacz francuski zaznacza to, ale nie zastanawia się bliżej nad znaczeniem objawów tej kategorji, które w jego przekonaniu należą do zakresu historji, nauki opisowej. Jednak nie chodzi nam o prostowanie wywodów Tarde'a. Pragnęliśmy jedynie wskazać, że przebiegi społeczne, zarówno te które odbywają się w czasie, jak i w przestrzeni, można rozpatrywać wyłącznie z formalnego punktu widzenia; do tego zaś pośpieszamy dodać, że takie oświetlenie przedmiotu nie daje ani pojęcia o więzi społecznej, ani o naturze rzeczywistych czynników rozwoju dziejowego.

Jeszcze raz podkreśliwszy jałowość powyżej rozpatrzonych dociekań, o ile przekroczą godziwą miarę, zwrócimy się do pytania o wiele donioślejszego dla zrozumienia stosunków społecznych, a mianowicie o ile idea może oddziałać na człowieka, duch zapanować nad ciałem.

Poszukiwania w dziedzinie hypnotyzmu dokonały przewrotu w dotychczasowych poglądach na tę zależność. Rozporządzamy dzisiaj olbrzymim zasobem faktów bardzo znamiennych i całe nasze zadanie w tej mierze polegać będzie na streszczeniu tego, co psycholodzy odkryli, pogrążając badane osoby w śnie hypnotycznym i poddając im wtedy rozkazy. W toku takiego rozbioru ujrzymy, że idea (mniejsza na razie o to, w jaki sposób przyszła na świat) staje się wszechmocną panią postępków, skoro obejmie w posiadanie czyjś mózg i z jego właściciela stworzy oddanego bojownika w imię wyznawanych przekonań. I znowu mniejsza, czy przekonania te są wsteczne lub postępowe, pożyteczne lub szkodliwe. Jeżeli zaś ogarnia umysły licznych rzesz narodu, idea staje się naówczas pierwszorzędną siłą dziejów, bo siłą, która organizuje armję bojową. Analiza więc rozpowszechniania się idei, to przedewszystkiem historja rodowodu drużyn, walczących o zmiany w ustroju społecznym, o poglądy religijne i filozoficzne, i t. d.

* * *

Doświadczenia, przedsiębrane przez fizjologów, dowiodły w sposób stanowczy, że są warunki, w których idea ujarzmia „ciało“ i nagina je do swoich zamiarów i celów. W obecnej chwili, gdy rozporządzamy obfitym zasobem faktów, świadczących o podatności natury ludzkiej na sugestję podczas uśpienia hypnotycznego, nie podobna powątpiewać dłużej o takiej wszechmocy pobudki duchowej. Poszukiwania, datujące się oddawna, lecz ugruntowane dopiero przez Braid'a (1843), odsłoniły przed nami niespodziewane tajniki ducha, bo wykazały, że ciało jest w pewnych granicach posłusznem narzędziem idei.

Hypnotyzm rzucił zgoła nowe światło na ukryte sprężyny psychiki ludzkiej.

Bernheim, pogrążywszy dorosłego mężczyznę w stan hypnotyczny, mówi do niego: „Masz lat sześć, jesteś dzieckiem, idź się bawić!“. Uśpiony zachowuje się jak dziecko, skacze, dokazuje. Powiada mu: „Jesteś dziewczyną!“ Mężczyzna spuszcza skromnie oczy i niby zaczyna szyć. Na myśl, że jest generałem, staje na czele nieistniejącej armji i komenderuje. Poddają mu, że jest księdzem — żegna się i nadaje twarzy swej wyraz pobożny; że jest psem — staje na cztery łapy i szczeka. Słowem, osoba, którą uśpiliśmy, jest posłuszna podsuniętej idei i odpowiednio do jej treści zmienia swoją postawę i fizjognomję, gwałcąc bez litości własne swoje przyzwyczajenia.

Ale wpływy sugestji, podsuniętej w uśpieniu hypnotycznem, idą o wiele dalej, bo rozciągają się aż do tych czynności naszego organizmu, które, zdawałoby się, są zupełnie wyjęte z pod oddziaływania naszej świadomości i woli, jak czynności organów trawienia, lub krążenia krwi.

„Mówię pani E. — pisze dr. Beaunis — że po ocknięciu będzie miała czerwoną plamkę w tym punkcie ciała, który wskazuję... W dziesięć minut po obudzeniu występuje czerwoność, a zarysowawszy się dostatecznie, znika po kwadransie“. Ktoś inny usypia tę samą osobę i podczas snu przykleja na jej lewem ramieniu pięć zwyczajnych marek pocztowych, wmawiając, że przykłada wizykatorje, pokrywa je płatkami płótna i bandażuje mocno. Po zdjęciu bandaży okazuje się, że skóra pożółkła na przestrzeni 4 — 5 centymetrów i poodstawała, po-

tworzyły się bąble i naokoło wystąpił czerwony, nabrzmiały pasek, szerokości pół-centymetrowej. Tego samego dnia, wieczorem, zaczął się wysięk. Albo jeszcze jeden fakt, przewybornie uwydatniający oddziaływanie idei na system krwionośny. Lekarz nakreślił swoje nazwisko na ramieniu chorego i zapowiedział mu, że gdy zaśnie o wyznaczonej godzinie, krew wystąpi na miejscu , gdzie wypisał swoje nazwisko. Chory zasypia i litery wyraźnie zarysowują się na ramieniu, nasiąknięte krwią. Przekrwienie było widoczne jeszcze po kwartale.

Ze szczebla na szczebel, dochodzimy do objawów coraz głębszego oddziaływania. Są to fakty usuwania chorób czynnościowych, tj. takich, w których stan niemocy nie jest rezultatem widocznych zmian organicznych. Poddawanie okazało się skutecznym środkiem na niektóre głuchoty, ślepoty, paraliże, nawet rany.

A zatem idea, podsunięta podczas uśpienia hypnotycznego, wywiera wpływ na różne czynności życia, duchowe i fizyczne, bo zmienia charakter osoby i jej poglądy, oddziaływa na postępowanie, wzmacnia instynkty dodatnie lub rzuca ziarno demoralizacji, przyspiesza puls i reguluje krążenie krwi, podnieca żywotność organizmu lub ją osłabia, może uzdrowić kogoś lub, użyta przez człowieka złej woli, doprowadzić do niemocy fizycznej i nawet śmierci. Skutki takie nieograniczają się do tego krótkiego przeciągu czasu, gdy ktoś został ubezwładniony przez usypiacza i musi słuchać rozkazów jego. Nie! Wpływy nie ustają po ocknięciu, wtedy mianowicie jeżeli hypnotyzujący nakazał uśpionemu, iż ma nadal postępować według udzielonych mu wskazówek. Już w liczbie powyżej przytoczonych faktów są fakty świadczące o trwaniu skutków po za okresem uśpienia. Krwawe znamiona nie schodzą z ramienia w ciągu kwartału, po marce pocztowej pozostaje ślad i wywołuje wysięk. Osoba wróciła pozornie do swego zwykłego stanu, lecz idea pozostała w mózgu i za pośrednictwem nieznanych nam sprężyn działa na ciało. Sugestja sprawia takie same wyniki w zakresie właściwości moralnych, o które nam głównie i nawet jedynie chodzi, gdyż są bodźcami i regulatorami czynów społecznych. Dotychczasowa praktyka hypnotyzmu obfituje w zadziwiające wypadki, pozwalające mniemać, że czyjś charaktet może ulec

poważnej zmianie pod wpływem podszeptów otoczenia. Lekarze wykorzeniają przez sugestję hypnotyczną pociąg do pijaństwa, zmniejszają wrodzoną kłamliwość, usuwają lenistwo. Dr. Beaunis zahypnotyzował malca, odznaczającego się niechęcią do nauki i w takim stanie poddał mu nakaz skrupulatnego przygotowywania się do szkoły. Chłopiec w ciągu paru miesięcy pracował sumiennie, choć później z biegiem czasu odezwał się dawny nałóg [1]).

Nasze codzienne życie duchowe, w którem kształcimy swoje przekonania i ćwiczymy uczucia, nie jest bezwładnością hypnotyczną. Mechanizm tego, jak myśl jakaś trafia do naszego mózgu, w normalnym toku zajęć, jest odmienny, bo zamiast uśpienia duchowego świadomość tętni w naszem jestestwie. Ale idea, która przedostanie się do naszej jaźni i będzie przez nią przyswojona, zwłaszcza, jeśli się wpije w naszą istotę i przykuje do siebie nasze uczucia, oddziaływa tak samo, jak podsunięta podczas snu hypnotycznego. Moglibyśmy przytoczyć wiele dowodów na to, że działa niekiedy tak samo nawet w zakresie czynności czysto fizycznych. Wiara uzdrawia i tworzy cuda! Wyrażenie to, które często zdarza się słyszeć w rozmowie potocznej, jest oparte na doświadczeniu wielu pokoleń. Nawet najpierwotniejsza praktyka lekarska zdaje sobie jasno sprawę z takiego znaczenia wiary. „Wiara pacjenta — pisze Mooney [2]) o lecznictwie Czeroków — sporo przyczynia się do uzdrowienia. Ceremonje i obrzędy są obliczone na spotęgowanie ufności. Umysł chorego niewątpliwie wywiera wpływ dodatni na ciało!“. Jeszcze dobitniej rzucają się w oczy skutki upadku ducha, bo nietylko paraliżują żywotność, lecz nawet przyśpieszają śmierć. Na archipelagu Hervey, „jeśli któryś z tubylców znieważy czarodzieja, ten dorabia nowe ogniwo do swego łańcucha. Przez zawieszony pierścień chwyta duszę krzywdziciela. Przyjaciele

---

[1]) Zresztą wpływ sugestji spotyka przeciwwagę w naturze zahypnotyzowanej osoby. Badania wykazały, że można zahypnotyzowanemu podsunąć np. ideę morderstwa, że przybierze on nawet odpowiednią postawę, ale w wielu razach oprze się wprowadzeniu idei w czyn.

[2]) Sacred formules of the Cherokees (Annual Report of the Ethnographical Bureau 1885 — 1886, str. 323).

winowajcy starają się przejednać wróżbitę podarunkami i wybłagać oswobodzenie duszy. Skoro to się nie uda, pozbawiony duszy wpada w obłąkanie [1])". Albo inny przykład z bytu Australczyków. „Duch ukazał się kobiecie we śnie, — opowiada Bonwick — i zawiadomił ją o rychłej jej śmierci. Znękana opowiedziała o tem nazajutrz. Po dwu dniach już nie żyła [2])". Przykładów nie mnożymy. Etnografja, oraz historja naszej własnej kultury, dostarczyłyby nam bardzo wielu dowodów wymownych.

Żywot nasz, jakeśmy rzekli, polega na nieustannem przyswajaniu nowych pojąć. Nie o każdej porze dni swoich poddajemy się jednako oddziaływaniu ze strony otoczenia, ale bądź co bądź nigdy nie jesteśmy zabezpieczeni przeciw wpływom, które zewsząd uderzają o nasze jestestwo duchowe i żłobią w niem nowe wyłomy. Niewiadomo, w jakiej chwili dopłynie do naszej świadomości jakaś idea. Niejedna skrada się niby niecny zdrajca, wybiera chwilę upadku ducha i swoim jadem zatruwa na długo naszą żywotność i energję; natomiast inna, przyszedłszy w odpowiednim czasie, może powstrzymać nas od zniechęcenia i zagrzać do dalszych wysiłków. Przelotnie rzucony paradoks, wypowiedziany tylko dla zrobienia efektu wśród gawiedzi, może, jak ogień strzechę ze słomy, objąć czyjąś duszę i spalić ją. Niema poglądów obojętnych, bo niewiadomo, jakie szkody lub skutki dodatnie może w czyjejś jaźni zrządzić żart najbłahszy. Na razie jest dla nas rzeczą małej wagi, w jaki sposób powstały i w jakim stosunku pozostają ideje do potrzeb członków pewnego społeczeństwa. Chodzi nam tylko o wykazanie tego, że myśl jakaś lub pobudka, gdy się dostanie do mózgu czyjegoś, przeinacza się z oderwanego na realny czynnik życia gromadnego. W takiej postaci staje się potęgą materjalną, bo zamienia człowieka w narzędzie nurtujących w życiu prądów, mniejsza o to, czy szkodliwych lub pożytecznych, zdrowych lub chorobliwych. Nawet najbierniejsza osoba, powziąwszy względem jakiejś idei sympatje lub antypatje, przestaje być zerem dotychcza-

[1]) Archiv für Anthropologie, VII, str. 154.

[2]) Bonwick: The Wild White Man und the Blacks of Victoria, wyd. II, str. 55.

sowem (którem zresztą nikt nie jest w społeczeństwie, bo obok zer znajdują się tam zawsze jedynki—chodzi więc tylko o to, czy będzie zerem, dorzuconem do cyfry dodatniej lub ujemnej). Staje się szeregowcem pewnego prądu, lub szańcem, opierającym się jego wylewowi. Z tych rozproszonych posterunków tworzą się wojska społeczne: kościoły, sekty, partje lub też, pod wpływem innych idej, szeregi już istniejące zniechęcają się do czynu, rozpadają i dezorganizują. W takiej armji ci, których idea zupełnie oślepiła i z ich jaźni wyrugowała wszystkie inne pobudki, tworzą straż przednią, nacierającą; inni, tylko sympatyzujący, są szeregowcami pospolitymi, za którymi ciągną jeszcze ciury. Myśl wypowiedziana, zwłaszcza jeśli jest sformułowaniem interesów i widnokręgów którejś grupy społecznej, odgrywa doniosłą rolę w rozwoju stosunków społecznych: dążenia, dotychczas żywiołowo i instynktowo odczuwane, zmienia w programy świadome, odruchowe bełkotanie — w mowę członkowaną. Staje się hasłem, gromadzącem i prowadzącem ludzi do boju. Co do swojej treści, może być wązka, nawet samolubnie klasowa, lecz szeregowiec, którego jaźnią owładnęła, wyrzeka się interesów osobistych, gotów jest do ofiar na rzecz tego, co ukochał, i śmiało idzie w ogień. O entuzjazmie takiego wojska, o głębokim wpływie idej na charakter ludzki świadczy niemal każda żywsza stronica dziejów. Żywoty świętych, to księga, której każdy wiersz niemal opowiada nam o znaczeniu pobudki idejowej: nawróceni rozpustnicy udają się na pustynię umartwiać swoje ciało i stają się ascetami, obojętni na losy bliźnich są aniołami-stróżami cierpiących, lekkoduchy giną jako bohaterzy podczas prześladowań, zniewieścieli wygodnisie rozpoczynają żywot, pełen troski i mozołów. Idea to, z najrozmaitszych żywiołów, organizowała te olbrzymie zastępy, co z rozkoszą i męztwem w ciągu wieków przyjmują wieniec cierniowy męczeństwa lub wyrzekając się dostatków i wygód, puszczają się do nieznanych krajów głosić swoją wiarę.

Hypnotyzm, słowem, wykazuje nam w sposób namacalny, do czego dochodzi wszechwładza idei nad jaźnią człowieka. Nie znaczy to, ażeby działacze, porwani urokiem ukochanego hasła, byli zahypnotyzowani. Nie! Ale mechanizm oddziaływania ducha na ciało pozostaje zawsze

ten sam, mniejsza jednak, czy przyjęliśmy ideę krytycznie, poddawszy ją należytemu rozbiorowi, lub ulegliśmy bezwładnie.

* * *

Nastręcza się pytanie, czy ów pochód idei w społeczeństwie, t. j. jej rozpowszechnianie, odbywa się z jednakową szybkością we wszystkich epokach rozwoju dziejowego. Naturalnie należałoby usunąć z pod rozpatrzenia warunki zewnętrzne, takie, jak łatwość komunikacji i wymiany myśli, i rozważać przebieg w oderwaniu od treści idej. Tak stawiając sprawę, oświetlilibyśmy zagadnienie jedynie ze stanowiska psychologicznego, mianowicie podatliwości natury ludzkiej na pobudki w różnych okresach historji.

Nie będziemy jednak podejmowali tego zadania w całej jego rozciągłości, lecz zatrzymamy się jedynie nad warunkami, które sprawiają, iż idea krzewi się w drodze zarazy moralnej, t. j. mechanizm jej rozpowszechniania się zawiera w sobie pierwiastki pokrewne sugestji hypnotycznej — idea rozpowszechnia się posługując się naśladownictwem.

Istnieją po temu pierwiastki w każdym okresie dziejowym.

Pierwiastki te tkwią już w naturze ludzkiej.

Badania nad hypnotyzmem dowiodły, że nie wszyscy wpadają w stan bezwładności umysłowej z jednaką łatwością. Ze studjów d-ra Liebaulta okazało się, że z tysiąca osób, które badał, 2,6% odznaczało się bezwzględną opornością względem prób ich obezwładnienia; że 13% odczuwa tylko senność, lub wpada co najwyżej w lekki sen; że dalsze 45% można uśpić mocno, 38,7% zaś bardzo mocno, aż do somnambulizmu. Nie przypisujemy większego znaczenia przytoczonym cyfrom, gdyż inni badacze otrzymali odmienne rezultaty; podkreślamy tylko ten wynik, że społeczność składa się z osób nie w jednakowym stopniu poddających się hypnozie. Ta podatliwość może nam służyć za miarę wszelkiej uległości i niesamodzielności idejowej. Studja nad hypnotyzmem wykazały, że istnieją nawet osoby, których nie trzeba pogrążać w uśpieniu hypnotycznem, ażeby im wmówić ból w ręce lub wszelkie iluzje. Gromady, które odznaczają się większym procentem osób, dających się uśpić — owych hypnotisables —

zbliżają się bardziej do owego „idealnego“ stanu, w którym jakiś prąd społeczny będzie się rozpowszechniał bez tarcia, ustępując podobnie łatwo miejsca innemu. Zaraza duchowa będzie tam następowała po zarazie. Osoby tej kategorji, jak ćmy do światła, kręcą się dokoła każdej nowej idei — społecznej, filozoficznej, podmuchu mody, byleby zdołała olśnić je, po to tylko, ażeby porzucić ją, gdy inna, tak samo błyskotliwa, się ukaże.

Jednak nie tyle nam chodzi o pierwiastki podatliwości, tkwiące w naturze niektórych osób, ile o te, które wypływają z warunków otoczenia i tem samem kładą piętno swoje na całych rzeszach ludzkich.

Istnieją takie warunki, sprzyjające większej podatliwości na wszelką pobudkę.

Podatliwość ta może wypłynąć z ogólnej nadwrażliwości nerwowej.

Są autorowie, usiłujący dowieść, że zmiany meteorologiczne, jakie np. nastają w związku z rozpoczęciem się wiosny, oddziaływują na organizm ludzki i robią go skłonniejszym do uniesień, mniejsza czy uniesienia te są wyładowaniem namiętności indywidualnej lub gromadnej.

Podatność ta może pochodzić jeszcze z innego źródła: z bezwładności duchowej.

Uśpienie hypnotyczne bywa słabsze lub mocniejsze, lecz zawsze powstaje skutkiem otrzymywania przez nasze zmysły bardzo jednostajnego wrażenia przez pewien czas. Czy podobny stan ducha nie powstaje w życiu całych gromad pod wpływem czynników otoczenia martwego i społecznego? Mogą istnieć okresy takiej szarzyzny życia, takiej jednostajności warunków bytu i ubóstwa pobudek, że umysły całych rzesz, doprowadzone do bezwładności, przestają krytycznie przyjmować ideje, roztrząsać je lub rozważać, lecz ulegają każdej, która swoją niecodziennością je pociągnęła.

Rzeczywistość popiera to nasze założenie.

Istnieją na globie ziemskim okolice, w których życie gromadne nie ujawniło dostatecznej rozmaitości, otoczenie zaś martwe odznacza się rozpaczliwie posępną i nużącą jednostajnością. Takie dzielnice są właśnie najczęściej widownią opętań i zaraz duchowych. Okrąg jakucki dostarcza wymownego świadectwa skutków takiej monotonności. Całun śnież-

ny pokrywa ziemię w ciągu wielu miesięcy, życie biegnie leniwie i ospale. Wiele osób zapada w „mirjaczestwo“, polegające na zupełnej bezwładności duchowej. Dotknięty tą niemocą powtarza ruchy innych osób. Działalność powściągów duchowych ustała, człowiek stał się maszyną odruchową, kopjującą postępki i zachowanie się pierwszego lepszego pierwowzoru. Jest w stanie uśpienia hypnotycznego, niezdolny opierać się napływającym podnietom, lecz naśladujący je drobiazgowo. Albo zwróćmy się do Laponji. Tam, podczas mrozów, szerzy się niekiedy zaraza duchowa, która idzie łożyskiem masowych obłędów halucynacyjnych, a wynika z tych samych przyczyn, które dają początek „mirjaczestwu“ w Syberji. Na równinach Kanady podczas zimy, t. j. w podobnych warunkach, powstają zbiorowe popłochy, bez żadnej uzasadnionej przyczyny, jako wynik monotonności otoczenia, oraz bezwładności, która w takich razach zakrada się do jaźni ludzkiej. Gromada Indjan odpoczywa po pracy dziennej przy ognisku obozowem. Jeden z nich powstaje, zdjęty nieokreślonym przestrachem, i zaczyna uciekać niewiadomo dokąd i przed kim. Za jego przykładem idzie drugi i trzeci, aż wkońcu popłoch ogarnia całe plemię, które ucieka przez step bez celu, tam dokąd zwróci swoje kroki inicjator, dopóki zmęczenie nie zmusi gromady do zaprzestania bezmyślnej ucieczki.

Związek, istniejący pomiędzy jednostajnością otoczenia a bezwładnością umysłową, oraz wypływającą z niej podatliwością na wszelką sugestję, chociażby najniedorzeczniejszą, rzuca się w powyższych wypadkach wyraźnie w oczy. Daleko trudniej dowieść podobnego oddziaływania ze strony monotonności wyłącznie społecznej. Są jednak fakty, świadczące o tem, że szare, jednostajne życie, upływające wśród tych samych zajęć z dnia na dzień, z roku na rok, może wywrzeć skutki, pokrewne powyżej rozpatrzonym zarazom. Szkoły, szczególniej zaś pensje, przeznaczone dla dziewcząt, koszary, klasztory, słowem instytucje, wyróżniające się jednostajnością życia, są zwłaszcza widownią takich zaraz moralnych: samobójczej, erotycznej, histerycznej, które tam srożą się na wzór istotnej epidemji. Np. czart opętał kiedyś mniszki w klasztorze Cambraiskim i w ciągu lat czterech nie wypuszczał ich ze swoich szponów: „biegały po polach jako suki, jak koty

wdrapywały się na drzewa i wieszając się, wydawały głosy zwierzęce, gromadziły się jako stado owiec i beczały".

Obłędy zbiorowe, odbywające się w okolicach, upośledzonych przez przyrodę, oraz w zakładach, wyróżniających się szarzyzną życia, popierają nasze przypuszczenie, że podatliwość na pobudkę zależy poniekąd od małej wartkości potoku wrażeń, codziennie napływających do człowieka. Są miejscowości, które częściej, niż inne, bywają widownią zaraz moralnych — równiny Północy i doliny górskie. Są instytucje, w których epidemje duchowe rozpowszechniają się łatwiej. Są wreszcie wieki, obfitujące bardziej w poruszenia masowe rozpatrywanego pokroju. Za dni naszych, na Madagaskarze, zdarzyła się zaraza, odtwarzająca wszystkie rysy zasadnicze tak licznych opętań średniowiecznych. Było to w roku 1863. Król Radama podejmował bardzo uprzejmie białych gości. Kraj oburzał się na to. Jednej kobiecie ukazały się we śnie duchy, nakazujące wypędzić przybyszów. Wiadomość o tem rozszerza się i gorączkuje umysły. Ukazują się prorocy, łączą się w gromadę, która wzrasta aż do kilku tysięcy uczestników. Wśród konwulsyj i spazmów, tłum ten ciągnie krajem do stolicy, ażeby wymóc na monarsze wydalenie Europejczyków. Król wysyła do nich syna jako rozjemcę, lecz poseł ulega obłędowi. Takie obrazy powtarzają się w setnych odmianach w drugiej połowie Wieków Średnich. Okres ten dziejów, ze swojemi procesjami biczowników, obłędami masowego wiedźmostwa, nawet wyprawami krzyżowemi, oczekuje na swego historyka — psychjatrę.

* * *

Badaliśmy pochód idei w społeczeństwie — ze strony formalnej. Korzystając z faktów, nagromadzonych przez doświadczenia nad hypnotyzmem, wykazaliśny potęgę idei nad człowiekiem, skoro ta przedostanie się do czyjegoś mózgu i rozpanoszy się w nim. Przyjrzeliśmy się warunkom psychicznym rozpowszechniania się prądów różnych śród tłumów w razie, gdy to się odbywa pod wpływem prostego naśladownictwa i przybiera postać zarazy moralnej. Mimochodem zaznaczyliśmy, że idea ogarniając coraz szersze koła, organizuje zastępy społeczne i prowadzi je do boju.

Obecnie należałoby rozpatrzyć psychikę tych zastępów.

II.

G. LE BON I JEGO TEORJE.

(1900).

Gustaw Le Bon stał się u nas popularnym pisarzem. Przełożono na nasz język naprzód jego psychologję narodów, później ukazała się w tłumaczeniu jego praca, poświęcona psychologji tłumu. Wszystkie zasadnicze twierdzenia, w obu tych dziełkach zawarte, wygłosili przed laty niemal czterdziestu Lazarus i Steinthal w sposób bardziej naukowy i głębszy. Ale poglądy ich przebrzmiały, nie przedostawszy się poza nieznaczne koło specjalistów. Le Bon zawdzięcza swoje powodzenie, prócz innych względów, właśnie temu, że książki jego nie mają nic wspólnego z ścisłością naukową, że prace jego — to lekki feljeton, pisany w formie książkowej i zawierający płytkie zapatrywania pospolitego zdrowego rozsądku.

Nie wdając się w szczegółowy rozbiór poglądów pisarza francuskiego, poprzestaniemy na oświetleniu zasadniczego wątku jego założeń, który leży w osnowie obu jego przyczynków.

* * *

Ideje bywają różne.

Jedne są wypowiedzeniem potrzeb pewnej grupy społecznej i sformułowaniem jej dążeń prawno-politycznych. Takiemi były hasła stanu trzeciego we Francji w końcu w. XVIII.

Ideje tego rodzaju zwiastują dojrzewanie w społeczeństwie nowych stosunków i w związku z tem nowych widnokręgów. Są jako drogowskazy dziejowe, powiadamiające nas o kierunku parcia społecznego. Rozsądny i ograniczony, powściągliwy i namiętny, uczciwy i szubrawiec, słowem każdy członek odpowiedniej warstwy, bez względu na swoje właściwości duchowe, daje posłuch takiej idei, streszczającej w sobie jego interesy i potrzeby. Hasło przedostaje się coraz dalej, dając wyraz odruchowym aspiracjom, i staje się trwałą cząstką nastrojów tej warstwy, jednym z artykułów w wyznaniu jej wiary prawno-politycznej.

Ale są ideje, pozbawione takiego zabarwienia, chociaż

noszą na sobie zawsze piętno historyczne: duch ludzki, wysnuwając w pasmie wypadków nowe rojenia i kaprysy, działa skuty więzami czasu i przestrzeni.

Do liczby takich haseł możemy wkluczyć podmuchy mody, demonomanje, wogóle prądy, jak ochrzcilibyśmy je jedną nazwą — antropologiczne. O ich krzewieniu się rozstrzyga w znacznej mierze duchowa natura uczestników. Prądy tego rodzaju odróżniają się swoją krótkotrwałością. Są jako rzeka wśród piasków pustyni, która rozlewa szeroko wody swoje na dni parę, a potem cofa je do dawnego niewielkiego łożyska, lub nawet zupełnie wysycha. Pospolite naśladownictwo odgrywa znaczną rolę w sprawie szerzenia się takich ruchów, przybierających niekiedy postać zarazy moralnej.

Socjologowie znaku psychologicznego, w rodzaju G. le Bona, ze swojem płytkiem ślizganiem się po powierzchni objawów życia społecznego, pogmatwali to odróżnienie, a przyzwyczajeni do wzorów życia wielkomiejskiego, gdzie naśladownictwo stało się zasadniczym rysem duchowości tegoczesnej, tłumaczą przebieg rozpowszechniania się wszelkiego prądu w społeczeństwie za pomocą pobudki wyłącznie naśladowniczej. Zapatrzeni w zasady wychowawcze epoki obecnej, w której cała umiejętność pedagogiczna wysila się, ażeby z dziecka zrobić przedewszystkiem wytresowane stworzenie, poddanie hypnotyczne utożsamili z przekonywaniem, a wielkich inicjatorów myśli i czynu przyrównali do hypnotyzerów, pociągających bezwładne masy! Wychodząc z takiego założenia dali nawet definicję „idealnego społeczeństwa“, t. j. takiego, w którem samodzielność idejowa człowieka zostałaby ograniczoną do minimum, krzewienie się zaś idei, mniejsza o to jakiej, odbywałoby się bez żadnego „tarcia“: skoro jeden manekin podniósłby rękę do góry, drugi i dziesiąty powtórzyliby to samo wyłącznie przez naśladownictwo. Tak bywa w mrowisku! Przedstawiciele manchesteryzmu spotwarzyli te biedne stworzonka, przyrównywując je do kapitalistów; dzisiejsze pokolenie socjologów usiłuje wszelki objaw solidarności społecznej w mrowisku utożsamić z zwyczajnem naśladownictwem. Naturalnie, pobudka naśladownicza działa rozlegle w życiu społecznem i bynajmniej nie mamy zamiaru zaprzeczać jej istnienia. Ale do wielkich przełomów, prze-

kształcających ustrój społeczny, wchodzi jako podrzędna dźwignia, natomiast urasta w znaczenie wśród potoku codziennych wypadków i zwykłych zdarzeń dziejowych. Pospolity historyk, który całe swoje zadanie zamyka w wąskiej sferze artystycznego wskrzeszenia przeszłości, ma z nią często do czynienia; lecz socjolog, poszukujący zasadniczego wątku rozwoju społecznego, potrzebuje ją tylko o tyle uwzględnić, o ile tłumaczy mechanizm pewnych zdarzeń — nic nadto.

Tłumaczenie krzewienia się idej, przekształcających życie społeczne, przez odwoływanie się do pobudki naśladowniczej, wprowadza jedynie zamęt do analizy przedmiotu i świadczy o jej płytkości. Jest to wszakże sposób postępowania dość powszechny, i G. le Bon należy do liczby bardziej znanych jego przedstawicieli. Winniśmy przeto zatrzymać się nieco dłużej nad psychicznym rodowodem idej historycznych, a mianowicie nad stosunkiem takiej idei do innych pierwiastków ducha naszego. Taki rozbiór pozwoli nam sprostować niektóre opaczne poglądy, istniejące w tym względzie.

Idea, mniejsza o jej treść, szerząc się w społeczeństwie, wżera się w mózgi ludzkie, nagina człowieka do swoich wymagań i robi z niego jawnego lub utajonego, a nawet bezwiednego szermierza, niecąc w jaźni jego odpowiednie uczucia. Rozpatrywana z tego punktu jest jak gdyby zasadniczym punktem wyjścia dla przewrotu, odbywającego się w duszy ludzkiej. Takie pojmowanie rzeczy zgadza się poniekąd z naszem doświadczeniem codziennem: idea-siła, pochodzenia zewnętrznego, dostawszy się do naszej duszy, stwarza tam dla siebie dźwignię emocjonalną, bo rodzi w naszem jestestwie zasób nowych uczuć, dążących do uzewnętrznienia się.

Le Bon poświęcił dużo miejsca sformułowaniu doktryny, rozważającej rozpowszechnianie się idei z takiego właśnie stanowiska.

„Ideje dopiero wtedy wywierają wpływ swój na duszę narodu — pisze między innemi — gdy po bardzo długiem wyrabianiu się zeszły z ruchliwych sfer myśli w stałą i bezwiedną sferę uczuć, w której wytwarzają się motywy czynów. Skoro ideje odbyły już tę powolną ewolucję, siła ich staje się ogromną, ponieważ rozum przestaje je krępować. Człowiek przekonany, w którego umyśle panuje jedna jakaś idea, religijna lub inna, nie-

dostępnym jest dla wszelkich rozumowań, chociażby był najinteligentniejszym. Co najwyżej, będzie próbował — a najczęściej nie próbuje nawet tego — przez odpowiednie naciągania myśli i przekręcania niekiedy bardzo znaczne, wynaleźć argument, usprawiedliwiający jego poddanie się takiej, a nie innej idei.

„Jakąkolwiek weźmiemy ideę, czy to naukową, czy artystyczną, filozoficzną lub religijną, zawsze mechanizm jej krzewienia się będzie jeden i ten sam. Musi być naprzód przyjętą przez małą liczbę apostołów, którym bądź siła wiary, bądź powaga imienia nadaje urok wyjątkowy. Działają oni wówczas bardziej przez sugestję, niż przez dowodzenie. Bo też mechanizm przekonywania nie polega bynajmniej na wartości dowodzenia. Ideje narzucają się albo siłą powagi, jaką posiada narzucający, albo siłą namiętności, do których się zwraca; nie miałyby żadnego wpływu, gdyby się zwracały tylko do rozumu.

„Skoro apostołom udało się zjednać małą liczbę adeptów i wytworzyć tym sposobem nowych apostołów, nowa idea zaczyna wchodzić w dziedzinę dyskusji. Spotyka ją naprzód powszechna opozycja, ponieważ sprzeciwia się z konieczności różnym rzeczom dawnym i ustalonym. To naturalnie podnieca apostołów, ponieważ ślepa opozycja przekonywa ich tylko o ich wyższości nad resztą ludzi, i bronią z energją nowej idei nie dlatego, że jest prawdziwą — po największej części sami nie mogą tego sprawdzić — ale poprostu dlatego, że ją przyjęli za swoją... Dzięki namiętnym sporom idea rozszerza się zwolna. Nowe pokolenia, widząc ją w walce, przejmują się nią właśnie dlatego, że ją się zwalcza... Idea więc rośnie w dalszym ciągu i wkrótce jest już tak silną, iż nie potrzebuje poparcia. Zaczyna krzewić się siłą naśladownictwa i zarazy, zdolnościami, które ludzie posiadają w stopniu zazwyczaj równie wysokim, jak wielkie małpy, zbliżone do człowieka... Z chwilą, gdy zaczął działać mechanizm zarazy psychicznej, idea weszła w fazę, prowadzącą z konieczności do tryumfu. Opinja niebawem ją przyjmuje. Nabiera ona wówczas siły przenikania we wszystkie mózgi, tworząc za jedną drogą rodzaj specjalnej atmosfery, powszechną formę myślenia... Idea z jej konsekwencjami wchodzi wówczas w skład owego zasobu banalności

dziedzicznych. narzucanych nam przez wychowanie. Zwyciężyła i weszła w dziedzinę uczuć, dzięki czemu na czas dłuższy zabezpieczoną jest od wszelkich napaści.

„Z różnych idej przewodnich w danej cywilizacji, jedne, te np., które się odnoszą do sztuki lub do filozofji, pozostają w warstwach górnych narodu; inne, te zwłaszcza, które się odnoszą do pojęć religijnych i politycznych, schodzą niekiedy aż w głąb tłumu. Dochodzą tam zazwyczaj bardzo przekręcone, ale gdy dojdą, władza wywierana przez nie na dusze pierwotne, niezdolne do krytyki, staje się ogromną. Idea przedstawia wtedy coś niezwyczajnego. Zawsze można znaleźć w narodzie sto tysięcy ludzi, gotowych dać się zabić dla idei, skoro tylko idea ta opętała ich dusze... W polityce podobnie, jak w religji, powodzenie należy zawsze do wierzących, nigdy do niedowiarków."

Słowem, otrzymujemy, według G. le Bona, dla rozwoju i krzewienia się idei w społeczeństwie — sprawa, w której sugestja i naśladownictwo, jego zdaniem, tworzą zasadniczą sprężynę — wzór następujący:

Idea jako punkt wyjścia	Uczucia przez nią wywołane: 1⁰ narzucone drogą sugestji, 2⁰ dziedziczne i bezwiedne.	Czyn w kierunku wcielenia idei w życie

* * *

Jednak, jeśli poddamy rzecz głębszej analizie, to okaże się, iż psychologiczny rodowód idei historycznej, t. j. takiej która na długo wyryła ślad swój w rocznikach historji lub w swoim czasie mocno odziałała na przebieg zdarzeń, jest zgoła odmienny. Należy raczej przyjąć, iż w masowym rozwoju stosunków stany uczuciowe, a więc sympatje i antypatje, wyprzedzają ideę, która toruje jedynie drogę wyładowaniu się tych, już nagromadzonych w życiu społecznem pierwiastków, a która wtargając w duszę ludzką, znajduje tam przygotowane dla swego krzewienia się podłoże. Dla odtworzenia tej strony mechanizmu szerzenia się idej poprzestaniemy na jednym tylko przykładzie, zaczerpniętym z dziejów sekciarstwa średniowiecznego. Wybieramy tem chętniej właśnie to

zdarzenie dziejowe, ile że w zakresie studjów nad rozwojem sekciarstwa pospolity liberalizm wyprawia harce najniedorzeczniejsze: nie bada co było i dlaczego było, ale raczej chełpliwie tryumfuje, że jego wyznawcy są tacy mądrzy, ludzie zaś przeszłości byli tak ograniczeni, gdyż mordowali się nawzajem o to, czy sakrament ciała i krwi mają przyjmować pod jedną lub dwiema postaciami, albo czy chrzest, otrzymany w niemowlęctwie, należy powtarzać w wieku dorosłym. Istotnie, walki te na pozór wyglądają niezbyt pochlebnie dla umysłowości ludzkiej. Ale to tylko na pozór! Ludzie bowiem nie byli tak niewymownie ograniczeni nawet w okresie Wieków Średnich, jak obóz liberalny ich przedstawia. Każda epoka dziejów rozbrzmiewa antagonizmami. Strony walczące odwołują się dzisiaj do nauki. Ale w czasach średniowiecznych wiedza była nikłą okruszyną. Niepodobna było naonczas marzyć o rynsztunku naukowym. Istniała jedna tylko księga: pismo święte. Biblja staje się więc arsenałem, dostarczającym argumentów dla wszystkich cichych a maluczkich. Każdy prąd społeczny wsród ludu jest skazany na to, ażeby przybrał szatę sekciarską. Obrzędy i dogmaty, dzielące w okresie średniowiecznym ludzi na wrogie obozy, były jedynie wierzchnim przyodziewkiem dla realniejszego jądra, czemś w rodzaju sztandarów bojowych, pod któremi wrogie zastępy idą do walki. Husyci np. żądają przyjmowania sakramentu ciała i krwi pod obiema postaciami. Krzewienie się tego hasła dla G. Le Bona przedstawia się „prosto“: Pewien fanatyk zyskał grono zwolenników, prześladowanie przyczyniło się do nadania mu sławy, a dalej już sugestja robiła swoje, i ludzie, opętani ideą, która przeszła w uczucie, powstali przeciw Kościołowi.

Dla nas sprawa jest nieporównanie bardziej złożona.

Ażeby pojąć wojny husyckie i duch, ożywiający heretyków, musimy poznać warunki, które dały im życie.

Oto w Czechach ówczesnych istnieje silna władza feodalna, ześrodkowująca się w ręku duchowieństwa niemieckiego. Wśród szlachty czeskiej, niższej i średniej, tli się niechęć przeciw tym przybyszom, panującym w jej ojczyźnie, a ponieważ, jak rzekliśmy, stan duchowny przoduje wśród feodalizmu, więc uczucie to zwraca się przeciw niemu, wyszukuje ułomności jego, nicuje postępowanie księży, oburza się na

pogoń za dobrami doczesnemi. Antagonizm pomiędzy rdzenną szlachtą czeską a warstwą synekurzystów niemieckich przybiera z lekka zabarwienie wolnomyślności religijnej. Krytyka duchowieństwa jest jeszcze ostrzejszą a zjadliwszą wśród ludu, który ciężej odczuwa jarzmo feodalne. Krytyka ta czepia się przykładów ubóstwa i braterstwa, tak obficie rozsianych w piśmie świętem, i z tego stanowiska oświetla bogactwa i swawolę dostojników Kościoła. Uczucia nienawiści i wogóle niechęci przeciw duchowieństwu, mniej lub więcej napięte, są więc rozproszone po całym kraju, tworzą podłoże niekiedy bezwiedne w duchowości tłumów, ale zarazem najrozleglejsze i najżywsze. Na tem dopiero podłożu myśl świadoma snuje swoją krytykę — jest to późniejsza formacja, mniej ogólna i mniej napięta. Krytyka nie jest zwartą ani konsekwentną, ukrywa się w zaułkach życia domowego, obawia się jawności, chociaż tu i owdzie rzecz dochodzi już do odruchowego a publicznego wypowiedzenia się, nieraz z błahego powodu, przy pobieraniu np. dziesięcin. Z biegiem czasu, a wzrostem nadużyć feodalizmu wyłuszczone pierwiastki potężnieją w mocy swojej i rozkrzewieniu, a więc zarówno uczucia napół świadome, jak i wybryki owego „nierządnego rozumu“— Hure Vernunft, jak później dosadnie ubolewał Luter nad idącymi dalej, niż on, reformatorami — i odruchy publiczne. Rdzeń krytyki, tj. działalność myśli świadomej, polega na porównaniu, zresztą niesystematycznem i chwiejnem, stanów współczesnych z nastrojem, właściwym pierwotnym gminom chrześcijańskim, w których kapłan był poza obrzędami równy innym wiernym, nadto niemiał żadnego majątku, przywiązanego do swojego stanowiska, a tylko jedno wyróżniało go od innych i oddawało w jego ręce obowiązki kapłańskie, mianowicie większe napięcie ekstazy i gorliwości. To co tkwiło niewypowiedziane lub nieusystematyzowane w mózgach licznej rzeszy, Hus formułuje i życiem swojem przypłaca: wierni, na znak równości z kapłanem, będą spożywali sakrament pański pod obiema postaciami! Jest to w szacie religijnej hasło społeczne, żądające zniesienia feodalizmu dostojników Kościoła. Znajduje ono powszechne przyjęcie w przygotowanych pokładach uczuciowych i w formacjach krytyki codziennej, a zarazem staje się dla nich punktem zbieżności i krystalizacji. „Idea zamienia się w uczucie“,

rzekłby Le Bon, tj. wywołuje silniejsze uderzenia serca, budzi zapał, zyskuje oddanych wielbicieli [1]).

Formuła rozwoju i krzewienia się idei będzie więc według naszego pojmowania następująca:

rozpierzchłe stany niechęci klasowej	niesystematyczna krytyka i czyny odruchowe	wyraźnie sformułowana idea	patrjotyzm ideowy	świadome czyny oparte na zorganizowanych zastępach

W splocie takich stanów duchowych dojrzewa wszelka idea historyczna. Podłoże uczuciowe, żywiołowo tworząc się pod wpływem zdarzeń i antagonizmów codziennych, odgrywa olbrzymią rolę w jej dziejach przygotowawczych. Inicjator, w wygłoszonej przez siebie idei, jedynie powiązał rozpierzchłe i niejasne myśli krytyczne, zrodzone na takim gruncie, a skupiwszy je, jak wklęsłe zwierciadło w ognisku swojem promienie, stworzył hasło, które naodwrót szybko się krzewi, ponieważ jest „na czasie", odpowiada „duchowi" jego. Hasło w wyrazach członkowanych ujęło to, co tkwi w formie niewykończonej, niejasnej w umysłach tłumu! Wszelka idea, która pojawiła się, nie mając takiego podkładu pod sobą, pozostaje niepłodną i bezsilną. Przeciwnie, ilekroć wstrząsnęła społeczeństwem dzięki swojemu działaniu, świadczy, iż posiada takie podłoże.

Ale z takiego rodowodu idei, oraz z takiego mechanizmu krzewienia się nastrojów w społeczeństwie, wynika jedna konsekwencja: ludzie, te narzędzia dziejów, są żywemi organizmami, które, otrzymując podnietę, winny ją odczuwać i odpowiadać na nią naprzód odruchami, później świadomą ideą, wreszcie świadomą działalnością, a zatem czynić to według zasad, które rządzą wogóle stosunkiem, jaki istnieje pomiędzy zzewnątrz przychodzącą podnietą a otrzymanem przez organizm wrażeniem. Weber i Fechner sformułowali prawo, znane pod ich nazwiskiem i głoszące, że kiedy napięcie pod-

[1]) Nie wyzyskujemy dalszego rozłamu Husytów na dwie grupy, który ostatecznie wypływa z niejednakowości interesów pomiędzy szlachtą czeską a ludem. Tamta będzie mniej krańcową, a w dalszym rozwoju wypadków sprzymierzy się z władzą monarszą niemiecką przeciw ostatecznościom odłamu ludowego.

niety wzrasta w stosunku liczb, wówczas otrzymane wrażenie podnosi się w stosunku logarytmów tych liczb. Obojętną jest dla nas rzeczą, jakie poprawki nowsze poszukiwania w zakresie psychologji fizjologicznej wprowadziły do tej zasady, tem bardziej, iż i my sami bynajmniej nie uważamy się za uprawnionych stosować ją bezwzględnie, w powyższem sformułowaniu, do stosunków społecznych. Poprzestaniemy więc na zaznaczeniu, iż mniejsza, w jak dalece dokładnym stopniu, ale bądź co bądź ogarnia ta zasada i dziedzinę wrażliwości społecznej, t. j. odpowiadania na podnietę społeczną uczuciem i myślą krytyczną, a w dalszym ciągu zrozumienia wygłoszonej idei i wzmocnienia jej przywiązaniem i czynem. Ponieważ zdarzenia dziejowe są wynikiem wielu działających przyczyn, a wśród nich powyżej wygłoszona zasada należy do rzędu najnieuchwytniejszych, więc nie będziemy usiłowali poprzeć naszego twierdzenia odpowiedniemi przykładami. W szkicu, który poniekąd możemy uważać za pierwszą próbę naszej pracy niniejszej [1]), przytaczaliśmy butność włościaństwa średniowiecznego, odpowiadającego na względnie mniejszy ucisk pańszczyźniany sekciarstwem i żakerjami, oraz uległość późniejszych poddanych, bez odporu znoszących jarzmo daleko gorsze, jako świadectwo, przemawiające za tem, iż w sferze zjawisk społecznych obowiązuje zasada Weber-Fechnerowska. Nie posuniemy się obecnie do powtórzenia tego przykładu, bo uprzytomniliśmy sobie, iż włościanin z okresu wieków XI—XVI nie doświadczył jeszcze doboru, który z niego był wydzielił najenergiczniejsze żywioły, a więc pod względem antropologicznym przedstawiał większe napięcie tężyzny i stawiał tem silniejszy opór niż jego mniej dzielny potomek.

III.

JAŹŃ ZBIOROWA

(1895)

W ostatnich czasach utarł się termin „jaźń zbiorowa", który w nowej nazwie wskrzesza rzecz starą jak świat, poniekąd owego Herr Omnes, jak powiadał Marcin Luter.

[1]) Mianowicie Idea a życie, w dodatku do Przeglądu Tygodniowego, 1887.

Znalazł się nawet przyrodnik, który ową jaźń uważa za rzetelny organizm, za un être spinal et gangrinaire i usiłuje utożsamić go lub chociaż zestawić z niższemi jestestwami żyjącemi, pozbawionemi centralnego organu nerwowego a ujawniającemi niezmierną odruchowość, niezależną od siebie w poszczególnych częściach ciała. Ale jakąkolwiek etykietę przyczepimy do zjawiska, czy zatem użyjemy terminów metafizycznych „jaźni zbiorowej" i „duszy kolektywnej", czy poprzestaniemy na porównaniu z organizmami bez zwartej i zrealizowanej woli lub określimy jeszcze inaczej, rzecz nie zmieni swego charakteru. W głębi, pod temi nazwami, ukrywa się treść bardzo realna, zjawisko istotne i wyraźnie zakreślone.

Każdemu z nas zdarzyło się niejednokrotnie być ogniwem takiej całości, która składa się z mnóstwa serc, acz niezależnych, uderzających jednak harmonijnie; ze splotu myśli, drgających w tym samym kierunku. I takie współdrganie z innymi, takie współistnienie powstaje żywiołowo, — przychodzi zzewnątrz, i porywa nas i wiąże w jaźń szerszą z osobami, których nawet nie znamy lub, co gorzej, których niekiedy nienawidzimy.

Oto podziwiamy obraz na wystawie i wyobraźnią bujamy gdzieś daleko po świecie rojeń i marzeń. Drugi i dziesiąty z naszych przypadkowych sąsiadów duchem swoim tak samo odbiegł od życia otaczającego. Staliśmy się poniekąd solidarną gromadką bratnich serc i myśli. Współdrgamy w jaźni zbiorowej, mało zwartej i jeszcze mniej wyraźnej, ale swoją drogą zbiorowej!

Oto przysłuchujemy się dźwiękom melodji. Smętne a chwytające za serce tony uniosły nas w krainę niebytu, wygrywają w naszej duszy rzewne oddźwięki, budzą tęsknotę i niecą pragnienia. Na razie nie przychodzi nam na myśl, że znowu staliśmy się jednością z wielu innymi, że wespół z nimi tęsknimy i rozrzewniamy się. Ale niechno ktoś z opornniejszych zmąci te akordy współtęsknoty niewczesnym śmiechem lub szyderstwem podetnie nastrój ogólny, natenczas wszyscy ockniemy się z bólem, uczujemy jakby zgrzyt od tego rozdźwięku. Targnięto się na jaźń zbiorową i my, pojedyńcze komórki gromady duchowej, zaprotestowaliśmy całem swojem jestestwem! Tworzyliśmy jednego ducha, rozpryśniętego na liczne osoby, spoidło psychiczne pomiędzy nami

rosło, aż prysło niebacznie przecięte. Mimowoli nasuwają mi się obrazy z Mickiewicza:

. . . . wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało...

kiedy poeta stawia nas w obliczu narodzin wspólnej duszy, ogarniającej grono myśliwych, zasłuchanych w melodji na rogu bawolim.

Wszędzie w wyłuszczonych wypadkach, a zatem przed obrazem, któremu przypatrujemy się w liczniejszem kole, i rozkołysani rzewną melodją, wydobywającą się z pod czyjejś ręki, i jako owo echo, które dęby powtarzały dębom, bukom — buki, odpowiadający na grę Wojskiego, i porwani wreszcie zbiorową ekstazą religijną [1]), wszędzie jesteśmy jeszcze jako bierny materjał, oczekujący dopiero mistrza, któryby pochwycił te pierwiastki, co w nas się ocknęły i zaczął wygrywać na naszej jaźni, która rozpływa się w istocie szerszej, bo zbiorowej. Zachowujemy się, jak bezczynnie spoczywająca bryła marmurowa, którą ktoś dopiero zdoła natchnąć ideą harmonizującą z naszem podnieceniem.

Pytanie to posiada nie tylko interes teoretyczny, ale i wielką doniosłość praktyczną.

Mężowie stanu, kiedy podczas obrad przeprowadzają swoje plany, wygrywają właśnie na takim instrumencie jaźni zbiorowej: naprzód stwarzają go śród słuchaczy, później zaś korzystają z odruchowości tego jestestwa spinal et gangrinaire. Nawet zwykły kuglarz to czyni, gdy przed publicznością popisuje się swojemi figlami. W ciągu wieków mistrzowie kunsztu prestidigitatorskiego nagromadzili drogą empirji sporo doświadczenia i zbudowali całą umiejętność oddziaływania na widzów. Może są to dzisiaj jedyne osoby, działające z zupełną świadomością celów i kształcące się w takiej sztuce. Wiedzą, jakie ruchy lub półsłówka najskuteczniej zbijają z tropu przyglądającą się publiczność, jaki wyraz twarzy należy przybrać, ażeby wywołać pożądany skutek. Osobliwa ta wiedza przechodzi z pokolenia na pokolenie, jako tradycja ustna, udzielana za pośrednictwem słów i żywego przykładu, kuglarze bowiem kształcą się w przepisach tej empi-

[1]) Porównaj szkic o pielgrzymce do Jasnej Góry, wydrukowany w „Studjach Socjologicznych".

rji psychicznej, jak my pobieramy lekcje tańców lub śpiewów. Magik wie z doświadczenia, że kiedy pragnie wywrzeć na obecnych wrażenie, to powinien przykuć do siebie całą uwagę widzów, „wejść z nimi w stosunek". Robert Houdin, jeden z wybitniejszych zawodowców sztuki prestidigitatorskiej, czyni spostrzeżenie, na które każdy przystanie, komukolwiek wypadło przemawiać publicznie. Powiada, że kuglarz musi przedewszystkiem posiadać „dobre oko". Niektórzy—oświadcza — mają wzrok bojaźliwy, chwiejny, niepewny: kiedy ktoś z nimi rozmawia i patrzy im prosto w oczy, doznają zakłopotania i odwracają głowę, unikając prostego spojrzenia. Taka lękliwość nie wyjdzie na dobre nikomu, kto ma występować publicznie, bo obezwładnia go i nie pozwala zapanować nad słuchaczami, t. j. nie stworzy on owego niespójnego a przecież istotnego jestestwa, które nazwaliśmy jaźnią zbiorową, i nie zdoła na niem wygrywać swoich forteli. „Trzeba — powiada ów mistrz sztuki kuglarskiej — posiadać wejrzenie szczere i żywe, które śmiało idzie na spotkanie widzów i przykuwa ich wzrok do siebie. Tylko wtedy rodzi się wzajemna sympatja i dobry artysta może skierować wzrok swój wszędzie, gdzie mu się podoba". Kuglarzowi idzie o figle, ale apostołom idei o coś więcej. Jaźń zbiorowa, którą powołują do życia, wyróżnia się jeszcze wyraźniejszą spójnością. „W samym środku obozu — opisuje Dixon — młody kaznodzieja, stojąc na pniu, wygłasza z całych sił budujące kazanie. Słuchacze, podnieceni i rozgrzani, są to przeważnie fermerzy z bliskich i dalszych stron... Krzyki i łkania przerywają mowę kaznodziei, na jego gesty i pantominy słuchacze odpowiadają jękami. On zaś, nie dając sobie ani chwili wytchnienia, ciska wciąż głosem przeraźliwym i ryczącym straszliwe gromy, huragan zaklęć i gróźb religijnych. Ludzie otaczający natchnionego marabuta, wybledli ze złożonemi rękoma, z ustami zaciśniętemi, wyglądają jak grzesznicy. Kobiety biegną przez pola, wznosząc ręce do góry, spowiadają się na cały głos, padają na ziemię, mdleją w paroksyzmie nerwowym, piana z ust im się toczy, oczy na wierzch wychodzą... kilku obecnych wpada w chorobę, kilku umiera w obozie!"

Kuglarz świadomie, kaznodzieja swoim zachwytem stwarzają jaźń zbiorową. Gdzieindziej rodzi się ona żywiołowo, w po-

wszechnej panice, radości, uniesieniu. Niekiedy rozproszoną jest w przestrzeni, tak iż istnieje tylko w duchu, ale niema widomego ciała — jak sól, rozpuszczona w rozczynie, która jest tam przecież, ale jej okiem nie zdołamy rozpoznać w wodzie. Czasem wchodzi w społeczeństwo, jako widoma gromada, wyodrębniona od reszty fizycznie a ogarnięta żądzą zbrodniczą lub ekstazą mistyczną. Tłum posiada nieraz widomą głowę — kogoś, kto przerósł innych i drgające wśród innych instynkty przyobleka w mowę członkowaną lub daje pobudkę czynu. To znowu czujemy, jak pomimo oporu w naszej indywidualności rodzą się stany, wiążące nas z innemi, i jak wsiąkamy w jaźń gromadną. W tym razie starczy przypomnieć sobie nasze własne wrażenia, gdy przez ulicę maszeruje z muzyką oddział wojska, a chód nasz i myśli zaczynają biec w kierunku, wyraźnie od nas niezależnym, my zaś sami czujemy, jak swojego rodzaju opętanie obcemi ruchami nas ogarnia. Różne to wszystko postacie i różny charakter jestestwa zbiorowego, ale podstawa duchowa jedna. Kilkakrotnie robiono analizę tego stworzenia kolektywnego. Rzecz dziwna, zawsze zwracano uwagę jedynie na pobudkę naśladowczą jako jego źródło. Ludzie byli porównywani z manekinami: gdy jeden podniesie głowę, inni to czynią; ktoś wydał z piersi swojej okrzyk, a inni natychmiast mu wtórują. Naturalnie naśladownictwo odgrywa rolę ogromną w jaźni zbiorowej. Są nawet gromady, które nie są niczem innem, jeno objawem epidemji duchowej. Ale głębsza analiza odkrywa tam jeszcze inne pierwiastki.

* * *

Oglądanie istoty, podobnej do siebie, stanowi potrzebę duchową niemal dla każdego stworzenia.

Ptactwo morskie zlatuje na wysepki, „tam się organizuje na kształt pułku żołnierzy, młode zajmują jedno miejsce, dojrzałe — inne, samice wysiadujące i wolne mają znowu swoje, porządek zaś bywa przestrzegany tak ściśle, że każda z gromad bez litości odpycha ptaki, należące do innej kategorji". Sympatja to pingwiny pcha do tworzenia takich zborów. Fizjologja może dostarczyć jeszcze namacalniejszego faktu. Królik samiec, głodzony w samotności, zdycha po dniach

kilku. Lecz jeżeli go poddamy postowi w towarzystwie samiczki, to acz morzony tak samo, żyje dłużej.

Ów pociąg, jeszcze lepiej powiedzmy: owa przyjemność, jakiej doznajemy na widok istoty, która swojem jestestwem duchowem przypomina nam jaźń własną i jak w zwierciadle odbija emocje nasze, wchodzi jako pierwiastek zasadniczy w skład ducha zbiorowego. Ale jaźń kolektywna, dla swego powstania, potrzebuje jeszcze czegoś więcej — nie tylko towarzystwa stworzeń, podobnych nawzajem z kształtów zewnętrznych, lecz przedewszystkiem stanów duchowych, nastrojonych w sposób jednaki, przynajmniej zaś takich, któreby zdołały odpowiedzieć harmonijnym oddźwiękiem na te same podszepty.

Natomiast rzecznicy pobudki naśladowczej w naśladownictwie widzą jedyną i dostateczną sprężynę po temu. Starczy — powiadają oni — ażeby ktoś znalazł się w tłumie, a po pewnym czasie będzie jak inni postępował: rozum jego ulegnie przyćmieniu, odruchowość nim zawładnie.

I sypią obfite fakty na potwierdzenie swojej tezy — z różnych miejsc i czasów.

Oto rozszalała tłuszcza w swawoli zbiorowej hasa po cmentarzysku, kapłan, uniesiony gniewem na czyn ów bluźnierczy, przeklina tancerzy, którzy odtąd będą pląsali w korowodzie, aż padną bez czucia na ziemię. Ten i ów z widzów podziela oburzenie kapłana, aliści po chwili nogi, na przekór woli, zaczynają drgać mu w takt do korowodu i niebawem kręci się pospołu z innymi.

Oto córka, wróciwszy ze świątyni po nabożeństwie niedzielnem, wpada w szał. Ojciec usiłuje powstrzymać obłęd swego dziecka, nadaremnie. Po paru godzinach idzie za jej przykładem, później zaś to samo czyni matka i starsza siostra.

Instynkt naśladowczy ma tłumaczyć to wciągnienie kogoś do czynu przez siebie potępianego, ową zarazę moralną, przechodzącą od obłąkańca na jego otoczenie.

Jednak fakty niezupełnie tego dowodzą, co chcą widzieć wyznawcy naśladownictwa.

Dnia 9 października 1893 r. byłem w Chicago wśród gromady, liczącej paręset tysięcy głów. Wieczorem, kiedy mroki rozjaśniono ogniami sztucznemi i z piersi obecnych popłynął ponad jeziorem hymn narodowy amerykański, jakby

dreszcz przebiegł po wszystkich. Ten sam wyraz rozrzewnienia zawisł na twarzy uczestników, ręce w takt uderzyły. Jaźń zbiorowa tworzyła się przede mną i falowała. Co do mnie, pozostawałem zgoła obojętnym widzem. Przypatrywałem się ekstazie gromadzkiej z takim samym chłodem, z jakim badałbym pod skalpelem ustrój wewnętrzny mięczaka. Czemu owo wszechpotężne naśladownictwo nie zaprzęgło mnie do współdrgania z tłumami nad Michiganem? Rzecz prosta: wszystko było mi tam obce, i uniesienie z powodu tego, że w tym dniu Amerykanie zgromadzili największe w dziejach zbiorowisko istot ludzkich, i emocja, zrodzona na odgłos dźwięków hymnu narodowego amerykańskiego. Nic nie przemawiało do mojej wyobraźni i nic nie zmuszało serca, ażeby żywiej uderzało. Przeciwnie, nigdy może nie czułem tak silnie swojej indywidualnej odrębności, którą przecież tak łatwo można zatracić w gronie niekiedy bardzo drobnem, ale gdzie czujemy się całem swojem jestestwem spokrewnieni z innymi! Dusza zbiorowa wykluwa się tylko tam i wtedy, gdy pomiędzy zgromadzonymi, krom prostego sąsiedztwa w przestrzeni, istnieje jeszcze coś więcej. A mianowicie, powstaje, gdy zbiegną się wspólne emocje i idee, niekoniecznie jawne, bo mogą spoczywać w ukryciu, pod progiem świadomości uczestników i dopiero się uwydatnić w potrzebie. W powyżej przytoczonym przykładzie, gdy ojciec, później zaś matka wpadają w szał na widok córki, obłęd ten, wywołany na jaw przez pobudkę naśladowczą, musiał już tkwić w jestestwie rodziny i wystąpił skutkiem uwydatnienia się tej właściwości u dziecka. Uczucia i emocje, pociągi i objawy chorobliwości nerwowej, wreszcie idee są rozrzucone w całem społeczeństwie w jaźni jego członków, wszystkich lub niektórych, i spoczywają niekiedy na dnie ich duszy, pokryte grubą warstwą nieświadomości. W pewnych wypadkach przebudzone, w splocie sprzyjających okoliczności stwarzają gromadę i wiążą ją spoidłem duszy zbiorowej. Jaźń kolektywna to jakby ognisko, w którem wspólne stany indywidualne ducha zbiegły się i ześrodkowały, spotężniały i uwydatniły; to kryształ, co się osadził z roztworu duchowego, przenikającego szersze koła społeczne. Każdy z atomów, należących do gromady, przyszedł na miejsce porodu jaźni zbiorowej z przygotowaną po temu psychiką i przedstawia strunę, nastrojoną na ten sam

ton, co inne. Kiedy jedna z nich zadrga, inne jej wtórują. Demonomanje średniowieczne odbywały się na substracie zwichrzonej nerwowości, podsycane przez wyznawaną ideę o czyhaniu mocy szatańskiej; krucjaty rodziły się w podmuchu, który rozdął był zarzewie religijne, tlejące w sercach wiernych; hece antysemickie były skrystalizowaniem nienawiści rasowej; namiętności klasowe, wybuchające w strejkach, są tylko żywszem uwydatnieniem tego, co w duszy warstwy pracującej tkwi zawsze. Taki uprzednio istniejący podkład duchowy jest nieodzownym warunkiem dla ujawnienia się owego jestestwa zbiorowego, o którem mówimy. Naturalnie, pobudka naśladowcza działa, ale jest tylko ręką, która uderza o struny już jednako nastrojone i wydobywa z nich akordy, harmonją rozbrzmiewające.

Espinas w swojem dziele zanalizował mechanizm powstawania jaźni zbiorowej pod wpływem wzajemnego naśladownictwa.

Oto ktoś wygłasza mowę przed zgromadzeniem. Przy pierwszych błyskach wymowy podniecenie mówcy udziela się słuchaczom, z których każdy będzie, w miarę swego podniecenia, ze swojej strony oddziaływał na mówcę oklaskami lub zdwojeniem uwagi, oraz wpływał tak samo na całe audytorjum. Wzruszenie ogarnia przemawiającego i wzmaga się, ponieważ jest jakby ogniskiem, do którego tłum wzruszony odsyła wrażenia, od niego odebrane, lecz tylekroć wzmocnione, ilu jest obecnych. Ognisko zaś to żywe, odebrawszy emocję spotęgowaną, znowu zwraca ją słuchaczom. Rozpoczyna się wzajemna wymiana prądów uczuciowych, każdy jej akt potęguje jaźń zbiorową. Niekiedy dochodzi do tego, że niedoświadczony mówca dławi się własnem podnieceniem.

Wzrost emocji zbiorowej będzie tym razem w stosunku prostym do liczby uczestników, chociaż nie zawsze, bo w zamieszaniu, kiedy gromada jest rozproszona, znaczna część wzruszeń ginie bez oddźwięku.

Ale żeby podniecenie ogarnęło publiczność, żeby wzajemne naśladownictwo zaczęło wywoływać żywsze uderzenia serc, a słowa mówcy stworzyły z mnóstwa osób jednię zbiorową, potrzeba, iżby ów ktoś uderzył w struny już istniejące. W jednym wypadku uczynił to mówca, w innym dzieła tego dokonają inne pobudki. W żadnym jednak razie nie należy mnie-

mać, że te pobudki zewnętrzne, wywołujące z ukrycia wspólne struny i łączące pojedyńcze tony w melodję zbiorową, odpowiadać winny swoją mocą skutkom: osiągniętemu rozjątrzeniu, namiętności. Przeciwnie, mamy wypadki, kiedy drobny szczegół prowadzi do wybuchów, stokrotnie przewyższających go swojem napięciem. Nieznaczna zniewaga, uczyniona przez żyda chrześcijaninowi, w Wiekach Średnich kończyła się rzezią starozakonnych, co pochodziło z tego, że owo podścielisko duchowe, które przebudzono i później przy pomocy naśladownictwa zorganizowano, odznaczało się odpowiednią mocą. Wogóle w czasach rozkiełznanych namiętności społecznych nigdy nie można być pewnym, jak tłumy odpowiedzą na najbardziej znikomą podnietę.

Z powyższej analizy jest rzeczą jasną, że cementem, wiążącym gromadę w jaźń zbiorową, jest uczucie. Dusza kolektywna to zaprzęgnięcie tłumu w poddaństwo jednakowej emocji. Działalność myśli krytycznej spada tam nisko. „Jakkolwiek pod względem moralnym — powiada Tarde — tłum jest zdolny do obu krańcowości, a zatem do nadmiernej zbrodni i niekiedy do wielkiego bohaterstwa, to przecież inaczej się dzieje w zakresie czynników duchowych. Poniża się on do obłędu i wybryków bezmyślności, do których nigdy nie doszłaby jednostka. Jakby zakazano mu podnieść się do najwyższego pobudzenia umysłu i wyobraźni twórczej. W sferze moralnej gromada może upaść bardzo nisko lub podnieść się bardzo wysoko, w umysłowej — tylko może spocząć w nizinie“. Nasz lud dał na to krótkie, a dosadne wyrażenie: gmin to owce! I nie dziw, bo tam gdzie namiętność zaślepia uczestników, gdzie niema czasu ani możności na ześrodkowanie uwagi, tam niewolno się spodziewać płodów myśli krytycznej, które wykwitają tylko w zgoła innych warunkach. Natomiast gromy, rzucane na niskie instynkty gromady, nie posiadają żadnej słuszności. „Gromadzie — ktoś powiada — łacniej jest przyswoić sobie obraz aniżeli abstrakcję, porównanie niż dowód logiczny, wiarę w kogoś lub nieufność, aniżeli przywiązanie do pewnej idei lub zerwanie z przesądem... Przyjemność, odczuwana tam z poniżenia kogoś jest żywszą niż podziw, popęd samozachowawczy mocniej działa aniżeli poczucie obowiązku, wrzaski i sykania snadniej się rozszerzają niż oklaski, postrach bywa częstszy niż odwaga“. A za-

tem należałoby mniemać, że tylko ujemne strony przeważają! Niektórzy idą jeszcze dalej, bo w duszy zbiorowej uznają jedynie popędy zbrodnicze. Pogląd to jednostronny i nieuzasadniony, bo oparty na uwzględnieniu faktów tylko jednej kategorji. Raczej sądzę, że ujemne zdanie o człowieku pochodzi wprost z braku dostatecznej liczby spostrzeżeń: nastroje, wypływające ze wzruszenia estetycznego, ekstazy religijne, których widownią bywa Częstochowa podczas odpustów, uniesienia radosne na wieczorynce koleżeńskiej lub w teatrze, mimo, że się powtarzają codzień, przepływają bez śladu, natomiast każda heca antysemicka lub rozgorączkowanie strejkujących na lat wiele pozostają w pamięci. Dodajmy, że zbiegowiska uliczne, które tyle przyczyniły się do analizy jaźni zbiorowej, że popłoch z powodu pożaru i inne podobne wydarzenia głównie dostarczają wątków badaczom, a zrozumiemy ową jednostronność. Pobudki niższe może istotnie przeważają, ale przedewszystkiem, zanim wyrok wydamy, powinniśmy mieć pod ręką dokładną statystykę, w której zarówno uwzględnionoby zbiorową zbrodnię, jak i wielki wybuch entuzjazmu, sykania, jak i oklaski i rozrzewnienia. W psychologji jaźni zbiorowej jedno jest niezawodne, że uczucie, a nie myśl krytyczna łączy uczestników, że to uczucie nie może być ani natury rozległej, ani różnobarwnej, że owszem musi się wyróżniać swoją jednostronnością i zarazem napięciem. Nad tłumem panuje idea, lecz tylko ta, która jest członkowanym wyrazem dla podścieliska uczuciowego. Jaźń zbiorowa jest monoideistyczną, t. j. jednoideową. Pod tym względem jest zwartą i stateczną, pod innemi bywa nader odruchową. Może wpadać w krańcowości, od gwałtu przechodzić do litości, od bohaterstwa do tchórzostwa, ale w każdym okresie swego życia zawsze jest opanowana przez jedno uczucie — przynajmnej ciąży ku niemu.

* * *

M. Sehring opisuje popłoch wśród bydła, sprawiany na stepach Texasu przez zamiecie śnieżne.

„Bydło pcha się łbami ku wspólnemu a idealnemu punktowi, wikła się nawzajem i zahacza o siebie swojemi olbrzymiemi rogami. Trzoda, porwana obłędem, zaczyna w tempie

coraz gwałtowniejszem wirować około pewnej osi, aż w końcu, jeśli ktoś nie okiełzna popłochu, kończy się on dziką ucieczką. Ażeby do tego nie dopuścić, pasterze en carrière objeżdżają spłoszoną trzodę i na cały głos śpiewają; część jedna konno wrzyna się w środek gromady, przeciwdziała tam ogólnemu ruchowi, tu i owdzie odcina drobniutką trzódkę od przerażonej gromady i odprowadza ją od miejsca szału. To osłabia poczucie gromadne bydła i rozprasza ześrodkowaną na jednem uwagę zwierząt, już częściowo ujarzmioną przez chóralny śpiew cowboy'ów".

W powyższym wypadku, zaczerpniętym z życia zwierząt, rysy, właściwe napiętej jaźni zbiorowej, wyszły na jaw w całej swojej potędze. Trzoda jest tam jestestwem faktycznem, realnem. Chociaż składa się z mnóstwa okazów odrębnych, tworzy przecież jedną istotę, która, porwana powszechnym szałem, poszukuje wspólnego punktu ciężkości — ogniska jakby swego bytu zbiorowego, później zaś w popłochu biegnie przed siebie i niekiedy wpada w przepaść i ginie w jej czeluściach. Na ten lęk powszechny jest tylko jedno lekarstwo, to, którego używają pasterze, nauczeni doświadczeniem. Trzeba rozciąć tam węzeł duchowy, wiążący sztuki bydła w jaźń zbiorową, zniszczyć siłę strachu, która pędzi gdzieś na oślep przerażoną trzodę, śpiewem chóralnym przeciwdziałać rosnącemu wśród zwierząt monoideizmowi i w końcu przełamać zwarty a żywy mur cielska zbiorowego, odejmując mu gromadkę po gromadce. Na stepach Texasu szaleje przed nami jakby stworzenie kolektywne, które w zbiorowym obłędzie utraciło powściągliwość krytyczną, bielmem pokryło świadomość indywidualną i poszczególne okazy przekształciło w proste cząstki ciała zbiorowego.

Człowiek daleko odbiegł od zwierzęcia: swoją myślą wiąże przyczyny i skutki w nieskończone pasmo następczości; nałożył na swoją namiętność hamulce moralne, odruchowość pierwotną poddał pod władzę rozsądku. Ale ilekroć znajdzie się zaprzęgnięty w jaźń zbiorową, traci właściwości swojego umysłu i staje się, jako proste bydlę, bezmyślnym składnikiem gromady. Przed naszą wyobraźnią przesuwają się potworne obrazy obłędów dziejowych: korowody hasają na mostach, ten i ów pada ze znużenia i więcej nie wstaje, pozostali zaś przy życiu w tempie rytmicznem depcą może

jeszcze półżywe trupy; zakonnice w klasztorze rzucają się na siebie, drapią i gryzą jako gromada oszalałych kotów; kobiety w dolinach Piemontu włażą nocą na dachy i tam urządzają kocie rauty; biczownicy przeciągają przez Europę przy ponurych dźwiękach hymnów pokutnych i katują swoje ciało; popłoch ogarnia odważne rycerstwo, które na nic nie baczy i masowo ucieka z placu bitwy.

Przyjrzyjmy się szczegółowiej tym obłędom zbiorowym.

Atapaskowie, plemię czerwonoskóre, najbardziej posunięte na północ, cierpi często na zbiorowe halucynacje. Zwłaszcza niektórzy wyróżniają się chorobliwą nadwrażliwością. Ta czułość, niby zaraza, udziela się otaczającym i zniewala ich do postępków najbezmyślniejszych. Zdarza się np. w porze letniej, że całym obozem owłada niewysłowiony popłoch, który junaków zmienia w tchórzów i wywołuje dreszcz strachu przed nieistniejącym nieprzyjacielem. Ktoś zaczyna uciekać z obozu, za jego przykładem idzie drugi i trzeci, aż w końcu wszyscy obecni biegną przez prerje na złamanie karku, ścigani przez siłę urojoną. Pétitot nie podaje szczegółów, któreby rzuciły jaśniejsze światło na naturę tej jaźni zbiorowej przejętej lękiem. Natomiast czasy średniowieczne dostarczają bez liku przykładów, pozwalających poddać bliższemu rozbiorowi taki popłoch gromadny. Sromotne ucieczki odważnego rycerstwa przy najściu na świat chrześcijański Mongołów, masowe tchórzostwo krzyżowców, ciągnących przeciwko zbuntowanemu chłopstwu husyckiemu, haniebny popłoch szlachty polskiej pod Pilawcami, to czyny natury pokrewnej. Doborowi rycerze, w liczbie 150 tysięcy, zwołani przez Stolicę Apostolską ze wszystkich krańców świata katolickiego, rozkładają się w nizinach Czech, ufni, że zgniotą za jednym zamachem „hołotę“ husycką, uzbrojoną tylko w proste kije, kosy i cepy i wynoszącą co najwyżej piątą część zastępów przeciwnika. Zdawałoby się, wybiła ostatnia godzina heretyków. Tymczasem działo się inaczej. Nie mówimy już o popłochu, rzucanym na krzyżowców przez tak wytrawnego wojaka, jak Żyżka. Historyków raczej zastanawia zachowywanie się rycerstwa względem prostego magistra teologji, Prokopa Wielkiego. Wojsko prawowierne staje w szyku wojennym pod Tachowem, ale zaledwie ukazały się na widnokręgu zastępy husytów, a już konnica, okuta w żelazo, pierzchła na widok

cepów! Nuncjusz papieski zastępuje drogę, rozwiesza godła cesarskie, błaga — nadaremnie, aż sam ulega przestrachowi. Popłoch rycerski wygląda jeszcze gorzej w innej potyczce, bo dosyć było, ażeby na skrzydłach wiatru doleciały odgłosy hymnu taboryckiego, śpiewanego przez nadciągającą armję Prokopa, a już rycerstwo rzuciło bogate namioty na pastwę wrogów i rozpierzchło się na wszystkie strony, do tego stopnia zaślepione strachem, że oddziały wpadały na hufce husytów. Zawsze przed oczami historyka roztacza się w tych razach jaźń zbiorowa. Ona to sprawia, że odważny rycerz zachowuje się jak najnikczemniejszy ciur obozowy. Każdy z krzyżowców, hańbiący swoje imię szlacheckie w sromotnej ucieczce, gdyby był oddzielony od gromady, przeniósłby śmierć nad ocalenie życia w taki sposób i wzorem Rolanda zginąłby, zmożony liczbą wrogów. Ale odurzony w powszechnej atmosferze obawy przed heretykami, zaplątany duchem w spłoszonej tłuszczy, zapomina o wszystkiem; nawet bohater tylko co wymieniony z czasów Karola W. może nie uniknąłby ogólnego losu, gdyby znalazł się na polu tachowskiem. Indywidualność ludzka, tak bogata w nastroje i instynkty, tak spętana hamulcami moralnemi i poczuciem honoru, postradała wszystkie nabytki: ponad jej duchowem jestestwem zapanowała tylko bojaźń i tysiące śmiałków powiązała w stworzenie zbiorowe — tchórzliwe, lękliwe, bezmyślne. Nie nuncjuszów papieskich trzeba tam było, ani godeł cesarskich, nie piętnowania serc bojaźliwych i nawoływania do obowiązku, ale texaskich c o w-b o y' ó w, którzyby z biczami w ręku rzucili się pomiędzy tłuszczę, rozbili ją na gromadki, te zaś na pojedyńczych, świadomych swojej indywidualności wojaków. Tłum przekształcił naturę człowieka. Z duszy odważnego wyrwał męstwo i rozdął do potwornych rozmiarów spoczywające tam zarodki tchórzostwa. Natomiast po stronie husyckiej dzieje się odwrotnie. Zwykły kmieć, który nie posiadał najmniejszej wprawy w robieniu bronią, staje się w gromadzie bohaterem. Obóz taborycki — to jaźń zbiorowa, systematycznie ćwiczona wśród śpiewu psalmów, bezustannie wiązana wspólnem spożywaniem sakramentu ciała i krwi pańskiej, podniecana przez słowa kaznodziejów i głoszony w nich ideał wzajemnej miłości i równości, upojona poprzedniemi zwycięstwami. Jaźń ta usypia wszystkie nastroje w obozie husyckim, prócz tych,

które są potrzebne do zwycięskiej obrony praw swoich. Tam w Czechach ówczesnych mamy przed sobą właściwie dwie jaźnie zbiorowe, ścierające się nawzajem: jedna, stale niemal istniejąca, ufna w prawość swojej sprawy, rzuca postrach na przeciwników, którzy ściągnęli zewsząd na grabież; druga — masowo podlegająca temu popłochowi. Ta przeciwstawność jest może jedną z ciekawszych stron psychologji zbiorowej, najmniej opracowaną, chociaż powtarzającą się ciągle. Pod Valmy bosa hołota sankiulocka, rozentuzjazmowana swoją sprawą, rozbija weteranów Fryderyka II i niesławą okrywa imię takiego doświadczonego strategika, za jakiego uchodził książę brunświcki. Idea staje się w tych wypadkach potęgą materjalną, jakby szczególnego rodzaju orężem wojennym.

Gromada przekształca uczestnika! „Odwaga mrówki — pisze Forel — zwiększa się w stosunku prostym do ilości jej towarzyszek. Każda mieszkanka wielkiego mrowiska jest o wiele śmielszą niż robotnica z małego stowarzyszenia. Ta sama mrówka, która narazi się na śmierć dziesięć razy w otoczeniu swych towarzyszek, staje się nadzwyczaj nieśmiałą, unika najmniejszego niebezpieczeństwa i nawet słabszej od siebie towarzyszki, gdy jest odosobniona o 20 metrów od gniazda". I to samo powtarza się pod innemi względami. Jak wiatr z drobnego zarzewia w popielisku zdoła rozdmuchać wielki pożar, tak samo w duszy osoby, która weszła do organizującej się duchowo gromady, żądze, pokryte warstwą nieświadomości, albo, odwrotnie, szlachetne pobudki, w zwykłym trybie życia milczące, przeradzają się w namiętność, która burzy dotychczasową równowagę indywidualną, lawą swoją zalewa i dusi wszystkie inne głosy i opanowuje człowieka, zaplątanego w oczkach sieci kolektywnej. Różnice osobiste znikają: junak i tchórz, altruista i sobek, chłodny analityk i entuzjasta schodzą do wspólnego mianownika. Charakter każdej osoby, rozważanej w jej życiu codziennem, to pasmo odmiennych instynktów:

jednej $a+b+c+\ldots+z$,
drugiej $^1/_{000}a+c+\ldots+m+n$,
trzeciej $100a+^1/_{10}c+\ldots+10z$

ale w melodji powszechnej, gdzie a stanowi ton zasadniczy, inne pierwiastki milkną, samo zaś a dąży u wszystkich do

poziomu indywidualności, najwyżej tą właściwością ducha obdarzonej; doszedłszy zaś, rozpędza się dalej i pod wpływem oddziaływania wzajemnego przekracza tę granicę. Gromadą owłada nastrój, którego tonem zasadniczym jest *a*, wielokrotnie spotęgowane ponad najwyższe brzmienie tego pierwiastku, właściwego komuś z obecnych w normalnym stanie osobowości.

Ów żywioł duchowy, rozbrzmiewający w jaźni zbiorowej jako podstawa melodji kolektywnej, tworzy tak samo różnorodną gamę, jak różnobarwną jest dusza ludzka. Może to być bojaźń lub odwaga, krwiożerczość albo litość, obłęd i ekstaza. Zawsze jednak natura gromady jest jednaka: osoba tam nie odpowiada i odpowiadać nie może za swoje czyny. Są zbrodnie zbiorowe, wobec których karząca ręka sprawiedliwości staje bezsilna, bo zaprawdę nie wie, w kogo ma ugodzić. Istnieje w świecie występku typ złodziejaszka. Tchórz to nikczemny, który na nikogo nie napadnie na gościńcu, do rozboju się nie posunie, bo jest zanadto bojaźliwy. Kiedy chodzi o dokonanie czynu śmielszego, łączy się w gromadę i nabiera w niej odwagi. Banda takich złodziejów, złożona z wyrostków, wyłamuje w willi pod Paryżem okno, ufna, że dom jest pusty. Omylili się, bo odźwierny spał w pokojach. Dochodzi do morderstwa: obnażono trupa, malcy pastwią się nad nim, w rany krwawe wstawiają świece, zapaliwszy je zaś, zaczynają tańczyć i wyprawiają ohydną orgję nad ofiarą. Żaden z uczestników, z osobna wzięty, nie dopuściłby się zbrodni, w gromadzie zaś posunęli się do niesłychanego okrucieństwa. I wypadki, kiedy żołdactwo zdobywa miasto i od rzezi przechodzi do orgji, pijane zwycięstwem i krwi zapachem, to są czyny takiego samego szału zbiorowego. Gdzie kryminolog ma poszukiwać winowajcy? Tarde z tego powodu czyni uwagę: „gromada ma tylko jedną ideę—tę, jaką jej poddano. Idea owa, wskazówka mniej lub więcej rozsądna zamierzonego celu lub najodpowiedniejszego środka, acz przechodzi z jednego mózgu do wielu, pozostaje jednaką: ten, kto ją poddał, jest więc odpowiedzialny za jej skutki. Ale emocja, która towarzyszyła idei i wraz z nią się krzewi, bynajmniej nie jest niezmienną, bo po drodze swojej wzrasta stopniowo. Umiarkowana rada lub chwiejne zdanie inicjatora staje się niebawem oszołamiającą namiętnością lub przekonaniem,

nienawiścią lub fanatyzmem — w gromadzie, której je poddano. Napięcie emocji, która miota tłumem i pcha go do ostateczności w kierunku dodatnim lub ujemnym, to dzieło samoistne, płód wzajemnego podniecenia duchów indywidualnych, które weszły w zetknięcie przez wzajemne oddziaływanie". A zatem — wyrokują kryminolodzy — za zbrodnię zbiorową odpowiada jedynie podżegacz i tylko w takim stopniu, w jakim sam zamierzał działać, nigdy zaś na jego rachunek nie wolno kłaść skutków rzuconego podszeptu. Nie zawsze! Bo czyż ów inicjator zbrodni, podsuwający czyn choćby najpodlejszy, nie działa nieraz już upojony jaźnią zbiorową? Zostawmy kryminologom dalsze dociekania nad tem pytaniem, podkreślając tutaj tylko ostatni wynik ich studjów, mianowicie nieodpowiedzialność osoby pojedyńczej, pociągniętej przez tłum — zarówno za dobre, jak i za złe czyny. Zbiorowy bohater, to jeszcze nie bohater; tchórz, pierzchający w gromadzie, nie jest jeszcze tchórzem; zbrodniarz, uczestniczący w występku zbiorowym, nie koniecznie musi posiadać duszę zbrodniczą. To wszystko atomy, porwane przez odmęt zbiorowości i tam postępujące nie według swojej woli, ale może na przekór wszystkim głosom własnego rozsądku i własnej uczuciowości. „Ojcze wielebny, odejdź — wołają w Rosji do kapłana tłumy, napadające na żydów — inaczej nie możemy, chociażby nas wywieszano i poćwiartowano!" Może niema namacalniejszego dowodu, że postępków gromady, owczym pędem idącej za podszeptem, bynajmniej nie należy kłaść na karb osobowości oddzielnej, nad sławną w dziejach francuskich noc listopadową. Arystokracja rodowa, porwana uniesieniem, z trybuny ciała prawodawczego zrzeka się przywilejów feodalnych i przekazuje do archiwum dziejowego najdroższe wspomnienia rodowe. Odtąd we Francji nie będzie ani panów ani tytułów: książę i markiz, ani ludu, bo będzie tylko jednolity naród, złożony z obywateli równouprawnionych. Mirabeau był nieobecny, a zatem zachował przytomność. Nazajutrz czyni wymówki swoim przyjaciołom politycznym: tydzień upłynie, nim Europa się dowie, iż pod nieznanem dotychczas nazwiskiem Riquetti'go ukrywa się on, wielki Mirabeau, władca serc ludzkich! Trzeźwość jego to stan ducha, jaki w parę dni później nastanie u wszy-

stkich aktorów zbiorowego entuzjazmu. Każdy z nich, z wyjątkiem paru arystokratów, którzy postępowali zgodnie z ideą, zdawna pielęgnowaną w umyśle, uczują duchowy Katzenjammer po upojeniu gromadnem i zaczną czynem odwoływać swój postępek w owej pamiętnej nocy. To byli nie bohaterzy, ale bierne ogniwa jestestwa kolektywnego, owego être spinal et gangrinaire, co na chwilę zagłuszyło zwykłe głosy duszy indywidualnej i popchnęło do postępków, później żałowanych.

Człowiek więc w gromadzie przestaje być sobą, oddycha namiętnościami, których nie zaznał w życiu indywidualnem, traci powściągliwość krytyczną, przewodniczącą jego postępowaniu. Ponad jego wolą panuje obszerniejsza, żywiołowo tworząca się drogą odruchu; ponad jego mózgiem istnieje mózg „inicjatora“, tak samo nieposiadający właściwości indywidualnych. Zjawiło się stworzenie kolektywne, które postępuje według innych zasad i nie pyta o zdanie indywidualności, które na nie się złożyły. „Pojedyńcze osoby, na mocy tego faktu, iż znalazły się w gromadzie, zaczynają stanowić jaźń zbiorową: czują, myślą i działają w sposób odmienny od tego, jak czułaby, myślałaby i działałaby każda z nich osobno. Istnieją ideje i uczucia, które ukazują się lub zamieniają w czyn dopiero w gromadzie. Tłum psychologiczny to jestestwo chwilowe, stworzone z różnorodnych żywiołów, które na czas pewien zjednoczyły się z sobą. Tak samo komórki, stanowiące żywe ciało, połączeniem swojem dają byt nowemu jestestwu, posiadającemu różne od tych przymioty, jakie ma każda“.

* * *

Gromada zmienia naturę człowieka pod względem uczuciowym: budzi w głębi jego duszy drzemiące instynkty, natomiast zagłusza te, które w codziennym trybie życia tam istnieją.

Jest to jedynie dotknięta przez naukę, chociaż bynajmniej nie jedyna właściwość tego jestestwa odruchowego, które ochrzciliśmy nazwą „jaźni kolektywnej“.

Istnieją wskazówki, że wpływy, wywierane przez gromadę na poszczególną osobowość, są o wiele rozleglejsze.

Fizjologja daje nam poznać zbawienne skutki nawet prostego towarzystwa, bo dowiodła, że obecność istot, do nas podobnych, podnieca nas w dodatni sposób. „Oto chory — powiada Régis - dotknięty manją powątpiewania lub, powiedzmy ściślej, brakiem stanowczości. Na przekór wszystkim wysiłkom woli, nie może się zdecydować na otworzenie drzwi lub zapięcie guzika u ubrania. To ponad jego siły, póki jest sam jeden! Ale niechaj ktoś będzie obecny, niemoc wtedy ustaje: o każdym czasie chory otwiera drzwi, zapina ubranie. Tacy ludzie czerpią w towarzystwie osób, chociażby dla siebie obcych, siłę moralną, tj. ową moc woli, której nie posiadają w odosobnieniu". Nie mamy tutaj jeszcze spójni duchowej pomiędzy osobami, nic żywszego nie wiąże ich z sobą, znalazły się może przypadkowo w tym samym pokoju, a przecież prosty ich widok przywraca choremu wolę! O ile to działanie będzie silniejsze, kiedy zamiast prostego sąsiedztwa zjawi się pomiędzy duszami indywidualnemi zespół uczuciowy, kiedy w głębi każdego zadrga ten sam ton harmonji duchowej i dotkniętego niemocą woli złączy z organizmem zbiorowym. Psycholog francuski Féré już bardziej się zbliżył swojemi studjami do tego zagadnienia, mierząc na dynamometrze siłę fizyczną tej samej osoby, przebywającej w samotności, oraz w towarzystwie. Cyfry, otrzymane w drugim wypadku, są stale wyższe. Poprzednio już mieliśmy przykład, jak obecność samiczki głodzonemu królikowi przedłuża żywot, teraz zaś widzimy, że podobnego rodzaju warunki w rodzaju ludzkim potęgują moc woli i podnoszą siłę energji żywotnej, uwidoczniającej się w zwiększeniu skurczu mięśni.

Fakty te rzucają szczególne światło na psychikę jaźni zbiorowej.

W gromadzie jeden drugiego podnieca, każdy jest tam ogniskiem, które zebrawszy od współuczestników napływające prądy ożywienia, odrzuca je ku nim powrotnie, zwiększywszy napięcie połączeniem ich w jedno. Przypomina mi się ustawienie zwierciadeł pod kątem, gdzie skutkiem tego obraz, od gorejącej lampy, zamienia się w tysiące świateł we wszystkich kierunkach. Emocja, ogarniająca każdego z członków tłumu, tak samo odbija się pod wpływem wzajemnego oddziaływania. Ulegają zmianie i inne właściwości, jako siła fizyczna mięśni, wytrwałość na ból i in. Gotów jestem twier-

dzić, że w jaźni zbiorowej, objętej bohaterstwem na placu boju, dynamometr dowiódłby nadzwyczajnego podniesienia siły fizycznej; że przeciwnie śród rzeszy, pierzchającej w sromotnym popłochu, znaleźlibyśmy obniżenie tej siły. Studjując opisy seansów spirytystycznych, niejednokrotnie z podziwem zatrzymywaliśmy uwagę na odbywającem się wyładowaniu energji nerwowej. Osoby „medjalne" rozwijają tam taką moc mięśni, że cherlak podnosi odrazu po dwie osoby i chodzi z tym ciężarem po pokoju. Często można tam się spotkać z nader znamiennemi zeznaniami. Zeznania są wprawdzie nawskroś subjektywne, może stanowią nawet owoc złudzenia, ale gdyby okazały się istotnemi, wtedy byłyby przyczynkiem bardzo doniosłym do poznania jaźni zbiorowej. Niektóre osoby w „łańcuchu", włączone do dreszczu konwulsyjnego, przebiegającego przez to ciało zbiorowe, skarżą się na silne zmęczenie, inne natomiast czują się jakby wzmocnione fizycznie. Świadczyłoby to, że we wzajemnem oddziaływaniu osób, zlewających się w organiźmie kolektywnym „łańcucha", jedni jakby tracą siłę nerwową, „oddają energję astralną", inne ją podnoszą. Gromada w takim razie posiadałaby bardziej złożony mechanizm nerwowy, aniżeli można byłoby wnosić z dotychczasowych tak szczupłych spostrzeżeń: tam istotnie pojawiałyby się silne ogniska, ześrodkowujące w sobie energję nerwową. Stawiamy to zagadnienie jako możliwe, bo zarówno do przyjęcia, jak i odrzucenia brak nam faktów. Poprzestaniemy na uwadze, że natura duchowa „łańcucha" mistycznego, należycie zbadana, dostarczyłaby niewątpliwie cennych szczegółów do jaźni kolektywnej [1]).

Jeszcze krok dalej, a znajdziemy się w obliczu gromady, działającej w opętaniu ideami mistycznemi. Jaźń indywidualna w takich wypadkach dochodzi do stanów psychicznych o niezwykłem napięciu, niestety, dotąd wcale nie badanych

[1]) Pod ręką posiadam jedynie cyfry, dotyczące posiedzeń Eusapji w domu Richeta. Możemy spierać się o przyczynę zjawiska, ale jego wiarogodność jest niewątpliwą. Zwykle na dynamometrze Eusapja dosięgała 50, nikt zaś z obecnych nie przekraczał po za 165. Tymczasem to medjum podczas transu dało 210. Żałuję, że nie wynotowałem cyfr z angielskiego sprawozdania prof. Lodge'a. Podano tam właśnie zwyżki i zniżki siły fizycznej osób pojedyńczych, przed utworzeniem łańcucha i po jego zerwaniu.

tak, jak tego wymagają zasady nauki ścisłej. Ruchy rytmiczne ciała wywołują niesłychanej mocy żywiołową cerebrację wraz z upojeniem gromadnem. Sekciarze rosyjscy zbierają się od czasu do czasu na uroczystości „picia piwa duchowego", tam wziąwszy się za ręce, krążą w tempie coraz prędszem przy odgłosie śpiewu chóralnego, aż póki ten i ów znużony nie padnie na ziemię. Leży na wznak, piana z ust mu się toczy, dreszcz konwulsyjny wstrząsa ciałem. Trwa to parę minut. Konwulsje ustają, zamiast ataku mięśniowego rodzi się żywiołowe skojarzenie idej, „prorokowanie". Niekiedy czyni to jednocześnie parę osób, „języki" schodzą nieraz na gromadę, błogość ogarnia wszystkich. Ludzie, którzy paru słów nie mogą powiązać, popisują się darem krasomówczym. Nawet mogą powstać obłędy zbiorowe, wizje i masowe halucynacje. Zresztą te stany kolektywne rodzą się nawet bez podkładu mistycznego, jedynie w upojeniu gromadnem. W jednym z portów zebrała się w szynku spora garstka majtków, która podpiwszy sobie, wymyśliła grę dosyć oryginalną: jedni mieli udawać psów, drudzy — wilków. Doszło do tego, że rozłączono ich pogryzionych i pokrwawionych, gdyż wpadli w zapalczywość, właściwą tym zwierzętom. Halucynacje i wizje, oraz zachwyty prorocze niekiedy dosięgają potwornej wybujałości w takich przejściach, jak rokosz husycki lub dragonady Ludwika XIV.

Korzystając z bogatego materjału historycznego, zatrzymamy się nieco nad epidemją psychiczną pomiędzy kalwinami z gór ceweńskich, oraz nad duchowością jaźni zbiorowej, która powstawała tam na gruncie ekstazy mistycznej.

Ludność górska, po cofnięciu edyktu nantejskiego, pozbawiona swoich pasterzy, rozegzaltowana prześladowaniami, traci równowagę wewnętrzną. Prorocy przebiegają wioski i daru swego udzielają współwyznawcom. Jedna z prorokiń, dama z Grenoble, pozostawia po sobie aż trzystu następców, którzy głoszą swoją naukę w „uśpieniu". Ktoś mówi, że zachwyt krzewił się wtedy tak samo, jak wiatr rozdmuchuje pożar. „Nocni posłowie, opowiada jeden z naocznych świadków, na parę godzin zawiadamiali okolicę w promieniu kilku mil o tem, że prorok będzie przechodził. Dnia wyznaczonego o świcie, mężczyzni i kobiety opuszczali domostwa, szli tłumnie przez lasy i doliny, zgromadzali się na najwyższych

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.

wierzchołkach. Ludność po parę dni i nawet po tygodniu nie wracała do ogniska domowego, lecz towarzyszyła prorokowi z góry na górę, karmiąc się po drodze jedynie orzechami leśnemi". Zimą roku 1700 epidemja ogarnia doliny pasma ceweńskiego i Langwedocji, samych dzieci prorokujących liczą do ośmiu tysięcy. Wśród powszechnego obłędu najoporniejsi tracą głowę; nawet katolicy, pozostając wierni dogmatom Rzymu, wbrew woli prorokują przeciwko „wszetecznicy babilońskiej": starzec 60-letni, do szpiku kości prawowierny syn Kościoła, wpada w ten nastrój i nawraca jedną z kobiet na prorokinię. Żywiołowa cerebracja ogarnia mózgi drobiazgu, zaledwie odrosłego od ziemi. Garstkę takich maluczkich proroków rząd francuski poruczył wydziałowi madycznemu w Montpellier do zbadania. „Profesorowie zdumiewali się na widok niepiśmiennej dziatwy, głoszącej rzeczy, których ich nie uczono. Kiedy lekarze weszli do więzienia, mali fanatycy otoczyli ich i nawracali. Lekarze nie umieli wytłumaczyć sobie tego co widzieli". Jeden z opisujących epidemję ceweńską opowiada, że widział dziecko piętnastomiesięczne na ręku matki, które wśród spazmów i szlochania wyraźnie wołało: Je vous dis, mon enfant (zwykły zwrot, od którego zaczynały się proroctwa); inne 13—14-miesięczne, z kolebki wzywa do skruchy; dokoła zaś kołyski klęczą dorośli, słuchają i płaczą. Prorokiń jest bez liku, zwłaszcza kobiety takie chodzą od wioski do wioski i płaczą „łzami krwawemi". „Bóg dał im łzy z krwi, aby opłakiwały zburzenie Jeruzalemu"! Marszałek Villiers opowiada, że w miasteczkach dziewczęta zebrawszy się na ulicy zaczynały trząść się jak opętane i prorokowały w gromadzie. Żywiołowa cerebracja z idjotów robi krasomówców. „Służyła u moich przyjaciół, pisze jeden z pamiętnikarzy, kobieta czterdziestoletnia, prawie idjotka. Chyba to była najprostsza i najciemniejsza z cór ustronia górskiego. Kiedy mi powiedziano, że miewa kazania nadzwyczaj piękne, nie uwierzyłem. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, ażeby potrafiła wygłosić po francusku zdanie z czterech wyrazów, lub ażeby ośmieliła się przemawiać w gronie liczniejszem. Poszedłem parę razy na jej kazania. Żaden chyba mówca tak nie przykuwał do siebie uwagi słuchaczy. Z ust jej płynęły słowa potokiem. Był to cud!"

Na takiem podłożu egzaltacji powszechnej, wśród wiary, że dnie „wszetecznicy babilońskiej“ są policzone i że królestwo prawdy niebawem zapanuje na ziemi, odbywają się zbiorowe ćwiczenia religijne i jednocześnie przygotowywanie oporu. Łatwo zrozumieć, czem były te zbiorowiska osób prześladowanych, opętanych mistycyzmem i spędzających na modłach w pustkowiu dnie całe. Gromada była podniecona wzajemnym widokiem, śpiewem chóralnym, słowami kaznodziejów. Ten i ów padał na wznak, tracił przytomność — „zasypiał“, trząsł się spazmatycznie. Inni trzymali go za głowę. Po okresie bólu czuł błogość, powstawał, w „uśpieniu“, wygłaszał stereotypowe: „mówię tobie, dziecię moje!“ i prorokował w czystej francuszczyźnie. Mowę jego przerywały konwulsje, niekiedy rzesza, złożona z paru tysięcy osób, leżała na ziemi, trzęsła się i później zbiorowo prorokowała. Pojawiały się wizje. Lasy, góry i ustronia rozbrzmiewały głosami aniołów. Duch święty przemawiał do tłumu. Tłumom hugonotów, dążącym na modły tajemne, towarzyszyła „melodja boska“, tj. śpiewy rozlegające się niby w powietrzu i przypisywane aniołom. W r. 1689 rzeszy, złożonej z sześciuset, osób, ukazał się cherubin i zabronił wiernym chodzić do kościołów katolickich. Kiedy wojsko napadło na jedną gromadę, kaznodzieja wołał do obecnych: „dzieci Boga, bądźcie odważnego serca, bo zaprawdę powiadam wam, że wasze ciało będzie jako opoka na uderzenia szabli i kuli! Anieli będą za was się potykali!“ Mnóstwo osób natychmiast ujrzało tych sojuszników: aniołowie spadali na nich, jako „rój muszek“. Hugonoci rzucają się nawzajem sobie w ramiona, chuchaniem udzielają jeden drugiemu Ducha św. i idą zwartym zastępem przeciwko wojsku, ufni, że kule ich nie tkną. Było to na początku epidemji, jeszcze słabej naówczas...

Są to rysy zewnętrzne, z których łatwo odtworzyć w umyśle psychikę owej jaźni kolektywnej. Pokrewne obrazy musiała przedstawiać psychologja „rzeczpospolitych anielskich“, t. j. gmin pierwotnego chrześcijaństwa, podczas prześladowań, w pierwszych wiekach naszej ery. Podobny nastrój panował w obozie husytów i anababtystów, tylko że zamiast poddawania się swemu losowi, drgała tam mężna dusza bojowników. Władza idei nad człowiekiem dosięga w tych wypadkach najwyższej siły!

Zanalizowaliśmy objawy, które rodzą się w gromadzie, objętej wspólną duchowością. Przedmiot to pociągający, ale, niestety, nie opracowany. Człowiek, wprzężony do jaźni zbiorowej, nietylko uczuciowo przestaje być samym sobą, ale odporność jego organizmu, siły fizyczne i umysłowe czynności ulegają przemianie. Zwłaszcza ruchy mistyczne wywierają wpływ silny na psychikę ludzką, niecąc niezwykłej mocy cerebrację żywiołową. Sama gromada, zjednoczona harmonją ducha, staje się jakby jednym mózgiem: miewa kolektywne wizje, choruje na zbiorowe halucynacje.

IV.

KARTKA Z PSYCHOLOGJI ŻYCIA ZBIOROWEGO.

(1904).

Ostatnie posiedzenia Kasy literackiej dostarczyły mi nieco materjału do rozmyślań. Podejmowano na nich sprawę księgarni. Nie chodzi mi bynajmniej o losy tego projektu, ani o całokształt argumentów, przytaczanych przez strony. Pragnąłbym zwrócić uwagę na jeden punkt rozpraw i oświetlić jego doniosłość teoretyczną, a raczej poddać rozbiorowi złudzenie, któremu ulega każda bez wyjątku gromada, nietylko więc grono uczestników Kasy literackiej, lecz również wszelkie zebranie, występujące jako zwarta całość.

K. Lamprecht w swojej pracy o stosunkach gospodarczych Niemiec średniowiecznych zaznacza z całą mocą nieudolność kronikarzy ówczesnych, gdy wypada im ocenić liczebne rozmiary tłumu. „Poczucie rozległości objawów masowych było podczas Wieków Średnich nader mało rozwinięte, a tam gdzie z jakichkolwiek pobudek ocena była wymagana, chętnie dokonywano tego w sposób przybliżony, a nadto z wielkiem upodobaniem posługiwano się symbolami liczbowemi, których obficie dostarczała symbolika prawa niemieckiego i obrzędu kościelnego".

Nieudolność ta należytej oceny faktów, gdy znajdujemy się wśród gromady, istnieje i po dzień dzisiejszy. Kronikarze średniowieczni grzeszyli nieumiejętnością wyznaczenia rozmiarów tłumu; my zaś, acz dokonaliśmy niejednego postępu,

przecież nie nauczyliśmy się jeszcze stosować należytej miary do cyfr, które wypływają podczas dyskusji gromadnej. Kiedy projektodawca księgarni zażądał od zgromadzenia Kasy literackiej 2500 rb., dały się słyszeć głosy, oświadczające, iż zostanie niezmiernie uszczuplony fundusz przezorności, mający kiedyś być wypłacony pojedyńczym członkom, a ktoś w rozmowie prywatnej wygłosił zdanie, iż nie po to należy do Kasy, ażeby na starość nie otrzymać ani grosza. Mówiono to szczerze, jak gdyby kwota wyżej wymieniona w rzeczy samej w sposób bardzo dotkliwy obciążyła konto każdego z uczestników. A jednak, wobec liczby członków, fundusz każdego z nich zostałby uszczuplony zaledwie o jakieś rubli dziesięć, które naturalnie nie mogą żadną miarą zaważyć na ostatecznym wyniku oszczędności indywidualnych, tak samo jak fundusz przezorności, nawet gdyby był kilkakrotnie większy, nie zabezpieczy starości niczyjej.

Jak rzekliśmy, rozumowanie to było jednak zgoła szczere. Widoczna, iż istniał tam błąd jakiś nie powiem w założeniu, ale w całem rusztowaniu bezwiednem wywodów. Polegał na nieumiejętności ogarnięcia właściwych rozmiarów wydatku zbiorowego, który ostatecznie obciąży uczestników każdego z osobna. Istnieje więc podczas tej oceny indywidualny punkt widzenia, który rodzi u każdego uczestnika poczucie, iż wydatek w jakiejś części spadnie i nań; z drugiej jest obecną cyfra, w danym przypadku 2500 rb., znaczna, a nawet bardzo znaczna, jak na kieszeń literata warszawskiego. Uczestnik nie uprzytomnia sobie, iż poniesie ów wydatek zaledwie w jakiejś dwuchsetnej części; zlawszy się poniekąd z gromadą i działając cyframi, dotyczącemi właśnie tej gromady, w głębi swej jaźni zachowuje niejasną świadomość swej indywidualnej odrębności i odpowiedzialności tak samo indywidualnej i zarazem grzeszy nieudolnością przyłożenia do cyfr właściwej miary. Powstaje nieokreślone, a zarazem błędne przeświadczenie, iż wprawdzie ów wydatek zbiorowy zaważy na nim nie całym ciężarem swoim, ale swoją drogą iż będzie musiał pokryć go sam w jakiejś bardzo znacznej mierze, może dwudziestej, może dziesiątej części nawet. Rodzi się fikcja w umyśle i obezwładnia obradującego, wydymając odpowiedzialność osobistą do rozmiarów niewłaściwych, a za nią ukrywa się może druga—tak samo i z tych samych przyczyn

rozdętego funduszu emerytalnego, który na skutek wydatku ulegnie uszczupleniu.

Może nie podkreślałbym z taką mocą tej okoliczności, gdybym nie miał w pamięci zdarzenia, które jak żywe stoi mi przed oczyma.

Działo się przed laty kilkunastu.

Korzystając z zaproszenia, znalazłem się na zebraniu „Spolku" czeskiego w Lipsku, wśród osób różnego położenia społecznego, w tej liczbie ludzi mało rozwiniętych. Podniesiono sprawę składek na teatr narodowy. Mówca z naciskiem podkreślał wysokość potrzebnych funduszów, w uniesieniu bodaj wygórował nawet niezbędną kwotę, a wywody swoje zakończył naturalnie propozycją, ażeby członkowie Spolku dorzucili swój grosz w postaci stałych składek miesięcznych. Na to podniósł się jakiś drobny przemysłowiec i zaczął gniewnie narzekać, iż kierownicy narodu nie dbają o cudzą kieszeń. Składki tak znaczne mogę przyprawić Czechów o zubożenie... Cyfra olbrzymia, przytoczona przez poprzedniego mówcę, wciąż dźwięczała w jego wywodach. Ostatecznie, czuć było, iż nie zdaje sobie należytej sprawy ze swej odpowiedzialności osobistej. I nieporozumienie to prawdopodobnie nie zostałoby usunięte, gdyby nie uchwała członków, iż każdy w ciągu półrocza będzie uiszczał 20 fenigów miesięcznie. „Mogę dać 50!"— odrzekł niefortunny oponent...

Tutaj należy uwzględnić jeszcze inne złudzenia, które niejednokrotnie uwydatniają swój wpływ w życiu codziennem niejednej osoby. Zwrócili na nie uwagę ekonomiści, oświadczając, iż im niższą jest wartość monety zdawkowej, tym bardziej mieszkańcy kraju liczą się z każdym wydanym groszem. Słuszność tego twierdzenia wielu z nas sprawdziło niejednokrotnie na sobie. Przyzwyczajeni do rubla, jako do jednostki monetarnej, mimowoli przyrównywamy do niego markę lub franka. Mając wydać 10 franków, jesteśmy o wiele ostrożniejsi, niż wtedy, gdy chodzi o niespełna cztery ruble, które są właśnie naszym równoznacznikiem powyższej kwoty, wyrażonej w jednostkach monetarnych francuskich. Natomiast wyrzucamy dziesięć dolarów z taką samą łatwością jak dziesięć rubli, chociaż suma ta posiada dwa razy większą wartość. Obok tego złudzenia można umieścić jeszcze inne. Rubel przedstawia się naszej wyobraźni jako wydatek o wiele

większy niż 99 kop. To skąpstwo na punkcie paru kopiejek, brakujących do rubla, jest dobrze znane właścicielom wielkich sklepów, którzy nie omieszkują wziąć pod rachubę tego złudzenia. W olbrzymich sklepach Chicago lub Nowego-Yorku odnajdujemy na towarach cyfry niezaokrąglone, a więc 95 centów zamiast dolara, i nawet 9 dol. 95 cent., zamiast 10 dolarów...

Tego rodzaju nieporozumienia prowadzą zarówno do rozrzutności, jako i do skąpstwa — objawów, w sposób tak osobliwy ujawniających się w życiu gromady.

Gromady grzeszą niewątpliwie rozrzutnością. Daje się to spostrzec zwłaszcza tam, gdzie wypada dokonywać drobnych wydatków bieżących, że tak powiem — groszowych, na których podsumowanie jednak trzeba czekać końca roku. Drobne te koszta pochłaniają olbrzymią sumę, nieznaną w przedsiębiorstwach, prowadzonych na rachunek osobisty. Ujawnia się to także w owej łatwości, z jaką zarządy municypalne uchwalają tak zwane „grosze dodatkowe", t. j. grosze do każdej większej jednostki pieniężnej uiszczanego podatku. Jest to ulubiona przez municypalność forma zwiększania ciężarów podatkowych. A jest korzystną dla dwóch względów. Dodanie paru centimów do każdego franka nie przeraża swojemi rozmiarami rzeszy opodatkowanej, ani nie powściąga hojności tych, którzy rozporządzają cudzemi pieniędzmi. Tym także można wytłumaczyć taktykę wielu mówców, którzy usiłując przekonać gromadę o konieczności uchwalenia pewnego funduszu, odejmują kwocie jej rozmiary przez akcentowanie, ile przypadnie ciężaru na głowę poszczególną. Studjując życie wielu stowarzyszeń, spostrzeglibyśmy tam znaczną rozrzutność, wywołaną właśnie na skutek takiego fortelu, — rozrzutność tem dziwniejszą, iż idzie niejednokrotnie w parze ze skąpstwem, które niekiedy trudno zrozumieć.

Z drugiej strony, gromady grzeszą skąpstwem. Olbrzymie kwoty sumaryczne, które, wyrażone w formie odpowiedzialności osobistej, t. j. obliczone, jaką kwotą obciążyłyby osobę pojedyńczą, nie odstręczałyby uczestników, przerażają ich swoim ogromem. Przypomina mi się tutaj obrachunek, dokonany przez E. Hermanna. Oblicza stratę czasu, jaką ponosimy oczekując parę minut na nadejście tramwaju. Parę minut dziennie nie przeraziłoby nas. Ale E. Hermann odwo-

łuje się do liczb innych, a mianowicie obrachowuje, ile cała ludność Wiednia na skutek oczekiwania traci bezużytecznie godzin w ciągu roku. Otrzymana cyfra jest przeraźliwie wielką i czytelnik odczytuje ów ustęp z ciężkiem uczuciem. Jest przygnębiony rozrzutnością społeczeństwa i swoją własną!... I takie samo przerażenie wywołują wielkie cyfry budżetów, zwłaszcza pomiędzy rzeszami włościańskiemi, jeszcze mniej zdolnemi do należytej orjentacji w przytaczanych cyfrach, a nadto jeszcze bardziej odczuwającemi ich ogrom na skutek nizkiego poziomu własnych potrzeb i wydatków.

Nie chodziło nam bynajmniej o wyczerpanie przedmiotu, ale jedynie o zaznaczenie jednego z rysów duchowości gromadnej. Rozprawy w parlamentach, krytyka budżetów na wiecach dostarczałyby obfitego materjału, gdybyśmy zapragnęli zatrzymać się szczegółowiej nad kwestją. Jednak rozbiór nasz byłby niedokładny, gdybyśmy nie zaznaczyli, że gromada, właśnie dlatego iż jest gromadą, podlega w stopniu większym niż pojedyńcza osoba roznamiętnieniu. W tem spotęgowaniu pierwiastków uczuciowych tkwi tak łatwe poddawanie się złudzeniom. Fikcje, od których niezdolni jesteśmy oswobodzić się nawet w osobistem swem postępowaniu, gdy w całej pełni idziemy o własnych siłach, nabierają w gromadzie niezmiernej mocy i panują wszechwładnie nad naszą umysłowością, obezwładnioną przez nasz podniecony stan emocjonalny, właściwy zawsze tłumowi.

V.

UMYSŁOWOŚĆ GROMADY.[1])

(1905).

„W sferze moralnej gromada może upaść bardzo nisko lub podnieść się bardzo wysoko, w umysłowej — tylko spocząć w nizinie“, jeszcze raz przytaczamy sąd Tarde'a o umysłowości jaźni zbiorowej.

Gromada nie odznacza się krytycyzmem, ani, podniecona lub spłoszona, rozbestwiona lub rozanielona, nie posiada

[1]) Artykuł, przeznaczony do „Ogniwa“, ale nie drukowany z powodu zamknięcia przez władze rosyjskie tego tygodnika.

w sobie warunków spokojnego zastanowienia się: człowiek, porwany duchowością zbiorową, przestaje być samym sobą, t. j. tą istotą, jaką jest w normalnym, codziennym biegu życia. Innemi słowy, czuje on inaczej niż zwykle, a złożona z licznych pierwiastków jaźń jego ulega uproszczeniu i rozbrzmiewa jedynie uczuciowością. Działalność spostrzegawcza, dostarczająca umysłowi naszemu środków orjentowania się w otoczeniu, podsuwa wrażenia będące w harmonji z ogólnym stanem gromady: każdy tam widzi to co inni widzą, słyszy tak, jak nastrój mu słyszeć każe. Nawet co do samej zdolności rozumowania, uczestnik jaźni zbiorowej rozumuje,— nie! on nie rozumuje, a jest tylko jak gdyby jedną z komórek olbrzymiego mózgu, a więc czyni odruchowe przesłanki z tego co inni rzekli, albo formułuje wrażenia, otrzymywane od nich i naturalnie zabarwione subjektywizmem gromadnym, i podsuwa je innym jako założenia. To co Tarde miał na myśli, utożsamiając społeczeństwo z mózgiem, powiązanie zaś czynów społecznych układając w modły sylogizmu, możemy zastosować poniekąd do powiązania myśli, spostrzeganego w gromadzie. Lecz założenia, wygłaszane przez jednych uczestników gromady i przyjmowane przez innych, uzupełniane i rozwinięte według zasady sylogizmu, przedstawiają osobliwego kalibru wytwór, w którym rzeczywistość odźwierciadla się spaczona pod kątem stanu duchowego, właściwego jaźni zbiorowej. Niekiedy tam niema ani źdźbła prawdy, lecz wszystko jest złudzeniem, bo zmysły widzą i słyszą tylko to, czego gromada pragnie. „Gromada — pisze G. le Bon — nie odróżnia stosunku przedmiotowego od podmiotowego złudzenia. Za rzecz realną uważa obrazy istniejące tylko w jej umyśle, a często posiadające zaledwie bardzo oddalone pokrewieństwo z dostrzeganym faktem".

W umysłowości jaźni zbiorowej istnieją wszystkie stopnie rozdźwięku z rzeczywistością, od opacznego spostrzegania aż do złudzenia, a nawet zupełnej halucynacji.

Oto cała załoga okrętu jest przestraszona widokiem kucharza, zmarłego przed paru dniami. Wszyscy widzieli go dokładnie. Szedł po wodzie kulejąc w szczególny sposób, po którym go poznawano, miał bowiem jedną nogę krótszą. Okazało się jednak, że tym tak dokładnie rozpoznanym kucharzem był pływający szczątek rozbitego okrętu. „Przesadni

marynarze, pisze H. Taine, mając świeżo w pamięci wyobrażenie towarzysza, doznali wszyscy, bez najmniejszego porozumienia, tego samego złudzenia na widok nierównych poruszeń ułomku okrętowego".

Oto fregata krąży po morzu, poszukując śladów korwety, od której oddzieliła ją burza. Dzień jasny, słoneczny. Zawiadomiono z gniazda bocianiego załogę, że się ukazał statek na powierzchni morza. Oczy wszystkich zwróciły się we wskazanym kierunku. Oficerowie i majtkowie widzieli wyraźnie rozbitków dających sygnały o ratunek. Admirał wysyła łódź. Załoga jej dokładnie rozróżnia towarzyszy, którzy wyciągają ręce do niej, słyszy nawet z daleka szmer głosów, zbiorowo wołających o pomoc. Ale kiedy podjechano zbliska, znaleziono kilka gałęzi liściem pokrytych...

Mechanizm zbiorowej iluzji jest bardzo prosty. Np. w drugim przykładzie gromada jest w stanie natężonego oczekiwania, dotknięta stratą współtowarzyszy. Na tak przygotowany grunt pada sugestja, że tam na widnokręgu widać poszukiwany statek. Poddanie idei umysłom, będącym w osobliwym nastroju, wydało odpowiedni rezultat: ludzie widzieli to, co widzieć pragnęli. Gdyby wiatr był się zerwał w takiej chwili i uniósł szalupę, to załoga nie poznałaby swego błędu, złudzenie pozostałoby niezaprzeczonym faktem. Są fakty jeszcze bardziej znamienne. Kaznodzieja przemawia do gromady wychodźców na okręcie. Przyrównywa nasz żywot do statku płynącego po spokojnem morzu: wśród pogodnych wczasów i zajęć codziennych nikt nie myśli o możliwej burzy. Ale chmury pojawiają się na widnokręgu i ogarniają całe niebo. Błyskawice przerzynają powietrze, orkan szaleje. Piorun uderza w okręt, który staje cały w płomieniach. Krzyk; „Do łodzi"! kończy kazanie. Mówca umiał tak porwać słuchaczy, tak owładnąć ich umysłem, iż w trwodze największej zerwali się, szukając łodzi, na której mogliby unieść życie ze statku. Jeszcze dalej, a znajdziemy się wobec halucynacji, tak częstej w gromadach objętych mistycyzmem. Uczestnicy takich zborów za pomocą różnych środków, przeważnie ruchów rytmicznych, doprowadzają siebie do ekstazy, w szał przechodzącej. „Derwisze udają się do meczetu — że podamy choć jeden przykład — celem wprawienia się w zachwyt mistyczny: tam odśpiewują ustępy z Koranu, uderzają w odstępach czasu

ręką o rękę, biją w bęben i inne instrumenta. Odśpiewawszy Koran, podnoszą się i tworzą koło korowodowe. Bezustanku, prawie nie oddychając, powtarzają wyraz Allach, przyczem usiłują dokonywać żołądkiem ruchy jak najgłębsze i pochylają się. Podobni są do opętanych, zwłaszcza przy końcu nabożeństwa są jako wściekłe psy. Krew rzuca się niektórym z ust — z wielkiego wysiłku żołądka. Trwa to około pół godziny. Ku końcowi powtarzają jedynie wyraz hu, tj. on, bo braknie im siły wymówić Allach. Wykrzyknik ten zdaleka przypomina kwik prosięcia. Poczem siadają i odpoczywają nieco, śpiewając inne modlitwy; po pewnym czasie znowu się podnoszą i rozpoczynają muzykę. To czynią trzykrotnie... Ci obłąkańcy mają pianę na ustach; jak dotknięci wścieklizną, z zamkniętemi oczyma powtarzają ciągle hu! Za każdym ktoś stoi i podtrzymuje z tyłu, ażeby nie upadł. Usiłują pozostać w stanie takiego zachwytu jaknajdłużej, gdyż wierzą, że wtedy są świętymi". Nie dziw, iż uczestnicy takich praktyk mistycznych słyszą głosy, rozbrzewające w powietrzu, widzą istoty nadzmysłowe, unoszące się nad niemi, nawet za podniesieniem ręki zdaje im się, że pałace się walą i następnie powstają z gruzów.

Zeznania uczestników gromadnego podniecenia zasługują na wiarę tylko o tyle, o ile odtwarzają stan jaźni gromadnej, nigdy zaś jako świadectwo o zdarzeniu i jego przyczynach. „Spostrzeżenia zbiorowe, powiada le Bon, są najbłędniejsze i najczęściej są ordynarnem złudzeniem pojedyńczej osoby, drogą zarazy duchowej udzielonem gromadzie. Podręczniki logiki uważają jednozgodność zeznań ze strony licznych świadków za najwymowniejszy dowód, jaki można przytoczyć na poparcie faktów. Ale psychologja udowadnia, iż logika myli się. Najwątpliwszemi zdarzeniami są właśnie spostrzegane przez bardzo wielką liczbę osób. Powiedzieć, iż na korzyść faktów świadczą tysiące widzów, znaczy przyznać, że podawany wątek różni się bardzo od rzeczywistości". Zdanie to jaknajsłuszniejsze, o ile rzecz dotyczy świadectwa osób, uczestniczących w jaźni gromadnej. Z pewnem zastrzeżeniem to dotyczy i innych wypadków. Nie wdając się w ich rozbiór, zaznaczymy tylko tyle, iż świadectwo rozsądnej i krytycznej osoby, obserwującej zjawisko w odosobnieniu, więcej zasługuje na wiarę, niż zeznania osób, pospołu czyniących spostrze-

żenia w podnieceniu, udzielających sobie wskazówek i znajdujących się, mniejsza o przyczyny, w jednakim nastroju ducha. Twierdzenie nasze bynajmniej nie jest przesadą. O tem przekonać nas może poniżej przytoczony fakt z praktyki sądowej. Pewne miasteczko w Cesarstwie zgorzało do szczętu. Rozkołysana wyobraźnia zaczęła poszukiwać sprawcy, wreszcie znalazła winowajcę w osobie jednego z mieszkańców, co wyprowadził się był właśnie w dniu pogorzeli z domu, w którym niby wszczął się pożar. Domysły przybrały taką siłę, a z niemi rozjątrzenie, że policja aresztowała podejrzanego, ażeby ocalić go przed doraźnym sądem. Zresztą i sama była przekonaną o tem, że ma w ręku swojem sprawcę, który, pogrążony w zupełnej apatji, nawet nie bronił się, poprzestając na oświadczeniu, że opuścił dawne mieszkanie o siódmej rano, pożar zaś wszczął się dopiero w porze południowej. Lecz przeciw niemu zeznawało mnóstwo świadków, którzy oświadczyli przed sądem śledczym, że, przeciwnie, oskarżony wyprowadził się przed samym pożarem, na pół godziny, może na kilka minut. A jednak okazało się, że zeznania te, chociaż robione w dobrej wierze, były wszystkie fałszywe! Niewątpliwie widzieli oni, jak zeznawali, wyjazd oskarżonego z domu, lecz wśród powszechnego zamętu i domysłów poplątali różne rzeczy. Opowiadali nie o wypadku jak odbył się w rzeczywistości, lecz jak powinien się był odbyć według powszechnej famy.

Zmącenie sądu uczestników jest nieodłączne od gromady podnieconej [1]). Wogóle umysłowość działa wtedy niesprawnie. Takie subtelności, jak uchwycenie zastrzeżeń, zawartych w trybie warunkowym, jakim posługuje się mówca, są dla niej niedostępne. Mówca, używający tego rodzaju zwrotów mowy, myli się, jeśli mniema, że swoje wątpliwości lub zastrzeżenia przeleje w umysły podnieconych słuchaczy. Ci bowiem znają jedynie tryb oznajmujący — w formie twierdzącej lub przeczącej, a na wyższym poziomie napięcia emocjonalnego, właściwie tylko tryb rozkazujący. Sąd o czło-

[1]) Dlatego w związkach zawodowych angielskich nigdy nie decyduje się sprawy strejków na wiecach. Wiece te zwołuje się celem zaznajomienia uczestników z położeniem rzeczy, wymiany myśli i t. d. Głosowanie odbywa się w dni parę później przez rzucanie kartek do urny.

wieku, lub o stosunkach, wygłoszony z jaknajwiększemi zastrzeżeniami, w takich warunkach przekształca się już w twierdzenie stanowcze, że rzeczy właśnie tak się mają, już w wyraźną insynuację. Wypowiedzenie warunkowe, że ktoś może nie miał dobrej woli do dokonania czegoś, jest równoznaczne z stwierdzeniem ostatecznem jego złej woli. Roztrząsanie, że ktoś może jest sprawcą pogorzeli, jest faktycznie wskazaniem nań jako na zbrodniarza, który dokonał podpalenia. Gromada, w której, pod wpływem podniety, rozpętały się odruchy, zamilkły zaś subtelne odcienie rozumowania, znajduje w każdem powiedzeniu warunkowem, w każdej najlżejszej insynuacji wystarczającą pobudkę do wyroku stanowczego: dość jednego słowa, niekiedy gestu, a już znajdzie się jakaś ręka, która, nie pytając o dowody, podniesie się do czynu, nieraz bardzo krwawego. Niekiedy dosyć gestu przypadkowego, mimowolnego: podniecenie emocjonalne wśród rozpętania odruchów wymaga dla siebie wyładowania...

Wobec tego rozumiemy, iż mówca ilekroć pragnie gromadzie narzucić swoją wolę, nadewszystko usiłuje usunąć z jestestwa słuchaczy nadbudowę myśli krytycznej i zatopić ją w powodzi podniecenia emocjonalnego. Gdy dokonał tego i wywołał w jaźni naszej emocję, a z nią oddźwięk odruchowy na podszepty, do tej emocji dostosowane, naówczas staje się panem: gromada jest względem niego bezbronną, mówca zaś, zręcznie nadużywając tej władzy, może podsuwać jej uchwały i czyny, jakie w tej sytuacji uważa za stosowne.

Zresztą opis rzeczywistego zdarzenia odtworzy najlepiej ów mechanizm oddziaływania takiego rozkazodawcy na gromadę podnieconą.

Wypadło mi razu jednego znaleźć się w Chicago na niewielkim revival'u metodystów. Było to w jednym z drugorzędnych teatrów, dość wygodnie i nawet elegancko urządzonym, dżdżystego październikowego wieczoru. Publiczność była najrozmaitsza — all sorts and conditions of men, w większości przecież ludzie pracy, zmęczeni całodziennym wysiłkiem fizycznym, a teraz z przyjemnością rozpierający się wśród ciepła w wygodnych fotelach, wśród rzęsistego światła, rzucanego przez lampy elektryczne. Przy dźwiękach fortepianu apostoł metodystów zaczął intonować jeden, potem drugi i trzeci hymn, a zebrani chórem śpiewali.

Melodje odznaczały się tempem marsza, nie chybiają więc celu, bo niecą stan powszechnej błogości. Twarze przybierają wyraz zachwytu: odpoczynek z wygodnem siedzeniem po całodziennej pracy wśród dźwięków umiejętnie dobranej melodji i chóralnego śpiewu zaczyna działać. Uczestnicy zlewają się w spółdrganiu nerwowem, chociaż nawzajem sobie nieznajomi. Metodysta, kiedy uznał, że dostatecznie urobił zebranie na pożądaną modłę, zaczyna mówić, nawiązując słowa do wywołanego stanu emocjonalnego. Jakby streszcza nieświadome drgania duszy, obecnych, lub, dokładniej, podkłada członkowane sformułowanie pod nieczłonkowane stany ducha. Na razie milczy o dogmatach; narzuciwszy uprzednio potrzebny stan uczuciowy słuchaczom, w swojem przemówieniu snuje odpowiednie wątki: „śpiewajmy po pracy, bo śpiew wzmacnia ducha, uczy nas kochać bliźniego, każe zapominać o złych myślach! Śpiewajmy dużo a w gromadzie!“ Później potrąca inne struny natury moralnej, potęgując jeszcze bardziej istniejące rozrzewnienie, a w końcu w paru słowach załatwia się z dogmatami, a raczej zupełnie się nie załatwia z niemi, tylko daje radę, zakrawającą na rozkaz: jeżeli chcecie i nadal odczuwać błogość dzisiejszą, zapisujcie się na członków gminy metodystycznej! Rozkaz ów, wydany na podłożu zachwytu emocjonalnego, trafia do umysłów, ten i ów podnosi się z miejsca, porusza rękami w powietrzu, potakuje radzie udzielonej...

Tak postępują świadomie lub bezwiednie wszyscy wielcy mistrzowie, panujący nad gromadą. Logika ich rozumowania jest zgoła odmienną, niż indywidualna, bo obliczoną nie na indywidualny mózg, ale na tłum. Gdyby mówca, usiłujący wywołać pożądany postępek, odwoływał się do argumentów rozumowych, nigdyby nie urzeczywistnił swego zamiaru. On działa inaczej — podnieca uczucie, a stawszy się w ten sposób panem sytuacji i zniszczywszy odporność rozumującą w powodzi stanów emocjonalnych, rozkazuje lub „radzi“ to i to uchwalić lub dokonać. Czytając mowy mistrzów panowania nad duszami ludzkiemi, często nie możemy ochłonąć z podziwu, jakim sposobem tak słabe argumenty i kulawe rozumowania zdołały przekonać gromadę osób, niekiedy odznaczających się wiedzą i wogóle rozsądkiem. Otóż tajemnica polega nie na potędze argumentów, tylko na ukrytej sprę-

żynie uczuciowej, na gestach, wykrzyknikach, lub wybuchach zapału, które wznieciły w duszy obecnych potrzebny stan uczuciowy i ujednostajniły ich w tej samej jaźni zbiorowej. Rada lub rozkaz trafiają do uczestników, jak na r e v i v a l'u metodystycznym, za pomocą emocji, w sposób koszlawy przyczepione do wątku uczuciowego. Logika mówcy wobec tłumu, jeśli ma dopiąć rezultatu, rządzi się zgoła innemi zasadami niż w rozmowie z pojedyńczą, wyodrębnioną indywidualnością: ta uwzględnia pierwiastki krytyczne umysłowości naszej, tamta posługuje się uczuciem i sugestją. Dla nas, czytających mowę na zimno i w innych warunkach, jest ona nieraz niedorzeczną, ale genjusz tego, który ją wygłosił, polega nie na umiejętności przekonywania umysłów, ale na ich porwaniu, jego głos trafić winien nie do inteligencji, lecz do uczucia uczestników. Logika ze stanowiska umysłowości indywidualnej jest kulawą. A jednak wydaje oczekiwany skutek, bo mówca mową swoją poruszył struny uczuciowe i zaprzągł je do celów swoich.

VI.

DO JASNEJ GÓRY.

(Z powodu Władysława Reymonta: P i e l g r z y m k a d o J a s n e j G ó r y)

(1895).

Częstochowa w życiu naszego ludu odgrywa olbrzymią rolę. Jest duchowym łącznikiem, który swojemi niewidzialnemi nićmi spaja rozstrzelone osady włościańskie, zbliża je i wiąże w całość ideową. Pobożność tłumów, działając w ciągu wieków, wyżłobiła tam stałe łożyska dla swego nurtu, wyrobiła formy spotkania pątników i wędrówki, wypracowała samorzutną organizację.

O tem wszystkiem wiemy bardzo mało.

Lubo o Częstochowie dużo się mówi, lecz swoją drogą nic a nic nie zrobiono dla zbadania tych stosunków, które zwolna powstały dokoła niej i utrwaliły się z biegiem pokoleń. Książki, poświęcone Jasnej Górze, opowiadają o doznanych cudach lub o dziejach klasztoru, wymieniają kosztowne ofiary, któremi magnaterja nasza dziękowała ongi za otrzymaną pomoc. Milczą zaś o wszystkiem, co wychodzi za wąs-

kie koło chronologji ofiarodawczej. Sądzę, że rzadko kto nawet pojął co za nieocenione źródło zabytków i zwyczajów oczekuje tam badacza. Cała nasza kultura włościańska (istnieje bowiem, mimo że „starsi bracia“ w narodzie nie chcą jej przyznać) znalazła swój wyraz najjaskrawszy właśnie w czci dla Jasnej Góry, w produkowanych tam dziełach artyzmu religijnego, w ekstazie, ogarniającej pątników. To też z rzeczywistą ciekawością wzięliśmy do ręki książkę p. Władysława Reymonta, w której opisuje swoją pielgrzymkę wśród takiej gromady pobożnych. Autor puścił się z kompanją, wiedziony chęcią przyjrzenia się duchowej fizjognomji rzeszy pątniczej i zbadania pulsu, uderzającego tam w zebranym tłumie. Wrażliwy i prosty, posiada talent podchwytywania przyrody ludzkiej, odzianej w zwykłą siermięgę, oraz odtwarzania właściwych jej podmuchów.

Wł. Reymont, językiem bez efektów i dlatego silnym, oddaje swoje wrażenia: z dnia na dzień kreśli nam powstawanie jaźni zbiorowej, objętej ekstazą religijną, maluje swój stosunek do tłumu, w którym był pierwotnie jako kropla tłuszczu na powierzchni wody, odsłania duszę swoich towarzyszy. Może, nie zamierzając, dał poważny przyczynek do psychologji gromadnej.

* * *

Tak, cała wędrówka Wł. Reymonta to opis rodowodów jaźni zbiorowej, i to nie zwykłej, ale organizującej się na podstawie przekazanej ustnie tradycji.

Bo, zaiste, czem jest kompanja pątników?

Z początku jest zbiorem osób sobie obcych, z których każda skądinąd przyszła. Gromadki swojaków giną w tem olbrzymiem, rozproszonem cielsku, które niekiedy ciągnie się luźno na przestrzeni wiorst wielu. Ludziska rzucili dom i gospodarstwo, łóżko i pierzynę i puszczają się w podróż uciążliwą. Każdy może idzie z innem pragnieniem w duszy. Ale istnieje coś, co łączy wszystkich, z początku luźno, potem coraz silniej, aż w końcu stopi ich w jednię duchową. Te drobne, szare sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane pod tobołami, już przy wyjściu z Pragi czynią na swoim towarzyszu, zamierzającym je

opisać, silne wrażenie: miały w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne. Był to materjał przyszłej jaźni duchowej. Namaszczenie zjawia się w pierwszych dniach tylko podczas chwil uroczystych, w zwykłej zaś powszedniości przeważa jeszcze rozgardjasz. „Kto śpiewa to śpiewa, reszta pielgrzymów gawędzi z cicha. Słyszę najrozmaitsze szczegóły o gospodarstwie, wsiach, ceny zboża zdają się ich najbardziej interesować. Na wszystkie strony krzyżują się zapytania: skąd brat? skąd siostra?“

Ale istnieją tam w gromadzie czynniki, zwolna dokonywające jej przeobrażenia: usuwają niejednolitość, podniecają ducha zbiorowości i harmonji.

Jako zasada ogólna, pątników obowiązuje równość ewangeliczna, przekazana przez tradycję.

Znikają więc godności i odróżnienia. Zwyczaj bowiem nie pozwala do nikogo mówić inaczej, jeno: „święty bracie“, „święta siostro“. Rzecz to z pozoru błaha, ale ważna w swoich skutkach. Osoby, które się dotychczas nie znały, są dzięki temu zwrotowi wzajemnie postawione w bliskim stosunku. Powstaje odrazu zażyłość, wzrastająca w swojej mocy w miarę wędrówki. Zwolna znika nawet różnica pomiędzy „mojem“ a „twojem“, ten kto ma, karmi łaknącego i obraża się, jeśli za to podają mu kwotę pieniężną: „Zachciałeś, bracie, ukrzywdzić dobre dusze—wyrzucają towarzyszki podróży Wł. Reymontowi — zapłacić za dobre serce groszakiem! To nie jest poczciwie i nie po szlachecku!“ Człowiek początkowo nagina się do wyrazów i zwrotów, nakazywanych przez tradycję, czyniąc im zadość machinalnie. Ale dźwięk prosty: „bracie!“ na tle wzrastającej ekstazy, zaczyna wydawać z siebie czyn braterski, czcza formuła ożywia i napełnia się duchem. Znaczenie symbolu w życiu społecznem, pozornie jałowego i bezbarwnego, występuje w swojej pełni. Zwłaszcza braterstwo to uwydatnia się w pobliżu Jasnej Góry, w ostatnich dniach pielgrzymki. „Sypiam—opowiada Wł. Reymont o sobie—pod tem dobrem słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę jak wszyscy. Żądają czegoś, daję — jeśli mam. Nie jem i nie piję nic więcej nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przedemną i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam, pospieszą mi z kromką w imię bra-

terstwa... Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropji nakarmią mnie, zbiorą wytartych groszaków i dadzą — i prosto to zrobią i szczerze. Umrę, to mi na jakim przydrożnym cmentarzu usypią mogiłę, pokryją tarnią, wsadzą wierzbę płaczącą i pójdą, a o każdej wiośnie, gdy tędy przechodzić będą, rzucą gałąź tarniny lub pęk sasanek leśnych".

Istnieje w kompanji hierarchja organizatorów, których zadaniem jest podniecać ducha, zagrzewać upadających, gromić krnąbrnych, walczyć ze swawolą i rozpustą.

Ci „bracia starsi" poddają pieśni, które swojem brzmieniem skracają mozoły drogi, oni to na noclegach czytają ustępy święte. „Gdzie wy idzieta, bracia i siostry — woła jeden z takich kierowników do gromady o świcie pod krzyżem, karcąc ją za dostrzeżoną swawolę. Czy idzieta na jarmark? To czemu krzyż jest z wami? Czy do karczmów na zabawę albo na wesele? To czemu pobożne pieśni śpiewata, imienia boskiego używata. Bo wy nie idzieta na odpust, ludzie, nie! Na rozpustę idzieta ludzie, a nie do Matki Najświętszej"! Ci bracia starsi są to ludzie prości, ale umiejący przemówić do serca prowadzonej rzeszy i brać tony na tym instrumencie tworzącej się zbiorowości, dzielni w radzie, stanowczy w potrzebie.

Istnieją po drogach przybytki, przeznaczone do oddziaływania w tym samym duchu. Są to kościoły, a nieraz zwykłe, przydrożne krzyże. Tam kompanja staje na czas jakiś, orzeźwi się w kąpieli podnieconego zachwytu, wzmocni swoje siły duchowe na dalszą drogę.

Tradycja, zorganizowana i zaklęta w zwrotach symbolicznych, upostaciowana w dziełach z kamienia lub drzewa, niekiedy nie posiadająca żadnego ciała materjalnego, czyha po drodze na pątników, luźne gromadki zbliża, wyklina rozdźwięki i stwarza jaźń zbiorową.

Ale najwytrwalej i najsilniej oddziaływa sama Częstochowa.

Im bliżej do Jasnej Góry, tem większy rozmach siły wewnętrznej, tem większe zaparcie. Słońce paliło, kurz zapierał piersi, zmęczenie obciążało wszystkie członki, ale myśl o tem, że Jasna Góra jest coraz bliżej i bliżej, pokrzepiała upadających ze znużenia.

Aż wreszcie, na nieznacznej już odległości, zapanowała jedynie w umysłach.

„Myśmy mijali lasy, przechodzili wsie, łany zbóż, strumienie, i parliśmy, jak jaka rozpętana żywiołowa siła, do tego punktu przyciągania, co tkwił w każdym mózgu i w każdem sercu rozrastał się coraz potężniej i oddziaływał coraz silniej. Już nie słychać było gawęd ani żartów, pieśni śpiewano żarliwiej i liczniej. Pod każdym krzyżem czołgano się w prochu, całowano nie tylko krzyż, ale i sztachetki kamienne, które pod nim leżały. Ciała znikały, pozostawały tylko twarze w rysach i wyrazie i oczy coraz więcej płonące gorączką. Indywidualności milkły i zlewały się z sobą. Nie było już szlachty, chłopów, mieszczan, kobiet ani mężczyzn, wszystko spływało się w tej jednej, rozpalonej do białości fali religijnego uniesienia. Na odpoczynkach walili się na ziemię, jak kloce drzewa i za pierwszym odgłosem dzwonka już stali gotowi, już szli i zaczynali śpiewać. Większość żyje suchym chlebem, który dźwiga na plecach, a nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno — tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większem natężeniem".

Tak dzieje się już na parę dni przed dojściem do Jasnej Góry.

Aż w końcu kompanja dostaje się do okolicy górzystej, rozścielającej się bezpośrednio przed miejscem świętem.

Ostatni to dzień pielgrzymki.

Idą tak prędko, że wszystkie piersi rzężą.

Na każdym szczycie wszystkie oczy zanurzają się w mgle i niespokojne, gorące spojrzenia szukają konturów wieży klasztornej.

„Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie. Słońce podniosło się ponad mgły i w dali, wprost nas, zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł się, bo mgły zakłębiły się. Niby jęk zawodu zaszemrał... Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepiał i obezprzytomniał, że darli się wprost naprzód. Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew płynącą z nóg"...

Słońce podniosło się i odsłoniło wieżycę. Wszystkie oczy uderzyły o tę górę z wieżycą na szczycie.

„Marjo! buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęły na ziemię z krzykiem radości. Widok ten, niby

orkan, rzucił te wszystkie głowy w proch. Zaczęły płynąć łzy rozradowania, a oczy promienieć radością, wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym. I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapiał wszystkich w jedną bryłę drgającą w łkaniu, w jedno czucie, wyrywał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia. I ta głęboka, boska poprostu przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzjazmów długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je niby wicher ognisty i przekuwała duszę na inną miarę. Popowstawali i wszystkie twarze rozsłoneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie. Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechem na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu triumfalne biły nad ziemią".

Do tego opisu można coś dodać, nawet bardzo wiele, ale przenigdy odjąć. Ale dodać zdołałby nie pisarz, posługujący się piórem i utrwalający jedynie obrazy. To tylko muzyk zdobyłby się na ujęcie w potężnej melodji tego wybuchu namiętności, tej rytmiki ekstazy, połączonej z płaczem i dreszczem nerwowym.

Nazwałem pracę Wł. Reymonta przyczynkiem do psychologji życia zbiorowego. Tak, jest tego rodzaju wkładem. Czytając jego pielgrzymkę, mimowoli wciąż zabiegałem wyobraźnią w przeszłość dziejową. Jego prosta opowieść odsłoniła mi głębiej psychologję krzyżowców, ciągnących na oswobodzenie z rąk pogańskich grobu Chrystusa, aniżeli sążniste monografje, tak obfitujące w szczegóły, ale w których nieobecny jest właśnie duch rycerzy-pątników. Po krzyżowcach przesunęły się tłumy biczowników, później inne obrazy, i jeszcze inne. Tam, na stronicach „Pielgrzymki", oglądamy, stronica za stronicą, jak tworzy się jaźń zbiorowa, nie chwilowa, lecz długotrwałości tygodniowej, nie zwykła, ale rodząca się na podkładzie tradycji. Istnieje tam obyczaj staroczesny wypracowany w ciągu pokoleń, a który oddziaływa od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku po sobie, oddawna spoczywają w grobie, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyśpiesza poczęcie się każdego nowego organizmu gromadnego według wskazówek nagromadzonej w ciągu wieków empirji i prze-

ciwdziała swawoli indywidualnej i rozpasaniu, stworzyło cement pożycia społecznego i zasady stosunku wzajemnego. Zmarły panuje nad żywym i kieruje jego czynami, przyśpiesza uderzenia jego serca, ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik od chwili, kiedy stanął w szeregu, stąpa w ordynku — z nieżyjącymi.

* * *

Jak wśród gromady pątników, idących do Jasnej Góry z szczerą wiarą i nadzieją ukojenia swoich bólów, czuć się będzie wstręt obcy i odrębny, przesiąknięty powątpiewaniem, ale wrażliwy?

Lekceważenie, z jakiem spoglądamy na dewotki histeryczne, czyniące wystawę ze swej nabożności, byłoby czynem niewłaściwym w stosunku do tych prostaczków.

Można bowiem różnie oceniać roztaczające się przed nami stany duchowe, lecz niepodobna nie uszanować głęboko szczerej indywidualności, która jest tam zasadą.

Dla osoby zanadto wrażliwej, która nie rozporządza wyrobionym probierzem sądów o doniosłości tego lub innego objawu w życiu społecznem, istnieje w pielgrzymce niebezpieczeństwo: jaźń zbiorowa chwyta ją w swoje szpony, obezwładnia ekstazą i podsuwa ocenę, która będzie i być musi tylko pochwałą.

Wł. Reymont jest właśnie człowiekiem bardzo wrażliwym: połyka wrażenia, które, zewsząd napływając, pozostawiają swój osad w postaci obrazów.

Bezbronny wobec tych napastników, nie może być bezstronnym i przedmiotowym sędzią.

Upojony falowaniem uczucia zbiorowego, zachwycony prostotą stosunków pomiędzy ludźmi, jaka obowiązuje w gromadzie pątników, obezwładniony przez naiwną otwartość i brak konwencjonalizmów, otrzymane wrażenia kładzie na karb nie zawsze właściwej przyczyny, ale przypisuje wpływom dogmatu. Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby autor „Pielgrzymki“ bronił tej tezy, lecz artystyczne jego poczucie wplata taki na pół niewypowiedziany wniosek w opowiadanie i zabarwia je niechęcią dla umysłowości, która otrząsnęła z siebie filozofję, co ma na wszystko i z góry gotową odpo-

wiedź. W świecie obłudy konwencjonalnej, w którym wszyscy muszą jakoś nadsztukowywać swoją indywidualność, ażeby reklamowała siebie i wystawała ponad właściwą miarę, albo też ją poskramiać i zasłaniać, bo innych mogłaby razić, w świecie tym niema miejsca na podmuch gromadny, szczery, głęboki, zwłaszcza zaś tak długi, wobec jakiego znalazł się Wł. Reymont. Falująca przed nim psychika zbiorowa ogłuszyła go i zarazem uśpiła w swoim powiewie, jak matka dziecko na ręku, on zaś wzamian działanie narkotyku gromadnego przypisał innej przyczynie. Na tle gromady, zacierającej wszelką osobowość, pod szept jej mowy nieczłonkowanej, złożonej z jęków i spazmów, wyprowadza na stronicach swojej książki ojca Prokopa, który już w sposób członkowany, tj. powiązany logicznie, przy pomocy zdań uzasadnionych, usiłuje dać rodowód filozoficzny ekstazy i gorącego wrzenia serc. Wł. Reymont w tym interwiew'ie przedstawia sobą inteligencję sceptyczną, która jest „jako trzciny stawów, zeschłe śród lata i trzepoczące liściami żołtemi nocom, słońcu, wiośnie". Ojciec Prokop zaś, to upostaciowanie tego, co dokoła owych badyli drga życiem, kwitnie, śpiewa, cierpi, lecz żyje; słowem to mózg, który w artystycznem uniesieniu autor „Pielgrzymki" przyprawił pątniczej jaźni zbiorowej.

Inteligencja z tego zetknięcia wychodzi, skruchą dotknięta.

— Naprawdę, są to najmędrsi z mądrych, powiada o pątnikach rzecznik dogmatu. Wierzą! Nie pytają, nie wątpią, nie dociekają, tylko wierzą. To wy w nic nie wierzycie, ani w ludzi, ani w ducha, ani w materję. Oślepili się sami i krzyczą, że nic niema, bo oni nie widzą!...

— Ojcze, odrzeka niefortunny przedstawiciel inteligencji, czy ojciec myśli, że to bez śladu przychodzi? że jest rozkoszą nie widzieć i nie mieć myślą nawet się gdzie zaczepić?

Przez usta Wł. Reymonta przemawia przedewszystkiem wrażenie, wyryte w umyśle jego przez jaźń zbiorową. Ta „inteligencja" ponumerowana, pełna konwencjonalizmów, zepsuta przerafinowaniem, próżna i bez godziwego celu w życiu, tak szaro wygląda w porównaniu z uderzającą o duszę pielgrzyma falą gromadzkiego zachwytu i szczerego czynu! Pielgrzymka więc do Jasnej Góry jest nie tylko pouczającym przyczynkiem do poznania psychologji tworzącej się gromady, lecz prócz tego uwydatnia nam jeszcze sposób oddziaływania

prostoty zbiorowej na osobowość, przesyconą złożonością życia, sposób usypiania jaźni pojedyńczej, czującej swoją odpowiedzialność, w zbiorowej.

Zapał w gromadzie wzrasta w miarę zbliżania się do miejsca świętego i wydaje tony coraz trudniej uchwytne. Zbliżenie pomiędzy gromadą, mającą w sobie zarodki tej harmonji duchowej, a przybyszem, który od niej odróżnia się nawet strojem, idzie zwolna i zwłaszcza z początku napotyka trudności. Człowiek inteligentny podziwia namaszczenie na twarzy uczestników kompanji, oburzają go gapie, przypatrujący się tłumom pobożnym, ale lud stroni od niego, bo kultura pozbawiła go słów, któremi zdołałby się włamać do dusz gromady. Lody pryskają powoli. Pątnik-sceptyk zaczyna odurzać się narkotykiem zbiorowości, wśród tchnienia powabów wiosny. Analiza tego upicia jest nader pociągającą. Na noclegu w Bielsku organy brzmią cichą, uroczystą psalmodją, słowiki w sadach wylewają całe kaskady skrzących i niewysłowienie miękkich tonów, miedziane zorze i fioletowe odbłyski przeplotły przyrodę i kładą się na lud zebrany, który śpiewa w ciszy nadchodzącej nocy. „Nie, tylko mieć czucia tyle, aby objąć i wchłonąć to piękno wszystkiego, co się widzi i słyszy—woła Wł. Reymont. Dusza jakby się podnosiła ze znużenia i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowiczych, woni i barw rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoność i piła rozkosz zapomnienia w tem źródle piękna. Wszystkie twarze jaśnieją, a wszystkie serca zgodnie śpiewają. Czuję, jakbym się zlewał i łączył z tym tłumem obok klęczącym i płynął strumieniem jednym z nimi... Pieśni, i serdeczność dźwięków, i te odurzające wonie kwiatów, i tyle uczuć tętniących w tłumie, bije w moje serce i przenika je ekstazą. Nowy dreszcz, nowy i potężny! Klęczałbym na tym piasku, pod granatem niebios, przetykanym srebrem gwiazd, pośród tego tłumu rozśpiewanego. Niech mi tylko nucą coraz ciszej: „dobranoc, wonna lilijo, dobranoc!“, niech mi tylko kołyszą duszę te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś lilijowe, ta harmonja serc zjednoczonych u stóp Niepokalanej“.

Przytoczony ustęp odsłania drogę, przez którą dogmat wkracza do umysłów artystycznych i nieci tam nowe dążności i wypłasza stamtąd dawny sceptycyzm. W tym zwrocie

niema mowy o argumentach i dowodach rozumowanych, tylko działa ekstaza zbiorowa: „te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś lilijowe“, w sojuszu z odurzającemi woniami kwiatów, z granatem niebios i z innemi powabami, które przyroda właśnie roztoczyła podówczas. Takiem jest źródło nawrócenia się romantyków, którzy z sceptycyzmu protestanckiego i nawet z chłodnej analizy filozofji naukowej przerzucali się do dogmatu połączonego z czcią N. Panny Marji.

Orgje barw i dźwięków, odgłosy płaczów na podłożu ekstazy duchowej przelewają się przez mózg, pociągają do siebie, wabią prostotą, lub harmonją. W istocie zaś rzeczy swoim zgiełkiem przytłaczają myśl, która splata się w jedno z założeniami uczucia religijnego, ściślej artystycznego pod wezwaniem dogmatu.

Po jednej i drugiej takiej kąpieli w potoku ekstazy zbiorowej, po rozmowie z towarzyszami podróży i zaprzyjaźnieniu się z nimi, następuje zupełne zbratanie. A stan nerwowy ówczesny staje się pomostem dla zadziergania nowych uczuć.

„Dałem się porwać strumieniowi i płynę. Dokąd?... nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi. Wchodzę w jakieś ciepłe, mistyczne powinowactwo z temi duszami, zaczynam czuć tak samo, t. j. czuć rzeczy najprostsze. Przyjemność ruchu, oddychanie swobodne powietrzem czystem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, zwierzęcą rozkosz najedzenia się byle czem i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremonjałów, złoceń! I tak samo łzy zalewają mi twarz i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża w przemowach używają pewnych pobudliwych wyrażeń: Bóg, kara, cnota, piekło, Amen... i mówią to patetycznemi głosami. Zmęczenie i jednostajność odbieranych wrażeń tak maluje moją wrażliwość, że już wielu rzeczy nie mogę sobie uzmysłowić, o wielu zapominam i dla wielu obojętnieję. Tak się zmęczyłem, że jest mi dobrze z tem, że mnie nikt nie zna i nie pyta o to, że jestem niczem, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów, a nie żadnym panem N lub X, który nie może się pokazać bez maski jakiej takiej. Nie jestem nawet wolą, jestem tylko sumą mięśni, wprawionych

w ruch i zautomatyzowanych, z natężoną ustawicznie czuciowością. Jestem tylko tętnem jednem tego serca, co ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski nawet imienia".

Ekstaza jaźni gromadnej działa, odtwarza w pamięci przyjemność doznaną po każdem podnieceniu, a zatem po spazmie rozczulenia na głos organów i po orzeźwiającym chłodzie świątyni wśród skwarów podróży. Wł. Reymont, kiedy w Częstochowie umyty, przebrany i przeobuty, zobaczył rozchodzących się towarzyszów podróży, to ogarnął go żal, że wędrówka już się skończyła i że wszyscy rozlecą się jak liście jesienią, aby się już nie zejść nigdy. Tak, wędrówka się skończyła! Jej uczestnicy, nie znający siebie z imienia, mieli rozejść się na różne strony, ale w każdym z nich pozostał osad, który z wszystkich współpątników, rozpierzchłych po dalekim świecie, utworzy przecież całość duchową, mającą wspólny punkt ciężkości i wspólne wspomnienia — po przeżytej i doświadczonej jaźni zbiorowej. Utkwiły tam odgłosy, i drgania, i zarodki, z których w nieświadomej pracy mózgu powstają nowe niejasne dążności. Autor „Pielgrzymki" wstąpił do kompanji jako sceptyk. Pragnął przyjrzeć się duchowej stronie pielgrzymki, ale fala zbiorowości uderzyła o jego zmysł artystyczny. Opuścił zastępy pątnicze jako inna duchowość. Pozostał nadal sceptykiem, ale kiedy na widowni społecznej ukaże się jakaś kwestja, związana z odnośną sferą zagadnień i interesów, to zachowanie jego napewno będzie odmienne, niż wtedy, zanim puścił się na świętą wędrówkę. Gdybyśmy zamiast niego wzięli osobę dotkniętą przez bardzo żywą boleść, która, nurtując w głębi nie daje ani chwili wypoczynku, to może wróciłaby z Jasnej Góry zupełnie nawrócona, jak to stało się z Chateaubriandem po stracie matki. Dogmat jest w tem przekształceniu rzeczą najpodrzędniejszą; w pielgrzymce Hindusów nad święte wody Gangesu wkradłoby się to samo uczucie, jak równie podczas „rozmyślań" (tj. zapomnienia o wszystkiem w zachwycie) budyjskich. Nabożeństwo do Nirwany pomiędzy wytwornemi damami Paryża, spirytyzm kół inteligentnych tu i owdzie, wogóle powracająca wśród świata artystycznego fala mistycyzmu dogmatycznego, wszystkie te prądy są tej samej natury. Wszędzie nie dogmat przekonał umysły i nie on je nawrócił.

Nie o niego nawet tam chodzi. Analiza stosunku Wł. Reymonta do gromady pątników rzuca nam światło na rodowód tych zwrotów, przynajmniej na jeden ze strumyków nurtu mistycznego wśród dawnych sceptyków. Wypływa ów zwrot z artyzmu, z podziwu nad wewnętrznemi stanami wierzącego, z zarazy moralnej, doznanej w gromadzie. Ktoś zaczyna skłaniać się ku pewnym obrzędom i zwyczajom, właśnie prowadzony takiemi względami; kiedy zaś już skosztował tego rodzaju słodyczy duchowej, wtedy daje posłuch tezom filozofji, ukrytej pod ceremonjami. W tym zwrocie dużo zaważyły instynkty społeczne. Istota ludzka, porwana przez wir anarchji indywidualnej, zmuszona do wieszania na swojej twarzy obłudnego uśmiechu, doznaje orzeźwienia wśród drgań harmonji masowej, przyodzianej w formy niewyszukanego stosunku — szczerego a naiwnego. Może jeszcze coś zaważyło. Po długiej a denerwującej pracy tęsknimy za odpoczynkiem gdzieś daleko, w cichem, prostem ustroniu: pragniemy nosić zwykłego kroju suknie, jeść niewybredne potrawy, posłuchać melodji wiejskiej. Powracająca fala artystycznego mistycyzmu to równie prąd poniekąd tej samej przyrody. Umysły wrażliwe, ruchliwe, ale łatwo męczące się, protestują tym zwrotem przeciwko poglądom filozoficznym, zbyt nużącym mózgi i zanadto narażającym na wysiłek. Jak prostota dam francuskich w przeszłym wieku i sport prostego życia, w otoczeniu łąk, białych owieczek, szarych domków nie zmieniły faktycznie trybu życia pasterek salonowych, tak samo uwielbianie prostoty filozoficznej przez pokolenie artystów dzisiejszych przemknie się tylko po powierzchni nowoczesnego rozwoju duchowego. Ale oba prądy zrodziły się z tej samej potrzeby: chęci wycofania się ze złożonych, męczących więzi życia, a przejścia do prostszych.

* * *

Rzecz znamienna, ilekroć zdarzyło mi się odczytywać opisy świętej uroczystości, takiej, jakiej widzem był Wł. Reymont, zawsze otrzymywałem te same wrażenia.

Pątnicy islamscy w swojej pielgrzymce posiadają takie same, może jeszcze głębsze rysy, taką samą ufność i wiarę, która uzdrawia w niektórych chorobach.

Hindusi, spieszący pogrążyć swoje grzeszne i chore ciało w świętych wodach Gangesu, odznaczają się podobną fizjognomją duchową.

Święto Zuniów, którego obchodem lud ten usiłuje wymodlić zdrowie i urodzaje, rozbrzmiewa takąż rytmiką spazmu i jęku.

W tem wyładowaniu się uczucia, w tej ekstazie szlochającej, dogmat nie odgrywa najmniejszej roli, tj. objawy uczuciowości i fizjognomja duchowa są wszędzie jednakie, bez względu na założenia dogmatyczne, oraz treść artykułów wiary. Ktoś z tego gotów wywnioskować, iż uczucia te, tak rozpowszechnione, stanowią nieodłączną przynależność wszystkich epok rozwoju dziejowego. Nie, taki wniosek jest stanowczo nieuzasadniony! Owe spazmy i jęki, cała ta rytmika, wyróżniająca religijność ludu wiejskiego, ukazuje się dopiero na pewnym szczeblu dziejowym i trwać będzie, póki utrzymają się w całości odpowiednie stosunki.

Śród pobudek, wydobywających z piersi ludzkiej ów jęk, winniśmy na pierwszem miejscu postawić poczucie swojej niemocy przez człowieka. Zola w najnowszej swej powieści roztacza obraz pociągów, zapełnionych szczelnie chorymi i kalekami a pędzących do Lourdes. Nawet sceptyk, którego lekarze opuścili, choć wątpi, chwyta przecież za ostatni promyk nadziei i udaje się do miejsca świętego. Przyjrzyjmy się tym obliczom, natłoczonym w wagonie i noszącym na sobie znamię cierpienia, przysłuchajmy się rozmowom i życzeniom, tonowi melodji i treści śpiewów, a zrozumiemy, że religijność tych pątników to nieustający okrzyk rozpaczy w obliczu nieubłaganej zgrozy śmierci—tam, w obawie skonu i jednocześnie w nadziei wyzdrowienia, zamarły inne głosy, ucichły wszelkie powątpiewania. Kompanja, udająca się do Jasnej Góry, przedstawia ten sam obraz: pątnicy ciągną szukać leków i ukojenia. Jedzie staruszka, która od lat dwudziestu nie chodzi — samotna, bez dzieci i wnuków, bo je zabrał Pan Bóg, i mór, i człowiek. Pragnie wyprosić lekką śmierć dla siebie. Tęga i energiczna baba wiezie dotkniętego suchotami syna: powędrował z innymi do Brazylji, wrócił naturalnie bez pieniędzy, ale za to z zarodkiem nieubłaganej choroby. Jadą wozy za wozami, na których widać to ślepych i chorych, to sparaliżowanych, to dotkniętych niemocą, na którą

niema u ludzi lekarstwa. Przesuwa się karawana dusz i ciał okaleczonych, okropny teatr życia, jak sen pełen widziadeł dręczących. „Widzę i czuję — pisze Wł. Reymont — przez te grube powłoki, przez wychudzone maski twarzy, mam prawie zupełną świadomość stanu ich dusz i ich cierpień. Widzę, że nie na spacer idę, wiem, po co idę. I moje „ja“ sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórce życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tylu cierpień, tylu trosk, tylu boleści... Widzę, i czuję, że tu, w tym tłumie, niema prawie serca, duszy, głowy, któraby nie niosła brzemienia niedoli, coby nie szła z ufnością i nie wierzyła, że skoro położy łzy swoje przed Panienką Najświętszą, skoro jej wypowie ból swój, skoro otworzy serce zbolałe i zmiłowane—wszystko to otrzyma. I coby robiły wszystkie te dusze, bóle, skargi, cierpienia, nędze wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast, ogarnął mrok zwątpienia i nie wiedziały, dokąd iść, i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością“.

Niemoc więc wszelka, duchowa i fizyczna, ciągnie do miejsca świętego, ufna, że na dolegliwości i zmartwienia znajdzie tam ukojenie. Gdybyśmy przyjrzeli się fizjognomji duchowej każdej z tych gromad pątniczych i zbadali naturę spazmu, dobywającego się z piersi pielgrzymów, stosownie do pochodzenia tego, który go wydał, naówczas ujrzelibyśmy, że rytmika ekstazy i jej barwa są kategorjami natury społecznej, t. j. zmieniającemi się w zależności od trybu życia pątnika: u włościanina jest inną, aniżeli u mieszczucha, głębszą, bo wstrząsającą całem jestestwem. Religijność ludu wiejskiego tem samem jest zgoła odrębną. I właśnie niemoc owa tworzy w niej akord panujący — bardziej niż u jakiejkolwiek innej warstwy, akord pokrewny jękowi, rozbrzmiewającemu w hymnie: „dnia onego, dnia strasznego“.

Inaczej być nie może, bo tak każe włościaninowi postępować cały tryb jego życia.

Wszystkie warunki jego bytu składają się na taki spazm bezsilności.

Miasto sprzyja sceptycyzmowi: jego mieszkaniec nie troszczy się o kaprysy przyrody, nie trwoży się, kiedy na dalekim widnokręgu wisi czarna chmura, zwiastunka może

gradu. Życie jego płynie z dnia na dzień, zabezpieczone przeciwko niespodziewanym kataklizmom, tak samo prawidłowo, jak odchodzą i przybywają pociągi na dworzec kolejowy. Na każdym kroku, tam w mieście, przyrodę obezwładniono, spętano w jej dzikich porywach i uzależniono od woli człowieka. Pod wpływem takich stosunków i wogóle całej atmosfery miejskiej istota ludzka zapomina o wszystkiem, co nie jest natychmiastowem użyciem lub z niem nie wiąże się pośrednio lub bezpośrednio. Sceptycyzm, nieświadomie wyrosły, nawet nie sformułowany jasno, ogarnia całe jego jestestwo, dążnościom życia, zabierającym głos z godziny na godzinę, przeciwdziała jedynie idea, pozostała z przeszłości, która każe wierzyć w dogmat i spełniać praktyki. Tylko wtedy, kiedy nadejdzie nieszczęście, na które niema lekarstwa, kiedy nieuleczalna choroba powali człowieka, wtedy ten i ów otrząsa się z niewiary.

Zupełnie inaczej dzieje się w duszy włościanina — mówię naturalnie o wieśniaku, który gospodaruje według wzorów praojcowskich i w starodawnem otoczeniu.

Wieśniak żyje w nieustającej trwodze, postawiony bezpośrednio przed obliczem nieujarzmionych sił kapryśnicy-przyrody. W jego trybie życia, co więcej w całem otoczeniu niema takich pierwiastków, któreby go natchnęły śmiałością i dały tę niezachwianą pewność siebie, jaką odznacza się mieszkaniec miasta. Posucha może zniszczyć wszystkie nadzieje zbiorów, burza od jednego razu stłucze plony, piorun z dymem puści cały dobytek, z takim mozołem nagromadzony, długotrwałe roztopy zaszkodzą zasiewom. Albo przyjdzie pomór na bydło i gospodarz będzie do szczętu zubożony. I wszystkie te epidemje, te kaprysy przyrody swawolą w życiu wieśniaka bezkarnie, jak śnieżna zamieć na pustym stepie. Spogląda on, tj. włościanin, na to wszystko bezwładny, w poczuciu swojej niemocy: kiedy pożar w swoich palących uściskach obejmie wioskę i będzie ją w zgliszcza obracał, niema tam na wsi żadnej zorganizowanej pomocy. Żadne środki zapobiegawcze nie będą zwalczały zarazy, gdy padnie na ludzi. Przyroda wciąż zagraża jakimś wybrykiem, przeciwko któremu bronić się nawet na myśl nie przyjdzie wieśniakowi. Poczucie tej niemocy nigdy nie opuszcza go, obawa ciągle tkwi w jego duszy. Dotknięty powiewem sceptycyzmu

mieszkaniec wielkiego miasta wydobywa z siebie jęk bezsilności dopiero w obliczu nadciągającej śmierci. Przeciwnie, spazm niemocy, w stanie ukrytym, istnieje bezustanku w duszy wieśniaczej. Prowadząc studja etnograficzne, bywam niekiedy wprost zdumiony niezmierną siłą tego szlochu, jaki wydobywa się podczas ekstazy religijnej z piersi rolnika, tą rozpaczą i niemocą, które rozbrzmiewają w psalmach barbarzyńców. Są chwile, kiedy jako robactwo czołgają się, myśląc o popełnionym grzechu i odpowiedzialności, która spadnie w postaci huraganów lub posuchy, głodów i moru. Ażeby pola wydały plon, oczyszczają siebie pokutą i spowiadają się, u niektórych plemion rok rocznie sprawia pokutę stały odkupiciel za grzechy, „boży człowiek“. Idzie na dni kilkanaście na pustynię pocić się w modlitwie, pościć i pokutować, w plemieniu gaszą wszystkie ognie na kominach, nie jedzą nic gorącego. Płacz, szlochy i „zgrzytanie zębów“ unoszą się nad krajem. Aż w końcu pokutnik plemienny wraca wycieńczony: straszne dni skruchy i sądu ustają. Lud oczekuje wtedy żniw, pracuje w pocie czoła, usiłuje swojem postępowaniem nie ściągnąć na siebie gniewu nieba. Dopiero kiedy plony już spoczęły w śpichrzach i człowiek aż do przyszłych zbiorów jest wolny od troski o urodzaj, wtedy nastają dnie szalone — „grzechu“, „rozpusty“, po których przychodzi w właściwej porze opamiętanie. Taką jest psychika religijna poganina-barbarzyńcy: niemoc wobec sił przyrody tworzy w niej akord głośny. Taką pozostaje u wszystkich rolników, pracujących według wzorów staroczesnych i w pradziadowskiej zależności od kaprysów przyrody. Przy każdej więc okazji, kiedy bezwiedna robota mózgu wysunie na jaw i uprzytomni całą niemoc człowieka, dusza włościańska jęczeć będzie bez końca, bo jęczeć musi.

Ale w religijności ludu wiejskiego istnieje jeszcze inny akord — ekstazy gromadnej, posiadającej inne źródło, aniżeli w miastach, i występującej zwłaszcza w letniej porze roku.

Uprzytomnijmy sobie w wyobraźni zmudną pracę żniwiarzy: schylony kark od wschodu do zachodu słońca, ciężki a jednostajny wysiłek mięśni, skwar panujący w powietrzu. Człowiek rzuciłby się jak kłoda na ziemię, leżałby tam bezwładny, napawając się rozkoszą odpoczynku mięśni. Nadchodzi niedziela i tłumy zebrały się w kościołku wiejskim.

Śpiewy chóralne i dźwięki organu i rozchodzący się od ołtarza dym kadzideł, i odpoczynek mięśni są swego rodzaju podnietą dla ekstazy duchowej. „Przyjemność ruchu, — spowiada się p. Wł. Reymont — oddychanie swobodne czystem powietrzem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremonjałów, złoceń, i tak samo łzy zalewają mi oczy i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyni, gdy księża używają w przemowach pewnych pobudliwych wyrażeń: kara... cnota... piekło... Amen, i mówią to patetycznemi głosami!“ Dodajmy do tego jeszcze odpoczynek mięśni, a otrzymamy właśnie zrąb fizjologiczny ekstazy wieśniaczej. Serca rozczulają się nie pod wpływem działania dogmatu. Trzeba jedynie wyrazów pobudliwych: cnota... kara... piekło. Nabożeństwo przestaje być rozmyślaniem o artykułach wiary i wątpię nawet, czy jest jakiemkolwiek rozmyślaniem. Raczej jest to stan ukołysania i zapomnienia, tak samo działający, jak śpiew matki na niemowlę, kołysane do snu.

Religijność więc ludu wiejskiego ma właściwą sobie fizjognomję, która wypływa z warunków bytu.

Po przez duszę ludzką przemawiają tam pierwiastki związane z trybem pracy, otoczeniem, warunkami utrzymania. Ale ogół tych stosunków, kładących takie piętno na ekstazie religijnej ludu wiejskiego, zmienia się z biegiem czasu nawet w ustroniu najrutyniczniejszem. Obecna doba jest właśnie chwilą przekształceń bardzo poważnych w warunkach bytu ludności wiejskiej: niszczy dawną bezsilność wobec kaprysów przyrody, którą zaprzęga w jarzmo uległości względem woli ludzkiej. Już jedno zaprowadzenie dróg, tem bardziej zaś kolei żelaznych, umożliwiając szybki a masowy dowóz żywności do okolic, zagrożonych przez nieurodzaj, musiało wywrzeć wpływy bardzo doniosłe. Stanowczo wątpię, czy dzisiejszy włościanin wobec tych potworów żelaznych, przerzynających znaczne przestrzenie, zdołałby wydobyć z siebie ów hymn ponury, jaki w dies irae, dies illa przekazały nam Wieki Średnie. I każdy postęp techniczny, każde ulepszenie społeczne, zabezpieczające wieśniaka przeciwko klęsce pomoru i gradu, to potok odrywający cząstkę po

cząstce z owych pokładów niemocy. Naturalnie, póki istnieje osada włościańska, już przez sam swój ustrój gospodarczy skazana na rutynę, dopóty pierwiastek taki będzie tam istniał, skutecznie opierając się wszystkim oddziaływaniom ze strony ideologów sceptycyzmu, choć bądź co bądź zmniejszać się będzie, bo zmniejszać się musi. I z drugiej strony, technika, dając kosiarkę zamiast kosy, żniwiarkę zamiast sierpa, usuwa dawne pierwiastki fizjologiczne ekstazy i dąży do nadania jej innej postaci. Zrozumiałem to, znalazłszy się w stepie pszennym nad rz. Czerwoną. Podczas żniw wieśniak tamtejszy nie schyla karku, nie napina mięśni swoich. Siedząc na koźle żniwiarki, pozostaje bezczynny, gdy chodzi o mięśnie, ale wzrok jego, zwłaszcza słuch dużo mają do roboty. Cały bowiem mechanizm żniwiarki znajduje się w tyle za woźnicą i każde zepsucie jego daje znać o sobie w ten sposób, iż targa prawidłowość zwykłej gamy dźwięków. Ucho jego wciąż chwyta uważnie tę melodję, wydobywającą się z narzędzia. Po dniu pracy schodzi ze swego fotelu z przytępionym słuchem i zmordowanym wzrokiem, ale z mięśniami, domagającemi się ćwiczenia po wielogodzinnej bezczynności. Kiedy nadejdzie dzień świąteczny, nie rzuci się jak kłoda w cieniu drzew na odpoczynek, ani, wolny od znużenia mięśniowego, nie ulegnie tak łatwo ekstazie wśród chłodów świątyni, śpiewów chóralnych, wtóru organów. Jego zachwyt religijny będzie opierał się na innych założeniach fizjologicznych i z konieczości musi inaczej wyglądać. Podczas wczasów będzie szukał sportu dla mięśni i pierwiastki takie czynne, ruchliwe umysłowo, wniesie do sfery myśli religijnej.

VII.

TRADYCJA ZORGANIZOWANA.

(1895).

W każdej chwili istnieją w społeczeństwie liczne rozczyny idej, pożądań i emocyj, niekiedy tak słabe i tak rozstrzelone, że nawet nie podejrzewamy ich istnienia.

Tworzą podwalinę dla powstania jaźni zbiorowej.

Skutkiem podniety z takiego rozczynu powstaje ta istota

zbiorowa, odznaczająca się mocną wyrazistością rysów duchowych. Osadza się jakby kryształ utajonych stanów wewnętrznych. Żywot jej bywa krótki: dokonawszy swego zadania, rozpada się na pojedyńcze osoby, namiętność zaś znika — pozornie bez śladu. Jest jako bałwan, który spiętrzył się na powierzchni wód, wzdęty przez podmuch wiatru, ale który niebawem opada i zlewa się ze swoją macierzą. Rozważaliśmy właśnie taką jaźń zbiorową.

Ale nie zawsze tak bywa.

Niekiedy bowiem ów être spinale et gangrinaire, raz jeden powstawszy z łona społecznego, powtarza się według osiągniętego pierwotnie wzoru, to znowu bywa wywoływany umyślnie i nawet ćwiczony w sposób systematyczny.

To jaźń zbiorowa już nie prosta, ale organizowana.

Postacie takiej jaźni zbiorowej odradzającej się są bardzo różnorodne. Ale próby ujęcia ich w schematy klasyfikacyjne byłyby pracą daremną. Dlatego uczynimy najlepiej, rozpatrując parę wypadków konkretnych.

Posiadamy bardzo szczupłe wiadomości o psychice męczenników, którzy podczas prześladowań dali ofiarę ze swego życia za ideę chrześcijańską. Ale z tego, co wiemy, możemy wyrobić sobie dość jasne wyobrażenie o zachwycie gromadnym, który obejmował wiernych w chwilach takiego ciężkiego doświadczenia i czynił z rzeszy głów ludzkich jednolitą gromadę, zatopioną w modlitwie, pogrążoną w skupieniu ducha i gotową do poniesienia śmierci. Rzuceni do więzienia, przygotowywali się do przyjęcia wieńca męczeńskiego, zapominając w ekstazie zbiorowej o swojem osobistem „ja". „Głosy męskie, kobiece i dziecięce łączyły się w jeden zgodny chór — tak artysta odtwarza obraz oczekiwania. Całe więzienie zaczęło śpiewać jak harfa. Lecz nie były to głosy żałości, ni rozpaczy. Owszem, brzmiała w nich radość i triumf". Zachwyt nie opuszczał skazańców i w obliczu śmierci. Byli atomami jaźni zbiorowej, która podniosła odporność każdego z nich i zahartowała na ból i męczeństwo. Jesteśmy przekonani, że gdyby tam działano nie na tłumy, ale na osoby poszczególne, to męstwo i wytrwałość nie byłyby tak wielkie. W końcu stało się zadość swawoli władców Rzymu: męczennicy zginęli.

Ale ci władcy zgładzili ze świata jedynie ciało, bo duch ofiar żył dalej. Z głęboką czcią zbierano krew rozlaną i poszarpane członki, z ust do ust podawano szczegóły o skonie męczenników, a ich postępowanie było nauką, jak trzeba zachowywać się w więzieniu. Aureola świętości otaczała pamięć zamordowanych, tem podnioślejsza, im więcej czasu upłynęło. Podczas pierwszych prześladowań wierni ginęli, bo nie chcieli być odstępcami od wiary, przy drugiem i dziesiątem dołączyły się entuzjazm i chęć wyrycia swego nazwiska w pamięci potomków. Przedewszystkiem zaś zachwyt męczenników, który po omacku odkrył był najodpowiedniejsze sposoby podniesienia ducha, dostarczył już gotowych wzorów dla ich następców. Nowe ofiary, stanąwszy w cyrku, były nie samotne: w ich wyobraźni wynurzały się postacie poprzedników, szeptały słowa zachęty, podawały przykład zachowywania się, radziły hartować moc ducha w chóralnym śpiewie. Słowem, nowe rzesze prześladowanych miały za sobą doświadczenie wieków, które nakazywało w emocji gromadnej szukać odporności na męki.

Kompanja pątników do miejsca świętego daje nam obraz, odznaczający się większym rozwojem szczegółów niż daleka przeszłość z dziejów męczeństwa i dorzuci parę rysów uzupełniających do powyżej nakreślonego obrazu.

Odtworzyliśmy w innym przyczynku to oddziaływanie tradycji na kompanję świętą, idącą do Jasnej Góry, i nie będziemy powtarzali po raz drugi tego, co tam rzekliśmy. Poprzestaniemy jedynie na zaznaczeniu, że tradycja, zorganizowana i zaklęta w zwrotach symbolicznych, upostaciowana w dziełach z kamienia lub drzewa i niekiedy nie posiadająca ciała materjalnego, czyha po drodze na pątników, luźne gromadki zbliża, wyklina rozdźwięki i stwarza jaźń zbiorową. Staroczesny obyczaj, dorobek wielu pokoleń, oddziaływa tam od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku, spoczęli oddawna w ziemi, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyśpiesza poród nowych organizmów gromadnych, według wskazówek ubiegłej empirji przeciwdziała swawoli indywidualnej, stwarza więc więź życia zbiorowego i normy stosunku wzajemnego. Zmarły panuje nad żywym, rządzi uderzeniami jego serca, rodzi ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik, od chwili, gdy stanął w kompanji, stąpa

faktycznie w ordynku — z nieżyjącymi. Jaźń zbiorowa ma utorowany rozwój, jest przedłużeniem poprzedniczek swoich i tem samem osiąga skutek rychlej, aniżeliby to uczyniła, gdyby każda kompanja musiała po omacku sama oddzielnie nabywać doświadczenia.

Zwróćmy się w końcu do jaźni zbiorowej, posiadającej jeszcze prawidłowszy żywot, do pułku.

Żołnierz w szeregu a żołnierz zosobna są poniekąd istotami odmiennemi. Jeden z generałów opowiada, że ilekroć wypadło mu egzaminować młodych szeregowców oddzielnie, zawsze bywał niezadowolony z ich musztry, oraz nie mógł nadziwić się ich nierozgarnięciu i niezgrabności. Natomiast otrzymywał zgoła inne wrażenie, gdy ci sami żołnierze maszerowali w szeregu: odznaczali się wtedy inteligencją i żwawością, czego niepodobna było nawet przypuszczać na podstawie egzaminu, dokonywanego zosobna. Skutkiem systematycznych ćwiczeń pułk jest jaźnią zbiorową, tworzącą się pod wpływem podniety, ile razy szeregowcy są w zastępie. Niema tak błahego szczegółu, któryby nie oddziaływał na jej spójność i nie wiązał żołnierzy nicią wzruszenia emocjonalnego, nie utrwalał bytu istoty gromadnej. Wspólne ćwiczenia przyuczają szeregowców do pewności siebie, gdy są pospołu wpływy te ustają, kiedy żołnierz będzie szedł sam jeden; brak mu wtedy atmosfery zbiorowej, w której przyzwyczaił się czynić obroty i słuchać nakazu. Śpiewy chóralne podczas marszu, którym towarzyszy rażący odgłos bębnów i piszczałek, bądź co bądź także stwarzają jednaką u wszystkich emocję, co jest w gruncie rzeczy zakrojem na jaźń zbiorową. Pod wpływem takich ćwiczeń powstaje duch gromadny, który czeka tylko podniety, ażeby uwydatnił swoje istnienie. Cała armja Napoleona I przedstawiała taką jedność: była mężniejszą, szlachetniejszą i nawet uczciwszą, aniżeli przeciętnie okazałby się każdy szeregowiec. Wawrzyny, zdobyte przez tego niepospolitego strategika na polach bitew, narkotyk sławy i jeszcze bardziej odznaczeń, któremi tak hojnie szafował mały kapral, oraz wiele innych względów przyczyniły się tam do rozniecenia najodpowiedniejszych stanów ducha i stały się cementem moralnym: z tysięcy głów uczyniły jedną osobę! Pułki były jaźniami imiennemi, wyodrębnionemi, posiadającemi każdy własną tradycję i własny punkt honoru. Żołnierz ginął

bezimienny w gromadzie, żył jej życiem. Weterani opuszczali szeregi, legli od kuli, niewyćwiczeni nowobrańcy zastępowali ich miejsce, ale „honor“ pułku istniał i przeistaczał duszę rekruta. Stawał się patrjotą swojego pułku, w którym tradycja utrzymywała brawurę: ponieważ poprzednicy, niegdyś upojeni zgiełkiem bitwy, rzucili o ziemię ładunki, zatknęli bagnety i taką białą bronią uderzyli na wroga, przeto nowe pokolenie także nie walczyło inaczej. Być np. czwartakiem, znaczyło w każdej potyczce iść do szturmu na ostrze. Pułk ten, użyty nie tym trybem, działał opieszale i nawet ulegał tchórzostwu. Sztandar bywał świętością, szeregowcy prędzejby zginęli wszyscy, niż pozwoliliby go wydrzeć sobie. Honor zbiorowy wżerał się w krew i ciało żołnierza. Wodzowie z doświadczenia pojęli to znaczenie jaźni pułkowej, podtrzymywanej przez tradycję i odradzającej się skutkiem ciągłości kadrów organizacyjnych. Pułk nie był zwykłą gromadą, złożoną z tylu a z tylu szeregowców. Nie! Oni stanowią tylko widomą część jego, bo istnieją tam jeszcze niewidzialne oddziały—tych, którzy swojemi czynami stworzyli honor istoty zbiorowej. Żołnierz, z tradycji idący na bagnety, stąpał nie sam jeden w ordynku bojowym. Każdemu towarzyszyły w jego wyobraźni zastępy poprzedników: swoją obecnością potęgowały siłę moralną, która zrodziła się w istniejącej gromadzie pod wpływem chwilowej podniety.

A zatem wszędzie, w przykładach przytoczonych, mamy do czynienia z tym samym faktem znamiennym. Mianowicie powstająca na podłożu tradycji jaźń zbiorowa jest tylko przedłużeniem tych, które istniały niegdyś. Nie tylko dawne wzory przyśpieszają poród nowej istoty zbiorowej, ale nadto dawne zastępy jakby łączą się w jednię z późniejszemi i stanowią niewidzialną, acz działającą część powstałej jaźni. Na najniższym szczeblu zorganizowanej tradycji, taka łączność bywa słabą, niekiedy może zaledwie dostrzeganą; na wyższych, np. w pułku, daje początek systematycznej organizacji, mającej na celu ćwiczenie zbiorowości, która powstaje tam, przy pomocy kadrów. Jaźń gromadna przechodzi wtedy w instytucję, żywiołowa empirja praktyk i środków—w usystematyzowany rytuał.

Dzieje każdego Kościoła przewybornie uwydatniają to przejście.

Kościół powstał wśród dreszczów emocjonalności zbiorowej, jego zaś rytuał wytworzył się z samorzutnej empirji, do jakiej doszła jaźń gromadna podczas swoich zachwytów. Nie mamy faktów, dokładnie odtwarzających nam ducha owych „rzeczpospolitych anielskich", które, rozproszone po całem Imperjum rzymskiem, walczyły modlitwą przeciw prześladowcom, doskonaliły się zbiorowo w cnotach i szukały siły moralnej w ekstazie zbiorowej. Psychologja tworzących się sekt, rytuał nabożeństwa, muzyka kościelna, wzięte pospołu, pozwalają nam przecież zrozumieć nieco istotę jaźni zbiorowych, które organizowały się w mrokach katakumb, nieraz pod świeżem wrażeniem męczeńskiej śmierci współwyznawców. Muzyka, towarzysząca mszy i nieszporom, oddaje nam nieco ducha takiej gromady modlącej się. „Anielska rzeczpospolita" zgromadziła się na ćwiczenia nabożne: nadeszli upadający na duchu, przybyli rozpaczający, ażeby znaleźć pokrzepienie. Zbiorowo powierzają niebu troski swoje i zmartwienia, przygotowują się do wieńca męczeńskiego. Dreszcz mistyczny przebiega po ciele zgromadzonych. Podnosi się ktoś, z gardła dobywają się spazmatyczne okrzyki, ów wylew silnego wzruszenia. Odpowiada mu drugi, trzeci i dziesiąty z pośród towarzyszy... Litanja dźwięków i emocyj, żywiołowo powstająca, rozlega się głucho pod sklepieniem podziemi i milknie w dali, w mrokach. Kadzidła, będące innym aktem dziękczynienia, dymią się w rękach uczestników. Jaźń zbiorowa staje się coraz zwartszą. Nastaje w końcu chwila uroczysta: spożywanie skromnej uczty i jednocześnie spełnianie najświętszego symbolu wiary z przygotowywaniem się na śmierć męczeńską. Uniesienie wzrasta: w uniesieniu najwyższem ciała rozkładają się na ziemi, okrzyki przekształcają się w hymn pełen emocji, dreszcz nerwowy wstrząsa uczestnikami. Poczem gmina rozchodzi się, orzeźwiona wspólną modlitwą. Taki duch panował we wszystkich rzeczpospolitych anielskich. Z nich, na podstawie empirji, zdobywanej na każdem zgromadzeniu i pod wpływem uczucia tam dojrzewającego, tworzył się Kościół wojujący, jaźń gromadna zorganizowana. A nad tym Kościołem jako jego nadbudowa, w wyobraźni wiernych istniał jeszcze Kościół inny, triumfujący — tych, którzy otrzymali już nagrody za swoje czyny doczesne.

Minęły wieki.

Zamiast osoby rozegzaltowanej, która w natchnieniu wołała do nieba, zjawił się kapłan, stojący przy ołtarzu; zamiast rzeszy wiernych, która mu zbiorowo odpowiadała modlitwą dreszczu nerwowego, dopuszczono tylko kilka osób do służenia przy mszy, muzyka zastąpiła naturalną emocję dusz, żywiołowe wylanie uczucia zostało ujęte w karby mszy, wierni modlą się tylko oczami i ustami... Powstał rytuał, który rozszerzył się na wszystkie miejsca.

Jaźń zbiorowa ustąpiła miejsca instytucji zorganizowanej.

W epoce upadającego Rzymu religja odegrała rolę czynnika, organizującego instytucję nową: Kościół. W innym okresie dziejów działają inne czynniki: we Francji przy końcu ubiegłego stulecia podjęły to samo zadanie kluby i partje. Powstał wtedy kościół polityczny — krótkotrwały, innej taktyce hołdujący, ale ze stanowiska psychologicznego używający pokrewnych dźwigni dla swego rozwoju.

* * *

Wł. Reymont, zobaczywszy rozchodzących się towarzyszów, z którymi odbywał był pielgrzymkę do świętego miejsca, uczuł żal, że wszyscy rozlecą się jako liście jesienią ażeby nie spotkać się nigdy.

Nie!

W każdym pątniku pozostało coś ze wspólnie doznanych zachwytów: pielgrzymi się rozpierzchną po dalekim świecie, ale będą tworzyli jedność duchową, posiadającą wspólny punkt ciążenia i wspólne doświadczenie — przeżytą jaźń zbiorową.

Utkwiły tam, w duchowem jestestwie uczestników, różne odgłosy, stany i zarodki, z których w nieświadomej pracy mózgu zrodzą się swego czasu nowe, choć może bardzo niejasne dążności. Sceptyk nawet, który uczestniczył w kompanji i ponosił na równi z innymi trudy drogi, był świadkiem lub osobiście doświadczał błogości, odczuwanej po całodziennej pielgrzymce, podczas modłów zbiorowych pod krzyżem zdołał się zbliska przyjrzeć szczeremu wylewowi uczuć i przeżył emocje zbiorowego uniesienia — nawet on opuści zastępy pątnicze, jako inna duchowość. Jaźń zbiorowa, która powstała podczas pielgrzymki i w ciągu wielu dni utrzymy-

wała nerwy w napięciu, pozostawia po sobie w społeczeństwie rozczyn — szeregowców odpowiedniego uczucia, którzy, pogrążeni w kłopotach życia codziennego, ani przeczuwają, że w potrzebie coś odezwie się wewnątrz nich i powiąże ich w zastępy.

Istota zbiorowa występuje tu z nowem obliczem: już nie jako całość duchowa, która posiada swój odrębny żywot i właściwości, odróżniające ją od pojedyńczych uczestników gromady, ale jako jądro stanów uczuciowych, które rozpłyną się po społeczeństwie; jako rozsadnik idej podsuniętych podczas egzaltacji zbiorowej, słowem, jako wpływowe i bardzo ważne narzędzie oddziaływania. Praktycy, gdy chodzi im o dostarczenie powstającej instytucji cementu moralnego, używają instynktownie lub świadomie takich sposobów. Jezuici, mistrze rozkazywania duszom ludzkim, założyli w Paragwaju państwo, jakiego historja nie znała jeszcze. Byli pasterzami trzody wiernych w dosłownem znaczeniu tego wyrazu: Indjanie nie posiadali własności, wszystko bowiem należało do Kościoła, ustrój zaś społeczny był olbrzymią oborą pospólną, w której każde stadło małżeńskie miało własny żłób, napełniany ze śpichlerzy ogólnych. Jednak obywatele państwa paragwajskiego byli zadowoleni i szczęśliwi, przedewszystkiem zaś przywiązali się mocno do takiej więzi. Bo pasterze połączyli trzodę cementem emocjonalności zbiorowej. Procesje, tańce podczas obrzędów, śpiewy chóralne treści religijnej i muzyka, gdy udawano się gromadnie do robót polnych i wracano do domu — takie środki stosowano tam systematycznie, ażeby spleść z sobą duchy węzłem sympatji wzajemnej i jednocześnie zjednoczyć je we wspólnej idei religijnej. Człowiek żył tam pijaną ekstazą zbiorową, jako cząstka prawidłowo ćwiczonej gromady! Tak samo na zachodzie Europy postępują stronnictwa polityczne: obchody, majówki wielotysięczne, marsze przy świetle pochodni i odgłosie podniecającej melodji są tam źródłami patrjotyzmu partyjnego. Uczestnik ekstazy zbiorowej, która trwała może zaledwie kwadrans czasu, powróci do zajęć codziennych jako inny człowiek, bo w duszy utkwiło jakieś zdźbło, nadające jego fizjognomji wewnętrznej inny wyraz. Tego rodzaju emocja jest najpotężniejszą dźwignią krzewienia się poglądów wszelkiego rodzaju: religijnych, rasowych, politycznych.

Idea działa na umysły, uczucie zaś zagrzewa serca. Zdarzyło mi się być niegdyś na zebraniu, urządzonem przez metodystów. W jednym z teatrów Chicago znaleźli się ludzie różnego stanu, sproszeni z ulicy, po większej części zmęczeni pracą całodzienną. Posadzono ich na miękkich krzesłach, oświetlono rzęsiście sale i nie zaniedbano żadnego fortelu, który mógł się był przyczynić do wywołania stanu błogości wewnętrznej. Rozpoczęto tam „nawracanie“ od chóralnego śpiewu hymnów, przyczem wybrano melodje śmiałe, wojownicze, jakby stworzone do marszu. Po kwadransie jednym i drugim, gdy ekstaza uczyniła już swoje, bo zespoliła wszystkich w jedność i uśpiła czujność indywidualną, kaznodzieja przemówił do zgromadzonych: „Śpiewajmy po pracy, bo śpiew wzmacnia ducha, uczy nas kochać bliźniego, każe zapomnieć o złych myślach. Śpiewajmy więc dużo a razem!“ Potem potrącił inne struny — moralne, jeszcze później z lekka dotknął strony dogmatycznej, a właściwie prześlizgnął się nad nią. Dogmat przez serce trafiał do umysłu, przybrany w zachwyt emocjonalny. W oczach ukazały się łzy, ten i ów podnosił się z miejsca, poruszał rękoma w powietrzu...

H. Saint-Simon w dziejach rozwoju ludzkości odróżnił dwie epoki: krytyczną i organiczną, z których jedna zmienia wciąż drugą w następstwie wieków.

Podczas okresu organicznego, w jestestwie człowieka panuje doskonała harmonja: wszystkie jego potrzeby, zarówno moralne jak fizyczne, są zaspokojone, zasady etyczne pozostają w zgodzie z warunkami bytu. Inaczej się dzieje, gdy nastanie epoka krytyczna — rozkładu i rozprzężenia. W duszy ludzkiej powstaje istotne piekło, będące odźwierciadleniem ogólnie panującego rozdźwięku. Uczucia natury altruistycznej wchodzą w zatarg z samolubnym głosem potrzeb fizycznych, dopominających się zaspokojenia, można zaś uczynić mu zadość jedynie, krzywdząc tamte instynkty. O życiu harmonijnem niepodobna marzyć. Pod wpływem takiego rozdźwięku, istota ludzka zaczyna poszukiwać nowych zasad harmonji wewnętrznej lub jeżeli mniema, że zdoła przemóc przyrodę społeczną, usiłuje zmienić bieg stosunków zewnętrznych. (Nauka nie poddała jeszcze rozbiorowi psychologji, która jest właściwa każdej z tych epok rozwoju dziejowego, acz przedmiot jest bardzo wdzięczny).

Podczas jednej i drugiej inne temperamenty wypływają na powierzchnię życia społecznego i pozostawiają po sobie inny spadek. W okresie wypoczynku organicznego umysłowość drzemie, ludzie ospale ćwiczą swoje zdolności, rozbitcy są nieliczni. Natomiast w epoce krytycznej mechanizm społeczny odrzuca, że tak rzekniemy, wióry na wielką skalę. Krytyka dotyka się swoim skalpelem każdej strony życia: zdolności, wywołane z ukrycia przez rozterkę zewnętrzną i bodźce wewnętrzne, rozwijają się w całej pełni. Stare powagi przestają wywierać swój wpływ, natomiast tworzą się nowe, które podejmują zadanie zażegnania niesnaski i przygotowują nastanie nowego okresu organicznego.

Otóż taka chwila krytyczna dziejów jest widownią powstawania ośrodków nowej powagi społecznej przy pomocy posługiwania się jaźnią zbiorową. Każdy głosiciel nowych zasad zbiera uczniów, ci nowe rzesze i t. d. Tworzą się sekty religijne, prądy filozoficzne, partje polityczne, każda zaś ćwiczy swoje kadry w dreszczu duchowości zbiorowej, bo ta, która nie zastosuje takiego środka, jest skazana na bezpłodność. Chwile takie jak pierwotny okres tworzenia się chrześcijaństwa, wojny krzyżowe i husyckie, wypadki angielskie, kończące się na ogłoszeniu Kromwella protektorem, walka Francji 1792 — 1794 przeciw koalicji obfitują w podmuchy entuzjazmu, stwarzanego i ćwiczonego przez jaźń zbiorową. Jaźń ta była nie tylko zastępem bojowym, lecz i środkiem ćwiczenia zapału, tępienia sobkostwa, wiązania ludzi w zastępy. Ma wtedy wielkie zadanie przed sobą — stwarzania patrjotów sprawy. Taka uroczystość, jak obchód bratania się Francuzów z dn. 14 lipca 1790, niewątpliwie była dniem, w którym jaźń gromadna wybuchała płomieniem gorącego uczucia. Później Konwent był ogniskiem usiłowań, niecących zapał zbiorowy i organizujących go w drodze jaźni zbiorowej.

* * *

Solidarność społeczna, a zatem plemię w okresie rodowym, naród zaś w cywilizacji, są z pozoru luźnym zbiorem osób, bez żadnego spoidła wzajemnego, jak kupy liści, zmiecionych do gromady przez wiatr.

Ale tylko z pozoru, bo w gruncie rzeczy są związani

pomiędzy sobą wielu nićmi natury emocjonalnej. Wychowani w otoczeniu właściwych ich więzi społecznej zwyczajów, są żywiołowymi, tj. nieświadomymi patrjotami, którzy ani podejrzewają, jakie tam, w głębi ich jestestwa, spoczywają zarodki duchowe. Nici te, mimo swojej rzekomej wątłości, odznaczają się wielką mocą. Poznajemy to, gdy zbiegiem wypadków znajdziemy się zdala od otoczenia, w którem wyrośliśmy. Skutkiem takiego wykolejenia powstaje w naszej jaźni pustka, przeradzająca się w ostrą tęsknotę, tak ostrą, iż wielu traci żywotność swoją i nawet powoli gaśnie. Istota takiej solidarności wraz z jej rodowodem są bardzo złożone: pomiędzy czynnikami, rozstrzygającemi o jej mocy, trzeba zamieścić nawet tryb życia i otaczającą przyrodę. Możemy wskazać dzikich, którzy wpadają w melancholję i tracą płodność fizyczną, gdy biały najezdnik zmusi ich do innego sposobu życia, aniżeli ten, do którego przywykli od dzieciństwa.

Bądź co bądź, plemię, a w dalszym ciągu naród, nie są niczem innem, jeno osobliwym rozczynem emocjonalnym, z którego przy sposobności osadzają się odpowiedniego charakteru jaźnie gromadne. Co więcej, te jaźnie są zastępami ćwiczonemi od czasu do czasu, podobnie jak pułk odbywa manewry. Istnieje w tym względzie tylko jedna różnica — na korzyść dzikiego społeczeństwa, w którem daleko systematyczniej bywa wytwarzany i wzmacniany ów duch gromadny.

Plemię, najniższa ze znanych więzi życia zbiorowego, powstało z trzody. Instynkt gromadzki, właściwy temu ustrojowi zbiorowości, odznacza się niezwykłą mocą i wytworzył się z sympatji, wiążącej rodzeństwo: braci i siostry. Pociąg ten tkwił w krwi, ale ukazał się dopiero w następstwie przyjemności, doznawanej z wzajemnego towarzyskiego obcowania osobników sobie podobnych, jest więc z pochodzenia swego natury odmiennej od instynktu macierzyńskiego lub mężowskiego. Zresztą rzecz to mniejszej wagi, co odziedziczył nasz przodek po najdawniejszym okresie swoich dziejów. Na razie daleko większe znaczenie ma dla nas okoliczność, że każde plemię dzikie, zwłaszcza zaś barbarzyńskie, jest organizacją, prawidłowo ćwiczoną w uczuciu społecznem.

Rozmiary społeczeństwa pierwotnego są nieznaczne. Od czasu do czasu odbywają się tam zbory, na które schodzą się

z obowiązku wszyscy plemieńcy. Znalazłszy się zaś na jednem miejscu, upajają siebie narkotykiem podniecenia zbiorowego. Kto studjował zwyczaje ludów pierwotnych, ten wciąż miał do czynienia z opisami takich uroczystości, których przeżytkiem są między innemi igrzyska Helady klasycznej. Zbierają się plemieńcy z bliska i z daleka, przynoszą z sobą żywność lub zawczasu gromadzą ją w oznaczonem miejscu i spędzają dni parę na wspólnej uczcie: na tańcach, śpiewach, zabawach, wreszcie modłach. Weźmy np. Irokéw. Kiedy nadchodzi dzień Nowego Roku, całe plemię pości przez dni kilka w powszechnej skrusze, ażeby rozpocząć bez grzechu nowy okres życia ziemi. Palą starą odzież, tłuką stare naczynia, jeden drugiemu przebacza krzywdy. Wszystkie włókna nerwów tam drgają, uczucia zaś doznają tem silniejszego podniecenia skutkiem zbiorowego charakteru uroczystości. Dni pokuty kończą się ogólnym korowodem, w którym uczestniczą wszyscy plemieńcy, składając dziękczynienia bogom i prosząc nadal o łaskę, spowiadają się ze swych wykroczeń przy dźwiękach dzikiej może, ale pobudzającej muzyki. Nowy Rok jest w okresie pierwotnym wielką uroczystością społeczną — porą odnowienia całej istoty moralnej w związku z odnową przyrody i związania skruszonych grzeszników przeciw społeczeństwu silniejszemi nićmi uczuciowości. W ciągu roku przypadają jeszcze inne święta: zbioru tego lub owego płodu, a wraz z niemi zaś znów posty, skrucha, spowiedź, tłumne tańce i śpiewy chóralne, słowem wszelkiej postaci narkotyki zbiorowe (nasze: „obchodzić“ święta wykazuje taki sam korowodowy charakter uroczystości u prasłowian). Każdy szczegół jest tam obliczony na spotęgowanie uczucia patrjotycznego, każda zwrotka rozbrzmiewa duchem zbiorowości. Podczas świąt starcy plemienni deklamują dzieje swojego narodu i opowiadają o czynach praojców ku zbudowaniu żyjących: odbywa się zaś to podczas tanów. Gdy udają się wojownicy na wyprawę, zaprawiają się do niej za pomocą korowodów. Taniec jest w bycie dzikim i barbarzyńskim wielką szkołą wzajemnej solidarności. Tworzy się w nim jaźń gromadna natury patrjotycznej i pozostawia po sobie rozczyn odpowiedni. „U Indjan i wogóle w całej rasie czerwonoskórej — powiada Morgan, ten głęboki znawca tubylców Ameryki — taniec był nie tylko obrzędem dziękczynienia, ale uchodził za

sztukę boską. Poważano go nie tylko jako najstosowniejszy środek obcowania społecznego pomiędzy płciami, ale nadto jeszcze jako potężną dźwignię podniecenia patrjotycznego, oraz utrzymywania w napięciu ducha łączności społecznej. Entuzjazm gromadny uwydatniał się właśnie w takiej formie i jednocześnie otrzymywał w niej podnietę. Młodzieniec indyjski kosztował pierwszych słodyczy wzruszenia emocjonalnego w korowodzie. Potężny wpływ tańców niecił w jego duszy pierwszą pobudkę patrjotyczną i najwcześniejsze marzenia ambicji. Duch życia indyjskiego zakrzepnął w tańcach patrjotycznych: religijnych i społecznych. Tany te przywiązywały plemieńców do drobiazgów, ale zarazem jednoczyły ich we wspólnem ogniwie; doprowadzały do szału, ale także rozdmuchiwały zarzewie patrjotyzmu. Upór, z jakim Irokowie trzymali się swoich pląsów plemiennych, daje najwymowniejsze świadectwo o ich przemożnem oddziaływaniu na umysły ludu". Misjonarze od pierwszej chwili wypowiedzieli walkę tym urządzeniom, ale znaleźli posłuch tylko u bardzo nieznacznej mniejszości. Morgan, który niejednokrotnie bywał świadkiem takich korowodów ogólno-plemiennych, opowiada, że nawet obcy widzowie ulegali entuzjazmowi. Jeden z Iroków rzekł do niego: w dniu, w którym zaprzestaniemy naszych tańców, wynarodowimy się! I miał słuszność! W tej jaźni zbiorowej, podsuniętej przez empirję, tkwił wielki rozsadnik uczuć narodowych!

Taniec i chóry były tylko akcesorjami obchodu. Stosowano tam jeszcze inne środki, dzikie i rażące, ale które swoją dzikością tem bardziej oddziaływały na umysł pierwotny. Istnieje u ludów niższej kultury wielka uroczystość: uobywatelania młodzieży. Starsze pokolenie pastwi się nad wyrostkami dla wypróbowania hartu ich ducha: wypędza młodzieńców z obozu, poddaje ciężkiemu postowi, katuje ich ciało. Wielu nie powraca, bo życiem przypłacają te doświadczenia, które mają ich wprowadzić do zastępu dojrzałych członków społeczeństwa. Ale nad wygnańcami czuwa plemię i usypia ich bóle lekami duchowemi. Starcy nacinają swoje żyły i własną krwią karmią młokosów, mówiąc do nich: jak my oddajemy wam swoje życie, tak czyńcie to samo w obronie plemienia swego! Plotą z włosów całego plemienia sznurki, któremi podpaszą młodzieńców — nowy symbol solidarności,

którego całą doniosłość pojmiemy, uprzytomiwszy sobie przesądy, związane z oddawaniem komuś tej cząstki ciała. Tak bywa u Australczyków. U Zuniów i innych ludów z południowo-zachodniego kąta Ameryki północnej istnieją inne zwyczaje, działające może jeszcze silniej. Plemionka te wierzą, że można wybłagać urodzaje tylko postem. „Boży człowiek" poświęca siebie na ołtarzu dobra powszechnego. Na jednego z młodzieńców pada wybór starców. Powołany na to stanowisko ćwiczy się z dobrej woli, w ciągu lat wielu, do godnego spełniania swej misji. A gdy poprzednik wyczerpie swe siły, on zajmuje jego miejsce. Parę razy do roku, w odpowiedniej porze, udaje się do samotni, tam w pokorze ducha i w poście woła do nieba dni kilka o łaskę dla ziomków. Plemię całe także pości, ale umartwienie to nie jest ani tak długie, ani tak drobiazgowe. Pokutnik plemienny, gdy wraca z pustyni, jest tak wyniszczony, że nie może nawet stąpać o własnych siłach. Życie jego, to droga cierniowa! Jedynie w czci ogólnej znajduje pociechę i wynagrodzenie.

Dzikie to wzory, ale za to tem bardziej podniecają wyobraźnię i gorączkują uczucie. Pod wpływem takich czynników powstaje patrjotyzm, o jakim świat cywilizowany nie ma pojęcia. Granice plemienne, z któremi plemieniec zaznajamia się w śpiewach podczas uroczystości, obowiązek stawania w obronie ziomków i dzielenia się z nimi ostatnim kęsem, nauki udzielane przy obchodach uobywatelania i pokutach publicznych, nawet gesty i melodje, jadło i ubiory — wszystko staje się tam świętością. Uczucie plemienne nawet u najniżej stojących ludów odznacza się niezwykłą mocą. Darwin, który nie ma słów pogardy dla mieszkańców Ziemi Ognistej, nie mógł wyjść z podziwu na widok uniesienia, jakie biło z twarzy jednego z nich, gdy zaczął opowiadać podróżnikowi angielskiemu o wyprawach swoich rodaków. W okresie dzikości i barbarzyństwa więź społeczna opiera się na uczuciu, i tylko na uczuciu. Niema tam spoidła stosunków ekonomicznych i wzajemnej zależności, które nas, dziatwę cywilizacji, jednoczą i trzymają pospołu. Plemię jest istotnym organizmem, ale organizmem natury uczuciowo-ideowej, stworzonym przez dzieje, ćwiczonym podczas perjodycznie wracających zbiorów ogólnych, utrwalanym przez empirję podniet zbiorowych, złożonym nie tylko z żywych,

lecz z umarłych, którzy pozostawili po sobie zwyczaje i obchody. Jak ryba, póki jest w wodzie, nie czuje znaczenia żywiołu rodzimego, podobnie dziki nie zadaje sobie pytania, czem jest jego otoczenie. Ale, ilekroć wyrzucą go losy z pośród swoich, staje się zupełnym rozbitkiem. W duszy jego powstaje próżnia, jak gdyby ktoś odjął mu coś z jego istoty. Zaprawdę, odjęto mu taką cząstkę, stworzoną przez jaźń gromadną! Operację tę zazwyczaj przypłaca życiem, chyba, że rozpije się i rozłajdaczy.

Plemię więc to solidarność ideowo-uczuciowa, bezustannie ćwiczona za pośrednictwem jaźni gromadnej, jak pułk stale bywa zaprawiany do musztry. My, którzy nie tak dawno wydobyliśmy się z rozstrzelenia, właściwego okresowi feodalnemu, pozostaliśmy w tyle za naszym przodkiem barbarzyńcą. I środki przez nas stosowane są nikłe i marne, że nie powiem nikczemne, w porównaniu ze szkołą życia pierwotnego. Prasa, sztuka, niekiedy blaga, pod którą ukrywa się samolubny interes! Jedynie w chwilach wstrząśnień i klęsk ukazują się dreszcze, które można byłoby porównać do wzorów barbarzyńskich. Francja dostarcza w tej mierze wymownego przykładu. Hovelacque powiada: „Dla nas, Francuzów, prawo, które powstało z Rewolucji, mianowicie: prawo człowieka i obywatela, jest jedyną podwaliną narodowości. Opiera się ona na wspólnym interesie, trzyma się solidarnością zgromadzonych żywiołów, znajduje usprawiedliwienie w roli tłumów, które są ostatecznie wyłącznem źródłem praw“. Istotnie, wypadki 1789 i lat następnych, jednocząc w całość walczącą stan trzeci, naelektryzowały całe społeczeństwo i pozostawiły po sobie uczucie łączności narodowej. Zapasy z koalicją, entuzjazmy powszechne, które zrodziły święto federacyjne i Marsyljankę, wawrzyny Napoleona I dalej utrwalały to dzieło. Powstał patrjotyzm, obejmujący już nie garstkę osób, ale tłumy. Wprawdzie nie wszystkich porwało uczucie, ale dotknęło tylu, że ci nadali krajowi zgoła inną fizjognomję. Narodowość francuska zrodziła się w podmuchach jaźni zbiorowej podczas wzięcia Bastylji i żakierji na prowincji, w chwili pospolitego ruszenia przeciw koalicji, na polach bitew wreszcie, gdy bose zastępy wyrostków zwyciężały weteranów księcia brunświckiego. I uczucia te nigdy nie doznały większego ćwiczenia niż w latach 1870/71. Pogrom zelektryzował tłumy — wojna

przegrana była dreszczem swego rodzaju, kształcącym patrjotyzm. Kraj był po wojnie zniszczony, ale pod względem emocjonalnym przedstawiał zwartszą solidarność, aniżeli uprzednio. Lecz nawet w takich okresach naród francuski jest nikłą jednią w porównaniu z plemieniem pierwotnem.

VIII.

Z PSYCHOLOGJI SPOŁECZNEJ.

(1900).

1) Jednostka i klasa.

W ostatniem dziesięcioleciu wszedł w powszechne użycie termin „egoizmu klasowego".

A wraz z nim rozpowszechniło się zapatrywanie, iż warstwy społeczne w swojem działaniu rządzą się jedynie względami interesu materjalnego.

Nie poddawszy tego twierdzenia szczegółowszemu rozbiorowi, wielu podsunęło pod nie zgoła spaczone zapatrywanie, jakoby każdy przedstawiciel określonej klasy społecznej był skończonym sobkiem, mającym na widoku swoje własne, osobiste interesy.

Fakty życia są jedynym, właściwym probierzem dla oceny takich ogólnikowych twierdzeń.

Otóż to fakty dają wymowne świadectwo, iż w postępkach swoich ludzie nie kierują się jedynie sprężynami brudnego interesu, ale także — na razie mniejsza o napięcie tego czynnika — ulegają pobudkom natury idealniejszej, które skłaniają ich do poświęceń i ofiarności na cele ogólniejsze. Wśród grupy pospolicie przytaczanej, jako krańcowy wzór egoizmu klasowego, a mianowicie wśród rojalistów francuskich z końca zeszłego stulecia, istnieją bardzo liczni entuzjaści, oddający majątek swój i nawet życie na ołtarzu swoich przekonań. Czemkolwiek kierowali się w swojej działalności publicznej, w każdym razie w ich postępowaniu często niepodobna dojrzeć ani krzty sobkostwa indywidualnego. Owszem, nieraz uderza historyka wielkie zaparcie się siebie pomiędzy obrońcami „starego porządku". Entuzjasta rojalizmu tracił

z oczu najbardziej zasadnicze interesy swego „ja“, niósł mienie swoje w obronie tego, co uważał za słuszne, a gdy przyszło do daniny z krwi własnej, nie cofał się i przed taką ofiarą, bardziej dbając o to, ażeby sromotnem zachowaniem nie shańbić swego nazwiska, niż o swoje ocalenie.

Zapatrywanie, jakoby przedstawiciele różnych warstw społecznych w swem postępowaniu publicznem rządzili się jedynie i z całą świadomością względami osobistego interesu, jest fałszywem, a raczej nie tyle fałszywem, ile płytkiem sformułowaniem objawu bardzo zasadniczego. W stwierdzeniu faktu, iż egoizm klasowy jest wielką sprężyną życia społecznego, chodzi nie tyle o indywidualne czyny jakiejś osoby i jej wartość moralną, ile o ostateczną wypadkową wielu działań i postępków indywidualnych, o zcałkowanie tych czynów poszczególnych w zbiorowem działaniu. Nawet samo wyrażenie — „egoizm klasowy“ — wskazuje, iż ukryta w tym egoizmie interesowność wybiega poza obręb indywidualności poszczególnych i niesie z sobą cele gromadne, nie mogące istnieć bez spoidła szerszej natury. Sobkostwo klasowe każe przypuszczać obecność działania zbiorowego, a w takiem działaniu poświęcenie ze strony pojedyńczych członków zastępu klasowego jest czynem nie tylko pożytecznym, ale i nieodzownym.

Nastręcza się więc pytanie, jakim sposobem osoby, odznaczające się ofiarnością i wogóle brakiem poczucia własnych, t. j. osobistych interesów, mogą jednocześnie być rzecznikami interesu klasowego; a nawet więcej, dlaczego z pośród takich bezinteresownych osób wychodzą najczęściej krańcowi obrońcy sobkostwa klasowego.

* * *

Każdy z nas wychowuje się i dojrzewa wśród określonych stosunków, widnokręgów i ideałów. Od najwcześniejszych lat życia jesteśmy wystawieni na działanie otoczenia, które nas uczuciowo i umysłowo urabia na swoją modłę, obdarza właściwemi mu sympatjami i wstrętami, każe na całokształt więzi społecznej spoglądać z ściśle określonego

stanowiska. Uczymy się pogardy dla jednych rzeczy, szacunku dla innych; wzruszamy się na odgłos pewnych haseł, przyzwyczajamy się dawać posłuch wyjaśnieniom teoretycznym, które formułują nam wyniki tego, co, bezwiednie dla nas samych, poddało nam nasze otoczenie lub czego doświadczyliśmy w ciągu dni naszego żywota. Gdybyśmy zadali sobie pracę zestawienia twierdzeń tak zwanej pospolitej ekonomji z temi wzorami, wśród których wypadło żyć i gospodarzyć wielkiemu przedsiębiorcy, to okazałoby się, iż są w gruncie rzeczy jedynie streszczeniem tego, czego sam doświadczał z dnia na dzień. Włożył kapitał w przedsiębiorstwo: część jego wydał na maszyny i środki pomocnicze, część obrócił na zakup materjałów, z pozostałej części uiszcza oficjalistom i robotnikom wynagrodzenie. Wszystkie te wydatki figurują w księdze rachunkowej, jako rubryki tej samej doniosłości, a jeśli czemkolwiek wyróżniają się nawzajem, to tylko swoją stroną ilościową, nigdy zaś jakościową. Żadna z nich nie zawiera w swojem brzmieniu nic takiego, na podstawie czego mogłaby uchodzić bardziej, niż inne, za jedyne źródło zysków. Przedsiębiorca nie może ani jednej z nich uważać za potęgę wartościotwórczą, t. j. taką, która współdziałaniem swojem rodzi dochody. Przecież te dochody pochodzą z jego umiejętności wyzyskiwania konjunktur rynkowych, z tego, że sprzedał towar powyżej sumy, jaką sam wyłożył był na jego wytworzenie! Ktokolwiek bliżej zastanowi się nad społecznem otoczeniem przedsiębiorcy, nad jego obrachunkami i nadziejami, zwłaszcza nad jego stosunkiem do rynku, przystanie na to, iż takiemi, nie zaś innemi muszą być zapatrywania jego co do istoty potęg wartościowych w produkcji, rodowodu zysków i t. d. A ponieważ trudno wymagać, ażeby każdy zagłębiał się w rozbiór stosunków ekonomicznych lub dał się odrazu uwieść teoryom, przeczącym jego płytkiemu wprawdzie, lecz codziennemu doświadczeniu, przeto wnioski, wypływające z empirji codziennej, stają się artykułami jego społecznego wyznania wiary: taki empiryk, człowiek może ludzki i uczynny, spojrzy, jako na warchołów, na każdego, kto źródła dochodów będzie poszukiwał nie w szczęśliwem ukształtowaniu stosunków rynkowych, lecz wyprowadzał z warunków produkcji, a w dalszym ciągu oświadczał, iż rubryki księgi wydatków nie są równoznaczne pod względem swoich skut-

ków wartościotwórczych, oraz iż źródłem wartości jest praca ludzka.

W takiem samem położeniu znajdowała się szlachta w końcu wieku osiemnastego.

Całe jej otoczenie, wszystkie tradycje, pozostałe z przeszłości, wyraźnie jej mówiły, że jest czemś innem, doskonalszem, wytworniejszem, niż gmin. Przeciwstawność wyrazów: gentilhomme i vilain, oznaczających pierwotnie — rodowiec i mieszczanin, później zaś — szlachcic i nikczemny, przewybornie świadczy o tym subjektywizmie. Szlachcic mógł się wylegitymować z przodków swoich, gdzie i kiedy polegli w obronie kraju, składając daninę krwi za innych, którzy orali, kupczyli lub zajmowali się rzemiosłem. Z mlekiem matki wyssał uwielbienie dla bohaterów przeszłości, których prochy w r. 1794 będą rzucane do rynsztoków, i wogóle dla tradycji i historji, w której znajdował nazwiska przodków swoich. Ukochał te urządzenia, które ci stworzyli i krwią swoją lub działalnością podtrzymywali. Od dzieciństwa przyzwyczaił się dbać o to, co nazywał swoim i swojej rodziny honorem, a zarazem patrzeć na wieśniaka, który, skrzywdzony, kornie chylił się do nóg pana, jak na istotę, nie posiadającą w sercu wznioślejszych uczuć. Dobrze wychowany i gładki w obejściu, widział w prostaku okaz niższego gatunku. Mniemał więc, iż jest stworzony do korzystania z praw społecznych, ów vilain zaś — do pracy, okupionej zresztą krwią poległych szlachciców. W dobroci serca, marzył niekiedy o ojcowskiej opiece nad ludem wiejskim, o tem, żeby „pany wzięli służebnice swoje za ręce“ i pospołu tworzyli jedno wielkie pienie w spólnym korowodzie, „jedno pienie, lecz dwa chóry“. Młodzieniec rodu szlacheckiego wzrastał więc w otoczeniu, które, jeśli posiadał w duszy swoje porywy idealniejsze, robiło go ideologiem, ale ideologiem osobliwego klasowego znaku. Odczuwał gorąco niektóre rzeczy, oddychał zapałem dla pewnych ideałów, gotów w każdej chwili własnym majątkiem i krwią poprzeć sprawę tego, co był ukochał i za słuszne uznał. Ale pod dotknięciem głębszej analizy wszystkie jego ideały są niczem innem, tylko sformułowaniem stanu rzeczy, w którym on, pan pańszczyźniany, pozostawałby na zawsze panem, włościanin zaś poddanym, w którym jeśli nawet, jako dobry a miłościwy pan, weźmie

za ręce służebnice swoje, przecież sam w innym będzie piał chórze. Działa zapatrzony we właściwą otoczeniu jego łunę ideologiczną, nieświadom, iż jest to odblask właśnie jego otoczenia i interesu. Walcząc za to, co ukochał, nie spostrzegał, że walczy o uwiecznienie swego interesu klasowego. I dodajmy, im szczerszym będzie ideologiem i zarazem bardziej ludzkim dla gminu, tem boleśniej w razie zatargu dotknie go postępowanie „niewdzięcznych", a on sam tem surowiej ukarze wszelkie „warcholstwo". W ostatecznym wyniku, jakiemikolwiek będą pobudki jego, to przecież wynik działalności jego nosić będzie charakter mocno klasowy.

Egoizm klasowy bywa więc, między innemi, nieświadomy własnych pobudek, krańcowa zaś ofiarność — jego towarzyszką. To sprzężenie zdarza się nieraz w postaci bardzo znamiennej. Nazwisko Arnolda Toynbee należy niewątpliwie do liczby tych, które zajmują zasłużone miejsce w historji humanitarnych prądów naszej doby. Gorący apostoł wiedzy, oddał mienie swoje na pracę w winnicy społecznej, zwłaszcza na krzewienie wśród tłumów podnioślejszych wiadomości o życiu i przyrodzie. A jednak był zażartym rzecznikiem haseł krańcowego manchesteryzmu: kiedy na odczycie, który był wygłosił przeciw teorjom H. George'a, rozległy się okrzyki niezadowolenia, ukląkł wśród wzburzonego tłumu, błagając o przebaczenie dla sobkowstwa przodków swoich i przyrzekając własną skruchą i działalnością zgładzić ich przewinienia, a jednocześnie zaklinając, ażeby słuchacze nie dali się uwieść tak bałamutnym doktrynom, jak hasło unarodowienia ziemi! Przesądy klasowe, widnokręgi otoczenia, niecone pod ich wpływem uczucia sympatji i nienawiści, pobudki interesu, nieraz bezwiedne, wszystko to w jaźni ludzkiej stwarza wiązankę bodźców, rządzących nią i pchających człowieka po określonej drodze. Jego świadomość społeczna jest wytworem podłoża klasowego: w niej, jak w źwierciadle, odbija się to, co istnieje w otoczeniu. Naturalnie, bynajmniej nie twierdzimy, ażeby każdy przedstawiciel jakiejś warstwy był ideologiem. Owszem, w zastępie klasowym są i tacy, którzy kierują się jedynie interesem osobistym, przewybornie uświadomionym, może stanowią nawet bardzo znaczną część ogółu. Ale dodajmy, iż rzadko znajdują się w liczbie przodowników swojej klasy, stojących na czele. Ażeby zająć

takie stanowisko, na to trzeba zapału i wiary, a te właściwości można znaleźć tylko wśród ideologów - entuzjastów. Egoizm klasowy jest potężną sprężyną zapasów dziejowych, przybrany w szatę dogmatu religijnego, jak w ruchach sekciarskich Europy średniowiecznej, dosięga krańcowego napięcia, ale posiada taki polot tylko dzięki temu, iż czerpie treść swoją z naszych uczuć, iż opiera się na szczerem przekonaniu i założeniach natury moralnej.

2) Gromady klasowe.

Człowiek, wychowany w określonem otoczeniu społecznem, posiada właściwe temu otoczeniu uczucia, idee, wierzenia, a nawet sposoby rozumowania. Nićmi niewidzialnej, duchowej natury jest związany z członkami swojej warstwy. Rozpatrywany w odosobnieniu, różni się od innych przedstawicieli swojej gromady przymiotami swego charakteru, głębszem lub bardziej płytkiem wejrzeniem w istotę mechanizmu społecznego, odmienną skalą wrażliwości, a przynajmniej wyrozumiałości na potrzeby i ideały, będące wyrazem innych grup społecznych. Niejeden może jest ludzkim i gotowym do wszelkiej ofiarności na cele ogólno-społeczne, a nawet marzy szczerze o dobrobycie innych warstw z uszczerbkiem dla interesów własnej klasy. Dość będzie przypomnieć tutaj idealistów okresu pańszczyźnianego, pragnących być starszą bracią dla poddanych swoich i marzących o opiece ojcowskiej nad włościanami. Inni będą ludźmi nieużytymi, spoglądającymi na tego rodzaju sentymenty, jako na objaw nierozsądku, a nawet zdrady klasowej. Ale, pomimo pozornej przepaści, oddzielającej jedne takie typy umysłowości i uczucia od drugich, u wszystkich, w głębi ducha, w stanie mniej lub więcej bezwiednym, tkwią jednakie pierwiastki: otoczenie wpoiło w nich te same pojęcia, dotyczące ustroju społecznego, w sercu kryją się jeśli nie jednakie wstręty, to w każdym razie jednakie sympatje. Ogół tych jednakich pierwiastków, tkwiących w duszy poszczególnych przedstawicieli danej warstwy, tworzy to, co ochrzcilibyśmy nazwą ducha klasowego. Jest to kategorja społeczna tego samego rzędu, co „duch narodów“. I wyrażenie „duch czasu“, o ile posiada jakąkolwiek treść,

zawiera w sobie pokrewne składniki, tj. stany duchowe wspólne całemu pokoleniu.

Pojedyńczy więc członek warstwy nie tylko w stosunku do innych przedstawicieli własnej grupy, ale także i w swojem zachowaniu względem warstw niższych, może wyróżniać się znacznym zasobem uczuć humanitarnych. Prócz nielicznych osób, odznaczających się czerstwością serca, nawet każdy przedstawiciel któregoś interesu społecznego, wzięty w odosobnieniu, gotów jest dać posłuch „słusznym“ żądaniom innych warstw i uczynić na ich korzyść pewne ustępstwa. Rzeczy przybierają zgoła inny obrót, gdy poszczególni członkowie klasy działają gromadnie. Z jednostką dzieje się wówczas to, co zawsze zdarza się z nią w zwartym tłumie: traci rysy swoje indywidualne i staje się tylko cząstką zbiorowego organizmu, w którym pojedyńcze jaźnie ulegają ujednostajnieniu. O ile badamy taką gromadę pod względem jej charakteru klasowego, znikają w niej właśnie wszelkie różnice osobiste, pozostają tylko pierwiastki, składające się na ów duch klasowy. Wszelka wyrozumiałość, a tem bardziej współczucie dla wrogiej grupy interesów pierzchają, a uprzedzenia klasowe ujawniają się w całem swem napięciu, pojęcia, właściwe danej klasie, zapanowują wyłącznie nad umysłami. Jeśli gromada klasowa dokonywa jakiegoś ustępstwa w imieniu całej warstwy, ulega wtedy parciu nieodzownej konieczności, świadomie odczuwanej. Człowiek przekształca się tam doszczętnie, nawet najhumanitarniejszy traci swoją łagodność i wrażliwość i splata się z resztą swoich towarzyszów w harmonijną całość duchową, zwłaszcza jeśli rzecznicy obozu wrogiego przybrali nieprzejednaną postawę. Takie pochłonięcie jednostki przez gromadę, oczyszczenie jej z rysów łagodności i pobłażliwości, wyrozumiałości i ustępstwa, a natomiast przejęcie się jej duchem widnokręgów klasowych uwydatniły się dosadnie w dziejach republik starożytnych. Walczące klasy patrycjuszów i plebejuszów przeciwstawiały się tam nawzajem z całą mocą namiętności. Nauka społeczna nie istniała jeszcze, a więc nie mogła oświetlić zapasów pozytywnem wejrzeniem w naturę więzi społecznej, przesądy miały za sobą poparcie tradycji narodowej i religijnej. Warstwa patrycjuszów walczyła, wierząc gorąco w wyższość swego interesu, czyli, jak twierdziła, interesu ojczyzny nad

innemi interesami. Czasy owe pozostawiły nam doświadczenie swoje, sformułowane w przysłowiu, które wymownie odtwarza psychikę gromady klasowej w przeciwstawieniu do duchowości pojedyńczych jej członków, działających w odosobnieniu wzajemnem. Plebejusz rzymski, w dalszym zaś ciągu sprzymierzeńcy i wrogowie narodu rzymskiego wiedzieli dobrze, iż senatores boni viri, senatus mala bestia. Poznali, iż z poszczególnym członkiem patrycjatu mogą w potrzebie dojść do porozumienia: na widok nieszczęścia swoich klijentów gotów uczynić wielkie ustępstwa, w postępowaniu swem zachowa uprzejmość i nawet przyjacielskość. Lecz życie nauczyło ich również, że ten sam senator, tak dobrotliwy i wyrozumiały, staje się zgoła innym człowiekiem, kiedy znajdzie się w gronie współdostojników i zacznie w tej gromadzie rozpatrywać sprawę. Osobiste przymioty charakteru jego znikają, a pozostaje w ostatecznym wyniku nieubłagany szermierz honoru patrycjuszowskiego. Pod tym zaś honorem ukrywał się zawsze interes klasowy. Honor był bowiem tylko ideologicznym wyrazem interesu dla duszy ludzkiej, potrzebującej, żeby ją łudzono co do właściwej pobudki wielu postanowień i zamiarów. Przytoczone przysłowie twierdzi, iż nawet każdy bez wyjątku z członków senatu rzymskiego był miłosiernym człowiekiem. Jednak w gromadzie wszyscy ci tak dobrzy ludzie tracą swe zalety osobiste, działa zaś ciało zbiorowe, samolubne i okrutne, słowem, dziki i srogi zwierz — mala bestia!

Prawda ta, rzucająca światło na psychikę gromady klasowej w świecie starożytnym, stosuje się jednak do wszelkiego miejsca i czasu. Czy zwrócimy się ku zapasom pomiędzy włościaństwem a panami feodalnymi w Europie średniowiecznej, czy przejdziemy do rokoszu, podniesionego przez stan trzeci przeciw szlachcie i duchowieństwu, wszędzie i zawsze odnajdziemy tę samą psychologję gromady klasowej w stosunku do pojedyńczych członków odpowiedniej klasy. Wogóle, wszelkie walki klasowe są przedewszystkiem walką gromad. Z jednej i z drugiej strony stają zastępy, luźne nieraz i rozproszone, ale bądź co bądź związane spoidłem ducha klasowego i w potrzebie wyłaniające z pośród siebie czyn ześrodkowany. Zdarza się, iż na pozór jedność ta znika, a cała warstwa poddaje się żywiołowo wpływowi krytycyzmu, wy-

mierzonemu przeciw własnym jej interesom. Taki widok przedstawia Francja w połowie przeszłego wieku, kiedy filozofja zaczęła podważać zasady starego, tj. feodalnego porządku rzeczy. Ale głębsza analiza wykazuje tam rzeczy nieco inne. Nie klasa, jako klasa, szydziła ze swych pojęć i ideałów, lecz poszczególni jej członkowie. Krytykowali ideologiczne wytwory własnego stanowiska, bynajmniej nie wyrzekając się korzyści materjalnych, czerpanych z uprzywilejowanego położenia, a nadto dotykali swojem szyderstwem tych pierwiastków ideologji klasowej, które przeżyły się lub tradycją ojców pętały swawolę i lekkomyślność synów. Lecz z chwilą gromadnego wystąpienia stanu trzeciego te pokłady indywidualne w duszy feodalnej topnieją, przedstawiciele stanu szlacheckiego gromadzą się w zwarte zastępy, a tam niebawem ulegają wyrównaniu wszelkie odchylenia od ducha klasowego. Tylko nieliczna garstka trwa przy dorobku filozoficznym, traktowana, jako zaprzańcy honoru szlacheckiego.

Wogóle, życie dziejowe posługuje się bezwiednemi a niekiedy świadomemi swych celów gromadami klasowemi, rozproszonemi w przestrzeni, które tylko w chwilach przełomowych przybierają kształty skrystalizowanej jaźni zbiorowej. Warstwa, występująca na widownię dziejową, opiera się nie tylko na fizycznej swej potędze, ale w bardzo znacznym stopniu czerpie siłę z wiary w swoją sprawę, z uczuć swoich i ideałów, nie zagłębiając się w rozbiór tego, co pod tem wszystkiem się ukrywa. Że ideały te są ideologiczną osłoną interesu materjalnego, rzecz ta pozostaje nieraz nieuświadomioną. Uświadomienie sobie tej istotnej pobudki swych czynów raczej pozbawia klasę uprzywilejowaną mocy moralnej. Egoizm klasowy panuje wszechwładnie w dziejach, ale polega na przywiązaniu do wyznawanych haseł i wypływającej z tego źródła ofiarności. W ostatecznym wyniku chodzi tam o interesy materjalne; lecz te występują nie w nagiej, cynicznej szczerości, jeno pod okryciem osłonki ideologicznej, rozszerzonej na ogół społeczeństwa i nieraz na pozór zupełnie pozbawionej odcienia klasowego. Dopiero wiek XIX, wiek trzeźwości pozytywnej, wniósł do atmosfery walk społecznych głęboką zmianę: zdarł maskę z ideologji i wykrył istotne jej jądro. Z walki klasowej, tj. dziejowej, opadła szata ideowa:

zamiast ideologji zapanował cynizm. Grupom społecznym, które, walcząc o swój interes, walczą jednocześnie o wyższe wzory sprawiedliwości społecznej, ta szczerość nie szkodzi, bo w poczuciu słuszności swoich dalszych celów znajdują nieprzebrane źródło pierwiastku ideologicznego. Ale dla innych grup taka szczerość jest straszną, albowiem odziera je z siły moralnej i z wiary w słuszność swej sprawy.

TYPY ZAWODOWE.

I.

CZŁOWIEK I SPOŁECZEŃSTWO.

(1897).

Osobowość ludzka, rozważana ze stanowiska swojej odrębności indywidualnej, a więc jako nosicielka tężyzny lub gnuśności, uzdolnień lub tępości, jest doniosłym czynnikiem w kształtowaniu przebiegów życia zbiorowego. Trudność polega nie tyle w wyznaczeniu rodzaju jej wpływów, ile w wyłuskaniu tego co wnosi sama z siebie, jako odrębna, samoistna kategorja.

Twierdzenie to nasze zdziwi wielu.

Albowiem, jak częstokroć z poza drzew nie dostrzegamy lasu, tak samo na pozór społeczeństwo rozpływa się w pojedyńczych osobnikach. Wielu osobom może się zdawać, iż jesteśmy jako atom niezależny, który czerpie dla postępków swoich — mniejsza jakich — pobudkę wyłącznie z głębi swojego ducha i w czynie swoim uwydatnia jedynie działanie własnej woli, jako wyrazu swoich poglądów i pożądań. Innemi słowy, gdyby więź społeczna rozpadła się doszczętnie, a my osiągnęlibyśmy istnienie niezależne, to i wtedy charakter nasz pozostałby takim samym, jakim jest w społeczeństwie, pożądania te same działałyby i ujawniały byt swój w tych samych postępkach.

Jest to stanowisko zgoła błędne.

Niezależność naszego ducha jest rzeczą jeno pozorną, bo tysiącznemi nićmi duchowemi jesteśmy związani z innemi osobami, a więc z członkami naszej warstwy, z współziomkami, a nawet z całym tym odłamem rodzaju ludzkiego, który znalazł się w więzi międzynarodowej podziału pracy. Pęta te

są bardzo mocne, acz niedostrzegalne zazwyczaj. Istnieniem swojem sprawiają, że w przyrodzeniu naszem duchowem znajdują się rysy, które zostały tam wyrzeźbione właśnie za sprawą tego współżycia. W jaźni gromadnej uczestnik utraca swoje piętno osobiste, swoją indywidualność — jest jak inni krwiożerczy, altruistyczny, odważny. Społeczeństwo jest poniekąd taką samą, acz rozstrzeloną i przytępioną w swojej emocjonalności gromadą, sieć stosunku wzajemnego stała się tak nikłą i subtelną, iż nie odrazu bywa dostrzeganą, nastrój zaś wszystkim właściwy stracił na swojem napięciu. Ale choć w całej mocy uwydatniły się rysy osobiste każdego z nas, przecież ów nastrój nie zniknął doszczętnie, ale jedynie złagodniał. W każdym z nas tkwi wielka doza, że się tak wyrażę, zbiorowości, tkwi właśnie w tem, co nazywamy swojem przyrodzeniem, choć niekiedy ta cząstka tak zrosła się z jądrem tego, co uchodzi za indywidualność naszą, iż skalpel nawet najzręczniejszy nie zdoła wyodrębnić tych różnych pierwiastków, wypływających z jednej strony z naszej osobowości wrodzonej, z drugiej z wpływów otoczenia społecznego.

Jednak owo jądro nasze własne, indywidualne, istnieje.

Tarde ma słuszność całkowitą, gdy zastanawiając się nad tem, azali mogą istnieć zbrodnie, za które nie osoba poszczególna, lecz społeczeństwo ponosić winno odpowiedzialność, powiada: „Trudność tkwi nie w znalezieniu zbrodni społecznej, ale raczej w wyszukaniu takiej, w której nie zawiniłoby otoczenie społeczne. Możemy zadać pytanie: czy zdarzają się przestępstwa, wyłącznie osobiste, tak samo, jak wolno powątpiewać o tem, czy istnieją twory genjusza, nie będące osadem myśli zbiorowej. Poddajcie jednak rozbiorowi stan duszy złoczyńcy najpodstępniejszego i najsamotniejszego w chwili spełniania czynu. Rozpatrzcie także stan duszy odkrywcy z okresu najniższej dzikości, gdy wpadł już na ideę swego wynalazku. Odrzućcie z obu jaźni wszystko, co pochodzi z wpływów wychowania, towarzystwa, przykładu, oraz szczegóły biograficzne. Pozostanie wtedy niewiele, ale to coś, co pozostało, będzie przecież bardzo wyraźne i istotne".

Gdy będziemy zastanawiali się szczegółowiej nad objawami, właściwemi jaźni gromadnej, nawet tam dostrzeżemy, iż owo „coś" dobywa się bądź co bądź na jaw. Nie wszyscy

w gromadzie podnieconej zachowują się jednakowo. Są tam osoby wrażliwsze, które odrazu ulegają podmuchowi emocji, są inne, długo jeszcze zachowujące niezmąconą jasność umysłu. Istnieją śmiałkowie, którzy stają na czele wypadków i będą kierowali gromadą, są osoby bierniejsze, szeregowcy zastępu; znajdzie się także kilku ciurów, którzy acz pójdą wzorem innych, przecież będą szli ostrożnie i zdaleka. Jedni nawet w wirze podnieconej namiętności nie mogą wyzbyć się zupełnie uczuć natury altruistycznej, natomiast w sercu innych wszelki płomień współczucia gaśnie i szaleją instynkty najdzikse. Słowem, znajdujemy tam, przynajmniej w mniej napiętych pod względem emocjonalnym jaźniach zbiorowych, nadwrażliwość i nieczułość, odwagę i bojaźliwość. A kiedy od gromady ujednostajnionej przez podmuch namiętności, zwrócimy się do studjów nad życiem codziennem, które upływa w warunkach normalnych, w całej pełni ujrzymy, że różnobarwność jest tam zasadą powszechną. Na razie oko nasze spostrzega tylko mozajkę typów fizycznych, są osoby wysokiego i niskiego wzrostu, otyli i chudzi, przystojni i brzydcy. Pod tą powłoką ukrywają się pokłady takie same wielorakości duchowej: społeczeństwo jest zbiorem bardzo odmiennych usposobień i skłonności, każdy członek narodu to nie tylko, jak przysłowie powiada, inny rozum, ale i odmienny charakter.

I nikt, ktokolwiek rzeczywiście miał do czynienia z ludźmi i wypróbował doświadczalnie giętkość naszej natury i jej rozmaitość, nie będzie zaprzeczał tej prawdzie.

Rozpoczęto zaprzeczać, a przynajmniej nie uwzględniać należycie tego faktu dopiero w okresie zapanowania doktryn liberalnych.

Teoretycy zdala od zgiełku życia wypracowują teorje, a praca ich często polega na tem, iż układają górnolotną „syntezę“ rozwoju społecznego, tj. poprostu kompilację z paru doktryn odmiennych. Opowiadają o pewnym ekonomiście, że chwalił się, jako nie trzeba mu ani znajomości stosunków ludzkich, ani studjów nad książkami: przechadza się po pokoju i wysnuwa „bez faktów“ w umyśle swoim teorje ekonomiczne, nie tak jak chemik, który musi próbować reakcji, odbywać doświadczenia i czynić zmudne poszukiwania. Takich teoretyków w nauce społecznej namnożyło się wielu,

kalibru większego i mniejszego. Nie dziw, że ten i ów zapomniał o rozmaitości natur ludzkich, składających gromadę społeczną.

Zważmy i na to, że wszelkie zaciekanie się we „własnym“ świecie idej jest niczem innem, jeno analizą osobistych wrażeń, pochodzących z otoczenia. Jakiemi zaś są te wrażenia? Dzisiejsza epoka dziejowa hołduje szablonowi na wielką skalę. Koszary są tylko jednym z osadów szablonowości, którą industrjalizm nowoczesny wszędzie rozplenił. Struktura domów ulega ujednostajnieniu wzdłuż i wszerz obszaru wymiennego międzynarodowego, ubiór odznacza się wszędzie tym samym krojem, meble są robione według tego samego fasonu i wogóle całe życie nasze upływa według tych samych wzorów. I w końcu sama natura ludzka wygląda szaro i bezbarwnie. Dorywczy spostrzegacz bierze pozory za istotę i, poprzestając na wrażeniu powierzchownem, z jednostajności objawów życia wyprowadza wnioski o jednostajności natury ludzkiej.

* * *

Więź społeczna, rozpatrywana ze statycznego punktu widzenia, jest niezmiernie zawikłaną całością, złożoną z mnóstwa już nawzajem niezależnych (o ile można mówić o niezależności tam, gdzie podział pracy związał ludzi), już rozmaicie zahaczających się kół, kółek i kółeczek.

W społeczeństwach, mających prostszą budowę, np. w mrowisku, istniejącej tam rozmaitości obowiązków i czynności życia gromadnego odpowiada poniekąd równoległa odmienność budowy morfologicznej mrówek. Mrówki noszą w swoim organizmie wyryte piętno przeznaczenia: wojownice posiadają potężną paszczękę jako oręż naturalny, robotnice odznaczają się innemi przymiotami; istnieją mrówki, które we wnętrzu swojem wyrabiają ciecz słodkawą i karmią towarzyszki; są samce i samice, zdolni jedynie do produkcji dalszych pokoleń, ale nie do pracy i walki.

Ludzie na ciele swojem nie posiadają takiego piętna. Na pierwszy rzut oka niepodobna odcyfrować, do jakich obowiązków który z pośród nich okaże się zdolniejszym. Upodobania duchowe spoczywają ukryte pod powłoką cie-

lesną. Swoją drogą oddziaływają, bo rozstrzygają o tem, jakie zajęcia będą bardziej odpowiadały skłonnościom i zdolnościom tego lub innego członka narodu. W ustroju, opartym na swobodzie zajęć, odbywają się ze strony jednostek nie ustające parcia do zajęcia stanowisk, które byłyby w harmonji z ich skłonnościami.

Parę przykładów uwydatni myśl naszą.

Antropologja kryminalna dowiodła, że wśród epileptyków istnieje odłam, pożerany chuciami krwiożerczemi. Marro badał takiego szaleńca, który od dzieciństwa lubował się w widoku dymiącej krwi i już naówczas wyszukiwał stosownych rozrywek. Razu jednego omal nie zarznął własnego braciszka: był rzeźnikiem, malec zaś wołem, przeznaczonym na rzeź. Dorósłszy, wybrał rzemiosło rzeźnickie. Zamknięty w więzieniu za zabójstwo, przysłuchiwał się rykom trzody rogatej w pobliskim szlachtuzie. „Dzisiaj ryczy, a jutro będzie zarznięty!“, mawiał z nietajoną radością. Zapytany, dlaczego tak lubi krwawe rzemiosło, odpowiadał: „niezmiernie podoba mi się widok krwi, kurzącej się jeszcze“. Ludzie, posiadający takie usposobienie, pójdą o ile można za głosem swoich upodobań i wybiorą zawody, które odpowiedzą ich chuci krwiożerczej: będą rzeźnikami, katami. Podczas wybuchu namiętności społecznych będą spełniali rolę oprawców wśród tego lub innego stronnictwa. Epoka dzisiejsza, wielkiej industrji, zgromadza niekiedy przedstawicieli tego typu na jednem miejscu w ogromnej ilości. W Chicago usadowiły się olbrzymie rzeźnie, szlachtujące miljony sztuk bydła. Parę największych zakładów zbuntowało się przed kilku laty przeciw spółce akcyjnej, władającej targowiskiem tamtejszem i zamierzało przenieść budynki za miasto. Obliczono, że nowozałożona osada rzeźnicka będzie posiadała około 150 tysięcy mieszkańców, żyjących bezpośrednio lub pośrednio z krwawego fachu. W tym świecie mordu nie ustającego, w tej atmosferze przesiąkłej zapachami krwi, są ludzie, których ręka, uzbrojona sztyletem, spada parę tysięcy razy dziennie, ażeby zadać żyjącemu stworzeniu cios ostateczny; są inni, którzy młotem ogłuszają z pomostu setki wołów na dobę. Natura ich tak upodobała krwawe zajęcie, iż urządzają podczas świąt konkursy, na których popisują się wprawą zadawania śmierci. Ów packing-town w grodzie nad Michiganem tworzy wy-

odrębnione kółko w mechanizmie społecznym, gromadzące dokoła siebie dziesiątki tysięcy osób. Potrzeba zarobku przygnała tam wielu, ale wielu także przybyło z takich samych powodów, z jakich obłąkaniec chuci krwiożerczej, badany przez antropologa włoskiego, jął się zawodu rzeźnickiego. Z różnych stron organizmu społecznego odrywają się typy krwawe, gromadzą się dokoła szlachtuzów, wyprzedzają współzawodników, których jedynie troska o kawałek chleba powszedniego zagnała i, wydobywszy się na wierzch (tj. „zrobiwszy karjerę"), nadają ton duchowi, ożywiającemu to kółko mechanizmu wymienno-produkcyjnego.

Weźmy inny przykład.

Profesor Benedikt poświęcił osobną pracę włóczęgom. „Nie można powątpiewać — pisze — że istnieją zarówno pojedyńcze osoby, jak i całe rasy, które przychodzą na świat z popędem do tułaczki. Skłonność ta występuje na jaw wśród najrozmaitszych warunków, nawet takich, które temu instynktowi nie sprzyjają. Popęd ów tkwi w nerwicy fizycznej, moralnej i duchowej, skutkiem której przedstawiciele tego typu są niezdolni zarabiać na życie, przynajmniej pracą ciągłą, prawidłową. Innym szczegółem, godnym uwagi, jest niejaka perjodyczność w duchowości tułacza. Nadto od popędu włóczęgowskiego nieodłączną jest klaustrofobja (tj. męcząca trwoga w ciasnych i zamkniętych przestrzeniach). Nie jest to stan wyłącznie i ze swego pochodzenia nerwowy, bo pozostaje w pewnej zależności od zakłóceń w krążeniu krwi. Fizjologja ma tam wdzięczne pole do studjów. Owo uczucie klaustrofobji odgrywa olbrzymią rolę w duchowości szczepów koczowniczych, które tak trudno poddają się próbom osiedlenia ich na stałe. Warto także zaznaczyć inny pierwiastek w naturze włóczęgi: ogólną nadwrażliwość duchową, raczej wrodzoną, niż nabytą, która utrudnia mu zajęcie się czemś systematycznem". Nauka rozporządza obfitym materjałem, dotyczącym typu włóczęgi. Oto malec dwunastoletni, szczupły, drobny, z oczyma niespokojnie biegającemi, bojaźliwy, nieufny. Kiedy jest piękna pogoda, naówczas całem jestestwem chłopczyny owłada niepokój, dochodzący do napięcia chorobliwego. Nieprzeparta moc wabi go i ciągnie do ciepła, na słońce i wolne przestwory — dalej i dalej. „Sądzę — powiada dyrektor domu poprawy, w którym osadzono tego małoletniego

tułacza — że jest to potomek owych pątników i pielgrzymów, których Rosja swego czasu liczyła krocie, i którzy sami nie umieliby powiedzieć, jaka ukryta sprężyna pchała ich z miejsca na miejsce". Skąd malec pochodzi, niewiadomo. Zwiedził kawał świata, ukryty pod wagonami pociągów towarowych. Gdy pociąg zbliżał się do większej stacji, zsuwał się na ziemię, nad nim przechodziły wagony, mogące go, w razie nieostrożności, zgnieść na śmierć. Pewnego razu, gdy koło zdruzgotało mu palec, złapano go i oddano do domu poprawy. Przebył tam od marca do czerwca i uciekł, lecz wrócił dobrowolnie w lutym. Zapytywany o powody ucieczki, odrzekł: „tęskniłem, coś ciągnęło mnie do nowych widoków". Malec ten jest przedstawicielem całego mnóstwa pokrewnych typów, od osoby, która czuje niepokój w górach, lub w zamkniętej sali, aż do „żydów wiecznych tułaczy", z jasno zarysowaną nerwicą, od koczownika, szczęśliwego tylko na wolnej przestrzeni stepów, do włóczęgów, karanych ręką sprawiedliwości, podróżników, narażających się na niebezpieczeństwa, pątników, idących z pielgrzymką do miejsc świętych, lub komiwojażerów i rozwożących towary. Czas i miejsce, stanowisko i wykształcenie, nieraz przypadek rozstrzygają o tem, w jaki sposób natura tułacza wyładuje swoje instynkty, tj. czy znajdzie szukane szczęście, lub czy życie będzie nieustającem pasmem trawiącej tęsknoty. Osoba, obdarzona takiem usposobieniem, będzie usiłowała, mniejsza czy świadomie, spełniać w mechanizmie społecznym czynności, które najbardziej odpowiadają jej jestestwu duchowemu, i znaleźć się w tem kółku życia zbiorowego, które dla niej jest najstosowniejsze.

Poprzestaniemy na tych przykładach. Nie chodzi nam bowiem o wyczerpanie przedmiotu, a tylko o zaznaczenie możliwych punktów widzenia. Natomiast dorywcze wywody poprzednie, dotyczące zachowania się typów ludzkich w życiu codziennem, uzupełnimy faktami, uwydatniającemi związek, jaki niekiedy daje się dostrzegać pomiędzy charakterem człowieka a jego rolą w przejściach historycznych.

Jak życie codzienne, tak samo dzieje posługują się w swoim przebiegu ludźmi, jako organami swemi i narzędziami. Narzędzia te, jak wiemy, nie są jednakie, t. j. nie każde z nich nadaje się jednakowo do spełniania obowiązków

i rozwiązywania zadań, wysnutych przez rozwój życia gromadnego. Jednym temperamentom przypadają w dynamice społeczeństwa takie, innym — inne czynności. Zakres to objawów dotychczas mało opracowany. Jedynie psychologja przodowników rokoszu i inicjatorów zamieszek doczekała się szczegółowszego uwzględnienia: są badacze, którzy usiłowali zbudować „psychjatryczną“ teorję poruszeń masowych, Lombroso np., bardzo zresztą jednostronną i powierzchowną.

Co do nas, chodzi nam o tezę szerszą, niż jaką podjął badacz włoski, a mianowicie o to, że w każdym namiętniejszym zatargu dziejowym, osoby, odznaczające się pewnym temperamentem, zajmują właściwy ich usposobieniu posterunek. Jedni np. są wodzami lub apostołami, inni szeregowcami, jeszcze inni — oprawcami. Dla udowodnienia naszego twierdzenia, zatrzymamy się nad wypadkami we Francji z lat 1789 — 1794. Okres ów wybornie nadaje się do tego rodzaju studjów, bo wojna domowa wygórowała każdy szczegół ducha, spotęgowała namiętności, uwydatniła porywy i do ostateczności doprowadziła przeciwstawność wzajemną charakterów, które kłócą się nawzajem i odpychają w codziennym biegu życia, ale w sposób ospały.

Na razie poprzestaniemy na antagonizmie Żyrondystów a Robespierzystów.

Zarówno jedni, jak i drudzy na początku rozpatrywanej burzy dziejowej hołdowali tym samym przekonaniom. Wszechwładztwo ludu, równość wobec prawa i wolność osobista są temi hasłami wspólnemi. Ale gdy logika wypadków wysunęła ich naprzód, rozpoczyna się różnicowanie wzajemne, doprowadzające do tego, iż ze sprzymierzeńców politycznych stają się nieprzejednanymi wrogami.

Ta przeciwstawność ich późniejsza wynikła z odmienności natury duchowej, przeważającej wśród jednego i drugiego stronnictwa.

Żyrondyści byli obdarzeni naturą artystyczną, wrażliwą na piękno, wyróżniali się wymową, która płynie wprost z serca i elektryzuje słuchaczy. Każda podnieta zewnętrzna oddziaływa na takie umysły, uczucie panuje nad logiką. Przyszli żyrondyści przybywają do Paryża rozmiłowani w bohaterach świata klasycznego, do których przylgnęli całem uwielbieniem artystów. Ale rzeczywistość zawiodła

oczekiwania. Zamiast ludu, takiego, jak u klasyków, ujrzeli gromady brudne, niekiedy pijane i rozbestwione, pastwiące się w sposób brutalny nad ofiarami nienawiści swojej. Tłum zaczyna wzbudzać w nich odrazę: „nie podajecie im dłoni, tylko palec jeden!“, ktoś rzuci im później w twarz taką zniewagę. Natomiast przedstawiciele starego porządku rzeczy, przeciw którym w imię idei piorunowali, przy bliższem poznaniu przestają wyglądać na potwory: są to osoby dobroduszne, posiadające wiele zalet osobistych. Zwolna tworzy się rozdźwięk w jaźni artystów - polityków. Zaczynają przebąkiwać o konieczności nałożenia cugli na rozkiełzaną swawolę sankiulotów, usiłują ocalić Ludwika XVI z jego rodziną przed huraganem, który sprowadzili poniekąd własnemi deklamacjami. Wikłają się we własnej niekonsekwencji i, oceniając trafnie niebezpieczeństwa, wskazują właściwe środki — w chwili upojenia, lecz cofają się przed ich wykonaniem.

Ich przeciwnicy przedstawiają typ zgoła odmienny.

Są to intelektualiści, „maszyny mózgowe“, które, przyjąwszy jakieś założenia, wyciągają z nich możliwe konsekwencje i według nich postępują. Mają coś z charakteru wielkiego matematyka Cauchy, który, z gruntu natura uczynna i litościwa, nawet miłosierdziu nadał piętno formuły matematycznej: pomagał nie żywym, cierpiącym osobom, ale ułożonym przez siebie bezosobistym kategorjom. Odporni na podniety chwilowe, nie spuszczają z oka celów ostatecznych i od początku do końca pozostają wierni sobie. Teorje J. J. Rousseau są dla nich objawieniem, które postanowili urzeczywistnić. Szli niegdyś pospołu z Żyrondystami i są poniekąd wykonawcami ich pomysłów: co ci wygłosili w chwili uniesienia, Górale później wcielają w życie. Sądzą nie ludzi, ale kategorje; wysyłają na gilotynę nie bliźnich, ale rojalistów. Vergniaud, Isnard i inni Żyrondyści dla człowieka zapominali o jego stanowisku społecznem; Górale dla kategoryj społecznych — o człowieku.

Taka odmienność charakterów sprowadza z biegiem czasu różnicowanie zastępów wspólnie ongi idących: Górale stają się rzecznikami posuniętych do ostateczności konsekwencyj, które wypływają z wyznawanych przez nich zasad; Żyrondyści cofają się, zniechęceni gwałtownością środków, do których trzeba się odwołać. Dla jednych wypadki nie

wypowiedziały jeszcze ostatniego swego słowa, drudzy boją się tej chwili i opóźniają jej nastanie.

Zatarg ten nie odbywa się na pustkowiu, lecz wśród roznamiętnionego walką domową społeczeństwa. Hasła i postawa każdej z tych dwu grup znajdują odgłos u tych warstw, których interesom odpowiadają. Sankiuloci, którzy po dawnemu pozostali w nizinach społecznych, popierają Górali; mieszczaństwo, które otrzymało to, czego ongi pragnęło i życzyłoby sobie teraz powściągnięcia dalszej rewolucji, staje po stronie Żyrondystów. Ta okoliczność, że jedni i drudzy nie byli świadomi takiej swej roli klasowej, w niczem nie zmienia charakteru rzeczy. Albowiem oba stronnictwa jednakowo odwoływały się do „rozumu", jako najwyższej instancji. Postawieni jednak w obliczu wydarzeń, z tym samym zasobem idej, uczestnicy, skutkiem różnicy natury swej duchowej, przybrali odmienną postawę i znaleźli zwolenników każdorazowo wśród kół, których interesy ich taktyka popierała. Stali się przywódcami partyj politycznych, walczących przeciw sobie a ogarniających całe społeczeństwo, językami partyjnemi interesów społecznych, które przeciwstawiły się sobie z całą mocą namiętności.

Bynajmniej nie chcemy twierdzić, ażeby gromada społeczna w całej swej rozciągłości składała się z tak wyraźnie zarysowanych typów, jak te, które tylko cośmy rozpatrywali. Jądro jej przedstawia raczej szarą bezkształtną masę, w której tkwi to i owo i stosownie do okoliczności zwycięża. Musimy jednak przystać na istnienie w społeczeństwie dążeń, które u jednych występują mocniej, u innych słabiej, do zajęcia takiego stanowiska, do wykonywania takiej działalności, które są w harmonji z usposobieniem i instynktami. Warunki historyczne nakładają pęta na swobodę wyładowywania się instynktów, otwierają nowe drogi postępowania, niszczą możliwość którychś sposobów życia, ale w każdym czasie i na wszelkiem miejscu natura duchowa człowieka szuka dostępu do odpowiedniego sobie stanowiska, o ile temu sprzyjają warunki prawno-polityczne.

* * *

Więź społeczna w rozwoju dziejowym przechodzi fazy rozmaite, w miarę tego, jak powstają nowe potrzeby, a z niemi

nowe widnokręgi. Jedne ustroje od swoich członków wymagają jednych rysów charakteru, inne natomiast odsuwają na bok typy, dawniej rej wodzące. Z pośród gromady plemiennej wychodzą osoby, stosowniejsze do obowiązków i czynności nowej fazy życia gromadnego i zaczynają przywodzić narodowi.

Uwydatnimy myśl tę paru przykładami.

Wojna była ulubionym żywiołem Indjanina Ameryki Północnej. Dokładano wszelkich starań, ażeby z dziecka wyrósł dzielny a mężny wojak, unikano zaś wszystkiego co zrobiłoby charakter jego chwiejnym i uniżonym. Nie znano chłosty, nawet nie udzielano nagan. Dzieci były tak wrażliwe na karę, że dziewczęta, otrzymawszy lekkie strofowanie, wieszały się z rozpaczy. Nawet zabawy winny były wyrabiać hart ducha. Dziewczęta i chłopcy podawali sobie nawzajem dłonie, na które kładziono rozżarzone węgle, drwiono zaś niemiłosiernie, kiedy który z bólu cofnął rękę. Młodzieniec, zanim przyjęto go w poczet dojrzałych mężczyzn, przebywał ciężkie próby. „Doświadczenie to przyuczało ich do trudów wojny, polowania i innych przygód, na które są wystawieni skutkiem swego trybu życia. Zabijano słabe organizmy, które byłyby jedynie ciężarem dla narodu". Młodzieńców, którzy nie wytrzymali próby, odziewano w suknie niewieście [1]). Jeńców oczekiwały tortury: przywiązanego do pala palono na wolnym ogniu, niekiedy wyrywano paznokcie lub ciało po kawałku. Honor wymagał, ażeby jeniec znosił to cierpliwie, nucił mężnie śpiew śmierci, lżył i jątrzył oprawców.

Społeczeństwu, opartemu na powyżej wyłuszczonych zasadach, były właściwe inne typy aniżeli np. cywilizacji europejskiej, na zalety Indjanina patrzącej obojętnem okiem. I to samo, a więc harmonja pomiędzy wymaganiami ustroju społecznego a naturą człowieka powtarza się w każdem społeczeństwie. Każdorazowy ustrój społeczny dąży do nadania gromadzie ludzkiej odpowiedniego jego wymaganiom oblicza duchowego, to jest przystosowuje naturę ludzką do tych wymagań. Życie dokonywa takiego przystosowania przez umieszczanie jednych typów w dogodniejszych warunkach bytu, lekceważenie zaś tych z pośród nich, które są

[1]) Lawson: History of Caroline, Londyn 1718, 234.

szkodliwe lub obojętne z punktu potrzeb i dróg ustroju. Przewrót tego rodzaju odbył się w ciągu lat trzydziestu w naszym kraju, wśród warstwy ziemiańskiej. Charakter szlachcica był tworem gospodarstwa naturalnego, kiedy przedmioty, zamiast być wysyłane na rynek, gromadziły się w śpichlerzach ziemianina, jako środki spożycia bezpośredniego. Ktoby w owym okresie stosunków ekonomicznych hołdował zasadom oszczędności, tak gorliwie popieranym przez teoretyków poczynającego się kapitalizmu, ten marnotrawiłby dary przyrody w sposób najniedorzeczniejszy. Ale przeszło parę wieków. Zamiast naturalnego, rozpostarło się w kraju gospodarstwo pieniężne, i cnoty pradziadów stały się grzechami w kodeksie moralnym ekonomistów. Ziemianie wierni dawnym zasadom staczają się w ruinę; typy zaś, odznaczające się rachunkowością, oszczędnością, to jest cnotami chwili obecnej, zajmują posterunki ziemiańskie. Bankructwo naszego ziemiaństwa w latach 1866 — 1880 to zamiana jednej rasy psychicznej przez inną.

Każda epoka dziejowa posiada, ściślej mówiąc: musi posiąść z biegiem czasu wśród gromady właśnie wymagane uzdolnienia, popędy i namiętności. Niektórzy twierdzą, że przyroda człowieka sprzyja tylko określonym ustrojom społecznym. Tymczasem dzieje przedstawiają nam zgoła odmienny obraz: istota ludzka przebywała w atmosferze solidarności wzajemnej, przetrwała ustroje: niewolniczy i kastowy, przystosowała się do zasad wolnej konkurencji, i każdorazowo czuła się w swoim żywiole, póki w życiu gromadnem nie zjawiły się pierwiastki nowego porządku rzeczy. Wtedy rozpoczynało się przystosowywanie, które zresztą bynajmniej nie oznacza, ażeby owo przyrodzenie przekształciło się, ale tylko, że jedne typy wyginęły częściowo lub zupełnie, inne zaś wzmogły się w liczbę swoją. Nie oceniono jeszcze dotychczas należycie mechanizmu, ani doniosłości tych doborów psychicznych, dokonywających się w społeczeństwie w sposób żywiołowy. Te dobory są jednak źródłem rozwoju (uzdolnień i charakterów), mniejsza, czy idącego w kierunku dodatnim, lub ujemnym. Powszechnem jest mniemanie, że wszyscy członkowie społeczeństwa doskonalą się, lub nikczemnieją jednocześnie, jak to bywa pozornie na polu: pędy zboża wychodzą równolegle ze wszystkich ziarn, rosną ku górze i dają

początek jednakim kłosom. Dobory zaś odtwarzają jak gdyby historję lasu, w którym tylko jedne drzewa rozrosły się i rozgałęziły na wszystkie strony, inne zmarniały w cieniu. Otóż przebiegi tej drugiej kategorji były dotychczas jedyną dźwignią postępu, albo uwstecznienia w zakresie uzdolnień i charakterów. „Ludy w swojej całości nie postępują naprzód, ani nie cofają się wstecz, lecz zawierają w sobie dobre i zdrowe pierwiastki, które rozmnażają się, oraz inne, spełniające rolę mikrobów rozkładu. Ostateczny wynik takiej fermentacji społecznej odciska się w umysłach powierzchownych, jako pojęcie powszechnego postępu, lub zwyrodnienia. Ścisła nauka może mówić tylko o doborach. Błąd polega nie na założeniu, że istnieje postęp, tylko na sposobie uprzytomniania go sobie. Postęp wypływa tylko z doboru, nie zaś z ruchu całości".

Naród jest całością zbiorową, podlegającą bez przerwy przekształceniom. Jedne typy rozmnażają się w nim pod działaniem sprzyjających warunków, inne zanikają. Każda instytucja społeczna wywiera w tym kierunku wpływ, tj. sprzyja wzmaganiu się jednych natur i upadkowi innych. Dodajmy do tego, że dobory, jako narzędzie, przekształcające naród, działają w sposób bardzo napięty, tj. mogą wywołać znaczne zmiany w niewielkim odstępie czasu. Przy korzystnym zbiegu okoliczności, są najskuteczniejszym środkiem postępu. Gdy warunki odwrócą się, naówczas doprowadzają szczep do bardzo rychłego wyjałowienia i upadku [1]).

II.

ŻYWE SPOIDŁA ŻYCIA ZBIOROWEGO.

(1904).

J. Nowikow w jednej z prac swoich, usiłując wykazać, iż świadomość interesów społecznych ześrodkowuje się w bardzo nieznacznej liczbie mózgów, popiera wywody swo-

[1]) Weźmy np. charaktery ruchliwe i energiczne z jednej, służalcze i ślamazarne z drugiej strony. Przypuśćmy, że oba odłamy jednakowo przyrastają, mianowicie o 5% rocznie, lecz że śmiertelność pierwszego wynosi 4%, drugiego zaś tylko 2%. Załóżmy jeszcze, że początkowo pierwsze tworzyły 75% w narodzie, drugie 25%. Cyfry te po 50 latach zmienią się zupełnie: energiczne typy będą wynosiły 52%, ślamazarne 48%. Po latach zaś stu stosunek będzie jeszcze niekorzystniejszy: 29% i 71%, tj. w ciągu czterech pokoleń fizjognomja duchowa narodu ulegnie zupełnej zmianie.

je wiązanką faktów i obrachunków. Między innemi przytacza małe rozpowszechnienie w Anglji dokumentów, ogłaszanych przez parlament [1]). Wydawnictwa te są oddawane prawie za bezcen: foljał, mający 320 stronic, kosztuje niespełna 40 kop., a przysyłka dorzuca do tej ceny kwotę bardzo nieznaczną. Jednak rzadko znajdują nabywców, chociaż niska cena powinna byłaby zachęcić obywateli kraju do zaznajomienia się z zawartym w dokumentach parlamentarnych materjałem. Wydawnictwa, których druk tylko kosztował 5,600 franków, dały ze sprzedaży półtora franka. Wymieniony socjolog uwzględnił także Francję [2]). Tam, w każdym departamencie, ledwie 300—400 osób bierze na swoje barki pracę nad ułożeniem programów wyborczych, oraz wyszukaniem kandydatów, którym powierzony będzie mandat przedstawiciela narodu. Liczby te dadzą dla całego kraju w najlepszym razie 50,000 osób. Garstka ta rozstrzyga o kierunku głosowania powszechnego i faktycznie rozporządza 7—8 miljonami wyborców. „Te osoby — pisze J. Nowikow, a raczej powtarza słowa Germain'a—, uczyniły z politykowania zawód i pragną nadewszystko i przedewszystkiem nie władzy, jeno stanowisk. Politykierzy mniemają, iż, spełniając czynności agentów wyborczych, otrzymają łatwiej urzędy, niż przygotowując się do tego przez długie studja". Niewątpliwa, że wielu takich rzezimieszków uwija się pomiędzy agentami wyborczymi, ale Nowikow zapomina o tem, że są tam także działacze bezinteresowni, którzy krzątają się około spraw społecznych w imię dobra pospolitego i żyją szczerą troską o los ojczyzny. Typy tego rodzaju czystej ręki działaczy odnajdziemy śród kierowników syndykatów, stowarzyszeń spożywców, związków zawodowych, a zawsze podejmują się ciężarów, powodowani pobudkami najszlachetniejszemi. „Nasze stowarzyszenie — (powiada członek jednego ze stowarzyszeń francuskich) — liczy około tysiąca członków, ale niestety zaledwie 4—5 zajmuje się poważnie sprawami. Oddawna już poszukujemy następców i nie znajdujemy. Jedynie nasza miłość własna założycieli skłania nas do pozostawania na stanowisku, które chętnie opuściliśmy".

[1]) I. Novikoff: Conscience et volonté sociales, 1897, 73.
[2]) Ib., 65.

Powtarza się to zawsze w każdej organizacji, która jest wyrazem dobrowolnego zrzeszenia się obywateli, w każdym prądzie, który zaczyna nurtować społeczność. Zawsze i wszędzie, w codziennych warunkach życia zbiorowego, tylko nieznaczna garstka bierze na siebie pieczę nad rzeczą pospolitą. J. Nowikow rzekłby, że ześrodkowuje w sobie wolę i świadomość zbiorową i spełnia w życiu społecznem czynności mózgu; co do nas poprzestaniemy na zaznaczeniu, iż ona-to wnosi ruch w tłumy bezwładne, stwarza postęp, wywołuje fermentację, a przedewszystkiem wiąże gromadę w zwartą jednię. Osobistości takie są jako spójnie, które prowadzą rozstrzeloną rzeszę ku spólnym celom, a podejmując się zadań, które wymagają czynu, ruchliwości, rzutkości, żądają od biernej gromady, ażeby dała przyzwolenie swoje na taką działalność. Występują jako organizatorzy, agitatorzy, apostołowie, jako owi animatori, evocatori, bez których życie gromadne obejść się nie zdoła. Wszyscy ci ludzie spełniają zadanie spoideł — społecznych.

Ale powyżej wymienione postaci nie wyczerpują swojem istnieniem wielkiego zastępu typów, którym w życiu zbiorowem przypadła rola spoideł żywych. Tam, w naszych wywodach dotychczasowych, działacz przeciwstawiał się biernej, a przynajmniej opieszałej gromadzie; obok tej przeciwstawności istnieje druga — na jednym biegunie jej znajduje się rozkazodawca, tj. osoba, która umie narzucić innym wolę swoją i zaprząc do posłuszeństwa, na drugim — tłum posłuszny, będący jako narzędzie w ręku przywódcy swego. Nawet w najruchliwszej i najenergiczniejszej gromadzie istnieje taki urodzony władca. A jak uczy doświadczenie, nie zawsze bywa to osobistość, obdarzona największą śród uczestników inteligencją. Zdarza się, iż taki rozkazodawca pod względem umysłowym, a nawet gdy chodzi o środki praktyczne, o rozumienie dróg, po których prowadzi rzeszę swoją, ustępuje towarzyszom, którzy jednak idą za nim i uskuteczniają jego rozkazy. Ta okoliczność świadczy, iż rola przodująca śród gromady, a zwłaszcza rola rozkazodawcy wypływa nie z przewagi w duchowości jego pierwiastków intelektualnych. W pewnych swoich wcieleniach ten typ rozkazodawców zlewa się z niektóremi postaciami poprzedniego zastępu, ale swoją drogą istnieje zasadnicza różnica

pomiędzy rozkazodawcą a organizatorem, pomiędzy nim a agitatorem, a nawet pomiędzy organizatorem, który umiał skupić rozstrzelone siły do działania wspólnego, a tym, który te siły utrzymuje w jedności i posługuje się rozkazodawcą, gdy chodzi o czyn.

Takie same, choć odmiennej miary żywe spójnie występują przed badaczem nawet w pospolitem życiu towarzyskiem. Owe sławne salons de conversation, które tak kwitnęły we Francji przed Wielką Rewolucją, posiadały żywe poczucie, iż powodzenie ich zależy od obecności odpowiednich osób. W tej organizacji salonów odnaleźlibyśmy cały zastęp typów, śpieszących sobie nawzajem z pomocą i pracujących nad utrzymaniem łączności pomiędzy zgromadzonymi. Potrzebną była gospodyni domu, taka pani Sévigné, Helvetius lub inna, któraby umiała zespolić w salonie swoim, dokładniej: uwieść na trwałe znaczniejszą liczbę osób, stworzyć tam atmosferę serdeczną, w której zniknąłby przymus wszelki i sztywność. Potrzebny był causeur, któryby przy jej boku współdziałał, uzupełniając swoją obecnością jej starania, a więc ożywiał dowcipami swemi lub umiejętnem opowiadaniem zgromadzenie, odganiał martwotę i trzymał na uwięzi uwagę gości. Potrzebni byli cisi z pozoru uwodziciele rzeszy, którzyby byli jako owe światła drugorzędne w wielkiej sali, co osłabiają ostrość cieniów i łagodzą przejścia: każdy z nich był ogniskiem, z którego w rozmowie samotnej promieniowało ciepło i serdeczność, a chociaż niepozorne, przecież wywierało wpływ i pociągało. Nawet pospolity gaduła coś dawał. „Godzę się z nimi — powiada jedna z mistrzyń sztuki salonowej, pani Geoffrin, — byleby to byli gaduły czystej krwi, którzy pragną tylko jednego, a mianowicie chcą mówić, ale nie wymagają, ażeby ich słuchano. Mój przyjaciel Fontenelle, który również przebacza im niekiedy, oświadcza, iż dają odpoczynek piersiom jego. Wyświadczają jeszcze inne dobrodziejstwo. Ich brzęczenie czcze jest jak głos dzwonków, który nie przeszkadza wątkowi myśli, a nawet zachęca do snucia jego“ [1]). Każdy z tych typów służył jako narzędzie w rękach każdego innego, i słusznie p. Geoffrin, odpowiada-

[1]) Feuillet de Conches: Les salons de conversation au XVIII-ème siècle, Paryż, 1891, 58—59.

jąc na kompliment abbé Saint-Pierre'a, iż jest tego wieczoru zachwycającą, oświadczyła: „jestem tylko narzędziem, któregoś pan umiał dobrze zażyć“ [1]), wszystkie zaś pospołu utrwalały organizację towarzyską. W tych salonach bawiono się tylko rozmową, rozmawiano zaś o rzeczach najbłahszych. „Był to istotny kwiatek w winie, co ulatnia się, nie pozostawiając śladu, ale którego smak jest wyśmienity. Kto zaś go skosztował, wszystko inne wydawało się mu mdłem“. Weźmy jeden z tych salonów, a mianowicie w domu pani Geoffrin [2]). Kobieta ta, „pełna smaku i taktu, posiadała umiejętność gromadzenia na trwałe dokoła siebie wykwintnych umysłów. Umiała przezwyciężać trudności, które istniały, swoją zręcznością i usposobieniem pojednawczem. Dama ta, przyznająca się, iż nie odebrała wykształcenia i nawet nie pisała poprawnie, posiadała zaletę milczenia w porę i mówienia tylko o tem, co wiedziała. Jej takt oddał jej liczne przysługi“. Towarzystwo było dobrane należycie — ze stanowiska celów salonu. „Kto nie posiadał dowcipu i elegancji, znajomości savoir-vivre'u i anegdot, kto nie miał za sobą owego tysiąca błahostek, z których przecież rodzą się nowe pomysły, ten nie mógł marzyć o otrzymaniu miejsca na te zbory, uroku pełne“. A w głębi po za gospodynią ukrywały się jej narzędzia, może taki Fontenelle albo abbé Choisy. „Fontenelle miewa dni swoje. Mówi lekceważąco, jak człowiek co zna dobrze swoją wartość. Często zdarza mu się milczeć i tylko poprzestaje na wydatkowaniu drobnej monety umysłu swego, wówczas gdy abbé Choisy za jednym zamachem opróżnia sakiewkę swoją. Wprawdzie nazajutrz bywa już pełną. Nie znam nikogo, kto posiadałby taką jak Fontenelle niezrównaną sztukę milczenia, poddawania innym dowcipu i żartu niezłośliwego [3])“. A gdy tego animatore ogarniało znużenie, naówczas wolno było brzęczeć gadułom, ażeby piersi mistrzów wypoczęły... Ręka umiejętna dobierała uczestników czynnych, którzy byli spoidłami, a reszta gości — ta reszta wchodziła w stworzoną więź i w niej pozostawała.

Doniosłość tych spójni żywych, potrzebę takiej ręki

[1]) Ib., 55.
[2]) Ib., 57, 56.
[3]) Ib., 19.

umiejętnej, ocenimy jeszcze bardziej, gdy zwrócimy się do kraju naszego w przededniu wypadków r. 1863. Były to lata gorące, a salon miał służyć nie ku rozrywce, jeno spełnić ważniejsze posłannictwo: stworzenia stronnictwa. Gospodarzem był margrabia Wielopolski.

„Można było — pisze W. Przyborowski [1]) — rozpocząć przyjęcia towarzyskie, co było koniecznem; zbliżyć się nieco do towarzystwa warszawskiego, które stało jakoś na uboczu i z niezadowoleniem przed siebie spoglądało. Margrabia nigdy wielkich stosunków nie miał, — jednych odstręczała jego duma, z innymi on sam żyć nie chciał. Sam był śród swoich mało towarzyskim, w domu był zawsze milczący i chmurny. Wszystko to nie mogło ułatwić zawiązania nici towarzyskiej między pałacem Brühlowskim a wielkim światem szlacheckim i mieszczańskim Warszawy. Nudno było na margrabskich wieczorach. Cały charakter zebrania był sztywny, zimny i urzędowy. Sam margrabia pokazywał się późno, niekiedy z zasępioną i chmurną twarzą przechadzał się powoli, rzucając słówka o ludziach i rzeczach, zwykle bardzo zjadliwe, które nazajutrz całe miasto powtarzało, które zresztą w tym celu były wygłaszane. Ręki prawie nikomu nie podawał, czasem umyślnie dobywał chustki od nosa, aby witających oszukać i skwapliwie wyciągniętą dłoń zostawić w powietrzu. Każde jego słowo na tych wieczorach, nieskończenie nudnych i przykrych, było obliczone, każdy gest obrachowany, każde zbliżenie się do kogoś miało znaczenie. Gdy się pojawił, wszystkie oczy były nań zwrócone, wszystkie uszy z natężeniem słuchały, co z ust jego padnie. Niekiedy zatrzymywał się na środku salonu i tworzył dokoła siebie, jak monarcha, c e r c l e, ale o polityce nigdy nie mówiono. Zrazu dość wielka ciżba poniedziałkowych wieczorów zaczęła się zmniejszać i salony pałacu Brühlowskiego pustoszały straszliwie“.

W powyższych przykładach, nie wyczerpujących przecież przedmiotu, wyodrębniają się z pośród gromady osobistości, które, obdarzone stosownemi pierwiastkami ducha, są jako cement, co spaja cegły pojedyńcze w mur zwarty. Rola ich jest zwłaszcza doniosłą tam, gdzie przymus, mniejsza jakiego rodzaju, nie wiąże uczestników. Albowiem przy

[1]) Historja sześciu miesięcy, Petersburg, 1901.

istnieniu klamry przedmiotowej, trzymającej ludzi w jedni, względnie obojętną jest obecność żywych spoideł. Obojętną— dla istnienia nadal samej organizacji, bo gdy chodzi o jej należytą działalność, o rzutkość i siłę czynu, wtedy brak ręki, umiejącej pokierować gromadą, słowa, które nieci zapał, wpływu, który zespala serca, daje się dotkliwie odczuć. Otóż z takiego zastępu spajaczy wybierzemy kilka typów, ażeby poddać je rozbiorowi szczegółowemu.

* * *

W jednej z prac swoich H. Guyau łudzi się nadzieją, iż subtelność nasza w odczuwaniu czyichś stanów ducha dosięgnie kiedyś takiej doskonałości, iż pomiędzy rodakami odbywać się będzie systematyczna a bezwiedna i milcząca wymiana nastrojów. Każdy z mózgów będzie oddziaływał na inne, budząc w nich bez uczestnictwa gestów i słów stany pokrewne, i sam wchłaniać będzie prądy, wysyłane przez innych.

Nie będziemy poddawali rozbiorowi tych marzeń, tak samo jak nie uwzględnimy poszukiwań Richeta nad „przesyłaniem myśli", ani nie potrącimy faktów jeszcze mało zbadanej telepatji. Są to rzeczy, o których nie można dzisiaj mówić poważnie. Swoją drogą istnieją śród gromady społecznej typy, które rojeniom H. Guyau nadają odcień możliwości i mogą zwolennikom telepatji podsunąć myśl o oddziaływaniu na odległość pomiędzy mózgami.

Są to owe osoby, obdarzone niezmierną zdolnością odczuwania stanów obcej jaźni i nieświadomego przejmowania się cudzemi cierpieniami.

Umiejętność ta występuje na jaw zwłaszcza w niewielkiem gronie towarzyskiem, a prawdopodobnie jeszcze silniej w obcowaniu we dwoje. Toczy się rozmowa np. na pozór najobojętniejsza, a jednak dotyka kogoś z obecnych i sprawia mu przykrość. Ten ktoś nie daje poznać tego po sobie, a jednak osoba, obdarzona ową subtelnością, odczuwa jego stan, doznaje sama zakłopotania i nieraz nieświadoma nawet pobudek własnego postępowania wdraża pogawędkę na inne tory, przerywając niekiedy dość natarczywie nić dotychczasową rozmowy. Jak izbice, stawiane przed mostem od strony prądu dla ochrony wiązadeł jego od kry wiosennej, tak samo

typy takie obecnością swoją osłabiają rozdźwięk zagrażający rozbiciem towarzystwu, łagodzą ciosy bolesne, zapobiegają bezwiednemu jątrzeniu ran czyichś. Nie trzymają gromady w karbach ani nie mogą jej trzymać, bo właśnie organizatorzy, a zwłaszcza rozkazodawcy potężni są nieumiejętnością wczucia się w duszę cudzą: rozumienie tych przykrości, które niejednokrotnie innym wyrządzają bezwiednie, zgarniając ich do gromady, raczej oddziałałoby jaknajujemniej na sprawność czynu organizującego. Typy, odznaczające się subtelną wrażliwością na cudze cierpienia i niepokoje, spełniają w życiu inne zadanie: nie pozwalają istniejącej gromadzie, dokładniej—gromadce rozpaść się, bo łagodzą zawczasu wszelką rozterkę, która zdołałaby się tam zakraść. Tkwią tam jako supły sieci, zawsze plastyczne i dostrajające się do innych tylko po to, ażeby ich godzić pomiędzy sobą, to znowu aby uspokoić, i zawsze bierne, acz inni lgną do nich i gotowi iść za niemi.

Na organizację tych natur „delikatnych", tych biernych a plastycznych spoideł życia zbiorowego, rzuca światło niejakie duchowość tak zwanych odczytywaczy myśli, zawodowców, którzy, jak słynny przed laty Stuart C. Cumberland, zrobili z umiejętności źródło zarobkowania. Odczytywanie to polega na tem, iż medjum ma, jak w zabawie zwanej ślepą babką, zawiązane oczy; ktoś ukrywa jakiś przedmiot, każe napisać dowolny wyraz lub odtworzyć jaką scenę, medjum zaś, trzymając za rękę lub w inny sposób dotykając się „kierownika", uskutecznia zadanie.

Oto parę takich doświadczeń.

Znany klasyk angielski, dr. Holden, w towarzystwie Romanesa i innych schował szpilkę gdzieś na Trafalgar-Square w Londynie. Cumberland wyszedł z dr. Holdenem z domu na Charing-Cross, a pomimo ciżby na ulicach poprowadził kierownika swego najprostszą drogą i odnalazł przedmiot. W innem doświadczeniu, w Berlinie, medjum to było związane z mr. Cassonem, ambasadorem amerykańskim, za pomocą drutu, a trzeba było odszukać przedmiot, ukryty w odległości prawie kilometra. „Jeden koniec drutu — opowiada Cumberland — obwinięty był naokoło mojego prawego napięstka, drugi — naokoło napięstka lewej ręki mr. Cassona, sam drut wisiał luźno. Związani w ten sposób, udaliśmy się na poszukiwania. Od czasu do czasu drut się wyprężał i wpijał się w skórę skutkiem napięcia,

z jakiem pociągałem swego kierownika. O ile było możebne, unikałem zetknięcia naszych rąk. Opuściwszy Unter den Linden, zawróciliśmy w wąską uliczkę, a stamtąd do stajen cesarza Wilhelma. Natrafiłem na skrzynię ze zbożem i znalazłem ją zamkniętą. Ująłem na chwilę rękę mr. Cassona w swoją, ażeby wzmocnić wrażenie. Następnie zwróciłem się do ks. von Ratibor i, wsunąwszy ręce do jego kieszeni, wyciągnąłem klucz do skrzyni, odrazu ją otworzyłem i wewnątrz między zbożem odkryłem schowane jajko". W „Pamiętnikach" Cumberlanda podano jeszcze ciekawsze doświadczenia, zbyt długie jednak, ażeby je powtarzać. Istnieją tam także szczegóły, dotyczące rozwoju umiejętności samej, oraz jej istoty. „Już za czasów dzieciństwa moje zdolności spostrzegawcze odznaczały się bystrością; władzę dochodzenia myśli innych ludzi posiadałem, sądzę, w młodym bardzo wieku. Dopiero jednak przed siedmiu laty zająłem się praktycznie tym przedmiotem... Jest rzeczą zadziwiającą, w jakim stopniu władza czytania myśli, jeśli ktoś posiada tę zdolność, rozwija się przez wprawę, aż w końcu mogą być podjętemi najbardziej zawikłane doświadczenia" [1]). „Zasada doświadczeń jest zawsze ta sama, czy chodzi o znalezienie szpilki, o odczytanie numeru na banknocie lub odtworzenie rzekomego zabójstwa. Otrzymuję wskazówkę od osoby, która ma w myśli swojej to zadanie, za pośrednictwem jej systemu cielesnego. Biorę osobę za rękę i żądam, ażeby myślała o pewnym przedmiocie; jeśli postępuje w sposób odpowiedni i stara się, ażeby idea o owym przedmiocie zapanowała w jej umyśle, otrzymuję wskazówkę, co do kierunku, w którym przedmiot się znajduje, a idąc za nią, odnajduję go..... Odczytywanie myśli polega tylko na postrzeganiu wrażeń dotyku — nic nadto" [2]).

W odczytywaniu myśli pospolitem, za pomocą dotykania bezpośredniego, osoba czynna, tj. kierownik, udziela wskazówek przez drobne ruchy mięśniowe, towarzyszące ześrodkowanemu myśleniu. Ruchy te kształtują się w ten sposób, iż wytykają kierunek, w jakim przedmiot się znaj-

[1]) Stuart Cumberland: A Thought-reader's thoughts, Londyn, 1888, 243.

[2]) Ib., 314—316.

duje, lub formę jego, gdy chodzi o odtworzenie jego konturów ołówkiem. Medjum, tj. osoba odgadująca, wyróżnia się umiejętnością odczucia tych drgań i ruchów i wyczytania z nich tego, co powinna spełnić. Odczytywanie myśli na odległość częściowo tkwi w takiej samej umiejętności bezwiednego uchwycenia czyichś gestów, wyrazu twarzy, a nawet, jak twierdzi Lehmann, ruchu ust. „Pytałem się panny E., co odczuwała, gdy wrażenia przepływały swobodnie. Odrzekła mi, że czuła jakoby rodzaj wpływu lub dreszczu. Obie powiedziały, że kiedy kilka przedmiotów naraz ukazuje się w ich umyśle, z pomiędzy nich ustawicznie jeden się wyłania, a gdy na ten jeden zwrócą swą uwagę, czują, iż jest to przedmiot właściwy“ [1]). (Sądzę, iż medjum w powyższem opowiadaniu nadało swoim stanom wewnętrznym większą wyrazistość, niż w rzeczy samej było). Rzeczą jest najprawdopodobniejszą, iż drobne ruchy, drobna zmiana wyrazu twarzy, gest na pozór małoznaczący rodzą u osób rozpatrywanego typu, tj. osób uchwytujących cudze stany ducha, jakiś nieokreślony niepokój, który sprawia, iż, nieświadome działających sprężyn, przerywają czyjąś mowę, porzucają swój zamiar. Wogóle odgadywanie uczuć czyichś i przejmowanie się niemi polega na wymianie, jak wyraża się J. C. Ferrari [2]), pod-automatycznej pomiędzy dwiema osobami, a to dzięki postrzeganiu ruchów jaknajbardziej znikomych, mniejsza jakiej natury. „Odczytywacze myśli należą do odłamu dość rozległego osób albo nienormalnych albo stanowczo chorobliwych, grzeszących bardzo wyraźną hiperestezją (nadwrażliwością) pokładów podświadomych. Cechą przyrodzoną tej wielkiej rodziny jest rozstrzelenie osobowości, sięgające różnych szczebli napięcia, rozstrzelenie dowolne, żywiołowe, a nawet sztuczne“ [3]) Badacze włoscy w każdem zjawisku niecodziennem widzą chorobliwość! Mniejsza jednak o to. Jednak charakterystyka sama odczytywaczy i odgadywaczy jest w ogólnych zarysach trafną: odznaczają się niezmiernie subtelną wrażliwością, rozstrzeleniem poczucia swej osobowości, wreszcie umiejętnością podchwycenia bardzo znikomych gestów, ruchów i t. d. czyichś.

[1]) W. S. Hovey: Odgadywanie myśli, Warszawa 1895, 1225.

[2]) J. C. Ferrari w IV-ème Congrès international de psychologie 1900; Paryż, 1901, 133.

[3]) ib., 133.

Takim jest typ, — jeden z tych, które ćwiczeniem nabywają większej wprawy, ale które w organizacji swojej duchowej przynoszą na świat wszystkie zasadnicze przymioty swoje. Jego przedstawiciele zajmują w życiu różnorodne pozycje i spełniają w niem wielorakie zadania, odpowiednio do tego, jakie jeszcze pierwiastki obok powyżej wyłuszczonych wplotły się w ich duchowość. W więzi życia codziennego, towarzyskiego, występują w charakterze osób, które wdaniem się swojem łagodzą rozterki i usuwają dysonanse. Niekiedy stają się ogniskiem, dokoła którego inni się gromadzą, świadomi, że nie będą tam wystawieni na żadne zamachy przeciw swojej indywidualności, a przecież mogą otrzymać podnietę, znaleźć wypoczynek dla ducha swego, skąpać się w ożywczej atmosferze ciepła i serdeczności. A niekiedy ten wrażliwy i subtelny przyjaciel zamienia się w cichego animatore, od którego po przez ruchliwsze i bardziej rzutkie natury spływa życie i myśl wielkiem łożyskiem na społeczeństwo. Pobudki tego rodzaju zwłaszcza działają, gdy do powyższych czynników dołączy się nadto odmienność płci: powstają naówczas owe związki platoniczne, kiedy jedna osoba u drugiej szuka dla siebie przedewszystkiem rezonansu duchowego, — związki, które właściwiej byłoby nazywać stadłami telesteniczne mi, że w nowem zastosowaniu użyjemy zwrotu mowy, wprowadzonego przez J. C. Ferrariego. W działalności zawodowej wyłuszczone cechy rozstrzygają o powodzeniu spowiednika, który tem silniej pociąga ku sobie, im z półsłówków umie subtelniej grzech wymacać, a nie zmuszając do uciążliwej o nim opowieści, wczuwa się nie tylko w bóle penitenta, ale także z nim współczuje. Przymioty te są prawdopodobnie obecne w duchowości dobrego psychjatry i robią z niego rzetelnego lekarza i znawcę umysłów schorzałych. Uwydatniają się u mówców, — nie tych, którzy rzucają rozkazy tłumowi, ale którzy go podniecają i zapalają. „Zjawiska psychologji życia zbiorowego są nieskończenie bardziej złożone — pisze P. Rossi [1]), — gdy różnorodniejszą jest dusza tego, kto oczarowuje innych, jak i tego, kto temu czarowi ulega: pierwszy jest prawie osobistością nienormalną (dlaczego?), o którym nie wiem co powiedzieć, a mianowicie

[1]) P. Rossi: I suggestionatori e la folla, Turyn 1902, 6.

czy nie jest raczej podlegającym sugestji niż sugestjonującym; drugi nie jest nawet osobą, jeno potworem wielopostaciowym, będącym w specjalnych warunkach podniecenia". Otóż mówca taki poddaje się urokowi, który nań spływa od tłumu, wchłania w siebie jego zmienne porywy i nastroje i zamienia się ostatecznie w narzędzie gromady, którą podnieca. Zawsze jednak i wszędzie typ rozpatrywany jest biernej natury spoidłem: biernem ogniskiem przyciągania, biernym wreszcie krzewicielem uroku i czaru. Tak, biernym, jeno nie opieszałym! W pracy, poświęconej odczytywaniu myśli, znajdujemy ustęp: „uderzające było niepowodzenie jednego posiedzenia, odbytego bezpośrednio po obiedzie. Same dzieci przypisywały je przesyceniu żołądka" [1]). Uwaga to zupełnie słuszna: przeładowanie żołądka wywołało owo lenistwo ducha, skutkiem którego zdolność wczuwania się w innych osłabła. Typ subtelnego odgadywacza, o ile grzeszy ospałością, mniejsza z jakich pobudek pochodzącą, zamienia się w kompletne zero społeczne i przestaje spełniać obowiązki spoidła w życiu zbiorowem.

Zresztą sprawa stosunku typu rozpatrywanego do gromady, którą zespala swoją obecnością, jest bodaj bardziej złożoną. Gdybyśmy badali te zbiorowości telesteniczne, gromadzące się dokoła jednej z badanych tu postaci, okazałoby się, iż posiadają oblicza duchowe bardzo różnorodne, ale zawsze istnieje dostrój wzajemny pomiędzy spoidłem-odczuwaczem, a spajanemi osobnikami. Cumberland przelał swojemi zwierzeniami nieco światła na tę sprawę. Wyróżnia pomiędzy „kierownikami" „uczciwych" i „nieuczciwych" a nawet ośmiela się według sposobu oddziaływania wydawać sąd o ich charakterze. Uczciwymi przewodnikami, tj. tymi, którzy wyraźnie wytykają odgadującemu zadanie i zlewają się z medjum swojem w doskonałą wyższego rzędu całość telesteniczną, są osoby zdolne do silnych a trwałych uczuć, do napiętej uwagi i ześrodkowania myśli, szczere w uczuciach swoich i czynach. Natomiast typy chwiejne, kłamliwe, histeryczne, wyczerpujące się rychło na skutek wysiłku woli lub myśli, nie tylko nie mogą służyć za kierowników, ale pomiędzy niemi a medjum rodzi się coś w rodzaju nieufności wzajemnej i nawet nienawiści. To samo

[1]) W. A. Hovey, l. c., 64.

powtarza się prawdopodobnie także w owych zbiorowościach telestenicznych, które tu i owdzie tworzą się w społeczeństwie. Jedne z nich są trwalsze, kiedy dobiorą się nawzajem stateczniejsze natury, tj. zdolne do długotrwałych uczuć, inne będą odtwarzały dorywczość uczuciową, właściwą światu prostytucji. Ale w każdym razie te gromadki są wielką potęgą w zaułkach życia społecznego i tworzą w nich ośrodki najwyższego uspołecznienia w zakresie spraw codziennych. Doniosłość ich wzrasta i musi wzrastać w miarę tego, jak wszelkie więzi natury przymusowej rozluźniają się i rozpryskują, aż w końcu, w owej przyszłej „kooperacji swobodnej", jak wyraża się Herbert Spencer, staną się podstawowemi i pierwszorzędnego znaczenia spoidłami gromad. Typ bowiem rozpatrywany jest wyłącznie i całkowicie typem wolnego nieprzymuszonego związku, typem uspołecznionym, umiejącym poświęcić się, wczuć się w innych, a traktującym innych jako równych sobie. Jednemu nie może tylko podołać: rządzeniu innymi, przynajmniej w swoich najdoskonalszych wcieleniach.

* * *

Związki telesteniczne za pośrednictwem różnorodnych ogniw przechodzą w inne zbiorowości, tkwiące w życiu codziennem społeczeństwa i tworzące tam ową sieć złożoną, w której wiązadłami są spójnie - ludzie.

Nauka dotychczas ujawniła zaledwie ich istnienie, i to w tej mierze, o ile posiadają piętno obłędu lub zbrodni. Tutaj należą owe obłędy we dwoje, słynące pod specjalną nazwą folie à deux, takie same samobójstwa i t. d.

Oto trzy siostry. Po śmierci rodziców znalazły się w nędzy. Okoliczność ta w związku z usposobieniem dziedzicznem wywołała u wszystkich rozstrój umysłowy, który zespolił je w doskonałą jednię duchową. „Zarówno w obłędzie swoim, jak i śród zdarzeń życia codziennego wykazywały zadziwiającą zgodność uczuć i myśli, woli i czynu. Gdy zadawano jednej jakieś zapytanie, za nią często druga odpowiadała, a niekiedy trzecia ciągnęła rzecz temi samemi wyrazami i w tym duchu; jedna uniewinniała i chwaliła drugą, a każdej każda była posłuszną"! Jedna z nich wreszcie zakończyła dni swoje, a „jak żyły wszystkie siostry, tak wciąż żyją dwie po-

zostałe, zgodne w swojej miłości ku sobie, w nienawiści swojej i w nieufności dla całego świata, spokojne, pilne i skromne w swem zachowaniu, obce dla całego otoczenia, jak w chwili wejścia do szpitala, obumarłe dla jakiejbądź sprawy, oraz stale zespolone swoim obłędem“ [1]).

Tożsamość, a przynajmniej silne podobieństwo usposobienia duchowego, uwarunkowane przez dziedziczność, zrobiło każdą z tych sióstr niezmiernie wrażliwą na stany wewnętrzne każdej pozostałej i zwolna odosobniło je od reszty świata, wzmacniając tem silniej węzły wzajemne, aż w końcu po latach szesnastu upodobniły się sobie wzajemnie, poniekąd rozpłynęły się jedna w drugiej, „były dwoma ciałami, ale jedną myślą“. Powstała niewielka kooperacja równoprawna, w której każda uczestniczka była tej samej wartości spoidłem, s u k u b e m i i n k u b e m duchowym jednocześnie. Ale niekażdy obłęd we dwoje i nie każde samobójstwo zbiorowe posiadają takie oblicze. Tu i owdzie pojawiają się te stany na podłożu jednakowego usposobienia, w splocie pokrewnych okoliczności zewnętrznych i potężnieją śród oddziaływania wzajemnego. Gleba jest jednakowa, oddziaływanie zaś polega na wzajemnej wymianie nastrojów pokrewnych i ich ujednostajnieniu. Jeszcze częściej istnieje tylko pokrewne usposobienie, niekiedy tylko nieco punktów stycznych, jedna ze stron zaś spełnia rolę czynną i upodobnia drugą do siebie. Opór może być słabszym lub energiczniejszym, podobieństwo usposobienia coraz mniejszem, ale czynne oddziaływanie jednego z uczestników wzrasta w napięciu i dostraja do siebie drugiego. [2]). Taka przewaga osoby czynnej nad bierną występuje zwłaszcza w zbrodniach zbiorowych. Moreau twierdzi nawet, iż złoczyńca, który dał się pociągnąć towarzyszowi, wogóle odznacza się słabą inteligencją: jest dzieckiem, starcem, zwyrodniałym, głuptaskiem, choć ażeby uległ, prócz oddziaływania muszą jeszcze wpływać inne czynniki, np. zainteresowanie materjalne lub moralne [3]). Na jednym biegunie

---

[1]) Näcke: Raritäten aus der Irrenanstalt (Zeitschrift für Psychiatrie 1894, 638—639).

[2]) Por. klasyfikację obłędów zbiorowych u A r n a u d ' a: Folie à deux (Ann. med.-psych. 1894).

[3]) Moreau (Ann. med.-psych. 1894, VII—VIII).

zapładniacz, pociągający do czynu, na drugim bierne narzędzie, które służy do wykonania czynu!

To ześrodkowanie energji, stwarzające agitatorów, propagandzistów wszelkiego rodzaju, rozkazodawców, powtarza się stale śród żywych spoideł, które obecnością swoją wdrażają gromadę do czynu, — gromadę, która w stosunku swoim do nich odznacza się właśnie biernością i ospałością. Władza rozkazodawcy tkwi przedewszystkiem w jego przymiotach osobistych, a jest niekiedy tak potężna, iż chociaż powaga jego jest pozbawiona rozporządzania środkami przymusowemi, przecież poddający się słuchają go w milczeniu pokornem. Lemmi, jeden z wychodźców włoskich, miał zaznajomić innego emigranta z Mazzinim. Oświadczył mu, że Mazzini nadejdzie niebawem i że będzie mógł wyłuszczyć przed nim swoje argumenty. — „Dlaczego ty nie chcesz tego zrobić, przecież przystajesz na moje poglądy", zagadnął przybysz.— „Dlatego, iż w obecności Mazziniego nikt głosu nie zabiera!" [1]) Nikt głosu nie zabiera, bo chyli głowę przed powagą rozkazodawcy!.... Do przymiotów osobistych dołączają swój wpływ pobudki, tkwiące w stanowisku społecznem, w imieniu przywódcy, ale są to czynniki podrzędne, przynajmniej kiedy chodzi o powagę i oddziaływanie samorzutne, ujawniające się w życiu codziennem. Tam rozstrzygają właściwości natury osobistej. „W kolegjach najlepsi uczniowie, świeczniki klasy, rzadko kiedy mają najwięcej wpływu i popularności... Zdaje się, iż energja woli odgrywa w tym wypadku większą rolę, niż zdolności i nawet polot inteligencji. Możliwa także, iż spółdziała z nią wpływ jakiś fizyczny, nie poddający się rozbiorowi, a wywierany przez osobliwe ukształtowanie rysów fizjognomji, kompleksji cielesnej. Może pozostaje w związku, zapomocą nici niedostrzegalnych, a nie dających się wyjaśnić, z pobudką płciową" [2]). Prace, poświęcone klasyfikacji charakterów, podkreślają niejednokrotnie tę rolę czynną, organizującą lub podniecającą, typów energicznych, żywotnych. A. Bain między innemi pisze z powodu typu emocjonalnego: „Znaczenie tego rodzaju osób, z punktu społecznego, jest ol-

[1]) Archivio di psichatria ed antropologia criminale, XIV, 752.

[2]) Tarde: Les crimes des foules (Arch. de l'Anthr. Crim., t. VII, 367).

brzymie: są duszą towarzystwa, inicjatorami zabaw i rozrywek, a nawet wywołują podniecenie chwilowe pomiędzy naturami ospałemi. Ich już obecność jest potęgą moralną, gdyż pociągają innych: idzie się za niemi gładko, opór jest niepodobieństwem... Porównywając dwie osoby, znajdujemy pomiędzy niemi ogromną różnicę pod względem przyrodzonego mechanizmu emocji: nerwy, mięśnie, narządy wydzielające są u jednej pełne żywotności i mogą wytrzymać długotrwałe a silne podniecenie, u drugiej organa te są niedorozwinięte i nie nadają się do napiętej działalności, a dlatego silne podniecenie nie dostarcza jej przyjemności, ale jest ciężarem i wywołuje znużenie. Różnica ta uwydatnia się pospolicie w towarzyskości, w zdolności znajdowania rozrywki w obcowaniu z innemi i podtrzymywania żywej wymiany uczuć sympatycznych" [1]). U Ribota paru pociągnięciami pióra są zarysowane silnie typy, tworzące jądro gromady, a przynajmniej gromady przypadkowej. „Charaktery bezpostaciowe nie mają właściwej sobie postaci... Są całkowicie wytworem okoliczności, środowiska, wychowania, wpływu ludzi i rzeczy. Ktoś inny, a w braku tego środowisko społeczne chce za nich i działa przez nie. Są nie głosem, ale echem... Przypadek rozstrzyga w nich o wyborze stanu, o małżeństwie i o wszystkiem innem... nie przedstawiają wybitnych indywidualności, lecz charaktery gatunkowe, profesjonalne" [2]). „Pokorni, jak zając Lafontaine'a, żyją w ciągłym strachu, troszczą się o zdanie wszystkich, nawet nieznanych sobie osób, które spotykają przelotnie, drżą o swe bezpieczeństwo i czują się jakąś nicością pośród gniotącego ich ze wszystkich stron organizmu społecznego" [3]).

Ale te oceny Baina i Ribota posiadają wielką wadę, a mianowicie są zbyt ogólnikowe. Co najwyżej, tego rodzaju wywody mogą jedynie dostarczyć tła zasadniczego, z pośród którego wyodrębniają się postaci różnorodne żywych spoideł z jednej strony, rzeszy spajanej z drugiej. A niekiedy nawet tło to będzie fałszywe, bo gromada składa się nie tylko z cha-

[1]) A. Bain: Study of the Character (w przekł. rosyjskim, Petersburg, 1866, 319—320, 310).

[2]) Th. Ribot: Psychologja uczuć, Warszawa, 1901, 442—443.

[3]) Ibidem, 451.

rakterów bezpostaciowych lub pokornych. Mogą w niej nawet znajdować się silne typy, ale pozbawione rzutkości. Nadto stosunek pomiędzy jednym odłamem a drugim: agitatorem a tłumem, na który oddziaływa, rozkazodawcą a posłuszną mu gromadą bynajmniej nie grzeszy prostotą i przejrzystością. Ktoś, kto względem jednych jest rozkazodawcą, sam jest posłusznem narzędziem w ręku innych. Nie podejmujemy ani wyczerpującego rozbioru tych stosunków, ani drobiazgowej charakterystyki różnorodnych spoideł żywych. Z pośród obfitej galerji zależności wzajemnej poprzestaniemy jedynie na analizie typów, które na jednym biegunie wydają władców gromady, na drugim bojaźliwych, niezdolnych do narzucania komukolwiek woli swojej.

* * *

Są osoby dziwnie wstydliwe i lękliwe.

Wchodzi taka osoba do salonu, a już jej się zdaje, iż wszyscy na nią patrzą, traci więc zwykłą przytomność, a z nią pewność i zręczność ruchów. W towarzystwie upuszcza filiżankę, przewraca krzesełko, nie wie jak ma usiąść lub co począć ze swemi rękoma. Nawet pospolita wizyta wywołuje w niej dreszcz niewysłowionej obawy. „Podczas godzin całych — spowiada się jeden z takich lękliwych [1])—myślę z trwogą o chwili, kiedy trzeba będzie pożegnać się. Wynajduję tysiące forteli, ażeby ukryć swój stan, np. piję przed wizytą, udaję, że mnie zęby bolą... Gdy czytam w gazetach, że Wilhelm II lub prezydent Rzeczypospolitej musieli, przyjmując gości, uśmiechnąć się 500 lub 1000 razy, informacje te przejmują mnie trwogą. Raczej podjąłbym się prac Herkulesa niż tego! Przyjmowali liczne deputacje, wzrok wszystkich przykuwał się do nich i przyglądał się ich ruchom najmniejszym, a oni byli uśmiechnięci, rozmawiali, żartowali, nawet bawili się! Z jakiej gliny są ulepieni?“ Na ulicy taka osoba lękliwa spuszcza wzrok, ustępuje, niemal wstydzi się tego, że istnieje, nawet nowe palto, które włożyła, ją żenuje i dlatego milczkiem prześlizguje się pod murem skrępowana. „Gdy, idąc pustą ulicą, mijamy na chodniku przecho-

[1]) Pitres et Régis: Séméiologie des obsessions et idées fixes (u P. Hartenberga: les Timides et la Timidité, Paryż, 191-192).

dnia, dążącego w odwrotnym kierunku i utkwimy weń wzrok swój, zdarza się często, iż pociągnie raz jeden lub kilka nogą swoją. To lękliwy, zażenowany naszem spojrzeniem natrętnem: wzruszenie wywołało nagłą sztywność nóg“ [1]). Niekiedy osoba lękliwa posiada umysł lotny, ma dowcip, nawet idee oryginalne, mogłaby coś rozsądnego powiedzieć — zabiera głos, ale wyrazy plączą się, zaledwie wybełkotowała niewyraźnie słów parę i już urywa zmieszana. Wielu z tego powodu musiało porzucić nauczycielstwo, adwokaturę, wogóle zawody, związane z występami przed gromadą liczniejszą. Dugas np. opowiada o adwokacie [2]), który, mając w sądzie ważną sprawę, idzie pieszo, wystaje pod budującemi się domami, żywi płonną nadzieję, iż spadająca belka połamie mu nogi, mówi sam do siebie: miałbym dobry pretekst nie stanąć w sądzie!

„Odwaga—zaznacza Sarcey [3]) —polega na szybkiem przystosowywaniu się do niebezpieczeństwa, które nam zagraża. Jest jedną z odmian przytomności umysłu. Przeciwnie, nieśmiałość świadczy o braku przytomności umysłu i zwłaszcza wypływa z poczucia tego braku. Nieśmiałym jest ten, kto posiada świadomość lub czuje instynktownie, że w danym wypadku nie będzie wiedział co powiedzieć, jak się poruszyć, jaką przybrać postawę, ażeby uniknąć niezręczności“. Zdaje się w tem określeniu niewłaściwie umieszczono punkt ciężkości w poczuciu, które zjawia się dopiero później, wyłaniając się z wielu przygnębiających doświadczeń, a przedewszystkiem w braku przytomności umysłu, która wprawdzie niekiedy prowadzi do nieśmiałości, ale niekiedy na niej nie zbywa, a jednak lękliwa osoba właśnie dlatego, iż jest onieśmielona, nie umie skorzystać z posiadanego talentu. Bardziej przemawia do nas definicja podana przez Hartenberga: lękliwym jest ten, kto w określonych warunkach poddaje się wzruszeniu na widok człowieka, a to wzruszenie krępuje jego postępowanie i onieśmiela go. Mniejsza jednak, jak określać będziemy lękliwość czy wstydliwość; chodzi nam jedynie o fakt, iż tacy lękliwi istnieją, co więcej, że istnieją za

[1]) P. Hartenberg, l. c., 23.
[2]) L. Dugas: Nieśmiałość, Warszawa 1900, 27—28.
[3]) Revue bleue, 1894.

sprawą głębszych czynników, tkwiących w ich przyrodzeniu. Ktoś rodzi się bojaźliwym i lękliwym, tak samo jak inny przychodzi na świat, obdarzony pierwiastkami śmiałości. Starczy przyjrzeć się długiej liście zakłóceń fizjologicznych, towarzyszących stanowi lękliwości, którą zamieścił P. Hartenberg, ażeby zrozumieć, iż działają tam przyczyny, głębiej spoczywające: zaburzeniom ulega działalność cała obiegu krwi, oddychania, gładkich mięśni organów wewnętrznych, mięśni w końcu, za których pośrednictwem wchodzimy w zetknięcie ze światem zewnętrznym, a te zakłócenia wywołują rumieniec na twarzy, przyśpieszają rytm serca, odbierają dźwięczność głosu i pewność kroku i t. d. Lange, Mosso i wielu innych usiłowali sprowadzić ten rozstrój fizjologiczny, z którym w parze jako jego następstwo idzie odpowiednie pasmo stanów duchowych, do jakiejś jednolitej przyczyny: szukano więc źródła lękliwości w pojawiającej się nagle anemji ośrodków ruchowych mózgu, w zakłóceniach, wywołanych przez system nerwów sympatycznych w obiegu krwi i t. d. Rzeczą fizjologów jest dochodzić tej sprawy, nam zaś wystarcza fakt, iż typ lękliwy istnieje, że jego przyrodzenie całe duchowe tkwi w wadliwej konstytucji fizjologicznej, która jest wrodzoną, że wreszcie jeśli bojaźliwy dzięki silnej woli zdoła jakoś okiełznać swoją lękliwość, przecież usunie jedynie jej wygórowane objawy, ale nie wykorzeni jej doszczętnie, ani zapobiegnie temu, ażeby nie zabarwiła sobą całej jego duchowości w sposób odpowiedni.

Istnieje więc typ lękliwy. Atoli istnieją typy lękliwe. Przedewszystkiem warto zaznaczyć, iż lękliwość czy nieśmiałość nie jest równoznaczna z tchórzostwem, a przynajmniej nie zawsze z niem chodzi w parze. „Lękliwy może odznaczać się niezmierną odwagą, być zdolnym do czynów bohaterskich i umie patrzeć w oczy niebezpieczeństwom; gotów wziąć na się odpowiedzialność, ale pod warunkiem, iż będzie sam jeden i nie będzie czyjś wzrok spoczywać na nim. Sąsiedztwo niedźwiedzia, lwa, krokodyla nie napędzi mu może strachu, ale w obliczu twarzy ludzkiej traci postanowienie swoje i odwagę“ [1]). I oto otrzymujemy już rozległe bardzo szranki dla wahań typu lękliwego, w miarę tego, czy wstydliwość sko-

[1]) Hartenberg, l. c., 6.

jarzona bywa z odwagą lub tchórzostwem. Powtóre, w duchowości lękliwego bardzo różnorodne pierwiastki splatają się nawzajem z zasadniczą jego właściwością w jedną całość konkretną: są tacy, którzy czują zakłopotanie tylko w obliczu jednych osób, ale odzyskują pewność siebie w towarzystwie innych; inni są wstydliwi w otoczeniu przyjaciół, ale nie grzeszą lękliwością w gromadzie najliczniejszej, złożonej z osób nieznanych; jeszcze inni, przeciwnie, są lękliwi, gdy mają do czynienia z nową sytuacją albo odznaczają się bojaźliwością w życiu potocznem, lecz posiadają odwagę przekonań swoich. Leshaft między innemi wykazał, że tak zw. złośliwe dzieci, zawsze zdolne do najśmielszego wybryku, właśnie pochodzą często z pośród zahukanych, lękliwych malców. To znowu wola zapanowuje nad lękliwością, która jednak istnieje i nadal, dając początek dumie nieprzystępnej, słowem, na podłożu lękliwości ukazują się różne odmiany— pesymista, marzyciel, dumny, potulny, samolub w sobie pogrążony, samodręczyciel, oporny, a to odpowiednio do tego, jakie jeszcze rysy splotły się z wstydliwością w duchowości ludzkiej. Wszystkie te odmiany gatunku zasadniczego pociągają za sobą różny sposób oddziaływania na bodźce świata zewnętrznego, wszystkie jednak są takiemi, iż udaremniają serdeczny, bliski stosunek towarzyski pomiędzy lękliwym a otoczeniem jego.

Już w szkole uwydatnia się ta nieudolność rozpatrywanych typów do wejścia w stosunki zażyłe, serdeczne z kolegami. Leshaft, który w pięknej pracy swojej poddał rozbiorowi duchowość dziatwy szkolnej, pisze z powodu dzieci zahukanych co następuje: „Dzieciak typu złośliwego a zahukanego wyróżnia się w szkole uporczywem milczeniem, wyraz twarzy jego wykazuje zażenowanie, z czem w parze idą gwałtowne, niezręczne ruchy, zwłaszcza kiedy mniema, iż nikt nań nie spogląda... Nigdy nie patrzy łagodnie i śmiało, jeno z podełba. Unika kolegów, to znów niby przypadkiem potrąci któregoś lub uszczypnie... Na całe otoczenie, a zwłaszcza na starszych spogląda podejrzliwie, a na pieszczoty odpowiada gwałtownym, odpychającym gestem, niekiedy zaś ucieka... Lubi towarzystwo, ale zbliża się zwłaszcza z osobami swego typu, raczej w imię obrony wzajemnej niż dla szczerego, przyjacielskiego stosunku... Kolegi nie zdradzi,

nawet najsurowsza kara nie zmusi go do tego“ [1]). „Dzieciak łagodny, ale zahukany czuje się niezmiernie skrępowanym w nowem otoczeniu, nie ma odwagi ani usiąść sam ze siebie ani podnieść się... zmuszony do czynu samodzielnego, wykazuje wielką niezręczność i nieudolność, niekiedy uderza w płacz naówczas... Znajduje się zawsze pod opieką lub wpływem innego kolegi“ [2]). Zresztą w sylwetce powyższej autor nie wyróżnił wrodzonego typu lękliwego od zahukanego skutkiem niezdrowej a despotycznej władzy rodzicielskiej. Swoją drogą, obu są wspólne rysy pokrewne. I w życiu towarzyskiem pomiędzy osobami dojrzałemi występuje ta sama nieudolność ze strony rozpatrywanego typu do serdecznego, zażyłego stosunku. Jeśli wraz z Dugasem przez sympatję rozumieć będziemy nie uczucie przywiązania jednej osoby do drugiej, lecz ów prąd nerwowy, który przechodzi od osoby do osoby i sprawia, że jedna odczuwa wzruszenia drugiej i łączy się z nią w spójnię t e l e s t e n i c z n ą, to właśnie lękliwi grzeszą zwykle nieumiejętnością wejścia w taką łącznię. „Nieśmiały — pisze tylko co wspomniany psycholog [3]) — jest z natury oporny na wpływy towarzyskie; nie może otrząsnąć się ze stanu i uczuć, które go przejmują, nie umie dostosować się do innych. Jeszcze trudniej mu jest wywierać wpływ na innych, urobić ich na swoje podobieństwo, przelać w nich swoje myśli i uczucia. Nie umie więc ani zmusić i skłonić innych do sympatyzowania z nim, ani też wzbudzić sympatji w sobie dla innych... Jakkolwiek nieśmiałość przybierać może formy najbardziej niespodziewane i paradoksalne, określić ją zawsze można, że użyjemy terminu metafizycznego, jako żywą świadomość wzajemnej nieprzenikliwości monad... Nieśmiałość jest to brak zaufania do siebie i do innych, a powstaje stąd, że nie jesteśmy w stanie dać się innym poznać albo ich poznać, przynajmniej w całej pełni; jest zakłopotaniem, wywołanem przez tę nieudolność, o ile ją odczuwamy“. Do tej nieudolności dołącza się podejrzliwość: osoby, dotknięte lękliwością, nie wierzą w obojętność innych; zdaje im się, że wszyscy śledzą ich czyny, odgadują myśli, drwią z ich nie-

[1]) P. L e s h a f t: Szkolnyje Tipy, Petersburg 1884, 60—61.
[2]) Ib., 85 i nast.
[3]) D u g a s, l. c., 18, 22.

zgrabności [1]); odznaczają się szczególną drażliwością, a czyjś ruch zaledwie dostrzegalny, intonacje głosu nawet wprawiają ich w nadmiar szczęścia lub rozpaczy. Dobre słowo ich rozczula, a przywiązawszy się do kogoś, są zazdrośni o spojrzenie, wyraz, gest, a to naturalnie nie przyczynia się do stworzenia harmonji. Ale w każdej swojej odmianie, a więc zarówno w nadmiernej potulności lub opryskliwej dumie, jak i wtedy, gdy wydaje z siebie opornego revolté lub samotnika, typ lękliwy odznacza się zawsze nieudolnością stworzenia dokoła siebie ciepłej, serdecznej atmosfery. Niezaspokojone łaknienie życia towarzyskiego niekiedy zwraca wyobraźnię lękliwego w kierunku snucia nieprzerwanego pasma marzeń — wytwarza własny świat, własne towarzystwo, ma tam władzę, przyjaciół, kochankę, której oddaje najlepsze siły organizmu swego... To znowu analizuje siebie, analizuje innych, a rozgoryczony i niezadowolony traci wiarę w siebie, we wszystko. Zawsze jednak jest samotny, o ile nie znajdzie jeszcze lękliwszych lub jak opiłki żelaza — magnesu, tak nie uczepi się kogoś silniejszego, a wtedy gotów na wszelkie poświęcenie. I nie tylko nie wiąże innych w gromadę dokoła siebie, a tembardziej nie przewodzi im, ale nadto wszelka promocja społeczna jest przed nim zamknięta, chyba iż wywiera wpływ jako myśliciel dziełami swemi.

Przerzucając prace psychologów, poświęcone lękliwości i wstydliwości, spotykamy tam na stronicach niejednokrotnie fakty, wymownie świadczące, iż w pośród lękliwych rekrutuje się wielki zastęp poniżonych i pokrzywdzonych.

Hartenberg zamieszcza w pracy swojej sylwetkę pewnego oficjalisty.

Zostawszy głównym kelnerem w którejś wielkiej kawiarni, ów oficjalista spostrzegł, iż nie podoła obowiązkom, wymagającym umiejętności rozkazywania personelowi niższemu. Czuł się zażenowanym w stosunku do podwładnych, nie ośmielał się ani strofować ich, ani wydawać im poleceń, aż póki właściciel, spostrzegłszy jego nieudolność, nie wymówił mu miejsca. Wtedy wstąpił jako zwyczajny garson do innej

[1]) Dugas, l. c., 45. Por. ustępy liczne u Rousseau: Confessions (zwłaszcza część pierwsza). Rousseau jest klasycznym okazem rozpatrywanego typu, tak samo, jak Amiel, jak Uczeń Bourgeta.

restauracji, tylko po to, aby się znaleźć w położeniu jeszcze przykrzejszem: kiedy gość zamawiał coś i spojrzał nań, czerwienił się, tracił przytomność i zapominał treść obstalunku. Powoli opuszczał się coraz niżej, aż w końcu musiał przyjąć obowiązki pomywacza, szczęśliwy, iż jest zdala od wzroku ludzkiego. [1])

Słowem „lękliwy wykazuje stanowczą niższość w walce konkurencyjnej, zbywa mu na żywiołowości pobudek, na gwałtowności, na braku skrupułów co do środków“ [2]). Nawet nie umie bronić własnej sprawy, zarówno gdy chodzi o pieniądze i dobra materjalne, jak o miłość i zaszczyty. Z pośród takich zastępów wychodzą ci różni effacés, ludzie pozbawieni własnego oblicza: kanceliści, oficjaliści kantorów, żołnierze i t. d. Już Bernheim w swoich badaniach zwrócił uwagę, iż urzędnicy i niżsi wojskowi należą do osób, które dają się bardzo prędko pogrążyć w stan hipnotyczny. Może tam prócz lękliwości działa ubóstwo wyobraźni, może wpływają inne składniki duchowości, ale w każdym razie rozpatrywana cecha odgrywa wielką rolę. „Wielu urzędników, którzy lat 30 spędzili za kratkami biurowemi, śród tych samych przyzwyczajeń, należą prawdopodobnie do liczby nieznanych lękliwców, nie uświadamiających sobie własnej nieśmiałości; instynktowo stroniąc od wszelkiej okazji, któraby ich doświadczyła, uniknęli sposobności cierpień“. A niekiedy, jak gdyby mszcząc się za własne grzechy, lękliwy całą mocą duszy swojej nienawidzi tych, którzy są czynni, ruchliwi, mają śmiałość i umieją zaprząc innych do gromady. Jego zdaniem są to barbarzyńcy, jak brzmi tytuł dzieła Maurycego Barrès'a.

* * *

Poza samorzutną więzią stosunku towarzyskiego, zwykle poza żywiołową organizacją gromady, a w każdym razie nie na jej przedzie, wreszcie u dołu hierarchji urzędowej w instytucjach stałych, tkwi w sieciach życia społecznego typ wstydliwy lękliwca. Natomiast w przednim zastępie gromady i u steru wszelkiej organizacji widnieje rozkazodawca, ów typ,

[1]) Hartenberg, l. c., 210—212.
[2]) Ib., 61.

umiejący w karbach trzymać rzeszę głów ludzkich i przykuć ich do siebie urokiem: „czarującą siłą swego wzroku, głosu i przykładu", jak H. Ferri powiada o Garibaldim. Jest to zwykle typ, który umie torować sobie drogę do zaszczytów i władzy. Słusznie pisze A. Binet[1]): „Ulegać głosowi innych lub narzucać im swoją powagę, oto pytanie, które staje przed każdym z nas: powodzenie i karjera zależą od tego. Rzec możemy, iż typy, narzucające innym swoją powagę — jeśli inne warunki pozostają te same, a więc jeśli wrogi los, niewłaściwe postępowanie i t. d. nie staną wpoprzek ich drogi— posiadają więcej widoków osiągnięcia czegoś w życiu, niż podatne. Niewiele osób zdołalibyśmy wymienić, które znalazły się na wysokiem stanowisku pomimo braku umiejętności narzucania swojej władzy innym. Umiejętność ta może zastąpić wszelkie inne przymioty umysłu. Kogo bowiem słuchamy w gronie towarzyskiem? Nie rozumniejszego i wiedzącego rzeczy najciekawsze, ale tego, który odznacza się największym wpływem rozkazodawczym, którego wzrok zdradza wolę, a którego mowa, pełna, dźwięczna, zwolna wygłasza zdania nieokreślonej treści, a inni z poszanowaniem ulegają mimo jej jałowości. Dla świadka, siedzącego na uboczu, pocieszną jest rzeczą rozważanie rozmowy pięciu lub sześciu osób, w której sam nie uczestniczy. Odrazu spostrzeże, kto wywiera tam wpływ: ten, kto prowadzi rozmowę, nadaje jej bieg, narzuca swe przekonania, rozwija swoje poglądy. Niekiedy spór wybucha, a ktoś inny w pewnej kwestji bierze górę i zmusza innych do słuchania siebie. Nowy przybysz może zupełnie zmienić stosunek wzajemny sił, bo, rzecz dziwna, władza wywierana jest przymiotem względnym: osoba *A* narzuca swoją wolę osobie *B*, *B* wpływa na *C*, *C* zaś trzyma na wodzy *A*... Sposób potwierdzania czegoś, ton głosu, nawet zwroty gramatyczne znamionują tego, co wpływ wywiera".

Powyższy ustęp daje niezupełnie wyczerpujące, jednak dość jasne pojęcie o przeciwieństwie pomiędzy typem rozkazodawczym, a raczej wywierającym wpływ przygniatający— le type autoritaire, jak mówią Francuzi, a typami podatnemi, łatwo ulegającemi sugestji. Różnica pomiędzy niemi ujawnia się w okresie pierwotnym kultury w sposób dość

---

1) A. Binet: Suggestibilité, Paryż, 1900, 791.

znamienny. „Istnieją środki magiczne („medycyna"), dające wodzom siłę i przytomność ducha, a pospolity plemieniec, nie będący ani wodzem, ani znachorem, nie ma prawa dotknąć się tej medycyny. Ktokolwiekbądź z otoczenia wodza znajdzie się w posiadaniu tych środków, zginąć musi... Wódz czuje człowieka, rozporządzającego potężną medycyną: kiedy taka osoba znajduje się koło wodza, przygniata go" [1]). Innemi słowy, jeśli na wodza ktoś z pośród podwładnych wywiera obecnością swoją przygnębiające wrażenie, wódz przypisuje swój stan temu, iż ów podwładny ma w swojem posiadaniu środek czarodziejski, z którego czerpie moc swoją Usuwa go więc ze świata jako niebezpiecznego współzawodnika. Tak samo prawdopodobnie postępują niżsi wodzowie w stosunku do osób pośledniejszej niż sami kondycji. W ostatecznym wyniku tego doboru, a raczej odboru, hierarchja typów rozkazodawczych zlewa się może u Kafrów w jedno z hierarchją władzy politycznej.

W społeczeństwach cywilizowanych, skutkiem większego rozwoju czynników ubocznych, którym przyjrzymy się niebawem, stosunek wzajemny typów rozkazodawczych i uległych staje się bardziej złożonym, ale w każdym razie rzadko osoba, która utorowała sobie drogę do najwyższych stanowisk, grzeszy brakiem wrodzonego talentu wywierania wpływu na innych i narzucania im swego autorytetu. Indywidualność Napoleona I i stosunek jego do otoczenia, nawet w pierwszym okresie tak wyjątkowej karjery „małego kaprala", dostarczają przewybornego wzoru takiej wrodzonej siły ducha.

Pozwolimy sobie przytoczyć ustęp z sylwetki Bonapartego, skreślonej przez H. Taine'a [2]). „Ostre rysy twarzy, uwydatnione jeszcze silnym kontrastem światła i cieni, wystające kości policzkowe, duży i naprzód wysunięty podbródek wargi zaciśnięte i ruchliwe, głęboko osadzone oczy, ocienione szerokiemi łukami ciemnych brwi, głębokie i przenikliwe spojrzenie, wreszcie dwie zmarszczki, biegnące wzdłuż czoła, nadawały twarzy jego wyraz niezłomnej woli i tłumionego gniewu. Dodajmy nadto ostry dźwięk głosu, nerwowe i gwał-

[1]) Callaway: The religions system of Amazulu, 1870, 417.
[2]) H. Taine: Napoleon Bonaparte, Warszawa 1892, 20—22.

towne ruchy, ton nakazujący, bezwzględny, a zrozumiemy, dlaczego każdy, kto się zbliżył do niego, drżał z trwogi przed tym człowiekiem, którego uścisk dłoni powalał na ziemię". Bonaparte przygniatał obecnych nawet już wtedy, kiedy myśl jego nie zabiegała nawet tak daleko, ażeby marzyć o konsulacie. Mianowany generałem armji włoskiej miał przejeżdżać przez Tulon. Admirał Decrès pisze z tego powodu: „Powołując się z dumą na dawny stosunek, obiecuję kolegom, że ich przedstawię Napoleonowi, biegnę pełen uniesienia i radości, widzę go we drzwiach salonu, pałam chęcią rzucenia mu się na szyję... i nagle staję, jak wryty, pod wrażeniem jego spojrzenia, dźwięku głosu i sztywności jego postawy. Nie mogę mu wprawdzie zarzucić niegrzeczności w obejściu, ale to było wystarczające: od tej chwili nie próbowałem już nigdy przekroczyć przepaści, oddzielającej nas od siebie". W kilka dni potem Augereau, bohaterski, lecz nieokrzesany wojak, dumny z olbrzymiego wzrostu i nieustraszonego męstwa, oraz inni generałowie dywizji przybywają do głównej kwatery, niechętnie usposobieni dla „młodego dorobkiewicza", przysłanego im z Paryża. Znając Napoleona ze słyszenia, Augereau wchodzi z zamiarem stawienia się hardo i niesłuchania jego rozporządzeń. Przybyli czekają czas jakiś na Bonapartego, który, ukazawszy się, przypasuje szablę, nakrywa głowę, w krótkich słowach objaśnia wydane poprzednio rozporządzenia, daje nowe rozkazy i odprawia generałów. Przez cały czas Augereau nie powiedział ani jednego słowa, na ulicy dopiero odzyskuje pewność siebie, obrzuca zwierzchnika grubiańskiemi wyrazami i wyznaje kolegom, że „zląkł się tego małego generała i oniemiał na jego widok". Były to czasy, kiedy Bonaparte nie obezwładniał jeszcze umysłów ludzkich powagą swego wysokiego stanowiska, urokiem swoich zwycięstw. Działał tylko przymiotami ducha swego, a ten wpływ doznawał wzmocnienia za sprawą rysów twarzy, gestów, „piorunującego spojrzenia", a może, jak powiada Tarde, „pozostawał w związku, zapomocą nici niedostrzegalnych, a nie dających się wyjaśnić, z pobudką płciową".

Słowem, istnieje typ rozkazodawczy, tak samo jak wstydliwy, który może jest odważnym, gdy samotny stawia czoło niebezpieczeństwu, ale cały zdjęty bywa lękiem, kiedy wzrok

innych wpija się w niego. Widzieliśmy już, iż dla lękliwego rozkazywanie innym jest połączone z napiętym stanem przykrości, tak iż jeden z jego przedstawicieli znajduje spokój i zadowolenie dopiero wtedy, gdy spadając coraz niżej w hierarchji zarobkowej, będzie spełniał obowiązki pomywacza, zdala od wzroku ludzkiego. Mamy powody mniemać, że przeciwnie typ rozkazodawczy dopiero wtedy tylko osiąga żywotność swoją w całej pełni i zadowolenie, a z niemi warunki zdrowia fizycznego, kiedy może rozkazywać innym. Może w tym razie moglibyśmy dla poparcia swego twierdzenia powołać się na fakt, przytoczony przez Dagonet'a [1]): „Obserwowałem jednego chorego, który w ciągu lat kilku cierpiał na melancholję, a później prawie nagle stał się megalomanem. Organizm jego był głęboko zrujnowany, a zdrowie szwankowało przez cały czas, dopóki był melancholikiem; lecz odkąd jego choroba przeszła w megalomanję, siły zaczęły szybko powracać". Wogóle „megaloman chodzi pewnym krokiem z głową podniesioną do góry, sposób wyrażania się jego jest krótki i rozkazujący... jako manjak rzuca się i wykonywa mnóstwo ruchów, lecz żaden jego ruch nie jest przypadkowy... i wola jego zawsze działa, a postępki dążą do określonego celu... ożywia go nie duch zniszczenia, lecz potrzeba pokazania swej władzy. Funkcje życia roślinnego nie ulegają zakłóceniu i odbywają się zwykle z największą dokładnością. Wylany charakter choroby, zadowolenie z siebie i ciągłe ukontentowanie, które nie opuszcza ani na chwilę tych chorych, wywołują jakby nadmiar energji w narządach życia roślinnego, skąd po części pochodzi spostrzegany w tych razach zbytek zdrowia. Zauważono, że ludzie, cierpiący na manję wielkości, często dożywają późnego wieku". Jedna tylko okoliczność powstrzymuje nas od rozciągnięcia tych wywodów na rozkazodawcę, gdy panuje nad innemi: oto megaloman nie cierpi z winy przeszkód, stojących na drodze urzeczywistnieniu jego pomysłów, tymczasem rozkazodawca nawet u steru władzy nie może pozbyć się kłopotów, które mu zdrowie zabierają. Ale mając w myśli to zastrzeżenie, możemy stanowczo twierdzić, iż posiadanie władzy

[1]) Dagonet: Traité des maladies mentales (u T. Ribota: Psychologja uczuć, Warszawa 1901, 216—217).

i możność jej pokazania jest dla rozpatrywanego typu warunkiem nie tylko błogości duchowej, ale także i fizycznej. W głębi jego jestestwa duchowego tkwi silny self-feeling, który sprawia, iż człowiek nim obdarzony „podobny jest do tych płodnych i żywotnych gatunków roślin i zwierząt, które same mogłyby pokryć całą powierzchnię kuli ziemskiej“ [1]).

Ale to podłoże nie stwarza jeszcze rozkazodawcy, a jedynie wydaje typy ruchliwe, rzutkie, przebijające sobie drogę naprzód. Potrzebną jest nadto żądza władzy, lecz i ta także nie wystarcza. Widzieliśmy, że subtelność w odczuwaniu czyichś bólów nie sprzyja panowaniu nad innymi; dopiero nieumiejętność wczucia się w duszę innych, a zwłaszcza oschłość uczuciowa i nieugięte samolubstwo, które nie chce i nie jest zdolne brać pod rachubę cierpień i krzywd cudzych, stwarzają typy, z pośród których wyjdą, acz nie zawsze muszą wyjść, rozkazodawcy. Bo niedość mieć żądzę rozkazywania, ale nadto wymagane są przymioty, któremiby osoba łaknąca władzy obezwładniała innych i obróciła ich w posłuszną gromadę. Bez tych cech będzie jako muzyk, któremu w uchu rozbrzmiewają melodje czarodziejskie, ale ręka nie umie zakląć tych tonów w dźwięki, co innych wzruszyłyby. A na drugim biegunie, tam, gdzie pożądane jest i nawet nakazane ślepe posłuszeństwo, skupiają się typy z urodzenia podatne do słuchania rozkazów, warunki zaś zarobku i inne, w których się znajdują, ćwiczą jeszcze bardziej tę wrodzoną cechę charakteru. Niekiedy będą to lękliwi, częściej inne typy, których przyrodzenie odsłoniłyby nam może osoby, podatne na uśpienie hipnotyczne. Jak już wiemy, dr. Bernheim zauważył, iż do liczby osób, najpodatniejszych na uśpienie hipnotyczne, należą nie kobiety nerwowe, ale dawni wojskowi, dawni urzędnicy administracji, słowem ci, którzy zostali wdrożeni i przyzwyczajeni do ślepej karności i posłuszeństwa, a mogli być wdrożeni, ponieważ z natury swojej byli podatni na takie bodźce zewnętrzne. Tu odgrywa rolę najważniejszą pospolita uległość duchowa: osoba tego rodzaju traci pewność siebie i wyrzekłaby się własnego zdania, albo nawet spostrzegłaby nie to, co dotychczas widziała i co widziałaby, o ile znalazłaby się wobec zapewnień osoby trzeciej, w sposób sta-

[1]) Ribot, l. c., 285.

nowczy wyrażającej inne przekonanie. Ale w duchowość posłusznego i poddającego się wchodzą jeszcze inne pierwiastki. A więc po pierwsze automatyzm, który zwykle kojarząc się z podatliwością na sugestję, wnosi przecież własne składniki, a mianowicie skłonność do prawidłowego powtarzania jakiegoś odruchu, który raz jeden został dokonany. Dołącza się nadto popęd naśladowczy, nieświadomie wystrzegający się wysiłków samodzielnego czynu i zwracający swoją działalność w kierunku wyładowania energji z najmniejszą pracą. Podatny czystej wody nie cofa się przed trudnością poddanej idei, chociażby wymagała największego wysiłku, umysł naśladowczy wybiera drogi „najmniejszego oporu". Pierwiastki te odgrywają rozmaitą rolę w tworzeniu się zastępu uległych typów gromady społecznej i wchodzą w rozmaitym stopniu napięcia i stosunku ilościowego w skład duchowości indywidualnej. Probowano dać schemat typów, rozważanych właśnie z takiego stanowiska. Musimy wyznać, iż nie zadowoliły nas te klasyfikacje. Wspomnimy jedynie o próbie Tissié'go, który, na podstawie studjów nad ujeżdżaniem zwierząt, wyróżnił okazy automatyczne, wzory ślepego posłuszeństwa, poddające się biernie i zupełnie; uczuciowe, które można nagiąć do posłuszeństwa oddziaływując na ich stronę uczuciową; w końcu czynne, posiadające wyraźną osobowość, na które, gdy chcemy wpływać, musimy obierać drogę okólną, fortelów, np. zmuszać je do tego, co jest sprzeczne z rzeczywistym zamiarem ujeżdżającego, a one przez upór zrobią to, co jest właśnie ukrytym, ale rzeczywistym jego celem.

Zresztą hierarchja typów ludzkich, rozważana ze względu na umiejętność narzucania komuś swej powagi z jednej strony, ulegania tej powadze z drugiej, nie jest rzeczą łatwą. Prócz czynników wrodzonych, które dotychczas jedynie uwzględniliśmy w swoim rozbiorze, wpływ wywierają jeszcze inne — natury moralnej, a raczej społecznej (urok pozycji, pochodzenia, majątku, wiedzy fachowej i t. d.). Tem to należy tłumaczyć ów fakt, iż osoba *A* przygniata obecnością swoją osobę *B*; *B* wywiera taki sam wpływ na *C*; natomiast *A* znajduje się pod władzą osoby *C*. W rzeczy samej dość przypuścić, iż *A* i *C* służą w tym samym zawodzie, ale zajmują odmienne pozycje, a już otrzymamy zupełne wyjaśnienie tej,

tak na pozór dziwnej zagadki, którą w wielu przypadkach można jeszcze wyprowadzić także z natury duchowej wchodzących w skład takiego łańcucha rozkazodawców i podwładnych. Powaga, jaką ktoś wywiera na otoczenie, może więc wypływać z bardzo różnorodnych powodów i przedstawiać liczne poddziały i różnice. „Każda osoba — pisze A. Binet — jest siłą moralną niejednakowego napięcia. Siła ta przedewszystkiem zależy od tego, co wpływający wie o tym, na którego oddziaływa, od stanowiska urzędowego, stanu majątkowego, przeszłości i t. d.; dalej trzeba wziąć pod uwagę osobistość fizyczną, rozwój cielesny, zręczność, siłę mięśni, ton głosu. Należy także uwzględnić energję moralną, wolę, umiejętność postępowania. Są to rzeczy, odgrywające rolę pierwszorzędnej doniosłości w karjerze większości osób, chociaż pospolicie nadajemy im najmniejsze znaczenie, bo pod względem posiadanej energji moralnej nie bywamy egzaminowani, ta jednak jest co najmniej tak samo potrzebna wielu osobnikom, np. wojskowym, jak wiedza techniczna. W liczbie przymiotów, po których poznajemy, czy ktoś jest silny lub słaby duchem, na jeden zwłaszcza położę nacisk: na wzrok, a raczej na umiejętność uporczywego spoglądania innym w oczy. Cieszący się wpływem moralnym, według moich spostrzeżeń, zawsze są obdarzeni tym przymiotem".

* * *

Istnieje w życiu społecznem więź przedmiotowa, dokładniej: różne więzi przedmiotowe, a w każdej z nich odpowiednia hierarchja czynności i obowiązków, stateczność swoją czerpiąca właśnie w tem podłożu przedmiotowem. Czy weźmiemy przedsiębiorstwo przemysłowe, czy rozpatrywać będziemy urządzenia państwowe, wszędzie dostrzeżemy tego rodzaju spójnię: stosunki przedmiotowe jakby w obręczy trzymają ludzi, zespalają ich działalność, wyznaczają im czynności. Przewagę tego spoidła rzeczowego nad pierwiastkami, wypływającemi z duchowości uczestników, przewybornie uzmysławia każde wielkie przedsiębiorstwo. zwłaszcza to, w którem rzemieślniczy tryb produkcji ustąpił zupełnie przed maszyną.

Oto przedsiębiorstwo kolejowe.

W głębi jego, jako rdzeń, istnieje organizacja pierwiastków rzeczowych: dworce, składy, wreszcie rozkład pociągów są jako szkielet, który kształtami swojemi rozstrzyga o tem, gdzie jaki mięsień będzie przyczepiony i którędy krążyć będą soki odżywcze. W różnych oczkach tej organizacji tkwią żywi ludzie: kasjer przy okienku wydaje bilety, maszynista prowadzi pociąg, dróżnik daje sygnały. Są jako żywe organy pociągów, zwrotnic, składów, a czas i miejsce ich pracy są dokładnie wyznaczone przez ruch pociągów, w ogóle przez zadania, które wypływają z natury tego organizmu rzeczowego. Człowiek wchodzi w skład agregatu kolejowego przez te zwrotnice, kasy, lokomotywy, słowem przez spójnię martwą, która trzyma go jak w obręczy. Słowem, istnieje więź przedmiotowa, a z niej wypływa hierarchja czynności i obowiązków: zawiadowca musi dać sygnał odjazdu, a dopiero wtedy maszynista puści w ruch lokomotywę, maszynista zaś daje rozkazy palaczowi. Ponad palaczami, zawiadowcami i maszynistami, kasjerami i zwrotniczymi piętrzą się szczeble wyższe, a wynikają z konieczności dostrojenia do siebie nawzajem poszczególnych ogniw, z potrzeby ułożenia rozkładu pociągów i wyznaczenia każdemu miejsca i czasu jego pracy.

W swoim szkicu nie dotykaliśmy tej więzi przedmiotowej, ani związanej z nią hierarchji obowiązków.

Chodziło nam jedynie o te gromady, o te organizacje, w końcu o te hierarchje, które ukazują się w życiu zbiorowem nie spojone taką obręczą warunków przedmiotowych,— o te stosunki, w których spójnią jest sam człowiek, czynnikiem zaś, wyznaczającym zależność wzajemną, natura duchowa uczestników. Z pośród tych żywych spoideł rozpatrzyliśmy tylko niektóre, albowiem nie zależało nam bynajmniej na wyczerpaniu kwestji, jeno o zaznaczenie, iż takie zagadnienia istnieją i domagają się rozwiązania.

Ale tutaj na zakończenie zatrzymamy się jeszcze nad więzią przedmiotową i jej stosunkiem do rozpatrzonych typów.

Otóż więź ta przedmiotowa tworzy podstawę każdej trwałej organizacji, a im doskonalszą jest władza nasza nad przyrodą, im bardziej różnorodne i złożone cele zakreśla sobie społeczeństwo, tem bardziej potężnieje, tem staje się wszechwładniejszą i konieczniejszą. A wraz z tą więzią utrwal

się także hierarchja czynności: hierarchji tej możemy nadawać ustrój coraz demokratyczniejszy, ale jej samej nie zdołamy usunąć. Więź ta przedmiotowa, występująca w obrębie narodu jako podział pracy, jako wymiana produktów, lub sieć środków komunikacyjnych, sprawia, iż społeczeństwa nowoczesne są utworami zgoła innemi, niż monarchja Attyli lub Tamerlana, gdzie żelazna dłoń rozkazodawcy zgromadziła dokoła siebie rzesze liczne, kiedy zaś jej zabrakło, potęga wielka rozpadała się na bezsilne gromadki. W miarę wzrostu takiej więzi przedmiotowej rozkazodawca, owo spoidło luźnej gromady, staje się osobistością podrzędną, zadanie spójni bierze na siebie właśnie owa więź. Jedynie duch dawnej hierarchji żyje, a jego wpływ jest tak potężny, iż nawet względnie lękliwa osoba nabywa umiejętności rozkazywania, jej zaś głosowi poddają się typy o wiele silniejsze wolą i stanowczością—poddają się po pierwsze dlatego, że muszą, powtóre—ponieważ ulegają czarowi wyższej pozycji. (Naturalnie, że w tych razach, gdy rozkaz posiada formę bardzo kategoryczną, musi pochodzić od typu rozkazodawczego). Zaznaczyliśmy to w wywodach swoich. Ale w miarę tego jak duch kooperacji dobrowolnej ogarnia coraz szersze dziedziny życia, doniosłość typu rozkazodawczego maleje, a nawet jego obecność może stać się zgoła zbyteczną wobec tego, iż więź przedmiotowa rozstrzyga coraz bardziej o działalności każdego uczestnika, zamiast rozkazów zaś na plan pierwszy występują paragrafy ustawy. Działa jeszcze inny czynnik, usuwający wraz z rozkazodawcą także inicjatorów z pośród oczek sieci przedmiotowej. W okresie mianowicie, gdy z pośród rozstrzelenia produkcji na drobne warsztaty, handlu zaś na drobne kramiki, dopiero wyrastały wielkie przedsiębiorstwa, inicjator-rozkazodawca był postacią doniosłości pierwszorzędnej: on to organizuje proceder, upraszcza jego mechanizm. Aż w końcu ukazuje się chociażby takie przedsiębiorstwo jak linja kolei: wszystko tam jest zrutynizowane, przejrzyste, uproszczone, samo zaś przedsiębiorstwo, ażeby działało należycie, wymaga nie tyle osób rzutkich, jeno miernej ruchliwości, ale sumiennych. Pospolity sumienny pracownik, kierujący się według ustawy, w ostateczności coś w niej zmieniający, może podołać wszystkim zadaniom. Zrutynizowanie działalności przemysłowej właśnie umożliwia kooperację dobrowolną: hierar-

chja tam będzie istniała — hierarchja obowiązków, ale obecność rozkazodawcy raczej wniesie rozdźwięk, natomiast potrzebni są inni spajacze, którzy gromadę wiążą w ową istotę zbiorową telesteniczną, jaka pod nami w szkicu niniejszym wystąpiła w swoim stanie zarodkowym. Naówczas i inne typy, które spełniają obecnie zadanie spoideł jeno w obrębie życia prywatnego, codziennego, wsiąkną do hierarchji publicznej i prawdopodobnie przekształcą zgoła jej charakter.

III.

TYPY OKRUTNE I KRWIOŻERCZE.

(1903).

Sprawa guwernera Dippolda odsłoniła tajniki życia rodzinnego śród plutokracji niemieckiej. Ojciec, dyrektor Banku niemieckiego, Koch, nie zaprząta się zupełnie sprawą wychowania swoich dzieci: „mam na głowie tyle interesów i pozostawiam dzieci żonie"! Matka, zapewniająca sąd o swem przywiązaniu do dzieci, wybiera na nauczyciela młodzieńca, polegając jedynie na świadectwach. Czuła para rodzicielska pozostawia dzieci na łasce i niełasce Dippolda, a sama szuka wytchnienia w Nicei, w Szwajcarji. Dippold jest nietylko nieukiem,—życie jego uniwersyteckie upływało w knajpie i domach rozpusty, ale nadto przewrotnym lubieżnikiem i okrutnikiem. Przebywa z wychowańcami swymi w ustroniu zdala od wszelkiego oka, a samotnia staje się niebawem miejscem tortur nad dziećmi i znieprawienia. Jeden z malców umiera na skutek tego postępowania...

Dippold nie jest wyjątkiem. Należy do wielkiej rodziny typów okrutnych i krwiożerczych, nad którą zatrzymamy się szczegółowiej.

* * *

„Mojem zdaniem, miłość polega na zadawaniu cierpień i uwydatnianiu własnej przewagi moralnej — spowiada się jeden z bohaterów Dostojewskiego. Nie mogłem zdobyć się na inne uczucie w ciągu całego swego życia, aż w końcu doszedłem do tego, iż mniemam, że miłość opiera się na dobrowolnie udzielonem przez ukochaną osobę prawie jej mę-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wrocław

czenia. W ukrytych swoich marzeniach przedstawiałem sobie zawsze miłość jako walkę, poczynałem ją pożerany nienawiścią, kończyłem zaś podbojem moralnym, a dokonawszy tego, zgoła nie wiedziałem, co robić mam z ujarzmioną osobą". Pastwienie się nad innemi jest przyzwyczajeniem, które zamienia się w potrzebę: człowiek z przyrodzenia swego jest tyranem i musi znęcać się nad innymi, oświadcza ten sam pisarz przez usta innych bohaterów. A taki pogląd na stosunek człowieka do człowieka jak nić przewodnia snuje się przez wszystkie utwory tego wielkiego znawcy dusz pokrzywdzonych i dusz krzywdzących, aż wybucha strasznem wyznaniem: „I czemu tak stanowczo, tak mocno uwierzyliśmy w to, że jeno rzecz normalna i dodatnia, słowem jedynie pomyślność przysparza korzyści człowiekowi? Czy rozum nie myli się, uwzględniając tylko takie korzyści? Przecież umiłował człowiek niejedną tylko pomyślność! Może ukochał tak samo cierpienie? Może z cierpień ciągnie tak samo korzyść jak z pomyślności? Wszak człowiek niekiedy kocha cierpienie strasznie namiętnie. Jest to fakt!"

Filozofja to z jednej strony dusz bezbronnych, a poniżonych i zdeptanych, które w samem cierpieniu odnalazły dla siebie źródło pocieszenia i siły moralnej, tak samo jak są kobiety, u których spazm fizjologiczny tylko wówczas nabiera całej swej mocy, gdy poprzedziło go znęcanie się nad nią kochanka. Takie natury umiłowały strasznie cierpienie i łakną go namiętnie. Jest to fakt! Z drugiej — to filozofja krzywdzicieli, dla których uczucie najtkliwsze nawet traci wszelki swój powab, jeśli nie mają możności dręczenia ukochanej osoby i zadawania tortur jej uczuciom; dla których władza nad innymi przestaje wywierać urok, gdy nie idzie w parze ze znęcaniem się nad podwładnymi. I znowu jest to fakt istotny, często powtarzający się. Ale Dostojewski nie wyodrębnił w stopniu dostatecznym obu kategoryj, t. j. natur, które muszą żyć bólem cudzym i świadomie krzewią dokoła siebie cierpienie, od natur, które pożądają, ażeby je poddawano torturom ducha,—czynnych sprawców katuszy od biernych pożądaczy bólu. Może dlatego, że te kategorje niekiedy zlewają się nawzajem. A nadto uwzględnił typy czynne, wysubtelnione przez osiadły tryb życia i zajęcia pokojowe: katusze fizyczne są tu zastąpione przez tortury moralne, ciało

czyjeś pozostawiamy nietknięte, ale doprowadzamy do ostatecznego wyprężenia bóle duchowe, ofiara krwią zbroczona nie omdlewa pod ręką siepacza, jej stawy nie trzeszczą, nie doświadczają jej wrzątkiem lub ściąganiem skóry, ale wije się ona w spazmach bólu duchowego, zręcznie podsycanego. Niekiedy myśl twórcza artystów pióra obdarza nawet epokę barbarzyńską takiemi wysubtelnionymi siepaczami na przekór całemu otoczeniu ówczesnemu, które pojmuje tylko ból fizyczny. Takim płodem subjektywizmu jest postać Araba u J. Słowackiego:

...I łzy i rozpacz są skarbnicą moją
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych — cierpień widokiem przerażam.
Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze:
Może gdzie radość błyśnie niespodziana,
Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie.

Lecz nasza cywilizacja, pomimo iż systematycznie tępi lub usuwa rozrywkę krwawą, nie rozstała się z typami okrutnemi dawnych czasów. Prócz dręczyciela duszy, tego uduchowionego ogniwa długiego pasma okrutników, istnieją śród niej i okazy bardziej prostacze a brutalniejsze, które nie dorosły do zrozumienia tej prawdy, iż otchłań katuszy moralnych jest rozleglejszą, i pojmują, a raczej odczuwają przyjemność jedynie na widok cierpień cielesnych, wobec krwi cudzej.

Tak, istnieją śród nas takie postacie ze znamieniem Kainowem.

Jest to fakt!

Oto parę okazów z galerji takich typów Kainowych.

Wyrostek czternastoletni, znany pod znamienną nazwą boy-torturer. Pierwsze ślady jego działalności zbrodniczej, wykryte przez śledztwo sądowe, sięgają r. 1872, kiedy liczył zaledwie dwanaście lat wieku. Usiłował na ulicy zawierać znajomości z dziećmi, naturalnie młodszemi od siebie, obietnicą wynagrodzenia pieniężnego lub jakąś inną zwabiał je do ustronia, tam rozbierał do naga, zatykał usta chustką, wiązał ręce i nogi. Systematycznie i z powagą na twarzy karał je za urojone przewinienia: a więc chłostał, szczypał,

kłuł szpilką, nawet gryzł. Udowodniono mu na śledztwie sądowem, że w ciągu półrocza pastwił się nad siedmiu dzieciakami. Według wszelkiego prawdopodobieństwa czyny te nie były pierwszemi, tak samo jak nie były jedynemi, chociaż nie udało się odnaleźć pasma podobnych postępków w ciągu całego roku następnego (1873). A jednak z całą stanowczością można twierdzić, że i wtedy zaprawiał się w rzemiośle siepacza, gdyż w roku 1874 dopuszcza się potwornych czynów, o których trudno przypuścić, ażeby zjawiły się znienacka bez przygotowania. Zamiast dręczenia dzieci, morduje je: jedno pada ofiarą jego przewrotności w drugiej połowie marca, drugie w odstępie miesiąca po tamtem. Śledztwo nie wykryło najmniejszych objawów chuci lubieżnej, chociaż Mac-Donald w swojem studjum o „chłopcu - dręczycielu“ przypuszcza, iż była ukrytą przyczyną tortur i mordów [1]).

Natomiast u niejakiego B. znęcanie się zespala się z wybuchami chuci erotycznej. Od lat najmłodszych B. wykazywał namiętne upodobanie do dręczenia zwierząt domowych jako i młodszych od siebie dzieci. Zamknięty w sobie, wiarołomny, był naówczas postrachem rówieśników. Razu pewnego zwabił jednego z malców do ustronia, rozebrał go do naga, a wziąwszy witkę wierzbową, ćwiczył go nielitościwie, potem zadawał rany i gryzł, grożąc iż zamorduje, jeśli ofiara jego okrucieństwa będzie wołała o pomoc. W krótkim odstępie czasu dostał się do więzienia za poderżnięcie gardła koniowi sąsiada — śród oburzenia powszechnego. Od niejakiegoś bowiem czasu ktoś mordował bydło w całej okolicy, podrzynając mu gardło. Utyskiwano również, iż drób ginie masami, podejrzewano więc, iż B. przykładał do tego rękę, co okazało się prawdziwem. Aresztowany przyznał się do tych wszystkich czynów, oświadczając, iż ukręcał łeb ptactwu, a potem zakopywał do ziemi. Zaledwie wyszedł z więzienia, gdzie spędził rok cały, usiłował udusić własnego brata, który sypiał obok niego w tem samem łóżeczku. Innym razem macocha, wróciwszy do domu, nie zastała w kołysce pozostawionego niemowlęcia: brat wyniósł je do innej izby i tam dusił, przywaliwszy poduszkami. Wreszcie młody wy-

[1]) Dr. A. Mac Donald: Notes et observations médico-légales (Archives d'anthropologie criminelle, t. VIII).

rostek znalazł się powtórnie w więzieniu, a raczej w domu poprawy, dokąd dostał się na lat siedem za kradzież. Odsiedziawszy lata kary, wstąpił do kawalerji. Pewnego dnia wyprowadził swego konia, a ulokowawszy go w bagnie, zbił tak, iż nazajutrz znaleziono zwierzę martwe, sam zaś zbiegł, wracając do wioski rodzicielskiej. Któregoś wieczora ojciec, krając jabłko, skaleczył się w rękę, B. zerwał się jak oparzony na widok krwi, bladość pokryła mu lica. Wzburzony wybiegł z chaty, a wpadłszy na podwórze sąsiada, poderznął gardło koniowi, poczem umknął do lasu, napotkawszy tam zaś dziewczynę, rzucił się na nią i zgwałcił. Skazano go za to na powieszenie, ale ułaskawiono. Gdy po wielu latach odzyskał wolność, rozpoczął nowe życie od barbarzyńskiego zeszpecenia konia, za co wsadzono go do szpitala. Zemknął stamtąd po daremnem usiłowaniu zgwałcenia dziewczyny.

Jeszcze jeden okaz — postać historyczna, to sławny Juan Manuel Rosas, krwiożerczy dyktator Argentyny. Usposobienia ponurego, spędził młodość na wsi pomiędzy nieokrzesanymi synami stepów argentyńskich, śród których pozyskał imię i wziętość zręcznością w dosiadaniu najdzikszych koni. Tam wynalazł szczególną zabawę: pomiędzy dwoma drzewami, na wysokości człowieka, umieszczano kłodę drzewa, a jeźdzcy w całym pędzie przejeżdżali pod nią. Trzeba było nielada zręczności, ażeby pochylić się zawczasu, tembardziej, że nie wolno było zsuwać się pod konia lub na bok. Niejeden roztrzaskał sobie głowę... Rosas umiał skorzystać z niesnasek wewnętrznych w kraju i, stanąwszy na czele żywiołów wiejskich, prostaczych a okrutnych, niebawem objął władzę nad krajem. Rządził, posługując się pochlebstwem i mordami — pierwszem, gdy spokój panował; drugiemi, kiedy zauważył, iż tamto nie wystarcza i niezadowolenie nurtuje wśród obywateli. Wypuszczał tedy na miasto tłuszcze opryszków, włóczęgów z portu, rzeźników, których zorganizował, oddając nad niemi kierownictwo własnej córce, Murzynów wałęsających się bez zajęcia i chleba. Gromadę tę karmił i poił w przededniu wyprawy, a gdy nadeszła noc wyznaczona, rozpoczynały się mordy. Nadto istniała stała kohorta zbirów, nosząca nazwę „Kłosu kukurydzy“ i biada temu, kto dopuścił się niewłaściwego żartu, nosił brodę w sposób nietolerowany przez Rosasa, pogardzał barwą czerwoną! biada

każdemu zamożnemu, lub temu, czyja żona słynęła z urody! Palermo, wiejska sadyba dyktatora, była widownią tortur. Rosas, siedząc okrakiem na krześle, wysłuchiwał sprawozdań śród krzyków i jęków ofiar, które męczono w pobliżu. Jedni okrwawionemi palcami zrywają korę z drzew, a gdy ręce opadają ze znużenia, paznokcie zaś odrywają się od ciała, dozorcy chłoszczą skazańców po twarzy, przypominając o robocie. Inni, nadzy na czworakach niosą na grzbiecie swoim jeźdźców, a gdy zmęczeni nie mogą iść dalej, kat pruje im brzuch i zmusza do chodzenia, chociaż wnętrzności włóczą się po ziemi. Z torturami fizycznemi Rosas łączył wyrafinowane męczarnie, a nie szczędził tych udręczeń nawet osobom, które go ciągle otaczały [1]).

Są to krańcowi przedstawiciele rozpatrywanego pasma typów: brutalni, gwałtowni, lubujący się w widoku krwi, w katuszach fizycznych, niekiedy sprawiający wrażenie istot pół obłąkanych. Ale nie kładźmy tej krwiożerczości i okrucieństwa na karb obłędu! Obłęd nie stwarza krwiożerczości z wyjątkiem jednej manji — prześladowczej, która każąc obłąkańcowi widzieć wszędzie wrogów, czyhających na jego zgubę, w chorobliwem poczuciu samoobrony prowadzi go niekiedy do systematycznego krwi przelewu. Nawet i ta manja niekiedy zjawia się może w następstwie wrodzonego okrucieństwa i obawy zemsty, jak to miało miejsce u Rosasa. W innych wypadkach obłęd jedynie potęguje wrodzone okrucieństwo, jest objawem wtórnym, przypadkowym, wówczas gdy okrucieństwo jest podłożem pierwotnem. Okrutnik może szukać zaspokojenia swoich instynktów, zachowując całą przytomność umysłu — przynajmniej pozornie. Ów pociąg do znęcania się nad żywemi istotami maluje się niekiedy w całej pełni na twarzy, nadając jej szczególny wyraz, który pozwala odróżnić typy wrodzone okrutników na pierwszy rzut oka od obłąkańców mordu: gwałcicieli-morderców, którzy wybuchają zrzadka, ale gwałtownie, „prześladowanych prześladowców“ i in. „Pastwienie się dla nich jest przyzwyczajeniem, które zamienia się w potrzebę“, a raczej potrzebą, której czynią zadość na chłodno a systematycznie, pożerani ciągle

[1]) H. Bousquet: Juan Manuel Rosas (Jour. des Débats, 4 grudnia 1897).

przez ten dziwny popęd. Istnieją nawet całe ludy, którym taka maska okrucieństwa przyrosła do twarzy — wiadomy znak ukrytych pociągów, które tlą się w głębi. Spostrzeżenie, które z tego powodu zrobił Mantegazza, niewątpliwie jest słuszne. „Wyraz okrucieństwa na twarzy może występować jako piętno rasowe u całego ludu. Własnemi oczyma badałem taki wyraz twarzy u Tobów i u różnych plemion, które pod nazwą zbiorową Pampańczyków (Tuhuelchowie, Pehuelchowie, Rankielowie, Araukanie) zamieszkują obszerną równinę, leżącą na południu Argentyny i Chili. Ci plemieńcy, niezbyt zasługujący na sympatję, mają zawsze brwi nachmurzone i ściśnięte usta, nigdy na ich ustach nie daje się dostrzec uśmiech łagodny lub dobrotliwy; będąc samotni w pustyni i spostrzegłszy ich, sięgacie natychmiast ręką po pistolet lub ściskacie uzdeczkę konia stosownie do tego, czy odwaga wasza lub usposobienie są bardziej lub mniej wojownicze. A chociaż sądy, wydane na mocy fizjognomji, mylą, chociaż zdolności spostrzegawcze są bądź co bądź rzadkie, jednak osoba, najbardziej nierozważna, będzie wolną od myśli o niebezpieczeństwie śród plemienia łagodnych Eskimów; natomiast zdejmie ją nieufność i obawa pod namiotem rodziny pampaskiej — starczy jej bowiem rzucić okiem na postać gospodarzy. Ktokolwiek choć raz jeden w Ameryce południowej miał przed sobą Tobę obok Chiriguańczyka, od jednego rzutu oka odgadnie, który z nich jest człowiekiem okrutnego a krwiożerczego plemienia, a który ma zaszczyt należeć do głównych odłamów łagodnego i pokojowego szczepu Gwaraniów, stworzonych do posłuszeństwa i kochania [1]).

* * *

Nitki tej samej barwy, wchodzące w osnowę, splatają się z innemi w różnorodne wzory w tkaninie, która wydobywa się z warsztatu: idą tam jednem zwartem a wyodrębnionem pasemkiem, to rozproszone przeświecają wszerz całej sztuki. Tak samo typy okrutne wplatają się rozmaicie w życie narodu, a raczej ujawniają w niem swoją obecność, bądź gęściej, nawet bardzo gęsto zaznaczając swój wpływ,

[1]) Mantegazza: La Physionomie et l'expression des sentiments, Paryż, 151—152.

bądź rzadziej występując, a nawet stając się niemal niedostrzegalnemi.

Ustawa społeczna, w miarę tego jak rozstrzelenie średniowieczne ustępuje miejsca centralizacji państwowej, pozostawia okrutnikom coraz mniej wolnego przestworu, to jest wybryki ich chuci coraz rzadziej mijają bezkarnie. Wieki średnie, gdy kraj rozpadał się na mnóstwo niezależnych faktycznie dzielnic, sprzyjały niepokojom i rozrywce wojennej. Historycy włoscy obliczyli, iż podczas zatargu Gibelinów z Gwelfami istniało we Włoszech 172 odrębne ogniska władzy—rzplitych miejskich, margrabstw, księstw i t. d., a w każdem z nich ambicje osobiste i interesy partyjne ścierały się z gwałtowną namiętnością, każde zaś takie ognisko znajdowało się na stopie wrogiej z ościennemi. Sąsiad dusił sąsiada, puszczał z ogniem dobytek jego podwładnych, znęcał się, ilekroć nadarzyła się okazja, na którą nie trzeba było długo czekać śród dorywczych i drobnych, ale powtarzających się ciągle wypraw i utarczek. Nawet pospolity śmiertelnik tracił wrażliwość na przelew krwi, zżywał się z okrucieństwem, urodzony okrutnik zaś czuł się w tem otoczeniu jako we własnym swoim żywiole, bo nigdy nie zbrakło żeru dla jego nienasyconej chuci — żeru, który nie pociągał za sobą kary. Prowadzono wojny w sposób barbarzyński. „Mieszko — pisze Rocznikarz Saski pod r. 1030 — spustoszył ogniem i mieczem pomiędzy Łabą a Saalą przeszło sto wiosek, uprowadził 9065 chrześcijan mężczyzn i kobiet, wziął do niewoli biskupa brandeburskiego jako pospolitego jeńca, nie szczędził świętych ołtarzy, ale wszystko splamił mordem i krwią i przywłaszczał sobie szlachetne a bogobojne niewiasty zbrojną ręką. Tylko jedno było ocalenie przeciw tak wielkiemu nieszczęściu, a mianowicie upragniona śmierć. Barbarzyńska ręka pogan kaleczyła nawet ciężarne kobiety lub kłóła dzidą. Kazał wszystkich wyrznąć, którym lata podeszłe, delikatna młodość, niemoc lub słabość sił odmówiły". A takie prowadzenie wojny bynajmniej nie było właściwością jedynie pogan w stosunku do chrześcijan, bo i chrześcijanie w zatargach pomiędzy sobą hołdują takim samym zasadom. Stronice kronik średniowiecznych obfitują w opisy o strasznem znęcaniu się nad wrogami, o okrucieństwach bez liku. A im któryś z panków odznaczał się większem rozpasaniem wojennem, tem bodaj czuł się bez-

pieczniejszym w swoim zamku. Dobierał drużynę, która szła za nim ślepo; interes nawet kazał mu otaczać się okrutnikami, którzy w tym okresie niepokojów i grabieży przekroczyli byli dozwolone granice — wogóle bardzo rozległe — i szukali ucieczki przed odwetem skrzywdzonych: potrzeba przywiązywała zbirów do herszta, który podczas zawieruchy wojennej patrzył pobłażliwie na wszelką swawolę. Jeszcze wojna trzydziestoletnia, wyprawy szwedzkie, wojny w. XVIII odznaczają się niesłychanem pastwieniem się nad bezbronnymi mieszkańcami.

Okrucieństwo kładło piętno swoje także na całą procedurę sądową.

Na naszej Puszczy Zielonej, „kto kilkakroć czynił co się dotyczy miodu, takowemu kat ma wyrznąć pęp i z niego kiszki wytoczyć i tak z niemi czekać aż zdechnie, a potem zdechłego obwiesić". Karę tę stosowali bartnicy, którzy nie przeszli przez wyrafinowaną szkołę procedury sądowej miejskiej z jej torturami, mistrzem-katem! To piętno okrucieństwa spoczywa na procedurze sądowej jeszcze w w. XVIII. W kodeksie Marji Teresy jeden z paragrafów obwieszcza: przestępca będzie posadzony na wozie wysokim i oprowadzany dokoła miasta, na pierwszem miejscu będzie szczypany w prawą pierś rozpalonemi obcęgami, w drugiem — zostanie wycięty mu z lewego karku skrawek skóry, w trzeciem — obcęgi wyrwą kawałek lewej piersi, w czwartem wytną część skóry z prawego grzbietu: następnie będzie wleczony na desce do miejsca kary, tam będzie mu odcięte prawe ramię z głową, tułów zaś wpleciony w koło.

Okrutnik miał liczne okazje własnoręcznego ćwiczenia ręki swojej, jak i napawania się widokiem cierpień: każdy zameczek posiadał lochy, pan jego — zapewnioną bezkarność, każde miasto — narzędzia tortury i obchody krwawe a publiczne wymiaru sprawiedliwości, każda rodzina wyznawała zasadę: „a szanuj rękę ojcowską co bije", niesnaski wewnętrzne zaś dostarczały obficie możności znęcania się. To, o czem marzył ongi Macchiavelli, a mianowicie ażeby zamiast jednej i drugiej setki swawolnych panków ojczyzna jego posiadła chociażby najokrutniejszego, ale jednego tylko pana, bo okrucieństwo jednego dałoby się mniej we znaki niż wybryki setki, ziściło się w końcu. Krzepnie zwolna centralizacja spo-

łeczna, a jako jej wyraz ukazuje się państwo nowoczesne i od początku swego staje się wielką organizacją asekuracji wzajemnej — dostarcza członkom swoim rękojmi bezpieczeństwa osobistego. Z biegiem czasu idea państwowa doznaje rozszerzenia: organizacja społeczna powinna być asekuracją wzajemną dostatku i szczęścia. Te ideały, acz bardzo powolnie, wcielają się w życie, jednak samem swojem pojawieniem się świadczą, iż swawola, tucząca się cudzą krzywdą, doznaje coraz większego ścieśnienia — przynajmniej swawola jawna, krwawa. Ustrój nasz dzisiejszy jest w swej zasadzie ustrojem pokojowym — w zakresie powszedniego pasma zdarzeń i wypadków. Ręce, które rwą się do okrucieństw fizycznych, zostały spętane przez prawo, przez poglądy moralne, w końcu przez sam tryb życia codziennego. Nie oznacza to jeszcze, ażebyśmy śród siebie nie posiadali okrutników, jeno że ci nie rozporządzają dawnym przestworem do bezkarnej swawoli, że nie mają dawnej sankcji czynów swoich we własnym rozkaźniku moralnym.

Coraz im ciaśniej, coraz bezpośredniejsza grozi odpowiedzialność!

Zabrakło dawnego przestworu dla okrucieństwa nawet wewnątrz rodziny. Ci z pośród czytelników, którzy swoją pamięcią sięgają w czasy odległe od nas zaledwie o pół wieku, przypominają sobie owe rady pedagogiczne, któremi wydawca ozdabiał elementarze:

Różdżką Duch święty dziateczki bić radzi,
Różdżka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi.

Były czasy, gdy ów upominek Ducha św., niekiedy w formie jeszcze surowszej, należał do niezbędnych monitorów w ręku każdego wychowawcy. Dla nikogo nie robiono wyjątku: od książąt krwi aż do dziecka najpośledniejszego chudopachołka stosowano ten środek zbawienny, o którym zapewnia pedagog starej daty, że „choć bije, nie połamie kości, a dzieci oduczy od wszelakiej złości". Nawet państwo dzisiaj wtrąca się do samowoli rodziców i karze rękę, która zbyt często i zbyt dotkliwie używa monitorów w rodzaju różdżki, pedagogika zaś wypowiada pogląd, iż środek ten zgoła nie świadczy o umiejętności wychowawczej tego, kto

nim się posługuje, lecz jest dowodem niezaradności jego i niemocy.

Zanika chłosta i jej równoważniki w dwu innych urządzeniach, które najuporczywiej rozstają się z tradycjami średniowiecczyzny — śród murów więziennych i w wojsku. Zrozumiano i tutaj, iż środki gwałtowne, dając ujście dla chuci okrucieństwa z jednej strony, z drugiej stwarzają jedynie karność pozorną, pod którą tli się zarzewie nienawiści, czyhające na okazję odwetu. Procesy, wytaczane oficerom i podoficerom ostatniemi czasy w Niemczech, nietylko dowodzą wpływu opinji publicznej na sfery wojskowe, ale także uświadamiania sobie przez władzę tej prawdy, iż należy innemi, humanitarniejszemi sposobami utrzymywać spójnię śród zastępów wojskowych.

Ubywa więc przestworu dla swawoli. Jedynie na krańcach naszej cywilizacji, tam gdzie styka się z ludami barbarzyńskiemi, istnieje dawna swoboda wyuzdanej rozrywki krwawej i odbywają się straszne swojem okrucieństwem rozprawy, które świadczą, iż nie tyle my sami usposobieniem swojem, ile nasze stosunki codzienne i tekst prawa odbiegły od dawnych wzorów. Natomiast śród codziennego biegu życia sadyzm tylko wyjątkowo, i to w sposób bierny, może paść oczy swoje widokiem krwi świeżej, bólu i dręczenia. Istnieją bowiem tu i owdzie jeszcze wielkie sabaty chuci krwawej: walki byków w Hiszpanji, publiczne egzekucje zbrodniarzy. Jak kruki zewsząd ściągają na żer, tak gromadzą się okrutnicy na takie obchody. „Udajcie się na egzekucję głowną, na widowisko walki byków lub bój kogutów i badajcie mimikę widzów — napewno wyczytacie tam straszne objawienia!“ [1]). Jeden z mistrzów pióra, Turgieniew, pozostawił wspaniały opis uczuć swoich wobec gilotyny i zgrai gapiów, tłoczących się dokoła m-me Louison. „Zwrotka piosenki cynicznej biegła z ust do ust, nagle rozlegał się śmiech przeraźliwy, który wywołał wrzawę, a następnie hałas nieokreślony, jak gdyby tysiące gęsi trzepotało skrzydłami o kałużę... Nie był to hałas zawsze jednakowy: wybuchał wielki łoskot, konwulsje, śród których zrywały się ostre tony głosów kobiecych i dziecinnych i zamilkły jak fale, gdy się rozpry-

[1]) Mantegazza, l. c., 150.

skują na deszcz drobny. Czuliśmy się jak gdyby w obecności form brutalnych żywiołu... Ten lud zebrany rozsiewał woń przykrą, wszystkie te ciała wchłonęły olbrzymią ilość wina. Było dużo pijanych. Szynki iskrzyły się jak punkty czerwone na tle obrazu. Noc stała się czarną. Na drzewach, które zarysowywały się jak widma, siadały kupy uliczników, gwiżdżących i naśladujących świergot ptaków. Jeden z nich spadł i skręcił kark. Zranił się śmiertelnie, ale tłum śmiał się tylko z niego... Nie chciałem wejść na rusztowanie. Uczucie zbrodni, wstydu tajemnego opanowywało mnie coraz bardziej... Hałas stał się ogłuszającym: chór złowrogi nie brzmiał już crescendo, lecz wybuchał triumfalnie, radośnie". Jednak idea humanitarna, nie mogąc usunąć samej gilotyny, spędziła ją z placów publicznych do zamkniętych zaułków śród murów więziennych i zniosła bezpłatne sabaty sadyzmu. Domaga się zakazu walki byków, bierze w opiekę swoją zwierzęta, przedostaje się nawet do jaźni okrutników i obezwładnia ich niekiedy, a w każdym razie przeciwstawia krwawym popędom głos wewnętrzny rozkaźnika moralnego. „Zwierzenia — pisze z tego powodu Saury [1]) — niektórych dziedzicznie obciążonych zwyrodniałych uczciwego charakteru, odsłaniają nam walki staczane z pokusami. Trudno zdać sobie sprawę z ponoszonych przez nich cierpień. Jeden z nich, najłagodniejszy z ludzi, niezdolny do dobrowolnego złego postępku, ani do złych myśli, lecz dręczony gwałtownemi popędami, rzekł mi pewnego dnia: wolałbym otrzymać trzydzieści tysięcy uderzeń kijem, niż być napastowanym przez myśli zbrodnicze; nietyle mnie męczy chęć samobójstwa, ile podpalania lub mordowania moich bliźnich, a co dziwniejsza, gdybym wciąż nie panował nad sobą, gotówbym użyć podstępów, byleby te zamiary doprowadzić do skutku". Natura okrutnika szarpie się w pętach naszej pokojowej organizacji społecznej, braknie jej przestworu, krwawe zawody uszczuplają się w liczbie swojej. Pozostaje jej jedno: zabarwić okrucieństwem zajęcia zwyczajne. Oto niejaka Marja Jeanneret, kobieta dość zamożna, zostaje dozorczynią chorych, aby dosypywać trucizny do leków i pokarmów. Morduje w ten sposób 20 osób. Oto furman, znęcający się nad końmi w sposób brutalny, aż póki

[1]) Saury: Les dégénérés, Paryż, 1886.

ręka przechodnia nie zatrzyma go i nie odda w ręce sprawiedliwości. Oto podoficer Breitenbach, któremu sąd wojskowy w Berlinie udowodnił fakt systematycznego znęcania się nad żołnierzami: dopuścił się 300 ciężkich przekroczeń prócz mnóstwa drobniejszych. Oto taki nauczyciel domowy Dippold. Gdy na sądzie zeznawał jeden z malców, powierzonych jego opiece, obecni płakali, a niektórzy wołali: „nie możemy słuchać dalej!“ „Spaliśmy w tym samym pokoju — opowiadał malec; pokoju nie opalano. Dippold miał kołdrę, my leżeliśmy nadzy, kazał on wynieść materace. Ręce nasze były związane z tyłu, nogi przymocowane do łóżka. Niekiedy spaliśmy niezwiązani. Wtedy Dippold budził nas nocą, bijąc kijem i zmuszał w ciągu całych godzin stać przy łóżku. Kij miał sęki. Musieliśmy liczyć uderzenia, niekiedy dostawaliśmy 40 i 50 uderzeń. Często mdleliśmy. Bił nas także podczas dnia. Zmuszał nas boso biegać po śniegu, odmroziliśmy sobie nogi. Jednej nocy złamał, bijąc nas, sześć lub siedm prętów“. Jeden z malców umarł na skutek takiego obejścia się, a nie oszczędzono mu udręczeń nawet w chwili skonu. Wszystkie te okazy tak nie umieją panować nad swoją brutalnością, tak mało są zdolne do brania w rachubę oczekującej je odpowiedzialności, iż rodzi się pytanie, o ile ci ludzie nie stoją już u progu obłędu, a przynajmniej pół-obłędu, który sprzyja doskonałemu ujawnieniu się ich przyrodzenia chuciowego. Ale istnieją typy bardziej uduchowione, które pastwią się nad innemi w imię ich dobra, nie poczuwając się do przekroczenia nakazów moralnych! Oto wychowawca, który, nieświadom rzeczywistych pobudek, sam naprasza się na opiekuna małoletnich, a znalazłszy się na tem stanowisku, za lada przekroczenie, niekiedy nawet urojone, wcielał w życie zasadę iż „różdżką Duch święty dzieteczki bić radzi!“, aż póki nie ocknął się przed kratkami sądowemi. Krafft-Ebbing, poświęciwszy temu „dobroczyńcy“ niewielki, ale ładny szkic, pisze:[1]) „Życzliwość ojcowska zdarza się często u przewrotnych pod względem fizjologicznym natur, które nie tyle pożądają zaspokojenia zmysłowego, ile wrażeń duchowych. W ograniczo-

[1]) Krafft-Ebbing: Flagellatio puerorum als Ausdruck des larvirten Sadismus eines paedophilen Conträrsexuelen (Allg. Zeits. für Psychiatrie und psych.-gericht. Medizin 1901, 553—554 passim.)

ności i przewrotności swej myśli taki okaz może spoglądać na swe pobudki sadystyczne pierwotnie z punktu obowiązków wychowawczych i opiekuńczych, nie pojmując ich źródła lubieżnego; może nawet stale trwać w tym samoobłędzie, ponieważ powołanie wychowawcy i opiekuna jako idée fixe panują nad nim. Na skutek słabej chuci zmysłowej czynom władzy wychowawczej towarzyszą tylko przyćmione wrażenia zmysłowe w charakterze czuć drugorzędnych. Odczuwał on za sprawą swej niedowrażliwości płciowej jedynie słabe, przedewszystkim zaś duchowe podniecenie wobec chłosty, i dlatego poczytywał czyny swoje za prawowite i zgodne z duchem pedagogiki". Jeszcze o parę ogniw dalej, a znajdziemy się w obliczu pedagoga lub publicysty, z upodobaniem szczególnem snującego wywody o dobroczynnych wpływach rózdżki. (Nawet Dippold zamierzał w całym traktacie wyłożyć zbawienne skutki stosowanego przez siebie systemu.) Jeszcze na wyższym stopniu uduchowienia ujrzymy artystów, którzy za przedmiot pendzla wybierają znęcanie się nad nagiemi kobietami i wogóle sceny okrutne, tak jak 'ów półobłąkaniec, który w snach widywał w pokoju swoim tłum nagich dziewcząt, sam zaś je chłostał, aż póki widziadeł sennych nie zastąpił rzeczywistem znęcaniem się; lub powieściopisarzy, którzy zamiast żywych istot dręczą bohaterów swoich. Jak mistrz średniowieczny wyciągał skazańców na ławie męczarni, tak oni pastwią się nad duszą ludzką, wyprowadzaną w powieści.

Słowem, typ okrutny jak nitka, niedostrzegana na pierwszy rzut oka, jednak obecna w tkaninie, wsiąknął w różne, najbardziej z ducha swego pokojowe czynności i ujawnia istnienie tam, spełniając obowiązki w właściwy sobie sposób. Nie tyle zawód, ile modus operandi charakteryzuje okrutników naszej doby.

Ale nie zawsze i nie wszystkich!

* * *

Życie, w swoim żywiołowym przebiegu rozmieszczania typów duchowych w sieciach społecznego podziału zajęć, osadza bardzo często okrutników w któremś oczku tej organizacji bez czynnego udziału z ich strony, tak samo jak rzeka

samorzutnie odkłada mielizny. Ale zdarza się, iż krwiożerca czynnie i świadomie poszukuje zajęć, któreby sprzyjały ujściu jego popędów i zapewniały mu bezkarność.

Tacy poszukiwacze rzemiosła krwawego istnieli w przeszłości, istnieją i obecnie.

Dawson w swej monografji o tubylcach Wiktorji opowiada o niejakim Pundit-Punlotongu („wydrapywaczu tłuszczu z nerek“)[1]. Pomiędzy sprzymierzonemi plemionami, które ten etnograf opisuje, odbywają się niekiedy publiczne egzekucje zbrodniarzy. „Tubylcy zachowali żywe wspomnienie o żądnym krwi a dzikim wydrapywaczu tłuszczu z nerek, który spełniał obowiązki kata, a tak umiłował krwawe postępki, iż wykonywał to rzemiosło z własnej woli. Zabijał swe ofiary maczugą, zrobioną specjalnie w tym celu a słynącą pod nazwą dzikiej ręki. Lubił bardzo bójki. Gdy zapytywano się jego spółplemieńców, ilu osobom skrócił życie, otrzymywano odpowiedź, iż na każdym zborze ktoś padał jego ofiarą. Ujrzawszy, iż przybywa na zbór, kobiety wybuchały płaczem, gdyż wiadomo było, że nie odejdzie, nie zamordowawszy kogoś. Gdy odniósł drobną ranę, albo nawet zadraśnięcie, szukał odwetu i zabijał kogokolwiek“.

Otóż tacy Kaini, spragnieni krwi i agonji, a świadomi żądzy, która ich trawi, istnieją i śród naszej cywilizacji pokojowej. Mantegazza przytacza opowieść o kapłanie, który został kapelanem wojskowym, naturalnie nie po to, ażeby nieść umierającym ostatnią pomoc duchową, ale ponieważ pragnął przypatrywać się śmiertelnym konwulsjom umierających i bólom ranionych. Podczas pokoju korespondował z katami, przebywającymi nawet w punktach bardzo oddalonych, wiedział zawsze o każdej egzekucji, a niekiedy odbywał pieszo dalekie podróże, ażeby być obecnym, gdy tracą skazańca. Hodował samice zwierząt jedynie w tym celu, ażeby móc własnoręcznie odcinać łby młodym zaraz po narodzeniu[2]. Na podstawie tego rodzaju faktów badacz włoski ośmiela się nawet wygłosić uogólnienie bardzo rozległe: „Wrodzone pierwiastki okrucieństwa odgrywają niejaką rolę w powołaniu, które skłania niektóre osoby do oddania się rzeźnictwu,

[1]) Dawson: Aborigines of Victoria, 76.
[2]) Mantegazza, l. c., 150.

zostania chirurgiem albo katem. Znałem bardzo uczciwych chirurgów i rzeźników, którzy jednak, podczas spełniania swoich obowiązków, wykazywali tyle zadowolenia i zmysłowości, iż zrozumiałem jasno, że bez powściągów ze strony moralności i religji byliby niewątpliwie barbarzyńskimi zabójcami“ [1]).

Śród naszej pokojowej cywilizacji istnieje zajęcie, które dla tego rodzaju natur otwiera rozległe pole do ćwiczenia bezkarnego popędów krwawych. Jest to rzeźnictwo, jedno z tych rzemiosł, które pozostały nietkniętemi przez humanitarne powiewy epoki nowoczesnej i niepotrzebnie zgoła hołdują okrutnym i odrażającym metodom, godnym czasów najbardziej barbarzyńskich.

„Świnie ogłuszają rzeźnicy—pisze p. A. Suligowski [2]),— goniąc za niemi po rzeźni i wlokąc później ogłuszoną ofiarę po błocie, pokrywającem podłogę; bydło rogate zabijają za pomocą wbijania gwoździ w mózg, co wprawdzie powoduje paraliż kończyn i brak ruchów, ale nie zwalnia od cierpień i dłuższej agonji. Jak barbarzyńskie jest urządzenie, tak barbarzyńskie i bicie. Brudy zewnętrzne idą w zawody z dzikością obejścia oprawców, podtrzymując w nich instynkty drapieżności i znęcania się“.

„Często zdarza mu się — opowiada rzeźnik p. F. Brodowskiemu [3]) — przystępować do zdzierania skóry i wogóle oprawiania wołu, w którym serce jeszcze bije, który jeszcze nie skonał, daje oznaki życia. Gdym zapytywał młodzieńca, czy czynności te nie obrażają jego uczuć, odrzekł mi: Eh, proszę pana, z początku trząsłem się—to prawda, wzdrygało się we mnie coś; myślałem, że nigdy na świecie nie będę mógł wytrwać w tym fachu, ale teraz mi jest już wszystko jedno“.

Młodzieniec wzdrygał się z początku, zabijając zwierzę w okrutny sposób, ale zżywał się z krwawem rzemiosłem, tracił poczucie litości, aż to zagłuchło w nim zupełnie. Są tacy, którym wyrządzono taką krzywdę, bo zabito w nich wrażliwość na cierpienia chociażby bydlęcia, ale istnieją i inni, a takich bodaj jest bardzo wielu, którzy jęli się

[1]) Mantegazza, l. c. 150.
[2]) Ogniwo, 1903, 740.
[3]) Ogniwo, 1903, 1004.

krwawego zawodu, bo łaknęli widoku krwi, bo byli spragnieni wrażeń tego rodzaju. Kryminologja mogłaby przytoczyć długą listę okrutników, którzy rozpoczynali w dzieciństwie swojem od ukręcania łbów ptactwu, a skończyli na pastwieniu się nad ludźmi lub na rzeźnictwie lub na jednem i drugiem. Włoski kryminolog Marro przytacza znamienną pod tym względem opowieść. Badał w więzieniu epileptyka-podpalacza, obarczonego popędem krwiożerczym. W latach dziecinnych epileptyk ten przepadał za krwawemi zabawami: razu jednego ledwie nie zarznął młodszego braciszka—dziecko było wołem, starszy brat rzeźnikiem. Zamiłowanie do krwi sprawiło, że dorósłszy obrał rzemiosło rzeźnika. Znalazłszy się w murach więziennych, ze szczególnem upodobaniem przysłuchiwał się rykowi bydła w pobliskiej rzeźni. „Dzisiaj ryczy a jutro będzie zarznięte“, mawiał wtedy z niekłamanym zapałem. Na pytanie, dlaczego tak lubi swoje rzemiosło, odpowiedział: „niezmiernie podoba mi się widok płynącej krwi“. Przed laty kilkunastu czasopisma niemieckie powtarzały sensacyjną wiadomość, że kilku „czcigodnych“ dżentelmanów płaciło spore kwoty rzeźnikom, ażeby ci pozwalali im oprawiać woły, a nawet usiłowali za grubsze jeszcze pieniądze wyjednać u istniejących podówczas katów możność dokonywania zamiast nich egzekucji—rozumie się incognito [1]). Takich typów, namaszczonych piętnem Kainowem, znajdzie się więcej w warsztacie rzeźnika i śród innych pokrewnych rzemiosł. Przedostały się nawet do utworów powieściowych. Eugenjusz Sue, ten wielki a zapomniany humanista, wyprowadza jeden z takich typów w swoich „Tajemnicach Paryża“. Odtworzył postać swego „Nożowca“ (w żargonie mętów paryskich słynącego pod nazwą Chourineur) z taką mocą, iż trudno powstrzymać się nam od przytoczenia paru ustępów, które rzucają niewątpliwie jaskrawe światło na przedstawicieli krwawych rzemiosł. „Nożowiec“ przechwala się, iż przelewa krew, ale nie kala rąk swoich kradzieżą. „Moje pierwsze rzemiosło polegało na tem, że pomagałem hyclom oprawiać konie. Miałem wtedy 10—12 lat. W pierwszej chwili dobijanie starych koni czyniło na mnie pewne wrażenie; po miesiącu już nie myślałem o tem, owszem zasmakowałem w swojem rzemiośle. Nikt

[1]) O. Beneke: Von unehrlichen Leuten, wyd. II, Berlin, 1882, 172.

nie posiadał lepiej wyostrzonych noży... Kiedy miałem około lat 16 a głos mój przekształcał się, oprawianie przeszło we wściekłość, w jakąś namiętność. Nie piłem i nie jadłem, tylko myślałem o tem jednem. Trzeba było mnie widzieć wtedy przy pracy! Prócz spodni parcianych nie miałem nic na sobie. Kiedy z nożem dobrze wyostrzonym w ręku, mając przed sobą 15—20 koni, rzędem oczekujących kolei, rozpoczynałem ich zarzynać, nie wiem, co ze mną się działo!... Był to obłęd: w uszach mi dźwięczało, widziałem przed sobą czerwoną barwę, i tylko ją jedynie, oprawiałem, oprawiałem ciągle, aż póki nóż nie wypadł z rąk. Gdybym był miljonerem, ileż dałbym za to rzemiosło! Gdym skończył lat 16, namiętność ta tak spotężniała, iż podczas roboty stawałem się niemal obłąkanym i psułem pracę. Dziurawiłem skóry, uderzając nożem na prawo i na lewo. Ostatecznie wyrzucono mnie za to z warsztatu. Chciałem wtedy zostać rzeźnikiem,— żywiłem zawsze gust do tego zajęcia—ale rzeźnicy są dumni i nie przyjęli oprawcy". Wstąpił do wojska, tam w uniesieniu rzucił się na sierżanta i dwu szeregowców. Na widok krwi ludzkiej ocknęło się w nim sumienie: w porze nocnej widuje dziesiątki, setki, tysiące żołnierzy, oczekujących kolei swej w rzeźni, a on ich oprawia. „Widziałem dokoła siebie barwę czerwoną i zaczynałem oprawiać ludzi jak ongi konie. A im więcej oprawiałem, tem więcej przybywało. Umierając, spoglądali na mnie wzrokiem tak łagodnym, iż przeklinałem siebie, że ich morduję, przecież nie mogłem się powstrzymać. Zdawało mi się, iż oprawiam braci swoich". Bohater powieści, ks. Gerolstein, wyciąga „Nożowca" z błota i kupuje mu jatkę. Krwiożerca z radością ogląda swój warsztat: w uszach huczy, ręce palą, krew uderza w skroniach. Jak oszalały ima się jagnięcia, ale na widok krwi, ukazują się halucynacje ludzi, oczekujących oprawy z łagodnym wyrzutem w oku...

Niewątpliwie, bywają i tacy krwiożercy, którzy broczą we krwi i nie słyszą wyrzutów sumienia, jeśli jest to krew bydlęcia lub wroga, zamordowanego na wojnie. Ludzkość budzi się w ich jaźni dopiero w obliczu mordu, uskutecznionego względem bliźniego w normalnych warunkach bytu codziennego. Ale nie w każdym istnieje to poczucie, iż ofiara jest naszym współbratem. Zygmunt Krasiński, gdy w obozie Pankracego w mrokach nocy wyprowadza na scenę chór

rzeźników śpiewający: nam wszystko jedno czy panów czy bydło rznąć, jest bodaj bliższy prawdy.

Nam wszystko jedno, czy bydło czy panów rznąć! I oto pomiędzy zbirami Rosasa, których ten krwiożerczy dyktator wypuszczał na Argentynę, jak gromadę zgłodniałych tygrysów, rzeźnicy zajmowali poczesne miejsce. Gromada ta obżerała się w ciągu paru dni jadłem i chlała trunki, a gdy następowała noc wyznaczona, wojsko, dozorujące tygrysów, rozpraszało się; jak drapieżnicy wypuszczeni z klatek, zbiry rzucali się w ulice miasta z wrzaskiem. Nazajutrz rano zjawiały się wozy, zabierały trupy i wywoziły... Podobne osobniki uwijały się śród mordującego tłumu podczas dni wrześniowych (1792), a na stronicach historji ręka rzeźnika jest niejednokrotnie widoczna podczas wybuchów namiętności i plami swoją obecnością najwznioślejsze chwile.

Nam wszystko jedno: czy bydło czy ludzi rznąć! I rzeźnik stawał się katem urzędowym, tym funkcjonarjuszem publicznym, który za czasów Klonowicza słynie pod dosadną nazwą „małodobrego“, a z którego powodu lud nasz ułożył przysłowia: srogi jak kat, sumienie gorsze niż u kata, — tak samo podkreślając jego przyrodzenie duchowe, jak jeden z pisarzy naszych dawnych wyrzekł o naturze rzeźnika: chciał się bawić zielnikiem, będąc z natury rzeźnikiem. Sumienie kata? „Nożowiec“, wyprowadzony w „Tajemnicach Paryża“, miewa halucynacje, iż wyrznięci bliźni spoglądają na niego łagodnym wzrokiem, i miota się cały w konwulsjach bólu. Sumienie kata? K. W. Wójcicki opowiada o jednym z ostatnich prawdopodobnie katów naszych, który żył w Kórniku w r. 1834. Miał lat 80, a stale żałował, że srogiej kary i mąk (tortur) niema, dowodząc, że dlatego tyle teraz jest złych ludzi. Przechowywał mnóstwo narzędzi, któremi posługiwał się podczas tortury: „byli ludzie w mojem ręku tak twardzi, że za pierwszą męką nie chcieli się przyznać, ale powoli za drugą i trzecią wycisnąłem prawdę. Jak tu nie żałować, że nie palą czarownic! A bywało, jak wolnym ogniem począłem skwarzyć czarownicę, na własne oczy widziałem, jak diabeł brał duszę“ [1]).

* * *

[1]) K. W. Wójcicki: Zarysy domowe, Warszawa 1844, t. I, 387 — 388.

W okresie barbarzyńskim dokonywano wyroku nad złoczyńcą niezwłocznie, gdy przydybano go na gorącym uczynku: wytaczano z niego kiszki, przypalano stopy na wolnym ogniu, sadzano na gorącym kamieniu, niekiedy ścinano lub wieszano. W tym ostatnio wymienionym wypadku cała gromada, jak to bywało w Ziemi Ditmarskiej lub u nas na Puszczy Zielonej, trzymała za stryczek: odpowiedzialność za krew przelaną padała wówczas na wszystkich, a nikt nie mógł innym urągać, iż byli katami. Ścinanie przestępcy ciążyło niekiedy na najmłodszym z pośród ławników, a jeszcze wcześniej bodaj na tym, kto ostatni w obrębie gminy wstąpił w związki małżeńskie. Lud nasz nie zna miłosierdzia dla koniokradów, tak samo barbarzyńcy bez litości pastwili się nad złodziejem, który pokryjomu czynił około cudzych barci, nad cudzołożnikiem lub gwałcicielem. Wyrok zapadał surowy; dreszcz zgrozy przebiega po ciele, gdy z pomników prawa zwyczajowego odgrzebujemy okrucieństwa ówczesne, ale bądź co bądź rozbraja badacza krewka namiętność, która nie odwleka kary od ujęcia złoczyńcy, rozbraja także szczerość, z jaką barbarzyńca przyznawał się do tego, iż krew przelana nawet w procedurze sądowej plami.

Zgoła inny widok roztacza się przed nami, gdy rozważamy procedurę karną w ostatnich stuleciach Średniowiecza lub w początkowych okresach czasów nowożytnych. Wymiar sprawiedliwości przestaje być czynem gromadnym, od pochwycenia złoczyńcy do ostatniej z nim rozprawy ciągnie się długa a krwawa droga, a na niej sterczą narzędzia, które pozostały po czasach rzymskich, zostały pomnożone przez dorobek barbarzyńców germańskich i udoskonalone przez postępy techniki. Mamy na myśli narzędzia używane do tortur: te żelazne dziewice, najeżone wewnątrz kolcami, szruby do miażdżenia palców zaopatrzone takiemi samemi szpicami, buty holenderskie, czapki pomorskie, narzędzia meklemburskie, hiszpańskie kołnierzyki — rzekłbyś, iż każda dzielnica pragnie dodać jakieś krwawe a bolesne ulepszenie do arsenału środków tortury; kołyski i beczki, nasadzane wewnątrz gwoździami i nożami; doświadczenia wodą, którą wlewano przez gardło, a nadewszystko straszna drabina: rozciągano na niej delikwenta, przywiązywano do rąk i nóg ciężary, które zwolna zwiększano, ażeby kości wyszły ze stawów, niekiedy drabina

była najeżona gwoździami, a nadto przypalano ciało świecami woskowemi lub wbijano za paznokcie drzazgi. Po dokonaniu tortury, jeśli winowajca nie przyznał się do winy lub nie wydał spólników, leczono go, aż póki nie nabrał sił, ażeby wynieść nowe doświadczenia. Spoglądał na śmierć jako na zbawienie. Ale i tę chwilę, gdy do niej dochodziło, czasy średniowieczne umiały zrobić za pomocą różnorodnych dodatków możliwie bolesną i upokarzającą. A zatem oczekiwało złoczyńcę niekiedy łamanie kołem: gnieciono ręce do łokcia i nogi do kolan, później ramiona i uda, grzbiet — nieraz koło winno było przejść po ciele jego czterdzieści razy, zanim rozmiażdżonego a jednak żyjącego jeszcze wpleciono w koło, ażeby konał na skwarze kilkanaście godzin, a nie żałowano jeszcze i wtedy szczypania rozpalonemi obcęgami... Ćwiartowano z tą samą okrutną powolnością, nawet nie oszczędzano rwania skóry z ciała w formie rzemyków. Starczy w dziełach, poświęconych przedstawieniu dawnej procedury karnej, przeglądać obrazki, a już budzi się w nas niewypowiedziane uczucie wstrętu i zgrozy! Czujemy, iż ręka sprawiedliwości ówczesnej jest nietylko nieubłaganą, ale i okrutną, iż w tem pastwieniu się nad skazańcem, spoglądającym śmierci w oczy, chodzi o to ażeby cierpiał jaknajboleśniej, iż myśl prawodawcy dba troskliwie nietylko o pozbawienie winowajcy jednego z największych dóbr, jakie posiadamy — życia, ale nadto gorliwie pracuje nad tem, ażeby wydrzeć z ust jego w obliczu śmierci możliwie najwięcej jęków. Niechaj cierpi! A jeśli prawodawca działał nieświadom tej pobudki i jedynie w swoim kodeksie systematyzował to, co doświadczenie wieków nagromadziło było przed nim i udoskonaliło, to pomiędzy komentatorami znajdowali się chłodni okrutnicy, którzy wyłuskiwali ukrytą zasadę i tłumaczyli ją drobiazgowo. Takim jest Meckbach [1]). Mówiąc o drabinie tortur, oświadcza iż „należy o tem pamiętać, ażeby torturowany nie mógł opierać się nogami, gdyż wtedy ramiona nie wychodzą ze stawów i karany nie odczuwa bólu, chociaż drabina powinna wywoływać większe męki niż sznurowanie

[1]) Anmerkungen zu der peinlichen Gerichtsordnung Kaiser Karl's V nebst der Bamberger Tortur, 1755.

lub szrubowanie nóg". A przedstawiwszy sposób, w jaki należy torturować, komentator powiada w zapale okrutnym: „to winno stwarzać zadziwiające bóle"! Teoretyzujący ten okrutnik wykłada katowi, że tylko wtedy zasłuży na miano mistrza swej umiejętności, gdy przy karze zdoła wydobyć z potępieńca możliwie wielką ilość cierpień. Niechaj cierpi, cierpi jaknajboleśniej!

I wreszcie śród tej procedury karnej, najeżonej torturami i zakończonej niekiedy okrutną śmiercią, ukazuje się postać nieznana, a raczej prawie nieznana okresowi barbarzyńskiemu. Jest to „silny mąż", „małodobry" mistrz Carnifex, t. j. kat, dopełniający tortur i wykonywający okrutne wyroki! Wprawdzie miał poprzedników — dobrowolnych, jak owego księcia meklemburskiego, który słynie w kronikach jako Hinricus Suspensor. Pan ten woził ze sobą zawsze kilka stryczków i własnoręcznie wymierzał sprawiedliwość. Rozprawa była bardzo krótka a stanowcza. Powiadał do pojmanego: du most mi durch den Ring kieken, nakazywał zmówić „Ojcze nasz" i wieszał złoczyńcę na najbliższem drzewie. Niekiedy wyciągał rzezimieszków z kościoła podczas nabożeństwa i spełniał wyrok na poczekaniu. Takim oprawcą był także Baldwin hrabia Flandrji, Magnus książę meklemburski, palatyn Otto Wittelsbach i wielu, bardzo wielu innych. Ale kat urzędowy zjawia się względnie późno i odrazu wyróżniać się zaczyna z pośród rozległego zastępu okrutników. Gromada barbarzyńców, trzymająca ręce na stryczku, dokonywała wyroku pijana namiętnością zemsty, Henryk Suspensor mógł do uprawianego sportu wkładać całą żądzę okrutną, bohater z „Tajemnic Paryża" wpadał w szał i nieprzytomny uderzał nożem na prawo i lewo. Natomiast katowi niewolno było puścić wodze gorącej a rozhukanej namiętności, bo straciłby pewność oka; nie mogła go zdejmować najmniejsza litość, którąby przyprawiła o drżenie jego rękę, bo jeśli chybił ciosu śmiertelnego, prawo zwyczajowe dawało folgę nienawiści gminu dla krwawego funkcjonarjusza, tłum rzucał się na kata i rozszarpywał go na miejscu. Musiał być chłodnym, nielitościwym okrutnikiem. „Do wykonania obowiązków konieczny był niezwykłej mocy hart woli, krom siły fizycznej i zręczności zimna krew, ostre zmysły, spokojne oko... Miękkość, spółczucie ludzkie były najgorszym wrogiem, największem

niebezpieczeństwem dla silnego męża“ [1]) Zdarzały się jednak pomiędzy katami osobistości łagodne: jeden z nich miał ścinać w Hamburgu r. 1639 młodzieńca, który kogoś zamordował w porywie gniewu, a następnie sam oddał się w ręce sprawiedliwości i szedł na stracenie z obliczem radosnem „jak u anioła“. „Silny mąż“ poczuł łzy w oku, dwa razy zamierzał się i chybiał, za trzeciem uderzeniem odciął głowę, ale jednocześnie odrzucił od siebie miecz, składając przysięgę, iż nigdy więcej nie dotknie tego plugawego narzędzia [2]). Były to wyjątki, które rzadkiem swojem istnieniem uwydatniają jeszcze bardziej niedostępną uczuciu litości duszę „małodobrego“ mistrza. Oto inny, także kat hamburski: i on chybił dwa razy, co go tak przygnębiło, iż wrócił do domu złamany na duchu i niebawem umarł trawiony zgryzotą [3]). Może żal mu było 6.000 marek, za jakie kupił stanowisko swoje... Oto kat norymberski: prowadzi dokładny inwentarz dopełnionych wyroków — w ciągu lat 44 powiesił, ściął, wplótł w koło i utopił 361 skazańców, chłostał, piętnował, obcinał uszy lub palce 345 osobom...[4]) Zaiste gmin średniowieczny był wiedziony zdrowym instynktem, gdy o okrutniku i złym człowiek wygłosił porównanie: sumienie gorsze niż u kata!

„Małodobry“ był bez litości: z zimną krwią dopełniał kaźni, za pomocą intryg ubiegał spółzawodników, gdy chodziło o godność w korzystnem miejscu i dbał o pieniądze, zostawiając dzieciom swoim niekiedy ładny grosz. Żył w swej samotni, w odosobnieniu od ludzi i świata. Pomimo przykładu, idącego od Henryków meklemburskich i Ottonów bawarskich, śmiertelnicy pospolici spoglądali z odrazą na rękę, która wymierzała kary. Obowiązki krwawe dostawały się różnego znaku łazęgom — nieznanym przybyszom, którzy radzi byli, że mogą o coś stałego zaczepić się i znaleźć niezawodny kawałek chleba. Pomiędzy nimi wielu było znieprawionych przez wojenkę i rozboje, ale więcej takich, którzy przyszli na świat ze znamieniem Kainowem. Włóczęga o niewyraźnej

---

[1]) Beneke, l. c., 184.
[2]) Beneke, l. c, 205.
[3]) Beneke, l. c., 216.
[4]) Beneke, l. c., 196.

przeszłości podejmował się wymiaru kary, osiadał w grodzie i dawał początek rodowi dynastów szubienicy i stosu: główna linja panowała w któremś z większych ognisk dzielnicy, a godność w niej przechodziła na najstarszego syna, młodsi rozpraszali się po okolicy. Rody te słynęły w Niemczech pod nazwą Schelmensippen: tacy Stoeffowie np. siedzieli w całej Holsztynji i dzielnicach ościennych, w samym Oldesloe spoczywa na cmentarzu 75 członków tego rodu [1]). Lud unikał obcowania z tymi dygnitarzami: dotknięcie ręki kata plamiło, obawiano się nawet przypadkowego otarcia się o jego szaty, w Lubece na targu niewolno mu było dotykać ręką mięsa w jatce ani ryb w stągwi, odmawiano mu pierwotnie miejsca w kościele i przystępowania do stołu Pańskiego, a gdy z biegiem czasu zdjęto te zakazy, przyjmował komunję ostatni. Gdy znużony widokiem krwi rozstawał się dobrowolnie z swojem rzemiosłem, twierdzono naówczas, iż Duch św. wstąpił w niego i wymagano, ażeby dożywotnią pokutą zmazał winy swoje. Pokutujący kat należy do liczby znamiennych postaci Wieków Średnich i znajduje naśladowców śród lekkomyślnej a próżniaczej czeredy zwyczajnych włóczęgów, podszywających się pod każdego, kto tułać się musi i odwoływać do miłosierdzia: „mówią oni — pisze kronikarz Matthias von Kemnat — iż byli katami, stracili około setki osób a teraz pragną pokuty; stoją przed kościołem, trzymając w jednej ręce miecz, w drugiej wiązkę rózg i proszą ludzi, ażeby wymierzali im karę, i umieją płakać na zawołanie“ [2]). Słowem kat w pojęciach ludu był wielkim grzesznikiem, a z grzechu nie oczyściła go i nauka dzisiejsza, która tylu dawnym winowajcom przebaczyła. „Silny mąż“ mieszkał w swej samotni, a każdy unikał ścieżyny, ku niej prowadzącej; przebywał w odosobnieniu, niekiedy poświęcając się studjom anatomicznym i praktyce chirurgicznej, otoczony przez niższego rodzaju pachołków: oprawców, czyścicieli i innych. „Gromada tych pachołków, o ile nie składała się z zwyrodniałego potomstwa katów, rekrutowała się z ich własnych dzieci, oraz z najgorszego kalibru okazów, których dostarczali wyrzutkowie rodzaju ludzkiego. Nietylko jednostki,

[1]) Beneke l. c., 177.
[2]) Beneke, l. c., 176.

pozbawione uczciwości obywatelskiej i moralnej, ale także ścigani opryszkowie i mordercy, skazańcy, którzy umknęli z więzienia, szukali schronienia i znajdowali przytułek pod płaszczem pachołków kata, i śród tej ciżby zdziczałej i wyzutej z uczuć ludzkich czeladzi rzadko biło litościwe, wierne, dzielne serce“ [1]). Niekiedy „małodobry“ posiadał przywilej warzenia trunków i wyszynku. Wtedy zbiegali się do czary liczniejsi goście. „Nastręcza się uzasadnione pytanie: kto w całym świecie mógł i ważył się spędzać wczasy swoje nad czarą piwa lub wina w domostwie kata, oraz korzystać z usług jego i jego wyrzutków-pachołków? Kim byli ci goście? Niewątpliwa to rzecz, iż nie należeli do zacnych mieszczan i uczciwych osób. Byli to ludzie, których sława oddawna była zaszarganą, honor nadwyrężony lub upadał za sprawą niedających się naprawić błędów; tłum skończonych banitów, gromada osób, które już znajdowały się w ręku kata i utraciły na całe życie zacność, lub które dzięki przypadkowi posiadały jeszcze swobodę ruchów, ale jutro może będą spętane, w końcu osób, które można uważać za uwikłane w sieciach czujnej policji. Z drugiej strony dlatego może nie jest nieuzasadnionem przypuszczenie, że udzielanie katowi prawa wyszynku wypływało nie tyle z uprzejmego wynagrodzenia jego usług, ile z ówczesnej polityki policji. Wyznaczając podejrzanym gościom ognisko spólne w formie niewinnego przytułku, nadzwyczajnie ułatwiano dozór policyjny“ [2]).

* * *

Dawna procedura karna była surową w codziennym swoim biegu, ale jeszcze nie najokrutniejszą.

Spoczywała w ręku dostojników świeckich, pomiędzy którymi znajdowali się niekiedy okrutnicy, lecz jeszcze częściej ludzie, grzeszący raczej prostactwem, niż żądzą pastwienia się, — zwyczajni śmiertelnicy, dający zarówno posłuch głosowi miłosierdzia, jak i zapalczywości gniewnej.

Zbywało tam na owej nieubłaganej konsekwencji, która jedynie jest zdolną, zamiast luźnych czynów, powołać do

[1]) Beneke, l. c., 179.
[2]) Beneke, l. c., 227 — 228.

życia ustrój chłodnego, wyrafinowanego okrucieństwa. A jeśli nie brakło w tym zastępie sędziów, którzy żądali od kata, ażeby był mistrzem swej umiejętności, tj. dopełniając kaźni, wydobywał z ofiary możliwie największą ilość bólu, to przecież wpływy ich nie ciążyły w sposób trwały na procedurze karnej, duch ich nie przenikał wszystkich kół i kółeczek mechanizmu sprawiedliwości, wrodzona okrutność nie rozporządzała na swe usprawiedliwienie ideowością. Było okrucieństwo, byli nawet jego teoretycy, istniał kat i tortury, ale nie było konsekwentnie urzeczywistnionego systemu.

Znęcanie się nad podsądnym dopiero naówczas wybucha z całą mocą, gdy tortury będą wplecione w doskonale wykończoną więź dochodzenia prawdy, a po jej wykryciu—kary przykładnej; w więź, w której ognisku naczelnem płonie egzaltacja fanatyczna i blaskami swemi rozjaśnia lochy podziemne, izby tortur i miejsca kaźni, w której wreszcie uderza energicznem tętnem jakiś puls środkowy i udziela życia i ideowości najpośledniejszemu nawet z pachołków.

Procedura karna dosięgnęła takiego właśnie wykończenia w inkwizycji.

Inkwizycja zrodziła się nie odrazu. Rzekłbyś: mocowała się z przeszkodami, zanim zamieniła się w ciągłą instytucję, wszechwładną a nieubłaganą. Pierwsze jej stronice należą może do rzędu najciekawszych. Śród konwulsyj porodowych stają na jej czele osobistości, które znaczą krwią i cierpieniami ludzkiemi drogę swoją, aż póki nie upadną pod ciężarem własnych czynów, potępione przez Kościół. Wraz z tymi pionierami ginie na czas jakiś i sama instytucja. Ale, jak to zdarza się często, przegrana chwilowa toruje drogę przyszłemu zwycięstwu: lud przyzwyczaja się do strasznych widoków, które przestają razić i w końcu powtarzać się zaczynają systematycznie.

Oto Robert le Bougre, pierwszy generalny inkwizytor Francji, nawrócony heretyk. W r. 1234 „król Ludwik dał Robertowi straż bezpieczeństwa, któraby osłaniała go przeciw nienawiści powszechnej. Otoczony taką łaską monarszą prześladowca zwiedzał dzielnicę, siejąc dokoła siebie postrach... W swej nieokiełzanej gorliwości człowiek ten nawet nie zadawał sobie pono trudu skrupulatnego rozpatrzenia sprawy i udowodnienia winy. Osoby, które wskazał jako

heretyków (twierdził, iż umie wyczuć heretyków z mowy, a nawet z gestów i postawy), miały do wyboru pomiędzy wyrzeczeniem się błędów i dożywotniem więzieniem albo śmiercią w ogniu na stosie. Dla urozmaicenia widoku, zamiast palenia ofiar, grzebano je niekiedy żywcem. Powiadają, iż w ciągu 2—3 miesięcy Robert wyprawił w ten sposób na tamten świat około 50 nieszczęsnych obojga płci. Jaką winna być całkowita liczba jego ofiar podczas piastowania obowiązków, które spełniał bez najmniejszej kontroli w ciągu wielu lat! Te dowolne a nieubłagane rozprawy trwogą zdejmowały zarówno wielkich, jak i maluczkich". Wreszcie przekonano się, iż prześladowca nie odróżniał niewinnych od winowajców i Grzegorz IX uznał za stosowne rozstać się z tym wojującym synem Kościoła. Robert został wtrącony do więzienia aż do końca dni swoich [1]).

Opuszczamy narodziny inkwizycji w Lombardji. Co najwyżej, warto przy okazji zwrócić uwagę na inny typ, który obok okrutnika rej wodzi śród dostojników tej instytucji — na obłąkańców wielkości własnej i świętości. Takim jest jeden z działaczy inkwizycji w Lombardji, dominikanin Giovanni Schio: gdy w Bolonji golono go w miejscowym klasztorze Franciszkanów, dziwił się, iż braciszkowie nie podnoszą z ziemi włosów jego brody, jako relikwij [2]). Ale oto spółczesny obu i niczem nie ustępujący Robertowi sławny Konrad z Marburga, ów Canis Dominicus, jak go nazwano. Dziwnym zbiegiem okoliczności, z imieniem tego okrutnika zespoliło się imię jednej z najczystszych postaci Wieków Średnich, św. Elżbiety. Kat i ofiara bezbronna, brutalny mężczyzna i nieświadoma właściwej pobudki jego czynów kobieta! Św. Elżbieta, wyszedłszy bardzo młodo za mąż za Ludwika ks. Turyngji, owdowiała w dwudziestym roku życia, a po latach czterech jeszcze tułaczki i cierpień zeszła ze świata za sprawą tego siepacza. „W wieku lat osiemnastu poddała się kierownictwu Konrada, który z okrucieństwem złego ducha jął wdrażać do karności tę duszę anielską. Fakt następujący uwydatni, jak ślepego posłuszeństwa domagał

[1]) H. Ch. Lea: Histoire de l'inquisition au moyen-âge, Paryż 1901, II, 133 — 136 passim.

[2]) H. Ch. Lea, l. c., II, 246.

się od niej. Razu pewnego zawezwał ją na jedno ze swoich kazań, ale księżna nie przybyła z powodu przyjazdu szwagrowej. Konrad zdjęty gniewem oświadczył, że porzuca swoją penitentkę. Nazajutrz Elżbieta udała się do niego, błagając o przebaczenie, a gdy niezłomnie trwał w postanowieniu, upadła mu do nóg. Jej towarzyszki, na które również sypały się potępienia, przyłączyły się do skruchy swej pani. Konrad kazał ściągnąć z nich szaty, pozostawiając jedynie koszulę, i chłostać z całą siłą". Wstają przed nami ze stronic książek, które traktują o chuci przewrotnej, obrazy lubieżnych okrutników, poszukujących zaspokojenia swej żądzy w chłostaniu nagich niewiast... Konrad takim lękiem przejmował Elżbietę, iż mawiała: jeśli drżę tak przed tym śmiertelnikiem, jak będę trwożyła się w obliczu Boga! Po śmierci męża, brat jego zagarnął majętności wdowy i bez grosza wypędził ją z dziećmi. Żyła odtąd z jałmużny, a na żądanie Konrada rozstawszy się dziećmi poświęciła się pielęgnowaniu nieszczęśliwych i trędowatych. Ślepe posłuszeństwo względem woli okrutnika dało powód do różnych pogłosek, zniesławiających Elżbietę jako kobietę. Gdy doniesiono jej o tem, przypomniała chłosty i kary i rzekła: „Oto taką miłością karmi mnie ten święty człowiek. Chwała Bogu, który zażądał odemnie tej ostatniej ofiary! Porzuciłam wszystko: dostojeństwa, bogactwa, urodę, zostałam żebraczką i jako jedyną ozdobę zatrzymałam wstyd niewieści. A jeśli Bóg zechce mi ją zabrać, ujrzę w tem szczególną łaskę"! Konrad jednak nie ustawał w dzikiem swem pastwieniu i wszelkiemi sposobami znęcał się nad tą duszą zbiedzoną i złamaną. Sprzeciwiał się każdemu jej porywowi, oddalił od niej jej dzieci, kazał rozstać się z wiernemi towarzyszkami, każde nieposłuszeństwo karał uderzeniami i brutalnem obejściem. Niemal zazdrościł, iż zdolna jest kochać własne dziecko lub przyjaciółkę. Elżbieta zaś radowała się, iż cierpi. Zastawiał sidła, ażeby złapać ją na nieposłuszeństwie. Zakonnice wybłagały u Konrada pozwolenie, ażeby Elżbieta spędziła dni parę w ich klasztorze. Wiedząc o tem, przyjęła zaproszenie. Konrad wtedy przyczepił się do niej, iż osobom świeckim nie wolno przestępować progów klasztoru, kazał więc jej i jej towarzyszce położyć się na ziemi, a mnich Gerhard, alter ego Konrada, bił je kijem, po paru tygodniach widać było jeszcze ślady strasznego znę-

cania się. Śmierć Elżbiety złamała Konrada i na razie przestał tropić heretyków z dawną gorliwością. Wówczas wystąpili z ukrycia inni entuzjaści, zrodzeni z jego ducha. Dominikanin Konrad Tors, pono nawrócony heretyk, bez mandatu na to, zaczął oczyszczać kraj z fałszywych nauk. Towarzyszyła mu osoba świecka, niejaki Jan, pełen przewrotności i złych instynktów, który szczycił się, iż na pierwszy rzut oka rozpoznaje heretyka. Rozpoczęły się krwawe rozprawy: „gotów jestem spalić stu niewinnych — mawiał Tors — jeśli pomiędzy nimi znajdzie się jeden winowajca.“ To wyprowadziło Konrada z bezczynności, z całą namiętnością jął się heretyków, aż póki nie został zamordowany w pobliżu Marburga. „Tak ucichła burza — pisze jeden z duchownych ówczesnych — najstraszniejsze prześladowanie, jakie spadło na wiernych od czasów Konstantego Heretyka i Juljana Odstępcy. Świat odetchnął na nowo!“ „We wszystkich czynach Konrada — oświadcza Lea — nie tylko trzeba podkreślić brutalność postępowania tego człowieka, który uważał tortury moralne i cielesne za najskuteczniejszy środek zbawienia, ale również i arogancję umysłu, co bez najmniejszego wahania wziął na siebie rolę boga-mściciela, karzącego ludzi za słabość ich i grzechy“. Duchowieństwo niemieckie potępiło pamięć Konrada. Ale nawet po śmierci pozostała mu dawna ofiara — Elżbieta: pochowano go obok jej zwłok, a gdy przeniesiono je do wspaniałego kościoła pod jej wezwaniem, położono w pobliżu i szczątki jej siepacza [1]).

Tak wyglądają pierwsi zwiastuni świętej procedury. Umiarkowanie synów północy, a nadewszystko silny rozwój feodalizmu świeckiego i potęga książąt Kościoła, spoglądających nieufnie na wszelką centralizację, udaremniły zabiegi założenia tam inkwizycji. Natomiast stała się wszechwładną siłą na południu, w Hiszpanji, w której sprzyjały jej ciemnota tłumów i stosunki polityczne. Podsycana przez nietolerancyjny temperament południowców, umiała tam połączyć z egzaltowaną namiętnością przeraźliwie konsekwentną teorję okrucieństwa. Zbyteczna rozwodzić się drobiazgowiej nad jej dziejami. Garstka suchych cyfr starczy bowiem za długie wywody. W ciągu lat 1481 — 1781 ginęło rocznie w Hi-

[1]) Lea, l. c., II, 391 — 409.

szpanji w uściskach inkwizycji około tysiąca osób, w tej liczbie jakaś setka na stosie, pozostali byli wtrącani do lochów. W ciągu tego czasu spalono faktycznie 32.000 osób, 12.000 zaś in effigie, nadto 291.400 skazano na wieżę i inne kary. I również zbyteczna darzyć uwagą zastęp ponurych dostojników, którzy są wykuci wszyscy jakby z jednego marmuru, a górują nad Robertem i Konradem żelazną wolą i systematycznością. I nawet rysy twarzy powtarzają się tam zadziwiająco. „Rzecz ciekawa — pisze J. M. Ramos Mejia [1]) — iż bodaj istniał typ fizyczny i specjalna fizjognomja, właściwe inkwizytorom". Tylko co przytoczony autor, który poświęcił całą monografję rozbiorowi duchowości inkwizytorów, twierdzi na podstawie dokumentów i wrażeń spółczesnych, iż w owych czasach niejednokrotnie zaznaczano podobieństwo zewnętrzne, istniejące pomiędzy inkwizytorami poszczególnymi. Jednaki duch mieszkał w jednakiem ciele! „Nie ten był inkwizytorem, kto pragnął tego, potrzebne były stosowne przymioty moralne i umysłowe. Personel niższy, familjanci inkwizycji, te narzędzia trybunału, byli to ludzie nieokrzesani, nieuki, wybrani ze względu na swój fanatyzm; wolno mniemać, iż wielu z nich było dotkniętych obłędem religijnym, takiemi osobistościami gmin wypełnia dzisiaj cele szpitala dla obłąkanych. Ale dostojnicy, których wola i inteligencja kierowały temi narzędziami prostaczemi, byli zwyrodniałymi o psychologji jeśli nie wyższej, tedy bardziej złożonej". Ramos Mejia mniema, że głównego zastępu dostarczał typ „prześladowanego prześladowcy", tak znany psychjatrom dzisiejszym — człowieka, znajdującego w halucynacjach podnietę do tępienia ogniem i mieczem heretyków. Torquemada przedstawia według tego pisarza liczne cechy, idące w parze z duchowością epileptoksztaltną. Ale naszem zdaniem Mejia zanadto uprościł oblicze duchowe inkwizytorów i nawet niższych pachołków: z jednej strony przybrał ich w szaty obłędu, co niejednokrotnie może zdarzało się, ale ów obłęd bynajmniej nie był źródłem pierwotnem okrucieństwa, z drugiej nie uwzględnił typu okrutnego ani jego skojarzeń z innemi żądzami. W jednem tylko posiada autor argentyński słu-

[1]) La locura en la historia, Buenos-Ayres 1895 (według streszczenia w Archivio di Psichiatria ed Antropologia criminale, XVIII, 306—357)

szność zupełną: nie każdy, kto pragnął tego, był dobrym inkwizytorem lub pachołkiem tej instytucji. A nadto zwrócił uwagę na bardzo ciekawy szczegół, a mianowicie na uderzające podobieństwo fizyczne pomiędzy dostojnikami świętego trybunału.

* * *

Dobiegliśmy kresu.

Przed nami przesunęła się cała galerja okrutników.

Psychjatrja niejednokrotnie kusiła się o powiązanie okrucieństwa z szałem lubieżnym. Niewątpliwie takie skojarzenie trafia się, a niekiedy ujawnia się w sposób nader jaskrawy śród gwałcicieli-ludożerców, pastwiących się lubieżników i innych pokrewnego oblicza postaci. Ale począwszy się w takiem ogniwie, pasmo okrutników snuje się dalej, zatracając ślady owego skojarzenia, aż w końcu wyda z siebie postacie, gdzie rozbiór wykazuje z trudnością obecność pobudki lubieżnej, a nawet zgoła nie może jej udowodnić. Natomiast na tym drugim swoim końcu, jak również w rozmaitych ogniwach pośrednich, zespala się to pasmo jeszcze z odmiennem podłożem duchowem: żądzą szkodzenia innym. Ukazują się typy intrygantów, sobków różnego rzędu — ludzi złych, czynnie usiłujących krzewić ból lub budować swój dobrobyt na cudzem nieszczęściu.

Z PSYCHOLOGJI LUDÓW

LUDOŻERSTWO I WILKOŁACTWO

(1898 — 1915).

Erazm Majewski w książce swojej „Drobne prace i notatki z dziedziny archeologji przedhistorycznej i etnografji“ zamieścił rozprawkę, poświęconą ludożerstwu na Markizach.

„Jakim przyczynom można przypisać ludożerstwo Markizan? — pyta się E. Majewski. Przyczyn tych jest dużo. Ile znajomość dotychczasowa obyczajów i wierzeń religijnych odsłania przeszłość ludów pierwotnych, ludożerstwo wynika z następujących pobudek.

„Najpierwszą, gruntem niejako prowadzącym do kanibalizmu, jest religja, która wymaga ofiar ludzkich. Ciało ludzkie stanowić ma najprzyjemniejsze i najwłaściwsze pożywienie bogów. W następstwie podobnego założenia, ponieważ naczelnicy są pochodzenia boskiego, mają prawo w czasie spełniania ofiar czysto religijnych do pewnej cząstki pożywienia bogów.

„Innym niemniej logicznym motywem kanibalizmu musiała być wiara rozpowszechniona wśród wielu ludów pierwotnych, że można sobie przyswoić własności albo przymioty ofiary, spożywając odpowiednią część ciała, uważaną za siedlisko tego przymiotu lub własności. Z drugiej strony, Markizanie wierzą w drugie życie, które upływa po części na tem samem miejscu, gdzie przebywał umierający osobnik. Przez spożycie ciała wroga niszczy się go zupełnie, unika się więc łatwym sposobem możliwej jego zemsty pośmiertnej... Kanibalizm tedy zapewnia zupełną zemstę. Zabija on nie tylko wroga żywego, ale zabija go po śmierci.

„Zemsta przez kanibalizm dostarcza przytem zadowolenia zmysłów, gdyż Markizanie znajdują ciało ludzkie bardzo smacznem.

„Wkońcu należy przyjąć jeszcze ludożerstwo przypadkowe, spowodowane głodem podczas zbyt dalekich wycieczek pirogami na ocean.“

Tak E. Majewski przedstawia pobudki ludożerstwa na Markizach. Popełnił błąd wysuwając przyczyny drugorzędne i wogóle mniej wpływowe na miejsce poczesne, natomiast po macoszemu traktuje te, które naszem zdaniem zaważyły najbardziej. Oświadcza, że „gruntem, prowadzącym do kanibalizmu, jest religja“ i że „ciało ludzkie stanowić ma najprzyjemniejsze i najwłaściwsze pożywienie bogów“. Co do nas, sądzilibyśmy, iż należy odwrócić to zdanie. Poganin obdarza bogów swoich własnemi zaletami i przywarami i kształtuje Olimpy na wzór doczesności ziemskiej. Jeżeli ciało ludzkie jest najprzyjemniejszem pożywieniem bogów, to tylko dlatego, iż ich twórca, barbarzyniec Markizanin, upodobał taki pokarm. Religja jedynie szczątkowo zachowała w praktykach swoich ludożerstwo, jeśli ludzie porzucili ów zwyczaj. Tak było w Meksyku, to samo powtarza się na paru archipelagach oceanu Spokojnego.

I pobudka, ażeby zabić wroga na zawsze i unicestwić go nawet po śmierci lub przywłaszczyć jego przymioty, nie była zasadniczą, t. j. nie należała do rzędu tych, które doprowadzić mogły do masowego ludożerstwa. Że zemsta i namiętność, podniecona szczękiem oręża, działały, niema wątpliwości. Wysysano krew wroga na polu bitwy pod wpływem podniecenia i dopiero później poparto takie postępowanie rozumowaniem, iż „przez spożycie ciała wroga niszczy się go zupełnie“ i że „można przyswoić sobie przymioty ofiary“. Namiętność, posuwająca się aż do ludożerstwa, zdarza się często na niższych szczeblach rozwoju społecznego i nawet nie jest rzadką w dziejach naszej cywilizacji podczas wojen domowych. Dzieje Wielkiej Rewolucji francuskiej dostarczyłyby wielu przykładów [1]).

[1]) H. Taine: Les origines de la France contemporaine: La révolution, I, 89, 134, 407, 418. Por. także notatkę u Sebillota: Coutumes populaires de la Haute Bretagne, 1886, I, 374, iż marynarze francuscy, których Anglicy więzili na pontonach, marzyli o tem, aby przed śmiercią zjeść serce Anglika.

Istotne źródło ludożerstwa na Markizach, oraz w wielu innych okolicach globu tkwi głębiej. Ale działają pobudki bardziej złożone niż te, jakie wyłuskał p. E. Majewski. O pochodzeniu kanibalizmu świadczy wymownie ta okoliczność, że tylko osoby jednej płci głównie i nawet jedynie spożywają mięso ludzkie, natomiast drugiej dostarczają ofiar.

„Ludożerstwo, pisze E. Majewski, między kobietami istniało także, choć spożywanie mięsa ludzkiego było surowo zabronione płci żeńskiej. Mimo tego zakazu mamy jednak dużo faktów, stwierdzających, że kobiety z amatorstwem raczyły się mięsem ludzkim. Należy tu zauważyć, że mięso kobiet i dzieci daleko częściej było spożywane, aniżeli mężczyzn. Nie znaczy to, aby uważano je za smaczniejsze, ale tłumaczy się poprostu sposobem prowadzenia walk".

Nie znamy źródła, z którego autor czerpał swoje wiadomości. Odnieśliśmy wrażenie, iż nadał faktom nieco silniejsze zabarwienie, niż na to pozwalał materjał. W każdym razie odmienne zachowanie się obu płci przy spożywaniu mięsa nie ulega wątpliwości i będzie dla nas kluczem do rozwiązania ciekawej zagadki z psychologji ludów: mianowicie czem się to dzieje, iż ludy zamożne, mające poddostatkiem zwierzyny, umiłowały jednak kanibalizm.

* * *

Psychologowie, zajmujący się studjami nad wyrazem uczuć u zwierząt, notują zdarzający się tam bardzo często objaw — wybuchów szału erotycznego w połączeniu z żądzą krwi i pastwienia się. W pracach, poświęconych temu przedmiotowi, znajdziemy opowiadania o kanarku, który podczas napadu uniesienia zmysłowego zabija towarzyszkę i jest tak podniecony, iż trzeba mu było dostarczyć dwu innych, lub o kangurze, mordującym w ogrodzie zoologicznym w Hamburgu, w podobnej chwili, samicę z dzieckiem. Zaloty ptactwa dostarczają niewyczerpanego materjału dla studjów nad psychiką erotyzmu. „Struś samiec przysiada przed samicą, potem kołysze miarowo przez 8 — 10 minut głową i szyją, uderza tyłem głowy o boki, skrzydła poruszają się w drżeniu gorączkowem, całe ciało trzęsie się, z piersi wydobywa się głuche i urywane gruchanie, cała jego istota jest jakby dotknięta szałem histerycznym". Ruchy, które u strusia nabrały rytmiczności, doprowadzają inne ptaki do śpiewu lub

tanów, jeszcze inne do walki pomiędzy współzawodnikami o względy samicy. Ogniwa pośrednie tu i owdzie wypadają lub ulegają zmianie i niekiedy otrzymujemy jedynie sprzężenie erotyzmu z krwiożerczością, mniej lub więcej silne, stosownie do napięcia podniety zasadniczej, rozpłodczej.

Takie połączenie obu stanów, lubieżności i krwiożerczości, spotykamy w rodzie ludzkim. Mniejsza zresztą jak powstało, dość iż istnieje i ujawnia się niejednokrotnie. Prace psychjatrów i antropologów-kryminalistów rzuciły dużo światła na tę stronę natury ludzkiej.

Ktoś, niejaki Grossi, pijany szałem miłosnym, rzuca się w nocy na krewniaczkę. Odepchnięty, porywa nóż, rani ją kilkakrotnie w dolną część tułowia, oraz zadaje ciosy ojcu i wujowi, powstrzymującym go. Wybiega później, ażeby udać się do domu nierządu, skąd wraca wciąż w stanie podniecenia, morduje ojca i parę wołów. Kryminalistyka algierska notuje inny szczegół: mianowicie, iż Kabylowie, obwinieni o uduszenie kobiety, dokonywają tej zbrodni najczęściej podczas upojenia miłosnego. I piosnka śpiewana przez sutenerów paryskich świadczy o takiem samem sprzężeniu uczuć:

— „Blanchelive, Blanchelivette, quand voudras-tu m'aimer?"
— „Quand de tes doigts saigneux me feras un collier!"

Takie uniesienia miłosne często zdarzają się zwłaszcza epileptykom i sprowadzają takie same następstwa. Lecz bywa i odwrotnie, chuć lubieżna zjawia się na widok przelanej krwi. W Wiekach Średnich, gdy zdobyto szturmem miasto nieprzyjacielskie, do rabunku i rzezi rozjuszone żołdactwo dołączało zawsze gwałcenie kobiet i ich mordowanie. Możemy z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuścić, iż to rozpasanie zjawiało się wywołane widokiem krwi. Przynajmniej posiadamy liczne fakty, że widok krwi wywołuje podrażnienie miłosne. Hoffman opowiada o przypadku, w którym własnoręczne zarzynanie kury lub gołębia zastępowało komuś narkotyki lubieżne. Lombroso zaś mówi o takiem usposobieniu u utalentowanego pisarza, doznającego podniecenia na widok zabitego cielaka lub nawet świeżego, surowego mięsa. (Fakty te dostarczają bardzo cennej wskazówki dla rodziców i pedagogów. Jeżeli uważamy za stosowne strzec dziatwę od przedwczesnego ocknięcia się instynktów

fizjologicznych, dla tych samych względów należałoby ochraniać ją od przyglądania się przelewowi krwi). Acz idea krwiożerczości w naszej świadomości nie zawsze chodzi w parze z podnieceniem miłosnem, przecież istnieje pomost pomiędzy jednym a drugim stanem w układzie tkanki nerwowej i obraz krwi w pewnych przypadkach może wywołać nieprzewidziane skutki. Verzeni, ów młody upiór, a raczej obłąkaniec, wykazujący liczne oznaki zwyrodnienia anatomicznego czaszki, duszący w polach kobiety i ssący krew ich, doznał pierwszej pobudki w tym kierunku w roku dwunastym na widok zarzynanej kury. Rozdrażnienie fizjologiczne, które go wtedy ogarnęło, było tak silne i przyjemne, iż dla wywoływania go jął się dusić pokryjomu drób w kurnikach, od kur zaś przeszedł z biegiem czasu do kobiet. Wprawdzie Verzeni był okazem chorobliwym, i takie silne sprzężenie idei krwiożerczych a erotycznych w młodym wieku da się wytłumaczyć tylko wyjątkową, nienormalną naturą tego obłąkańca. Lecz pamiętajmy, że wszelkie zboczenie psychjatryczne jedynie jest wygórowaniem stanów, spotykanych i u osób zdrowych: sprzężenie obu pociągów może być u człowieka normalnego słabsze i nawet bardzo słabe, ujawniać się rzadziej i w nieznacznem napięciu, ale o istnieniu jego niepodobna wątpić.

W końcu, ze szczebla na szczebel, przechodzimy do przypadków, gdy widok krwi lub cierpień, zadawanych kobiecie, zastępuje zupełnie zdrowy a normalny stosunek fizjologiczny.

Verzeni, w napadzie szału erotycznego, poprzestawał na duszeniu i gryzieniu ofiar, oraz wysysaniu krwi, to go zupełnie zaspokajało. Wielu epileptyków i starców, dotkniętych idjotyzmem (dementia senilis), podczas podniecenia szukają widoku krwi, a znane są przypadki, gdy starzec, znalazłszy się w stanie podrażnienia, mordował kury i grzebał się w jeszcze ciepłych wnętrznościach, co działało nań uspakajająco. Krafft-Ebbing zebrał sporo faktów tego rodzaju. Są neuropatycy, którzy znajdują ujście instynktu fizjologicznego w ranieniu kobiety szpilką. Ktoś inny zaczął od czternastego roku życia uczuwać dreszcze przyjemne na myśl o ranach, zadanych dziewczętom, pokaleczone i krwią zbroczone kobiety majaczyły mu się we snach. Od roku dziewiętnastego zaczyna wśród tłumu na ulicy zadawać upa-

trzonym osobom lekkie rany, poczem w 32-im przekracza to postanowienie, usiłując wywołać obfitszy krwotok. Ujęto go, w mieszkaniu znaleziono kolekcję sztyletów, noży i t. d., przestępca zaś przyznał się, iż sam widok zaostrzonej stali podniecał go zmysłowo.

Wśród pasma tych stanów lubieżno-krwiożerczych spotykamy ogniwa, sprzężone z ludożerstwem. Verzeni, którego imię już wspominaliśmy, był właśnie takim kanibalem. Czuł się tylko wtedy mężczyzną, gdy wysysał krew uduszonej ofiary. „Rozciąłem jej piersi — opowiada inny lubieżnik-morderca — i nożem rznąłem miękkie części ciała. Grzebałem się w niem, jak rzeźnik w bydlęciu; przyznaję, tak łaknąłem, żem drżał i ledwie nie pożarłem kawałka". Inny rzuca się w lesie na dwunastoletnią dziewczynkę, gwałci ją, zabija, wyrywa serce i zjada, oraz pije krew. Nie chodzi nam o dalsze przykłady, ani o szczegóły ludożerstwa, które są zwykle natury odrażającej, zaznaczymy tylko, że niektórzy zadawalają się samem piciem jeszcze dymiącej się krwi i pożeraniem pewnych kawałków ciała. Kanibalizm ten zastępuje im zupełnie zaspokojenie zmysłowe. Bohaterami tych ponurych dramatów bywają zawsze mężczyźni, kobiety i niekiedy dzieci — ofiarami [1]).

Psychjatrja, po niej zaś antropologja kryminalna oddawna zaznaczyły ów związek pomiędzy krwiożerczością a lubieżnością i zwróciły uwagę na ludożerstwo, wypływające z pobudek zmysłowych. A jednak do dnia dzisiejszego etnografowie nie spróbowali zastosować wyników tych gałęzi wiedzy do wyjaśnienia objawów kanibalizmu etnicznego. Nowy to dowód, jak oddzielne nauki rozwijają się niezależnie nawzajem i jak postęp, dokonany w jednej, nie oddziaływa na inne. Gdy trzeba wytłumaczyć ludożerstwo etniczne, zajmujący się tym zwyczajem podają najrozmaitsze wyjaśnienia: wpływy kultu, i przesądy, że zjadając czyjeś ciało, nabywa się przymiotów ofiary, i głód lub zemstę. Zaledwie w paru pracach, np. u Karola Letourneau i u Lipperta,

[1]) Źródła: Krafft - Ebbing: Psychopatia sexualis, wyd. IX. C. Lombroso: Człowiek zbrodniarz, Warszawa, przekład J. L. Popławskiego. R. Moll: Les perversions de l'instinct génital, Paryż 1893. C. Lombroso: Amore nei pazzi, Turyn. Artykuły w Archivio di psichiatria.

w liczbie pobudek znajdujemy „łakomstwo“ [1]). Zrobiono to ustępstwo pod naciskiem faktów. A przecież podróżnicy już oddawna zwrócili uwagę na to, iż kanibalizm kwitnie w najlepsze nie wśród upośledzonych szczepów rodu ludzkiego, lecz w plemionach zamożnych i względnie wysoko posuniętych.

„Zazwyczaj widzą źródło ludożerstwa w zupełnym niedostatku środków spożywczych, pisze G. Forster o Nowohebrydyjczykach [2]), lecz jakąż przyczynę możnaby wskazać tutaj, w tym urodzajnym kraju, dostarczającym człowiekowi pożywnych roślin i korzeni poddostatkiem, oraz posiadającym trzodę chlewną? Może właściwiej i prawdopodobniej trzeba byłoby wyprowadzić tę nienaturalną skłonność z instynktu zemsty“.

„Gdy wśród tubylców Australji, zaznacza O. Rietmann[3]), spotykamy plemiona ludożercze, jest to rzecz zgoła zrozumiała. Przyroda poskąpiła im roślin i zwierząt i pojmujemy, iż dzicy musieli odwołać się do spożywania mięsa ludzkiego. Ale na uposażonych we wszystko wyspach Oceanu Spokojnego umieściła w obfitości pożywne i smaczne rośliny, tuziemcy posiadają trzodę chlewną, ptactwo i ryby i mimo to wyspiarze na niektórych archipelagach należą do rzędu najnamiętniejszych ludożerców“.

Kanibalizm Fidżyjczyków przewyższa wszelkie pojęcie. A przecież znajduje się tam „poddostatkiem pożywienia wszelkiego rodzaju, ziemia sama z siebie daje obfite plony i zdołałaby wyżywić stokrotnie większe zaludnienie“ [4]).

„Wioski obfitują w kozy, owce, kury, psy i trzodę chlewną—pisze D. Livingstone o Manyemach [5]),— knieja dostarcza słoni, zebr, bawołów, antylop, w rzekach istnieje kilka odmian ryb. Substancje azotowe są obfite, istnieją i smakołyki, jak wino palmowe i tytuń. Ziemia jest tak płodna, iż

---

[1]) K. Letourneau: Science et matérialisme, Paryż, 1879 (szkic o ludożerstwie); J. Lippert: Kulturgeschichte der Menschheit.

[2]) G. Forster: Sämmtliche Schriften, II, 243, por. takie same wywody o tym samym archipelagu Hagena i Pineau, Rev. d'ethn. 1888, 327.

[3]) O. Rietmann: Wanderungen in Australien und Polynesien. S. Gallen 1868, 171.

[4]) Th. Williams: Fiji and the Fijians, 1870, 182.

[5]) D. Livingstone: The last Journals, 1874, II, 148—149.

usunięcie zielska jest już równoznaczne z orką. A więc pobudka do ludożerstwa nie tkwi ani w głodzie ani w braku pokarmu zwierzęcego. Znajduję jedyną przyczynę w deprawacji apetytu, wywołującej niezmierne łaknienie mięsa, że tak powiem, wysokiej wartości".

Fakty te powinny nas przekonać, że napięcie kanibalizmu nie zawsze jest w stosunku z ubóstwem źródeł pożywienia. J. Lippert starał się wyjaśnić to, zaiste dziwne, zjawisko, zaznaczając, że na wyspach Oceanji, mimo obfitości ryb i płodów, niema pokarmu ciepłokrwistego. Ale przecież na Ziemi Ognistej taki pokarm nie jest zbyt obfity, napewno nawet szczuplejszy niż na wyspach Fidżi, tymczasem niema tam wybujałego ludożerstwa, jakie istnieje na ostatnio wymienionym archipelagu. Zresztą, przyjmując nawet w pewnej mierze tłumaczenie, podane przez Lipperta, winniśmy pamiętać o ustępie z jego Historji kultury, iż „u wielu plemion ludożerczych panuje zwyczaj, że kobiety i dzieci albo są zupełnie wyłączone od uczt kanibalistycznych, lub otrzymują tylko ochłapy". Możnaby na upartego ów fakt tłumaczyć tem, iż wogóle łupy wojny i polowania należą wyłącznie do mężczyzn, gdyby nie zwyczaj pożerania przez mężczyzn nawet własnych żon i nie tożsamość tych objawów zamorskich z postępkami ludożerców naszej części świata. Nadto, jak mamy wyjaśnić takie szczegóły, że ludożercy przekładają mięso ludzkie nad zwierzęce, członków własnej rasy nad białych, kobiety i dzieci nad mężczyzn? Zwłaszcza w Afryce rzeczywistość podważa hipotezę Lipperta. Niektórzy kanibalowie z pośród szczepu kafryjskiego zamieszkują „uroczy i urodzajny szmat ziemi, obfitujący także w zwierzynę". „Nie poprzestając na polowaniu i pożeraniu wrogów, napadają wzajem na siebie. Wielu jeńców pochodzi z ich własnego plemienia; co gorsza, podczas głodów, żony i dzieci stają się pastwą odrażającego zwyczaju. Z leniwą lub kłótliwą żoną rozprawiają się niebawem, w taki sam sposób uspokajają wrzeszczące dziecko; jeśli ktokolwiek wykazuje oznaki słabości lub niemocy fizycznej, napewno nie pozwolą mu własną śmiercią umrzeć" [1]). Inny lud afrykański, przebywający w bar-

[1]) J. H. Bowker, dr. Bleek i J. Beddoe: the Cave Cannibals ot South Africa (the Anthr. Review, VII, 1869), 122.

dzo uposażonej okolicy, wyciąga z grobów nawet trupy. O Monbuttach, innem plemieniu, zamieszkującem środkową Afrykę, de Rialle odzywa się: „lud ten, tak posunięty pod niektóremi względami, nie umie, czy też nie chce hodować trzód, uprowadza bydło sąsiadów wraz z pasterzami, których chętniej pożera, niż woły, kozy i owce" [1]). H. H. Romilly zaś zaznacza: „wielu przypuszcza, iż plemię tubylcze, ponieważ jest ludożercze, z tego powodu jest bardziej dzikie niż pospólności, nie uprawiające tego zwyczaju. Przypuszczenie to jest błędne!" [2]).

Zaczniemy od charakterystyki pojedyńczych ludożerców. To, co zaciera się w opisie zwyczajów gromady, ujawnia się jaskrawo w obrazie oddzielnych osób. Otóż żądze kanibalistyczne są u osób poszczególnych tak potworne, tożsamość z postępowaniem obłąkańców szału lubieżnego w Europie tak znaczna, że niepodobna wahać się co do źródła instynktów, które doprowadziły do pożerania mięsa ludzkiego.

Archipelag fidżyjski dostarcza przykładów, które możemy uważać za klasyczne. Kobiety jedzą tam rzadko mięso ludzkie, tymczasem co do mężczyzn, jeden z wodzów chwalił się, iż pożarł 900 ludzi [3]). Williams w książce swojej zamieścił opowieść o niejakim Loti, który zamordował własną żonę [4]). „Udała się wraz z nim na pole sadzić taro. Po ukończonej robocie posłał ją po drwa, sam zaś rozniecił ogień. Na jego rozkaz narwała liści i trawy, ażeby wyłożyć piec, i przyrządziła z bambusu przyrząd do krajania tego, co będzie ugotowanem. Gdy spełniła wszystkie polecenia, potwór złapał ją, rozciął na części, ugotował i zjadł, zaprosiwszy parę osób na taką nienaturalną ucztę. Kobieta pochodzeniem była mu równą, z pożycia z nią ciągnął korzyści, nie było też najmniejszego powodu do kłótni lub niezadowolenia... Pociąg do mięsa ludzkiego i nadzieja, iż będą o nim mówili, jako o strasznym człowieku, stanowiły jedyne źródło postępku". Inny podróżnik, B. Seemann [5]), prostuje pogląd, ażeby

[1]) Girard de Rialle: Les peuples de l'Afrique.
[2]) H. H. Romilly: From my Verendah in N. Guinea, 1889, 70.
[3]) Th. Williams, l. c., 180.
[4]) Th. Williams, l. c. 179.
[5]) B. Seemann: Viti, Cambridge 1862, 180.

wszyscy Fidżyjczycy mieli być ludożercami. Całe osady nie znają i znać nie chcą tej praktyki. Także „gmin, oraz kobiety z pośród wszelkich klas są, na mocy zwyczaju, pozbawione możności kosztowania mięsa ludzkiego. Kanibalizm ogranicza się do wodzów i szlachty, lecz i wśród tych kół pewna liczba osób nigdy nie jadła mięsa ludzkiego, ani nie zachodzi do burów (domów gminnych), w których składa się trupy. Czują one dla ludożerstwa taki sami wstręt, jak Europejczyk". Co zaś do kanibalów tamtejszych, „odznaczają się chorobliwym pociągiem do mięsa ludzkiego i nie mogą się powstrzymać od zwyczaju, jak i nałogowy pijak od swojej wady" [1]). Przy spożywaniu mięsa ludzkiego, Fidżyjczycy używają widelców, troskliwie przechowywanych w rodzinie i przechodzących w spadku. Seemann z wielką trudnością nabył taki sprzęt; gdy go później pokazywał innym wyspiarzom, ci byli bardzo zakłopotani, jeśli działo to się w obecności dzieci. Niektóre z tych sprzętów posiadały nazwę nieprzyzwoitą [2]).

W pobliskiej N. Kaledonji podczas wojen mordowano wrogów, usynawiano dzieci, darowywano życie przystojnym brankom, inne zaś zabijano i odcinano im piersi na spożycie: „zdaje się, był to wybrany kąsek". Ludożerstwo istniało w całej pełni. Warto zaznaczyć, iż mężczyzni podczas tańca Pilu-pilu spożywali ciało dziewczęcia. Taniec ten odprawiano podczas wielkich uroczystości, jak śmierć wodza, wybuch wojny; rozpoczynał się powolnym rytmem, tempo stawało się coraz szybsze, w końcu taniec przechodził w dzikie, szybkie, konwulsyjne ruchy, w rzuty spazmatyczne w różne strony i t. d., aż póki cała gromada opętańców nie zwaliła się na ziemię [3]). I na N. Hebrydach taniec poprzedzał ucztę ludożerczą, a jeżeli ofiarą była dziewczyna, piersi jej do spożycia ofiarowywano wodzowi [4]). Na leżącej w obrębie Melanezji wyspie Nissan rody zaciągają względem siebie obowiązek upominków, polegający na dostarczaniu utuczonych

[1]) B. Seemann, l. c., 180—181.

[2]) B. Seemann. l. c., 179, 182. Kobiety nie jedzą mięsa ludzkiego, Ch. Wilkes: U. S. Exploring Exped., 103.

[3]) Correspondenzblatt der deutsch. Gesellschaft für Anthr. 1881, 24; Glaumont: Usages des N. Calédoniens, Rev. d'Ethn., VI,99,139.

[4]) Hagen i Pineau: Nouvelles-Hébrides (Revue d'Ethn. VI, 327, 328, 360).

kobiet na spożycie—pomimo istnienia zarówno trzody chlewnej jak i dzików w borach, rybności wybrzeża, obfitości owoców. Nissańczycy łakną mięsa ludzkiego, ponieważ „spożywanie jego podnosi inteligencję, kobiecego zaś zwłaszcza siłę męską płciową: uczestnikami takich uczt są wyłącznie mężczyzni, spożywa się między innemi organa sromne kobiece, ale nigdy męskie“ [1]).

Wynaturzenie tego rodzaju zdarza się o wiele rzadziej w obrębie kultury malajo-indonezyjskiej. Warto wspomnieć tutaj o chorobie Amok—coś w rodzaju ataku konwulsyjnego, połączonego z chucią krwiożerczą i prawdopodobnie z podnieceniem zmysłowem, która jest dość częsta wśród Malajów i pozwala przypuszczać, iż istnieją w odpowiedniej liczbie typy krwiożerczo-lubieżne. Są tutaj całe ludy, doniedawna uprawiające kanibalizm: tacy Kajonowie, Battacy i t. d., a właściwie ludy, tolerujące ludożerstwo—w tem znaczeniu, iż jedni nie dotykali się wcale mięsa ludzkiego, inni uczestniczyli w takich ucztach tylko w razie wyjątkowej okazji, jeszcze inni czuli niepohamowane łaknienie mięsa ludzkiego, jak ów wódz Battaków, który nie znosił innego pokarmu, a gdy mu go zabrakło, wysyłał gromadę niewolników pomiędzy ludność rolniczą, ażeby kogoś zamordowała i dostarczyła mu mięsa [2]). Jako zjawisko mniej lub więcej częste, ludożerstwo istniało w obrębie całej Polinezji, wykazując całą moc typów [3])—przyczem przy bliższej znajomości przedmiotu prawdopodobnie znalazłyby się i postacie w rodzaju tych, o których opowiadają podania Jakutów—ludożerców, którzy pożerali przedewszystkiem młode dziewczęta, a ulubionemi ich kąskami były piersi i części sromne [4]).

Ale przedewszystkiem Afryka zasługuje na uwagę.

---

[1]) Thurnwald, Ztschr. f. Ethn., XL, 108—109. Przy okazji, pozostając wciąż w obrębie rozpatrywanej dzielnicy, zaznaczamy, iż w Dobunie którzy mężczyzni napychają macicę bananami i, ugotowawszy, jedzą; niektórzy zwłaszcza odznaczają się skłonnościami w tym kierunku, Bromilow, Au. Ass. f. Adv of Science, XII, 485.

[2]) Dumont d'Urville: Voyage autour du Monde, I, 188, por. H. Ling Roth: Sarawak, 1896, II, 221, jak typy ludożercze i typy mające wstręt do mięsa ludzkiego są rozproszone wśród Kajonów.

[3]) Tubylec z arch. Pomotu wychwala mięso kobiece, Dumont d'Urville, I, 520.

[4]) W. Sieroszewski: Dwanaście lat w kraju Jakutów, 384.

Deprawacja posuwa się tutaj, jak w Melanezji, aż do spożywania nadgniłych trupów: „wówczas gdy kanibalizm w zasadzie zniknął jako obyczaj, istnieje przecież w postaci odrażającej praktyki wśród zdeprawowanych osób, które nie dbają o zdrowe mięso ludzkie—ciała zabitych podczas bitwy, ale poszukują trupów, co były kilka dni lub parę tygodni w ziemi" [1]). I wśród tych okazów wstrętnej gastronomji liczne są wzmianki o tem, że u Bayów kobieta nie jest ludożerczynią [2]), że u M'Baków podczas pokoju tuczy się kobiety, przeznaczone do pożarcia, że między innemi piersi kobiece i części sromne uchodzą za kawałki najlepsze [3]). W Afryce południowej, wódz plemienia ludożerczego Baromapulanów, Lomando, od czasu do czasu urządzał polowanie na dziewczęta w polu, mordował je i pożerał. Ulubionym jego kąskiem były zwłaszcza części sromne. K. Mauch, który to słyszał z własnych ust Lomanda, zaznacza, iż nigdy w życiu nie widział fizjonomji tak zwierzęcej: olbrzymie, obwisłe wargi, szczęka potężna, bardzo niskie czoło, niekształtna budowa ciała, brud przewyższający wszelkie pojęcie! [4]). Wogóle powierzchowność wielu ludożerców zamorskich ma w sobie coś niezdrowego. Antropolog-kryminalista na pewno skorzystałby z opisów, rozproszonych w pracach podróżników, ażeby uzupełnić materjał, którym rozporządza. „Był to — opisują jednego kanibala — mężczyzna lat 60, jeden z nicponiów, zgoła nie zbudowanych na obraz i podobieństwo boskie. Takiego potwora nie zdarzyło mi się oglądać w ciągu mego życia. Niegdyś, za czasów młodości, gdy zamieszkiwał jaskinię, na wyprawie wziął trzy branki, z pośród nich najpiękniejszą pozostawił, jako towarzyszkę, dwie inne poszły na mięso" [5]). Ludożercy w plemieniu Quisama, z którymi Price się był zetknął, odznaczali się „niezdrowym wyglądem" [6]).

---

[1]) H. H. Johnston: Central Africa, 447; G. Burrows: The Land of Pygmies, 150—151.

[2]) B. Poupon, Anthropologie, XXVI, 105.

[3]) Poutrin, Anthropologie, XXI, 52—53.

[4]) K. Mauch, w liście do R. Andreego (Andree: Anthropophagie, Eine ethnographische Studie, 1887, 35).

[5]) J. H. Bowker, dr. Bleek i J. Beddoe, l. c., 123.

[6]) F. G. H. Price: A description of the Quisame tribe (Journal of Anthr. Inst.), 187.

Słowem, fizjonomja ludożerców, ich zwyczaje, oraz predylekcja dla pewnych części ciała kobiecego aż nazbyt często przypominają typy europejskie w rodzaju Verzeniego. Podobieństwo to byłoby jeszcze większe, gdybyśmy poddali rozbiorowi okazy takie, jak ów sławny marszałek w w. XV, Gilles de Roys, nasycający chuć erotyczno-krwiożerczą we krwi dzieci obu płci, lub obłąkańcy, gwałcący i pożerający trupy. Wśród materjału, który zgromadziliśmy co do ludożerstwa etnicznego, nie braknie ani jednej z tych praktyk. Munsa, królik Monbuttów, podczas pobytu G. Schweinfurtha codziennie mordował dziecko, bo uważał to mięso za najsmaczniejsze [1]). W związku z taką pobudką znajduje się i inny fakt, mianowicie, że tylko mężczyźni mają prawo do kosztowania mięsa ludzkiego, że natomiast dzieci i kobiety stanowią przedmiot spożycia [2]). Zdarza się, iż kobiety nietylko są usunięte od uczestnictwa w obchodach ludożerczych, ale patrzą nawet na nie z obrzydzeniem i strachem i pod wpływem wstrętu unikają w ciągu paru dni mężczyzn, którzy brali udział w uczcie krwawej. Coś podobnego spostrzeżono właśnie na wyspach markiskich, które p. E. Majewskiemu dostarczyły wątku do jego rozprawki [3]). Istnieje jeszcze inny szczegół w psychice niektórych plemion ludożerczych, a mianowicie przypisywanie mięsu ludzkiemu własności upajających. Niamniamowie, ów zdolny i odważny lud Afryki środkowej, patrzą na ludożerstwo, jako na środek oszałamia-

[1]) Opis ludożerstwa Monbuttów, patrz G. Schweinfurth: Im Herzen von Afrika, II, 98.

[2]) O takiem wyłącznem (lub przeważnem) prawie mężczyzn do mięsa ludzkiego: J. P. Thomson: British New Guinea 1892, 86 (jedno przynajmniej plemię stosuje względem branek praktyki natury najwstrętniejszej); Howitt i Fison: Kamilaroi a. Kurnai, 214 uw., 215; Jour. of Anthr. Inst., II. 179 (w Australji); E. M. Curr: The Australian Race, II. 179 (u Milyu-uppów kobietom nie dają mięsa ludzkiego), III. 21; Meinicke: d. Inseln d. Stillen Oceans, II 252; Th. Williams, l. c., 180; B. Seemann, l. c., 180—181; Petermann's Mittheilungen, 1873, 34 (w Afryce); Verh. d. Berl. Anthr. Gesell. 1883, 458; Ztsch. f. Ethnologie, XXXVI, 174 (w Dualla); na N. Zelandji, kobiety tylko czasami jadły mięso ludzkie, E. Tregear (Jour. Anthr.Inst., XIX, 108); wśród szczepów słowiańskich nad dolnym Dunajem spożywano bardzo chętnie piersi kobiece, Peisker: Die ältesten Beziehungen d. Slaven.

[3]) Max. Radiguet: Les derniers sauvages, Paryż, 174.

jący [1]). I domorośli obłąkańcy europejscy, np. Verzeni, mówią o takiem upojeniu. W związku z tem pozostaje jedno zdarzenie bardzo znamienne. Niektórzy pisarze (Powell np. [2]) narzekają, że kanibalów niepodobna oduczyć od ich zwyczajów. Otóż Buszylangowie w Afryce środkowej porzucili jednak dobrowolnie ludożerstwo, gdy poznali konopie i zaczęli odurzać się ich dymem [3]). Jeden narkotyk ustąpił przed drugim!

* * *

Dotychczas ograniczyliśmy się do ludów, które zamieszkują urodzajne okolice i niekiedy mają poddostatkiem pokarmu mięsnego. Tacy Fidżyjczycy, Monbuttowie i inne szczepy zajmują się rolnictwem i pod względem ujarzmienia przyrody znajdują się na wyższym szczeblu rozwoju, aniżeli myśliwcy Ameryki północnej, wolni przecież od zarzutów ludożerstwa. Kanibalizm nie pozostaje więc w tak ścisłym związku ze stopniem kultury, jak niektórzy są gotowi twierdzić: istnieje — na wyższym, niema go na niższym szczeblu rozwoju. Obecność ludożerstwa u ludów osiadłych, rolniczych usiłowaliśmy wyjaśnić pobudkami fizjologiczno-psychicznemi, pokrewnemi obłąkaniu erotycznemu. Możemy przypuścić, że takim szczepom dały początek przodkowie ze szczególną budową tkanki nerwowej, odpowiadającą poniekąd spotykanej wśród ludożerców Europy cywilizowanej. Tak przynajmniej rozpoczyna się historja plemienia Wagap, na N. Kaledonji— od opowieści o upieczeniu dwóch kobiet [4]). W szeregu pokoleń pierwiastki lubieżne mogły ulec wyrugowaniu ze świadomości plemieńców, pozostały jedynie niejasno odczuwane stany upojenia, występujące wyraźniej i silniej tylko u pewnych osób, np. u wodza Lomando. Słowem, nie chcemy twierdzić, iż Verzeni, półidjota umysłowy i obłąkaniec zmysłu lubieżnego, a niedotknięty na umyśle Fidżyjczyk są równi nawzajem, powiadamy jedynie, że w podstawie ich czynów jednakowo tkwi sprzężenie zmysłowości z krwiożerczością.

[1]) G. Schweinfurth (Globus, XXIII, 23).

[2]) W. Powell: Unter den Kannibalen v. Neu Britannien, Lipsk 1884, 60, 82, 87.

[3]) H. Wissman: Unter deutscher Flagge, 97 (a także Verh Berl. Ges. f. Anthr. 1883, 458).

[4]) P. A. C.: La tribu de Wagap, 1890, str. 4.

Atoli bynajmniej nie należy mniemać, iż ludożerstwo jest właściwością tylko szczepów, odznaczających się osobliwą naturą. Istnieją bowiem okresy kultury, gdy jest ono zjawiskiem powszechnem, niezależnem od właściwości rasowych. Podczas dzikości—bierzemy ten wyraz w znaczeniu, nadanem mu przez Morgana — pożywienie bywa tak niepewne, głody są takiem zdarzeniem codziennem, iż ludożerstwo, a przynajmniej dzieciożerstwo jest jednem z częstych źródeł utrzymania. Tubylcy N. Holandji znajdują się właśnie na takim poziomie: w teraźniejszości odtwarzają warunki bytu, w których niegdyś przebywali przodkowie szczepów bardziej posuniętych. Zwyczaje kanibalistyczne, im właściwe, według wszelkiego prawdopodobieństwa istniały i wśród innych grup rodu ludzkiego, gdy te znajdowały się jeszcze w stanie dzikości. U Fidżyjczyków lub Monbuttów ludożerstwo wypływa ze znieprawienia zmysłów, przynajmniej jeśli moja hipoteza jest słuszna; tam zaś, na lądzie kopalnym, wśród Australczyków, głód zmusza człowieka do pożerania bliźnich, przedewszystkiem zaś własne dzieci. A jednak, pomimo tej konieczności, ten odrażający nałóg nie posiada tam takich rozmiarów, jak wśród ludów osiadłych, zamożnych, o których uprzednio wspominaliśmy. Kanibalizm niekiedy kompletnie dziesiątkuje plemię, zdarza się to przecież tylko podczas klęsk posuchy i nieurodzaju. Birriowie np. podczas posuchy lat 1876 i 1877 zjedli wszystkie dzieci[1]). Wogóle dzieciożerstwo jest zjawiskiem, rozpowszechnionem wzdłuż i wszerz lądu N. Holandji. Prócz głodów, istnieniu jego sprzyja jeszcze inna okoliczność, mianowicie dzieciobójstwo. W niektórych plemionach 30% niemowląt, przychodzących na świat, w innych nawet 50% ginie przedwczesną śmiercią z ręki kobiet zaraz po urodzeniu. W braku stałych sadyb, każde dziecko, przychodzące na świat, zanim poprzednie nie zostanie zupełnie odchowane, jest z konieczności skazane na zagładę; to samo bywa z kalekami i bliźniętami, oraz niemowlętami, które matka odumarła. Misjonarze przytaczają przykłady matek, które zamordowały dwoje i troje własnych dzieci[2]). Dzieciobójstwo

[1]) E. M. Curr: The Australian Race, II, 378; por. tamże II, 465, jak Mungerrowie podczas głodu pożarli pewną liczbę dzieci.

[2]) Taplin: The Narrinyeri (u Curra, l. c., t. II, 10 i 11).

prowadzi często do dzieciożerstwa, to zaś, wszedłszy w zwyczaj u niektórych plemion, ze skutku staje się przyczyną i przyczynia się do wzrostu praktyki mordowania niemowląt. Zresztą, zdaje się, nie wszystkie plemiona hołdują praktyce dzieciożerstwa, lecz tylko niektóre. Ale są bądź co bądź dość liczne, jeśli mamy o tem wnioskować z obfitości odpowiednich wzmianek, pochodzących z najrozmaitszych okolic lądu australskiego. Mowbray, który niejednokrotnie był świadkiem takich uczt, twierdzi, że w jego okolicy mordowano dzieci z powodów najbłahszych, np. gdy podczas zabawy po obozie złamały broń czyjąś [1]). Machattie powiada o innem plemieniu, liczącem ogółem 250 dusz, iż w ciągu lat sześciu spożyło siedmioro dzieci, procent bardzo znaczny [2])- Jedne plemiona jedzą własne młode potomstwo tylko przypadkowo, inne w ostateczności, zmuszone głodem, lecz niektóre, jak widać z przytoczonych przykładów, straciły wszelkie poczucie i postępowaniem swojem przypominają fizjonomię duchową Fidżyjczyków [3]). Jedno nawet piętnowało dzieci, przeznaczone na pożarcie, zaraz po urodzeniu i chowało je pewien czas, ażeby odkarmić [4]). Głód i pobudka pochodzenia późniejszego — przesądy, niekiedy wprost obżarstwo sprawiały, iż jedzono także trupy dorosłych [5]), a przedewszystkiem ciała wrogów. Niektóre plemiona poprzestawały na takim łupie wojennym [6]), inne posuwały się dalej, bo pożerały i własnych rodaków, np. mężczyzn, którzy spadli z drzewa i skręcili sobie kark [7]). W każdym razie ludożerstwo w zasadzie nie było namiętnością, nie wyszukiwało z pośród żyjących ofiar swoich i nie mordowało ich, ale zadawalało się odpadkami normalnemi życia, a więc zabitymi w potyczce, zmar-

[1]) Curr, l. c., t. II, 403. XII 2499.

[2]) Curr, l. c., t. II, 367. XII 2103.

[3]) Co do dzieciożerstwa, patrz Curr, l. c., I. 377, 252; II, 432, 322 465, 346, 361, 367, 371, 403; III, 159. Także J. of the Anthr. Inst., XXIV 182 i 196; Oldfield, Tr. of the Ethnol. Soc., nowa serja, tom III, 28 i 288; Verh. Berl. anthrop. Ges. 1879, 237; R. Brough Smyth6 the Aborigines of Victoria I, 52.

[4]) Curr, l. c., I, 342.

[5]) Curr, l. c., II, 19—20; III, 138; II, 404, itd.

[6]) Fison i Howitt, 223.

[7]) Curr, l. c., II, 374.

łymi w sposób naturalny, jedynie dzieciobójstwu, z innych pobudek stosowanemu, nadawało wyraz ostrzejszy. A ponieważ kobiety rozstrzygały o życiu i śmierci dziecka, przeto nietylko uczestniczyły na równi z mężczyznami w spożyciu mięsa, ale niekiedy były głównemi mistrzyniami uczty. Prawo zwyczajowe australskie drobiazgowo zresztą wyznaczało, komu z gromady która cząstka ciała ludzkiego ma się dostać, lub kto otrzyma tłuszcz wyjmowany z pod skóry każdego trupa np. u Dajerów [1]). I nie dziw! Ludożerstwo jest tam zwyczajem starodawnym, o którym często wspominają mity i który odtwarzają symbolicznie różne obrzędy, co więcej zwyczajem, który, w porównaniu z dobą dzisiejszą, wyróżniał się bodaj ongi większem napięciem [2]).

Ale tam, gdzie ludożerstwo jest zjawiskiem tak powszechnem, tak narzuconem przez materjalne warunki bytu, typy, napiętnowane niezdrowem lub wygórowanem łaknieniem mięsa ludzkiego mają wszelką sposobność wyćwiczenia instynktów swoich i wysunięcia się naprzód. Rozporządzamy faktami, świadczącemi, że napięcie tej przywary ludożerczej jest u poszczególnych członków tego samego plemienia niejednakowe. Baśni, zebrane przez panią Langloh Parker, pokazują nam, jak z pośród plemienia wyodrębniają się osoby, hołdujące pociągowi ludożerczemu w większej mierze. Cała rodzina, składająca się z męża, żony, oraz matki i przyjaciółki żoninej, i żyjąca odrębnie, trudni się systematycznie porywaniem czarnych z innych gromad i pożeraniem ich, póki zbrodni nie ujawniono i winowajców nie zamordowano [3]). Inna bajka opowiada o Babie-jędzy australskiej, z psami polującej

---

[1]) Zasady tego prawa — A. W. Howitt: the Native Tribes of S. E. Australia, 448—450, 457 — 458, 467 — 468 passim; Howitt; J. Anthr. Inst., XX, 89; Gillen i Spencer: Northern Tribes of Central Australia, 546—549 passim.

[2]) Gillen i Spencer: the Native Tribes of Central Australia, 324, 333 — 334, 351 — 352, 390, 410, 475 (mowa jest o tubylcach, którzy polują na ludzi, o spożywaniu mięsa ludzkiego zarówno przez mężczyzn jak i kobiety itd.). Ciekawa wzmianka na str. 403 (w zestawieniu z wywodami innej pracy tych autorów: Northern Tribes of C. Au., 336 — 337) o ludożercy-gwałcicielu.

[3]) K. Langloh Parker: Australian legendary tales. The folklore of the Noongahburrahs, 1896, 62—54.

na tubylców, którzy samotnie zapuścili się w knieję [1]). Są fakty, pozwalające mniemać, że tu i owdzie działa pobudka zmysłowa i że w niektórych plemionach jest dość powszechna. W paru razach mamy wyraźne wzmianki, że tylko mężczyźni uczestniczą w ucztach kanibalistycznych [2]). Prawdopodobnie do takich uczt należy i uczta z porzecza rz. Murray'u, kiedy młodą kobietę z powodu błahego przewinienia wysyłają w góry, na utuczenie, po powrocie mordują ją i spożywają [3]). Zdaje się, że okazała tusza nie zawsze wychodzi na dobre Australce. W plemieniu Narrynjerów każdy mężczyzna, mający żonę dorodnej tuszy, musiał bardzo jej pilnować, ażeby przypadkowo nie zabłąkała się gdzieś bez opieki, bo wtedy mogła się dostać w ręce ludożerców, czyhających na taką okazję [4]).

Ludożerstwo australskie wynika z materjalnych warunków bytu, z konieczności mordowania dzieci z jednej, srożenia się głodów z drugiej strony. Na tem podłożu wynaturzone temperamenty znajdują przewyborną sposobność zaspokajania swoich instynktów nienormalnych. Nie wątpię, iż psychjatra napotkałby tam w życiu codziennem tubylców N. Holandji sporadycznie wszelkie formy zmysłowej krwiożerczości, właściwej epileptykom i innym patologicznym okazom naszej cywilizacji—od upiorów-mężczyzn do nekrofilomanów, gwałcących nadgniłe trupy i nawet pożerających je. Mamy powody do mniemania, że wszystkie ludy podczas przebywania

[1]) Langloh Parker, l. c., 90. Wogóle stare kobiety na równi z mężczyznami występują u Australczyków, jako osoby, trudniące się ludożerstwem: „Starcy i stare kobiety — czytamy o jednem plemieniu — niekiedy zjadają dziecko, sądząc, iż tym sposobem odzyskają siły młodości. Znałem dziewczynę, która mnie zapewniała, że jej pierwsze dziecko zmarłe zjadła jej matka. Co do niej, była młoda i nie upoważniona jeszcze do tego przywileju“ (J. of Anthr. Inst., XXIV, 182). Zarówno przesądy średniowieczne, jak i podania ludów pierwotnych mówią o czarownicach, jedzących mięso dzieci z wielką chciwością, np. Lummis: The man who married the moon, N. York 1894, 194.

[2]) Patrz Curr, l. c., II, 432, 179; także pożeranie kobiet i dziewcząt podczas zbioru orzechów z drzewa bunya-bunya, III, 121; pożeranie kobiet podczas obchodów, Oldfield, l. c., 287.

[3]) Austr. Antr. J., I, 81.

[4]) Taplin u Woodsa: The native Tribes of South Australia, 1879, 2; por. także J. of Anthr. Inst., II, 179 („starcy z wielkim apetytem pożerają pieczone mięso młodych kobiet“).

w okresie niższej i średniej dzikości hołdowały takiemu samemu kanibalizmowi, jak australski, t. j. wynikającemu z warunków bytu materjalnego. Różnica tkwić może jedynie w napięciu, a nadewszystko w stopniu systematyczności. Gdy niektórzy pisarze zapewniają nas o nieobecności ludożerstwa wśród tubylców Ziemi Ognistej lub Tasmanji [1]), ich oświadczenia należy rozumieć w ten sposób, iż ludy te, jak prawdopodobnie większość plemion australskich, nie pożądała mięsa ludzkiego ani nie urządzała uczt kanibalistycznych, choć w chwilach ciężkich głodu nie gardziła takiem jadłem. Ale w miarę rozwoju techniki i ujarzmiania sił natury, warunki, pociągające za sobą ludożerstwo, znikają. Hodowla i rolnictwo, zmuszając przyrodę do produkowania mięsa i płodów na miejscu, z góry wyznaczonem, zmniejszają częstość głodów i usuwają jedno z najważniejszych źródeł kanibalizmu. Mleko zwierząt i umiejętność gotowania pokarmów mącznych pozwalają kobiecie wcześniej odstawiać dziecko od piersi, a nadto przebywanie w stałych sadybach zmniejsza uciążliwość obowiązków macierzyńskich. Dzieciobójstwo staje się coraz rzadszem i ogranicza się tylko do kalek. Zwolna ustają warunki, które ludożerstwo robiły zwyczajem koniecznym, częstym i powszechnym, lub mu sprzyjały. Może się jeszcze zdarzyć, iż wśród zgiełku oręża ktoś przegryzie wrogowi gardło i będzie ssał krew jego; iż kult, wcielony w różne praktyki zabobonnych, będzie sprzyjał szczątkowemu kanibalizmowi, ale będą to czyny wyjątkowe i niecodzienne. Już w okresie niższego barbarzyństwa dojdzie do tego, jak w okolicach zatoki Hudsońskiej, że rodacy będą unikali towarzyszy, którzy splamili się ludożerstwem. „Ludy szczepu tinneńskiego hołdują poglądowi, iż ktokolwiek z pośród plemienia, zmu-

[1]) O mieszkańcach Ziemi Ognistej Hyades i Deniker: Mission scientifique du Cap Horn, t. VII, 258 — 259; o Tasmańczykach H. Ling Roth: Abor. of Tasmania, 111. Warto zaznaczyć, iż Akkowie, ów lud murzyniątek dzikich w Afryce podzwrotnikowej, spoglądają na ludożerstwo z odrazą, Guy Burrows: the Land of the Pigmies, 1898, 39. Nieco powątpiewam, czy Akkowie są istotnie takpowściągliwi, ale w każdym razie w porównaniu z innemi ludami ludożerczemi swej dzielnicy są niewiniątkami, choć właśnie te ludy stoją na poziomie o wiele wyższym kultury materjalnej. Już ta względna przeciwstawność jest faktem znamiennym!

szony przez nędzę, zakosztował mięsa ludzkiego, otrzymuje takie zamiłowanie do tego pokarmu, iż w towarzystwie jego nie można być nigdy pewnym życia. I chociaż wszyscy wiedzą, że tylko nędza doprowadziła do skosztowania takiego pokarmu, przecież powszechnie unikają uczestników takiej uczty, pogardzają nimi i wykazują ku nim odrazę. Żaden z plemieńców nie pozwoli takiemu rodakowi rozłożyć namiotu obok swego. Znałem paru z pośród tych nieszczęsnych: kiedyś powszechnie ich szanowano i głos ich cieszył się wpływem, dzisiaj zaś są tak pogardzani i uciskani, iż ciężka troska spoczęła na ich twarzy“ [1]).

Atoli jeśli ludożerstwo, przy przejściu od dzikości do barbarzyństwa, traci na powszedniości i napięciu i wogóle przestaje być koniecznym objawem życia gromadnego, to przecież instynkty pojedyńczych osób, pokrewnych co do swego usposobienia z typami à la Verzeni, bynajmniej nie znikają, lecz drogą dziedziczności fizjologicznej trwają w szeregu pokoleń. Cała rzecz, iż zamiast działać swobodnie i znajdować sprzyjające otoczenie w obyczaju plemiennym, są teraz pozbawione tego gruntu i zarazem osłony.

Możliwe są w tym razie dwie drogi wyładowania się chuci ludożerczej, przynajmniej tylko te dwie zamierzamy uwzględnić.

Albo „ludożercy urodzeni“ będą, lub zrządzeniem wypadków staną się tak licznymi w plemieniu, iż nadadzą mu oblicze kanibalistyczne.

Powstanie wtedy szczep ludożerczy na przekór obfitości źródeł pożywienia mięsnego.

Albo tego rodzaju temperamenty będą nieliczne, ale zdołają zapewnić tolerancję dla swoich łaknień.

Ukażą się wtedy w społeczeństwie instytucje osobliwego rodzaju, dające przytułek ludożercom.

Rozpoczynamy od pierwszej możliwości: ukazania się plemienia kanibalistycznego.

Przewybornego przykładu, jak plemię ludożercze może powstać na wyższym szczeblu rozwoju, dostarczają nam dzieje Afryki południowej. Podczas wojen, które około roku 1830 nawiedziły urodzajną i zamożną dzielnicę szczepu czuańskie-

[1]) S. Hearne (u R. Andree: Anthropophagie, 1887, 91—92).

go, głód zmusił pewne grupy do ludożerstwa[1]). W zbiorze baśni kafryjskich, spisanych przez biskupa Callawaya[2]), jest jedna, opowiadająca o takiej częściowej zamianie ludu osiadłego w plemię ludożercze. „Amarimowie opuścili rodaków i udali się w góry. Bo pierwotnie byli ludźmi (zwykłymi). Kraj był spustoszony, srożył się wielki głód i zaczęli pożerać ludzi. Gdy głód był wielki i ludzie żyli w niedostatku i niepodobna było nigdzie dostać wiktuałów, zaczęli porywać bliźnich i jeść. Dlatego nazwano ich Amarimami, t. j. obżartuchami. W ten sposób podnieśli rokosz przeciw ludziom, czatowali i jedli mięso ludzkie. Włóczyli się wszędzie, wypatrując ludzi na pokarm i zaczęli uchodzić za odrębny naród, dla którego człowiek był zwierzyną. Przestali uprawiać grunta, hodować bydło i owce i posiadać chaty, lub jakiekolwiek rzeczy, do których przyzwyczaili się, gdy byli jeszcze (zwykłymi) ludźmi. Gdy znaleźli jaskinię, stawała się ich mieszkaniem, stamtąd wychodzili polować na ludzi. Nie mieli stałych mieszkań; póki nie złapali kogoś, włóczyli się, upatrując zwierzyny ludzkiej". I źródła poważniejsze podają ten sam opis, co baśń kafryjska. Plemię Marimów, ludożerców, liczyło cztery tysiące osób; zniszczone przez wojny, zaczęło karmić się mięsem ludzkiem i to, co z początku było koniecznością, obróciło się z biegiem czasu w namiętność. Nietylko napadali na obcych, ale i wśród siebie upatrywali ofiary. Kłótliwe lub leniwe kobiety, hałaśliwe niemowlęta, osoby słabego zdrowia padały pod toporem mężów, braci i ojców. Część plemienia porzuciła rolnictwo i zamieszkała jaskinie; ludożercy wychodzili stamtąd, ażeby w polach, ogrodach i przy zdrojach czatować na kobiety i dzieci[3]). Dr.

[1]) Wogóle okresy wojen i głodów nawet jeszcze na wyższych szczeblach kultury nie tylko wywołują ludożerstwo, ale nadają mu duże napięcie. Tak było w Egipcie w wieku XIII (opis u lekarza arabskiego Abd-Allalifa): rodziny zamożniejsze miały w spiżarniach stosy mięsa ludzkiego, ubożsi zbrojną ręką mordowali przechodniów samotnych. Z konieczności na przód wysuwały się wtedy typy w rodzaju owego Włocha, o którym wspomina Romilly, l. c., 70, iż, znalazłszy się w N. Gwinei wśród tubylców, został przekonanym ludożercą.

[2]) Callaway: Nursery tales.

[3]) Arboussot i Daumas: Relation d'un voyage d'exploration au nord-est de la Colonie de Bonne-Espérance, Paryż 1842, 114. J. H. Bowker, dr. Bleek i dr. J. Beddoe: the Cave Cannibals of South Africa (the Anthrop. Review, VII, 122--125). Por. H. A. Junod: Les Ba-Ronga, 438

Beddoe około r. 1869 oglądał jednego z tych jaskiniowców, starca 60-letniego, który razu jednego, złapawszy trzy branki, dwie z pośród nich zamordował i zjadł [1]).

Pod wpływem głodu więc plemię zaczęło spożywać mięso ludzkie, z pośród niego z biegiem czasu wydziela się gromada ludożerców z namiętności, osiada w jaskiniach, jako grupa samodzielna, i nawet otrzymuje odrębną nazwę plemienną. Załóżmy, że warunki sprzyjają na stałe takiemu wydzieleniu. Powstanie szczep, w którym, dzięki działaniu dziedziczności, pociąg do kanibalizmu będzie przechodził na coraz dalszych potomków. Taki lub podobny jest rodowód plemion ludożerczych, które, acz na wyższym szczeblu kultury, nie porzuciły zwyczajów okresu pierwotniejszego, lecz, przeciwnie, oddają się im nawet z większą namiętnością. Atoli nawet i wśród takich szczepów pociąg ludożerczy nie jest powszechny. Widzieliśmy, że na archipelagu Fidżi nietylko oddzielni mężczyźni, ale nawet całe osiedla ze wstrętem patrzą na spożywanie mięsa ludzkiego, a przytoczone wzory afrykańskie pozwalają nam zrozumieć, jak obok plemienia niekanibalistycznego może zjawić się inne, oddane temu potwornemu nałogowi. I o Fanach, ludzie afrykańskim, uchodzącym za ludożerczy, nowsze źródła mówią to samo. Grisson de Bellay zadaje stanowczy kłam opowieściom podróżnika du Chaillu o powszechności tam tej przywary. Przeciwnie, spożywający mięso ludzkie ukrywają się z swoim nałogiem nietylko z obawy wdania się Francuzów, które zresztą jest niemożliwe, ale także pod działaniem wstydu, nie pozwalającego kanibalom wyprawiać uczt publicznych [2]). H. Ward, który badał ludy z porzecza Kongo, wypowiada, co do początku ludożerstwa u szczepów bardziej posuniętych, zdanie dość bliskie naszemu. W jego rozumieniu wada ta, zjawiwszy się skutkiem nieprzyjaznych warunków bytu, stała się statecznym pociągiem, który z biegiem czasu pociągnął za sobą rozstrój umysłowy i wogóle zwyrodnienie [3]). Naszem zdaniem należy odwrócić to powiązanie: już protoplaści plemion ludożerczych wyższego szczebla kultury grzeszyli tym

[1]) The Cave Canibals, I, c., 123.

[2]) Tour du monde, XII, 308.

[3]) H. Ward: Ethnogr. Notes relative to the Congo tribes (Jour. of Anthr. Inst., XXIV, 299).

rozstrojem i zwyrodnieniem i dlatego dali początek takiemu szczepowi. Istniałyby więc na globie ludy, dotknięte wynaturzeniem instynktów. Psychjatrja i antropologja kryminalna zaznaczają pokrewieństwo pomiędzy wybuchami chuci ludożerczej a atakami epileptycznemi i gotowi uważać ludożerców europejskich za odmianę typów epileptokształtnych. Bliższe studja wykażą może, że i ludożerstwo Fanów, Fidżyjczyków i t. d. rozwinęło się i istnieje na podłożu zwyrodnienia epileptokształtnego, właściwego całej grupie etnicznej, lub bardzo znacznemu wśród niej odsetkowi osób.

Przejdziemy teraz do drugiego przypadku, gdy liczba „urodzonych" ludożerców w plemieniu jest nieznaczna, ale zdołała zapewnić sobie bezkarność.

Naturalnie mamy na myśli bardzo wczesny okres rozwoju kulturalnego, na wyższym bowiem gromada potrafi usunąć z pośród siebie i wytępić przedstawicieli takiego pociągu antispołecznego. Ale na poziomie uspołecznienia, właściwego N. Holandji, gdzie na przestrzeni (byłego) Królestwa Polskiego koczuje zaledwie trzy tysiące osób małoludnemi gromadkami, gdzie zaledwie parę razy do roku zbiera się pospołu paręset osób, tam energiczny plemieniec, pomimo krwiożerczości swojej, ma wszelkie widoki bezkarności. Dość będzie tu przypomnieć, jaką śmiałością odznaczają się przywódcy bandytów w naszym kraju i jak włościanie, obawiając się ich zemsty, pozwalają im bezkarnie swawolić. Cóż dziać się musi w okresie takiego rozstrzelenia sił ludzkich, jakie istnieje na lądzie kopalnym? Nie jest to z naszej strony dowolne przypuszczenie, lecz rzeczywistość, poparta przez fakty. J. Dawson [1]) opowiada o takim zuchwalcu, siejącym dokoła postrach. „Tubylcy zachowali żywą pamięć o krwiożerczym plemieńcu, Pundit Punlotong („wydzieraczu tłuszczu z nerek"), który tak umiłował czynności okrutne i krwawe, iż dobrowolnie podjął się obowiązków kata plemiennego. Zabijał ofiary maczugą, której nadał miano „dzikiej ręki". Gdym zapytał się jego współplemieńców, ile osób zgładził ze świata, odpowiedziano mi, że prawie na każdym większym zborze ktoś padał z jego ręki. Kobiety, gdy zoczyły, iż nadchodzi na zbór, zaczy-

[1]) J Dawson: Australian Aborigines of Victoria, 76.

nały płakać, ponieważ były pewne, że nie opuści go, nie pozbawiwszy kogoś życia. Jeżeli zadraśnięto go, lub skrwawiono, przez zemstę zabijał parę osób". Jeżeli taki wyrodek będzie posiadał chorobliwy pociąg ludożerczy, plemię pozwoli mu — przynajmniej tak zdarzać się musiało niejednokrotnie, jak o tem świadczą fakty poniżej podane — zaspakajać tę chuć, byleby w swojej swawoli uszanował pewne szranki. To zaś, co zdobył, potomkowie jego mogą utrzymać w swych ręku: na wyższym szczeblu będą istniały uprzywilejowane rodziny lub tolerowane stowarzyszenia ludożerców, lecz których postępowanie będzie ujęte w karby prawa zwyczajowego.

U Wadów, krewniaków sławnego ludu kanibalistycznego, Niam-niamów, corocznie, w oznaczonej porze, wódz każdej wioski zabija murzyna czystej krwi, którego dostać często bywa bardzo trudno i wlecze go w gąszcz leśny. Na kimś innym spoczywa teraz obowiązek pożarcia pokryjomu pewnej części trupa. Obowiązki takiego ludożercy przechodzą od najdawniejszych czasów w spadku z ojca na najstarszego syna w pewnej rodzinie [1]).

W pewnej okolicy Indyj Przedgangesowych podczas uroczystości przybywa dwóch demonomanjaków, opętanych przez boga tygrysiego („tygrysołaków" powiedzielibyśmy przez analogję z naszemi wilkołakami); rzucają się w napadzie wściekłości na zwierzę i przegryzają jego gardziel zębami. Zachowują się, jak obłąkańcy, podejmujący zaś ugaszczają ich w milczeniu, pełnem szacunku. Duch tygrysi bowiem obrał sobie za siedzibę jedno z plemion Gondów, przyszedł tam na świat w rodzinie głównego bohatera obłędu, jednego z demonomanjaków [2]).

Wśród plemienia Miamów istnieje rodzina, nosząca nazwę ludożerczej: obowiązkiem jej jest urządzanie sobie uczty ludożerczej, kiedy wojna dostarczy jeńców. Tak samo na paru wyspach arch. Filipińskiego, w każdej większej wiosce istniała jedna lub parę rodzin Asuanów, które są poza społecznością, jako ludożercy, a raczej jako potomkowie ludożerców: spo-

[1]) Dr Stuhlman, Mitth. der Geogr. Ges. in Hamburg 1887/1888.
[2]) Dalton: The Ethnology of Bengal, 280.

łeczność ich się wyrzeka, ale jednocześnie jak gdyby uprawnia ich instynkty ludożercze [1]).

Poprzez tego rodzaju urządzenia luźnej natury przechodzimy do instytucyj trwalszych — do sekt i korporacyj.

Oto sekta Aghorów w Indjach Przedgangesowych [2]).

Członkowie tej sekty, przyjmowani do niej po 12-letnim ciężkim nowicjacie, przebywają w jaskiniach w najdzikszej części pasma girneńskiego. Mają pożerać wszelką padlinę, w tej liczbie i trupy ludzkie, kradną dzieci, ażeby je zjadać, oświadczając, iż jak łajno zasila ziemię i czyni ją urodzajniejszą, tak samo padlina wzmacnia ducha ludzkiego i uzdalnia do rozmyślań. Powszechnie uchodzą za ludożerców. W każdym razie postępki poszczególnych członków sekty dają dużo do myślenia. Kiedy przed jednym postawiono kozę, rzucił się na nią, zagryzł zębami i rozszarpał paznokciami, żarł surowe ścierwo i pił krew, a potem zasnął wśród odpadków, po ocknięciu się znów żarł i pił. Drugi, ujrzawszy gromadkę dzieci, rzucił się na 12-letniego malca, rozszarpał mu kadłub i zaczął pożerać wyciągnięte wnętrzności. Inni pijani rzucają się na trupy, przez rzekę wyrzucone, i zaczynają jeść to zgniłe ciało itd. [3]).

Lecz zwyczaj ów—tolerancji niewielkich zespołów ludożerczych—może nigdzie nie przybrał tak znamiennych kształtów, jak na północno-zachodniem wybrzeżu Ameryki północnej u Kwakiutlów i innych ludów. Ludożercy tworzą tam zamkniętą korporację Hameców (Hametsa), duch schodzi na jej członków i obdarza ich pociągiem kanibalistycznym. „Nie każdy może zostać Hamecem, godność ta stanowi przywilej pewnych rodów. Zresztą i nie każdy członek takich rodów jest ludożercą, bo trzeba, ażeby był wtajemniczony". Przyjęcie nowego członka do korporacji jest uroczystością ogólno wioskową. Mieszkańcy wioski zbierają się co

[1]) Forsyth: Account of the Manners of the Sauk a. Fox nations (wydanie E. H. Blair'a), 202.

[2]) H. W. Barrow: On Aghori and Aghorapanthis, Jour. As. Soc. of Bombay, III, 205—207 passim.

[3]) Możliwe, iż istniejące na wybrzeżu gwinejskiem w Sierra Leone i gdzieindziej towarzystwa lamparcie są organizacjami pokrewnego rodzaju. Ale prócz pogłosek z drugiej ręki o ich ludożerstwie nie mamy żadnych szczegółów o ich obrzędach, przynajmniej szczegółów wiarogodnych.

noc, śpiewają pieśni, podczas których nowicjusz wykonywa obrzędowy taniec, poczem ceremonja kończy się ucieczką wtajemniczanego, głos jego rozlega się w gąszczach, każdy wie, że teraz obcuje on z duchami. Nowicjusz przebywa tam od miesiąca do pięciu. Ku schyłkowi nowicjatu głos jego znowu słychać z pośród kniei, towarzyszy mu zewsząd świegot ptactwa (naśladowany za pomocą piszczałek). Wreszcie wtajemniczony lub wtajemniczeni powracają. Opuszczamy szczegóły, zaznaczymy tylko, że na każdego, ktokolwiek go obrazi, ma on tego dnia prawo rzucić się i odgryźć mu z ramienia kawałek mięsa. Wieczorem cała wioska zbiera się w domu ojca nowego kandydata. Podczas uroczystości wybiega on z domu i wraca z trupem, członkowie dawniejsi korporacji rzucają się na niego, powstaje walka o mięso. Czaszka i kości zostają rozbite dla wydobycia mózgu, a wszyscy pchają kawałki mięsa w usta nowicjuszowi. W ciągu czterech następnych nocy tańczy on: ramiona jego są w takiej pozycji, jak gdyby niósł trupa, ręce jego drżą nieustannie, oczy są nieruchome, usta przybierają wyraz lubieżny [1]).

Misjonarz Duncan pozostawił opis działalności takiej korporacji wśród innego plemienia Kolumbji brytańskiej, Symszyanów (Tsimsheans). Ludność obawia się ludożerców. „Pewnego poranku, opowiada Duncan, byłem świadkiem popłochu, sprawionego przez ten związek. Ujrzałem setki Symszyanów, odbijających w łódkach od brzegu. Powiedziano mi, że gromada ludożerców poszukuje ciała do pożarcia i jeśli nie znajdzie trupa, złapie pierwszą lepszą osobę z pośród żyjących, która zajdzie im drogę, tak, iż wszyscy blisko mieszkający chaty (loży) ludożerców uciekli na morze". Podczas pewnych uroczystości, kanibalowie otrzymują trupy, które w obecności wszystkich rozszarpują. Są tacy, którzy pozwalają im odgryzać kawałek swego ciała i Duncan zna dwa przypadki, kiedy tak pogryzieni umarli. Ludożercy dostają niekiedy żywy pokarm. Wódz np., dla uratowania chorej córki, ofiarował im niewolnicę. Wówczas z pośród tłumu

[1]) Fr Boas: Songs and dances of the Kwakiutl (Jour. of Amer. Folklore, I, 58—61), oraz The social Organisation of the Kwakiutl Ind., 437 i nast.; Jacobsen: Reise an der Nordküste Amerikas, 1884, 47 i nast.

„wyszły dwie gromadki rozszalałych obłąkańców, każda prowadzona przez zupełnie nagiego mężczyznę. Ci przywódcy wydawali wprost nieziemskie dźwięki i zachowywali się nie po ludzku: stąpali jako dumne rumaki, kolejno wyciągali ku przodowi to jedno, to drugie ramię i trzymali je wydłużone w sposób, nie wzbudzający ufności. Nieustające odrzucanie głów w tył dużo przyczyniało się do dzikości widoku". Znalazłszy trupa dziewczyny, ludożercy zachowywali się, jak gromadka wilków, zębami szarpiących ofiarę [1]).

* * *

Zatrzymaliśmy się nad zboczeniami uczuciowemi w dwóch epokach rozwoju dziejowego, mianowicie w obecnym okresie cywilizacyjnym, gdy nauka wykazała istotne sprężyny rozpatrywanych stanów i dowiodła, że ludożerstwo wypływa z chorobliwego ukształtowania instynktów zmysłowych, oraz w okresie, w którym kanibalizm był wśród plemienia zwyczajem powszednim i utartym, że tak powiemy normalnym.

Pomiędzy temi krańcowemi ogniwami pasma rozwojowego istnieją inne.

Któryś szczep zerwał zupełnie z krwawą praktyką ludożerstwa i napiętnował czyny tego rodzaju, jako potworną zbrodnię, lecz wiedza pozytywna jeszcze nie powstała i człowiek nie wie, jak ma wyjaśnić dzikie i rozpasane popędy, które wyładowują się w odrażającym pociągu do krwi i ciała ludzkiego. Jak ma np. wyjaśnić fakt następujący? Oto włościanin: nadmierny rozwój łuków nadocznych i dolnej szczęki, spłaszczenie kości potylicowej, uszy nieforemne nadawały fizjonomji jego wyraz dziki. Był postrachem towarzyszów pracy, bo nieraz bez żadnego powodu rzucał się na nich i gryzł. Razu jednego napada na drodze na pewnego młodzieńca, obala na ziemię i wygryza policzki. Zatrzymano go, lecz wyrwał się strażnikom, wpada do domu, chwyta własną dwuletnią dziewczynkę i wyżera kawałki ciała z ud, pośladków i piersi, kilka dni potem błąka się po polach; powróciwszy do domu, rzuca się na drugie własne

[1]) Według wskazówek misjonarza Duncana Sheldon Jackson: Alaska and his inhabitants (Amer. Antiquarian, III, 114—116), oraz Boas: Kwakiutl Indians.

dziecko. Takie typy, chociażby ów Loti fidżyjski, który zjadł własną żonę, lub konwulsyjnie trzęsący się ludożercy w Kolumbji brytańskiej, istnieją także wśród plemion kanibalistycznych. Lecz co u nas pociąga za sobą zamknięcie w szpitalu, tam uchodzi bezkarnie i nawet staje się przedmiotem podziwu i naśladownictwa. Stosunek otoczenia do pewnych czynów jest różny w obu okresach, stanowi swego rodzaju kategorję historyczną, zależną od warunków miejsca i czasu. Ale jak otoczenie i sam opętany będą spoglądali na siebie w epokach pośrednich?

Otóż wilkołactwo jest jedną z szat dziejowych obłędu krwiożerczego, mniejsza, czy występującego w takiej czystej formie, czy też z zabarwieniem lubieżnem, i ukazuje się tam, gdzie ludożerstwo zaczyna być potępiane przez opinję publiczną. Zaczątki tego przesądu spotykamy wśród Indjan z plemienia Odżybujów, mniemających, iż ktokolwiek skosztuje mięsa ludzkiego, jest odtąd człowiekiem wykolejonym i posiada coś z natury dzikiego zwierzęcia, borsuka, niedźwiedzia lub innego. Dlatego napadają na taką osobę i tłuką po głowie, aż póki mózg nie wyjdzie[1]). W takiem otoczeniu obłąkaniec chuci krwiożerczo-erotycznej uchodzić zaczyna za opętanego przez ducha tygrysiego i t. d. i w końcu za wilkołaka, tygrysołaka — mniejsza, jak brzmi termin mu nadawany. I nie tylko uchodzi za takiego w rozumieniu innych, lecz także w swojem własnem. Ażeby pojąć możliwość podobnego obłędu w stosunku do własnej osobowości, winniśmy nie zapominać o tem, że podczas szału dotknięty takim rozstrojem uczuciowym nie zdaje sobie sprawy z własnych postępków i że nawet w ciągu normalnego życia jest w większości przypadków, jak to badania psychjatrów wykazały, istotą półidjotyczną, podatliwą na wszelką sugestję, podległą atakom epileptokształtnym. Taki obłąkaniec znajduje wyjaśnienie popędu, ujawniającego się w jego świadomości w pragnieniu krwi ludzkiej i, jak wszelkie stany epileptyczne, odznaczającego się nieprzepartą siłą wewnętrzną, tylko w tem, iż jakieś zwierzę krwiożercze odzywa się w piersiach jego,

[1]) P. Jones: History of the Ojebway Indians, Lond. 1861, 69. Kafrowie mniemają, iż w żołądku ludożercy są drapieżcy i psy. Theal: Kaffir Folk-lore, 1886, 139.

że poprostu został w nie obrócony. Wilkołactwo jest przedewszystkiem chorobą osobowości, idącą w parze z epileptokształtnem wyładowaniem chuci krwiożerczej.

Liczne fakty świadczą o takiem sprzężeniu przewrotnej idei o własnej osobowości z szałem ludożerczym.

W r. 1541 w okolicach Padwy zatrzymano włościanina, sądzącego, że jest wilkiem. Rzucał się na przechodniów i paru zamordował. Ujęto go wyjącego. Twierdził, iż uwłosienie wilcze znajduje się wewnątrz jego ciała, pomiędzy skórą a mięsem [1]).

Na Mazurach pruskich w w. XVI ujęto włościanina twierdzącego, że jest wilkołakiem i odstawiono go do Królewca na dwór księcia Albrechta. Twarz, dzikiego wyrazu, nosiła ślady ran i blizn, pochodzących od psów, które go ścigały, gdy był wilkiem. Na zwierzę miał przedzierzgać się dwa razy rocznie, podczas świąt Bożego Narodzenia i w dzień św. Jana Chrzciciela, uciekał wtedy do lasu i tam tułał się z wilkami. Zanim sierść wilcza wyrosła mu, czuł wielkie osłabienie w całem ciele [2]).

Jeszcze lepsze świadectwo zachowały akty archiwum byłego parlamentu w Bordeaux pod rokiem 1603. Zatrzymano wtedy w okolicach tego miasta trzynastoletniego chłopca, który rzucił się na dziewczynkę, wraz z nim pasącą bydło. Podczas śledztwa okazało się, iż w szale ludożerczym zamordował już kilkoro dzieci, ssał ich krew i spożywał mięso. Wyszło na jaw, iż sąd ma do czynienia z idjotą, tak, iż pomimo przesądności owych czasów, zamknięto go na całe życie w klasztorze. W celce biegał na czworakach i zachowywał się jako wilk, pożeranie drgających jeszcze wnętrzności [drobiu sprawiało mu jaknajwiększą przyjemność. Po upływie lat siedmiu opowiadał jeszcze, iż niegdyś przedzierzgał się w wilka i przebiegał pola, że i obecnie czuje szczególny pociąg do mięsa dzieci, najbardziej zaś smakowałyby mu dziewczęta [3]).

Studjując dzieło d-ra L. F. Calmeila o obłąkaniu, o ile występuje ono w historji, mamy mnóstwo podobnych przy-

[1]) Hecker: Geschichte der Heilkunde, Berlin 1829, t. II, 76.

[2]) M. Töppen, Wisła, VI, 180.

[3]) L. F. Calmeil La folie au point de vue historique, juridique etc.

kładów z XVI i XVII w. Tu włościanie urządzają obławę na wilkołaka, gdyż od pewnego czasu ktoś porywa dzieci, morduje je i wyżera im różne kawałki ciała, i łapią człowieka. Tam obłąkaniec, ujęty na gorącym uczynku, wylicza ofiary swoje: wyżarł dziewczynce dziesięcioletniej uda i ramiona, zbezcześcił i w podobny sposób postąpił z inną, dwunastoletnią. Zdarzają się nawet epidemje wilkołacze, jak np. w górnych Niemczech w roku 1500 [1]), a do istotnych postępków krwiożerczych dorzucono w jej opisie sporą wiązankę złudzeń i fałszów. Dziewczyna np., na którą rzucił się któryś z opętańców chuci krwiożerczo-lubieżnej, zeznaje, iż widziała nie człowieka, lecz wilka, który po odpędzeniu przybrał kształty ludzkie. Sami szaleńcy upierają się, iż są wilkołakami. Zebrany tłum jednego z nich zamordował, a raczej zamęczył, odrywając skórę od ciała dla przekonania się, czy istotnie ma włosy pod skórą, jak zbrodniarz twierdził podczas tych prób bolesnych. Sądy mieszają sprawy o wilkołactwo z procesami przeciw wiedźmom. Zdolność do obracania się w dzikie zwierzęta nie ulegała żadnej wątpliwości dla sędziów, mających niezbite dowody w poszarpanem ciele ofiar, oraz w zeznaniach samych winowajców. Wilkołakami bywali tam zazwyczaj mężczyzni, ofiarami bardzo często dziewczęta. Ta okoliczność, oraz inne szczegóły dowodzą, iż wybuchy epileptokształtne chuci zmysłowej są źródłem wilkołactwa.

Zatrzymaliśmy się nieco nad faktami, zaczerpniętemi z dziejów wilkołactwa średniowiecznego. Ale objaw ten jest właściwy nie tylko naszej części świata [2]). Przesąd, iż ludzie przybierają kształty zwierząt krwiożerczych, ażeby pożerać rodaków, odnajdujemy we wszystkich częściach świata. I nie dziw. Ażeby powstał, trzeba dwóch warunków: po pierwsze, obecności w jaźni człowieka chorobliwej chuci, owego wygórowanego sprzężenia żądz, właściwych nawet zwykłej naturze ludzkiej; powtóre, potępiania kanibalizmu przez otoczenie, nieposiadania zaś przez nie wiedzy pozytywnej. Średniowieczne formy obłędu krwiożerczo-zmysłowego ulegają tylko

[1]) R. Andree: Ethnographische Parallelen und Vergleichungen, 1878 (art. Währwolf), 78—79.

[2]) Porównać warto przytoczoną powyżej rozprawkę R. Andreego: Währwolf.

tej zmianie, że zamiast w wilka, człowiek przedzierzga się w inne zwierzę: w Afryce niektórzy przybierają kształty hien, lwów i krokodylów, w Ameryce sroży się jaguarołactwo, w Indjach Przedgangesowych zamiast hieny lub wilka zjawia się tygrys.

D. Livingstone [1]) podczas pobytu nad rz. Zambezi poznał Makololczyka, twierdzącego, iż może przedzierzgać się w lwa. Zapach prochu wzbudzał w nim nieopisaną trwogę. Opowiadano o tym murzynie, że gdy przybierał kształty wspomnianego zwierzęcia, całemi tygodniami i miesiącami przebywał w gąszczach.

W Indjach Przedgangesowych sądy rozpatrywały sprawę górala z plemienia Kolów. Oskarżony o samowymiar sprawiedliwości, zeznał, że „w jego obecności tygrys zamordował był mu żonę, poszedł więc za zwierzęciem, które zniknęło w chacie niejakiego Pusa". Oskarżył Pusa o zamordowanie kobiety, krewniacy zaś tygrysołaka przyznali słuszność tych zarzutów i wydali mu winowajcę. Rodzina Pusa przed sądem potwierdziła zeznania oskarżonego i dodała, że ujęto raz tego tygrysołaka, gdy pożerał kozę, przyczem wył, jak tygrys [2]).

Zasługują na uwagę fakty zbiorowego obłędu wilkołackiego. Świadczą, iż przy sprzyjających warunkach mogłyby powstać całe plemiona wilkołackie.

W końcu w. XVI w którejś z dolin Jury wybuchła epidemja wiedźmostwa, która zresztą zakończyła się, zgodnie z duchem czasu, spaleniem rzekomych winowajców na stosie. Wśród oskarżonych znajdowała się tam rodzina, niewątpliwie chorobliwa. Kobieta, do niej należąca, sądziła, że może przedzierzgać się w wilczycę: biegała po polach na czworakach. Tłum rozszarpał ją na kawały, gdy w takim stanie usiłowała porwać dziecko. Jej brata i synowca oskarżono, jako wilkołaków: gdy już po wymierzeniu kary ich krewniaczce wyjąc biegali po polach. Uwięzieni, przyznali się pod inkwizycją do picia gorącej krwi z kóz i naśladowali wilki

[1]) D. Livingstone: Narrative of an Expedition to the Zambesi, 1865, 159.

[2]) Nottrott u R. Andree: Ethnogr. Parallelen, 1878, 72; por. tamże 80.

w celce. Synowicę obwiniono o czary. Mamy w tym przypadku dziedzicznie przekazywane zwyrodnienie; o chorobliwem usposobieniu świadczy także stan uśpienia somnambulicznego, w jaki wpadali oskarżeni w różnych chwilach życia. We wspomnianym procesie, prócz tej rodziny, sądzono jeszcze wielu innych wilkołaków, wymieniających z nazwiska zamordowane ofiary, co stwierdzają poszkodowani rodzice. Tam, w ustronnej dolinie Jury, pasma górskiego i obecnie odznaczającego się obfitością kretynów i tępością umysłową mieszkańców, oraz wzajemnem powiązaniem mieszkańców tej samej wioski ciągłemi więzami żeniaczki w zamkniętem kole, istniała cała grupa zwyrodniałej ludności, która, może jeszcze pod wpływem zarazy ideowej, zaczęła praktykować wilkołactwo. W okresie barbarzyńskim rozstrzelenia sił społecznych dałaby początek szczepowi kanibalistycznemu lub całej kaście sądzącej, że jej członkowie mogą obracać się w hieny i inne zwierzęta. A mamy na myśli grupę etniczną Budów w Abisynji, znajdującą się, jak nasi Cyganie, poza społeczeństwem, a trudniącą się kowalstwem i garncarstwem. Powiadają o nich, że wygrzebują trupy, wysysają krew z żywych. „Budowie, mówi jedno źródło [1]), posiadają charakter, zwyczaje i chciwość wilków względem krwi. Dniem zachowują się jako ludzie, lecz nocą stają się krwiożerczemi, okrutnemi wilkami". Inny podróżnik opisuje samo to opętanie [2]). „Osobnik zaczyna wyć i wydawać tony, które najstosowniej będzie porównać do głosu hieny. Zamiast prosto chodzić, biega na czworakach; niema tak silnego człowieka, któryby zdołał go utrzymać. Jeżeli próbują go związać, zrywa postronki z nienaturalną siłą. Lekarstwa nie pomagają, tylko znachor, wyganiający złego ducha".

Wilkołactwo jest jedną z form, jaką przybierają zboczenia epileptoksztaltne (o podkładzie lubieżno-krwiożerczym) w toku rozwoju dziejowego, wśród atmosfery sprzyjających temu poglądów na człowieka i przyrodę. Między innemi istota ludzka wierzyła, iż, zawarłszy umowę z odpowiednim duchem (djabłem, jeśli bierzemy Wieki Średnie) i posmaro-

[1]) R. P. Dimotheos: Deux ans de séjour en Abyssinie (u R. Andree: Ethn. Parallelen, 1878, 70).

[2]) Th. Waldmeier: Erlebnisse in Abissinien, Bazylea 1869, 129.

wawszy się czarodziejską maścią, lub przywdziawszy pas ze skóry wilczej, będzie mogła dowolnie przybierać kształty zwierzęce. Przesądy tego rodzaju sprzyjały wykluciu się wilkołactwa jako wyładowania się szału krwiożerczo-zmysłowego, to zaś zboczenie istnieniem swojem potwierdzało słuszność takich pojęć o siłach przyrody. Przyczyna stawała się skutkiem, skutek przyczyną w oddziaływaniu wzajemnem.

* * *

Chodziło nam o znalezienie zasadniczych źródeł ludożerstwa, bo obok głównych, przez nas wskazanych, istnieją jeszcze podrzędne, jako to różne przesądy, lub np. kanibalizm, praktykowany na placu boju pod wpływem roznamiętnienia i zemsty. Nie zaprzeczamy działania tych czynników, lecz jedynie wyznaczamy im właściwe miejsce w hierarchji przyczyn sprawczych.

W toku rozbioru, który podjęliśmy, doszliśmy do rezultatów:

1) Ludożerstwo tylko w najniższym okresie dziejowym, mianowicie podczas dzikości, wypływa z materjalnych warunków bytu gromadnego. Jest w tej epoce zjawiskiem powszechnem i zarazem powszedniem, przyczem bywa skierowane głównie na dzieci. Temu sprzyja i ta okoliczność, że dzieciobójstwo jest w tym okresie koniecznością dla matki, ilekroć ta posiada więcej potomstwa: poświęca jedno dziecko, młodsze, ażeby odchować drugie, starsze. Kanibalizm, podyktowany przez warunki bytu, poza obrębem dzikości bywa zdarzeniem przypadkowem (np. w oblężonych miastach średniowiecznych, lub podczas nieurodzajów długoletnich i t. d.).

2) Ludożerstwo istnieje także w średniem, a nawet wyższem barbarzyństwie (terminom nadano znaczenie, wytknięte przez Morgana). Atoli, o ile ogarnia całą grupę etniczną i tworzy jej rys duchowy, wynika ze szczególnego zboczenia psychiczno-fizjologicznego, o którem psychika ludożerców-gwałcicieli europejskich daje niejakie pojęcie. Istnieją szczepy, które moglibyśmy ochrzcić mianem ludów patologicznych, podlegających stanom epileptokształtnym. Duchowość takich ludów wykazuje wszelkie właściwości, spotykane u ludożerców-epileptyków: „siłę niepohamowaną“ popędu, dreszcze konwulsyjne, lubieżność, nekrofilomanję. Zresztą typy tego rodzaju ograniczają się do płci męskiej i nawet wśród mężczyzn

są osoby wolne od chuci ludożerczej. Kobiety tylko wyjątkowo spożywają mięso ludzkie, acz za dzikości uczestniczyły w kanibalizmie częściej i obficiej.

3) Tacy ludożercy zdarzają się w każdym narodzie i w każdej epoce dziejowej, a więc i u nas, w Europie obecnej. W Wiekach Średnich, oraz u ludów, które już potępiły były ludożerstwo, lecz jeszcze nie zaczęły spoglądać na przyrodę ludzką ze stanowiska obecnej filozofji naukowej, tego rodzaju typy dają początek wilkołactwu, znajdującemu w istniejących poglądach na wszechświat podatny grunt do krzewienia się i przeradzania w zarazy masowe. Takie epidemje duchowe pociągają i tych, którzyby w innych warunkach nie dopuścili się podobnych czynów. Będą to wilkołacy „przypadkowi“ w odróżnieniu od „urodzonych“.

4) Chuć ludożercza u typów europejskich i prawdopodobnie u ludożerców egzotycznych jest związana z osobliwem sprzężeniem stanów duchowych, występuje w formie ataku siły nieprzepartej i zakłócenia władz umysłowych, często dreszcze konwulsyjne wstrząsają ciałem. Jest nadto dziedziczną. Na niższych szczeblach rozwoju społecznego zawsze istnieje możliwość wydzielenia się grupy ludożerczej z pośród całości etnicznej oraz zamiany jej w plemię samodzielne, kanibalistyczne.

Dotknęliśmy tylko jednej strony skutków zwyrodnienia zmysłowo-krwiożerczego w życiu społecznem. Lecz obraz, zwłaszcza wśród naszej cywilizacji, jest o wiele rozleglejszy. Istnieją stany mniej napięte, nad któremi panuje wola z powściągami moralnemi i chroni od czynów niewłaściwych, jako też od wejścia w zatarg z kodeksem karnym, lecz które swoją drogą znajdują wyładowanie w życiu społecznem. Krafft-Ebbing opowiada o neuropatyku, który od trzynastego roku życia zaczął miewać sny, że w sali tłoczą się ciżby nagich kobiet, że poddaje je torturom—sama myśl o możliwości zadawania im cierpień budziła w nim zadowolenie zmysłowe. Prof. Tarnowskij znów zwrócił uwagę, iż najokrutniejszymi bywają zmysłowi nauczyciele: skazują malców na chłostę bez potrzeby, tylko pod działaniem odczuwanej własnej przyjemności. Gdybyśmy tego rodzaju postacie, będące tylko różnemi odmianami typu zasadniczego, zebrali, otrzymalibyśmy związane pasmo czynów i postępków. Henryk VIII

angielski, wysyłający żony na rusztowanie, a Kabyl, duszący kochankę podczas upojenia zmysłowego, siepacze i kaci średniowieczni, pastwiący się nad nagiem ciałem wiedźm lub heretyczek, a neuropatyk, mdlejący z rozkoszy na widok cierpień, zadawanych kobiecie, nauczyciel, katujący powierzone mu dziecko, a poeta lub malarz, rozmiłowani w malowaniu scen lubieżno-krwawych, Neroni lub Kaligule, a żołdak średniowieczny, obryzgany krwią niemowląt i duszący ich siostry i matki, zbezcześciwszy je poprzednio, Kuba Rozpruwacz londyński i wilkołak dawnych czasów, w końcu ludożerca fidżyjski — wszystko to są postaci pokrewne nawzajem. Napięcie instynktu, czas i miejsce rozstrzygają o ich zachowaniu się i fizjonomji.

BIBLJOGRAFJA PRAC
LUDWIKA KRZYWICKIEGO

opracowana przez Instytut Gospodarstwa Społecznego.

I. Antropologja rasowa i etniczna.

Ludy. Zarys antropologji etnicznej. Warszawa, 1893 r., str. XII+431. (Słuchacze Towarzystwa Kursów Naukowych wydali: „Antropologję etniczną według wykładów prof. L. Krzywickiego", Warszawa 1906/7, str. 236, będącą późniejszą przeróbką „Ludów", ale wydawnictwa swego nie doprowadzili do końca).

Przekład rosyjski:

Антропологія—переводъ съ польскаго С. Д. Романовскаго Романько, подъ редакціей Р. И. Сементковскаго. С.-Петербургъ 1896 г., str. IV+249+III.

Kurs systematyczny antropologji. I. Rasy fizyczne. Warszawa, 1897 r., str. 166+1 nl., rys. 79 (pierwotnie drukowane w Przeglądzie pedagogicznym" 1895 w „Kursie samokształcenia").

Przekład rosyjski:

Физическая Антропологія, переводъ съ польскаго С. Д. Романько-Романовскаго. (Общеобразовательная библіотека, серія третья, № 6, изданіе О. Н. Поповой) С.-Петербургъ 1900 г., str. VI+166+2 nl.

Charakterystyka fizyczna ludności ziem polskich i dzielnic ościennych. Enc. Polska, t. I, str. 465 — 654, oraz 22 mapy (w związku z tą pracą pozostają: a) Spostrzeżenia nad barwą włosów i oczu. Wisła, V (1981), str. 846 i n. b) K. Daniłowicz-Strzelbicki: Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego (recenzja), Pr. 1896, nr. 29, str. 343; Gaz. Pol. 1896, nr. 74).

Dzieje antropologji. Por. dla samouków: Dzieje myśli, t. II (1907), str. 367—470 (w związku z tem rzecz z powodu odczytu K. Daniłowicza-Strzelbickiego: Antropologja i jej zadania. Pr. 1896, nr. 14, str. 165—166).

Nauki antropologiczne. Por. dla samouków, część I, wyd. I (Warszawa 1898), str. 170—181; wyd. II (Warszawa 1901), str. 485—548.

Rozwój antropologiczny człowieka. Por. dla samouków, wyd. I, część V (Świat i człowiek), zeszyt I, Warszawa 1903, str. 317—406; wyd. II: Świat i człowiek, tom II, Warszawa 1912, str. 245—321 (w związku z tem: a) Człowiek w przyrodzie (z powodu pracy P. Topinarda). Pr. 1892, nr. 5, str. 51—52. b) Zjazd antropologów niemieckich (Kronika naukowa), Ogniwo 1903, nr. 27, str. 875 — 876. c) Postępy antropologji. Pr. 1892, nr. 35, str. 411—413).

Geografja medyczna, jej znaczenie i powstanie. Dod. mies. do Prz. Tyg. 1887, półrocze II, str. 40—55.

Aklimatyzacja i akulturyzacja. Enc. nauk społ., 1902 r.

Nauka a kolonizacja. Pr. 1886, nr. 13, str. 146—147.

Kolonizacja naukowa. Tyg. Powsz. 1891, nr. 7, str. 53.

Kwestja jednopochodności i wielopochodności rodu ludzkiego. Głos 1888, nr. 44, str. 522—524.

Zagadnienia antropologiczne. Pr. 1888, nr. 38 (antropotechnika), 39 (różna wartość ras pod względem umysłowym), 40 (krzyżowanie i mieszańcy), 41 (rasy a kolonizacja), str. 451—452, 461—462, 473—475, 484—485.

Z przeszłości przedhistorycznej (rodowody typów europejskich). Pr. 1900, nr. 28, 29 i 31, str. 334—335, 349—350 i 371—372.

Nasi przodkowie (Przyczynek do paletnologji Polski). Pr. 1895, nr. 51, str. 602—604.

Z zagadnień antropologicznych Polski. Illustr. Polska: Wieś i Dwór 1917, nr. II i III, str. 2—5. (Przodkowie Polaków).

Szkice antropologiczne (Typy rasowe wśród żydów). Pr. 1899, nr. 42, str. 500—501.

Żydzi jako rasa fizyczna (z powodu książki d-ra Judta: Żydzi jako rasa fizyczna, Warszawa 1902). Ogniwo 1903, nr. 1, str. 7—9.

Z dziedziny antropologji i etnologji. Prz. Tyg. 1885, nr. 24, str. 345—347.

A. Quatrefages: Introduction à l'étude des races humains (Ocena). Wisła III (1889), str. 938.

A. Hovelacque: Les nègres de l'Afrique sus-équatoriale (Ocena), Wisła III (1889), str. 940—941.

Izydor Kopernicki. (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1891, nr. 40, str. 478.

II. Socjo-antropologja.

1. *Rasa w rozwoju dziejowym (i antropo-geografja).*

Systematyczny kurs antropologji: Rasy psychiczne. Warszawa 1902, str. II+309+1 nl, rys. 16.

Przekład rosyjski:

Психическія расы. Опытъ психологіи народовъ, переводъ съ польскаго Р. В. Кржвицкой подъ редакціей автора. Изд. Т-ва „XX Вѣкъ", С.-Петербургъ 1902, str. 223+3 nl.

W związku z tą książką:

a) Antropologja w historjozofji i socjologji. Wisła II (1888), str. 445—467.

b) Rasa a społeczeństwo. Głos 1888, nr. 15—18, str. 171—173, 185—187, 194—197, 208—210.

c) Najnowsze badania antropo-geograficzne. Pr. 1890, nr. 5. str. 52—54.

d) Antropologja psychologiczna (wpływ otoczenia na charakter). Pr. 1890, nr. 25, str. 294—296.

e) Szkice antropologiczne (szlaki dziejowe afrykańskie). Pr. 1894, nr 43, str. 508—509.

f) Socjo-antropologja. Pr. 1895, nr. 24. i 25, str. 278—280, 291—292.

Szkice socjologiczne (dobór typów w miastach). Pr. 1898, nr. 24, str. 282-283

Walki rasowe. Pr. 1894, nr. 51, str. 602—603.

Kwestja aryjska. Pr. 1891, nr. 19, str. 221—222; 1898, nr. 26, str. 306—307

Trylogja historyczna (o kwestji aryjskiej). Pr. 1893, nr. 2, str. 16—17.

Próba psychologji plemiennej słowian. Pr. 1887, nr. 49, str. 582—583.

Geneza nowożytnej narodowości. Głos 1888, nr. 13, str. 152—153.

Z powodu Światopełka Czecha: Wycieczki pana Brouczka. Tyg. Powsz. 1891, nr. 8, str. 60—61.

Zmienne pierwiastki, w pojęciu narodowości. Myśl Polska 1915, Zesz. 3—5, str. 344—348.

Dühring wskrzeszony (o charakterze narodowym). Pr. 1892, nr. 49, str. 582—583.

Nowa próba w dziedzinie psychologji rasowej. Pr. 1894, nr. 20, str. 232—233.

Nasze rodowody rasowe (naród a rasa). Pr. 1895, nr. 52, str. 614—615.

Psychologja plemienna. Pr. 1898, nr. 20, str. 236—237.

Z dalekiej ziemi (Jean Hess: L'âme nègre). Pr. 1899, nr. 10, str. 115—116.

Jak powstaje pojęcie o pięknie cielesnem (Szkic z porównawczej antropologji). Głos 1886, nr. 3, str. 39—41.

Dorobek socjologiczny (socjologja antropologiczna). Pr. 1899, nr. 24, str. 282—283.

2. Wpływy płci w życiu społecznem.

Uczony Olimp. Z powodu książki E. Reicha: Die Emancipation der Frauen, das Elend und die geistige Ueberspannung. Prz. Tyg. 1884. nr. 18, 19, 21, str. 213—214, 227—229, 254—255.

Z powodu książki J. St. Milla: Poddaństwo kobiet. Pr. 1887. nr. 23, str. 269—270.

Mężczyzna i kobieta. Prawda 1898, nr. 8, str. 92—93.

Z powodu odczytu Dr. Henryka Nussbauma: Stanowisko kobiety w społeczeństwie z punktu przyrodniczego. Pr. 1896, nr. 17, str. 200.

Kronika naukowa (z powodu pracy Engelmana: Die Geburt bei den Urvölkern). Dod. mies. do Prz. Tyg. 1884, półrocze I, str. 254—267.

Bezpłodność kobiet (Z powodu pracy J. Mathews Duncana: Sterilität bei Frauen, 1884). Dod. mies. do Prz. Tyg. 1884, półrocze II, str. 393—407 i 529—550.

Psychologja kobiety. (Z okazji książki C. Lombroso i G. Ferrero: La donna delinquente, la prostituta e la donna normale). Pr. 1893. Nr. 23—25, str. 268—270, 279—281, 292—293.

U w a g a: Por. II, 3—Typy zawodowe w związku z płcią i wiekiem.

3. Typy zawodowe.

Typy zawodowe (Właściwości wrodzone i nabyte). Pr. 1887. nr. 9, str. 100—102.

C z ł o w i e k a s p o ł e c z e ń s t w o. Bibljoteka Warszawska 1897, t. IV, str. 265—292.

T y p y z a w o d o w e. Prz. polski przemysłu. 1902—1903.

1. Pojęcia ogólne 1902, nr. 5 (sierpień), str. 13—26.

Przekład rosyjski:

Профессіональные типы: Размѣщеніе въ обществѣ способностей. Современный Міръ 1909, IV (kwiecień), str. 35—56.

2. Cechy wrodzone i nabyte 1902, nr. VI (wrzesień), str. 27—45.

Przekład rosyjski:

Профессіональные типы: прирожденыя и пріобрѣтенныя способности. Современный Міръ 1909 VI (czerwiec), str. 128—154.

3. Typy zawodowe w związku z płcią i wiekiem, 1902. nr. VII (październik), str. 14—35.

4. Ustawa społeczna a typy zawodowe, 1902, nr. VIII (listopad), str. 17—25.

5. — 6. Typy zawodowe w oświetleniu historycznem. 1902, Nr. IX (grudzień), str. 22—33; 1903, Nr. I (styczeń), 18—26 i Nr. II (luty), str. 18—29.

Przekład rosyjski:

Отдѣльные личности и общество. Современный міръ 1910, VII (lipiec), str. 156—176.

7. Poszczególne typy: Typy tułackie i osiadłe. 1903, nr. III (marzec), str. 24—36.

Przekład rosyjski:

Бродяги и домосѣды. Современный Міръ, 1912, VI (czerwiec), str. 164—187.

Typy tułackie. Pr. 1894. nr. 3, str. 26—28.

Z Antropologji (Żyd wieczny tułacz), Gaz. Pol. 1894. nr. 15.

Na widnokręgu, Gaz. Pol. 1899, nr. 64 (włóczędzy—żebracy).

T y p y k ł a m l i w e w ż y c i u

i sztuce. Sfinks, t. X, 1910, str. 246—262 i 337—352 (w związku z tem: Kłamca urodzony. Pr. 1897, nr. 48, str. 570—571 i Kłamstwo, Enc. Illustr.).

Typy okrutne i krwiożercze. Ogniwo 1903, nr. 45—49, str. 1065—1067, 1091—1094, 1113—1115, 1137—1139, 1162—1164.

Przekład rosyjski:

Жестокіе и кровожадные. Изъ серіи статей: „Профессіональные типы". Современный Міръ 1915. II (luty), str. 198—220.

Z psychologji ludów: Ludożerstwo i wilkołactwo. Wisła, XII (1898), str. 100 — 130 (w związku z tem:

a) Wilkołactwo (Szkic psychiatryczno - antropologiczny). Pr. 1888, nr. 6, str. 64—66;

b) Ludożerstwo i szał krwiożerczo-erotyczny. Pr. 1887, nr. 50 i 51, str. 594—595 i 605—607.

Żywe spoidła życia zbiorowego. Ogniwo 1905, nr. 43 — 48, str. 1009—1011, 1033 — 1035, 1059 — 1060, 1083—1085, 1107—1109, 1129—1130.

Przekład rosyjski:

Профессіональные типы: Живыя спайки общественной жизни. Современный міръ 1909, XI (listopad), str. 188—214.

Typy zawodowe. Pr. 1892, nr. 1, str. 7—8.

Z psychologji charakterów. Pr. 1896, nr. 25, str. 294—295.

Organiczne podstawy pesymizmu. Pr. 1892, nr. 3, str. 27—29.

Typy umysłowe. Pr. 1888, nr. 47. str. 555—558.

Psychologja idjotyzmu. Pr. 1891, nr. 15, str. 172—173.

Statystyka uzdolnień literackich. Pr. 1891, nr. 12, str. 138—139.

Dwa obozy (Genjusz i obłąkanie). Pr. 1892, nr. 30, str. 351—353.

Z antropologji (pamflety w literaturze). Gaz. Pol. 1894, nr. 33.

Szkice antropologiczne (rachmistrze). Pr. 1894, nr. 46, str. 543—544.

Typy zawodowe (odmiany wyobraźni u dzieci). Pr. 1895, nr. 27, str. 314—316.

Z powodu książki Fr. Queyrata: Wyobraźnia u dzieci i jej przemiany. Gaz. Pol. 1895, nr. 144.

Psychologja uwagi. Pr. 1889, nr. 5, str. 55—56.

Uzdolnienia estetyczne dziecka. Pr. 1888, nr. 49, str. 583—584.

Psychologja artystów. Pr. 1895, nr. 2, str. 15—16.

Z powodu pracy C. Lombrosa: Tre tribuni, studiati da un alienista. Pr. 1888, nr. 4, str. 40—41.

Zwyrodniałe matki (z powodu książki F. L. Ferriani: Entartete [Mütter). Pr. 1897, nr. 39, str. 462—463.

4. Antropologja zbrodni.

Teorje Cezara Lombroso. Pr 1886, nr. 45—47, str. 532—533, 545—546, 556—557.

Zbrodniarz z urodzenia (Lombroso: L'homme criminel). Pr. 1887, nr. 25, str. 293—294.

Z antropologji i etnologji (antropologja kryminalna i ostatnie prace w tym kierunku). Prz. Tyg. 1888, nr. 3, str. 39—40.

Teorja kryminalna C. Lombroso. I. Zbrodniarz przypadkowy. II. Zbrodniarz z namiętności i obłąkaniec. Pr. 1889, nr. 45 i 46, str. 535—536 i 545—546.

Zwyrodnienie organiczne a zbrodnia. Pr. 1890, nr. 36, str. 425—426.

Ostatnie postępy antropologji kryminalnej. Pr. 1890, nr. 27, str. 319.

Antropologja zbrodni. Pr. 1891, nr. 49—51, str. 579 — 580, 593 — 595, 603—606.

Antropologja zbrodni (C. Lombroso: Nouvelles recherches de psychiatrie et

d'antropologie criminelle). Pr. 1892. nr. 2, str. 14—15.

Lombroso i jego teorje. Pr. 1896, nr. 49, str. 583—584, oraz Prz. Poznański 1896, nr. 50, str. 553.

Dorobek socjologiczny (z zakresu antropologji kryminalnej). Pr. 1898, nr. 21, str. 247—248; 1899, nr. 25, str. 296—297; 1900, nr. 34, str. 406—408.

Teorja przestępstwa politycznego (Lombroso i Laschi). Pr. 1890, nr 28—31, str. 328—329, 341—342, 365—366.

Zbrodnia w sztuce. Pr. 1897, nr. 44, str. 523—524.

Tatuowanie wśród kryminalistów. Pr. 1886, nr. 50, str. 595—597.

Kryminologja. Pr. 1888, nr. 44 i 45, str. 520—522 i 535—537.

Ocena pracy R. Garofala: Ripparazione alle vittime del delitto. Pr. 1888, nr. 4, str. 40.

Echa Średniowiecza (kara śmierci). Tyg. Powsz. 1891, nr. 11—12, str. 88.

5. Dobory i antropotechnika (eugenizm).

Arystokracja ducha (Studjum darwinowsko-socjologiczne). Prz. Tyg. 1886, nr. 41—45, str. 435—437, 452—454, 468—470, 483—484, 500—502.

Zagadnienia antropologiczne (Antropotechnika). Pr. 1888, nr. 38, str. 451—452.

Dobór wśród ludzkości. Pr. 1891, nr. 1, str. 3—5.

Dobory rasowo-społeczne. Pr. 1893, nr. 5, str. 53—54.

Dobory społeczne. Pr. 1896, nr. 15—17, str. 174—175, 186—187, 199—200

Szkice antropologiczne (antropotechnika). Ogniwo 1903, nr. 2, str. 39—41.

Paszporty zdrowia. Pr. 1892, nr. 21, str. 248—249.

Pedagogika wobec antropologji. Pr. 1887, nr. 27, str. 318—319.

Dziedziczność a wychowanie. Pr. 1890, nr. 4, str. 38—40.

III. Psychologja życia zbiorowego.

(Psychologja tłumu i obłędy zbiorowe).

Socjologja psychologiczna. Pr. 1890, nr. 31 i 32, str. 366—367 i 379—380.

„Logika społeczna" (z powodu książki G. Tarde'a. La logique sociale). Pr. 1895, nr. 3, str. 26—28.

Ocena książki G. Tarde'a: La logique sociale. Ateneum 1895, t. 1, str. 624—625.

Teorje Gustawa le Bon'a. Pr. 1900, nr. 26 i 27, str. 312—313 i 323—324.

Idea a człowiek. Pr, 1896, nr. 12—14, str. 138—139, 150 — 151, 162—163.

Przekład rosyjski:

Изъ психологіи общественной жизни: Человѣкъ и идея. Miesięcznik „Жизнь", 1900, str. 80—92.

Jaźń zbiorowa (Przyczynek do psychologji życia zbiorowego). Pr. 1895, nr. 11—14, str. 122—124, 136—137, 147—149, 158—161.

Przekład rosyjski:

Изъ психологіи общественной жизни: Коллективная душа. Miesięcznik „Жизнь", 1900, str. 92—108.

Tradycja zorganizowana. Pr. 1895, nr. 48 — 50, str. 566 — 567, 579—580, 590.

Przekład rosyjski:

Изъ психологіи общественной жизни: Организованная традиція. Miesięcznik „Жизнь", 1900, str. 108—120.

Do Jasnej Góry (Z powodu Władysława Reymonta: Pielgrzymka do Jasnej Góry). Pr. 1895, nr. 28—30, str. 326—328, 338—340, 350—352. (Przedruk w Przegl. Poznańskim, 1895, nr. 31—33, str. 870, 376, 389).

Kartka z psychologji życia zbiorowego. Ogniwo 1904, nr. 4, str. 73—74.

Z psychologji społecznej: I. Jednostka i klasa. II. Gromady klasowe. Pr. 1900, nr. 48 i 49, str. 577—578, 587—588.

Jednostka i gromada. Pr. 1892, nr. 11, str. 123—125.

Tłum zbrodniczy (z powodu książki S. Sighele'go). Gaz. Pol. 1895, nr. 76.

Nowe prace w zakresie psychologji zbiorowej. Pr. 1895, nr. 43, str. 506—508.

Kartka z dziejów ludzkości (Epidemje wiedźmostwa). Pr. 1887, nr. 1, 3, 4, str. 3—5, 29—31, 43—44.

Demonomanja. Głos 1887, nr. 30—32, str. 470—471, 486—487, 502—503.

Szał ascetyczny (Szkic socjologiczno-historyczny). Pr. 1887, nr. 30—32, str. 354—353, 365—366, 376—377.

Z psychologji poruszeń masowych (Zmiany atmosferyczne i poruszenia masowe). Pr. 1889, nr. 22, str. 255—257.

Hypnotyzm. Pr. 1887, nr. 42, str. 498—499.

Z historji magnetyzmu i hypnotyzmu. Pr. 1890, nr. 9, str. 103—104.

Hypnoza w kulcie (I. Książka Stolla. II. Zachwyt proroczy. III. Rola sugestji). Pr. 1895, nr. 6—8, str. 63—65; 75—77, 87—89.

Odgadywanie myśli. Pr. 1894, nr. 47, str. 554—556.

Nauka czy mistycyzm (Oddziaływanie myśli na odległość). Pr. 1894, nr. 25, str. 293—294. (Przedruk w Prz. Poznańskim 1894, nr. 16).

Wiek nerwowy. Pr. 1896, nr, 44, str. 521—522.

Gabrjel Tarde (1843—1904) (wspomnienie pośmiertne). Ogniwo 1904, nr. 22, str. 507—508.

M. Michajłowskij (wspomnienie pośmiertne). Ogniwo 1904, nr. 9, str. 208—210.

IV. Socjologja.

1. Socjologja ogólna.

Zarys socjologji (skrót wykładów wygłoszonych na kursach wyższych administracyjnych). Warszawa 1916, str. 16.

Socjologja. Por. dla samouków, Cz. III, Warszawa 1900, str. 330—365.

Rozwój społeczny wśród zwierząt i rodzaju ludzkiego; wyd. I. Por. dla samouków, cz. V (Świat i człowiek), zeszyt II, Warszawa 1905, str. 659—724; wyd. II: Świat i człowiek, tom IV, Warszawa 1903, str. 1—66 (w związku z tem: Społeczeństwa zwierzęce. Pr. 1891, nr. 22, str. 255—257).

Wstęp do nauk historycznych. Por. dla samouków, Cz. II, Warszawa 1899, str. 188—204.

Jałowa niwa (O socjologji ogólnej). Pr. 1898, nr. 27, str. 318—319.

Szkice socjologiczne (energja społeczna jako odmiana energji kosmicznej). Pr. 1891, nr. 10, str. 114—115.

Kosmos i społeczeństwo (z powodu dzieła Z. Herynga: Logika ekonomji). Pr. 1897, nr. 14—17, str. 164—166; 175—177; 186—187; 199—201. Dalszy ciąg jako: Człowiek i przyroda. Pr. 1897, nr. 19 i 21, str. 223—224, 247—249, oraz: O prawdę (polemika z p. Boguskim). Pr. 1897, nr. 18, str. 215.

Biologja w socjologji. Pr. 1897, nr. 47, str. 558—559.

Wstęp do książki: Darwinizm a wiedza społeczna. Warszawa-Lwów 1910, str. VII—XV.

Znaczenie solidarności w walce o byt (z powodu pracy S. L. de Lanessana: La lutte pour l'existence et l'association pour la lutte). Pr. Tyg. 1885, nr. 46, str. 585—586.

Czynniki rozwoju (z powodu książki Benjamina Kida: Social Evolution). Ateneum 1897, t. IV, str. 132—147 (w związku z tem: Nowa teorja socjologiczna. Pr. 1897, nr. 42, str. 500—501).

Ocena poglądów L. Gumplowicza: System socjologji. Głos 1887, nr. 43 str. 513—514.

Prądy i kierunki w socjologji (z po-

wodu Systemu Socjologji prof. Gumplowicza). Głos 1888, nr. 45, str. 535—537.

Rozwój umysłowy ludzkości (z powodu Systemu Socjologji prof. Gumplowicza). Głos 1888, nr. 47, str. 561—563.

Socjologja Gumplowicza (ocena). Pr. 1888, nr. 35—37, str. 413—414, 423—424, 438—439.

Nowa próba (Społeczeństwo jako sui generis osobnik). Pr. 1892, nr. 13, str. 144—148.

Życie społeczeństw (Społeczeństwo jako sui generis organizm). Pr. 1887, nr. 38, str. 450—451.

Spencer Herbert: Wstęp do socjologji (Ocena). Dod. mies. do Prz. Tyg. 1885, półrocze I, str. 106—124.

Socjologiczne poglądy Herberta Spencera. Pr. 1889, nr. 17—19, str. 196—198; 209—211, 220—222.

Herbert Spencer jako socjolog. Ogniwo 1903, nr. 52, str. 1235—1237.

Socjologja H. Spencera. Prz. Filozof. 1904, I, str. 178—186.

Studjum o postępie (z powodu dzieła W. Greefa: Le transformisme social). Pr. 1895, nr. 16, str. 182—184.

Poglądy społeczne techników. Pr. 1891, nr. 13, str. 148—150.

Dorobek socjologiczny. Pr. 1898, nr. 22 i 23, str. 259—260, 270—272; 1899, nr. 27 (Socjologja ekonomiczna i morfologja społeczna), str. 318—319; 1900. nr. 39, str. 466—468.

2. *Rodowody idej społecznych (Materjalistyczne pojmowanie historji).*

Idea a życie. Dod. mies. do Prz. Tyg. 1888, półrocze I, str. 257—312.

Idea w życiu społecznem. Tyg. Powsz. 1891, nr. 11—12, str. 88—90.

Idea a życie (rodowód idei). Lwów-Petersburg 1899, str. 21 (odbitka z Prawdy, książki zbiorowej dla uczczenia 25-letniej działalności Aleksandra Świętochowskiego, Lwów—Petersburg 1899, str. 258—278).

Przekłady rosyjskie:

Wyd. I. Генезисъ идей. Современная библіотека № 5. Изд. Маріи Малыхъ. С.-Петербургъ 1902, str. 43.

Wyd. II. Генезисъ идей. Распространеніе идей. Прошедшее и настоящее. Библіотека Маріи Малыхъ № 5—6. С.-Петербургъ 1905, str. 79.

Przekład bułgarski:

Происхождение и распространение на идеитѣ. Съ предгаворъ: по поводъ „Етюдитѣ“ на г. Карѣевъ отъ Г. Бакаловъ. Печатница на К. Николовъ, Варна 1897, str. 128.

Wędrówka idei. Pr. 1897, nr. 9—11, str. 101—102, 115—116, 128—129.

Przekład rosyjski:

Wyd. I. Распространеніе идей, Современная библіотека № 6, С.-Петербургъ 1902, str. 31.

Wyd. II i przekład bułgarski—patrz Idea a życie.

Przeżytki (przyczynek do psychologji rozwoju społecznego). Bibl. Warsz. 1897, t. III, str. 36—67.

Przekład rosyjski:

Прошедшее и настоящее (изъ общественной психологіи). Miesięcznik „Начало“ 1899, № 5, str. 150—164. Wydanie I książkowe: Прошедшее и настоящее. Современная библіотека Маріи Малыхъ № 10, 1902. Wydanie II oraz przekład bułgarski, patrz Idea a życie.

Фантазія и дѣйствительность (по поводу книги Н. Карѣева „Старые и новые этюды объ экономическомъ матеріализмѣ“). Новое Слово подъ ред. Струве, С.-Петербургъ 1900 str. 36—49 (Skonfiskowane wraz z całą książką)

Materjalistyczne pojmowanie dziejów ludzkości, Walka klas 1884, nr. 6, str. 6—8.

Materjalizm w społeczno-znawstwie (J. Lippert: Kulturge-

schichte der Menschheit). Dod. mies. do Prz. Tyg. 1887, półrocze I, str. 258—279 i 365—386 (w związku z tą pracą: Tegoczesna socjologja—prace Juljusza Lipperta. Ateneum 1891, t. III, str. 134—155).

Zarys ewolucji społecznej (ze stanowiska materjalizmu dziejowego). Głos 1887, nr. 21 i 22, str. 327—328 i 342—344.

Materjalistyczne pojmowanie dziejów ludzkości. Pr. 1889, nr. 16, str. 174—186.

Świadomość w rozwoju społecznym. I. Materjalistyczne pojmowanie dziejów. II. Synteza przyszłości. III. Warunki historyczne. Pr. 1890, nr. 18—20, str. 206—208, 220—221, 231—233.

Qui pro quo (Nieco uwag o modach, wielkich ideach i innych rzeczach — polemika). Widnokrąg 1914, nr. 7, 8 i 9.

Wstęp do dzieła K. Kelles-Krauza: Materjalizm ekonomiczny. Kraków 1906, str. VII—XV.

Człowiek a przyroda (zachowawczość człowieka). Pr. 1887, nr. 40, str. 474—475.

Symbolizm. Pr. 1887, nr. 43, str. 510—511.

Folklor i nawarstwowania etniczne (przeżytki). Pr. 1892, nr. 32, str. 364—366 (w związku z tem praca z powodu L. Gomme'a: Folklor w etnologji, Por. dla czyt. 1901, nr. 15, str. 9—10; nr. 19, str. 13—14).

Z wydarzeń historycznych (Sekty średniowieczne jako ruchy społeczne). Pr. 1895, nr. 32, str. 376—377.

V. **Historja rozwoju społecznego.**

1. Prace charakteru ogólnego.

Historja rozwoju społecznego (wstęp i bibljografja przedmiotu). Por. dla Samouków, Cz. II, Warszawa, 1999, str. 486—565.

Rozwój kultury. Wyd. I. Por. dla Samouków, Cz. V (Świat i człowiek), Zesz. I (Warszawa 1903), str. 407—558; Wyd. II. Rozwój kultury materjalnej, więzi społecznej i poglądu na świat. Świat i człowiek, t. III, 1912, str. 1—178.

(Corocznie litografowane przez słuchaczy T-wa Kursów Naukowych, późniejszej Wolnej Wszechnicy Polskiej, wykłady rozwoju kultury na podstawie notatek słuchaczy: Historja cywilizacji, Warszawa 1915, str. 91; Wykłady z historji cywilizacji, Warszawa 1916 — 1917, str. 141; Historja cywilizacji, Warszawa 1920—1921, str. 141 [inne lata są bez daty]).

Dzisiejszy stan i zadania socjologji etnograficznej. Bibl. Warsz. 1889, t. I, str. 255—281.

Przekład rosyjski:

Современное положение и задачи этнографической соціологіи, Жизнь 1901, nr. 1, str. 150—171.

E. B. Tylor: Antropologja (ocena). Wisła, II (1888), str. 198—203.

Przedmowa do wydania trzeciego E. B. Tylora: Antropologja. Warszawa 1911, str. VI—X.

Dorobek socjologiczny. Pr. 1899, nr. 28, str. 330—331; 1900, nr. 35, str. 420—421.

Z dziedziny antropologji i etnologji. Prz. Tyg. 1885, nr. 35, str. 448—450.

Porównania etnograficzne (Ryszard Andree). Pr. 1889, nr. 21, str. 246—247.

My i Jakuci. Tyg. Ill. 1901, nr. 16, str. 302.

Język a cywilizacja. Tyg. Ill. 1901, nr. 35, str. 678.

Ch. Seignobos: Historja cywilizacji. Głos 1888, nr. 38, str. 450.

Streissler Fr. Dzieje początków cywilizacji powszechnej, Warszawa 1895 (ocena). Gaz. Pol. 1895, nr. 99.

Jan Kubary i jego poszukiwania. Bibl. Warsz. 1897, t. II, str. 159—169.

2. Rozwój kultury materjalnej, ustrojów gospodarczych i własności.

Ustroje społeczno-gospodarcze w okresie dzikości i barbarzyństwa, wydane z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, Warszawa 1914, str. VI+678+In (autoreferat: Nowe Tory 1913, nr. 10, str. 546—549) (Pierwotne wydanie na podstawie notatek przez słuchaczy T-wa Kursów Naukowych: Dzieje kultury pierwotnej. Część I. Rozwój stosunków gospodarczych, Warszawa 1906—1907, str. 691).

Teorja najazdu w oświetleniu etnologji porównawczej. Warszawa 1904, str. 15 (odbitka z książki zbiorowej „Myśl", wydanej staraniem redakcji „Ogniwa", Warszawa 1904, str. 204—218).

Początki własności indywidualnej. Lwów, 1911, str. 20. Odbitka z kwartalnika etnograficznego „Lud" t. XVII (1911), nr. II—III, str. 1—18.

Rozwój stosunków gospodarczych. Wyd. I. Por. dla samouków, Cz. V. (Świat i Człowiek), Zeszyt II, 1905, str. 559—656. Wyd. II. Świat i Człowiek, Cz. III, 1912, str. 249—356.

Badania nad dziejami własności (z powodu książki E. Laveleye: Własność pierwotna). Pr. 1889, nr. 27, str. 319—320.

Achilles Loria: I. Ustrój polityczny a ekonomiczny. II. Systemy ekonomiczne w swoim rozwoju. Pr. 1891, nr. 7—8, str. 76—77, 90—91.

Społeczeństwo chłopięce. Pr. 1892, nr. 43, str. 511—513.

Nowa praca J. Lipperta (Social-Geschichte Böhmen's in vorhistorischer Zeit), Pr. 1896, nr. 33. str. 389—391.

J. Peisker i J. Lippert (Praca J. Lipperta, poświęcona dziejom społecznym Czech i krytyka jej przez J. Peiskera). Pr. 1899, nr. 40, str. 477—478.

Zaścianki szlacheckie. Prz. Polski Przem. 1902, nr. 1 (kwiecień), str. 10—11.

Z dziejów Warszawy (W. Małcużyński: Rozwój terytorjalny Warszawy), Pr. 1900, nr. 50, str. 599—600.

Poszukiwania K. Buechera. Pr. 1898, nr. 38, str. 451—452.

Dzieje wysiłku fizycznego. Pr. 1898, nr. 44—47, str. 522—523, 536—537, 548—549, 558—560.

Szkice ekonomiczne. I. Rodowód pożyczek i procentów. II. Spólnictwo pierwotne i rodowód wymiany. III. Rodowody pieniędzy. Pr. 1898, nr. 15—17, str. 178—179, 189—190, 200—201.

Jarmarki (Szkic porównawczo-socjologiczny). Pr. 1896, nr. 42—43, str. 501—502, 512—513.

Techno-geografja. Pr. 1896, nr. 9 str. 99—101.

Mortillet'a G. (Z powodu pracy: Origines de la chasse, de la pêche et de l'agriculture. Wisła, IV (1890), str. 938—940.

Pierwociny kultury. Pr. 1889, nr. 24, str. 280—282.

Kowal. Enc. Ilustr., (t. 39, str. 367—368).

Kultura, Enc. Ilustr., (t. 42, str. 760—762).

Ogień (w dziejach kultury), Enc. Ilustr., 856—860.

3. Rozwój więzi społecznej.

Pierwotne rozmiary społeczeństwa. Bibl. Warsz. 1899, t. IV, str. 103 — 128 i 277 — 296. W związku z tem: Szkice antropologiczne (Prawo zaludnienia w dzikości), Pr. 1897, nr. 50, str. 595—596.

Plemię pierwotne, jego terytorjum i odosobnienie (z rzutem oka na stosunki pierwotne polskie). Bibl. Warsz. 1901, t. III, str. 509—546.

Ustrój społeczny u ludów pierwot-

nych. Pr. 1886, nr. 26—28, str. 302—305; 316—318; 329—330.

Pierwociny społeczne. Pr. 1891, nr. 38, str. 447—450.

Horda pierwotna (Szkic etniczno-antropologiczny). Pr. 1892, nr. 50, str. 592—593; 1893, nr. 18, str. 207—209.

Gromada pradzika. Pr. 1896, nr. 36—39, str. 427—429, 439—440, 450—451, 462—463.

Some Notes on the Primitive Horde International Folklore Congress, Chicago 1898, str. 199—205.

Horda pierwotna (Odczyt na międzynarodowym zjeździe folklorzystów w Chicago). Ateneum 1894, t. III, str. 563—569.

Przełom w socjologji (Morgan i jego oddziaływanie). Pr. 1887, nr. 18—20, str. 208—209, 220—221, 231—232.

Zdobycze naukowe etnografów-socjologów amerykańskich zwłaszcza Morgana. Wisła, II (1888), str. 783—804.

Z antropologji i etnologji (o Morganie). Prz. Tyg. 1886, nr. 14, str. 211—212.

H. L. Morgan: Społeczeństwo pierwotne (ocena). Atenеum 1887, t. III, str. 369—375.

Objaśnienia i dopełnienia Marxa i Engelsa do L. H. Morgana (L. H. Morgan: Społeczeństwo pierwotne, str. 608—625).

List otwarty do redakcji Bibljoteki Warszawskiej (Polemika w sprawie art. J. K. Dworzaczka o książce Morgana). Pr. 1889, nr. 16, str. 179—189.

Co się u nas wyrabia w krytyce (polemika z dowodu L. H. Morgana). Pr. 1889, nr. 14, str. 155.

Przełom w poglądach na pierwociny społeczne. Ogniwo 1905, nr. 12—14, str. 249—251; 273—275; 297—299.

Z. R. Walczewski: Społeczeństwo rodowe (ocena). Pr. 1891, nr. 15, str. 173—174.

Poszukiwania socjologiczne (prace nad ustrojem Inków). Pr. 1894, nr. 34, str. 349.

Nowe prace socjologiczne (H. Cunow: Die soziale Verfassung des Inkareichs; Dr. R. Hildebrandt: Recht und Sitte auf den verschiedenen Kulturstufen). Pr. 1897, nr. 4, str. 43—45.

Instytucja pobratymstwa (z powodu książki St. Ciszewskiego, poświęconej pobratymstwu u słowian południowych). Pr. 1897, nr. 32, str. 378—379.

Rodowód powitań. Pr. 1891, nr. 20, str. 233—234.

Szkice antropologiczne (Postrzyżyny). Pr. 1896, nr. 11, str. 127—128.

Kasta—Ghetto—Talmud. Widnokrąg 1914, nr. 14, 15 i 16.

Ważniejsze artykuły w Wielkiej Enc. Ill.: Kasty (t. 35, str. 32—35); Klan (t. 36, str. 580—582); Klasy w małżeństwie i ustrój klas w Australji (t. 36, str. 593—596); Klient (t. 36, str. 709—710); Koło (w organizacji społecznej) (t. 37, str. 37); Kopiec (t. 38, str. 873—874); Komunalne domy (t. 37, str. 482—483); Komunizm w okresie pierwotnym (t. 37, str. 491—493); Ogniszczanie (t. 52, str, 884); Obozy (t. 52, str. 537—539).

4. Rozwój rodziny.

Dzieje rodziny, wykłady prof. L. Krzywickiego w r. 1907 — 1908 w T-wie Kursów Naukowych, str. 160 (niedokończona litografja).

Rozwój własności i rodziny. Pr. 1891, nr. 9, str. 102—103.

Mężczyzna i kobieta w społeczeństwie pierwotnem. Pr. 1893, nr. 12, 14—16, str. 137—138; 160—161; 172—173; 186—187.

Mężczyzna i kobieta w okresie pierwotnym. Pr. 1897, nr. 38, str. 450—452.

Poszukiwania socjologiczne (prawo

macierzyste). Pr. 1898, nr. 39, str. 462—463.

Szkice antropologiczne: (Przesądy co do kazirodztwa), Pr. 1897, nr. 43, str. 511—512; (Kuwada), Pr. 1895, nr. 33, str. 386—388, oraz 1899, nr. 21, str. 249—250.

Początek zakazów małżeńskich. Pr. 1898, nr. 25, str. 296—297.

Studja socjologiczne (Nazwy pokrewieństwa). Pr. 1899, nr. 38, str. 451—452.

M. v. Zmigrodzki: Die Mutter bei den Völkern des arischen Stammes. Prz. Tyg. 1886, nr. 27, str. 318—319.

Ch. Letourneau: L'évolution du mariage et de la famille (ocena). Pr. 1888, nr. 25, str. 290—291.

Rozwój rodziny. Pr. 1888, nr. 30—33, str. 354—356, 366—367, 377—378, 388—390.

Badania nad dziejami rodziny. Pr. 1889, nr. 44, str. 521—522.

Z innej beczki (K. N. Starcke przeciw wywodom Morgana). Pr. 1891, nr. 14, str. 158—160.

Nowa praca o rozwoju rodziny. Pr. 1892, nr. 48, str. 567—569.

Początki rozwodu. Pr. 1896, nr. 5, str. 52—53.

Nowe prace o początkach społeczeństwa (J. Kohler: Zur Urgeschichte der Ehe; E. Grosse: Die Formen der Familie und die Formen der Wirthschaft). Pr. 1897, nr. 33—35, str. 391—392; 402—403; 414—415.

Z powodu pracy J. Kucharzewskiego: Początki prawa małżeńskiego. Por. dla czyt. 1901, nr. 24, str. 10—11.

Wł. Ostrożyński: O przestępstwie cudzołóstwa ze stanowiska prawno-historycznego (ocena). Prz. Tyg. 1886, nr. 3, str. 40—41.

Rozwój systemów pedagogicznych. Pr. 1891, nr. 35, str. 411—414.

Ważniejsze artykuły w Wielkiej Enc. Ill.: Kazirodztwo (t. 35, str. 270—272); Kobieta (t. 36, str. 854—860); Macierzyste prawo (t. 45, str. 161—162).

5. Rozwój urządzeń politycznych i prawa.

Wł. Ostrożyński: Prawo wyższej konieczności (ocena). Prz. Tyg. 1886, nr. 38, str. 406—407.

Embrjologja prawa. I. Byt społeczny Osetynów. II. Rozwój prawa kryminalnego. Pr. 1887, nr. 8, str. 545—546, 558—559.

Ewolucja urządzeń politycznych. Pr. 1880, nr. 12, str. 137—138.

Nowoczesny rozwój polityczny. Pr. 1890, nr. 8, str. 86—88.

Dzieje wojny (z powodu książki K. Letourneau: La guerre dans les diverses races humaines). Pr. 1895, nr. 47, str. 554—556.

Dzieje zabawy. Pr. 1897, nr. 23—25, str. 269—270, 282—284, 293—294.

Ważniejsze artykuły w Wielkiej Enc. Ill.: Jeniec (t. 32, str. 857); Kulig (t. 41, str. 455); Obelne i objelne prawo (t. 51, str. 475—477); Jedlnia (t. 32, str. 797—800); Kopczyzna, kopa i sądy kopne (t. 38, str, 855, 844—846); Korowaj (t. 39, str. 5—7); Korona w zwyczajach ludu (t. 38, str. 1007); Labirynt (t. 42, str. 1020).

6. Rozwój twórczości umysłowej (poglądów filozoficznych i religijnych).

a) Poglądy i wierzenia ludów pierwotnych.

Wiedza ludów pierwotnych. Dzieje myśli, t. I, zesz. I, Warszawa 1907, str. 1—57.

Zarys dziejów filozofji pierwotnej. Pr. 1898, nr. 1—4, str. 7—8, 18, 32—33, 43—44.

Pojęcie przyczynowości według pierwotnej filozofji. Wszechświat 1900, nr. 45—48, str. 705—709, 722—730, 741—750, 758—763.

Przekład rosyjski:

Понятіе причинности въ первобытной философіи. Этнографиче-

ское Обозрѣніе. 1910, zeszyt III—IV, str. 1—48.

Szkice antropologiczne (pojęcie przyczynowości u ludów pierwotnych). Pr. 1898, nr. 52, str. 618—619.

Pierwotne poglądy na przyrodę. Bibl. Warsz. 1901, t. IV, str. 27—59.

Kosmos i jego budowa w pojęciach ludów pierwotnych. Bibl. Warsz. 1901, t. III, str. 241—273; w związku z tą pracą:

a) Liczby święte (Szkic z mitologji porównawczej). Pr. 1887, nr. 7, str. 80—82.

b) Szkice antropologiczne: (O barwach świętych). Pr. 1894, nr. 33, str. 386—387; (Filozofja pierwotna i święte symbole liczb i barwy). Pr. 1895, nr. 18, str. 207—208.

Rola zwierząt w pojęciu pierwotnej umysłowości. Wisła, VII (1893), str. 245—273.

Szkice antropologiczne (Totemizm). Pr. 1899, nr. 35, str. 415—416.

Zwyczaje ludów w oświetleniu porównawczem: baba jako wróżba nieszczęścia. Wisła, III (1889), str. 860—874; IV (1886), str. 978.

Z dziedziny antropologji i etnologji (Pojęcia religijne). Prz. Tyg. 1885, nr. 45, str. 571—573.

Pierwotny animizm. Pr. 1893, nr. 21, str. 243—241.

Szkice antropologiczne (Monizm pierwotny). Pr. 1894, nr. 37, str. 436—437; (Monoteizm pierwotny). Pr. 1499, nr. 23, str. 270—271.

Mistycyzm pierwotny. Pr. 1898, nr. 7, str. 79—80.

Z antropologji (Ofiary i żyzność miejsc ofiarniczych). Pr. 1894, nr. 15, str. 172—173.

Nowa próba dziejów filozofji. Pr. 1898, nr. 11, str. 127—128.

Prace amerykanów nad rozwojem religji. Pr. 1888, nr. 13, str. 148—150.

Vinson: Les religions actuelles (ocena). Głos 1888, nr. 40, str. 473—474.

Prace w zakresie religji porównawczej. Pr. 1889, nr. 29—31, str. 341—343, 354—355, 366—368.

Nowa praca Karola Letourneau (Mitologja). Pr. 1893, nr. 9, str. 98—100.

Andrew Lang (z powodu książki: Mythes, cultes et religion). Pr. 1896, nr. 35, str. 413—415.

Schreiber W.: Twórcy bogów (ocena), Książka, 1904, str. 321—322.

Rodowód świąt. Pr. 1899, nr. 2—6, str. 18—19, 43—44, 56—57, 69—70.

Ważniejsze artykuły w Wielkiej Enc. Ill.: Klasyfikacja pierwotna (t. 36, str. 632—635); Klocki (ib. str. 751—753) Kobołd (ib., str. 874); Koło w symbolice (t. 37, str. 229); Konika obchód (ib., 613—614); Kosmogorja według filozofji pierwotnej i Kosmos (t. 39, str. 118—120, 122—124); Koza (ib., str. 420—421); Krasnoludki (t. 49, str. 757—758); Król (ib., str. 921—922); Krzyż (t. 41, str. 281); Kurek i Kurkowe towarzystwo (ib., str. 507—508, 517—518); Lelum-Polelum (t. 43, str. 183—184); Nauka (t. 49, str. 321—322); Ofiary (t. 52, str. 834—838); Ogień żywy i ognia kult (t. 52, str. 869—872, 860—861).

b) Prądy mistyczne doby obecnej.

Prądy mistyczne w życiu i nauce. Głos 1889, nr. 27—30, str. 339—341; 353—355; 367—368; 377—378.

Indywidualizm w sferze religji. Pr. 1888, nr. 28, str. 328—329.

Mistycyzm naukowy. Pr. 1888, nr. 50, str. 593—595.

Mistycyzm naukowy w szacie swojskiej. Pr. 1891, nr. 16, str. 183—185.

„Nowy duch“ w karykaturze (Paulhan Fr.: Mistycyzm nowoczesny). Pr. 1891, nr. 25—26, str. 292—293, 303—304.

Psychologja spirytyzmu. Pr. 1893, nr. 30, str. 350—352.

Zmartwychwstanie czarów. Pr. 1894, nr. 14, str. 158—160.

Medjumizm. Pr. 1894, nr. 19, str, 220—221, nr. 28—31, str. 330—331, 340—341, 352—354, 363—365, nr. 38, str. 446—448, nr. 44, str. 519—521.

O Prawdę (Polemika z powodu seansów). Pr. 1895, nr. 8, str. 95.

c) Filozofja.

Najnowszy ruch filozoficzny w Niemczech. Prz. Tyg. 1884, nr. 44, str. 504—505.

Zasada najmniejszości w filozofji. Dod. mies. do Prz. Tyg. 1886, półrocze I, str. 205—217.

Szermierze prawd bezwzględnych (St. Pawlicki: Studja nad pozytywizmem J. S. Milla; Dr. Raciborski: Podstawy teorji poznania w systemie logiki Milla; Dr. Raciborski: Etyka Spinozy). Dod. mies. do Prz. Tyg. 1886, półrocze I, str. 525—560.

d) Dzieje kapłaństwa pierwotne.

Dzieje kapłaństwa. Pr. 1886, nr. 39. str. 460—462.

H. Spencer: Ecclesiastical Institutions (ocena). Dod. mies. do Prz. Tyg. 1886, półrocze II, str. 38—66.

Procesy dziejowe. I. Filozoficzne źródła ascetyzmu. II. Ascetyzm a życie społeczne. III. Stanowisko ascetów w społeczeństwie. Pr. 1889, nr. 15, str. 174—175, nr. 17—18, str. 196—198 i 206—207, nr. 21—22, str. 246—247 i 257—258,

Szkice antropologiczne (Psychologja szamanów). Pr. 1895, nr. 4, str. 41—42, oraz Prz. Poznański 1895, nr. 5, str. 52.

Czarodzieje w świetle nauki (Przyczynek do psychologji szamanów) Pr. 1897, nr. 45, str. 536—538.

J. Matuszewski: Czarnoksięstwo i medjumizm (ocena). Gaz. Pol. 1896, nr. 81.

Medja żywiołowe. Pr. 1898, nr. 28, str. 330—331.

Cerebracja żywiołowa (Przyczynek do psychologji spirytyzmu). Warszawa 1898, str. 83. Odbitka z Bibljoteki Warszawskiej (1896, t. IV, str. 125—162) W związku z tą pracą:

a) Bezwiedna praca mózgu. Pr. 1889, nr. 13, str. 150—152.

b) Automatyzm umysłowy. Pr. 1896, nr. 45, str. 533—535.

c) Z tajników twórczości. Pr. 1894, nr. 50, str. 590—591.

Opętanie i medjumizm. Pr. 1899, nr. 18, str. 212—213.

Kapłaństwo u ludów pierwotnych. W. Enc. Ill., t. 34, str. 729—731.

e) Rozwój twórczości literackiej.

Szkice antropologiczne (Gadki i ich charakter). Pr. 1895, nr. 44, str. 518—520; 1899, nr. 26, str. 306—307.

Rodowód bajek (Z powodu braci Grimmów: Bajki domowe i dziecinne). Pr. 1896, nr. 48, str. 571—572 (W związku z tem: Klechda, W. Enc. Ilustr., t. 36, str. 654—655).

Społeczeństwo a literatura (Rozwój twórczości literackiej w różnych ustrojach społecznych). Pr. 1886, nr. 41—43, str. 486—487, 597—498. 510—511.

Ch. Letourneau: Évolution litteraire dans les diverses races humaines (ocena). Ateneum 1894, t. III, str. 407—408.

Ewolucja literatury (Z powodu pracy K. Letourneau o rozwoju twórczości literackiej). Pr. 1894, nr. 24, str. 280—281.

Psychologja literatury. Pr. 1894, nr. 6, str. 65—66.

7. *Rozwój moralności.*

Rozwój moralności. Wyd. I Por. dla samouków, część V (Świat i Człowiek), zesz. II. (1905), str. 837—886; Wyd. II, Świat i Człowiek, t. IV (Warszawa 1913), str. 67—125.

Zbrodnictwo a kara. Pr. 1887, nr. 26, str. 305—306.

K. Letourneau: L'évolution de la morale (ocena). Głos 1887, nr. 35, str. 550—551.

Próby zaszczepienia buddyzmu w Europie (Zasady filozofji i moralności buddyjskiej). Głos 1888, nr. 30, str. 353—354.

Ewolucja sprawiedliwości. Pr. 1891, nr. 5, str. 50—52.

Ewolucja sprawiedliwości. Ateneum 1902, t. III, str. 130—137.

Nowa praca H. Spencera (Rozwój sprawiedliwości). Pr. 1892, nr. 1, str. 6—7.

Uwieńczenie systemu filozofji syntetycznej. Pr. 1895, nr. 34, str. 398—400.

„Ethical movement". Pr. 1891, nr. 30, str. 351—353.

Ruch etyczny niemiecki. Pr. 1892, nr. 29, str. 341—343.

Dwa prądy etyczne, Tyg. Ill. 1907, nr. 35—36, str. 688—698.

8. Varia.

Smithsonian Institution. Wisła, III (1889), str. 94.

Seventh Annual Report of the Bureau of Ethnology 1885/6. Wisła, t. IX (1895), str. 156—160.

Eight Annual Report of the Bureau of Ethnology 1886/7. Wisła, t. IX (1895), str. 816—820.

D. A. Koropczewskij: Razskazy pro dikago czełowjeka (Sprawozdanie). Wisła. t. III (1889), str. 696.

L'Antropologie 1890 (Sprawozdanie). Wisła, t. IV. (1890), str. 944—946.

Prace socjologiczne Karola Letourneau. Wisła, t. IV. (1890), str. 488—489.

E. Majewski: Drobne prace i notatki z dziedziny archeologji przedhistorycznej i etnografji. Pr. 1898, nr. 2, str. 18—19.

Przyczynek do naszej metodyki naukowej. (E. Majewski: Rodzina kruków w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego). Pr. 1900, nr. 40, str. 478—479.

Sieroszewski W.: Dwanaście lat w kraju Jakutów (ocena). Książka 1901, nr. 1, str. 8—9.

Kołłątaj Hugo (jego Wstęp krytyczny do historji), W. Enc. Ilustr., t. 37, str. 221—222.

Przegląd prac z zakresu folkloru, etnografji[1] i etnologji, omówionych w Książce 1901—1903. Książka 1903, str. 503—504.

L. G. Gomme: Folklor. Por. dla czyt. 1901, nr. 19, str. 13—14.

J. Stolcman: Peru; M. Siedlecki: Jawa, przyroda i sztuka (ocena). Nowe Tory 1913, nr. 1—2, str. 80—83.

A. B. Dobrowolski: Wyprawy polarne, historja i zdobycze naukowe (ocena). Nowe Tory 1914, nr. 1 i 2, str. 92—93.

Zjazdy naukowe w Paryżu (folklorzystów, antropologów i t. d.). Pr. 1889, nr. 32, str. 378—379.

E. B. Tylor. Pr. 1889, nr. 39, str. 462—463.

Jan Kubary (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1897, nr. 11, str. 129.

Fryderyk Ratzel (1844—1904). Ogniwo 1904, nr. 37, str. 867.

Karol Vogt (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1895, nr. 20, str. 236.

VI. Prahistorja i folklor.

1. Polska.

Ludoznawstwo polskie i w jego oświetleniu Polska przedhistoryczna. Notatki litografowane z wykładów prof. L. Krzywickiego w T-wie Kursów Naukowych w r. 1916—1917, str. 54.

Kurpie. Bibl. Warsz. 1892, t. III, str. 527—558; t. IV, str. 61—97 i 350—385 (w związku z tą pracą: Ballada kurpiowska o zamordowaniu żony przez męża. Wędrowiec 1881, t. II, str. 218).

Przyczynki do prahistorji Polski. Pr. 1899. (I. Pomorze, nr.

31, str. 368—369; II. Połabszczyzna, nr. 33, str. 391—393; III. Charakter pogranicza, nr. 36, str. 427—428; IV. Nazwy plemienne, nr. 37, str. 437—438), oraz 1900 (Bogowie i kapłani pogańscy), nr. 46, str. 553—554.

Rzut oka na historję Polską. Pr. 1900, nr. 21—24, str. 249—250; 263—264; 288—289.

Na zaraniu dziejowem, Tyg. Polski 1901. (1. Legenda o Wandzie, nr. 1, str. 3; 2. Chrobacja, nr. 2, str. 11; 3. Legenda o smoku, nr. 3, str. 19; 4. Kraków pierwotny i jego dzieje, nr. 4 (17), str. 27; 5. Dynaści tynieccy i wiślicey, nr. 5 (18), str. 37; 6. Lechici i Lęchowie, nr. 6 (19), str. 43—44; 7. Plemiona polskie, nr. 7 (20), str. 51—52: 8. Plemię i żupa, nr. 8 (21), str. 58—59; 9. Nadwodne osady, nr. 9 (22), str. 66—67; 10. Śląsk, nr. 10 (23), str. 74; 11. Pierwotne plemiona i późniejsze księstwa na Śląsku, nr. 11 (24), str. 83—84; 12. Wielkopolska, nr. 12 (25), str. 90—91; 13. Kujawy a Wielkopolska, nr. 13 (26), str. 101—102; 14. Legenda o Lestku pierwszym, nr. 14 (27), str. 105—106; 15. Lestko II i wyścigi, nr. 16 (29), str. 121—122; 16. Myszy Króla Popiela, nr. 18 (31), str. 141—142; 17. Piast, nr. 19 (32), str. 149—150; 18. Legenda o Piaście, nr. 21 (34), str. 161—162; 19. Hypoteza T. Wojciechowskiego o Piaście i piaście, nr. 22 (35), str. 169; 20. Imiona rzeczywiste Piastów, nr. 23 (36), str. 177—178; 21. Pierwotne zaludnienie Polski, nr. 24 (37), str. 185—186; 22. Dane liczbowe u kronikarzy, nr. 25 (38), str. 193—194; 23. Pomorze, nr. 26 (39), str. 201—202; 24. Mazowsze, nr. 27 (40), str. 209—210).

Dorywcze poszukiwania ludoznawcze. Por. dla czyt. 1901, nr. 18, str. 7—9.

Ciszewski St.: Lud rolniczo-górniczy z okolic Sławkowa w powiecie Olkuskim (ocena). Głos 1888, nr. 26, str. 305—306.

Oskar Kolberg. Pr. 1889, nr. 23, str. 273; Pr. 1890, nr. 24, str. 279—280.

Jan Karłowicz 1836—1903 (Wspomnienie pozgonne). Ogniwo 1903, nr. 26, str. 618.

Po ośmiu latach (Z powodu 9-go roku istnienia „Wisły"). Gaz. Pol. 1895, nr. 111.

Ważniejsze przyczynki w W. Enc. Illustrowanej: Krakus i Krakusów dynastja (t. 40, str. 653—654); Lech i Lechici (t. 43, str. 74—76); Lestek (ib., str. 287); Kociewiacy (t. 36, str. 902—905); Koziary (t. 39, str. 454—455); Krajna (ib., str. 517—518); Krakowiacy (ib., str. 620—625); Kujawa i Kujawiacy (t. 41, str. 434—435) Księżacy (ib., str. 365); Lemki (t. 43, str. 190).

2. Litwa.

Żmudź starożytna. Dawni Żmudzini i ich warownie. Warszawa 1906, str. 89, nakł. Księgarni Naukowej

Skrócony przekład rosyjski:

Жмудскіе пилькалнисы. Извѣстія Императорской Археологической Комиссіи, zeszyt 29, str. 82—129.

Skrócony przekład litewski:

Žemaičių pilis. 1905 *).

Послѣдніе моменты неолитической эпохи в Литвѣ Odbitka z Сборника в честь 70-лѣтія Д. Н. Анучина, str. 18. Moskwa 1913.

Grodziska na Żmudzi. Rocznik Polskiego T-stwa Krajoznawczego, I (1907), str. 44—52.

Pilkalnie litewskie. Prz. polski przemysłu 1902, nr. 1 (kwiecień), str. 38—39.

W poszukiwaniu grodu Mendoga. Prz. Hist., t. VIII (1909), nr. 1, str. 20—48.

*) Z powodu niepodobieństwa dotarcia do Litwy, nie udało się zebrać bliższych szczegółów o czasopiśmie, w którem ten przekład umieszczono.

Pilkalnia pod wsią Petraszunami. Wilno 1914, str. 27 (odbitka z Rocznika T-stwa Przyjaciół nauk w Wilnie, t. V (1911—1914), str. 1—27).

Grodzisko Derbuckie na Żmudzi. Pam. Fizjogr., t. XXI, str. 15—29 (oraz odbitka tej samej numeracji).

Grodziska Górno-Litewskie. 1. Grodzisko w Duksztach. 2. Grodzisko w Warańcach. Pam. Fizjogr., t. XXII, str. 13—32. Warszawa 1914 (oraz odbitka tej samej numeracji).

Grodzisko na Górze Ościkowej pod Rakiszkami. Pam. Fizjogr. t. XXIV, str. 1—42. Warszawa 1917 (oraz odbitka tej samej numeracji).

Ligawki żmudzkie (z rysunkiem). Ziemia 1910, str. 551—552.

3. Prahistorja ogólna.

Z dziejów ludzkości: Ateneum 1888, t. IV, str. 336 –356 (Śmietniska kuchenne); 1884, t. IV, str. 335—353, 489—501 (Nasypy amerykańskie). (W związku z tem: Kjökkenmöddinger, W. Enc. Ill., t. 36, str. 569—571).

Przedhistoryczne dzieje Ameryki. Prz. Tyg. 1886, nr. 4—6, str. 52—53, 69—70, 86—88.

Odkrycia w Kolorado i Nowym Meksyku. Pr. 1887, nr. 7, str. 76—77.

Francja przedhistoryczna. Ateneum 1890, t. III, str. 140—151 i 326—339 (oraz E. Cartailhac: La France préhistorique, Wisła, t. IV (1890), str. 483—484).

Qui pro quo warszawskie (W sprawie pracy w Ateneum: Metodyka badań starożytnych). Pr. 1900, nr. 38, str. 454.

Radliński Ignacy: Przeszłość w teraźniejszości (ocena). Książka 1901, nr. 4, str. 136—137.

Z powodu czasopisma Światowid. Por. dla czyt. 1901, nr. 17.

Szukiewicz: Szkice z archeologji przedhistorycznej (ocena). Por. dla czyt. 1901, nr. 21.

VII. Statystyka.

Roczniki statystyki przemysłu i handlu krajowego (ocena). Prz. Tyg. 1886, nr. 32, str. 357—358.

Szkolnictwo elementarne w gub. płockiej za rok szkolny 1886/1887. Płocczanin na r. 1888, str. 109—122.

Czyńskiego E.: Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej. Warszawa (1887). Ocena: Pr. 1887, nr. 52, str. 618—619.

Działalność Komitetu Statystycznego w Królestwie Polskiem. Pr. 1889, nr. 28, str. 330—331.

Nowa praca Komitetu Statystycznego. Pr. 1892, nr. 12, str. 141—142.

Poszukiwania statystyczne. Pr. 1892, nr. 17, str. 206—208.

Królestwo Polskie. Wielka Encyklopedja ilustrowana. (Dane statystyczne o ludności w w. XIX, t. 40, str. 941—953; Statystyka rolnicza w w., XIX, ib. 958—968; Rozwój rolnictwa ib. 968—975; Instytucje społeczne do r. 1831, t. 41, str. 27—31.

Organizacja statystyki i wydawnictwa statystyczne, poświęcone sprawom gospodarstwa wiejskiego, str. 577—582 (W pracy zbiorowej: Stosunki rolnicze Król. Kongresowego, Warszawa 1918).

Organizacja statystyki miejskiej (Referat odczytany w Warszawie w czasie sesji komisji organizacyjnej Związku miast Królestwa Polskiego, dnia 3 kwietnia 1918 r.). Warszawa 1918, str. 7. Wydaw. Związku Miast Król. Polskiego.

Projekt organizacji statystyki cen. Mies. Statyst., Rok 1920, t. I, zesz. 1—3, str. 140—150.

Spis jednodniowy i jego doniosłość (Odczyt wygłoszony dn. 17 Września 1921 r. w sali Magistratu m. Warszawy). Warszawa 1921, str. 8.

Serwituty w r. 1912. Przyczynki do statystyki Królestwa Pol-

skiego, wydawane przez Główny Urząd Statystyczny Państwa Polskiego, t. II, Warszawa 1918, str. XXXII+144.

Statystyka wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Warszawa 1921, str. XXIX + 1 nl. + 103 (Odbitka z Miesięcznika Statystycznego 1920, ta sama numeracja).

Spis ludności i zwierząt gospodarskich w dn. 30 września 1921. Rozbiór krytyczny wyników spisu. Warszawa 1923, str. 168, 4 mapy. (Odbitka z Miesięcznika statystycznego, t. V, 1922, zeszyt VI).

Wartość wyników spisu jednodniowego (Streszczenie odczytu w T-wie Ekonomistów i Statystyków Polskich). Ekonomista 1923, I; str. 23—44.

Statystyka. Wykłady w Uniwersytecie, litografowane nakładem Tow. Bratniej Pomocy studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa 1922, str. 176. Te same wykłady: Kurs statystyki, wykładany w Wyższej Szkole Intendentury w r. 1921/1922, str. 137 in 4°.

VIII. Ekonomja polityczna.

1. Przyczynki charakteru ogólnego.

Wstęp do książki K. Kautskiego: Teorja wartości, Lwów (nakład skonfikowany, wyszedł bez wstępu w r. 1891).

Ekonomja polityczna. Por. dla samouków. Warszawa 1900, cz. III, str. 86—265.

Materjały do bibljografji ekonomicznej w języku polskim. Zeszyt I: Zagadnienia teoretyczne, historja doktryn ekonomicznych i podręczniki (pod redakcją I. Krzywickiego). Warszawa 1923, str. 77. (Odbitka z Ekonomisty 1923, I. Odrębna paginacja).

Wykłady litografowane: *)

a) Kurs ekonomji politycznej, ułożył i wydał F. Mierzejewski, Warszawa 1906, str. 325.

b) Ekonomja polityczna. Warszawa (bez daty), litogr. B. A. Bukaty, str. nl. + 213.

c) Ekonomja polityczna. Kursa wydawane przez W. Idzikowskiego, Warszawa 1913, str. 206.

d) Ekonomja polityczna. Wykłady na Kursach dla kandydatów na urzędników administracyjnych. T-wo Kursów Naukowych (W. W. P.). 1917—1918, str. 104.

e) Ekonomja polityczna. Wyższa Szkoła Intendentury przy Szkole Sztabu Generalnego. Warszawa 1921 — 1922, str. 104 (in 4°).

Dargun Lothar: Egoismus und Altruismus in der Nationalökonomie (ocena). Prz. Tyg. 1886, nr. 12, str. 184—186.

Henryk George (z powodu książki: Postęp i nędza). Ateneum 1886, t. I, str. 314—334.

Marks Karol: Pisma pomniejsze, Paryż 1886 (ocena), Pr. 1887, nr. 15—16. str. 173—174, 185—186; Przyczynki do krytyki ekonomji politycznej, Pr. 1890, nr. 50, str. 592—593.

Adler Georg: Die Grundlagen der Karl Marx'schen Kritik der bestehenden Volkswirtshaft (ocena). Pr. 1887, nr. 29, str. 340—341.

Szkice ekonomiczne: (Trwonienie pracy), Głos 1888, nr. 34, str. 399—401; (Dialektyka chałupnictwa), Głos 1889, nr. 1, str. 5—6; (Prawo Rikarda w zastosowaniu do pracy kobiet), Głos 1889, nr. 2, str. 14—16.

Apostoł uspołecznienia (Guyau). Pr. 1889, nr. 41, str. 487—488.

Zasady ekonomiki (W. Załęskiego). Pr. 1889, nr. 42 i 43, str. 498—499, 512—513.

Nowe prace ekonomiczne (J. Mittelstaedt: Rozmyślania nad nowym systemem ekonomji politycznej). Pr. 1890, nr. 17, str. 197—198.

*) Są to jedyne wydania, które udało się odszukać.

Stan obecny ekonomji politycznej w Anglji. Pr. 1890, nr. 49, str. 579—581.

Iwaniukow J.: Ekonomja polityczna jako nauka o procesie rozwoju spraw społecznych (ocena). Pr. 1891, nr. 6, str. 65—66.

Ostatnie słowo manczesteryzmu. Pr. 1891, nr. 27, 28 i 29, str. 317—319, 328—330, 341—343.

Espinas A.: Histoire des doctrines économiques (ocena). Ateneum 1892, t. III, str. 176—177.

Nowa historja ekonomji politycznej. Pr. 1892, nr. 7, str. 77—78.

Szkoły ekonomji niemiecko-austrjackie. Pr. 1892, nr. 23, str. 266 — 268.

L. Brentano i jego szkoła. Pr. 1892, nr. 37, str. 434—436.

Matematyka w ekonomice (Teofil Rozmarynowicz: Zasady gospodarstwa społecznego. Na tle pojęć z dziedziny statystyki matematycznej). Pr. 1895, nr. 17, str. 198; nr. 22, str. 263 (polemika); nr. 23, str. 267—269.

Szkice ekonomiczne. Pr. 1896 nr. 19, str. 224—226 (Cena a wartość); nr 23, str. 273—274 (Potęgi wartościotwórcze); nr. 26, 308—310 (Realizacja nadwartości i prawo równych zysków); nr. 32; str. 380—381 (Podział nadwartości pomiędzy różne odłamy kapitalistów).

Fizjokraci w Polsce (J. Marchlewski: Der Physiokratismus in Polen). Pr. 1897, nr. 13, str. 151—152.

Ekonomja i przemysłowcy (Z powodu pracy Z. Herynga: Teorja i praktyka ekonomji). Pr. 1897, nr. 27. str. 318—319.

Nieco z etyki i ekonomji. Pr. 1898, nr. 41, 42 i 43, str. 489—491, 501—502, 513—515.

Stecki J.: Zasady ogólne ekonomji społecznej. Pr. 1899, nr. 3, str. 30—31; nr. 6, str. 71 (O prawdę — odpowiedź p. Steckiemu).

Bibljoteka dzieł społeczno-ekonomicznych (ocena). Nowe Tory 1913, zeszyt VIII i IX, str. 476—478.

Karol Marks (Z życia prywatnego). Pr. 1890, nr. 48, str. 568—569; 1891, nr. 2, str. 19—20.

Emil Laveleye (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1892, nr. 3, str. 32.

Wilhelm Roscher (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1894, nr. 24, str. 284.

Leon Say (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1896, nr. 18, str. 214.

J. Simon (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1896, nr. 26, str. 304—305.

Henryk George (Wspomnienie pozgonne). Pr. 1897, nr. 45, str. 537.

Nad świeżą mogiłą (Stanisław Szczepanowski). Pr. 1900, nr. 45, str. 534—536.

Albert Schäffle. Ogniwo 1904, nr. 2, str. 25.

Marks-Engels (W rocznicę). Myśl Socjalistyczna 1908, nr. 2(7), str. 86—92.

Karol Marks (w setną rocznicę urodzin). Kalendarz Robotniczy P P.S. Warszawa 1918, str. 15—18.

St. Krusiński, W. Enc. Illustrowana, t. 41, str. 185—186.

2. *Teorja Malthusa i sprawa przeludnienia.*

Neomalthuzjanizm. Prz. Tyg. 1884, nr. 2, str. 18—19.

Wyludnianie się Francji. Pr. 1890, nr. 47, str. 554—556; 1896, nr. 6, str. 65—66; nr. 47, str. 559—560.

Kwestja ludności we Francji. Gaz. Pol. 1892, nr. 14.

Prawo wzrostu ludności. Pr. 1893, nr. 48, str. 566—568.

Ubytek ludności w Europie. Gaz. Pol. 1894, str. 153.

Stosunki we Francji. Pr. 1894, nr. 37, str. 433.

Tablice płodności. Pr. 1895, nr. 15. str. 172—174.

Przyrost zaludnienia w Europie. Pr. 1897, nr. 46 str. 545—546.

Prawo zaludnienia. Enc. Handl. 1890, str. 247—252.

Uw. Por. Kwestję rolną, roz. III i IV, oraz Plemię pierwotne i jego terytorjum.

3. Waluta, drożyzna, kredyt, sprawy skarbowe.

a) Waluta i drożyzna.

Pieniądze papierowe. Pr. 1888, nr. 27, str. 315—317.

Obecny kurs rubla. Pr. 1888, nr. 43, str. 508—509.

Reforma waluty w Austrji-Węgrzech. Gaz. Pol. 1892, nr. 102.

Reforma waluty a partje polityczne. Gaz. Pol. 1892, nr. 133.

Reforma waluty. Pr. 1892, nr. 21, str. 237—238; nr. 23, str. 576 (sprostowanie do art. Reforma waluty).

Ze stosunków rolnych. Pr. 1892, nr. 34, str. 405 (waluta i ziemianie).

Konferencja monetarna w Brukselli. Pr. 1892, nr. 52, str. 620—622.

Na naszej giełdzie. Pr. 1894, nr. 26, str. 309—310.

Ziemianie i waluta. Gaz. Rol. 1895, nr. 10, str. 121—122.

Bimetalizm i rolnictwo (Prace sekcji rolnej w r. 1895, Warszawa 1895, str. 45—50).

Obroty w złocie. Pr. 1895, nr. 19, str. 224—225.

Goschen G. J.: Teorja kursów weksli zagranicznych. Pr. 1895, nr. 20, str. 230—232.

Sprawa waluty. Ateneum 1895, t. III, str. 185—191.

System kompensacyjny, (Clearing-houses). Pr. 1895, nr. 21, str. 250—251.

Z powodu drożyzny. Światło 1912, nr. 1, str. 15—18.

Nasi Prusacy. Nowa Gaz. 1914, nr. 448 (drożyzna).

Kartki z dziejów spekuacji, Warszawa 1918, str. 24. (Odbitka z czasopisma Społem 1917, nr. 10—15; 1918, nr. 1).

Drożyzna, sekwestr i waluta, Warszawa 1921, str. 20. (Odbitka z miesięcznika Rzeczpospolita Spółdzielcza, Wydawn. Wydziału Propag. Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywczych 1921, nr. 1—3, str. 4—11, 49—53, 97—105).

b) Kredyt.

Kredyt ziemski w Królestwie Polskiem (Kirszrot - Prawnicki: Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem i kredyt rolny, Warszawa 1887). Pr. 1887, nr. 12, str. 137—139.

Nowa pożyczka państwowa. Pr. 1888, nr. 49, str. 583.

Wierzyciele państwowi. Gaz. Pol. 1892, nr. 37.

Zagraniczni doradcy Hiszpanji (Sytuacja finansowa). Gaz. Pol. 1892, nr. 64.

Kuratela finansowa (nad państwami Ameryki Południowej. Gaz. Pol. 1892, nr. 85.

Położenie wewnętrzne Włoch (Sytuacja finansowa). Gaz. Pol. 1892, nr. 76.

Pożyczka rumuńska. Gaz. Pol. 1892, nr. 119.

Walka o lokację kapitałów. Gaz. Pol. 1892, nr. 129.

Konwersja francuska. Pr. 1894, nr. 5, str. 58—59.

Przełom ekonomiczny (Konwersja francuska). Pr. 1894, nr. 19, str. 217—218.

Olbrzymy kredytu. Pr. 1898, nr. 30, str. 358—359.

Kronika społeczna (Czynności bankowe poczty). Gaz. Pol. 1899, nr. 186.

Z obcego świata (Organizacja finansów). Ekonomista 1900, nr. 39, str. 319—320.

Na posterunku (Zjazd zrzeszeń kredytowych), Ogniwo 1904, nr. 3, str. 59—61.

c) Podatki.

Sprawa podatkowa w Przedlitawji. Gaz. Pol. 1892, nr. 103.

Reforma podatkowa pruska. Gaz. Pol. 1892, nr. 255.

d) Kryzysy handlowe.

Swojski optymizm (z powodu książki hr. Rogera Łubieńskiego: Przesilenie). Prz. Tyg. 1885, nr. 49, str. 631—632.

Przesilenia handlowe obecnego wieku. Pr. 1892, nr. 22, str. 261—263.

Teorja przesileń handlowych Wellsa. Pr. 1888, nr. 47, str. 546—548.

W przededniu krachów. Pr. 1892, nr. 9, str. 104—106.

Dialektyka rozwoju ekonomicznego (z powodu przesilenia cukrowniczego). Pr. 1897, nr. 18, str. 214—215.

Panika (giełdowa). Gaz. Pol. 1895, nr. 261.

4) Produkcja przetwórcza i jej organizacja.

a) Organizacja wielkiego przemysłu.

Szkice ekonomiczne (Dążności wielkiego przemysłu). Głos 1888, nr. 33, str. 389—390.

Przełom ekonomiczny w Rosji (Przesunięcie ognisk produkcji ku miejscu dobywania surowców). Pr. 1888, n. 49, str. 582—583.

Feodalizm przemysłowy. Pr. 1890, nr. 9, str. 99—101.

Z zakresu techniki (sprawa rzemiosł). Tvg Powsz. 1891, nr. 1.

W mieście (F. Janicki). (Sprawa rzemiosł), Tyg. Powsz. 1891, nr. 2, str. 13—14.

Nowoczesny monopol. Tyg. Powsz. 1891, nr. 7, str. 49.

Rozwój spółek akcyjnych. Pr. 1891, nr. 23, str. 269—270.

Monopol przemysłowy w Ameryce. Pr. 1890, nr. 35, str. 414—415.

W świecie utopij (O unarodowienie produkcji w Niemczech). Pr. 1891, nr. 31, str. 365—367.

Walka z monopolem nowoczesnym w Ameryce. Pr. 1891, nr. 52, str. 616—618.

Skup sił przyrody. Pr. 1892, nr. 24, str. 278—280.

Produkcja narodowa i postępy techniki (Rozwój centralizacji). Pr. 1892, nr. 41, str. 489—491.

Kartele. Pr. 1893, nr. 29, str. 345—346; 1906, nr. 21, str. 250—251.

Z okazji wystawy: Przemysł amerykański. Ateneum 1894, t. I, str. 175—189.

W obronie własnej (przeciw zyskom cukrowników). Pr. 1894, nr. 17, str. 199—200.

Teoretycy amerykańscy wobec trustów. Pr. 1894, nr. 36, str. 430—431.

Warstwy średnie industrjalizmu nowoczesnego. Pr. 1897, nr. 37, str. 440—441.

Rozwój kapitalizmu (z powodu książki Hobsona). Pr. 1898, nr. 19, str. 225—226.

Kronika ekonomiczna (Rozwój centralizacji w przemyśle). Pr. 1899, nr. 46. str. 550—551.

Na widnokręgu (Tandeta i etyka przemysłu łódzkiego). Gaz. Pol. 1899, nr. 211.

Monopole i spożywcy. Ekonomista 1900, nr. 27, str. 218—219.

Morganizacja przemysłu. Ogniwo 1905, nr. 17, 18 i 19, str. 377—378, 402—404, 427—428.

b) Rzemiosło.

Projektowana ustawa rzemieślnicza. Pr. 1887, nr. 13, str. 146—147.

Z za kulis (Z powodu książki Rudnickiego: Pogadanki o rozwoju klasy robotniczej w Królestwie Polskiem. Warszawa 1887). Pr. 1887, nr. 17, str. 195—196.

Nasze rzemiosło cechowe, Pr. 1892, nr. 7, str. 82—83.

Nasze rzemiosło. Pr. 1892, nr. 24, str. 284—285.

Z Berlina (Sprawa rzemiosł i kramikarstwa w parlamencie). Gaz. Pol. 1893, nr. 32.

Obecne rzemiosło. Gaz. prz.-rzem. 1894, nr. 17, 18, 20, 24, 25, str. 135—136, 143—144, 160—161, 193—194, 199—200.

Wielkie magazyny i rzemiosło. Gaz. prz.-rzem. 1894, nr. 46—51, str. 368—369, 379—380, 388—390, 396 — 398, 404—405.

Listy z Niemiec (Organizacja rzemiosł). Gaz. Pol. 1896, nr. 181.

Fabryka i rzemiosło. Pr. 1896, nr. 1, str. 10—11; 1897, nr. 22, str. 262—263.

Na widnokręgu (Chałupnictwo). Gaz. Pol. 1899, nr. 165.

Teorja a praktyka. Ekonomista 1900, nr. 28, str. 226—227 (drobny przemysł wiejski).

5. Rolnictwo i kwestja rolna.

a) Prace charakteru ogólnego.

Kwestja rolna. Przełom w produkcji środków spożywczych w drugiej połowie wieku XIX. Warszawa 1903, str. VI+407, wyd. z zapom. kasy im. Mianowskiego.

Uwaga. Pojedyńcze rozdziały były drukowane w Gazecie Rolniczej: ob. Ewolucja w zakresie rolnictwa 1895. Miasto i Wieś 1895. Centralizacja handlu i jej skutki 1896. Postęp w technice rolnictwa 1896. Skutki centralizacji 1896. Organizm międzynarodowy w rolnictwie 1897. Konkurencja zamorska 1897. Organizacja mechanizmu pośredniczącego 1898. Kryzys rolny 1899.

Polemika z powodu Kwestji rolnej: 1. Moje sprzeczności. Ogniwo 1903, nr. 25—27, str. 586—587, 609—610, 633—634. 2. Moim „krytykom". Ogniwo 1903, nr. 28, str. 658—659. 3. W sprawie książki: Kwestja rolna. Gaz. Roln. 1903, nr. 29, str. 518—520. 4. Kwestja rolna (w obronie własnej). Naprzód, rocznik XII.

Przekłady rosyjskie:

1) W czasopiśmie Міръ Божій: Капитализація земледѣльческой промышленности, 1898. 1. Городъ и деревня, nr. II (luty), str. 52 — 67; 2. Централизирующее вліяніе рынковъ, nr. III (marzec), str. 1—18; 3. Послѣдствія централизаціи, nr. V (maj), str. 159—178; 4. Переворотъ въ орудіяхъ труда, nr. VI (czerwiec), str. 101—117; 5. Международный организмъ въ земледѣліи, nr. VIII (sierpień), str. 148—161; 6. Заморская конкурренція, nr. IX (wrzesień), str. 153—172, 7. Международная организація посредничества, nr. XI (listopad), str. 160—182.—Аграрный кризисъ, 1899, nr. VII (lipiec), str. 1—18; VIII (sierpień), str. 202—204; nr. XI (listopad), str. 1—19; nr. XII (grudzień), str. 88—102. — Земледѣльческая кооперація въ западной Европѣ, 1900, nr. I (styczeń), str. 174—193.

2) Аграрный вопросъ, переводъ Р. В. Кржывицкой, С. Петербургъ 1906. str. 250+1 nl. Книгоиздат. „Лучъ"

3) Nadto istnieją podobno dwa inne przekłady Kwestji rolnej.

b) Produkcja rolna.

Fabryki masła i serów. Tyg. Powsz. 1891, nr. 13, str. 98.

Przewrót w produkcji środków żywności. Pr. 1892, nr. 10, str. 117—118.

Ze stosunków rolnych. Pr. 1892, nr. 46, str. 549—550.

Przewrót w produkcji środków spożywczych. Bibl. Warsz. 1893, t. II, str. 324—358.

Z Berlina (Cukrownictwo i gorzelnictwo). Gaz. Pol. 1893, nr. 27.

Z Niemiec. (Skutki rozwoju cukrownictwa). Pr. 1893, nr. 8, str. 93—94.

Ministerjum rybackie (departament hodowli rybnej w Ameryce). Gaz. Pol. 1893, nr. 281.

Z okazji wystawy: Rolnictwo amerykańskie. Ateneum, 1894, t. II, str. 79—92.

Ewolucja w zakresie rolnictwa. Gaz. Roln. 1895, nr. 24—28, str. 305 — 307, 317 — 318, 329 — 331, 341—342, 353—354.

Miasto i wieś (Centralizacja w rolnictwie). Gaz. Roln. 1895, nr. 47 i 49, str. 381—582, 606—607.

Przekład rosyjski:

Городъ и деревня, Міръ Божій 1898, II (luty), str. 52—67.

Postęp techniki w rolnictwie. Gaz. Roln. 1896, nr. 34—37, str. 417—419, 429—431, 441—442, 453—455.

Przekład rosyjski:

Переворотъ въ орудіяхъ, Міръ Божій 1898, nr. VI, str. 101—117.

Koszty robót polnych w Ameryce. Gaz. Roln. 1895, nr. 38, str. 473—475.

Skutki centralizacji. Gaz. Roln. 1896, nr. 15, str. 181—182; nr. 16, str. 193—195; nr. 17, str. 206—207; nr. 19, str. 233—234; nr. 22, str. 269—271; nr. 23, str. 285—286.

Przekład rosyjski:

Послѣдствія централизаціи. Міръ Божій 1898, V (maj), str. 159—178.

Ze stosunków rolnych (Oddziaływanie na rolnictwo miast wielkich). Pr. 1896, nr. 20, str. 237—239.

Nowa era w rolnictwie (Parę uwag z powodu stosowania elektryczności). Ekonomista 1900, nr. 31, str. 250—251.

Przełom w mleczarstwie. Ekonomista 1900, nr. 34 i 35, str. 273 — 280, 287.

Z obcego świata. (Wydajność maszyn w rolnictwie amerykańskiem). Ekonomista 1900, nr. 36, str. 294—295.

Jednostki gospodarcze niższego i wyższego rzędu. Ekonomista 1901, nr. 37, str. 303—304.

Ogólny zarys rozwoju rolnictwa w w. XIX. Prz. pol. prz. 1902, nr. VIII (listopad), str. 25—30.

Zbiory w gub. Królestwa w 1893 r. Gaz. Pol. 1894, nr. 37, str. 3.

c) Konkurencja zamorska i jej skutki.

Konkurencja zamorska. Prz. Sp. 1886, I. str. 41—58.

Przesilenie w krajowem gospodarstwie rolnem. Pr. 1888, nr. 29, str. 338—340.

„Harmonja społeczna" (Wahania cen zboża). Pr. 1890, nr. 45, str. 531—532.

Ze stosunków rolnych (przesilenie i jego skutki). Pr. 1893, nr. 3, str. 31—33; 1895, nr. 26, str. 309—310; 1896 nr. 24, str. 285—286. 1897, nr. 1, str. 9—10, nr. 31, str. 369—370, nr. 36; str. 429—430; 1899, nr. 20, str. 237—238, nr. 22, str. 261—262.

Ze stosunków rolnych (konkurencja zamorska). Pr. 1894. nr. 35, str. 418—419; nr. 45, str. 538—539.

Konjunktury zbożowe. Gaz. Pol. 1895; nr. 113.

Konkurencja (zamorska). Enc. rol., t. V (1895), str. 294—328.

Organizm międzynarodowy w rolnictwie. Gaz. Roln. 1897, nr. 3, str. 25—27; nr. 5, str. 49—51. nr. 6, str. 61—62; nr. 13, str. 145—147.

Przekład rosyjski:

Международный организмъ въ земледѣліи, Міръ Божій 1898, nr. VIII, str. 148—161.

Konkurencja zamorska. Gaz. Roln. 1897, nr. 33—37, str. 397—398, 409—410, 423—424, 437—438.

Przekład rosyjski:

Заморская конкуренція, Міръ Божій 1898, nr. IX, str. 153—172.

Kryzys rolniczy. Gaz. Roln. 1899, nr. 21—25, str. 173—174, 185—186, 193—194, 201—202, 209—210.

Przekład rosyjski:

Аграрный кризисъ, Міръ Божій 1899, nr. VII (lipiec), str. 1 — 18; nr. VIII (sierpień), str. 202—215; nr. XI (listopad), str. 1—19; nr. XII (grudzień), str. 88—102.

d) Organizacje ziemiańskie.

Działalność delegacji rolno-przemysłowej. Pr. 1889, str. 231.

Zamki na lodzie (O sprawach ziemiańskich). Pr. 1892, nr. 15, str. 176—177.

Ze stosunków rolnych. Pr. 1892, nr. 35, str. 418.

Agrarczycy niemieccy. Gaz. Pol. 1892, nr. 202.

Z Berlina (Zjazd agrarjuszy). Gaz. Pol. 1893, nr. 44.

Konferencja ziemiańska w Berlinie. Gaz. Pol. 1894, nr. 111.

Konferencja berlińska (w sprawie upadku folwarków). Pr. 1894, nr. 23, str. 265—266.

Ziemianie niemieccy. Pr. 1894, nr. 38, str. 445—446.

Ruch agrarny w Niemczech. Gaz. Pol. 1895, nr. 46.

Projekt syndykatu. Gaz. Roln. 1896, nr. 24, str. 297—299.

Na widnokręgu (Syndykaty rolnicze). Gaz. Pol. 1899, nr. 188.

e) Sprawa włościańska.

Polityka gospodarcza (Wykłady na Kursach dla kandydatów na urzędników administracyjnych W. W. P.), wyd. 1917—1918 r., str. 63; wyd. 1918—1919, str. 62.

Dr. Henryk Jasieński: Dzicz na Podolu 1885 (Satyra polityczno-obyczajowa). Lwów 1886 (ocena). Prz. Tyg. 1886, nr. 37, str. 397—398.

Czynniki upadku włościańskiego. Głos 1887, nr. 38, 39, 41, str. 597—598, 613—614, 636—637.

A. Zakrzewski: Przemysł włościański (ocena). Pr. 1888, nr. 38, str. 450—451.

Szkice ekonomiczne (Upadek finansowy landlordyzmu). Głos 1888, nr. 51, str. 623—624.

„Single tax Agitation". Głos 1889, nr. 43—45, str. 539—540, 548—550, 561—563.

Jubileusz uwłaszczenia włościan. Pr. 1889, nr. 10, str. 110—111.

Sprawa parobków dworskich (Z powodu książki B. Zdziarskiego: O najwłaściwszych sposobach wynagradzania robotników wiejskich i oficjalistów). Pr. 1889, nr. 42, str. 497.

Filozof pod sądem mieszczaństwa (w sprawie nacjonalizacji ziemi). Pr. 1890, nr. 26, str. 304—305.

Home-steady w Niemczech. Pr. 1890, nr. 38, str. 447—449.

Projekt o ojcowiźnie w Niemczech. Gaz. Pol. 1892, nr. 30.

„Nationalist League Agitation". Pr. 1890, nr. 22, str. 254—256.

Walka o rentę ziemską w Anglji. Pr. 1892, nr. 38, str. 553—554.

Trudności finansowe home-rule'u. Gaz. Pol. 1893, nr. 31.

Uruchomienie własności ziemskiej (Z powodu książki p. W. Rudnicy-Daniszewskiego). Pr. 1895, nr. 22, str. 261—262, oraz Gaz. Pol. 1895, nr. 126.

Poszukiwania rządu angielskiego (Sprawa drobnej własności ziemskiej). Pr. 1895, nr. 35, str. 417—418.)

Stan włościański w Europie. Gaz. Roln. 1895, nr. 36, str. 449—451.

Na widnokręgu. Gaz. Pol. 1899, nr. 58 (Wynagrodzenie najemników wiejskich i obieżysasów); Nr. 80 (Niedojadanie i lenistwo).

Z obcego świata (La démocratie rurale). Ekonomista 1900, nr. 29, str. 235—237.

Agrarna kwestja. Enc. nauk społecznych 1902.

Kwestja włościańska. Prz. Polski przemysłu 1902, nr. 1 (kwiecień), str. 20 — 32; nr. II (maj), str. 19—27; nr. III (czerwiec), str. 22—31.

Prace E. Davida o stosunkach rolnych. Ogniwo 1903, nr. 30—32, str. 707—708, 730—732, 755—756.

Quelques remarques sur la question agraire. Viribus Unitis 1921, nr. 1, str. 23—26.

6. Organizacja pośrednictwa.

a) Organizacja handlu hurtowego i detalicznego.

Wielkie magazyny. P. 1891, nr. 32, str. 375—377.

W mieście (F. Janicki). (Walka konkurencyjna między sklepikarstwem). Tyg. Powsz. 1891, nr. 8, str. 61.

Wystawy jako rynki. Pr. 1892, nr. 10, str. 116.

O giełdę. Gaz. Pol. 1892, nr. 60.

Wielkomiejski handel mięsem. Pr. 1892, nr. 25, str. 297—298.

Z Berlina (Wywóz alkoholu z Niemiec). Gaz. Pol. 1893, nr. 9.

Wielkie targowiska (na bydło). Gaz. Pol. 1893, nr. 113.

Technika wielkich magazynów. Pr. 1893, nr. 10, str. 118—119.

Centralizacja w handlu detalicznym. Pr. 1894, nr. 39, str. 465—466.

Nowe olbrzymy (Wielkie magazyny). Pr. 1895, nr. 42, str. 501—502.

Dobra lekcja (Zyski pośredników). Pr. 1897, nr. 49, str. 585—586.

b) Organizacja handlu produktami rolnemi.

Z Berlina (Cła zbożowe). Gaz. Pol. 1891, nr. 153.

Wojenna rola zboża (sprawa zaopatrywania Anglji w zboże). Gaz. Pol. 1892, nr. 185.

Ze stosunków rolnych. Pr. 1892, nr. 32, str. 381—382 (upaństwowienie handlu zbożem.

Rozwój ekonomiczny a interesy polityczne (Dowóz zboża podczas wojny) Pr. 1893, nr. 39, str. 458—459.

Monopol zbożowy. Pr. 1894, nr. 15, str. 169—170.

Listy o Ameryce: Handel produktami spożywczemi. Gaz. Pol. 1894, nr. 19.

Protekcjonizm i zboże. Gaz. Pol. 1894, nr. 47.

Zboże a flota niemiecka. Gaz. Pol. 1894, nr. 48.

Monopol zbożowy. Gaz. Pol. 1894, nr. 83.

Ze stosunków handlowo-rolnych. Pr. 1894, nr. 21—22, str. 250—251, 262—263.

Handel inwentarzem żywym w Ameryce. Enc. Roln., t. III (1894), str. 766—774.

Handel zbożem. Enc. Roln., t. IV (1895), str. 99—113 i 123—132.

Wniosek hr. Kanitza. Gaz. Roln. 1895, nr. 9, str. 105—106.

Monopol zbożowy. Gaz. Pol. 1894, nr. 42.

Ze stosunków rolnych (Organizacja handlu zbożowego w Ameryce i w Europie). Pr. 1895, nr. 46, str. 550—551; 1896, nr. 10, str. 118—119.

Centralizacja handlu i jej skutki. Gaz. Roln. 1896, nr. 5, 6, 7, 8 i 9, str. 49—50, 61—62, 73—74, 85—86, 97—98.

Przekład rosyjski:

Централизирующее вліяніе рынковъ. Міръ Божій 1898, nr. III, str. 1—18.

Organizacja mechanizmu pośredniczącego. Gaz. Roln. 1898, nr. 37—42, str. 489—490, 501—502, 513—515, 525—526, 537—538, 549—550.

Przekład rosyjski:

Международная организація посредничества. Міръ Божій 1898, nr. XI, str. 160—182.

Giełdy i magazyny spółkowe. Gaz. Roln. 1901, nr. 12, str. 179—180.

c) Monopole.

Monopol solny. Pr. 1886, nr. 20, str. 233.

Wolny handel czy protekcjonizm? (Henryk George: Schutz und Freihandel 1887). Pr. 1887, nr. 35, str. 413—415.

Nowoczesny prąd monopolowy. Pr. 1890, nr. 1, str. 5—7.

Sprawa aptekarska (Municypalizacja). Tyg. Powsz. 1891, nr. 6, str. 43—44.

Monopole państwowe (apteki). Gaz. Pol. 1892, nr. 53.

Protekcjonizm bez protekcjonizmu, Gaz. Pol. 1891, nr. 275; Pr. 1892, nr. 2, str. 22—23.

Monopol wódczany. Gaz. Pol. 1895, nr. 11.

d) Umowy handlowe.

Cła zbożowe w Niemczech. Tyg. Powsz. 1891, nr. 3.

Związki celno-ekonomiczne. Gaz. Pol. 1891, nr. 282.

Umowy celno-handlowe w środkowej Europie. Ateneum 1892, t. I, str. 564—572.

Zabiegi Francji (Umowy handlowe). Gaz. Pol. 1892, nr. 7.

Polityczne łapówki (Umowa handlowa Niemiec ze Szwajcarją). Gaz. Pol. 1892, nr. 11.

W sejmie przedlitawskim (z powodu umowy handlowej z Niemcami). Gaz. Pol. 1892, nr. 18.

Cła agrarne. Gaz. Pol. 1892, nr. 92.

Epopeja hiszpańska (Traktaty celno-handlowe). Gaz. Pol. 1892, nr. 127.

Umowa handlowa szwajcarsko-francuska. Gaz. Pol. 1892, nr. 212.

Związek wymienny ogólnobrytański. Gaz. Pol. 1892, nr. 241.

Stosunki handlowe między Rosją a Niemcami. Pr. 1893, nr. 25, str. 290—291.

Cła amerykańskie. Pr. 1893, nr. 51, str. 601—602.

Niemieckie traktaty handlowe z Hiszpanją i Rumunią. Gaz. Pol. 1893, nr. 265.

Reforma polityki celnej w Stanach Zjednoczonych. Gaz. Pol. 1893, nr. 281.

Zaniepokojenie agrarne (o umowie celnej handlowej pomiędzy Niemcami, Austro-Węgrami i Włochami). Gaz. Pol. 1893, nr. 57.

Sprawa układu handlowego pomiędzy Rosją a Niemcami. Gaz. Pol. 1893, nr. 68.

Nowe języki interesu. Pr. 1894, nr. 9, str. 97.

Polityka celna we Francji. Gaz. Pol. 1894, nr. 76.

Umowa rosyjsko-austrjacka (celna). Gaz. Pol. 1894, nr. 124.

Przymierze anglo-saskie. Ekonomista 1900, nr. 32, str. 258—259.

7. *Środki komunikacji.*

Reforma kolejowa. Pr. 1889, nr. 4, str. 32.

Nowe pismo (Tygodnik kolejowy i ekonomiczny). Pr. 1892, nr. 2, str. 2.

Kolej Terespolska. Pr. 1892, nr. 12, str. 139.

Kolej i furmanka. Pr. 1892, nr. 12, str. 139—140.

Kronika społeczna (Słownik telegraficzny). Gaz. Pol. 1899, nr. 162.

8. *Sprawa mieszkaniowa (oraz sprawy miejskie i organizacja gospodarstwa domowego).*

Dwa wzorowe miasta: Miasto zdrowia i miasto moralności (dwie najnowsze utopje). Prz. Tyg. 1888, nr. 5, str. 68—69.

Pralnie mechaniczne. Tyg. Powsz. 1891, nr. 14, str. 106.

Rozwój miast. Pr. 1892, nr. 16, str. 196—197.

Kwestja mieszkań we Francji. Gaz. Pol. 1892, nr. 68.

Na widnokręgu (drożyzna mieszkań). Gaz. Pol. 1899, nr. 92.

Z obcego świata (ogrody - miasta). Ekonomista 1900, nr. 26, str. 212—213.

Kwestja mieszkań (reformy municypalne w Anglji i Niemczech) Ekonomista 1900, nr. 38, str. 311—313.

Kuchnie ruchome w Warszawie. Ekonomista 1900, nr. 31, str. 249—250.

Orgja geszeftu (wzrost komornego). Wiedza 1909, t. I, str. 558—560.

Zadania miasta ze stanowiska wymagań przyszłości (Księga Pamiątkowa I-go Zjazdu Przedstawicieli miast Król. Polskiego odbytego w Warsza-

wie, w dn. 19, 20 i 21 listopada 1917 r. Wydawnictwo Związku Miast Polskich, str. 91—100).

Samorząd miejski. Myśl Polska 1915, nr. 2, str. 161—164.

Książki polskie o samorządzie miejskim (1. Markowski B.: Finanse miast Król. Polskiego. 2. Strasburger E.: Gospodarka naszych wielkich miast; 3. Sprawy miejskie. Pamiętnik stowarzyszenia właścicieli nieruchomości m. Warszawy). Myśl Polska 1915, nr. 2, str. 317—319.

Radziszewski H.: Warszawa—Gospodarstwo miejskie. Warszawa 1915 (ocena). Myśl Polska 1915, nr. 3, str. 479.

Zadania miasta ze stanowiska wymagań przyszłości. Warszawa 1919, str. 12, wyd. Związku miast Królestwa Polskiego.

Uwaga: Por. serję artykułów: Wśród tegoczesnej fali społecznej, Pr. 1889, oraz Nowe prądy życia i zabawy, Gazeta Polska 1898 i 1899.

9. Zrzeszenia.

a) Zrzeszenie spożywcze, piekarniane itd.

Stowarzyszenia spożywcze. Ustęp z dziejów kooperacji. Warsz. 1903. str. VII+372, oraz 76 rys., nakładem członków Stowarzyszenia Spożywczego pracowników dr. żel. warszawsko-wiedeńskiej.

Pierwszy międzynarodowy zjazd stowarzyszeń spożywczych. Pr. 1890, nr. 3, str. 28—29.

Kooperacja w Anglji. Pr. 1891, nr. 39 i 40, str. 459—460; 471—473.

Związki spożywców. Pr. 1894, nr. 49, str. 585—586.

Losy kooperacji, Pr. 1895, nr. 1, str. 9—10.

Spożywcy u nas i zagranicą. Gaz. Pol. 1895, nr. 246.

Kronika społeczna (zrzeszenie spożywców angielskich). Pr. 1898, nr. 29, str. 346—347.

Nowe prądy życia i zabawy: Neighbourhood guilds. Gaz. Pol. 1898, nr. 104 i 114; Rzeczpospolita kooperacyjna—Kettering. Gaz. Pol. 1899, nr. 157.

Zrzeszenia spożywców wobec głodu węglowego. Pr. 1900, nr. 51, str. 607—609.

Nasze zrzeszenie spożywcze. Prz. Pol. prz. 1902, nr. VI (wrzesień), str. 1—7.

Zrzeszenie spożywcze. Prz. Pol. prz. 1902, nr. VII (październik), str. 1—6.

Kooperacja i artiel. Ogniwo 1904. nr. 21, str. 491.

O stowarzyszeniach spożywczych. Wiedza 1907, t. I, str. 932—936.

Municypalne piekarnie i rzeźnie. Tyg. Powsz. 1891, nr. 3, str. 18.

Piekarnie spożywcze. Gaz. Pol. 1895, nr. 225, oraz Pr. 1895, nr. 41, str. 490—491.

Ze stosunków rolnych (Municypalizacja wypieku chleba). Pr. 1898, nr. 9, str. 105—106.

Piekarnie kooperacyjne. Pr. 1899, nr. 45, str. 538—539.

Na widnokręgu (Stan piekarni prywatnych pod względem higjenicznym i piekarnie kooperacyjne). Gaz. Pol. 1899, nr. 264.

„Wspólsąsiedztwo" (Neighbourhood guilds). Pr. 1892, nr. 6, str. 67—68.

Moralność handlu. Społem 1917, nr. 1, str. 25—27.

Nieco o powodzeniu kooperatywy spożywczej. Społem 1917, nr. 4, str. 113—115.

Pustynie spółdzielcze. Społem 1918, nr. 4, str. 224—225.

b) Zrzeszenie rolnicze.

F. Flamm: Wspólki rolniczo-ekonomiczne na tle prawodawstwa porównawczego (ocena). Pr. 1890, nr. 17, str. 198.

Zrzeszenia rolnicze. Pr. 1891, nr. 18, str. 208—209.

Rozwój syndykatów i stowarzyszenia rolnicze. Gaz. Roln. 1902, nr. 5, str. 65—67.

Spółki rolne. Gaz. Pol. 1895, nr. 160.

Ze stosunków rolnych (Znaczenie towarzystw udziałowych i spółek akcyjnych w rolnictwie). Pr. 1895, nr. 33, str. 393—394.

Ze stosunków rolnych (Ruch syndykalny we Francji). Pr. 1897, nr. 52, str. 618—619.

Ze stosunków rolnych (Kooperatywy spożywcze i syndykaty rolnicze). Pr. 1899, nr. 43, str. 514—515.

Nowe prądy życia i zabawy (Usuwanie pośredników). Gaz. Pol. 1899, nr. 149.

Zrzeszenie włościańskie w Europie Zachodniej. Ekonomista 1900, nr. 30, str. 242—244.

Zrzeszenie w rolnictwie. Gaz. Roln. 1901, nr. 7, str. 90—102.

Nieurodzaje i wzajemna asekuracja. Tyg. Il. 1901, nr. 25, str. 489.

Wioski kooperacyjne w Australji. Ogniwo 1903, nr. 23, str. 539—540.

10. Wychodztwo.

Stałe i ogólne rugi żywiołu polskiego (w Poznańskiem). Kraj 1885, nr. 39, 40 i 41.

Wychodztwo za zarobkami. Głos 1887, nr. 14, str. 213—214.

Emigracja do Brazylji. Tyg. Powsz. 1891, nr 6, str. 41.

Jeszcze o furtce pruskiej. Tyg. Powsz. 1891, nr. 11 i 12, str. 81.

„Sachsengängerei". Pr. 1891, nr. 17, str. 196—198.

Ze stosunków rolnych. Pr. 1892, nr. 33, str. 393—394 (rural exodus).

„Obieżysastwo". Gaz. Pol. 1892, nr. 3.

Wędrówka ludów. Gaz. Pol. 1892, nr. 86, oraz 1894, nr. 158.

Próby powstrzymania emigracji. Gaz. Pol. 1892, nr. 87.

Kontrola nad sprawą emigracji. Gaz. Pol. 1892, nr. 88.

Z Berlina (Obieżysasi). Gaz. Pol. 1892, nr. 220.

Prawa przeciw wychodztwu. Gaz. Pol. 1892, nr. 270.

Wychodźcy żydowscy w Anglji. Pr. 1892, nr. 51, str. 602—603.

Bile Chandler'a i Mac-Kinley'a. Gaz. Pol. 1893, nr. 10.

Z Chicago (Polacy w Ameryce). Gaz. Pol. 1893, nr. 186.

Włosi we Francji. Gaz. Pol. 1894, nr. 147.

Wyludnienie wsi. Gaz. Roln. 1895, nr. 13, str. 165—166

„Wyjście ze wsi". Pr. 1899, nr. 17, str. 202—203.

Na widnokręgu (Obieżysastwo). Gaz. Pol. 1899, nr. 41, 52, 200 i 247.

Listy z obcego świata (Polacy w zachodnich dzielnicach państwa pruskiego). Gaz. Pol. 1899, nr. 135

Nasi wychodźcy. Ateneum 1901, t. I, str. 433—442.

Na widnokręgu (Wychodztwo i obieżysastwo). Ogniwo 1903, nr. 5 i 10, str. 119—120; 228—229.

11. Sprawa robotnicza.

a) Zarobki.

H. Fawcett: Praca i zarobki (ocena), Prz. Tyg. 1888, nr 17, str. 241—243.

Uwaga. Por. Szkice ekonomiczne: Głos 1888 i 1889, Prawda 1896.

b) Położenie robotników fabrycznych.

Za kulisami. Prz. Tyg. 1883, pracownicy w cukierniach, nr. 36, str. 449—450; kwiaciarki i szwaczki, nr. 44—46, 49 i 52, str. 567—568, 585—586, 600—601, 634—636, 681—682.

Maszyna robotnicza. Pr. 1888, nr. 43, str. 510—511.

Robotnik fabryczny (Z powodu książki W. W. Swiatłowskija: Fabrycznyj raboczij). Pr. 1890, nr. 2, str. 16—18.

Nieco prawdy (Apatja w sferach robotniczych). Nowe Życie 1910, nr. 18, str. 561—563.

c) Opieka państwa nad pracą.

Działalność inspekcji fabrycznej. Pr. 1888, nr. 48, str. 570—571.

O instytucjach fabrycznych (Odczyt E. Plebińskiego). Pr. 1889, nr. 14, str. 162.

Dekrety Wilhelma II (w przedmiocie międzynarodowego uregulowania spraw robotniczych). Pr. 1890, nr. 7, str. 73—75.

Konferencja berlińska (w sprawie robotniczej). Pr. 1890, nr. 15, str. 171—173.

Giełdy pracy. Tyg. Powsz. 1891, nr. 2, str. 9.

Ważny krok w rozwoju prawodawstwa fabrycznego. Pr. 1891, nr. 21, str. 243—245.

Reformy społeczne w Niemczech. Gaz. Pol. 1891, nr. 208.

Sekretarjat Pracy (we Francji). Gaz. Pol. 1892, nr. 9.

Nowa instytucja zachowawcza (Rady fabryczne w Niemczech). Pr. 1892, nr. 4, str. 46—47.

Patronaty. Prawda 1898, nr. 12, str. 142—143.

d) Ubezpieczenia (państwowe).

Dobroczynność państwowa w Anglji. Pr. 1886, nr. 24, str. 280—281.

Ostatnie dzieło „polityki społecznej". Pr. 1888, nr. 51, str. 614—616.

Referendum w sprawie emerytury. Tyg. Powsz. 1891, nr. 11—12, str. 82.

Emerytura państwowa. Pr. 1892, nr. 14, str. 165—167.

Sprawa emerytalna w Anglji. Gaz. Pol. 1892, nr. 82.

Listy z obcego świata (Walka z suchotami). Gaz. Pol. 1899, nr. 124.

Ubezpieczenia na życie (Kilka uwag luźnych). Pr. 1898, nr. 6, str. 66—67.

Dla pozbawionych zarobku (O ubezpieczeniach robotników na wypadek braku pracy). Ekonomista 1900, nr. 24, str. 195—196.

W sprawie kasy emerytalnej dla osób pracujących na polu wychowawczem, str. 8. (Odbitka z Nowych Torów 1914, nr. 1 i 2, str. 70—78).

Uwaga. Por. Polityka gospodarcza (wykłady litografowane).

e) Prądy i doktryny społeczne.

Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym (pod redakcją prof. Ludwika Krzywickiego). Warszawa 1922, cz. I, str. 8 nl.+229+3 nl; cz. II, str. 8 nl. +271.

Bibljoteka dzieł treści społeczno-ekonomicznej (programjej i zadania), Walka Klas 1884, nr. 5, str. 1—3.

Jeszcze o program (przeciw B. Prusowi). Prz. Tyg. 1883, nr. 15, str. 177—179.

Polemika z powodu artykułu: Jeszcze o program. Prz. Tyg. 1883, 1) nr. 17, str. 213 (odpowiedź Prusowi); 2) nr. 25, str. 312 (odpowiedź A. Zakrzewskiemu).

Wielko-miejskie grupy robotnicze. Walka Klas 1884, nr. 8, str. 9—10.

Ruch chrześcijańsko-społeczny w Anglji. Walka Klas 1885, nr. 1, str. 3—9.

Obłąkańcy przewrotu (Anarchiści) Pr. 1887, nr. 36 i 37, str. 425—426; 437—438.

B. Limanowski: Historja ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII w. (ocena). Pr. 1888, nr. 23, str. 269—270.

Kwestja społeczna w Anglji. Głos 1888, nr. 34, 35 i 36, str. 535—536; 548—549; 567—569.

Nowożytna kwestja społeczna. Głos 1888, nr. 49, str. 590—592.

Złudzenia demokratyczne. Pr. 1889, nr. 6, 7, 8, 9, 11 i 12, str. 64 — 66; 74 — 77; 87 — 88; 100—102; 123—125; 134—136.

Rzecz o socjaliźmie (Z powodu

książki E. M. Trepki) 1) Pr. 1888, nr. 1 i 2, str. 2—4, 15—16; 2) Głos 1888, nr. 12, str. 138—139.

Mimowolny wniosek (E. M. Trepka: Rzecz o socjaliźmie, Warsz. 1888). Głos 1888, nr. 22 i 23, str. 258—259; 269—270.

Tymczasowy obrachunek (Polemika z ludowcami). Pr. 1890, nr. 11, 13 i 16, str. 129—131; 153—155; 190.

Karol Marks: 18 Brumaire Ludwika Napoleona (ocena). Pr. 1890, nr. 16, str. 183—185.

Rok 1890 (Rzut oka na sytuację społeczną). Tyg. Powsz. 1891, nr. 1.

W Nowym Świecie (kolonje komunistyczne). Tyg. Powsz. 1891, nr. 5, str. 35—36.

Przed i po 1 października Warsz. 1891, str. 72 (Odbitka z Prawdy nr. 39—43, str. 457—460; 469—471; 481—483; 495—496; 507—509).

Przekład rosyjski.

До и послѣ 1-го октября (Развитіе классовыхъ противорѣчій въ Германіи), переводъ съ польскаго подъ редакціей С. А. Бердяевой, Кіевъ 1906, стр. 63.

Marx przeciw demokracji społecznej. Pr. 1891, nr. 11, str. 125—126.

„Program londyński" (fabiańczyków). Gaz. Pol. 1892, nr. 72.

Przeciw anarchistom. Pr. 1894, nr. 50, str. 589—590.

Pierwszy Maj! Robotnik 1907, nr. 209 (z d. 26 marca).

Rewizjonizm. Wiedza 1910, t. I, str. 321—327.

Za kulisami wojny. Nowa Gaz. 1914, nr. 402 (Guesde i Vandervelde).

Nieco o teorji i praktyce socjalistycznej w chwili obecnej. Przedświt 1919, nr. 5—6, str. 4—10; nr. 9—10, str. 1—5; nr. 11—12, str. 24—28.

f) Związki zawodowe.

Znaczenie związków zawodowych (J. Wojewódzki). Warsz. 1907, str. 40, nakład Bibljoteki Ludowej.

„Industrial peace". Pr. 1890, nr. 52, str. 616—618.

Zjazd w Glasgowie. Gaz. Pol. 1892, nr. 216.

Związki zawodowe w Anglji. Ogniwo 1905, nr. 47—49, 50—51, str. 1015—1017; 1047—1048; 1071—1072.

Delegaci fabryczni a związki zawodowe. Nowe Życie 1910, nr. 26, str. 815—816.

g) Kwestja społeczna.

Nowa utopja. Głos 1886, nr 5, str. 62.

Nauka zachowawcza (ks. Hitze). Pr. 1886, nr. 15, str. 170—172.

Adam Chałupczyński: Gawędy ekonomiczno-społeczne. Włocławek 1887 (ocena). Prz. Tyg. 1887, nr. 6, str. 86—87.

Adolf Coste: Środki zaradcze przeciw nędzy czyli Higjena Socjalna (ocena). Prz. Tyg. 1887, nr. 12, str. 181—182.

Zachowawczo-państwowe prądy reformacyjne. Pr. 1889, nr. 14, str. 159—161.

Nowa utopja. Pr. 1889, nr. 25, str. 296—297.

Rousseau'izm. Pr. 1890, nr. 33, str. 388—389.

Nowe marzenia (Ruch społeczno-zachowawczy na Zachodzie). Pr. 1890, nr. 34, str. 400—402.

Inteligencja angielska (i jej działalność społeczna). Pr. 1891, nr. 4, str. 45—46.

Znowu sielanka (z powodu pracy Block'a: Les suites d'une grève). Pr. 1891, nr. 45, str. 535.

Nowa utopja. Pr. 1892, nr. 16, str. 183—185.

Nowocześni humaniści angielscy. Pr. 1892, nr. 19, str. 224—226.

Zjazdy zachowawczo-społeczne. Pr. 1892, nr. 42, str. 499—500.

Zenon Pietkiewicz: Szkice społeczne

(ocena). Pr. 1898, nr. 13, str. 151—153.

Wł. Domański: Wolność, równość i braterstwo (ocena). Pr. 1899, nr. 1, str. 6—7.

12. Nowe prądy życia i kultury.

Wśród tegoczesnej fali społecznej. Pr. 1889, nr. 47, str. 560—561 (Zamiast wstępu); nr. 48, str. 566—568 (Około fabryki); nr. 49, str. 579—580 (Instytucje patronalne); nr. 50, str. 593—594 (Przedsiębiorstwa udziałowe); nr. 51, str. 602—604 (Pobudki filantropji); nr. 52, str. 614—616 (Organizacyjno - społeczna działalność kapitału).

Dążności dzisiejsze w zakresie rozrywki i zabawy. Pr. 1890, nr. 51, str. 605—607.

Muzeum społeczne. Pr. 1894, nr. 52, str. 615—616.

Na widnokręgu (Estetyka społeczna i Ruskin). Gaz. Pol. 1899, nr. 86.

Nowe prądy życia i zabawy. Gaz. Pol. 1898: nr. 72 (Rozrywki dla ludu); nr. 80 (Postępy techniki kuchennej); nr. 86 (Postępy w gospodarstwie domowem); nr. 92 (Kobieta a skutki postępu techniki gospodarstwa domowego); nr. 104 i 114 (Neighbourhood Guilds); nr. 130 (Szkoły jako rozsadniki kooperacji, samorządu i pracy); nr. 152 (Fabryka jako twórczyni nowych wzorów życia).—Gaz. Pol. 1899, nr. 3 (Familisterja i osady fabryczne); nr. 21 (Zrzeszenie celem podniesienia wyglądu estetycznego miast); nr. 39 (Estetyka społeczna); nr. 149 (Usuwanie pośredników); nr. 157 (Rzeczpospolita kooperacyjna-Kettering).

IX. Bieżące sprawy społeczne.

1. Sprawa kobieca.

Sprawa kobieca. I. Rozwój osobniczy a macierzyństwo. II. Wyzwolenie kobiety, jako sprawa żywiołowa. III. Umysłowość kobiety. Pr. 1889, nr. 2—4, str. 14—16; 26—28; 39—41.

Wystawa pracy „dam". Pr. 1889, nr. 23, str. 266—267.

Pedagogika na wystawie pracy kobiet. Pr. 1889, nr. 26, str. 302—304.

Kto winien? (sprawa nieprawych dzieci). Pr. 1890, nr. 10, str. 111—112.

Uspołecznienie pieczy macierzyńskiej. Pr 1890, nr. 23 i 24, str. 267 – 268 i 278—279.

Jedna z reform (Sprawa prostytucji w Niemczech). Gaz. Pol. 1892, nr. 56.

Kwestja kobieca. Gaz. Pol. 1892, nr. 94.

Dziwne stosunki (Przytułki położnicze). Pr. 1892, nr. 20, str. 236.

W obronie kobiety. Pr. 1893, nr. 19, str. 224—225.

Śluby cywilne na Węgrzech. Gaz. Pol. 1893, nr. 280.

„Emancypantki". Pr. 1894, nr. 8—10, str. 90—91; 101—102; 114—115.

Rola kulturalna kobiety. Pr. 1895, nr. 17, str. 196—198.

„Komedjantki". Pr. 1896, nr. 50, str. 596—597; 1897, nr. 2 i 8, str. 20—21; 92—93.

Obłuda czy prawda? (polemika z powodu „Komedjantek"). Pr. 1897, nr. 12, str. 139—140.

2. Kwestja żydowska.

Kolonizacja żydów. Pr. 1892, nr. 4, str. 44.

Liberalni i antysemici. Gaz. Pol. 1892, nr. 229.

Żydzi nasi wobec syjonizmu. Pr. 1899, nr. 39, str. 463—464.

Na widnokręgu (Syjonizm). Gaz. Pol. 1899, nr. 75.

Ruch syjonistyczny. Tyg. Il. 1901, nr. 22, str. 419.

Na widnokręgu (Kwestja żydowska). Ogniwo 1903, nr. 12, str. 282—283.

W sprawie żydowskiej. Krytyka 1903, t. II, str. 369—373.

Są różni „kawalerzy" (polemika). Ogniwo 1903, nr. 48, str. 1148—1149.

W. Ż. T. O. K. (O warszawskiem żydowskiem towarzystwie ochrony kobiet). Ogniwo 1904, nr. 46, str. 1091—1092.

W sprawie „litwackiej". Wiedza 1909, t. II, str. 641—645.

„Myśl Niepodległa" na rozdrożu. Wiedza 1910, t. I, str. 97—101.

Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie karczmy babińskie (jeszcze z powodu „Myśli Niepodległej"). Wiedza 1910, t. I., str. 257—266.

Sprawa żydowska. Jednodniówka: Czaty (w grudniu 1912).

Kwestja żydowska. Nowa Gazeta 1912, nr. 584, 591, 597; 1913, nr. 7.

3. Nasze niedomagania

Daremne wysiłki. Głos 1886, nr. 13, str. 196.

Nasze społeczeństwo (R. Buczyński: Zarys stanu moralnego naszego społeczeństwa). Prz. Tyg. 1887, nr. 1—3, str. 2—4; 21—23; 34—35; nr. 9, str. 130—132; nr. 16, str. 234—236.

Nasze pożycie społeczne (R. Buczyński: Zarys stanu moralnego naszego społeczeństwa). Pr. 1887. nr. 44, str. 520—521.

Jeszcze w sprawie alkoholizmu. Tyg Powsz. 1891, nr. 8, str. 60.

Alkoholizm (z powodu odczytu dr. M. Flauma). Pr. 1895, nr. 5, str. 52—53.

Na widnokręgu (Pijaństwo i przepracowanie). Gaz. Pol. 1899, nr. 23.

Z zaułków zbrodni. Tyg. Il. 1898, nr. 15, str. 282.

Filantropja a wyzysk. Pr. 1899; nr. 42, str. 499.

Nasze cnoty i poziom moralny. Głos 1901, nr. 15, str. 219—221.

Doniosły brak. Por. dla czyt. 1901, nr. 23, str. 10—11.

Nad opuszczoną placówką (zamknięcie Ateneum). Por. dla czyt. 1901, nr. 14, str. 6—7.

Z powodu książki Wł. Kirchnera: Walka z nędzą na Bałutach. Por. dla czyt. 1901, nr. 20, str. 11—13.

Z powodu książki M. Wawrzyneckiego: Dławce (1901). Por. dla czyt. 1902, nr. 1, str. 8—9.

(J. Sierpiński) Egoizm narodowy a humanitaryzm. Krytyka 1903, t. II, str. 35—42, 137—142.

Na dobie. Ogniwo 1903, nr. 20—22, str. 479; 497—498; 525—526.

Bez maski! (Parę słów z powodu różnych „Macierzy"). Kur. Codzienny 1905, nr. 14 (18 grudnia).

Poruszymy z posad ziemię! (Młode pokolenie wiejskie). Prz. wileński 1912, nr. 4, str. 8—10.

Za kulisami (w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych). Ogniwo 1905, nr. 47—49, str. 1018—1019.

Odbudowa naszego dobrobytu. Myśl Polska 1915, nr. 1, str. 35—40.

Praca w imię przyszłości! Widnokrąg 1912, nr. 1.

Nowe wymagania życia i nowe potrzeby (Przedstawicielstwo wspólne Kongresówki i Galicji). Nowa Gazeta 1914, nr. 418.

Wydział do spraw krajowych (C. K. O.). Nowa Gazeta 1914, nr. 422.

Na marginesie wojny: Nauczyciele ludowi. Nowa Gazeta 1914, nr. 442.

4. Feljetony.

Na widnokręgu. Gaz. Pol. 1899, nr. 5 (Fizjognomja Zagłębia Dąbrowskiego), nr. 11 (Powieść nasza w stosunku do życia), nr. 23 (Pijaństwo i jego źródła), nr. 34 (Niski polot twórczości literackiej), nr. 41 (Obieżysastwo), nr. 46 (Placówki kultury), nr. 52 (Obieżysastwo i emigracja), nr. 58 (Wynagrodzenie najemników wiejskich i emigracja), nr. 64 (Żebractwo), nr. 69 (Nieliczni inicjatorzy), nr. 75 (Syjonizm), nr. 80 (Niedojadanie i lenistwo), nr. 86 (Ruskin i estetyka społeczna); nr. 92 (Drożyzna mieszkań), nr. 98 (Drożyzna lekarstw i renta apte-

karzy), nr. 104 (Brak działaczy kulturalnych na prowincji), nr. 108 (Dziatwa wiejska i brak nad nią opieki), nr. 114 (Lekarze i etyka lekarska), nr. 121 (Zbiorowe przyczynki do znajomości kraju), nr. 124 (Walka z suchotami), nr. 136 (Arystokratyczne zwyczaje w życiu naszem), nr. 142 (Sprawa samouctwa), nr. 147 (Potrzeba miejsc rozrywki dla dziatwy wielkomiejskiej), nr. 159 (Tanie koncerty i rozrywki dla ludu), nr. 165 (Chałupnictwo), nr. 183 (Marnotrawienie sił przyrody), nr. 188 (Zrzeszenie u nas i zagranicą), nr. 194 (Wycieczki letnie młodzieży), nr. 200 (Obieżysastwo), nr. 211 (Tandeta i etyka przemysłu), nr. 223 (Etyka zawodowa lekarska), nr. 229 (Na prowincji), nr. 235 (Stosunki na prowincji), nr. 242 (Uszanowanie indywidualności dziecka), nr. 247 (Obieżysasi), nr. 252 (Handel białym towarem), nr. 258 (Indywidualność dziecka), nr. 264 (Piekarnie i brudy), nr. 276 (Plotkarstwo na prowincji), nr. 281 (Sensacyjne utwory dla dzieci).

N a w i d n o k r ę g u. Ogniwo 1903, nr. 2, str. 48—50; nr. 5, str. 119—120; nr. 7, str. 162—164; nr. 10, str. 228—229; nr. 14, str. 332—334; nr. 18, str. 425—427; nr. 51, str. 1211—1212.

Na czasie (z okresu wojny). Nowa Gazeta 1914, nr. 355 (Bony); nr. 357 i 359 (Sprawa zarobków); nr. 387 (Sklepy Komitetu Obywatelskiego).

Nasi Prusacy (Drożyzna i wyzysk). Nowa Gazeta 1914, nr. 448.

Artykuły wstępne. Viribus Unitis 1921, nr. 2—8.

5. Wspomnienia osobiste.

Zaburzenia studenckie w Warszawie. Przyszłość (Kraków) 1883, Rok I, nr. 2.

Kartka z dziejów walki o byt (Samobójcy rewolucjoniści). Walka Klas 1884, nr. 4, str. 6—9.

Stanisław Krusiński. Pr. 1891, nr. 46, str. 551 oraz przedmowa do St. Krusińskiego: Szkice socjologiczne. Warszawa 1891, str. III—IX.

Nad świeżą mogiłą (dr. M. Leśnik). Pr. 1892, nr. 14, str. 165.

Ofiara postępu. Pr. 1893, nr. 13, str. 151—152.

Na pogrzebie (Bronisław Chrzanowski). Gaz. Pol. 1895, nr. 83.

Edward Przewóski (wspomnienie pozgonne). Pr. 1895, nr. 22, str. 259—260.

Jubileusz Al. Świętochowskiego. Gaz. Pol. 1895, nr. 299.

Bolesław Hirszfeld (wspomnienie pozgonne). Pr. 1899, nr. 44, str. 522.

Henryk Forszteter (W walce o naukę). Ogniwo 1903, nr. 3, str. 58—59.

Mężowi wielkiego serca (B. Prus). Ogniwo 1903, nr. 25, str. 598.

Nad świeżą mogiłą (Adam Pług). Ogniwo 1903, nr. 46, str. 1099.

Nad świeżą mogiłą (Wiktor Sawinkow). Ogniwo 1905, nr. 47—49, str. 1021—1022.

Z powodu zabójstwa Józefa Młockiego. Nowa Gazeta (Ludzkość) 1906: 1) Wspomnienie pośmiertne, nr. 87; 2) Mowa nad grobem J. Młockiego, nr. 93.

Luźne wrażenia wyborcze. Nowa Gazeta (Ludzkość) 1907, nr. 83.

Z dawnych wspomnień: Jak wydawano „Kapitał" K. Marksa. Wiedza 1908, t. I, str. 525—529.

Nad świeżą mogiłą (z powodu śmierci Wacława Nałkowskiego). Wolna Trybuna 1911, nr. 5, str. 3—4.

Stanisław Mendelson. Kuźnia 1913, t. I, nr. 20—23, str. 669—672; 718—720; 749—752; 782—784.

Z dziejów czynów i myśli epoki porozbiorowej: Tadeusz Rechniewski i jego pokolenie (1862—1916). Myśl Polska 1916, nr. 7, str. 16—27.

Witolda Rechniewska, Nowa Gaz. 1917, nr. 542 (d. 2 listopada).

Adam Zakrzewski. Ekonomista 1921, zeszyt III—IV, str. 166—171.

Wykłady latające (Poprzednicy Polskiej Wolnej Wszechnicy). Jednodniówka słuchaczy Wolnej Wszechnicy Pol-

skiej Ex litteris libertas 1923, str. 13—15.

f) Varia.

Ziemianie o mieszczanach. Prz. Tyg. 1883, nr. 18, str. 218—219.

Z sesji galicyjskiego Sejmu. Prz. Tyg. 1885, nr. 49 i 50, str. 623—624 i 651—652.

Mieszczaństwo poznańskie. I. Ogólny zarys położenia. II. Dążności ekonomiczno - społeczne. III. Cele polityczne. Głos 1887, nr. 11—13, str. 163 — 164; 182—183; 198—199.

Ekonomiczne stosunki poznańskie. Gaz. Pol. 1891, nr. 264.

Margrabia Wielopolski. Pr. 1900. nr. 41, str. 491—492.

Tadeusz Romanowicz 1843—1904 (wspomnienie pośmiertne). Ogniwo 1904 nr. 23, str. 541.

Za kulisami (Ruch przedwyborczy do Dumy państwowej). Ogniwo 1905, nr. 41, str. 909—910.

O prawdę (Odpowiedź „Dzwonowi Polskiemu" z powodu jego insynuacji). Nowa Gaz. 1906, nr. 293.

Nowy sposób spłaty długów honorowych (w sprawie „Dzwonu Polskiego"). Nowa Gaz. 1906, nr. 300.

List otwarty do p. Frąckiewicza, przewodniczącego komisji wyborczej okręgu ósmego. Nowa Gaz. (Ludzkość) 1907, nr. 88.

Odruchy społeczne (Niski poziom poczucia społeczno - politycznego). Nowa Gaz. 1914, nr. 1.

X. Życie i twórczość umysłowa.

a) Twórczość literacka a życie.

W otchłani. Warszawa 1909, str. II+292.

Książka ta jest zbiorem przerobionych następujących artykułów:

1) Kapitalizm w sztuce i nauce. Pr. 1891, nr. 41, str. 485—486. 2) Kapitalizm a dziennikarstwo. Pr. 1891, nr. 42—47, str. 498—499; 510—511; 518—519; 531—533; 544—546; 556—558. 3) Życie a literatura. Pr. 1892, nr. 26—28, str. 308—309; 319—320; 332—333. 4) Nasz nietzscheanizm. Pr. 1894, nr. 4, str. 43—44. 5) „Najmłodsi" (przekład niemiecki współcześnie w czasopiśmie wiedeńskiem „Zeit"). Pr. 1894, nr. 16—18, str. 187—188; 196—197; 209—210. 6) Inteligencja i jej natura. Pr. 1896, nr. 2—4, str. 19—20; 31—32; 42—43. (Polemika z powodu tej pracy: Jaką bywa polemika. Pr. 1896, nr. 7, str. 82—83). 7) Dzisiejszy stan wiedzy. Pr. 1896, nr. 27—31, str. 315—317, 327—328; 341; 352—353; 362—364. 8) Twórczość a konkurencja. Pr. 1897, nr. 27—30, str. 315—317; 329—330; 342—343; 353—354. 9) Psycholog mas ludzkich. Pr. 1898, nr. 32—35, str. 379—380; 393—394; 405—406; 415—417. 10) O sztuce i nie-sztuce (Luźne uwagi profana). Pr. 1899, nr. 11—15, str. 123—124; 136—138; 149—150; 161—162; 174—175. 11) Tak mówił Zarathustra. Pr. 1899, nr. 47—49, str. 561—562; 573—574; 584—585. 12) Sztuka i życie (Z rozmyślań profana). Ogniwo 1903, nr. 6, str. 140—141; nr. 9, str. 207—209; nr. 15, str. 353—354.

Kłamstwa konwencjonalne. Dodat. mies. do Prz. Tyg. 1884, półrocze I, str. 306—329.

Mania ambitiosa. Głos 1889, nr. 6, str. 72—73.

Sfinks wieku XIX (Carlyle). Pr. 1892, nr. 2, str. 15—17.

Z Niemiec. Pr. 1892, nr. 36 (Lessing), str. 423—425; nr. 44 (Literatura skandynawska), str. 520—522; nr 45 (Max Nordau), str. 533—534; nr. 51 (Z literatury), str. 606 — 607. Pr. 1893, nr. 6 (dr. Bruno Wille), str. 65—67; nr. 7 (Herman Bahr), str. 76—78.

Nowy utwór Ibsena. Pr. 1893, nr. 1, str. 5.

St. Przybyszewski: Zur Psychologie des Individuums. Pr. 1893, nr. 17, str. 196—197.

Ibsen w Anglji. Pr. 1893, nr. 33, str. 392—393.

Jeden z atomów (St. Przybyszewski: Totenmesse). Pr. 1894, nr 2, str. 15—16.

O tem co boli. Prz. Poznański 1894, nr. 13.

Sofizmaty na scenie (Z powodu sztuki K. Zalewskiego: Jak myślicie?) Pr. 1894, nr. 23, str. 270—271.

Jeden z pogromców (T. Jeske-Choiński). Pr. 1894, nr. 40—42, str. 470—472; 483—485; 494—496.

Teodor Jeske-Choiński: Bez wyboru, opowieść jakich wiele; Majaki (ocena). Pr. 1895, nr. 9, str. 100—101.

Wł. M. Dębicki: Wielkie bankructwo umysłowe (ocena). Pr. 1895, nr. 10, str. 111—113.

Jubileusz Kurjera Warszawskiego (Przyczynek do dziejów wyświecenia poważnych publicystów z dziennikarstwa). Pr. 1896, nr. 22, str. 255—257.

Idea w sztuce. Pr. 1897, nr. 40, str. 476—477.

Ada Negri. Pr. 1897, nr. 41, str. 489—490.

Na widnokręgu. Gaz. Pol. 1899, nr. 11 (Powieść a życie społeczne); nr. 34 (Niski polot poezji).

Bezimienność i pseudonimy. (Przyczynek do etyki dziennikarskiej). Pr. 1899, nr. 19, str. 221—223.

„Legendy" Strindberga. Pr. 1899, nr. 30, str. 356—357.

Krytycy i poeci (Franz Serwaes: Praeludium, ein Essaybuch). Pr. 1899, nr. 34, str. 404—405.

Nowy cykl Zoli. Pr. 1899, nr. 44, str. 524—525.

2. Nasze życie umysłowe.

Życie umysłowe w Galicji. Prz. Tyg. 1886, nr 13, str. 194—196.

Na widnokręgu (Placówki swojskie kultury). Gaz. Pol. 1899, nr. 46.

Nasze życie umysłowe. Pr. 1900, nr. 43—44, 47, str. 511—513; 522—523; 560—561.

Nasze potrzeby na polu nauki. Ateneum 1901, t. I, str. 1—9.

Nasze potrzeby naukowe. Warszawa 1903, str. 23 (Odbitka z Bibl. Warsz. 1902, t. IV, str. 273—291.

Nauka i oświata. Ogniwo 1904, nr. 12—14, str. 275—276; 297—298; 323—324.

XI. Wychowanie.

1. Organizacja szkolnictwa i metody nauczania.

Systemy wykształcenia i o wykształceniu ogólnem. Por. dla samouków, część IV (Warszawa 1902), str. LXXVI—CXIII.

Rozwój systemów wychowawczych. Pr. 1891, nr. 35, str. 414.

Szkolnictwo elementarne w gub. Płockiej za rok szkolny 1886—1887. Płoczczanin 1888, str. 109—122.

Teorja pochodzenia w średnich szkołach galicyjskich (L. Hodoly: Studien über Descendenztheorie). Prz. Tyg. 1886, nr. 1, str. 10—11.

Stosunki pedagogiczne w Galicji. Głos 1887, nr. 4 i 5, str. 59—60 i 71—72.

Z dziedziny szkół (O bezpłatnem nauczaniu). Pr. 1891, nr. 34, str. 404—405.

University extension movement. Pr. 1891, nr. 24, str. 283—285.

Obozy-uniwersytety. Gaz. Pol. 1893, nr. 268—270.

Wystawa w Chicago (Dział wychowawczy). Prz. Pedag. 1893, nr. 17—22, str. 227—228; 239—240; 249—250; 267—268; 278—279; 294—296.

Szkolnictwo amerykańskie: Metody w nauce o zdaniu. Prz. Pedag. 1894, nr. 4, str. 47—49.

Szkoła w Ameryce. Pr. 1894, nr. 27, str. 318—319.

Uniwersytet letni. Pr. 1894, nr. 32, str. 378—379.

Nad jeziorem Chautauqua (Luźne wrażenia z podróży). Ateneum 1894, t. IV, str. 555—578.

Nowe prądy a oświata. Pr. 1899, nr. 29, str. 341—342.

Szkoła w Starym i Nowym Świecie. Tyg. Il. 1902, nr. 13, str. 242.

W imię godności (O projekcie urządzenia szkoły dla dziewcząt w Pruszkowie). Ogniwo 1903, nr. 44, str. 1046.

W sprawie wyższego wykształcenia kobiet. Ogniwo 1903, nr. 49, str. 1171—1172.

Szkoła polska. Ogniwo 1905, nr. 41, str. 909.

Wykłady latające, ob. Wspomnienia.

2. Zasady wychowania.

Wady obecnego wychowania. Pr. 1887, nr. 39, str. 462—463.

Szkółka flirtu (O piśmie dla dzieci: Wieczory rodzinne). Pr. 1891, nr. 51, str. 609.

Na widnokręgu. Gaz. Pol 1899: (Konieczność miejsc zabawy dla dzieci miejskich), nr. 147; (Wycieczki wakacyjne jako środek kształcenia), nr. 194; (Zasady wychowania), nr. 242; (Indywidualność dziecka), nr. 258; (Sensacja w utworach dla dzieci), nr. 281.

Społeczeństwo a młodzież. Pr. 1900, nr. 42, str. 499—501.

Z powodu klasycyzmu. Ateneum 1901, t. III, str. 451—461.

Utwory sensacyjne. Por. dla czyt. 1901, nr. 23, str. 4—5.

3. Samouctwo.

Wśród tegoczesnej fali społecznej. (Samopomoc zrzeszona w kształceniu i oświacie). Pr. 1890, nr. 6, str. 63—65.

Na widnokręgu (Samouctwo). Gaz. Pol. 1899, nr. 142.

Samouctwo ujęte w karby. Tyg. Il. 1898, nr. 23, str. 442.

Ruskin-Hall. Por. dla czyt. książki 1901, nr. 15, str. 1—6.

Największa szkoła. Por. dla czyt. 1901, nr. 19, str. 3—5.

Perspektywy samouctwa. Ogniwo 1903, nr. 24, str. 573—574.

Prawo do wiedzy. Wiedza 1907, t. I, str. 65—70; 96—99; 129—134.

Drogi oświaty (w książce zbiorowej: Praca oświatowa, jej zadania, metody, organizacja, Kraków 1913 rok), str. 117—141.

XII. Wyznania wiary.

Idea (Upominek, książka zbiorowa na cześć E. Orzeszkowej. Kraków—Petersburg 1893), str. 346—349.

Sic itur ad virtutem. Warszawa, 1907, str. 51+1 nl. (Pojedyńcze części drukowane w Ogniwie 1904, nr. 23, str. 539—540; nr. 24, str. 562—563; nr. 27, str. 632; nr. 39, str. 921; nr. 40, str. 945—946; nr. 53, str. 1256—1257, i w Ogniwie 1905, nr. 3, str. 57—58; nr. 4, str. 85; całość w czasopiśmie Kultura 1907, I, str. 7—21 i 138—160).

Przekład litewski:

Sic itur ad virtutem; verté K. Puida, Vilniaus Žinios 1907 i 1908, nr. 219 (828), 223 (832), 17 (855), 28 (866), 32 (870), 33 (871), 37 (875), 45 (883).

Na drogi nowe. Ogniwo 1905, nr. 44—46, str. 975—976.

Pro domo sua (Czystość sposobów walki). Ogniwo 1903,nr. 41, str. 976.

XIII. Wrażenia z podróży.

Za Atlantykiem (Wrażenia z podróży po Ameryce). Warszawa 1895, str. 340.

Przekład rosyjski:

За Атлантическимъ Океаномъ (Путевыя впечатлѣнія Людвика Крживицкаго, переводъ В. Чепинскаго. Міръ Божій 1896, nr. I, str. 60—92, nr. II, str. 87—112, nr. III, str. 38—66, nr. IV, str. 63—86, nr. V, str. 55—89, nr. VII, str. 84—101, nr. VIII, str. 74—103).

Z podróży (do Ameryki). Pr. 1893, nr. 26, str. 306—307; nr. 27, str. 320

nr. 28, str. 331—332; nr. 29, 342—343; nr. 30, 355—356; nr. 31, 366—367; nr. 32, 377—378; nr. 33, 394—396; nr. 34, 402—403; nr. 35, 415—416; nr. 36, 427—428; nr. 37, 440—441; nr. 38, 451—452; nr. 39, 462—463; nr. 40, 475—476; nr. 41, 487—488; nr 42, 501—502; nr. 44, 523—524; nr. 45, 537; nr. 46, 547—548; nr. 47, 558—559; nr. 48, 570—571; nr. 49, str. 584; nr. 50, str. 595.

W podróży do Chicago. Gaz. Pol. 1893, nr. 138, 145, 155, 157.

Na morzu. Gaz. Pol. 1895, nr. 4.

Z Chicago. Gaz. Pol. 1893, nr. 182, 184, 188, 193, 195, 206, 223, 238, 243.

Wystawa w Chicago. Gaz. Pol. 1893, nr. 164, 179, 246.

Z Ameryki. Gaz. Pol. 1893, nr. 210, 218.

Wśród stepów pszenicy (Z podróży po Minnesocie i Dakocie). Gaz. Pol. 1893, nr. 228, 229, 230.

„Arbor-Day". Gaz. Pol. 1893, nr. 275.

Listy o Ameryce. Gaz. Pol. 1893, nr. 288 (Ogrodnictwo zamorskie); 1894, nr. 10 (Rolnictwo).

Obrazki zamorskie. Gaz. Pol. 1894 nr. 42, 59, 219, 226, 232, 247, 256, 273.

W Białym Grodzie. Bibl. Warsz. 1894, t. II, str. 505—539; t. III, str. 129—158.

W stepie pszennym. Bibl. Warsz. 1894, t. IV, str. 112—140 i 314—337.

Listy z wystawy paryskiej. Pr. 1889, nr. 33—40, str. 390—391, 403—404, 414—415, 427—428, 439—440, 451—452, 474—475.

W Holandji. Pr. 1895, nr. 37—40, str. 437—438, 449—450, 462—463, 474—475.

W podróży. Gaz. Pol. 1895, Roterdam, nr. 168; Londyn, nr. 175, 177, 183, 201.

Wśród wielkiego miasta (Wrażenia z Londynu). Pr. 1895, nr. 36, str. 428—429.

O prawdę (Polemika z powodu artykułu: Wśród wielkiego miasta z W. Lutosławskim) Pr. 1895, nr. 39, str. 467; nr. 44, str. 527.

Wystawa w Niżnim-Nowgorodzie. Gaz. Pol. 1896, nr. 202, 205, 210, 216, 225.

„Na wsi" amerykańskiej. Pr. 1899, nr. 9, str. 105—106.

XIV. Artykuły polityczne.

1. Artykuły charakteru ogólnego.

Obecne przesilenie parlamentaryzmu. Pr. 1889, nr. 15, str. 170—171.

Przedstawicielstwo stosunkowe. Pr. 1890, nr. 14, str. 158—160.

Wszech-Europa (Związek ekonomiczny Europy). Gaz. Pol. 1892, nr. 61.

Zjazd pokoju w Bernie. Gaz. Pol. 1892, nr. 200.

Początek roku. Gaz. Pol. 1894, nr. 1.

Koniec roku. Gaz. Pol. 1894, nr. 298.

Na schyłku roku. Pr. 1894, nr. 52. str. 613.

2. Anglja.

Anglja i Indje. Gaz. Pol. 1892, nr. 26.

Agitacja przedwyborcza w Anglji. Gaz. Pol. 1892, nr. 112.

Po wyborach. Gaz. Pol. 1892, nr. 166.

Izba lordów a home-rule. Gaz. Pol. 1892, nr. 225.

Program Chamberlain'a. Gaz. Pol. 1892, nr. 272.

Kanada i Anglja. Gaz. Pol. 1892, nr. 286.

Federacja wszechbrytańska. Gaz. Pol. 1893, nr. 274.

Flota angielska. Gaz. Pol. 1893, nr. 277.

Położenie w Anglji. Gaz. Pol. 1893, nr. 294.

Bil parafjalny. Gaz. Pol. 1894, nr. 18.

Mowa Balfour'a w Manchesterze. Gaz. Pol. 1894. nr. 23.

Izba lordów i gladstoniści. Gaz. Pol. 1894, nr. 32.

Przeciw lordom. Pr. 1894, nr. 13, str. 144—145.

Lord Rosebery. Gaz. Pol. 1894, nr. 55.

Unioniści i obóz Gladstone'a. Gaz. Pol. 1894, nr. 58.

W Anglji (sytuacja polityczna). Gaz. Pol. 1894, nr. 75 i 87.

Reforma wyborcza w Anglji. Gaz. Pol. 1894, nr. 91.

Mowa lorda Salisbury. Gaz. Pol. 1894, nr. 95.

Sprawa kościoła walijskiego. Gaz. Pol. 1894, nr. 103.

W przededniu agitacji wyborczej. Gaz. Pol. 1894, nr. 105.

Anglja a Indje. Gaz. Pol. 1894, nr. 108.

Mowa lorda Rosebery. Gaz. Pol. 1894, nr. 119.

Program bradfordzki. Gaz. Pol. 1894, nr. 129.

Zjazd w Leeds (partji liberalnej). Gaz. Pol. 1894, nr. 142.

Przeciw lordom. Gaz. Pol. 1894, nr. 145.

Przełom w Anglji. Pr. 1894, nr 30, str. 349—350.

Reforma podatkowa. Gaz. Pol. 1894; nr. 149.

Złożenie mandatu przez Gladstone'a. Gaz. Pol. 1894, nr. 151.

Lord Rosebery. Gaz. Pol. 1894, nr. 217.

Mowy Chamberlain'a. Gaz. Pol. 1894, nr. 223 i 224.

Kłopoty Anglji. Gaz. Pol. 1894, nr. 248.

O lordów. Gaz. Pol. 1894, nr. 253.

Wybory w Forfarshirze. Gaz. Pol. 1894, nr. 271.

W Anglji (Stosunki polityczne). Gaz. Pol. 1895, nr. 17.

Federacja wielko-brytańska. Gaz. Pol. 1895, nr. 34.

Rokosz parnelistów. Gaz. Pol. 1895, nr. 40.

Zmiana w Anglji (w kierunku protekcjonizmu). Gaz. Pol. 1895, nr. 52.

Potęga morska Anglji. Gaz. Pol. 1895, nr. 64.

Bil agrarny. Gaz. Pol. 1895, nr. 81.

Projekta Chamberlain'a (Ogólno-brytański związek celny). Gaz. Pol. 1896, nr. 139.

Stronnictwa angielskie. Gaz. Pol 1896, nr. 146.

3. *Austrja i Węgry.*

Czarno-żółta monarchja. Głos 1887, nr. 37, str. 582—584; 1888, nr. 39, str. 460—462.

Austro-Węgry. Tyg. Powsz. 1891, nr. 10, str. 73.

Przełom w Przedlitawji. Gaz. Pol. 1891, nr. 254.

Stronnictwa niemiecko-liberalne w Wiedniu. Gaz. Pol. 1892, nr. 153.

Zawikłanie austrjacko-węgierskie. Gaz. Pol. 1892, nr. 247.

Położenie w Przedlitawji. Gaz. Pol. 1893, nr. 269.

Rumuni a Węgrzy. Gaz. Pol. 1894, nr. 10.

Polityka kościelna na Węgrzech. Gaz. Pol. 1894, nr. 14.

W Przedlitawji. Gaz. Pol. 1894, nr. 25.

Koalicja i Czesi. Gaz. Pol. 1894, nr. 40.

Śluby cywilne na Węgrzech. Gaz. Pol. 1894, nr. 56.

Nowa partja (Młodo-Czesi). Gaz. Pol. 1894, nr. 80.

Madziarzy a Rumuni. Gaz. Pol. 1894, nr. 109.

Przeciw magnatom. Gaz. Pol. 1894, nr. 113.

W przededniu kryzysu. Gaz. Pol. 1894, nr. 118.

Zatarg w Węgrzech (o śluby cywilne). Pr. 1894, nr. 24, str. 277—278.

Kryzys węgierski. Gaz. Pol. 1894, nr. 132.

Sprawy tyrolskie. Gaz. Pol. 1894, nr. 155.

Kłopoty d-ra Wekerle. Gaz. Pol. 1894, nr. 270.

Przesilenie węgierskie. Gaz. Pol. 1895, nr. 10.

Walki węgierskie. Pr. 1894, nr. 41, str. 481—482.

Wyrównanie w Czechach (między Czechami a Niemcami). Gaz. Pol. 1895, nr. 28.

Rozstrój Austrji. Pr. 1898, nr. 10, str. 109—111.

4. Francja.

Sprawy włosko-francuskie. Gaz. Pol. 1891, nr. 271.

Koszta przyjaźni. Gaz. Pol. 1891, nr. 285.

Pamflet naukowo-polityczny (z powodu bulanżyzmu). Gaz. Pol. 1892, nr. 20.

Starganie równowagi śródziemnomorskiej. Gaz. Pol. 1892, nr. 43.

Sprawa municypalna we Francji. Gaz. Pol. 1892, nr. 113.

Zatarg z radami municypalnemi. Gaz. Pol. 1892, nr. 171.

Stosunki wewnętrzne we Francji. Gaz. Pol. 1892, nr. 239 i 252.

Militaryzm we Francji. Gaz. Pol. 1892, nr. 262.

Francja a Włochy. Gaz. Pol. 1894, nr. 11.

Marynarka francuska. Gaz. Pol. 1894, nr. 17.

Prawo interpelacyjne a rząd francuski. Gaz. Pol. 1894, nr. 28.

Dwie konstytucje. Gaz. Pol. 1894, nr. 34.

Zatarg francusko-portugalski. Gaz. Pol. 1894, nr. 45.

Komunikat hr. Paryża. Gaz. Pol. 1894, nr. 52.

Rząd i administracja we Francji. Gaz. Pol. 1894, nr. 69.

Polityka celna we Francji. Gaz. Pol. 1894, nr. 76.

Carnot i współzawodnicy. Gaz. Pol. 1894, nr. 89.

Walka celna pomiędzy Francją a Austrją. Gaz. Pol. 1894, nr. 136.

Prawo interpelacji (we Francji). Gaz. Pol. 1894, nr. 141.

Orędzie nowego prezydenta. Gaz. Pol. 1895, nr. 150.

Zwrot we Francji (zatarg z Kościołem). Pr. 1894, nr. 33, str. 385—386.

Przeciwko Périerowi, Pr. 1894, nr. 47, str. 553—554.

W mętach (Szpiegostwo we Francji). Pr. 1894, nr. 49, str. 577—578.

Starania Francji (Wspólność interesów Francji i Hiszpanji). Gaz. Pol. 1896, nr. 145.

Hercules contra plures. Pr. 1908, str. 352—353.

5. Niemcy.

Nad grobem „Rycerza wieku" (Lasker). Prz. Tyg. 1884, nr. 5, str. 50—52.

Kronika niemiecka. Prz. Tyg. 1884, nr. 7, str. 86—87; nr. 27, 334—335.

Bismarkiada. Dod. Mies. do Prz. Tyg. 1884, półrocze I, str. 509—541.

W sejmie pruskim. Tyg. Powsz. 1891, nr. 5, str. 33.

Z Niemiec. Tyg. Powsz. 1891, nr. 9, str. 66.

Prawo przeciwko alkoholizmowi. Gaz. Pol. 1891, nr. 225.

Prąd opinji w Niemczech (Alzacja i Lotaryngja). Gaz. Pol. 1891, nr. 231.

Nowy projekt (o wolności przenoszenia się). Gaz. Pol. 1892, nr. 2.

Z Berlina. Gaz. Pol. 1891, nr. 153, 161, 171, 176; 1892, nr. 148, 152, 157, 163, 170, 173, 180, 186, 188, 191, 200, 204, 208, 215, 227, 233, 238, 242, 243, 249, 254, 265, 267, 272, 275, 278,

279, 283, 289; 1893, nr. nr. 2, 4, 6, 12, 14, 20, 22, 29, 35, 42.

Fundusze welfickie. Pr. 1893, nr. 2, str. 14—15.

Z Niemiec (hegemonja Prus w Niemczech i produkcja alkoholu). Pr. 1893, nr. 4, str. 38—40.

Ekonomiczny Sedan i Sadowa. Pr. 1892, nr. 9, str. 93—95.

Stosunki dawne i projekt reformy (szkolnej w Prusach). Gaz. Pol. 1892, nr. 28.

O wojsko. Gaz. Pol. 1892, nr. 41.

Kłopoty kolonizacyjne Niemiec. Gaz. Pol. 1892, nr. 80.

Kwestja wyborcza w sejmie pruskim. Gaz. Pol. 1892, nr. 122.

Depesza emska. Pr. 1892, nr. 49, str. 577—578.

Reforma wyborcza w Prusach. Pr. 1893, nr. 5, str. 50.

Z Niemiec (polityka). Pr. 1892, nr. 39, str. 463—464; nr. 43, str. 506—508; nr. 47, str. 554—556; nr. 52, str. 626—627; 1893, nr. 22, str. 254—255.

Zmiana sytuacji (Sprawa ustawy wojskowej). Gaz. Pol. 1892, nr. 192.

Stronnictwa niemieckie i projekt wojskowy. Gaz. Pol. 1892, nr. 217.

Zadania sejmu pruskiego. Gaz. Rol. 1892, nr. 220.

Reforma wyborcza w Prusach. Gaz. Pol. 1892, nr. 234.

Rozmiary militaryzmu w Niemczech. Gaz. Pol. 1892, nr. 237.

Bawarja a Prusy. Gaz. Pol. 1892, nr. 244.

Danja a Niemcy. Gaz. Pol. 1893, nr. 21.

Rozterka wśród centrum. Gaz. Pol. 1893, nr. 65.

Nowy żywioł opozycyjny (Walka ziemian z rządem). Gaz. Pol. 1893, nr. 271.

Parlament niemiecki. Gaz. Pol. 1893, nr. 283.

Rzesza niemiecka. Gaz. Pol. 1893, nr. 288.

Finanse niemieckie. Gaz. Pol. 1894, nr. 21.

Partykularyzm niemiecki. Gaz. Pol. 1894, nr. 38.

Niemiecka polityka kolonjalna. Gaz. Pol. 1894, nr. 42.

Hrabia Caprivi. Gaz. Pol. 1894, nr. 70.

Cisza niemiecka. Pr. 1894, nr. 31, str. 361—362.

Rocznica sedańska. Pr. 1894, nr. 36, str. 421—422.

Rzesza i kraje niemieckie. Gaz. Pol. 1894, nr. 85.

Zamknięcie parlamentu niemieckiego. Gaz. Pol. 1894, nr. 92.

Hrabia Caprivi. Gaz. Pol. 1894, nr. 98.

Sejm pruski. Gaz. Pol. 1894, nr. 126

Rudolf von Bennigsen. Gaz. Pol. 1894, nr. 156.

Otwarcie parlamentu. Gaz. Pol. 1894, nr. 280.

Partykularyzmy w Niemczech. Gaz. Pol. 1895, nr. 5.

Reforma finansów w Niemczech. Gaz. Pol. 1895, nr. 58.

Nowy zatarg w Berlinie. Gaz. Pol. 1895, nr. 75.

Kombinacje polityczne (Sojusz państw Europy Środkowej). Gaz. Pol. 1896, nr. 134.

Dymisja v. Berlepscha. Gaz. Pol. 1896, nr. 148.

Nowa partja (Niemiecka partja liberalna). Gaz. Pol. 1896, nr. 149.

Nowa partja (Niemiecka partja postępowa). Gaz. Pol. 1896, nr. 152.

Machinacje Bismarka. Gaz. Pol. 1896, nr. 160.

Listy z Niemiec (Komisja kolonizacyjna). Gaz. Pol. 1896, nr. 183.

Wielki Krzyżak. Tyg. Il. 1898, nr. 32.

6. Włochy.

Przed wyborami we Włoszech. Gaz. Pol. 1892, nr. 231.

Wybory a społeczność włoska. Gaz. Pol. 1892, nr. 250.

Położenie gabinetu włosklego. Gaz. Pol. 1892, nr. 282.

Przesilenie włoskie. Gaz. Pol. 1893, nr. 282.

Otchłań włoska. Pr. 1894, nr. 25, str. 288—289.

We Włoszech. Gaz. Pol. 1894, nr. 73.

Nieśmiertelne Pananimo. Pr. 1894, nr. 51, str. 601—602.

Kryzys włoski. Gaz. Pol. 1895, nr. 7.

Stosunki we Włoszech. Gaz. Pol. 1895, nr. 72.

Agitacja przedwyborcza we Włoszech. Gaz. Pol. 1895, nr. 92.

Przesilenie we Włoszech. Gaz. Pol. 1886, nr. 158.

7. *Pomniejsze państwa europejskie.*

a) Belgja.

Manifestacje belgijskie (pismo pociągnięto do odpowiedzialności za artykuł, u autora rewizja). Tyg. Powsz. 1891, nr. 4, str. 25.

Militaryzm belgijski. Gaz. Pol. 1894, nr. 61.

Kryzys w Belgji (Walka o reformę wyborczą). Gaz. Pol. 1894, nr 68.

Zmowa parlamentarna. Gaz. Pol. 1894, nr. 138.

Sprawy belgijskie. Gaz. Pol. 1894, rr. 211.

Sprawa flamandzka. Gaz. Pol. 1894. nr. 277.

Wybory belgijskie. Pr. 1894, nr. 42, str. 493—494.

Wybory w Belgji. Gaz. Pol. 1896, nr. 154.

Zdarzenie niepozorne a doniosłe, (opieka St. Zjednoczonych nad Belgją). Nowa Gaz. 1914, nr. 389

b) Holandja.

Kryzys w Holandji (Sprawa reformy wyborczej). Gaz. Pol. 1894, nr. 64.

Wybory w Holandji. Gaz. Pol. 1894, nr. 102.

c) Szwajcarja.

Sprawa neutralności Szwajcarji. Gaz. Pol. 1892, nr. 174.

Ostatnie referendum szwajcarskie. Gaz. Pol. 1894, nr. 131.

„Beutezug". Pr. 1894, nr. 45, str. 529—530.

d) Skandynawja.

Koniec zatargu duńskiego. Gaz. Pol. 1894, nr. 79.

Zatarg pomiędzy Szwecją a Norwegją. Gaz. Pol. 1895, nr. 87.

e) Hiszpanja.

Sprawy hiszpańskie. Gaz. Pol. 1892, nr. 160

8. *Wschód bliższy.*

Na półwyspie Bałkańskim. Pr. 1893, nr. 20, str. 230

Stosunki tureckie. Gaz. Pol. 1893. nr. 74.

Finanse greckie. Gaz. Pol. 1894, nr. 5.

Zajścia w Rumunji. Gaz. Pol. 1894, nr. 65.

Kedyw w Europie. Gaz. Pol. 1894, nr. 134.

Sprawa armeńska. Gaz. Pol. 1894, nr. 288.

Zachód i dyplomacja europejska. Gaz. Pol. 1896, nr. 132.

Na Wschodzie (Stosunki w Turcji). Gaz. Pol. 1896, nr. 135.

Interwencja mocarstw (Sprawa kreteńska). Gaz. Pol. 1896, nr. 141.

Sprawa kreteńska. Gaz. Pol. 1896, nr. 147.

Na Krecie. Gaz. Pol. 1896, nr. 153.

Po wypadkach w Stambule. Gaz. Pol. 1896, nr. 209.

9. *Wschód dalszy.*

Europa a Chiny. Gaz. Pol. 1891 nr. 215.

Stosunki w Azji Środkowej. Gaz. Pol. 1893, nr. 40.

Ze Wschodu (Współzawodnictwo Japonji z Europą). Pr. 1894, nr. 32, str. 373—374.

Chiny i Japonja. Gaz. Pol. 1894, nr. 205.

Na wschodzie Azji. Ateneum 1895, t. I, str. 377—381.

Chiny i Europa. Ekonomista 1900, nr. 25, str. 202—203.

10. Państwa amerykańskie.

Nowe formy pretorjanizmu. Gaz. Pol. 1891, nr. 277.

Sprawa chińska w Ameryce. Gaz. Pol. 1892, nr. 124.

Stronnictwa w Stanach Zjednoczonych. Gaz. Pol. 1892, nr. 227.

Następstwa wyborów amerykańskich. Gaz. Pol. 1892, nr. 263.

Stare a nowe Stany. Gaz. Pol. 1894, nr. 3.

Upadek bilu Mac Kinley'a. Gaz. Pol. 1894, nr. 30.

Przesilenie w Ameryce (bezrobocie górników). Gaz. Pol. 1894, nr. 157.

Zaburzenie w Stanach Zjednoczonych. Pr. 1894, nr. 29, str. 337—338,

Wybory w Stanach Zjednoczonych. Gaz. Pol. 1894, nr. 259.

Orędzie Clevelanda. Gaz. Pol. 1894, nr. 282.

Nowa potęga międzynarodowa. Gaz. Pol. 1894, nr. 294.

O prezydenturę. Gaz. Pol. 1896, nr. 140.

Agitacja przedwyborcza. Gaz. Pol. 1896, nr. 159.

Hiszpanja i Ameryka. Tyg. Il. 1898, nr. 24.

Dyktatura oligarchiczna w Brazylji. Gaz. Pol. 1893, nr. 293.

11. Kolonje.

a) Ogólnej treści artykuły.

Ludzie czy szakale (Postępowanie w kolonjach). Tyg. Powsz. 1891, nr. 10, str. 76.

Kompanje kolonjalne. Gaz. Pol. 1892, nr. 108.

Walka o forpoczty (Sprawa morza Śródziemnego). Gaz. Pol. 1892, nr. 177.

Francuzi i Niemcy. Gaz. Pol. 1892, nr. 205.

Rozwój polityki kolonjalnej. Pr. 1898, nr. 18, str. 206-208.

Rozwój żeglugi morskiej. Pr. 1898, nr. 31, str. 370-371.

b) Afryka.

Koleje afrykańskie. Gaz. Pol. 1891, nr. 289.

Podział Afryki. Gaz. Pol. 1893, nr. 287.

Sprawa marokańska. Gaz. Pol. 1893, nr. 291.

Uganda. Gaz. Pol. 1894, nr. 86.

Sprawa afrykańska. Gaz. Pol. 1894, nr. 122.

Kwestja chroniczna (marokańska) Gaz. Pol. 1894, nr. 152.

Sprawa madagaskarska. Gaz. Pol. 1894, nr. 229.

Sir Cecil Rhodes. Gaz. Pol. 1894, nr. 279.

Nowe państwo (Państwo akcyjne w Afryce południowej). Gaz. Pol. 1895, nr. 23.

Anglja i Transwaal. Ekonomista 1900, nr. 33, str. 270—272.

c) Australazja.

W Nowym Świecie. Pr. 1891, nr. 33, str. 388-391.

W antypodach. Gaz. Pol. 1894, nr. 35.

Nowe ogniska cywilizacji. Pr. 1899, nr. 7, str. 80-81.

XV. Varia.

Stanley-Jevons: Logika w przekładzie Henryka Wernica, 1887. (Ocena). Prz. Tyg. 1886, nr. 40, str. 426.

O mowie (Odczyt d-ra Ołtuszewskiego). Gaz. Pol. 1894, nr. 64.

Słownik języka polskiego. Gaz. Pol. 1895, nr. 224.

W sferze ideału (Dr. Antoni Złot-

nicki: Człowiek, istota jego i przyszłość). Pr. 1898, nr. 51, str. 606-607.

Wiece naukowe (Zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich w Kassel). Ogniwo 1903, nr. 42, str. 995-996.

Bibljoteka pamiętników (Ocena), Nowe Tory 1914, nr. 3, str. 177-179.

XVI. Przekłady.

Marx K. Kapitał. Krytyka ekonomji politycznej. Tom I. Księga I: Wytwarzanie kapitalistyczne. Lipsk 1884, VII+326 (pod redakcją L. Krzywickiego przy współudziale M. Brzezińskiego, St. Krusińskiego, J. Pławińskiego i J. Siemaszki).

Engels Fr.. Początki cywilizacji. Paryż—Lipsk 1885, str. 109.

Demolins E. Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografji społecznej. Warszawa 1902, str. XIII+395+2 nl.

Darwinizm a wiedza społeczna. Warszawa — Lwów 1920. W tej książce przekład szkiców: C. Bouglé — Darwinizm a socjologja, str. 77—94; J. B. Bury—Darwinizm a historja, str. 95—112; E. Harrison: Wpływ darwinizmu na badania w zakresie religji, str. 137—162.

Marett R. B.: Antropologja. Warszawa—Lwów (Bibljoteka Narodowa), str. 2 nl+240.

Uwaga. Bibljografja niniejsza z powodu trudności technicznych nie objęła artykułów w prasie prowincjonalnej, oraz w prasie nielegalnej w latach 1884—1910.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Ofic. Polit. Wychow.
L. inw. 6446.

SKRÓCENIA.

Bibl. Warsz.	Bibljoteka Waszawska.
Dod. do Prz. Tyg. . .	Dodatek miesięczny do Przeglądu Tygodniowego.
Enc. Illustr.	Wielka Powszechna Encyklopedja Illustrowana.
Enc. Roln.	Encyklopedja Rolnicza.
Gaz. Pol.	Gazeta Polska.
Gaz. prz.-rzem. . . .	Gazeta Przemysłowa i Rzemieślnicza.
Gaz. Roln.	Gazeta Rolnicza.
Il. Polska	Ilustracja Polska.
Pam. fizjogr.	Pamiętnik Fizjograficzny.
Por. dla czyt. . . .	Poradnik dla czytających książki.
Pr.	Prawda.
Prz. filoz.	Przegląd Filozoficzny.
„ społ.	„ Społeczny.
„ pedag.	„ Pedagogiczny.
„ tyg.	„ Tygodniowy.
Prz. pol. prz.	Przegląd polski rozwoju przemysłu, handlu i rolnictwa.
Tyg. il.	Tygodnik Ilustrowany.
„ powsz.	„ Powszechny.

SPIS RZECZY.

Przedmowa . . . . . V—VII
Istota zdarzenia społecznego . . . . . 1— 8
Idea a życie . . . . . 9— 90
I. Parę słów wstępnych. . . . . 9— 13
II. Rodowód idej społecznych . . . . . 13— 44
III. Wędrówka idei . . . . . 44— 59
IV. Przeszłość a teraźniejszość . . . . . 60— 90
Z psychologji życia zbiorowego . . . . . 91—188
I. Idea a człowiek . . . . . 91—105
II. G. le Bon i jego teorje . . . . . 106—114
III. Jaźń zbiorowa. . . . . 114—136
IV. Kartka z psychologji życia zbiorowego. . . . 136—140
V. Umysłowość gromady . . . . . 140—147
VI. Do Jasnej Góry . . . . . 147—164
VII. Tradycja zorganizowana. . . . . 164—179
VIII. Z psychologji społecznej. . . . . 179—188
a) Jednostka a klasa . . . . . 179—184
b) Gromady klasowe . . . . . 184—188
Typy zawodowe . . . . . 189—263
I. Człowiek a społeczeństwo . . . . . 189—201
II. Żywe spoidła życia społecznego . . . . . 201—233
III. Typy okrutne i krwiożercze . . . . . 233—263
Z psychologji ludów: Ludożerstwo i wilkołactwo . . . . 264—298
Bibljografja prac Ludwika Krzywickiego . . . . . 299—340



Biblioteka AP W
8A
26356/
301 P. /2.

